

CZAS ZATRZYMANY 2

TOM II

*Wybór tekstów oraz
fotografie z terenów
Nowej Huty i okolic*

Redakcja

ADAM GRZYŃSKI

2008

NOWOHUTSKIE CENTRUM KULTURY

CZAS ZATRZYMANY 2

TOM II

Wybór tekstów oraz fotografie
z terenów Nowej Huty i okolic

Redakcja

ADAM GRZYŃSKI

2008

NOWOHUCKIE CENTRUM KULTURY

„Hymn do miłości ojczyzny”

*Święta miłości kochanej ojczyzny,
Czują cię tylko umysły pocziwe!
Dla ciebie zjadłe smakują trucizny
Dla ciebie więzy, pęta niezelżywe.*

*Kształcisz kalectwo przez chwalebne blizny
Gnieździsz w umyśle rozkosze prawdziwe,
Byle cię można wspomóc, byle wspierać,
Nie żał żyć w nędzy, nie żał i umierać.*

Ignacy Krasicki

PLESZÓW



Pamiętnik czyli Liber memorabilium parafii Pleszów

Rok 1914

W sierpniu wybucha wojna światowa. Proboszczem w Pleszowie był wówczas ks. Franciszek Wąsik, od 1911 r. wskutek paraliżu mózgowego pozbawiony władzy w ręce prawej i nodze oraz mowy. Zarządcą parafii był ks. Jan Chrobakiewicz.

Kiedy Rosjanie pobiwszy Austriaków i Niemców poczynają zbliżać się do Krakowa, Austriacy twierdzą Kraków otaczają słupkami żelaznymi i powiązanym na nim drutem kolczastym. Pleszów z Kujawami, Lubocza i Grębałów znalazły się na zewnątrz twierdzy, a Krzesławice wewnątrz. Bramy wjazdowe z tej strony były: jedna u wylotu gościńca krakowskiego z wąwozu przy Mogile, druga na drodze między Luboczą a Krzesławicami, trzecia koło Grębałowa, na drodze z Bieńczyc do Kocmyrzowa.

Aby mieć widok z twierdzy zburzyli Austriacy najbliższe wioski koło twierdzy. Grębałów znikł zupełnie zrównany z ziemią, Luboczy połowa, część od strony Krzesławic i część od strony Wadowa. W tych wsiach najlepszymi burzycielami okazali się Czesi – „bracia”! Reszta Luboczy ocalała dlatego, że od strony Luboczy Moskale zaczęli bić z dział. Z krzykiem: „Jeżisz! Maria! Ruski idu” – Czesi uciekli. W Grębałowie i Luboczy wycięto wszystkie drzewa bez wyjątku, w Pleszowie wojsko wycięło drzewa mniej więcej 8/10. Ocalała część na tak zwanym Stoku czyli Gęsiej drodze i na cmentarzu poza wsią. Legnął park dworski i tysiącletnie dęby, runął olbrzymi kasztan stojący na drodze od plebani ku pałacowi dworskiemu, pod którym T. Kościuszko siedział, kiedy to swoje wojska stąd szła pod Racławice, z blisko 3 morgowego sadu plebańskiego ledwo kilka krzaków ocalało, płoty spalono, kasztany przy kościele ścinane upadając połamały mur naokoło kościoła. Wśród płaczu jeszcze w sierpniu poszli chłopcy na cudzą wojnę, wielu aby nie powrócić więcej. Ludność w listopadzie (dn. 9-go) ewakuowano – wypędzono, mówiąc poprawniej. (...) W Luboczy, Grębałowie, Krzesławicach nikt nie pozostał, w Pleszowie także, jedynie Kujawianie pozostali. Wszyscy inni zamieszkali w Łęgu lub w Krakowie. Wielu, zwłaszcza kobiet, z nędzy i zimna przedwcześnie zmarło. Moskale tymczasem następowali na pięty Austriakom. Wieliczkę i Zawisze zajęli, patrole ich weszły do Luboczy, jedynie Pleszów, jako przedpole twierdzy najwyżej położone, trzymało wojsko austriackie. Za cmentarzem, na polu pleszowskim nad „Motkowym mostem”, na tzw. „Wielkich polach” były rowy strzeleckie, armaty austriackie stały na ogrodzie plebańskim od zachodniej strony plebani, i na błoniach Kujaw – Piekła, móżdżerze olbrzymie na stacji kolejowej w Mogile i 2 na polach mogiłskich tuż przy gościńcu krakowskim niedaleko granicy pleszowskiej. Na wieży kościoła tutejszego wojsko urządziło sobie stację telefoniczną a przez wybity na wieży otwór z kulomiotów ostrzeliwało samoloty rosyjskie. Artyleria austriacka strzelała stąd na Grabie i ku Kościelnikom. Plebanię, dwór, domy chłopskie niszczyło i wypróżniało wojsko. Księża okoliczni wskutek ostrzeliwań zmuszeni byli wyjechać. Ks. Prob. Świętek z Górki wyjechał, kiedy od Moskali dostał nagle, ks. Prob. Z Czulice także wyjechał, ks. Prob. Puchała z Ruszczy jako starowina, został tam wikary ks. Franciszek Kapusta, ale go Moskale okradli, wyjechał, by za niedługo czas powrócić. Najodważniejszym okazał się ks. Józef Walczak, syn Wincentego (fragm. nieczytelny) Luboczy, kapłan diecezji lwowskiej, którego wojna tutaj zastała na urlopie, a po zajęciu Galicji przez Rosjan nie mógł wrócić do Radziechowa za Lwowem, gdzie był wikarym. On tutaj pozostał u krewnych na Kujawach, a ksiądz Biskup Krakowski Adam Sapieha mianował go tymczasowym administratorem na Czulice, Górkę, Ruszczę i Pleszów. Kiedy mieszkańców krzywdziło wojsko austriackie, upominał się śmiało o krzywdę ich (mówiąc, że to austriackie kozaki), za co chciano go aresztować, lecz jakoś go to ominęło. Na Kujawach kule karabinowe, z Grabia idące, dziurawiły dachy chałup, ks. Walczak pogrzebał trzy osoby z Branicy na cmentarzu pleszowskim, które zginęły od granatu (Dziejowie) – wśród gradu kul. Coś dwa i pół dnia trwała bitwa. W czasie tej bitwy p. Jan Grzymek, dzierżawca dworu w Luboczy Panien Norbertanek, a właściciel Głębokiej koło Kocmyrzowa, naówczas porucznik wojsk austriackich, wybrał się z Krakowa, by zobaczyć dwór lubocki. Na drodze koło Krzesławic spotkał uciekających spoza twierdzy, kilkunastu żołnierzy austriackich przed Rosjanami, którzy ze strachu nawet bramę zostawili od twierdzy otwartą, groźbą rewolweru zmusił ich do powrotu, przyszedł do dworu i nawet jednego Moskala wziął do niewoli. W czasie tej bitwy zginął w patrolu pleszowianin Wincenty Komasa i pochowany został w Prusach przy gościńcu kocmyrzowskim, jakiś Moskal poległ pod Gaikiem w Luboczy i tam gdzieś pochowany, na Kujawach za wałem zginął jakiś Czech, którego zwłoki później przeniesiono na cmentarz miejscowy, a z Moskali na Grabiu od austriackich kul poległ jeden Moskal, a drugi został ranny lekko. Zachęcali go Moskale, by spieszyć z nimi uciekać, bo „Austriacy w d... bijut”. Kiedy Rosjanom przerwano front pod Łodzią i Li-manową, wówczas cofnęli się od Krakowa, którego tylko przez nieudolność i wskutek późnego nadesłania armat nie zdobyli. Przed cofnięciem się koła u wozów słomą pookręcili, a odeszli tak cicho, że Austriacy bili od Wieliczki

i Niepołomic z armat, kiedy tam Moskali już nie było. Przy ataku kilkuset Kozaków na Pleszów, kilkanaście tysięcy Austriaków uciekło do twierdzy wskutek przesadnych wieści i już mieli przed odejściem Pleszów spalić, kościół, plebanie i dwór artylerią zburzyć, lecz na szczęście w popłochu żołnierze rozkazu nie wykonali. Rosjanie następnie cofnęli się nad Nidę. W czasie ruchów wojsk głównie Węgrzy – Magyary dali się we znaki ludności. Kiedy brali rabując w oczy nie rozumieli nie tylko po węgiersku, ale w razie potrzeby własnej nawet po niemiecku potrafili się odezwać. Na Boże Narodzenie przyjechał z bratem do Pleszowa spojrzeć na ojcowskie gospodarstwo ks. Jan Rosiewicz katecheta z Krakowa, tutejszy rodak, i wraz z księdzem Józefem Walczakiem odprawili dwie pasterki – jedną polską dla ludności, która ukradkiem przed strażą wojskową aż z Ruszczy nawet przedzierała się do kościoła, a drugą niemiecką dla Tyrolczyków wojskowych podczas której śpiewali żołnierze niemieckie kolędy.

Rok 1915

Od dnia 1. I. 1915 r. Książęco-Biskupi Konsystorz Krakowski mianował administratorem opustoszałej parafii ks. Jana Skarbka, urodzonego w Paszyczynie powiat Ropczyce dnia 15 VI 1885 r., z ojca Kazimierza, matki Anny z Wilczyńskich. Ludową szkołę ukończył w Paszyczynie, w latach 1897-1905 uczył się w gimnazjum w Rzeszowie. Teologię ukończył w Krakowie, a 4 VII 1909 r. został wyświęcony na Wawelu na kapłana przez Najp. X. Biskupa Anatola Nowaka, sufr. krak. Po święceniach został wikarym w Jaworznie w powiecie chrzanowskim, i tam był nim pięć lat. Dnia 1 IX 1914 r. przydzielono go do Szczakowej na administratora. Od 1 I 1915 r. przeniesiono go do Pleszowa, gdzie przybył mając ze sobą pościel, brewiarz i bieliznę, bo reszty mebli przewieźć nie było można. Pusty był Pleszów. Ścięte drzewa leżały przy drodze, okna powybijane patrzyły bezmyślnymi ślepiami okazując pustkę, sady powalone, mury przy kościele połamane pod ciężarem upadających drzew. Do plebani dojść było można skakając z drzewa na drzewo leżące. Pustka była w plebani. Pełne piwnice wypróżniły się z węgla i ziemniaków, nawet blachę z kuchni zrabowano. A pokoje? Boże zmiłuj się! Okna powybijane, stopy zabrali na onuce żołnierze. Jeden z nich, jakiś Czech na rozkaz komendanta w styczniu 1915 r. przyszedł za jedną storę zapłacić. Wszystkie narzędzia kuchenne rozkradło wojsko, meble ks. prob. Wąsika, ustęp niemożliwie zapaskudzono. Cała plebania do stajni raczej stała się podobna. Pałac hr. Ponińskiego cuchnącą wylęgarnię przedstawiał. Wojsko nie szukało ustępu, tam lało, gdzie stało, tym paliło, co pod rękę weszło: stół, krzesło, łóżko itp. Byli to Madziarzy. Ks. Skarbek zajeżdżał przed kościół w Pleszowie. Powitał go zastępca kościelnego Kazimierz Ciesielski. Może 30 babek z Kujaw i Stryjowa przyszło na sumę w Nowy Rok. Reszta na tułaczce. Po sumie nie mając dokąd się udać z ks. Józefem Walczakiem poszedł do krewnych jego na Kujawy-Piekło, do Jana i Ewy Cyganów. Nowy rok był w piątek. Otóż przez piątek, sobotę i niedzielę do poniedziałku mieszkał tam ks. Skarbek. Chłopów dwóch przez dwa dni czyściło mu jeden pokój. Jakiś materac znaleźli na wieży ponad dzwonami i ten znieśli do owego pokoju. Na podłodze trzeba było spać. Na drugi dzień po przyjeździe był ks. Skarbek u Księcia Biskupa Sapiehy, aby go wziął z Pleszowa, bo tam nie ma nikogo w parafii, nadto nie ma co jeść, ni gdzie mieszkać. Lecz Książę Biskup polecił zostać, na pociechę dał 100 koron na kupno łóżka i 75 kg pięknej maki pszennej, aby było co jeść. Z początku kilku pozostałych mieszkańców przynosiło księdzu chleb. Znalazła się nawet jakaś służąca i ta zaczęła gotować. Trzeba było kupić jakichś prowiantów, a tu na bramie mogińskiej jak cerbery stali żołnierze i nic z twierdzy nie puszczali. Jedynie po niewielkiej ilości można było przemycić. Chłopi nie mieli przepustek tzw. „Passierscheinów” dla dostania się do twierdzy, zaś ci, co mieszkali w obrębie twierdzy musieli całymi dniami, a nieraz tygodniami prawie wystawać przed kancelarią wojskową aby otrzymać niebieską kartkę. Kilka kobiet z tutejszej parafii przeziębilo się przy tym i umarło jak np. Antonina z Godewców Partyłowa z Pleszowa, Franciszka Wójcikowa z Luboczy itp. Co chwilę wymyślali Austriacy jakiś nowy przepis lub zakaz na uciemnienie okolicznej ludności, jako też i miejskiej. Wszędzie po urzędach rozbrzmiewała szwabska plugawa mowa, a mówili nią tak rodowici Niemcy, jak Czesi i Żydzi, bo ci umieli się ukrywać (dekować) poza frontem, gdy tymczasem posłuszny i cierpliwy Polak szedł na rzeź (Kanonenfutter). Ukuto na tym ukrywaniu się poza frontem dowcip (Witz), że bomby z samolotów i orderzy trafiają w ludzi poza frontem i to zawsze w niewinnych (niezasłużonych). Na froncie ginął żołnierz, a orderzy brali inni za frontem. Usta trzeba było mieć bardzo silnie zakneblowane. Odezwać się gdzieś w miejscu publicznym, w kolei a nawet nieraz w prywatnym domu ujemnie o Austrii lub Prusach było niepodobieństwem. Groziło zaraz zamknięcie w Krakowie na „Montelupich” i kula w łeb. Ks. proboszcz Antoni Świętek z Górki Kościelnickiej, o którym wspominałem, że dostał najahem od Moskali, wrócił niedługo, może w dwa tygodnie po moim przyjeździe do Górki, i kiedy wobec niego i jakiegoś „zugsfuhrera” austriackiego skarżył się chłop, że nie może otrzymać przepustki do Krakowa, a Żydzi to zaraz dostają, a na to ks. Świętek rzekł: że to już taka „austriacka polityka”, za to na denuncjację owego „zugsfirera” zamknięto go na „Montelupich”. Dzięki temu, że sprawę jego prowadził sędzia – audytor Polak i do tego jego kolega szkolny, sprawę udało się umorzyć i po kilku dniach wypuszczono go na wolność. Dzisiaj w Austrii więcej znaczy słowo feldfebl niż nawet namiestnika Galicji. Żandarm jest panem sytuacji i choćby nie wiem ilu poważnych

panów czy księży jakąś sprawę potwierdziło, jeśli zaprzeczy ją jeden żandarm, jego strona więcej znaczy. A kradną też ci złodzieje wojskowi. Podobno pytano się marszałka pruskiego, czym jeszcze chciałby być na świecie – to jak głosi dowcip – miał powiedzieć, że chciałby być austriackim wachmistrzem rachunkowym (rozumie się, aby dojść do pieniędzy, jak oni). O walkach, o „sławetnych” zwycięstwach jednych wojsk nad drugimi nie będę pisał, bo to wszystko znajdują potomni w opisach wojennych. Opiszę to, co się mej parafii dotyczy. Parafianom moim obojętnym jest, kto tam zwycięży, byleby raz koniec był i by swoi do domu wrócili. Mówił cesarz pruski, że nim liście z drzew opadną, na Boże Narodzenie wrócą żołnierze w dom, a tu tymczasem już po Bożym Narodzeniu, a tutaj słysząc huk armat z nad Nidy i końca tej światowej zawieruchy nie widać.

20 stycznia

Dowiedzieli się parafianie, że ksiądz nowy przybył do parafii. Może ksiądz tam mieszkać, to i my możemy i powoli wracać. Chodziłem po kołędzie na Kujawach i w kilku domach w Pleszowie, gdzie byli mieszkańcy aby się poznać. Leżące drzewa koło kościoła kazałem obciąć z gałęzi i poukładać pod mur, oraz słomę leżącą pod kościołem od zachodniej strony, usunąć. Na słomie tej obozowało wojsko. Pojutrze w piątek odpust. Czy kto przybędzie?

22 stycznia

Odpust na św. Wincentego. Przybyli księża: z Ruszczy ks. Franciszek Kapusta, wikary, X. Prob. Antoni Świętek z Górki i tutejszy ksiądz rodak z Luboczy: ks. Józef Walczak. Ludzie na wiadomość, że odpust będzie w Pleszowie, przedarli się jak mogli, z twierdzy. Kościół zapełniony wiernymi z tutejszej parafii i rusieckiej. Znać ogromną tęsknicę u nich za domem i parafią, i widać radość, że ją jeszcze zobaczyli. Odpust udał się!

23 stycznia

Nie ma żadnej władzy w parafii, żadnego wójta. Znalazłem w śmieciach starą, mosiężną pieczęć tutejszej parafii, z napisem jeszcze dekanatu proszowskiego, tę kopcę nad świecą i przybijam parafianom na wszelkie dokumenta, czy to należą w zakres mej władzy, lub nie, a władze jakoś to przyjmują ku zadowoleniu mojemu i moich parafian. Nowsze metryki, pieczęci, dokumenta oraz dywany, ołtarz św. Anny schował ks. Józef Walczak do grobowca Kirchmayerów, leżącego pod płytą kamienną na środku kościoła. Ks. Skarbek po przyjeździe znalazł wszystkie starsze dokumenty i księgi porozrzucane po podłodze w kancelarii parafialnej. Zebrał to, co znalazł i wywiózł dawniejsze: na przechowanie do archiwum miejskiego w Krakowie, nowsze dał na przechowanie XX. Kapucynom w Krakowie. Ks. Józef Walczak wyjechał na zastępstwo do Czulic, skąd ks. proboszcz Bielski przepędzony przez Moskali wyjechał do Pragi czeskiej.

W niedzielę i święta o g. 7 rano śpiewają parafianie godzinki do Matki Boskiej, tymczasem ksiądz przed sumą spowiada, sumę odprawia o g. 9 rano (tylko jeszcze msza św.). Na pierwszą mszę św. wielu chodzi podobno w czasach pokojowych do Cystersów w Mogile. Obecnie ani przy parafii ani w klasztorze nie ma tam żadnego księdza. Miejscowy tamtejszy proboszcz i dziekan X. Prałat Wojciech Siedlecki przyjedzie z Krakowa w święta. Cystersom wojsko zajęło klasztor i niszczy „dokumentnie”. Tylko w drodze łaski pozwalają X. Gerardowi Kowalskiemu zaglądnąć do klasztoru. Bieda duża – X. Kowalski dał mi kilka flaszek wina mszalnego. Od 25 I 1915 r. do twierdzy mają tylko ci wstęp, którzy mają przepustkę, a nadto fotografię lub opis osoby potwierdzonej przez wójta, żandarmerię i Starostwo. Dla otrzymania zasiłku wojennego za pobranych do wojska rodziny muszą mieć wyciągi metrykalne. Urwanie głowy ma z tym proboszcz, a dochodów z tego nie, bo jak brać od takich, których wojna zniszczyła, a tu sam człowiek dziadować musi, bo jeść nie tylko nie ma co, ale i kupić trudno.

Marzec

Coraz więcej parafian wraca do domu, w Luboczy przynajmniej część ludności wróciło, do Grębałowa nie wolno im wrócić, bo miejsce po zburzonej wsi leży na forcie. W Luboczy ci, co nie zastali domów, stawiają rodzaj chlewików i w nich mieszkają. Jedna chałupa na początku wsi od strony Wadowa spaliła się od kuli armatniej rosyjskiej, w Krzesławicach druga (jeszcze w listopadzie 1914 r.). Do Krzesławic po wielkich staraniach podobno ludność na Wielką noc ma powrócić.

Właścicielem dworu w Pleszowie o obszarze blisko 800 mórg jest hr. Ludwik Poniński herbu Łódzia. Służy obecnie jako porucznik (Oberleutnant) w wojsku austriackim, jego siostra wstąpiła do Szarytek i pielęgnuje uchodźców polskich w Choceniu w Czechach. Młodszy brat jego Edmund mieszka przy matce w Krakowie na Basztowej ulicy. Pełnomocnik hr. Ponińskiego, Andrzej Maryan Kochanowski herbu Korwin wrócił do Pleszowa w lutym, a zarządcą J. Doboszyński w styczniu.

Wieś Lubocza. Dwór własnością Panien Zwierzynieckich, Norbertanek. Dzierżawca p. Jan Grzymek, właściciel

nadto Głębokiej koło Kocmyrzowa, obecnie przy wojsku austr. porucznikiem. Teściowa jego p. Szafrńska i żona prowadzą gospodarstwo całkiem zrujnowane. Ocalały tylko w Luboczy przy dworze stajnie, stodoły nie istnieją, dom mieszkalny podobnie jak plebania poniszczony, a nadto uderzył weń granat rosyjski i wybił w piętaku wielką dziurę w murze. W Grębałowie dwór kapitulny nie istnieje. Dzierżawca p. Cieślewiec, prezes towarzystwa rolniczego w Krakowie. Krzesławice, ongiś własność Miechowitów, później Kirchmayerów, jakiś czas Matejki malarza – obecnie jest własnością P.P. Teodora i Emilii z Mogiłańskich Cybulskich, staruszków blisko 76 letnich. Bardzo zacni oboje. On niegdyś po 1863 r. jako powstaniec ranny za babę wiejską przebrany uciekł do Pleszowa. Tutaj został zarządcą u Kirchmayerów, później wziął sobie dzierżawę, wreszcie kupił z długami Krzesławice.

28 marca

Krzesławianie odbywają spowiedź wielkanocną w Mogile u fary i u XX. Cystersów, gdyż dla braku przepustek nie mogą się dostać do kościoła w Pleszowie. Umarłych chowają na cmentarzu mogiłskim.

29 marca

Spowiadałem wraz z innymi księżmi we farze w Mogile parafian mogiłskich i moich Krzesławian (był to wielki wtorek). Kazałem wyjąć z grobowca książki parafialne, ołtarz i dywany. Jeden dywan nadgnił, ołtarz św. Anny cały pokrył się grubą pleśnią jakby kożuchem. Dopiero na słońcu wysuszony dał się otrzeć nie tracąc pozłótki. Od XX. Kapucynów przywieziono przechowane książki i akta.

3 kwietnia

Wielka sobota. Pierwszy raz pojechałem do Krzesławic, by poświęcić dary Boże. Od Mogiły, Wandy ku Grębałowowi i dalej wokół pełno przy drodze stoi armat, przygotowanych na wypadek oblężenia. Krzesławianie radowali się bardzo, że mogli sobie poświęcić u siebie dary Boże.

10 kwietnia

Jest szkół w parafii pleszowskiej trzy. W Pleszowie, w Krzesławicach i w Luboczy (dla Luboczy i Grębałowa). Krzesławianie na budowę szkoły złożyli pieniądze, lecz wojna przeszkodziła im w budowie. Pan Teodor Cybulski, dziedzic Krzesławic, dał bezpłatnie kawał ogrodu swego pod szkołę przed wojną, lecz wojna przeszkodziła w budowie. Dawniej dzieci z Krzesławic chodziły do szkoły w Bieńczycach lecz ks. Prob. Wąsik wystarał się, że Krzesławice wyłączono ze związku szkolnego w Bieńczycach i uczono najpierw w budynku dworskim w Krzesławicach, a potem w domu kowala tzw. „Kuźni” w środku wsi. Nauczycielem stałym jest tam p. Dominik Madej, syn kierownika szkoły niegdyś w Balicach pod Krakowem, chrzestnik tamtejszego Księcia Dominika Radziwiłła. Nauki nie ma w Krzesławicach, nauczyciel przy wojsku, a ludność dopiero powróciła w swe progi.

W Luboczy na początku wsi od strony Wadowa stoi piękny budynek szkolny, murowany, o dwóch salach naukowych, mieszkanie o 3 ubikacjach i komórką dla nauczyciela, oraz pokoikiem dla drugiego nauczyciela. Teraz ta szkoła strasznie poniszczona, bez drzwi i okien, piece potłuczone, stodołka zniwelowana. Nauczyciel p. J. Maciaszek musiał wyjechać. W takiej szkole ani mowy, by można rozpocząć naukę. W Pleszowie na miejsce pani Zagórzańskiej, siostry ks. Prałata i dziekana Siedleckiego z Mogiły, dotychczasowej kierowniczką tutejszej szkoły, obecnie spensjonowanej, został mianowany p. Wojciech Zawada, przedtem kierownik szkoły w Olszanic pod Krakowem. Tuż po Wielkanocy przyjechał z rodziną do Pleszowa. Szkoła niemożliwie poniszczona, okien pełno brak, świadectwa i akta szkolne oraz przyrządy poniszczyło wojsko, tutaj stacjonowane. Dało się ono także i wszystkim domom we znaki, a także bardzo domowi gminnemu wśród wsi, dawnej karczmie zajezdnej, którą hr. Poniński, za tanie pieniądze sprzedał gminie dzięki staraniom wójta pleszowskiego Piotra Gajocha.

14 kwietnia

Rozpoczęła się nauka w szkole pleszowskiej, po częściowym uporządkowaniu szkoły. Wszystkie szkoły podlegają tzw. Radom szkolnym miejscowym, do Rady tej należą z urzędu: proboszcz, przedstawiciel dworu i dwóch przedstawicieli gminy, którzy z pomiędzy siebie wybierają przewodniczącego i zastępcę. Do tejże rady należy także nauczyciel kierujący szkołą. Przewodniczącym takiej Rady w Luboczy i Pleszowie jest ks. Jan Skarbek. Na jego głowę spadło staranie się u władz o odnowienie i uruchomienie nauki w tych szkołach, a także i w Krzesławicach, bo tutejszy przewodniczący p. Teodor Cybulski jako starowina nie może dla wieku takich ponosić kłopotów.

17, 18 i 19 maja

Ks. Jan Skarbek zdał egzamin na proboszcza tzw. konkurs przed komisją prosynodalną w Konsystorzu.

19 czerwca

Pierwszy raz przepuściła komenda wojskowa pogrzeb z Krzesławic do Pleszowa i nadal pozwala.

30 sierpnia

Sparaliżowany Ks. Prob. Wąsik powrócił od swej matki z Polanki Wielkiej pod Oświęcimiem do Pleszowa i zamieszkał na plebani w pokoju południowo wschodnim. W sierpniu też gospodarze: Stanisław Rosiewicz z Pleszowa i Walenty Gajoch z Kujaw – Kępy przywieźli rzeczy ks. Adm. Skarbka z Jaworzna do Pleszowa.

Wrzesień

Dwie zakonnice: przełożona W.M. Helena Chłapowska, wnuczka jenerała sławnego, i prowizorka M. Jadwiga baronówna de Grimmenstein – Niemka, wynajęły pałac hr. Ponińskiego w Pleszowie dla zakonnice „du Lane Coeur” ze Zbylitowskiej Góry pod Tarnowem. Tam bowiem morderze austriackie roztrząsały im zakład, ewakuowane szukały schronienia w Pleszowie, przedtem jednak w Wiedniu. W pierwszych dniach października sprowadził się cały zakład do Pleszowa. Jego prowizorką była wielce wpływowa osoba u sfer dworskich austriackich i niemieckich, lecz tu przebywała w Zbylitowskiej Górze, zajęta restauracją zakładu, zakrystianką była M. Skórzewska, odźwierną M. Barbara Rzewuska, były też Francuzki i Polki. Zwłaszcza Francuzki z radością wracały z Niemiec, bo tam nie mogły wytrzymać prześladowań od Niemców. Ogółem było 7 Francuzek zakonnic. Urządziły tutaj pensjonat dla panien z arystokracji. Spowiednikiem zakonnic przez Księcia Biskupa Sapiechę został mianowany miejscowy administrator ks. Jan Skarbek, był on także spowiednikiem i katechetą panien. W kaplicy zakonnic urządzonej w wielkim salonie na parterze, odprawiali codziennie mszę św. XX. Cystersi z Mogiły, a raczej zwyczajnie X. Benedykt Wach. Osób cały zakład liczył około 60.

24 października

Sekretarz Rady powiatowej proponuje założenie sklepu udziałowego w Pleszowie.

10 listopada

U ludności można zauważyć chęć zbierania i chowania złotych i srebrnych pieniędzy.

12 listopada

Komenda Krakowska pozwala po długim milczeniu dzwonów pierwszy raz po ustąpieniu Rosjan dzwonić, bo dotąd obawiano się, że dzwonnicy dadzą sygnały nieprzyjaciółom. Wszędzie „mądrzy” oficerzy austriaccy widzą szpiegów, by pokryć swoje błędy wojenne.

Nauki religii dla dzieci z Luboczy udziela ks. Skarbek w tamtejszej kaplicy, ponieważ szkoła poniszczona.

11 grudnia

Staraniem ks. Jana Skarbka w domu gminnym w środku wsi, który dwór pleszowski sprzedał bardzo tanio tutejszej gminie, otwarto sklep towarów dla Pleszowa i Luboczy, bo parafianie z tej strony twierdzy nie mogli nic kupić, a warta w bramie nie pozwalała nic z Twierdzy wynieść.

Rok 1916

Ks. Jan Skarbek wnosi do Księżyco-Biskupiego Konsystorza podanie o założenie przy kościele paraf. W Pleszowie sodalicy „Dzieci Maryi” dziewcząt.

Rada szkolna okręgowa przysłała na ręce przewodniczącego rady szkolnej miejsc. Lubockiej ks. Jana Skarbka 700 koron na częściowe odrestaurowanie szkoły. Za to jedną klasę i mieszkanie kierownika częściowo odrestaurowano tak, że nauka mogła się chociaż w jednej sali odbywać.

22 marca

Ks. Dziekan i podkomorzy J. Św. Wojciech Siedlecki dokonał poświęcenia nowego cmentarza, na roli ofiarowanej przez właściciela Pleszowa p. hr. Ludwika Ponińskiego przy licznych udziałach parafian, szkoły miejscowej w asystencji ks. Jana Skarbka, admin. parafii pleszowskiej.

Grębałowianie zaczynają powoli wracać do domu, a raczej do miejsc, gdzie stały ich domy. Chociaż wojsko nie pozwala, mimo to stawiają sobie lepianki z ziemi, rodzaj chlewików, piwnic i tam mieszkają.

Księżyco-Biskupi Konsystorz eryguje w Pleszowie sodalicję „Dzieci Maryi” dziewcząt pod wezwaniem MB. Narodzenia i błog. Bronisławy i mianuje ks. administratora względami każdorazowego proboszcza moderatorem tejże. Restrykt z dnia 10 III 1916, L.1563 oprawiony zawieszono w zakrystii, jako też dekret agregacji do solidalicy Primae primarie w Rzymie.

Z początkiem lipca Najpszew. Książe Biskup Adam Sapieha odwiedził ks. Jana Skarbka, chcąc przy tem namówić chorego ks. Proboszcza Fr. Wąsika do dobrowolnej rezygnacji z probostwa. Lecz z powodu, że chory nie umiał mówić, nie mógł się z nim porozumieć. Towarzyszył Księżu Biskupowi Jego sekretarz J. Niemczyński,

kolega Ks. Skarbka. Przybyli tutaj samochodem. Równocześnie Książe Biskup z plebani poszedł do pałacu dworskiego odwiedzić zakład „du Larie Coeur”. (...) W sierpniu, dnia 26-go zakonnic „du Larie Coeur” wyjechały do swej rezydencji w Zbylitowskiej Górze.(...)

Październik

Miechy u organów naprawił organista z Krakowa Stanisław Żebrowski, także nastroił je. Za to zapłaciłem ze składek parafian 300 koron.

17 grudnia

Obecnie w „Austrii” nie kupi chleba ani nie sprzeda (jak z Apokalipsy!) kto nie ma kartki. Imieniem tzw. Komisji aprowizacyjnej, do której należy proboszcz, dziedzic, nauczyciel i 3 przedstawiciele gminy przez kilka miesięcy tzw. kartki chlebowe i mączne wydawał dla bezrolnych ks. admin. Jan Skarbek. Ponieważ trzeba to było czynić co dwa tygodnie, od 17 XII rzekł się ks. Skarbek tej honorowej godności na rzecz miejscowego kierownika szkoły Wojciecha Zawady.(...)

Roku ubiegłego urodziło się w naszej parafii 63 dzieci tj. mniej o 24 niż poprzedniego roku, zmarły 62 osoby. Zaopatrzyłem ostatnim Sakramentem 46 osób, jedna kobieta umarła bez zaopatrzenia przez niedbalstwo rodziny. Zapowiedzi głosiłem 12, z tego zawarto 11 małżeństw. Do Komunii św. W r. 1916 przystąpiło 8630 osób.

Rok 1917

Ludność tutejszej parafii już dość ma całej wojny. Wszyscy dopytują się, kiedy nareszcie koniec nadejdzie, a końca nie widać. Jest ruskie przysłowie „W Łucku nie po ludzku, naokoło bida...”, tak samo i teraz na świecie nie po ludzku, nie tylko w Łucku, naokoło patrzeć nic nie widzisz, tylko idącą biedę, nędzę i głód. Boże zmiłuj się nad nami! Daj pokój, którego świat dać nie może! Grębałowianie po większej części powrócili już – prócz kilku, mieszkają w piwnicach, lepiankach i prowizorycznych budach. Delegat inżynierii austriackiej ciągle jeździ, mierzy i liczy, a biednej ludności, ani za zniszczone celowo domy nic nie płaci, ani im postawić nie chcą, a tu pieniądź coraz więcej traci na wartości, tak, że cena szacunkowa budynków nie starczy na przycisie. Ja sam robię starania o odszkodowanie za wycięty sad, płoty, mury, ale trudno coś wydrzeć z łap austriackich. Austria i Niemcy nie mają powodzenia, a zamiast u siebie szukać winy, na Polaków winę poczynają zwać mówiąc: „Polacy – zdrajcy stanu!”, mimo, że ci potulni siedzą i dlatego od swych ciemniejszych nic uzyskać nie mogą.

Styczeń

Ogłosiłem składkę na srebrną monstrancję – jako pamiątkę wielkiej obecnej wojny. Parafianie chętnie dają datki. Nie mogę się na nich skarżyć, bo mi są bardzo życzliwi. Podśledzałem, jak mówili: „Na naszego księdza gniewać się nie można, bo on jak trzeba, to podrapie, ale potem pogłaszcze aby nie bolało”. „Domine! da mihi animas caetera tolle! (Panie! Daj mi duszę, resztę zabierz!)

Sodaliski „Dzieci Maryi” pięknie się trzymają. Chłopaki, choćby chcieli, nie mają się z kim po nocach włóczyć. W Luboczu np. wszystkie dziewczęta prócz trzech należą do sodalicji, a z tych trzech nie należących dwie miały nieślubne dzieci. Kiedy jedna z nich szukała drużyny na niedoszłe wesele, żadna się tego nie podjęła – twierdząc słusznie, że może tylko uczciwej dziewczynie – koleżance być za drużnę. Owa niedoszła mężatka z cioteczynem bratem „pasła psy”, dla usunięcia zgorszenia otrzymała dyspensę, lecz jej bogdanek w dzień otrzymania dyspensy położył się do łóżka i umarł na suchoty. Umarł jak prawdziwy pokutnik. Dziwne są sądy Boże!

Na wiosnę ks. Skarbek kandydował na pewne probostwo w górach, lecz parafianie tutejsi trzy razy byli w Konstanzu, aby tutaj pozostał i na tym stanęło.

1 sierpnia

Zboża nie można dostać za pieniądze. Rząd karze tak tego, który kupuje, jak i tego, który sprzedaje bez pozwolenia rządu, a równocześnie rząd zabiera zboże, które urzędnicy wojskowi gdzieś sprzedają w złodziejski sposób, a ludność przymiera głodem. Dzisiaj otrzymałem list anonimowy, w którym grożą mej parafii spaleniem, jeśli gospodarze nie zechcą sprzedać zboża.

2 sierpnia

W Mogile ktoś o godz. 7 rano wysadził prochownię w powietrze. Olbrzymi słup wzbil się ku niebu. W kościele pleszowskim od strony zachodniej wyrwało okna i rzuciło na przeciwną ścianę wewnątrz kościoła. W Bochni okna powybijało, jak mi później opowiadano i pisano w dziennikach. Przerazenie ludności nie do opisania. Na szczęście cały wybuch skierował się ku Wiśle między Czyżynami a Mogilą. Około 50 żołnierzy przy tej prochowni zginęło. Zbierali później z nich kawałki po polach.

1 października

Wojsko nie chce płacić za szkody wyrządzone przez wybuch prochowni. Parafianie składają pieniądze na zakup 3 okien do kościoła pleszowskiego.

19 i 20 października

Wstawiono okna żelazne w kościele i oszklono.

Dotąd (do jesieni 1917 r.) administratorem parafii tylko był ks. Skarbek. Probostwem zarządzał w imieniu ks. Wąsika ks. dziekan z Mogiły Wojciech Siedlecki.(...)

Może więcej niż po 30 latach dzierżawy pola plebańskiego przez dwór, odbiera ks. Skarbek na razie 7 móg i zaczyna gospodarzyć na siebie. Opowiadali mi parafianie wiarygodni, że po śmierci śp. Ks. Stan. Stępińskiego właściciel tutejszego dworu Atteslander zabrał konie plebańskie, wozy, narzędzia rolnicze, i to gdzie przepadło. Nie miał się kto upomnieć, a ja dzisiaj za każdą rzecz muszę płacić tysiące, a nie ma ich skąd wziąć.(...) Służąca pozostawiła na Dąbiu u siostry jedną krowę jałówkę i tę mi przyprowadzono. Lecz krowa cos po dwóch miesiącach przy ocieceniu zdechła

Organista tutejszy p. Jacek Bigaj wskutek starości zaniemógł – liczy bowiem przeszło 80 lat, był tutaj organistą przeszło 50 lat. W październiku i listopadzie kleryk salezjański go zastępował. Z końcem listopada komitet kościelny uchwalił pensję organistę p. Bigajowi i mieszkanie, a od 1 XII 1917 ks. Skarbek przyjął za organistę p. Jana Rachtana, urodzonego w tzw. Kolonii w Wawrzeńcach w Kongresówce.

Wojsko za sygnaturkę kościelną i cmentarną ważące razem 20 kg zapłaciło 80 koron! Nie zwycięży Austria i Niemcy, bo nie będą mieli czym dzwonić na „Te Deum”. A propos rekwizycji dzwonów: opowiadał mi tutejszy rodak ks. Walczak, że Moskałe cofający się zabrali z kościoła w Radziechowie za Lwowem dzwony z kościoła polskiego. Wówczas Rusini cieszyli się i mówili obskurnie: „Teper (teraz) budutj Polaky ja.... zwonytj!” Uderzył piorun w ich cerkiew później, spalił, dzwony się stopiły i oni musieli to samo za karę czynić. Nie mów hop – aż nie przeskoczysz. Na wszystkich rekwizycjach kościelnych przekleństwo Boskie spoczywa. Donoszą dzienniki, że ktoś coś 120 milionów zarobił na tym, że przetapiając dzwony niby na armaty, wyrabiał z nich kwas pruski, potrzebny do wyrobu wina. Doszło do tego, że wprost do kancelarii cesarskiej w Wiedniu arcybiskup ołomuński Huyn protest musiał wnieść przeciw podobnym łajdactwom.

Rok 1918

Rosja rozpadła się, Austria trzeszczy w posadach, z Niemcami krucho. Bóg łaskaw zdaje się na biedną, poniszczoną Polskę. Być może, że wszyscy trzej nasi rozbiornicy – przyjaciele dostaną po skórce. Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy.(...)

Z początkiem marca umiera ks. Jan Puchała, proboszcz w Ruszyc, dawniejszy proboszcz pleszowski licząc około 73 lat życia. Pogrzeb miał wspaniały.(...)

Jesienią ubiegłego roku wziął ks. Skarbek łakę i połowę pola ornego plebańskiego, w dzierżawę puszczonego dotąd dworowi od czasów jeszcze ks. Stan. Stępińskiego plebana pleszowskiego. Do gospodarowania na własną rękę zmusiła go niemożność utrzymania siebie i domu.(...) Nie mając konia ani narzędzi poprosił o pomoc gospodarzy. Na tę prośbę od razu 12 wyjechało w pole w jeden dzień, 10 z Pleszowa a 2 nawet z Luboczu i obrobili zupełnie bezinteresownie pole, a na zasiew pożyczili zboże. Jeszcze trochę na wiosnę było do obrobienia – to wtedy darmo pomogli. W ogóle parafianie jak i dwory są dla Kościoła i probostwa w Pleszowie bardzo życzliwi. Bogu dziękuję, że mnie wśród nich umieścił.(...)

Lipiec

(...) Wśród ludności znać coraz bardziej ducha niespokojnego, wojsko niezadowolone wnosi ducha rewolucji. Socjalizm jak hydra zdeptana – podnosi głowę. Przedtem jeden diabeł: militarizm rządził ludźmi, obecnie drugi: czerwona międzynarodówka socjalistyczna – wcielony Antychryst tych czasów wyciąga łapy, by zapanować nad światem. Ludziom, co w czasie wojny nauczyli się „rekwirować”, pachnie rabunek. Aby odwrócić uwagę od głodu, skutki wojny i blokady przez Koalicję, ktoś od czasu do czasu puszcza wieści, że temu winni (...).

Przychodzący do kościoła parafianie w święta często przyparci naturalną potrzebą załatwiają tę sprawę pod płotem szkolnym przy kościele. Chciał ich od tego odzwyczaić tutejszy kierownik szkoły. Ponieważ dla swej porywczowości jest bardzo nie lubiany, chłopcy na złość mu to często robią „mingentes ad saepem”. We Wniebowstąpieniu po sumie (12 V 1918) przyszło do ogromnej awantury z tego powodu pod kościołem. W tłumie chłopców p. kierownik rozgniewany na jednego, który chciał „naturalia brenta” załatwić, uderzył go. Ów oddał,

zaczęła się bitka i byliby rozniewani chłopci ubili nauczyciela, gdyby go nie wybronił ks. Skarbek, przed którym chłopci uciekli. Miał słuszność kierownik szkoły upominając się, by mu ogrodu nie plugawili, tylko nieopatrznie postąpił z tłumem zaczynając. Rolnik z Luboczy, z którym zaszła ta awantura, przyszedł później do ks. Skarbka i za jego pośrednictwem obaj polubownie załatwili sprawę.

2 września

Najp. Książe Biskup Sapieha w swej kaplicy pałacowej w godzinach popołudniowych instytuował ks. Jana Skarbka na probostwo w Pleszowie (kanonicznie).

Nowa choroba tzw. „Hiszpanka” poczyną się szerzyć w mej parafii. Zaczęła najpierw grasować w Krzesławicach dokąd przyniesiono ją z parafii raciborskiej. Lekarze często tę chorobę biorą za tyfus plamisty.(...) Wielu umarłych po śmierci czernieje jak zadżumieni, na bokach koło płuc powstają guzy czarne. Księża w okolicy zaopatrując chorych pozarządzali się i chorują, a wielu umiera. Dnia 2 września 1918 r. dowiaduję się, po instytucji mej kanonicznej w Krakowie, że ks. Ludwik Płonka, proboszcz raciborski, którego prosiłem na moją instalację i odpust parafialny z kazaniem na dzień 8 września br. leży na hiszpankę bezнадziejnie chory. Dnia 3 września przynoszą mi wieść, że, że ks. Płonka, ulubieniec swej parafii i sąsiednich, ozdoba kleru, śpiewak znakomity, jeszcze lepszy kaznodzieja ludowy, człowiek tryskający humorem, przy tym kapłan według serca Bożego – umarł na hiszpankę.(...) Niepowetowaną szkodę uczyniła niemiłosierna śmierć zabierając go do Boga. Utraciłem przyjaciela najlepszego.

4 września

Czuję się jakimś słabym od kilku dni, być może, że hiszpanka do mnie się bierze.(...) Czasy są tak podłe i ciężkie, że lepiej umrzeć. Nie wiadomo, czy za czasów Antychrysta będzie większy ucisk, niż dzisiaj.

8 września

Odpust w Pleszowie i instalacja na proboszcza ks. Jana Skarbka. Instalacji dokonał ks. prałat dziekan z Mogiły Wojciech Siedlecki. Na instalację przybyło 24 księży.

9 września

Ks. Jan Skarbek zachorował na hiszpankę. Zaczęła się potami, łamaniem w kościach, ogólnym osłabieniem. Na szczęście nie przyszedł krwotok jak to się zdarza u wielu podobnie chorych.

10 września

Ks. Skarbek odprawił jeszcze mszę św., ale dzień później już musiał zostać w łóżku. Tego też dnia przybył do Pleszowa Najszczęśliwszy Książe Biskup Adam Sapieha samochodem wraz z nuncjuszem papieskim Monsign. Rattim. X. Nuncjusz zatrzymał się w samochodzie – za radą Księcia Biskupa, a Książe Biskup sam odwiedził ks. Skarbka, nie obawiając się zarażenia chorobą. Byli też w Ruszycz, a następnie w Mogile.

12 września

Pogorszyło się tak ks. Skarbkowi, że już był gotów na śmierć. Na szczęście pomogło lekarstwo zapisane przez Dra Buzdygana z Krakowa, bezsenność ustępowała, gorączka zniżyła się nieco niżej 40 st. C. Żle było, bo przyszedł katar oskrzeli płucnych i czerwotka.(...) Po trzech tygodniach ledwo powłóczę nogami chory wstał.

13 września

Zmarł organista pleszowski Jacek Bigaj. Za młodu podobno był braciszkiem u Bernardynów w Kalwarii, tam nauczył się grać nieco na organach i jako organista przyjeżdżał do Pleszowa, był tutaj organistą przeszło 50 lat. Jakim był dawniej – nie wiem. Dla mnie był najuczciwszym człowiekiem, życzliwym, trzeźwym. Granie nie szło mu już dobrze, ani śpiew, bo liczył już przeszło 80 lat, niedowidział i niedosłyszał. Córka jedna narobiła mu przykrości, a także i wnuczka, a ta ostatnia jeszcze tym więcej, że ukradła korale z ołtarza cudownego M. Boskiej pleszowskiej, lecz je na szczęście znaleziono na strychu w organistównie i odebrano. Tłumaczyła się tym, że chciała pójść za mąż, a nie mając posagu, ukradła na posag korale. Na te korale było więcej amatorów. Jakiś złodziej ze Zwierzynca ukradł je, odebrano je na szczęście, lecz brylanty od nich, które ofiarowała p. Hutten – Czapska-Osiecimska, żona właściciela Pleszowa, już nie wróciły, złodziej zdołał je gdzieś zaprzepaścić. Tłumaczył się, że je wrzucił do wody, czy do kanału. Zacząłem proboszczowanie od samych nieszczęść, może później będzie jakoś lepiej.

15 września

Parafianie pleszowscy ze sztandarami i feretronami w uroczystej procesji poszli do klasztoru w Mogile, aby podziękować cudownemu P. Jezusowi za szczęśliwe ocalenie w czasie oblężenia Krakowa.

17 października

Napisałem do Starostwa prośbę, by zamknęło szynki w Luboczy i Krzesławicach, gdzie młodzież i starsi rozpijają się i demoralizują. Tam wykupują zboże ukradzione przez synalków rodzicom i tracą na tytoń i wódkę. Prośby Starostwo Krakowskie wysłuchało i zamknęło budy pijackie.(...)

28 października

Tworzy się w Krakowie tymczasowa Komisja Rządząca. Garstka żołnierzy rozbraja wojska austriackie, obejmuje w zarząd Małopolskę. Radość w mieście nie do opisanie. Wszyscy w Krakowie wystają po ulicach, czekając zewsząd nowych wieści, a one idą co dnia coraz to nowsze. Jak fala od środka ku brzegom, tak odbywa się wyzwolenie Polski – od środka ku kresom. Na wsi jakaś taka głupia i głucha nastała cisza, niepewność jutra, bojaźń przed jakąś rewolucją, czuć próżnię, brak wszelkiej silnej władzy. W Pleszowie jeńcy rosyjscy pracujący we dworze, na wieść o rewolucji, uciekli do Rosji, żołnierze również zajęci przy polowych pracach na dworskich polach, uciekli do domu, zadowoleni, że raz przecież skończyła się przekłeta wojna.

3 listopada

W niedzielę zapowiedziałem zebranie mężczyzn z Pleszowa dla ustanowienia straży obywatelskiej, bo napadli i obrabowali kilka domów w parafii. Przybył po niesporach p. Włodzimierz Przerwa-Tetmajer, b.poseł ziemi krakowskiej do parlamentu austriackiego, obecnie członek Tymczasowej Komisji rządzącej – samochodem i tutaj na zebraniu w szkole przedstawił obecnym stan sprawy politycznej i odebrał ślubowanie od Piotra Gajocha, ślubowanie jako wójta dla pierwszego Rządu polskiego. Stąd pojechał do sąsiednich gmin.

11 listopada

Odprowadziłem w kościele parafialnym pleszowskim nabożeństwo na podziękowanie Bogu za uwolnienie ojczyzny z przeszło stuletniej niewoli, w którym wzięły udział dzieci szkół w parafii i parafianie. Pięknie brzmiała w kościele pieśń po mszy św. „Boże coś Polskę... Ojczyznę wolną pobłogosław Panie!”

W okolicach jakaś tajna ręka podjudza ludzi, by rżnęli (...) i rabowali ich, twierdząc, że potem przyjdzie kolej na księży i panów. Bolszewicy rosyjscy radzi by nad całym światem zaprowadzić szatańską dyktaturę proletariatu. Dochodzą wieści o zrabowaniu (...) we Wieliczce, Niepołomicach, Brzesku, przy czym i niejednemu katolikowi także się dostało. (...) – bolszewicy potajemnie organizują rabunki, by Polskę poniżyć wobec świata, bo nie mogą przeboleć upadku raju (...) – Austrii i Prus.

Na dzień 7 grudnia zapowiedziałem spowiedź gremialną dla tych, co powrócili z wojny. Do pomocy poprosiłem ks. Salezjanina na popołudnie.

8 grudnia

O g. 9 ½ rano zebrali się b. Żołnierze pod krzyżem we wsi, gdzie wychodzi droga od Luboczy i tutaj wyszedł po nich w procesji ks. Skarbek i wprowadził uroczyste do kościoła. Spowiedź i nabożeństwo wraz z kazaniem bardzo podziałały na zdziwionych w wojnie parafian, ku ogólnemu tutejszemu zadowoleniu. Kilku wprawdzie niepoprawnych znalazło się, ale ziemię niestety nie sami święci zamieszkują. Wśród ziarna i plewy się trafia.

19 grudnia

Poleciłem wykopać ukryty dzwon. Znajdował się zakopany na polach Wojciecha Bańdura, największego kmiecia pleszowskiego, mniej więcej prosto na północ od dzisiejszej plebani blisko granic Luboczy. Chłopi kilka godzin szukali go w ziemi kłując szpikulcami zanim go znaleźli i włożyli na furę Bańdurową. Następnie z parafianami w procesji przywieźli go pod kościół. Na polu chłopci na kilku drągach unieśli dzwon, zadzwonili w niego i w ten sposób zwołali parafian. Z ziemi wyszedł dzwon wyczyszczony i odświeżony.

20 grudnia

Sprowadzono kran i robotnika fachowego i wciągnięto dzwon na wieżę. Pierwszy raz dzwonił na parafian 22 grudnia. (...)

Parafianie mimo wrogich agitacji są ofiarni dla kościoła jak i dla proboszcza. Przyjechali do Pleszowa agitatorki z Wyciąż, ale na wiec zaprosili parafianie ks. Skarbka, i wobec niego nie śmieli pyskować. Odjechali z kwitkiem mówiąc, że Pleszowianie wierzą w swojego proboszcza jak w Pana Boga.

Rok 1919

13 lipca

Miedzy chłopakami z Luboczy a z Pleszowa panuje durna nienawiść. Dwa razy na weselu w Pleszowie pobili Luboczanie syna wójtowego z Pleszowa: Józefa Gajocha, ten im odpłacił później. Następnie pleszowscy chłopcy

Rok 1922

21 sierpnia

Na prośbę parafian pojechał ks. Skarbek z pielgrzymką do Częstochowy. Przeszło 300 ludzi było na tej pielgrzymce. (...) Stroje narodowe tutejszych parafian zrobiły wielkie wrażenie na mieszkańcach Częstochowy.

Rok 1923

W lutym kupiono chorągiew zieloną dla sodalicii matek. Z jednej strony na niej jest obraz św. Anny a z drugiej obraz M. Boskiej Częstochowskiej.

6 maja

Odbyło się przyjęcie dziewcząt do sodalicii.

31 maja

Boże Ciało – procesja wypadła wspaniale. Kilku księży z Krakowa wzięło w niej udział. Strój krakowski na tle zieleni wiosennej odbijał wspaniale.

15 sierpnia

Żniwa tego roku dobrze wypadły. Pogoda dopisała, Bogu dzięki chleba nie zabraknie. W Luboczy ma z dzierżawy dworu ustąpić dotychczasowy dzierżawca. Ludność tak biedna a i bogata też chce wziąć na siebie dzierżawę, stąd chodzenie do zakonnic na Zwierzyniec, by dały w dzierżawę, chociaż gadacze – politycy chcą tu więcej zarobić, a nie dopuścić biedniejszych do dzierżawy. Z powodu dzielenia gruntów przy spadkach i gęstości zaludnienia wyrobił się głód ziemi i zawiść wobec bogatszych. Biedni chłopcy są wobec nich gorzej usposobieni niż wobec panów na dworach, bo bogaci chłopcy są nieraz bardzo zachłanni, jednak nie wszyscy. Są niektóre rody chłopskie pieniackie, które o byle głupstwo, o skrawek miedzy, toczą latami procesy.

17 listopada

Stowarzyszenie młodzieży odbyło spowiedź wspólną, a 18 bm. (niedziela) przystąpili do komunii św. Prócz sodalicii dziewcząt, do której należy 197 członkiń, a z których dotąd wstąpiło do klasztoru Najśw. Serca P. Jezusa – 12, a do Szarytek – 1 w ciągu 5 lat, istnieje sodalicja matek licząca około 100 osób, stowarzyszenie chłopców mające przeszło 55 członków w Pleszowie, w Luboczy 42, w Krzesławicach 32. W Pleszowie w domu gminnym mają chłopcy salę przedstawień, którą ze stajni zajezdnej istniejącej jeszcze sprzed rozbiorów Polski, a kupionej przez wójta Piotra Gajocha od hrabiego Ponińskiego, właściciela Pleszowa – przed rokiem 1914, zrobiła sobie młodzież tę salę. Z przedstawień i składek sami otynkowali tę salę razem z p. kierownikiem szkoły Janem Twarogiem, dali powałę i podłogę, urządzili scenę.

Jak najlepszej pochwały godzien jest p. Jan Twaróg, który nie wstydzi się – jak to u wielu w modzie, wyznać wiarę publicznie, z młodzieżą idzie do Komunii św. i spowiedzi, odczytami i przedstawieniami odciąga młodzież od picia i rozpusty. Wart odznaczenia „Pro Ecclesia et Pontifice”. W Luboczy podobne stowarzyszenie prowadzi brat kierownika z Pleszowa p. Franciszek Twaróg, również kierownik tamtejszej szkoły. Im obu parafia zawdzięcza w wysokim stopniu swój wyższy niż sąsiednich parafii – poziom moralny. Proboszcz ma przez to ułatwioną pracę.

W grudniu, gdzieś około 20-go o 5-ej wieczorem była burza śnieżna z błyskawicami, grzmotami i piorunami. Zapowiadają burzliwe lato.

31 grudnia

Urodziło się w parafii 94 dzieci, nieślubnych było 3, umarło 45. Jeden mężczyzna z Krzesławic, który nie wiadomo kiedy spowiadał się po raz ostatni, a na Wielkanoc nie był do spowiedzi, i umarł bez zaopatrzenia, ponieważ socjalistów gdzie mógł popierał, został pochowany bez udziału księdza.

Rok 1924

7 maja

Sześćoletni Kazimierz Rosiewicz, syn przewodniczącego komitetu parafialnego Stanisława Rosiewicza, kmiecia z Pleszowa zasnął między ławkami w kościele wieczorem podczas majowego nabożeństwa. Kiedy kościół zamknięto, chłopiec obudził się, a widząc drzwi zamknięte wyszedł na wieżę, i z wysokości około 18 m. opuszczył się na ziemię! Odbił się po drodze o daszek nad tzw. „Opatrznością”, spadł na cmentarny chodnik, złamał rękę i nogę, wybił sobie 4 zęby na przedzie, ale dzisiaj (lipiec) już chodzi zupełnie zdrow! Stało się to około g. 8-ej wieczorem, gdy zmierzch począł iść na ziemię. Parafianie uznali to za cud Boży.

24 maja

Pierwsza uroczysta Komunia św. Dzieci odbyła się br. Do pierwszej Komunii z całej parafii było 89 dzieci. Po komunii św. Dzieci składają ślub wstrzemięźliwości od picia trunków, palenia do 20 roku życia, otrzymują na pamiątkę duży obrazek, a dla kościoła tutejszego zwyczajem dzieci składają świece, które palą podczas przyjęcia Komunii św.

4 czerwca

We środę o g. 5-ej po południu przybył na wizytację parafii Najprzew. X. Biskup Anatol Nowak, sufragan. Banderia krakusów w sile przeszło 60 koni powitała Go w wózku mogiłem. Przemówił na powitanie wójt pleszowski Franciszek Szywański, banderią dowodził p. Teodor Bukowski, zięć właściciela Krzesławic p. Cybulskiego. Ulica w Pleszowie od strony Krakowa cała udekorowana była w szereg bram obwieszonych chorągiewkami o barwach narodowych i papieskich. Dzieci szkolne tworzyły szpaler, zarzucając drogę idącemu X. Biskupowi kwieciami. Przy pierwszej bramie oczekiwała Najdostoj. Arcypasterza procesja z proboszczem i duchowieństwem na czele. Chlebem i solą, i krótką przemową powitał X. Biskupa gospodarz Walenty Gajoch z Kujaw. Wśród bicia dzwonów i śpiewu wprowadzono X. Bpa do kościoła – gdzie odbyło się nabożeństwo. Kościół cały zapelniony był po brzegi wiernymi. Do zebranych przemówił X. Biskup. Na zakończenie z plebani przeniesiono relikwie św. Stanisława Bpa i św. Józefa Bpa do kościoła, gdzie na drugi dzień miały być wmurowane w grób w wielkim ołtarzu.

5 czerwca

Po mszy św. X. Biskup rozpoczął konsekrację ołtarza, która trwała około 3 godzin., po czym nastąpiła suma z kazaniem. Po sumie X. Biskup przyjął na plebani przedstawicieli dworów, komitetu paraf., szkół (nauczycielstwa), stowarzyszenia młodzieży męskiej z Pleszowa i Luboczy, stowarzyszenia „Dzieci Maryi” dziewcząt i matek, oraz wielu mieszkańców. O g. 4-ej po południu X. Biskup udzielił sakramentu bierzmowania, do którego przystąpiło 543 osób. Wieczorem w towarzystwie księży X. Biskup wyszedł na wieś, gdzie wstąpił do gospodarzy: Wojciecha Bańdura, Piotra Perlika i Stanisława Rosiewicza. Zabawił u nich co najmniej po pół godziny, a u Rosiewicza nawet ponad godzinę.

Rok 1925

Grudzień

Ks. Jan Skarbek wniósł podanie na wakujące probostwo w Oświęcimiu.

Rok 1926

Administratorem tutejszej parafii został mianowany na propozycję ks. Skarbka – O. Alfons Wiczorek, zastępca gwardiana OO. Kapucynów z Krakowa. Ks. Skarbek wyjechał z Pleszowa 22 lutego 1926 r.

18 kwietnia

Przyjechał jego następca ks. Franciszek Korzonkiewicz, proboszcz dotychczasowy w Krzywaczce. Rok to był pełen ciężkich wydarzeń. Dnia 13 maja Marszałek Piłsudski dokonał zamachu stanu na obecny rząd Wincentego Witosa. Padło około 1000 ludzi. Prezydent Stanisław Wojciechowski zrezygnował z prezydentury. Zamach stanu zalegalizował ówczesny sejm większością znaczną, wybrał Marszałka Piłsudskiego prezydentem Rzeczypospolitej, potem tenże zrezygnował, a na jego miejsce wybrano Prof. Ignacego Mościckiego.

Rok 1927

Zaznaczył się dla parafii wielką przykrością, albowiem młodzież pleszowska obojga płci zorganizowana w jeden związek pod patronatem S.M.P. w Krakowie nie usłuchała nakazu swoich władz, i wolała opuścić szeregi katolickiego związku S.M.P., aniżeli rozłączyć młodzież męską od młodzieży żeńskiej, czego domagał się Zarząd S.M.P. na podstawie statutu oraz miejscowy proboszcz ks. Franciszek Korzonkiewicz. Winę ponoszą politycy, którzy opanowali młodzież na rzecz „Piasta” oraz rodzice sami, którzy mimo najlepszych stosunków z proboszczem, mimo przestróg jego, oświadczyli, że praca młodzieży męskiej i żeńskiej razem wcale jest dobra i tak być powinno jak było założone. Wszelkie wysiłki, by wyjaśnić im ich błąd były bez skutku.

Rok 1928

Zaznacza się reorganizacja miejscowego Kółka Rolniczego na którego czele stanął miejscowy ks. proboszcz Fr. Korzonkiewicz. Kółko istniało już od dawna, ale było bezczynne.

8 lipca

Kółko urządziło 10-lecie powstania Polski. Mówcą był znany poeta Karol Hubert Rostworowski. Uroczystość była niezwykle imponująca, zebrało się tysiące ludności nie tylko miejscowej, ale i zamiejscowej. Da to znaczne zyski i podstawę do rozwoju kółka rolniczego. Proboszcz podjął się tej pracy, aby nie tylko w kościele pracować dla zbawienia duszy lecz także na polu gospodarczym podnieść się. Niestety ludność tej pracy nie docenia. Stale doświadczam. Miejscowa ludność okazała w tym roku duszę lewicową. Podczas wyborów, które prowadzili przede wszystkim socjaliści i urządzali wiece w Pleszowie, ludność stanęła w 40 % za nimi. (...)

Tego roku P.P. Norbertanki z Krakowa założyły w Luboczy ochronkę – przedszkole dla miejscowych dzieci bezpłatnie. Pierwszą kierowniczką była Bogumiła Jędrzejewska, Norbertanka (+ 27 IV 1931 w Krakowie).

Rok 1929

4 maja

Pleszów odwiedził wojewoda krakowski Dr Mikołaj Kwaśniewski, przed nim p. Minister Rolnictwa.

Rok ten stał się znów bogatszym zdarzeniami w miejscowej parafii. Najważniejszym wypadkiem było nieszczęście, że w dnia 21 czerwca o godz. 7. wieczór podczas nabożeństwa Najśl. Serca P. Jezusa, podczas strasznej burzy piorun uderzył do wieży kościelnej, rozdzielił się na wieżyczce sygnaturki i wpadł do wnętrza uszkadzając trochę organu, rękojeść czarnej chorągwi. Ludzi nie zabił, ale jedną niewiastę Marię Cyganównę ogłuszył i poparzył, iż nieprzytomną wyniesiono. Po dłuższym leczeniu wyzdrowiała. Kilka osób mniej poturbował piorun, a choć spadł na sam ołtarz Najśl. Serca Jez. i spłynął po złożonych filarach (czego ślady widoczne są jeszcze w 1931 r.) nie wyrządzając żadnej szkody nawet dzieciom klęczącym tuż na stopniu, lecz je tylko przewrócił. Celebującemu X. Proboszczowi nic nie zrobił. Natomiast zapaliła się dzwonnica, wieża od pioruna i spaliła się. Wieżę tę odrestaurowano w tej samej formie w roku 1929 kosztem 8000 zł., z czego Zarząd ubezpieczeń wypłacił 5000 zł., resztę zebrano drogą dobrowolnej konkurencji.

28 lipca

Odwiedził Pleszów Prezydent Rzeczypospolitej p. Ignacy Moscicki z całą świtą. Odwiedził kościół przyjęty uroczystość. Opis tego przyjęcia znajduje się w Przewodniku Kółek Rolniczych. Odwiedzin większych i mniejszych w Pleszowie było dużo o czym świadczy księga pamiątkowa Kółka Rolniczego.

W parafii na pamiątkę tego roku mamy nową wieżę i żałobny sztandar fundowany ze składek tego roku, koszt 500 zł.

Rok 1930

Rok ten zaznaczył się w parafii urządzeniem rekolekcji ludowych przez OO. Kapucynów z Krakowa w czasie oktywy św. Józefa, na których pamiątkę ufundowano krzyż misyjny. Rekolekcje czyli Misje miały bardzo słaby skutek, bo kazania były słabe. Ludzi chodziło coraz mniej. Odnowienia ducha nie czułem, tylko mało co. Ale Bóg liczy inaczej.

W tymże roku pp. Kotkowscy sprzedali zadłużeni będąc swój majątek p. Zofii Rozmarynowiczowej, żonie Dra Bolesława Rozmarynowicza, adwokata w Krakowie. Pałac kupiły Córki Bożej Miłości z Krakowa.

Rok 1931

Zaznaczyła się zmiana polityki państwowej. P. Marszałek Piłsudski odwrócił się od socjalistów i zaczął zwalczać od 1928 r. skrajne partyjniactwo. W społeczeństwie ma dużo nieprzejeźdźnych wrogów, bo ludzie przyzwyczaili się do bezpańskiej swobody w polityce i nie mogą znieść nakazu choćby najlepszego. Chłopi się buntują, zwłaszcza po zamknięciu posłów w Brześciu. Ale o tym niech piszą politycy i historycy.

1 września

Parafia otrzymała pierwszego wikarego w osobie ks. Władysława Chowańca.

Rok 1932

Jest znów bogaty w zdarzenia dla parafii ale nie koniecznie szczęśliwy.

Najważniejszym wydarzeniem jest ostateczne ustalenie Zakładu Sióstr Córek Bożej Miłości w pałacu, który został poświęcony przez X. Metropolitę Adama Stefana Sapiehę 16 maja br. Opis znajduje się w „Dzwonie Niedz.” 1931 r.

Smutniejsze zdarzenie jest to, że młodzież Pleszowska zorganizowana w Małopolskim Towarzystwie Rolniczym. tzw. O.Z.M. odstąpiła i opuściła swój sztandar poświęcony i przeszła na „Znicz”, organizacji o obliczu radykalnym z koedukacją. Miejscowy proboszcz walczy z tym radykalizmem od 1927, ale rodzice nie rozumieją niebezpieczeństwa. Dziś już wrzód dojrzał do zastraszających rozmiarów.

24 czerwca

Na swoim zebraniu, na które zaprosili gospodarzy: Stanisława Rosiewicza, Michała Cygana ludzi najzaciejniejszych i w ich obecności wypowiadali się ze swoimi przekonaniami:

że obejdą się bez jakichkolwiek opiekunów, a w szczególności księdza i nauczyciela,

że nie chcą dyktatury księdza,

że źle by wyszli na tym, gdyby rodziców słuchali.

Jest to owoc pracy wpływów z Krakowa z akademickiego Koła Młodzieży Wiejskiej „Znicz”.

Pan Bóg działa i pokazuje, że nie podoba mu się ta oświata, bo oto już 25 czerwca br. dopuścił Bóg do nieszczęścia, że z okazji gromadnego rzucania „wianków” (z soboty na niedzielę w nocy o 11-ej) łódź przewróciła się i utopiły się 2 dziewczyny 16 letnie: Józefa Sendorówna i Zofia Gajochówna.

Młodzież jest jednak do tego stopnia już pozbawiona ludzkich uczuć, że nie współczuje, a nawet urządziła tego samego dnia muzykę. Młodzież ta nie zna posłuszeństwa i uznaje żadnego rozporządzenia. Mimo iż rada gminna z dnia 3 lipca br. głosami wszystkimi przeciw dwóm odebrała im salę w domu gminnym. Młodzież ta przemocą wdarła się do sali. Nie uznaje też rozporządzeń Starostwa w sprawie postanowień statutu o rozwiązaniu (paragraf 18.) co do oddania inwentarza.

Rok 1933

Jest to rok Jubileuszowy. Na mocy rozporządzenia Kurii urządziliśmy godzinę adoracji we czwartek 6 kwietnia o godz. 8 – 9. Wieczór. Kościół był przepełniony mimo prac wiosennych i mimo późnej godziny.

W ogóle religijność naszego ludu jest jeszcze Bogu dzięki dość głęboka. Wskazuje na to i cyfra komunii św. która tego roku dosięga szczytu 14.500 na 2000 obowiązyanych do komunii św. Wielkanocnej. Stan jest Bogu dzięki bardzo dobry, bo w całej parafii liczącej w obecnej chwili 3100 dusz, nie ma ani jednego małżeństwa dzikiego. Spowiedzi wielkanocnej stale nie wykonuje zaledwie garstka ludzi, z Pleszowa (fragm. wymazany) wszyscy chodzą, z Luboczy nie chodzi tylko S., który jest nie dość normalny, z Grębałowa chodzą wszyscy, z Krzesławic nie chodzi C. i K. Obaj bałamuty i pół bziki bałamucą się Kościołem narodowym. Nie mają jednak żadnego wpływu na ludzi. Stan byłby idealny, gdyby nie polityczne wady, które idą w kierunku lewicowym. Rozpolitykowani są (...) i cały „Znicz”. Oni gotowi dla Witosa porzucić Boga. Gdyby nie polityka, byłiby i oni dobrzy. Z tego względu piszący te słowa, ponieważ dał pozory, jakoby uprawiał politykę rządową, choć poza pozorami nic nie można mu zarzucić, stał się jednak przedmiotem niechęci. Czując, że przez to, że niejednemu może być przeszkodą do Kościoła, i do Boga, chce się usunąć i prosił osobiście Księdza Metropolite Sapiehę obecnego Biskupa Ordynariusza, by go przeniósł na inną parafię. Przeniesienie takie będzie połączone z wielką ofiarą serca i pieniędzy, ale trudno, dobro dusz jest ponad wszystko. Jest to ofiara serca, bo przecież każda praca wiąże, plany na pół wykonane lub dopiero zaczęte również wiążą, ale trudno. Serce milcz! Jest to ofiara pieniędzy, albowiem gospodarstwo dopiero pierwszy rok zaczyna się opłacać, a długi ma duże.(...) A trzeba pamiętać, że obecne lata to lata kryzysowe, gdzie wszyscy stwierdzają, że gospodarstwa się zupełnie nie opłacają. Ale to słowa dla ludzi dobrej woli, bo przewrotni i tak powiedzą: wzbogacił się!

1 lutego

Odszedł od nas nasz ukochany ks. wikary Władysław Chowaniec do Andrychowa.

1 marca

Żegnaliśmy zasłużoną nauczycielkę p. Helenę Ligenziankę, która pracowała w samym Pleszowie bez przerwy 31 i pół roku. Była to osoba głęboko religijna, taktowna, pracowita. Wzór dobrej chrześcijańskiej nauczycielki. Ludność mało okazała żalu po niej. Sprawili jej ze zbiórki malutki pierścionek. Zbrali 56 zł., a przecież wychowała gospodarzy dziś już poważnych, którzy mają po 30 morgów. Ta strona skąpstwa jest dziwnie przykra. Natomiast pamiętają o Mszy św. Na Mszę św. zawsze jest stypendium.

W ostatnich dniach maja odwiedził naszą parafię Najpszew. Ksiądz Metropolita X. Bp Adam Stefan Sapieha w towarzystwie ks. Prałata Z. Kuliga i Kapelana ks. Siedleckiego. Do bierzmowania przystąpiło 450 osób. Nastrój był bardzo serdeczny. Z żalem żegnaliśmy Księcia Metropolite, który okazywał się wszystkim jako najlepszy Ojciec.

Z tej okazji zebrała się delegacja u Księcia Metropolity ze skargą na mnie, że jestem jako proboszcz niemożliwy. Był Jan Bańdur, Ludwik Karolczyk, Jan Gajoch syn Walentego z Kujaw. Wynik tej audiencji był taki, że Ksiądz Metropolita powiedział: „Właściwie oni księdzu nic nie zarzucają”.

Była druga delegacja: P. Kierownik szkoły Jan Twaróg, Stanisław Rosiewicz, Andrzej Kardas, Michał Cygan, Józef Partyła z Luboczy (Pszczola). Pan Twaróg na podstawie dokumentów, protokołów stwierdził, że podstawy nie mają moi przeciwnicy do zarzutu, że politykę uprawiam, a jedynie chodziło mi o zwalczanie niezdrowej koedukacji u młodzieży dorosłej.

Jak ocenił moją pracę Ksiądz Metropolita widać z tego, że nadał mi odznaczenie „capositori canon” oraz z „Dekretum reformationis” złożonego w Archiwum Dekanatu w Mogile.

Rok 1934

Rok niezwykle suszy na wiosnę, klęski niebywalej „myszy polnych”, oraz powodzi nieznanych od 100 lat. Powodzie znane z gazet, u nas nie wyrządziły większej szkody. Tylko jeden chłopczyk z II klasy szkoły powszechnej Antoni Wójcik z Kujaw, utopił się.

5 sierpnia

Pleszów opuszczają obaj księża. tj. ks. wikary Zbigniew Puzyna, książe, daleki krewny kardynała Jana i podpisany proboszcz. Ks. Puzyna przyszedł tu 15 sierpnia 1933 jako neoprezbiter. Odznaczał się nadzwyczajną gorliwością w opiece duchowej i materialnej dla chorych. Z początku odwiedzał wszystkich chorych co miesiąc w całej parafii. Potem okazało się to niemożliwe. Prowadził związki S.M.P. męskie i żeńskie w Grębałowie. Odjeżdża na posadę wikarego w Żywcu. Ks. Franciszek Korzonkiewicz jedzie na proboszcza do Inwałdu koło Andrychowa. Wyjeżdża bez żalu do parafian, którzy w olbrzymiej większości byli mi przychylni i dobrzy, Bóg to sprawił. Następcom życzę owocnej pracy i proszę o memento.

Pleszów, 8 sierpnia 1934

Ks. Franciszek Korzonkiewicz

Administrację parafii przez miesiąc sprawował „ex currendo” ks. Leon Katana, proboszcz z Ruszczy, dziekan. W połowie września 1934 r. objął parafię Pleszów ks. Antoni Góralik, dotychczasowy proboszcz parafii Bielany k. Kęt. Urodził się w Nowym Targu dn. 6 maja 1888 r. jako syn Jana i Honoraty Wilczkiewicz. Wyświęcony na kapłana archidiecezji krakowskiej w roku 1911, pełnił obowiązki wikarego w Ruszczy, Krakowie-Podgórze, Trzebini, Krzeszowicach, potem był katechetą w Białej k. Bielska. W zapiskach – po jego śmierci – znalazłem (ja, ks. Jan Hyc, jego następca, który też tę kronikę uzupełniam, gdyż od 1934 r. nie była prowadzona) przez niego naszkicowany wstęp „na brudno” i przepisuję to dosłownie:

„W połowie września 1934 r. objąłem parafię Pleszów i zastałem ją w stanie silnego rozpolitykowania, które nadawało ogólny ton nastrojów w całej parafii. Kościoła i jego moralnego autorytetu chciano używać, jako siły pociągowej dla Stronnictwa Ludowego spod znaku Witosy. Podczas uroczystości „Opłatka” i „Święconego” sprowadzono mówców z Krakowa, którzy tym zebraniom towarzyskim nadawali zabarwienie polityczne, nawołując do jedności ruchu ludowego, gdyż i między nimi były rozbieżności. Bogatsi tworzyli kastę zamkniętą dla siebie jako „kmięcie” na większych gospodarstwach – oni też trzęśli polityką na wsi, odgradzając się od małorolnych lub bezrolnych, szukających pracy w rzemiosłach lub na roli bogatszych gospodarzy. Zakładanie Katolickich Stowarzyszeń Młodzieżowych było nadzwyczaj utrudnione, gdyż młodzież ludowa „Znicz” wciągała młodzież do swojej organizacji a rozbijała organizacje katolickie. Nie brak było wypadków, gdzie jedne i te same jednostki należały do Wydziału „Znicza” i równocześnie katolickiej organizacji, a wszelkie uchwały były przekazywane do „Znicza”, aby je zlikwidować. Powzięte próby porozumienia, aby oba ugrupowania organizacji młodzieżowych uzgodniły pracę w duchu życzliwości wzajemnej, pozostawały bez skutku. Na to wszystko nadszedł rok 1939, a z nim inwazja niemiecka (hitlerowska). Cała „wielka polityka” schowała się „pod ziemię” (tajne organizacje) i tam przeniosła swe wewnętrzne spory i ambicje jednostek”.

Z zapisków ks. Antoniego Góralika

Rok 1934 (uzupełnienie)

12 października

Uroczysta instalacja ks. Antoniego Góralika na probostwo w Pleszowie. Procesjonalne odprowadzenie nowego proboszcza z plebanii do kościoła.

28 października

Uroczystość Chrystusa Króla: po sumie o godz. 10 –tej procesja z Najśw. Sakramentem do Zakładu Sióstr Bożej Miłości – akt poświęcenia – powrót do kościoła. Po nieszpórach o godz. 4-ej akademie ku czci Chrystusa Króla w Domu Gminnym.

18 listopada

Akademie ku czci św. Stanisława Kostki w sali gminnej.

8 grudnia

Uroczystość Niepokalanego Poczęcia Najśw. Marii Panny – Święto Sodalicii Niewiast i Panien. Po nieszpórach Akademie ku czci N.M.Panny w sali gminnej.

Od jesieni 1934 r. do połowy 1935 r. przebywał w Luboczy, w domu rodzinnym ks. Józef Walczak, rodem z Luboczy, a wyświęcony na kapłana dla Archidiecezji Lwowskiej. W tym czasie nie było wikarego w Pleszowie, więc on pomagał w pracy parafialnej. (Uczył religii, chrzczył itd.) Potem wrócił na wschodnie Ziemie Polskie i tam pracował. Po II Wojnie Światowej wierni z jego parafii na Wołyniu (k. Łucka) zostali przesiedleni w głąb Polski – najwięcej na Ziemię Północną k. Olsztyna. On też tam przebywał i tam zmarł. Zaraz po 1945 r. przebywał czasem w Luboczy i odprawiał Mszę św. Najczęściej w kaplicy „na wsi”. Pragnął, by ta kaplica w Luboczy była rozbudowana. Przeznaczył na ten cel znaczną kwotę pieniędzy i zdeponował ją w Kurii Metrop. w Krakowie. Potem tę kwotę podjął x. Administrator z Luboczy ks. Jerzy Wyporek i użył jej do urzędzenia i rozbudowy kaplicy w Luboczy „u Sióstr” oraz w budowie plebanii w Luboczy.

Księża wikarzy w Pleszowie (po ks. Walczaku):

Ks. Edward Pyzia: 1936 – do VII 1938 r.

Ks. Józef Jura: od VIII 1938 – do VIII 1940 r.

Ks. Tadeusz Czernek: od VIII 1940 – do 3 VI 1942 r.

Właśnie: dnia 3 VI 1942 r. zmarł nagle w Krakowie i przywieziono go nieżywego do Pleszowa. Liczył 30 lat.

Ks. Oskar Matz-Marski: był wikarym po w/w księdzu od lipca 1942 r. do 25 lipca 1944 r. Wtedy to odjechał do Krakowa i tam za 2 tyg. zmarł nagle na udar serca. W księdze ogłoszeń parafii Pleszów znajdujemy takie ogłoszenie o jego pracy:

(...) „Cicho i skromnie przybył do parafii tutejszej i tak samo skromnie odszedł od nas, nie szukając rozgłosu ani poklasku u ludzi, pracował gorliwie, szczególnie w konfesjonale oraz w szkołach nad wychowaniem dziatwy szkolnej, którą sobie umiłował, darząc ją życzliwością prawdziwie ojcowską. Czynił to dla chwały Boga i zbawienia dusz ludzkich, prawdziwy kapłan i sługa Boży. Szerszych znajomości z ludźmi unikał aby tym wydatniej pociągnąć ich do Boga, a nie wplątać się w żadne względy ludzkie i być daleko od złośliwości ludzkiej, która wszystko raczej na złe tłumaczy niż na dobre. Jego cicha, prawdziwie pokorna, skromna i jasna dusza kapłańska pozostanie długo w pamięci naszej i modlitwach”.

Ks. Stanisław Sikora: od VIII 1944 – do I 1945 r.

Zajmował się organizowaniem pomocy dla wysiedlonych mieszkańców z Warszawy.

Ks. Edward Oprychał: od XI 1944 – do VIII 1951 r.

Ks. dr Jan Kuś: od VIII 1951 – do VIII 1958 r.

Był bardzo lubiany, szczególnie w Luboczy, gdzie dojeżdżał na religię i z nabożeństwami do kaplicy. Pragnął tam rozbudować kaplicę, ponieważ na skutek rozbudowy kombinatu im. Lenina, Lubocza praktycznie została odcięta od kościoła w Pleszowie. Zajął się też sprawieniem dzwonów do kościoła w miejsce tych zabranych w czasie okupacji niemieckiej.

Ks. Franciszek Juraszek: od 1958 – do 1961 r.

Ks. Stanisław Czulak: od 1961 do 1963 r.

Po nim przybyło 1 VIII 1963 r. – z rozkazu Kurii – dwóch księży:

Ks. Jan Hyc: jako tzw. „wikary adiutor” z prawem pełnienia wszystkich obowiązków proboszcza (poza gospodarstwem – beneficjum).

Ks. Stanisław Dziedzic: do 1 XI 1964 r.

W tym też czasie został otwarty cmentarz komunalny pn. „Grębałów” między Grębałowem, Luboczą a Wzgórzami Krzesławickimi – w większości jednak na polach należących przedtem do Krzesławic, a w mniejszej części do Grębałowa. Odtąd więc niemal wszystkie pogrzeby z Luboczy i Grębałowa idą na w/w cmentarz, a bardzo mało – może 1 na 10 lat – do Pleszowa.

Rok 1935

Uzupełniając „Kronikę parafialną” korzystam z „Księgi ogłoszeń parafialnych” systematycznie prowadzonej przez w/w proboszcza ks. Antoniego Góralika. Wynika z tych ogłoszeń, że w parafii tutejszej były i pięknie działały organizacje katolickie: Sodalicia Mariańska Matek – założona po I Wojnie Światowej przez ks. Skarbka, ówczesnego proboszcza. Silne koła były w Luboczy i w Pleszowie, Sodalicia Mariańska Panien – założona j.w., silnie rozwijająca się w Luboczy, Grębałowie, Pleszowie, Kujawach. W/w Sodalicje miały zebrania co miesiąc, urządzały nabożeństwa okolicznościowe ku czci N.M. Panny. W czasie II W Św. i po wojnie – szczególnie w okresie tzw. „stalinizmu” (1949-1956), organizacje te – jak inne – zanikły. Pozostał po nich jednak trwały ślad: umiłowanie Najśw. Maryji Panny, znajomość dużej ilości pieśni maryjnych, dyplomy przyjęć do Sodalicji u wielu kobiet. Często polecają, by ten dyplom włożono im do trumny.

Ponadto były i działały Koła Stowarzyszeń Katolickich, szczególnie: Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Męskiej (K.S.M.M.): w Pleszowie Kujawach, w Krzesławicach, w Grębałowie, w Luboczy, Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Żeńskiej (K.S.M.Ż.): też w w/w wioskach. Urządzano co miesięczne Zebrania, okazyjne akademie. Druhowie brali udział w dorocznych Zjazdach Delegatów w Krakowie. I tak np. taki Zjazd odbył się w Krakowie 28 IV 1935 r. z udziałem delegatów – druhow z Krzesławic i Grębałowa. Prócz tego od XVII lub XVIII wieku było i jest: Bractwo Różańcowe, do którego wpisywano szczególnie z okazji np. Misji parafialnych. Skupiało się przed ołtarzem i obrazem M.Boskiej „Pleszowskiej”. „Żywy Różaniec”: 1. Róże Mężczyzn 2. Róże Kobiet. Zmiany tajemnic różańcowych odbywały się w 1-szą niedzielę miesiąca. Te właśnie „Różę” zwłaszcza kobiet, przetrwały II Wojnę Światową i ciężkie powojenne okresy, i to w każdej wiosce tutejszej parafii; Koło Anioła Stróża – było w Luboczy, uczestniczyły w nim dzieci; Ochotnicza Straż Pożarna – zarządzająca czasem akademie lub pokazy p.pożarowe.

„Dni Krzyżowe”

W tutejszej parafii – jak wynika z „Księgi ogłoszeń” urządzano zawsze w Dni Krzyżowe (w św. Marka i w 3 dni przed Wniebowstąpieniem Pańskim) – „procesję pokutną i błagalną o błogosławieństwo dla pracy rolników” do krzyżów przydrożnych: „Na Kujawy, do krzyża naprzeciw cmentarza, do krzyża za wsią od strony Luboczy lub do krzyża za wsią przy szosie w stronę Mogiły” (Ten ostatnio wymieniony nazywa się „Krzyż pp. Rosiewiczów”).

Odpusty parafialne – dwa: Na Narodzenie N.M.P. (8 IX) oraz ku czci św. Wincentego, diakona i męczennika (22 I).

22 września

„Dziś po niesporach w domu gminnym będzie wyświetlony film pt. „Żywot św. Antoniego Padewskiego” – z uwagi na wielki pożytek duchowy oraz sposobność zapoznania się z żywotem tego wielkiego Świętego, gorąco polecam, aby wszyscy gromadnie pośpieszyli na ten pouczający film”.

29 września

Zlot K.S.M.M. w Bieńczykach Wpis: „Druhow z Krzesławic i Grębałowa wzywam do wzięcia udziału w tym Zlocie przy równoczesnym zgłaszaniu ilości członków”.

12 i 13 października

Odbyła się Pielgrzymka do Częstochowy z diecezji krakowskiej pod hasłem: Ziemia Krakowska w Hołdzie Królowej Korony Polskiej. Zbiórka w sobotę w kościele Mariackim w Krakowie, skąd na dworzec kolejowy, a potem specjalnym pociągiem do Częstochowy. Koszta podróży tam i z powrotem: 7 zł 70 gr.

Pielgrzymki do Częstochowy – z tutejszej parafii odbywały się co kilka lat, następna odbyła się w 1939 r.

Pielgrzymki do Kalwarii Zebrzydowskiej – odbywały się co roku. Pielgrzymka wyruszała pieszo dnia 12 sierpnia rano, tak aby być w Kalwarii wieczorem i potem brać udział 13 sierpnia w nabożeństwie „Pogrzebu M. Boskiej” oraz 15 sierpnia w procesji Wniebowzięcia. W międzyczasie odprawiano „Dróжки” do P. Jezusa, „Dróжки” do M. Boskiej oraz „Dróжки” za Zmarłych. Pielgrzymkę prowadził przez kilkanaście lat p. Wojciech Pleciak, tutejszy

kościelny. Pielgrzymi z całej parafii dojeżdżali do Krakowa-Podgórze, tam gromadzili się rano przed kościołem św. Józefa (12 VIII) i wyruszały pieszo do Kalwarii przez Mogilany, Izdebnik. Zawsze w przeddzień wyruszenia pielgrzymki – tak do Częstochowy jak i do Kalwarii – odbywała się w kościele parafialnym spowiedź św.

2 listopada 1935 r.

W tym dniu (sobota – Dzień Zaduszny) o godz. 15.00 został uroczystie poświęcony i postawiony „Krzyż lotnika” na Kujawach – nad brzegiem Wisły. Ten krzyż postawiono na pamiątkę cudownego ocalenia lotników, którym samolot w tym miejscu uległ katastrofie w 1931 r., a oni w ostatnim momencie uratowali się. Uratował się kapitan – pilot 2 Pułku Lotn. 22 Eskadry Liniowej Władysław Polesiński (zginął potem na początku II Wojny Światowej zestrzelony w samolocie przez Niemców 16 IX 1939 r. nad Brześciem n. Bugiem). Wcześniej uratował się z nim podczas wypadku nad Wisłą drugi lotnik – obserwator. To poświęcenie krzyża ogłosił w kościele parafialnym w Pleszowie tut. proboszcz ks. Antoni Góralik tydzień wcześniej (ostatnia niedziela października: 27 X 1935 r.) w ten sposób:

„W sobotę – Dzień Zaduszny po południu postawienie i poświęcenie krzyża dziękczynnego, fundowanego przez pewnego porucznika lotnictwa, który cudownie uniknął śmierci w płonącym samolocie i opadł na Kujawach. Tam właśnie o godz. 3-ej po południu będzie postawiony i poświęcony krzyż pamiątkowy. Ludność z Kujaw i Pleszowa oraz innych pobożnych wiernych zapraszam do udziału w tej niezwyklej uroczystości”.

W „Kronikach Parafialnych” nie ma odnotowanego przebiegu tej uroczystości. Natomiast zebrałem garść wspomnień (w l. 1984-86) od osób, które brały udział w tej uroczystości (mają obecnie po 70 lub 80 lat). Niektóre z tych osób były wtedy dziećmi 10-cio lub 12-letnimi (teraz mają ponad 60 lat).

Osoby starsze to: p. Antonina Paluch z d. Czeka, p. Franciszka Piekarczykowa z d. Wójcik (jej dom rodzinny był blisko katastrofy lotniczej na Kujawach), p. Wojciech Dzieja, p. Jan Cygan.

Wszystkie te osoby stwierdzają, że było bardzo dużo ludzi (około 2000 osób). Przemawiał ks. proboszcz Antoni Góralik podając historię cudownego ocalenia lotników. Przemawiał też uratowany porucznik Władysław Polesiński.

Osoby młodsze to: p. Franciszek Wójcik (brat w/w Franciszki). On zrobił krzyż betonowy w 1984 r. (co niżej będzie opisane).

Natomiast dokładne sprawozdanie z tej uroczystości zamieścił „Dzwon Niedzielny” – tygodnik wydawany przez Kurię Metropolitalną w Krakowie: Nr. 47 z dnia 17 XI 1935 r. Oto w całości ten artykuł:

„Z Pleszowa k. Krakowa piszą nam: W tegoroczny Dzień Zaduszny po południu przeżywalismy prawdziwie podniosłą uroczystość osadzenia i poświęcenia krzyża pamiątkowego na miejscu cudownego ocalenia lotnika W.P. porucznika Władysława Polesińskiego na polach wsi Kujawy, należącej do tutejszej parafii. Jak sam opowiada, leciał nocą w stronę Krakowa na wysokości 1500 m. Widząc z daleka oświetlone lotnisko, zniżył wysokość lotu na 200 m., żeby prędzej wylądować ale podczas obniżania lotu motor uległ defektowi, skutkiem czego samolot zaczął gwałtownie opadać w dół, zawadził o stojące drzewo i paląc się już, opadł na ziemię. Pilot razem z obserwatorem chcieli wyskoczyć, ale znów nagromadzone nad nimi żelazniwa strzaskanego samolotu przyciskały ich z góry, uniemożliwiając im wydostanie się na zewnątrz aeroplanu coraz to silniej palącego się. Obaj poczęli się dosłownie palić i czuli ogarniające ich płomienie. W tej tragicznej chwili, głosem bliskim rozpacz, porucznik Polesiński zawołał: „Chryste, ratuj!”i w tej chwili – opowiada z naciskiem – słyszałem wyraźnie słowa: „Zdejm spadochron, usuń sztabę – uciekaj!” Nie orientując się w ciemności, wykonałem, już pół przytomny, tajemnicze rozkazy i po usunięciu przeszkód, swobodnie mogłem razem z obserwatorem uciec. Gdy oddalili się obaj dość znacznie, nastąpił groźny wybuch rezerwuaru z benzyną i samolot zniszczył się zupełnie – ale nieszczęśliwi lotnicy ocaleli. Pokaleczonych i poparzonych odwieźli miejscowi gospodarze z Kujaw do szpitala w Krakowie i dobrze to pamiętają. Na miejscu tegoż wypadku oraz wyraźnego działania Wyższej Siły nad słabym człowiekiem, postawiono właśnie krzyż dziękczynny, ufundowany przez ocalonego por. lotnika, mgr Polesińskiego, który sam przybył na tę uroczystość. Poświęcenia krzyża dokonał miejscowy proboszcz ks. Antoni Góralik, podkreślając, że ten krzyż będzie świadczył na długie lata o niewysłowionej dobroci Bożej nad ludźmi a zarazem o wdzięczności człowieka, który z Bożej ręki doznał ocalenia. Również sam ocalony por. Polesiński przemówił z niezwykłą siłą przekonania i prawdziwie po żołniersku powiedział wszystkim, a zwłaszcza młodzieży, że gdy ludzkie środki zawodzą, zostaje jedyna Siła Boża, na której człowiek się nie zawiedzie, gdy z wiarą o pomoc i ratunek prosi. Uroczystość ta niezwykła zgromadziła wielkie tłumy ludności miejscowej i okolicznej, i sprawiła wielkie wrażenie. A my, Kujawianie, będziemy przechowywać pamięć tego wydarzenia między sobą i opowiadać naszym dzieciom i wnukom, a także chcemy się podzielić tą osobliwą wiadomością z Czytelnikami naszego „Dzwonu”, który niech rozdzwoni wszystkim, że dobry jest Bóg tym, którzy Imienia Jego pobożnie wzywają”

Krzyż drewniany tj. „Krzyż lotnika” stał od 1935 r. do 1950 r. Potem – przy budowie stopnia wodnego i z powodu zniszczenia (spróchniał) usunięto go. Drewno z niego było u p. Jakuba Brody na Kujawach. Dnia 19 IX 1981 r. postawiono na miejscu krzyża drewnianego (miejsce wskazali mieszkańcy Kujaw) obecny krzyż betonowy. Wykonał go i postawił p. Franciszek Wójcik z Pleszowa (a pochodzi z Kujaw z domu który stał blisko miejsca katastrofy). Pomagali mu młodzieńcy z Pleszowa.

Kilka szczegółów o p. Polesińskim podał p. Tomasz Rozpondek, rodem z Pleszowa (ur. 1905 r.), który służył od 1927 r. – do 1930 r. w II Pułku Lotniczym 22 Eskadra liniowa: Kraków-Rakowice, stare lotnisko. Tam też był porucznik – lotnik p. Polesiński. Pan Rozpondek zeznaje, że porucznik nosił medalik w czapce wojskowej i przy haubie wojskowej-lotniczej, krzyżyk. Codziennie chodził na mszę św. do kościółka przy lotnisku (X.X. Pijarzy). P. porucznik Polesiński, pilot i jego pomocnik-obszernik czynili loty służbowe z Krakowa do Lwowa w nocy. We Lwowie zrzucał meldunki i wracali do Krakowa. Wtedy wracali około godz. 2 w nocy samolotem PWS-26 (dwupłatowiec, 450 koni mech.) Był to październik 1931 r. Były mgły. Zniżył wysokość lotu. Wtedy cylindry w silniku samolotu zatarły się (jeden rząd), musieli lądować, ale samolot zawadził o drzewa nad Wisłą, oba skrzydła się oberwały. Samolot zapalił się, ale oni wyskoczyli i uratowali się.

Krzyż drewniany był zrobiony na lotnisku Kraków-Rakowice przez żołnierzy, przewieziony autem ciężarowym na Kujawy pod figurkę, a potem nieśli go żołnierze na miejsce. Są w Mogile 2 wota przy Cudownym P. Jezusie – małe samoloty – może jest na nich data katastrofy.

Lata: 1936-39

Różne szczegóły z życia parafii w tym okresie można znaleźć w księdze ogłoszeń prowadzonej przez proboszcza ks. Antoniego Góralika.

Rok 1939

1 września

Początek II Wojny Światowej. Niemcy hitlerowskie wtargnęły do Polski.

17 września

Sowieci w porozumieniu z Niemcami zajęli wschodnią część Polski. Po wejściu Niemców wytworzył się w Polsce ogromny popłoch. Ludzie uciekali na wschód. Dużo poginęło. Ksiądz Proboszcz nigdzie się nie ruszał z Pleszowa – i słusznie.

Rok 1944

Jesienią po upadku Powstania Warszawskiego część mieszkańców Warszawy osiedliło się w Pleszowie. Tutejsi ludzie przyciągnęli ich. Szczególnie zajmował się nimi tutejszy wikary ks. Stanisław Sikora. Potem warszawiacy powjeżdżali do Krakowa i gdzie indziej. Działo też w Pleszowie tzw. „podziemie”.

Rok 1945

9 maja

Koniec wojny. Niemcy pokonane. Polska jednak została pod wpływami Związku Radzieckiego.

10 maja (niedziela)

Dziś po południu o godz. 16.00 nabożeństwo majowe i dziękczynienie P. Bogu za to, żeśmy doczekali zwycięstwa nad Niemcami oraz zawieszenia broni na zachodnim froncie wojennym. Po nabożeństwie procesja z Najśw. Sakramentem i „Te Deum”. Cała parafia wzięła masowo udział w tym nabożeństwie.

19 października

O godz. 8.00 odbyło się nabożeństwo żałobne za poległych na wojnie, a szczególnie rozstrzelanych na Forcie Krzesławickim w czasie okupacji, gdzie zginęło 400 osób przywiezionych z Krakowa.

Rok 1947

1 listopada

Odbyło się nabożeństwo żałobne na Forcie Krzesławickim za pomordowanych.

Lata: 1947-1963

Dalsze szczegóły z tego okresu znajdują się w „Księdze ogłoszeń”. W tym okresie sprawiono dwa nowe dzwony, dużo starań włożył p. Wojciech Kowal z Pleszowa i p. Michał Paluch z Kujaw. Starania czynił ks. Jan Kuś, wikary tutejszy. W tym też okresie otynkowano kościół z zewnątrz (p. Józef Krupa z Krzesławic). Sprawiono też inne rzeczy, np. szaty liturgiczne.

Rok 1963

1 sierpnia

Przybyłem do Pleszowa (x. Jan Hyc) z Karniowa, jako kooperator adiutor. Dotychczasowy proboszcz ks. Antoni Góralik oddał mi Duszpasterstwo w Kościele, kancelarię, kasę kościelną. Sam prowadził gospodarstwo jako proboszcz nieusuwalny (wg. poprzedniego Prawa Kanonicznego). W tym dniu przybył też ks. Stanisław Dziedzic jako wikary zwykły. Objął nauczanie religii w Luboczy. Na nabożeństwa do Luboczy w niedziele i święta jeździliśmy na przemian.

29 września

Rozpoczęła się w Rzymie druga część Soboru Powszechnego Watykańskiego II-go. Przez październik tutaj parafia zbierała modlitwy i dobre uczynki spisywane na kartkach. Odesłano do Częstochowy z początkiem listopada, a z Częstochowy do Rzymu – jako dowód naszego wsparcia Soboru.

17 listopada

Wprowadzono na stałe Mszę św. wieczorną o godz. 18.00 ze względu na robotników. Były bowiem baraki robotnicze tuż za Pleszowem (na dawnych polach plebańskich) tzw. „Meksyk” dla około 3000 robotników. Raz w miesiącu wyjeżdżali do rodzin a w inne niedziele zapelniali tutaj kościół. Przystępowali też b. licznie do spowiedzi i Komunii św. w Adwencie i w W. Tygodniu.

Parafia obejmowała – jak od wieków: Pleszów, Kujawy, Krzesławice, Luboczę i Grębałów. Nauka religii była w Pleszowie w salce nad zakrystią, w Luboczy – w kaplicy u Sióstr Norbertanek i w Krzesławicach – w domu prywatnym (w Dworku Matejki u p. Burzyńskiej). W Krzesławicach była religia do 1961 r. Potem p. Burzyńska dała Dworek Akademii Sztuk Pięknych i zaczęto Dworek remontować jako muzeum Jana Matejki, który ten dworek kupił pod koniec XIX w., ale potem go sprzedał p. Cybulskiemu (p. Burzyńska była z d. Cebulka). Tak więc dzieci z Krzesławic nie miały na religię miejsca i chodziły do Mogiły lub do Bieńczy. Chodząc po koledzie w latach: 1963-64 w Krzesławicach, na Wzgórzach oraz os. Na Stoku chciałem się zorientować, gdzie można by uczyć religii.

Rok 1964

28 maja

Uroczystość Bożego Ciała, procesja po tzw. „rynku”. Uzyskano pozwolenie od władz. (W czasie wojny i po wojnie dotąd, procesja odbywała się koło kościoła).

W Krzesławicach wynajęłem izbę w stanie surowym u p. Wincentego Musiała i tam odbywała się katechizacja około 2 lata. Na Wzgórzach zacząłem remontować izbę u p. Cebulskiego (i p.p. Burnetków). Kupiłem płyty pilśniowe, trochę desek, i miałem tam rozpocząć religię dla dzieci ze Wzgórz i Stoków w IV lub V, ale Władze się dowiedziały, wstrzymano remont, i wtedy to przeniosłem te materiały do Grębałowa, wynajęto izbę u p. Fortunowej, gdzie utworzono salę katechetyczną. Uczył ks. Stanisław Dziedzic. Potem przeniesiono nauczanie do p. Podsiadło w Grębałowie na kilka lat, a w końcu do p. Kota.

3 sierpnia

Pięćdziesiąta rocznica wybuchu I Wojny Światowej (1 VII 1914). Msza św. za poległych odbyła się na cmentarzu w Pleszowie.

1 września

25-ta rocznica wybuchu II Wojny Światowej. Msza św. za pomordowanych na cmentarzu.

20 września

W Mogile 700-lecie konsekracji kościoła – bazyliki. Było dużo naszych parafian. Równocześnie zakończenie odpustu w Mogile na Podwyższenie Krzyża św. (teraz zawsze przez 8 dni: od 14 do 22 września)

Listopad

Dzieci ze Wzgórz i ze Stoków przeważnie uczęszczały na religię do Bieńczyc. Tam też z tych osiedli odbywały się przeważnie chrzty, śluby, pogrzeby. Z początku mieszkańcy tych osiedli (ludzie przeważnie z dalszych stron) nie mogli pojąć dlaczego należą do Parafii Pleszów. Była tendencja, by te dwa osiedla przyłączyć do Bieńczyc. A przecież te osiedla są na polach Krzesławic, które od wieków należą do Pleszowa. Zresztą parafia Pleszów miała obowiązek zająć się tymi ludźmi i w tym kierunku szła praca z Pleszowa. Stworzono dla tych osiedli Duszpasterstwo (w b. ciężkich warunkach) a potem powstała (w 1981 r.) tam parafia. (...)

Była taka myśl, by utworzyć w pobliżu cmentarza „Grębałów” ośrodek duszpasterski dla Wzgórz łącznie z Luboczą, ale to się nie powiodło. (...) Ks. Kardynał Karol Wojtyła polecił, by Luboczę dalej obsługiwał Pleszów. (...) Wtedy w Luboczy wybudowano nową szkołę. Stary budynek miano przeznaczyć na przedszkole, które prowadziły Siostry Norbertanki w swoim starym domku w ogrodzie. Przeniosły przedszkole do swego domu (3 pokoje na parterze – za kaplicą). W tym czasie usuwano Siostry ze szpitali i z przedszkoli. Tak więc przedszkole w Luboczy objęły osoby świeckie. Władze przeniosły przedszkole do nowej szkoły. Wtedy to ks. Wyporek (za zgodą Sióstr) szybko połączył te 3 izby w jedną całość urządzając kaplicę, gustownie łącząc ją z dotychczasową kaplicą. Ks. Wyporek w porozumieniu z Siostrami wystawił w ogrodzie na miejscu starego, zniszczonego domku, nową ładną plebanię murowaną.

16 grudnia

Zmarł ks. kanonik Antoni Góralik, był tu proboszczem przez 30 i pół roku. Pogrzeb odbył w sobotę 19 XII o 11.00. Prowadził J.E. Ks. Karol Wojtyła, arcybiskup, Metropolita Krakowski, uczestniczyło wielu księży. Ks. Antoni Góralik został pochowany na cmentarzu w Pleszowie.

Rok 1966

1000-lecie Chrzta Polski.

Odpust zyskuje się w katedrze na Wawelu w Krakowie. Ojciec Św. Paweł VI ogłosił Nadzwyczajny Jubileusz na zakończenie Soboru Watykańskiego II.

15 kwietnia

Rok obecny jest bardzo ważny w Polsce. Jest to 1000-lecie Chrzta Polski, który to Jubileusz obchodziła każda parafia.

U nas był taki porządek:

17.45 – wspólna modlitwa parafian

18.00 – biją wszystkie dzwony przez 10 min.

18.15 – „Te Deum laudamus”

18.30 – Msza św. dziękczynna

8 maja

Obchód 1000-lecia Chrzta Polski w naszej archidiecezji – łącznie z procesją św. Stanisława z Wawelu na Skałkę. Tam specjalne modlitwy dziękczynne z licznie przybyłymi biskupami i wielką rzeszą wiernych. Przez cały rok – szczególnie w niedziele – modlitwy dziękczynne.

28 sierpnia

Pielgrzymka mężczyzn i młodzieńców do Częstochowy.

4 września

Pielgrzymka parafialna na Wawel do grobu św. Stanisława w 1000-lecie Chrzta Polski. Tam o godz. 16.00 odśpiewaliśmy nieszpory dziękczynne. Nasi wierni (około 200 osób) bardzo pięknie śpiewali nieszpory.

15 października

Pielgrzymka do Kalwarii.

31 grudnia

Uroczyste zakończenie tej rocznicy.

O godz. 24.00 Msza św. z prośbą o błogosławieństwo Boże w nowym 1000-leciu.

W tym też roku obchodził tut. proboszcz ks. Jan Hyc 25-lecie święceń kapłańskich (1941-1966).

Rok 1967

Odnowienia malowania wnętrza kościoła. Malowanie to pochodzi z 1927 r., wykonał je p. Giebułtowski. Wnętrze kościoła i to malowanie obecnie bardzo zakurzone na skutek działań dymów z Kombinatu Huty im. Lenina. Wznosi się ona tuż na północ od Pleszowa – około 300 m. Gdy przychodzą wiatry północne i zachodnie – b. częste, wszystkie dymy i pyły „wałą” na Pleszów i wszędzie się wciskają. Od wschodu i północnego wschodu zanieczyszczają Pleszów pyły z Cementowni, a od południowego-wschodu – wysypisko żużli wielkopieczowych tzw. „Hałda”, zaś od południowego zachodu – osadniki brudnych wód, odprowadzanych z kombinatu rurami. Połowa Kujaw już jest zajęta pod te osadniki – b. duże stawy. Odnawianie malowania wnętrza kościoła trwało: od maja 1967 r. – do października tegoż roku. Ołtarz główny – marmurowy – jak również posadzka marmurowa w kościele, pochodzą z kościoła W.W. Świętych z Krakowa. Kościół ten stał między klasztorem O.O. Franciszkanów a klasztorem O.O. Dominikanów. Władze austriackie w czasie rozbiórów Polski – pod koniec XVIII wieku rozebrały w Krakowie kilka kościołów – między innymi i kościół W.W. Świętych. (...) Pod koniec XVIII wieku przybyły do Krakowa (chyba z Bawarii) bogate rodziny kupieckie Kirchmajerów i osiedliły się na ul. Grodzkiej, a więc w parafii W.W. Świętych. Kupili potem dwory koło Krakowa: w Krzesławicach i w Pleszowie (a więc w tut. parafii). W tym czasie (1799 r.) bracia Czartoryscy (Józef i Kazimierz?) – właściciele Pleszowa zaczęli wznosić obecny kościół murowany w Pleszowie. Poprzedni był drewniany między zakrystią a plebanią – orientowany na wschód – otoczony cmentarzem grzebalnym. Są ślady starego cmentarza, znajdowano b. dużo kości ludzkich przy różnych wykopach – np. zakładaniu słupów elektrycznych. Właściciele dworu w Pleszowie – Czartoryscy – sprzedali dwór i pole p. Kirchmajerowi (Kirchmajerowie mają nagrobki w kościele pleszowskim). To było około 1805 r. Kościół w stanie surowym ukończono około 1806 r.P. Kirchmajer – jako kolator – opiekun kościoła, zajął się wykończeniem wnętrza i wtedy to sprowadził z Krakowa ze swej parafii W.W. Świętych: ołtarz główny marmurowy i posadzkę marmurową. Chrzcielnica marmurowa (z 1750 r.?) pochodzi ze starego kościoła, jak również obraz Matki Bożej (ok. 1500 r.), krzyż duży w bocznym ołtarzu i ołtarz św. Anny (1600 r.) tryptyk renesansowy b. piękny.

12 marca

Odbyła się Wizytacja Kanoniczna: Pleszów i Lubocza. Wizytował osobiście J.E. Ks. Arcybiskup Karol Wojtyła. W kościele parafialnym błogosławił rodziny, młodzież i dzieci, 13 marca odprawił Mszę św. w kaplicy u Sióstr w Pleszowie. Odwiedzał chorych po domach: w Luboczy i Grębałowie, w Krzesławicach i na Wzgórzach i Stokach, wreszcie w Pleszowie i na Kujawach gdzie udzielił Sakramentu Bierzmowania na wpół sparaliżowanemu młodzieńcowi Marianowi Wójcikowi. Dnia 14 marca był w Luboczy, gdzie odbyła się msza św. i spotkania.(...)

Czerwiec

Nasz Arcybiskup Karol Wojtyła otrzymał w Rzymie godność kardynalską z rąk papieża Pawła VI. (...)

Tymczasem rodzice ze Wzgórz i ze Stoków przyjeżdżali do Pleszowa z zapytaniem, dlaczego parafia nie organizuje nauczania religii na Wzgórzach. Nie było gdzie się zaczepić. Chciałem wynająć garaż pod blokami – nie pozwolono. Chciałem wynająć budynek przy ul. Kocmyrzkowskiej, ale też nie pozwolono. Wtedy to udało się wynająć 1 izbę u p. Barbary Miś, w drugiej połowie tego domu mieszkała jej córka Jędrszczykowa z mężem Idzim i dziećmi. Pani Misiowa wynajęła pokój, do którego wchodziło się przez kuchnię. Ona była chora na nogi i mieszkała w tej kuchni. Religia rozpoczęła się 2 października. Przyszło na pierwszą religię 3 (troje) dzieci, potem coraz więcej, tak, że do grudnia było już 500 dzieci. Toteż odprawiłem na pierwszy piątek miesiąca Mszę św. Komunię przyjęło około 30 dzieci. Wtedy to odczułem, że Najśw. Serce Boże pobłogosławi rozwój tego Ośrodka Duszpasterskiego. W całym tym dziele (od 1967 r. do 1977 i później) widać tę szczególną pomoc Bożą i opiekę N. Marii Panny. Po tym pierwszym piątku miałem być przeniesiony do Krzęcina, ale uprosiłem Ks. Kardynała Wojtyłę, abym został w Pleszowie dla rozwijania Duszpasterstwa na Wzgórzach. Ks. Kardynał się zgodził. (...) Izba była mała, p. Misiowa chora na nogi, a dzieci nanosiły błota, a potem w grudniu – śniegu. Trudno jej było sprzątać. Dojście też było utrudnione przez głębokie wykopy i tory kolejowe. Szukałem więc innego miejsca na nauczanie. Poszedłem znów do domku p. Cebulskiego, gdzie mieszkał p. Wojciech Burnetko (chorowity na „trzęsienie”) w dużej izbie. Chodził do pracy na pół etatu, tak, że go prawie w mieszkaniu nie było. Miał tylko tapczan, szafę i żelazny piecyk. Wynajął nam tę izbę (2/3 izby), którą przedzielono kotarą, wstawiono ławki i tu od 15 I 1968 r. – do 10 V 1969 r. odbywała się katechizacja. Zgłosiło się około 1500 dzieci, bo miejsce b. dogodne – tuż pod blokami, tylko warunki higieniczne, p. pożarowe i inne były b. trudne.

Rok 1968

Na wiosnę wyremontowano drugą izbę (deski z Pleszowa, po malowaniu kościoła). Tam postawiono prowizoryczny ołtarzyk, odprowadzano pierwsze piątki, a nawet w marcu odbyły się rekolekcje wielkopostne dla dzieci (głosił je ks. Stan. Mardula). Takie same rekolekcje były w marcu 1969 r.

W jedną niedzielę maja 1968 r. odprawiłem Mszę św., przyszło dużo ludzi, ale zrobił się ruch, władze się zainteresowały. Wy tłumaczyłem, że była „wywiadówka”, spotkanie z rodzicami przed I Komunią św. Potem już nie odprawiałem niedzielnych nabożeństw, bo chciałem utrzymać nauczanie. (Były b. wielkie trudności). (...) W tym czasie p. Burnetko zmarł, musiałem znów szukać nowego pomieszczenia. Udało się wynająć pomieszczenie u p. Stanisława Gajocha – na końcu Grębałowa na tzw. „Niebyle” – przy granicy Kantorowic. Tam mieszkali p.p. Lizakowie – staruszkowie. Sprzedali tę realność p. Gajochowi z Pleszowa. Miał on w Pleszowie duże gospodarstwo, ale przy rozbudowie Kombinatu Huty im. Lenina wysiedlono go. Nie chciał iść w Bieszczady ani na Ziemię Zachodnią i kupił tę realność od p.p. Lizaków. Mieszkali oni w domku, bo mieli wymówione dożywocie, zajmowali 2 izby. W sieni była kuchenka, w której hodowali kury – wychodziły przez okno na podwórze. Kuchenka i sieni były bardzo zagnojone, w drugiej połowie domku (2 izby) mieli magazyny.

Pan Stanisław Gajoch pobudował stajnię murowaną oraz stodołę drewnianą i tu umieścił swój żywy inwentarz z Pleszowa (krowy, konia). Mieszkanie otrzymał w blokach na Wzgórzach (miał żonę, 2 córki i 2 synów). Jego teściowa Katarzyna Pyrlikowa, b. zacna osoba przemówiła do p. Gajocha, by mi wynajął domek na religię. Była b. pracowita, prowadziła p. Gajochowi gospodarstwo – dokąd jej sił starczyło.

Rok 1969

Lizakowie poumierali i wtedy to wynajmłem od p. Gajocha domek na religię. Dwie izby po Lizakach złączone i tak powstała dość duża sala (4 x 8 m) na nauczanie religii. Dużo mi pomagał w remontach tak w domku p. Cebulskiego (Burnetków) jak i tu p. Stanisław Satława z Karniowa (mojej poprzedniej parafii – przyjeżdżał do mnie i pracował w Pleszowie na plebanii).

9 maja

Naukę religii przeniesiono z domku Cebulskiego do p. Gajocha (Grębałów – na „Niebyle”). Potem p. Gajoch wynajął drugą stronę domku. W jednej izbie było mieszkanie dla ks. wikarego, a potem kancelaria parafialna. W drugiej izbie była salka. W kuchence – sieni wybito drzwi na północne podwórze, dobudowano ganek, który potem służył jako ołtarz polowy. Od razu zaczęto odprawiać Msze św. w niedziele i święta dla dzieci i ich rodziców (o godz. 8.00 i 11.00). Zgłosiło się już około 2500 dzieci. Były b. wielkie naciski, by zlikwidować Msze św., ale przy pomocy Bożej przetrwalimy i praca Duszpasterska rozwijała się pod opieką Niepokalanego Serca Najśw. Marii Panny. Pewnego razu na religii o godz. 8.00 chłopiec ze Stoków – III kl. przyniósł rulonik i przerażony mówił, że znalazł go w śmietniku. Był to obraz Niepokal. Serca Marii, oleodruk, około 30x40 cm. Wzruszony wziąłem ten obraz, chłopca pochwalilem, że przyniósł, obraz oprawiłem w ramki i długo N. M. Panna nam Patronowała. Obchodzono też przez kilka lat „odpust” na Niep. Serce Marii.

Lata 70

Gdy w 1977 r. zaczął powstawać kościół na Wzgórzach, J. E. Ks. Kardynał i ks. proboszcz Jakub Gil, który przejął to Duszpasterstwo ustalili, że patronem będzie „Miłosierdzie Boże”. Matka Najświętsza doprowadziła całe Duszpasterstwo do P. Jezusa. „Z Synem swoim nas pojednaj”. Na Wzgórzach uczyłem sam i pomagała Siostra Norbertanka z Luboczy. Potem do Pleszowa – jako wikary – przyszedł ks. Franciszek Truty, po roku osiadł na stałe na Wzgórzach (u p.p. Nosków w Kantorowicach, około 300 m. od ośrodka katechetycznego). Uczył teraz przeważnie na Wzgórzach i bardzo pięknie prowadził dzieci, młodzież oraz duszpasterstwo. On dał podwaliny pod solidną pracę duszpasterską (od 1971 – do 1976 r.). Potem przyszedł ks. Franciszek Motyka, neoprezbiter, i ks. Józef Makselon. Ks. Motyka stworzył zespół muzyczny z młodzieżą i poprowadził pracę po linii ks. Trutego. Potem wikarymi byli: ks. Władysław Kowczak (mieszkał w domku na Wzgórzach), ks. Wacław Gubała (b. lubiany przez dzieci), ks. Czesław Małysa oraz ks. Józef Zajda. Dzięki Bogu i na skutek pracy w/w księży pojawiły się powołania zakonne i kapłańskie. Około 5 dziewcząt wstąpiło do Zakonów, a kilku młodzieńców – do Seminarium Duch. (...) Ludzie z Grębałowa – przedtem złączeni z Duszpasterstwem w Luboczy, też przyłączyli się do Wzgórz, bo ośrodek duszpasterski dla Wzgórz był na końcu Grębałowa na tzw. „Niebyle”. To im zaimponowało, że na ich terenie powstaje kościół. Tak rozwijało się Duszpasterstwo na Wzgórzach. Były

wielkie naciski ze strony władz, by ten ośrodek zlikwidować, ale dzięki Bogu i opiece Niepokalanego Serca Marii wszystko zostało zwyciężone. Władze potem zgodziły się na odprowadzanie Nabożeństw. Były one w niedziele i święta: o 7.00, 8.00, 9.30, 11.00 i 12.00., a po południu o 17.00. Udzielano chrztów, odbywały się śluby oraz pogrzeby. Były też naciski na p. Gajocha, by nam wypowiedział dzierżawę (była zawarta najpierw na 3 lata, a potem przedłużona na 10 lat). P. Gajoch pracował w Mleczarni w Krzesławicach, gdzie zrobił udoskonalenia i miał mieć awans, ale ponieważ umowy nie zerwał, został w pracy zdegradowany o 1 stopień. Władze chciały mu odebrać mieszkanie w bloku (że nie wolno mieć 2-ch mieszkań). Bronilem go przez adwokata Rozmarynowicza i sprawa poszła do Warszawy. (Dwa razy p. Gajoch tam jeździł z pismami). Tam wyjaśniono, że ma jedno mieszkanie w bloku, a tam w „domku” ma gospodarstwo i „ogródek działkowy”.

W tym też czasie (około 1971 r.) powstało Duszpasterstwo w Nowej Hucie – Mistrzejowicach. Mistrzejowice należały do parafii Raciborowice i tutejszy wikary ks. Józef Kurzeja zaczął organizować Duszpasterstwo w baraczkach „Zielona budka”. Ludzie na Nabożeństwach stali na polu przez kilka lat. Władze chciały koniecznie i Wzgórz i Mistrzejowice zlikwidować. Zaczęły się kolegia karne tak dla niego jak i dla mnie. Trzymaliśmy się razem, bo trudniej im zniszczyć dwie rzeczy naraz. Ja (x. J. Hyc) miałem 4 kolegia i miałem zapłacić kilka tysięcy kary. Ponieważ jednak nie miałem pieniędzy, przeliczono mi na 90 dni aresztu. Potem przez Kurię i adwokata poszły odwołania. Kary nie zniesiono, tylko „odroczone” i nigdy nie została egzekwowana. Ks. Kurzeja w Mistrzejowicach przetrwał, dostał lokalizację przy blokach (tam gdzie obecnie jest kościół). Wybudował salki katechetyczne i kaplicę. Będąc chory na serce, nie wytrzymał tych nacisków i dnia 15 VIII 1976 r. zmarł młodo mając 39 lat. Pochowany w Grębałowie, a potem przeniesiony do krypty pod kościołem w Mistrzejowicach. Naciski władz były też na J.E. Ks. Kardynała Karola Wojtyłę, że jeden ośrodek (Wzgórz) zatwierdzą, ale drugi musi ulec likwidacji. Ks. Kardynał podał jednak do zatwierdzenia Mistrzejowice wychodząc z założenia, że Wzgórz są już tak „zasiedziały”, iż nie da się ich zlikwidować i kiedyś też dostaną pozwolenie. Doszła jeszcze sprawa pieczęci parafii Pleszów na podaniach dla Mistrzejowic, co było tylko „fikcją”. Ale władze wykorzystywały to, mówiąc mieszkańcom Wzgórz, gdy jeździli do władz o pozwolenie, że proboszcz z Pleszowa oddał ich do Mistrzejowic. Stąd miałem dużo nieprzyjemności od ludzi, którzy nie rozumieli całej sprawy, a trudno było publicznie im to wytłumaczyć. Ale – dzięki Bogu i Matce Bożej – to wszystko minęło i są dwa kościoły: w Mistrzejowicach i na Wzgórzach. Dużo by było pisać o innych trudnościach, które też zostały przezwyciężone – są wiadome Bogu.

J. E. Ks. Kardynał Karol Wojtyła przyjeżdżał kilka razy na Wzgórz i odprawiał „Pasterkę”, a w kazaniach podtrzymywał ludzi w wytrwaniu przy słusznym zabiegach o budowę kościoła. (...) W roku 1976 odbyła się wizytacja kanoniczna w całej parafii: Pleszów, Lubocza, Wzgórz i Krzesławice. Wizytował sam J.E. Ks. Kardynał K. Wojtyła. Tu na Wzgórzach 2 II 1976 r. (o godz. 17.00) konsekrował 3 dzwony. W Krzesławicach – wsi, odprawiono dla chorych Mszę św. w sali katechetycznej (u p. Bieńka), a ks. Kardynał przemówił do chorych, było to też 2 II 1976 r. – ale o 9.00 rano. Tak się to wszystkim – również i zdrowym – podobało, że prosili, by ta Msza św. o godz. 9.00 była odprawiana odtąd w każdą niedzielę i święto. I tak się stało. Było to zapoczątkowanie nabożeństw w Krzesławicach. Na pamiątkę tego Nabożeństwa i pobytu w Krzesławicach J. E. Kardynała Karola Wojtyły ufundowali mieszkańcy Krzesławic tablicę pamiątkową i umieszczono ją na figurze „w środku wsi”. (Domek p. Bieńka – drewniany – został sprzedany, rozebrany, a na tej parceli wymurował domek p. Machaj). (...) Tak rozwijało się Duszpasterstwo na Wzgórzach. Księża wikarzy mieszkali w wynajętych mieszkaniach, a ja dojeżdżałem z Pleszowa, by prowadzić kancelarię oraz nabożeństwa w niedziele i święta. Od roku 1977 mieszkalem u sąsiada Franciszka Kozika. Dałem mu pewną kwotę pieniędzy, wymurował za to 2 pokoiki nad garażem i tam zamieszkałem. W czerwcu 1977 r. czułem się bardzo wyczerpany. J. E. Ks. Kardynał Karol Wojtyła radził mi, bym się przeniósł na inną parafię. Gdy za kilka dni poszedłem do niego, powiedział, bym się przeniósł do Pleszowa i bym tam pozostał, a na Wzgórz da innego, młodszego księdza. Tak też się stało. Wróciłem do Pleszowa, a Duszpasterstwo na Wzgórzach objął energiczny ks. Jakub Gil. Poprowadził je i prowadzi b. pięknie. Po roku (gdzieś w 1978) dostał lokalizację i to właśnie tam, gdzie przez półtora roku tworzyło się Duszpasterstwo, tj. w domku p. Cebulskiego i p.p. Burnetków. Ks. Jakub Gil w ciągu roku wybudował salki, plebanię. Pod plebanią połączono wszystkie piwnice w jedną dużą salę – kaplicę. Wkrótce potem (około 1980 r.) otrzymano pozwolenie na budowę kościoła. Został on wystawiony, a konsekracja odbyła się 7 VI 1987 r. Konsekrował J. E. Ks. Kardynał Franciszek Macharski. Na drugi dzień (8 VI 1987 r.) rozpoczęła się III-cia Pielgrzymka Ojca Świętego Jana Pawła II do Polski.

16 października 1978 r.

Na Konkławe w Rzymie został wybrany na papieża nasz Kardynał Karol Wojtyła. Przybrał imię: Jan Paweł II. Cała Polska przeżyła ten moment bardzo głęboko. Fakt ten zwrócił uwagę całego świata na Polskę. Szczególnie zostały podniesione na duchu kraje słowiańskie i cały blok wschodni.

Lata 80

Co roku po 22 stycznia (św. Wincentego, diakona i męczennika, patrona tut. kościoła) w niedzielę urządza się odpust ku czci tegoż patrona. Wierni, zwłaszcza starsi, znają i śpiewają pieśni ku czci św. Wincentego:

„Anioł – Wincenty, śliczność – Wincenty!
Przy niewinności kondorze,
Godzien zawsze być w honorze – Wincenty.

(Stara pieśń, chyba z XVII lub XVIII wieku)

Śpiewają też tutejsi wierni piękne kolędy, już gdzie indziej nie znane, np.:

„Ej, byliśmy bracia, pastuszkowie w Betlejem”,
„O tej dobie, leżał w żłobie...”
„Przylecieli, tak śliczni anieli...”
„Najświętsza Panienska, gdy porodzić miała...”
„A przy łące, przy zielonej...”

Przyjeżdżali z sąsiednich parafii ludzie na ten odpust, by posłuchać tych kolęd. Był tu nawet zespół śpiewaków (ludzie starsi, mężczyźni i kobiety) od 1963 – do 1975 r. Śpiewali na 4 głosy, ćwiczył ich organista z Bronowic Małych – p. Bodzioch. Drugi odpust – ku czci Narodzenia Najśw. Marii Panny obchodzi się co roku po 8 września. W bocznym ołtarzu jest b. piękny obraz M. Boskiej – z XVI wieku(?). Przy tym obrazie było (od 1700 r.?) Bractwo Różańcowe. Obraz M. Bożej był łaskami słynący. W Aktach Wizytacyjnych: Cap. 67 k. 249 z 13 XI 1747 r. jest na ten temat notatka: „Imago praetiosa B.M.V, ut omnes parochiani asserunt. Wielu doznało łask – łaski spisane, ale jeszcze nie uznane przez Komisję Biskupią” Z Akt wyciągnął X. Augustyn Ciesielski opat z Mogiły, a rodem z Pleszowa.

Odbywało się i odbywa na „zapusty” 40-godzinne Nabożeństwo. Czasem było przez 3 dni. Najczęściej tylko w niedzielę zapustną od sumy do niesporów, bo w poniedziałek zapustny i we wtorek było to Nabożeństwo w kaplicy u Sióstr w Pleszowie.

23 listopada 1980 r.

Siostry Córki Bożej Miłości mieszkające w tutejszej parafii od 1930 r. (kupiły wtedy resztówkę dworu) obchodziły 50-lecie swego pobytu w Pleszowie. Siostry pomagają w parafii (gra na organach, troska o chorych, o szaty i bieliznę liturgiczną, dekorowanie Bożego Grobu, ołtarza na Boże Ciało). Mają około 50 dzieci upośledzonych, praca b. ciężka. Parafia ofiarowała im monstrancję. Dnia 20 kwietnia 1986 r. odbyła się uroczystość pożegnania Sióstr Córek Bożej Miłości, które najpierw prowadziły zakład dla dzieci normalnych – sierot. Po 1945 r. władze kazały im prowadzić Zakład dla Dzieci Upośledzonych (dziewczynek) z ramienia „Caritas”. Sióstr było około 22.

Rok 1981

Rok, w którym wydarzyły się bolesne sprawy:

13 maja – zamach na papieża Jana Pawła II w Rzymie na Placu św. Piotra.

28 maja – zmarł w Warszawie J. E. Ks. Kardynał Stefan Wyszyński, Prymas Polski.

13 grudnia – w Polsce wprowadzono stan wojenny, głównie skierowany przeciw „Solidarności”. Rozwijala się ona od 1980 r. bardzo pięknie. Cały Naród Polski odczuł ten zamach bardzo boleśnie.

W niniejszym „Pamiętniku” znalazły się liczne skróty i opuszczenia w stosunku do oryginału (dop.red.)



Ks. Jan Skarbek, ok. 1930 r.



Ks. Franciszek Korzonkiewicz, ok. 1928 r.



Ks. Franciszek Korzonkiewicz, ok. 1928 r.



Ks. Antoni Góralik, ok. 1958 r.



Ks. Leon Katana, lata 20. XX w.



Ks. Jan Hyc, lata 60. XX w.



Na plebani w Pleszowie po uroczystości odznaczenia Krzyżem Zasługi ks. proboszcza Franciszka Korzonkiewicza pracę społeczno-gospodarczą, 1930 r. Od lewej siedzą: Helena Ligenzianka, Genowefa Twaróg, p. Bzikiewicz, Maria Józefczak, Mieczysław Bitner, Stanisław Rosiewicz, Regina Bitnerowa, stoją: ks. Franciszek Korzonkiewicz i Jan Twaróg



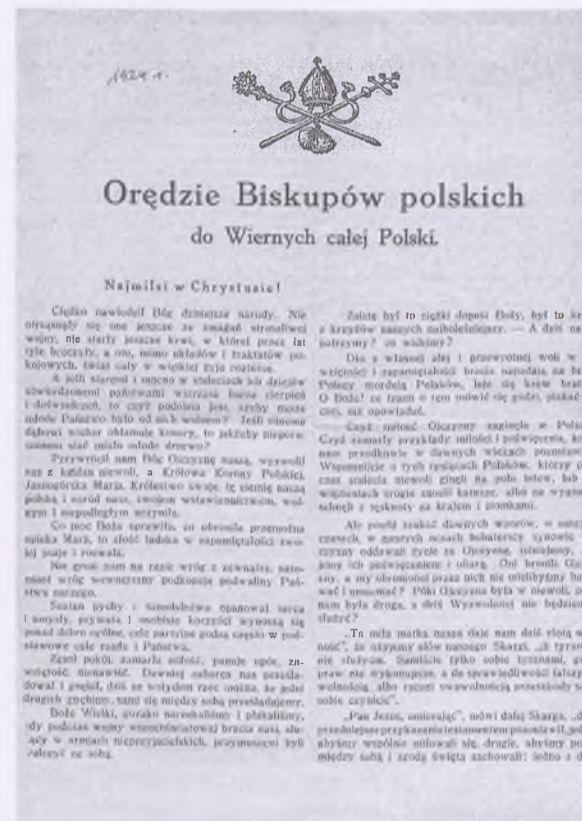
Ks. proboszcz Franciszek Korzonkiewicz w czasie gry w szachy, ok. 1930 r.



Ks. Jan Skarbek w otoczeniu rodziny i znajomych Franciszka Twaroga, Lubocza, ok. 1930 r. (Ks. Jan Skarbek był już wtedy proboszczem w Oświęcimiu, ale chętnie przyjeżdżał do Luboczy do Franciszka Twaroga w odwiedziny).



O. Alfons Wieczorek, administrator parafii w Pleszowie, zastępca gwardiana OO. Kapucynów z Krakowa, w otoczeniu rodziny i znajomych Franciszka Twaroga, Lubocza, 1926 r.



Orędzie Biskupów Polskich z 1924 r. Archiwum parafii w Pleszowie.



Kapitan Władysław Polesiński, lata 30. XX w.



Kościół w Pleszowie, lata 20-30. XX w.

Kościół w Pleszowie

Kościół pod wezwaniem św. Wincentego, pierwotnie drewniany został wzniesiony za czasów Bolesława Śmiałego z fundacji dziedziców pleszowskich w XI wieku. Konsekrowany przez Biskupa Krakowskiego św. Stanisława ze Szczepanowa. Obecnie murowany zbudowany na planie krzyża łacińskiego w latach: 1800 – 1806.

Konsekrowany przez Wikariusza Apostolskiego w Krakowie – Biskupa Antoniego Sołdeckiego.

Prezbiterium jest nakryte sklepieniem beczkowym, wspiera się na czterech kolumnach jońskich. Ołtarz główny marmurowy, późnobarokowy zakupiony z kościoła parafialnego Wszystkich Świętych w Krakowie. W nim obraz św. Wincentego diakona i męczennika. Po bokach ołtarza są dwie figury rzeźbione w drewnie św. Anny i św. Joachima, u góry w owalu św. Jan Nepomucen – obraz, i wyżej Ofiarowanie Najświętszej Maryi Panny. W kościele znajdują się także dwa ołtarze boczne rokokowe, w jednym obraz Matki Bożej z Dzieciątkiem okryty metalowymi sukienkami posrebrzany z XVII wieku. W drugim Pan Jezus Ukrzyżowany naturalnej wielkości z XVII wieku. We wnętrzu tego kościoła znajdują się ołtarze; św. Anny w formie tryptyku, późnorenansowy po 1600 r., św. Józefa późnobarokowy z XVIII wieku pochodzący z kościoła Cystersów w Mogile. We wnętrzu kościoła można podziwiać obrazy św. Walentego z pierwszej połowy XVII wieku i św. Marii Magdaleny z końca XVIII wieku, organy klasycystyczne z 1848 roku, chrzcielnicę marmurową barokową z 1766 r., ambonę drewnianą, pomniki grobowe rodziny Kirchmajerów.

Ciekawym elementem architektonicznym jest attyka frontowa, przylegająca obustronnie na froncie kościoła, a po obydwu stronach na skraju umieszczone są cztery konchy wykute w kształcie wazonów wykute w kamieniu piaskowym oraz dwa emblematy kielichów. Attyka obejmuje całą szerokość fasady i stanowi interesującą ozdobę kościoła, a razem z wieżą stanowi pięknie dopełniającą się całość. Odnowienia Kościoła wewnątrz i na zewnątrz dokonano za Księdza Kanonika Stanisława Wajdziaka – proboszcza.



Ks. Kanonik Stanisław Wajdziak, proboszcz z Pleszowa na wystawie „Nowa Huta – najmłodsza siostra Krakowa”, lipiec 2007 r.



Odnowiony kościół w Pleszowie, 2006 r., fot. Adam Gryczyński

Punkt katechetyczny w Grębałowie (na Wzgórzach Krzesławickich)

Zawarcie umowy dnia 2 kwietnia 1969 roku pomiędzy ks. Janem Hycem – proboszczem parafii pleszowskiej a Stanisławem Gajochem – właścicielem posesji w Grębałowie na dzierżawę punktu katechetycznego zostało bardzo niechętnie przyjęte przez Komitet Krakowski PZPR oraz ówczesne władze dzielnicowe w Nowej Hucie. Umowa ta bowiem została spisana na okres 10 lat, co dodatkowo nie spodobało się władzom komunistycznym przejawiającym wrogi stosunek do Kościoła.

Po rozpoczęciu przez dzieci lekcji religii próbowano za wszelką cenę zlikwidować punkt katechetyczny, przesłanując zarówno księdza Jana Hycę, jak i Stanisława Gajocha właściciela gruntu i pomieszczeń wykorzystywanych na salki do nauczania religii. Ojciec nie łatwo dał się zastraszyć, ponieważ tuż po wojnie miał do czynienia z funkcjonariuszami Urzędu Bezpieczeństwa, kiedy to dwukrotnie był aresztowany za swoje przekonania polityczne, a następnie podczas wywłaszczenia z ojcowizny zabranej pod kombinat metalurgiczny w rodzinnym Pleszowie. Wymierzone wtedy przeciwko takim jak on hasło: „Niszcz kułaka!”, mobilizowało go do walki z systemem przewrotnie nazwanym „ustrojem sprawiedliwości społecznej”. Szykanowani – podobnie jak Ojciec – właściciele posesji od których ks. Jan Hyc wcześniej dzierżał pomieszczenia na naukę religii wytrzymywali po trzy miesiące udręki ze swymi prześladowcami. W pewnym sensie tę działalność katechetyczną można było porównać z latami niebezpiecznej konspiracji i kompletami tajnego nauczania w czasie II Wojny Światowej, w których zresztą brali udział niektórzy rodzice uczniów chodzących wówczas na religię. Ojciec dzierżał placówkę katechetyczną przez 12 lat, aż do chwili wydania zezwolenia na budowę kościoła na Wzgórzach Krzesławickich.

Władze komunistyczne nigdy jednak nie pogodziły się z „postawieniem na swoim” przez ich oponenta. Ponowny atak zaczął się pod koniec 1969 roku, w okresie, kiedy to ksiądz Proboszcz Jan Hyc z parafianami wybudował ołtarz, zaadaptował na kaplicę kolejne pomieszczenie i zaczął tam regularne odprawiać msze święte. Wówczas Wydział ds. Lokalowych znalazł paragraf na właściciela posesji, którego treść mówiła iż na terenie PRL-u nie wolno posiadać dwóch lokali mieszkalnych. Nie pomagały żadne argumenty i prośby ani odwołania do władz krakowskich. Ostatecznie w 1971 roku Wydział ten wysłał do Ojca nakaz eksmisji z zajmowanego mieszkania w bloku na które dostał przydział w 1961 roku po wywłaszczeniu z Pleszowa, a teraz w ciągu zaledwie 7 dni miał się z niego wyprowadzić wraz z całą 6-cio osobową rodziną do Grębałowa, do domu w którym odbywała się stała katechizacja i gdzie były odprawiane msze święte. Ojciec jednocześnie szantażując w macierzystym zakładzie pracy grożąc mu pod byle pretekstem zwolnieniem, a funkcjonariusze MO i SB ciągle go nachodzą o różnych porach dnia i nocy nalegając aby wreszcie odstąpił od umowy z ks. Janem Hycem na dzierżawę pomieszczeń.

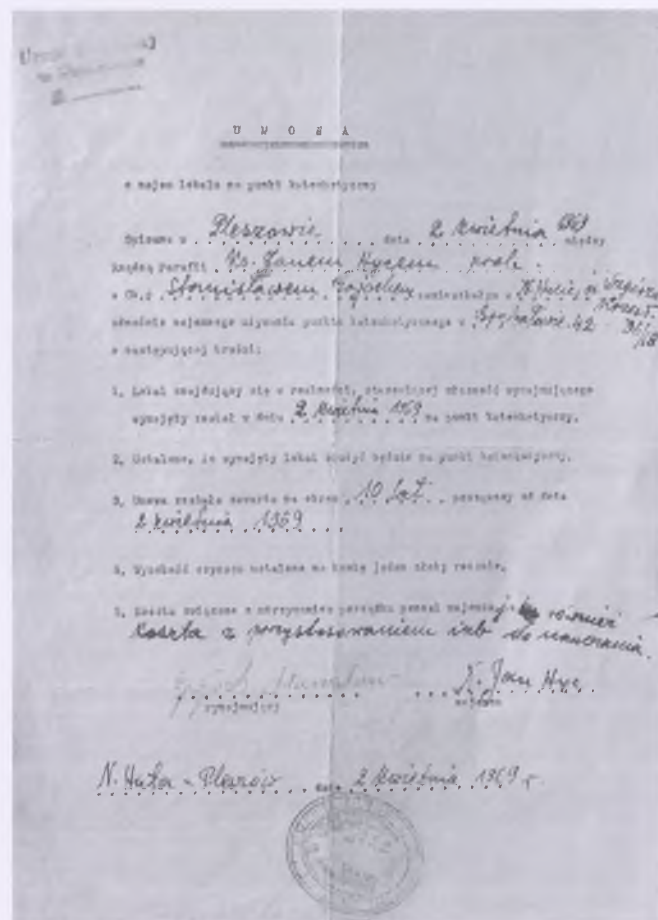
Te zmasowane (jawne i skryte) szykany wymierzone przeciwko Ojcu, przyniosły mu dziesiątki nieprzespanych nocy i ciężką chorobę, w efekcie której lekarz kieruje go na rentę, gdzie bezpowrotnie straci szansę na wypracowanie sobie wyższej emerytury. Represje wywołały u niego głęboki stres z którym musiał się borykać w obliczu grożącej mu eksmisji wraz z czworgiem dzieci w wieku szkolnym. Pamiętamy bardzo dobrze tę sytuację – to był wówczas ogromny dramat rodzinny.

Od eksmisji w końcu odstąpiono, gdy udał się do Centralnych Władz w Warszawie (jeździł tam dwukrotnie), ale nagła utrata pracy, nieustanne widmo funkcjonariuszy tajnych służb i wywieranie różnorodnych nacisków – to wszystko odbiło się bardzo niekorzystnie na jego zdrowiu i dalszym życiu.

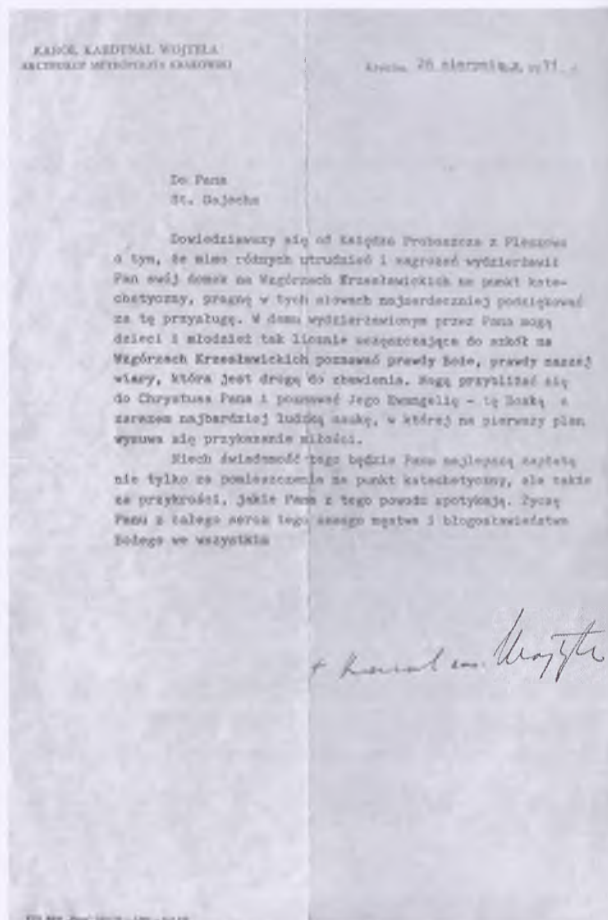
Ten sprzeciw, nieugięta postawa, walka o przetrwanie i polską tożsamość narodową (choć wtedy nie uświadamiano sobie tego tak wyraźnie jak obecnie) – były wpisane w kontekst instalowania we wszystkich sferach i na wszystkich szczeblach władzy sowieckiej oraz sytuacji naszego narodu aspirującego na przekór do życia w wierze katolickiej, w niepodległym państwie. To dobrze, że nasz Ojciec – Stanisław Gajoch walczył wówczas o wiarę o prawdę i o swoje ciężko wypracowane dobro materialne, dzięki któremu jako dzieci mogliśmy ukończyć szkoły, uczyć się religii, a mieszkańcy pobliskich osiedli mieli blisko do kościoła. Dziś wiemy, że warto było podjąć ten patriotyczny wysiłek, więc tym bardziej mamy prawo i moralny obowiązek o tym przypomnieć! Jesteśmy dumni z postawy naszego Ojca. W tamtych czasach jednak towarzyszył nam lęk nie tylko o egzystencję i przyszłość naszej rodziny, ale i o to, że nasza wiara i Ojczyzna jest ciągle zagrożona.

Zamieszczony tu list, który Ojciec otrzymał w 1971 roku od Metropolity Krakowskiego – Ks. Kardynała Karola Wojtyły stanowił dla niego szczególnie cenną pamiątkę i wsparcie – był bardzo ważny; dodawał mu siłę, otuchy, nosił go w sercu, a w ciężkich chwilach nawet trzymał przy życiu.

Maj 2008 r. Dzieci Stanisława Gajocha: Tadeusz, Bolesław, Halina i Joanna



Umowa o najem lokalu Stanisława Gajocha na punkt katechetyczny z dn. 2 kwietnia 1969 r.



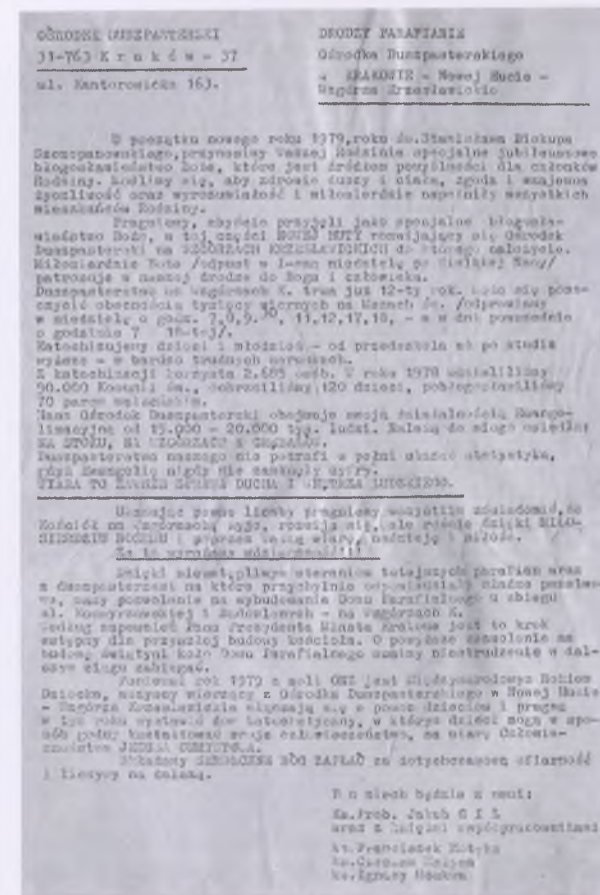
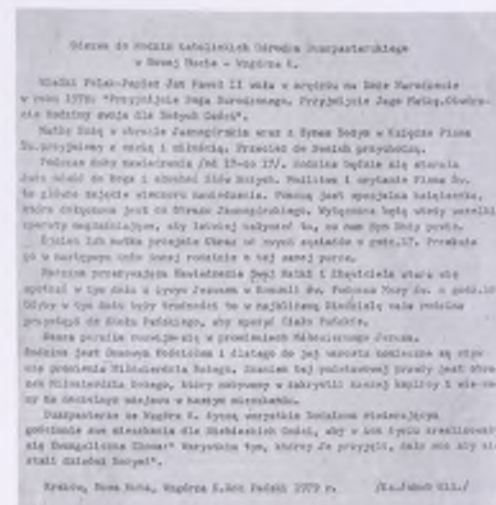
List Kardynała Karola Wojtyły do Stanisława Gajocha z 28 sierpnia 1971 r.

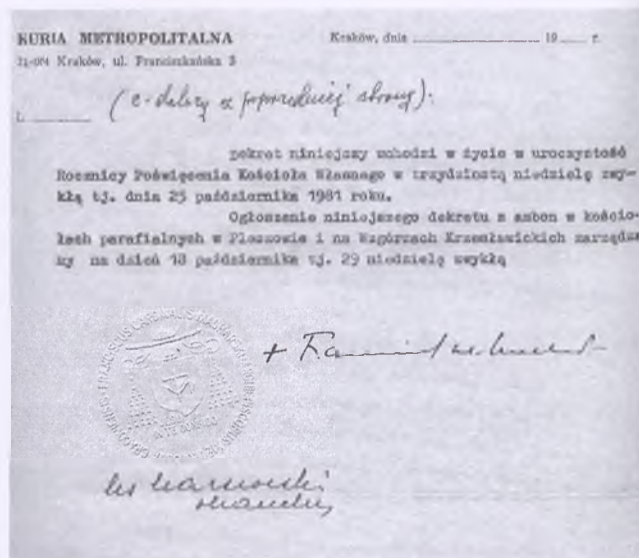
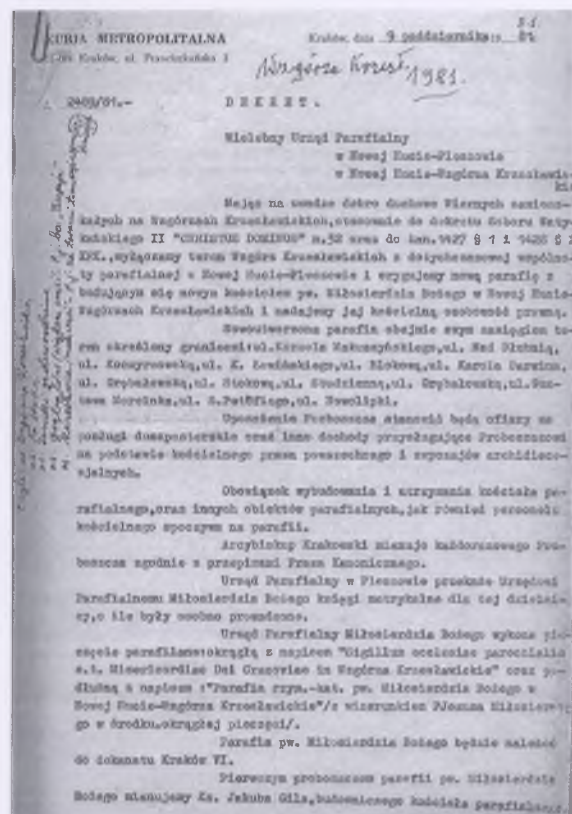


Punkt katechetyczny w Grębałowie (na Wzgórzach Krzesławickich), ok. 1970 r.



Punkt katechetyczny w Grębałowie (na Wzgórzach Krzesławickich), ok. 1970 r.





Dekret Kurii Metropolitalnej w Krakowie
z dnia 9 października 1981 r. erygujący parafię Miłosierdzia Bożego
w Nowej Hucie-Wzgórzach Krzesławickich



Widok z lotu ptaka na Wzgórze Krzesławickie z kościołem pw. Miłosierdzia Bożego, 1999 r., fot. Adam Gryczyński

Mała historia Pleszowa

Opracowanie Michała Cygana

Kronika szkoły

Na podstawie zapisków kroniki parafialnej można stwierdzić, że szkoła w Pleszowie istnieje od 1595 roku. Czy istniało tu nauczanie wcześniej, tego nie wiadomo, bo kronika szkolna zaginęła w okresie pierwszej wojny światowej. W aktach wizytacji parafii pleszowskiej dokonanej przez ks. biskupa Krzysztofa Kazimierskiego w 1595 r. zapisano, że „proboszcz ks. Adam Jastrzębowski ma dom dla kierownika szkoły z ogrodem i małym sadem, i płaci mu rocznie 4 floren”. (Archiwum parafialne Ks. II str. 31 i 32). Gdzie ten dom stał i jaki był, o tym wzmianki nie ma. Następna informacja z 1618 roku dotyczy wizytacji parafii przez ks. Jana Foxa, doktora obojga praw, archidia-kona krakowskiego, w której zapisano, że „proboszcz ks. Stanisław Mołęda ma dom z ogrodem dla kierownika szkoły, płaci mu pensję roczną, a nadto z fundacji na zupach wielickich otrzymuje kierownik szkoły co kwartał 24 groszy”. (ibidem str. 40)

Lata 1618-1660. W pierwszej połowie XVII wieku w czasie najazdu Szwedów na Polskę, kościół, plebania i szkoła zniszczone i opustoszały (Arch.paraf. Ks.I str. 93)

Rok 1660. W tym roku jest w Pleszowie bakałarz, popularnie zwany przez mieszkańców Pleszowa „bekalozem” (ibidem str. 93)

Rok 1728. Kierownikiem szkoły jest organista, jest też wzmianka, że ma dobry dom mieszkalny. (ibidem str. 49)

Rok 1747. w księdze parafialnej czytamy: „Z inwentarza probostwa w Pleszowie jest szkoła albo rezydencja dla organisty. Wchodząc do tej są drzwi na zawiasach ze skubłem w sieni po lewej ręce. Są drzwi do izby na zawiasach i hakach z antabą żelazną. W tej izbie jest piec kaflowy i kominek, okna dwa w ołów oprawione. Z tej komnaty są drzwi na zawiasach i hakach w której jest okno jedno i drzwi na podwórze z gontów zrobione. Naprzeciwko tych izb jest piekarniczka mała. Na tej całej szkole powała dobra, krokwy, łąty i poszywka dobra, zaś do tej szkoły są chlewy i przykłapy przez organiste dawane i grodzone, jest kilka zagonów do organisty należących. Ks. Wikaremu i organiście płaci proboszcz bo fundacyi nie ma dla tego...”

Rok 1768. Opisany ów budynek szkolny zawalił się „ten cały budynek spadł” (Arch.paraf. Ks. III str. 69)

Lata 1780-90. W Pleszowie jest nauczyciel Stanisław Fudalski.

Lata 1819-36. Istnieje tu szkoła parafialna. Nie wiadomo kiedy założona. Nauczycielem jest w tym czasie Jacek Opfer ożeniony z Salomeą z Faborskich.

Rok 1867. Dnia 9 listopada donosi pleban parafii ks. Paweł Wiczowski do Władzy Konsystorskiej, że w parafii są dwie szkoły parafialne, jedna dla Pleszowa z Kujawami, druga we wsi Lubocza wraz z Grebałowem. Szkoły te mieszczą się w domach wynajętych (tymczasem). Do obu szkółek zapisanych jest przeszło 100 dzieci, które z ochotą na naukę uczęszczają. Nauczycielem jest Gabryel Szunke młodzieniec wzorowy, już drugi rok prawie, że za darmo uczy z wielką korzyścią dla dzieci, obecnie przez gromadę utrzymywany. Donosząc z największą radością Wysokiej Władzy Dycejsjalnej o utworzeniu szkółek, dzisiaj tak gwałtownie potrzebnych, nieomylną cieszę się nadzieją, że Najprzewielebniejszy Konsystorz Biskupi Najłaskawiej Opieki Swojej rzeczonym szkółkom nie odmówi”

Rok 1874. Dnia 31 sierpnia szkoła parafialna została zorganizowana jako jednoklasowa szkoła ludowa. Nauczycielem jest Jan Wojciechowski.

Rok 1875. Do szkoły uczęszczało 64 dziewcząt i 55 chłopców oraz 6 dziewcząt i 5 chłopców do szkółki niedzielnej.

Rok 1877. Nauka odbywa się w wynajętej izbie Maryanny Partyliny (Giza), w innym domu było mieszkanie dla nauczyciela. 5 listopada przyszedł nowy nauczyciel Władysław Kulka, a 10 list. odbyła się kolaudacja nowego budynku szkolnego wystawionego przez Pinkusa Atteslaudera, Żyda właściciela dworu za cenę 4.518 guldenów



i 50 cent. Parcele pod budowę szkoły, położoną od kościoła na zachód kupiła gmina od sąsiadów Kardasów. Budynek miał tylko jedną salę na 80 dzieci i mieszkanie dla nauczyciela złożone z 1 kuchni i 2 pokoi. Budynek ten miał od gościńca drewniany ganek obsadzony dzikim winogronem, był kryty gontami, na dachu była wieżyczka i dzwonek, którym dzwoniło na rozpoczęcie nauki. Dzwonek ten zarekwirowały wojska austriackie w czasie pierwszej wojny światowej w 1916 r. Od południa były dwie przybudówki, jedna służyła za spiżarnię, a druga za kłozety, przemieniona później na skład opału. Rada szkolna miejscowa była w Mogile, której podlegały szkoły: w Mogile, Czyżynach, Pleszowie i Luboczy. Ciążący dług należny za budowę wyegzekwowała Rada Szkolna Okręgowa od gminy grożąc przeniesieniem lubianego nauczyciela Władysława Kulki do Prądnika Białego.

Rok 1881. Istnieje już osobna Rada Szkolna miejscowa w Pleszowie. W roku 1881-2 było do niej zapisanych 155 dzieci.

Rok 1883. 17 sierpnia przybywa na miejsce Władysława Kulki Waleria Wilgówna jako nauczycielka.

Rok 1886. W tym roku jest w szkole 68 chłopców i 59 dziewcząt. Przybywa na zastępstwo Antonina Baczyńska, a od następnego roku zostaje na stałe po odprawie chorej poprzedniczki. 15 dziewcząt i 11 chłopców uczęszcza na naukę niedzielą. Ponieważ od 3 lat liczba dzieci przekracza 100 Rada Szkolna Okręgowa poleca podjęcie starań o drugą salę. W nauce pomaga praktykantka A. Groner.

Rok 1892. Od 1 września uczy po A. Baczyńskiej Kazimierz Zimowski, a od roku 1894 Karol Kozłowski.

Rok 1895. W szkole jest 148 dzieci. 77 chłopców i 71 dziewcząt.

Rok 1897. Kierowniczką szkoły jest Maria Zagórzańska siostra ks. Prałata Wojciecha Siedleckiego z Mogiły.

Rok 1899. Wielka powódź nawiedziła powiat krakowski. Kujawy wodą zalane.

Rok 1900. Dostawiono drugą salę naukową od wschodu z sionką i pokoikiem dla drugiej siły nauczycielskiej oraz wyremontowano cały budynek, zerwano gonty i pokryto dachówką za cenę 1097 koron 83 h. Liczba dzieci wzrosła do 190 więc przydano drugą siłę nauczycielską Zofię Szajdzicką, po niej w roku 1902 nastąpiła Helena Ligęza. Nauka jest bardzo starannie prowadzona. Wielki wpływ miał przybyły na stanowisko proboszcza w 1903 r. ks. Franciszek Wąsik, który nauczycielkom dzielnie pomagał. Za niego i na jego polecenie została kara chłosty w szkole zniesiona, trzcinki i kije służące do bicia którymi się jego poprzednik ks. Dz. Józef Rychlak posługiwał zostały z klasy usunięte. W składzie 2 nauczycielek stan taki dotrwał do 1914 roku, kiedy ustępuje na emeryturę M. Zagórzańska. Tymczasowe zastępstwo objął Karol Jankowski.

Od sierpnia 1914 roku do listopada 1918 roku toczy się wojna światowa. Ziemia polska jest widownią walk Niemców i Austrii z Rosją. Nauka w szkole jest często przerywana, a to z powodu ewakuacji gminy, zakwaterowania wojska, braku opału itp.

Rok 1915. Od 1 kwietnia kierownikiem szkoły został Wojciech Zawada, a od 1 września uczy 4 siły nauczycielskie. Wojciech Zawada i Helena Ligęzianka jako etatowi, a Maria Burzyńska i Ludmiła Zawadzianka jako nadetatowe siły nauczycielskie. Zwiększona liczba nauczycieli tłumaczy się znaczną ilością dzieci, zaniedbaniem nauki i chorobami z powodu wojny. Trzecią salę urządzono w budynku gminnym. Młodsze siły nauczycielskie były często zmieniane i tak np. w roku 1917/18 uczyły: Maciaszkówna, Kącka, Malawianka, Głębowna i Mazankówna.

Rok 1918. Po długich 123 latach niewoli powstaje Wolna Ojczyzna. Szkoła ludowa otrzymuje tytuł powszechnej. Toczy się jeszcze walki o Śląsk Cieszyński, nauka dopełniająca została zniesiona, a na jej miejsce dodany został 7 oddział nauki codziennej. Wprowadzono nowe plany nauczania.

Rok 1919/1920. Od 1 września 1919 pracuje Waleria Figwer, a od 1 maja 1920 roku przybywa w miejsce Wojciecha Zawady Jan Twaróg jako kierownik szkoły oraz Maria Józefczakówna w miejsce Ludmiły Zawadzianki. Są 4 siły nauczycielskie, liczba dzieci przekracza 200. Ludność odnosi się do szkoły bardzo życzliwie. Kierownikowi szkoły Rada Gminna uchwala na opał dla szkoły pożyczkę, by nauki nie przerywać w zimie, pożyczający rezygnują ze zwrotu pożyczki na rzecz szkoły. Dzieci pod względem grzeczności i zdolności według opinii kierownika szkoły są dobre, młodzież pozaszkolna poważna.

Rok 1923/1924. Szkoła cierpi na brak opału z powodu dewaluacji marki polskiej, jednak dzięki życzliwości gminy, szkoła miała na opał na 3 sale, gdzie uczyło się 5 oddziałów. Zima w roku 1923/4 była śnieżna i ostra, jednak nauka odbywała się regularnie. Szkoła otrzymuje 5 siłę w osobie Henryka Flisa. Młodsze dzieci z Kujaw odwożono na naukę sankami.

Lata 1924-1925. Liczba dzieci spadła poniżej 200 na skutek zmniejszenia ilości urodzeń i większej śmiertelności dzieci w wieku przedszkolnym. W 1924 dzieci jest 186, a w 1925 jest 170 zapisanych do szkoły. Od 1 września

1924 roku uczy żona kierownika Twaroga Genowefa z Wojnarowskich, a do Luboczy na jej miejsce odchodzi z Pleszowa Henryk Flis. 1 stycznia 1925 roku szkoła obchodzi uroczystie 10 lecia pracy ks. Jana Skarbka na stanowisku proboszcza parafii. Z dniem tym szkoła ma nadaną nazwę im. Hugona Kołłątaja. Z powodu wymiany pieniędzy z marek na złote (1.800.000 Mkp. za 1 złoty) ludność popadła w kryzys gospodarczy. Wymiana ta była wielce krzywdząca obywateli, brak pieniędzy daje się wszędzie odczuwać, ludność nie płaci podatków, a więc nie wpływają dodatki szkolne, brak gotówki na zapłacenie obsługi, opału i piece. Niejednokrotnie kierownik szkoły pokrywa te wydatki z własnej kieszeni co odbija się w trudności utrzymania rodziny. Ze względów oszczędnościowych z dniem 4 IX 1925 zostaje przeniesiona do Luboczy Waleria Figwerówna. Z końcem 1925 r. gmina zakupuje od p. Kochanowskiego Stan. 2 morgi gruntu za cmentarzem dla kierownika szkoły. Jest to początek organizowania zebrań rodzicielskich 2 – 3 do roku, jest współpraca rodziców, szkoły i proboszcza.

Rok 1926/1927. Kupiono od dziedziczki Kochanowskiej część parceli gdzie jest ogródek i stodoła służby kościelnej 600 m kw. Za cenę 505 zł (płaciła gmina Pleszów) a w zamian Rada parafialna odstąpiła z gruntów probostwa tą samą wielkość parceli dla szkoły, przez co powiększyło się podwórze szkolne, postawiono stodołę dla szkoły i wybudowano kłozety dla dzieci kosztem 700 zł (całe betonowe). (...) Uczą tylko 4 siły nauczycielskie: kier. Jan Twaróg, M. Józefczak, Genowefa Twarogowa i Helena Ligenza. Dzieci: 168.

Rok 1927/1928. Uczą te same siły nauczycielskie. Stan uczniów: 179.

Rok 1929/1930. Toczy się wystąpienie z wnioskiem kupna pałacu na szkołę rolniczą gdzie by było i pomieszczenie dla pewnych klas szkoły powszechnej lecz z powodu długu hipotecznego na całości majątku dworskiego w Banku Hipotecznym kupno do skutku nie doszło.

Rok 1931/32. Dzieci: 185. Nauczycielstwo bez zmian.

Rok 1933.. Dzieci 194. Dnia 22 II 1933 roku Helena Ligenzianka zostaje przeniesiona w stan spoczynku. Pozostają tylko 3 siły nauczycielskie.

Rok 1934.. Dzieci: 209. Przybył do nauczania nowy nauczyciel jako praktykant – Józef Handzlik.

Rok 1935. Dzieci: 196. Pracują te same siły.

Rok 1936. Dzieci: 189. Kierownik szkoły składa umotywowaną prośbę, że Kółko Rolnicze posiada 1000 zł gotówki na nadbudowę piętra na szkole, wniosek ten przedstawił Radzie szkolnej miejscowej

Rok 1937/1938. Prośbę o nadbudowę wniesiono do gminy Mogiła na ręce wójta inż. Cieśliewicza i jego zastępcy Rosiewicza. Plan opracował inż. powiatowy Strojka. Plan i kosztorys opiewał na sumę 21.000 zł. (...) Razem zebrano fundusz 14.600 zł. Materiały jak cegły i wapno zwieziono w zimie, 3 lipca 1937 r. zdjęto dachówkę, 30 lipca ukończono mury i położono belki pod strop I piętra, 14 sierpnia położono dachówkę i rozpoczęto tynkowanie. 30 listopada założono okna, po zimowej przerwie i osuszeniu murów 1 kwietnia 1938 r. przystąpiono do wykończania i budowy pieców. Ukończono na dzień 10 listopada 1938 r. Zaciągniętą pożyczkę gromada spłacała z czynszów z dzierżawy błonia 20 mórg. Istniejącą stajenkę rozburzono a cegły użyto do budowy. (...) Tą wspólną pracą szkoła została powiększona, (szkoda tylko, że nie zostało piętro wybudowane na całym budynku). Parcela szkolna powiększona o 6 arów, kupiony grunt 2 morgi dla szkoły i budowę stodoły dla kierownika szkoły.

Rok 1938/1939. Pracują te same siły. Dzieci: 184. Nauka odbywa się już w nowej klasie. Nauczycielstwo dla pogłębienia swej wiedzy urządza zjazdy rejonowe: Prusy, Kocmyrzów, Dojazdów, Czulice, Kościelniki, Ruszcza, Wyciąże, Wolica, Branice, Lubocza, Krzesławice i Pleszów. Zjazdy te odbywają się 4 – 5 razy do roku, za każdym razem w innej szkole.

Rok 1939/1940. Wybuchła druga wojna światowa. 1 IX 1939 r. Niemcy hitlerowskie napadły na Polskę. Dzieci w szkole: 193. Nauka rozpoczęła się dopiero 11 IX, a na dobre dopiero 25 IX. Uczą: Jan Twaróg, kier., Maria Józefczak, Genowefa Twarogowa i Józefa Gębalanka, rodaczka z Pleszowa, która z powodu wojny nie zdążyła na swe miejsce pracy w pow. Puławy. Od 1 V zostaje zwolniona z pracy Genowefa Twarogowa jako mężatka, której mąż pracuje zawodowo. Od 1 VI zostaje zwolniona Józefa Gębala, na jej miejsce przychodzi Alfons Benedikt z Sempolna. Od 1 VIII został zwolniony. Nauki religii udzielał ks. Józef Jura.

Rok 1940/1941. Dzieci wpisanych: 206. Przybywa do Pleszowa jako nauczyciel Stanisław Dudek, Zofia Richter, a Maria Józefczak zostaje przeniesiona do Branic. Brak podręczników do nauki, które zastępuje gazetka „Ster”. Przychodzi 4 siła naucz. Kamila Wronianka. Religii uczy ks. Tadeusz Czernek.

Rok 1941/1942. Dzieci 215. Uczą te same siły. Nauka odbywa się mozolnie lecz z powodu szczupłości opału uczy tylko w jednej klasie w porze zimowej. 3 VI zmarł nagle ks. Tadeusz Czernek.

Rok 1942/43. Liczba dzieci wynosi 237. Uczą jak poprzednio. Od 12 XII rozpoczęły się ferie świąteczne, naukę rozpoczęto po ociepleniu 29 III. Przerwa ta była spowodowana koniecznością oszczędzania opału.

Rok 1943/1944. Naukę rozpoczęto 4 IX. Dzieci: 227. Uczą te same siły. Nauka utrudniona z powodu zajęcia budynku szkolnego przez oddział radiotelegraf. „Pelikan”. Pozostawiono tylko jedną salę szkolną. Brak opału. Naukę przerwano na 2 miesiące. Nauka prowadzona jest na zmianę co drugi dzień, raz młodsze, a raz starsze roczniki.

Rok 1944/1945. Dzieci: 225. Rok ten zaznaczył się ciężkimi przejściami dla szkoły. Oddział wojskowy „Pelikan” opuścił budynek szkolny, ale zaraz przybył inny, zostały zajęte wszystkie sale i mieszkanie Zofii Richter. Przez 2 tygodnie uczono na boisku w stodole u St. Rosiewicza i w mieszkaniu Jana Bańdura. Po zabranii przez wojsko i tego lokalu wyczyszczono domek Jana Gębali za cmentarzem, który służył za suszarnię tytoniu. To był pomysł kierownika szkoły, aby urządzić tam izbę szkolną jak również schronić obrazy pogładowe i książki. Kilka dni przed 18 I 1945 wstrzymano naukę z powodu zbliżania się linii frontu, lecz już 22 I wyprzątnięto sale i rozpoczęto naukę, która trwała w pełnym składzie bez przerwy do końca roku szkolnego: 30 VI 1945 r. Odszedł na swe dawne miejsce do Czyżyn Stanisław Dudek, a na jego miejsce wróciła Genowefa Twarogowa.

Rok 1945/1946. Dzieci: 224. Nauka odbywa się mozolnie. Prócz tej prowadzono przez 5 i pół miesiąca kurs dokształcający z zakresu 7 klas szkoły pow. po 4–5 godzin dziennie. Kurs zakończył się egzaminem, który zdało 17 uczestników przed komisją złożoną z P. Stefana Białasa, Insp. Sidorowicza i Insp. Gogoli. W ciągu tego roku odeszła panna Zofia Richter, przybyła na jej miejsce Zofia Oktawiec.

Rok 1946/1947. Dzieci: 207. Przybyła Janina Koleśnik na miejsce Marii Janaskowej, która uczyła przez 2 miesiące.

Rok 1947/1948. Dzieci: 207. Na wiosnę 1948 roku założono przewody elektryczne, w czasie wakacji szkołę odmalowano. Dzięki elektryfikacji szkoła może korzystać z aparatu projekcyjnego i usług kina. Dnia 16 X 1947 zwiedził tutejsze gospodarstwa, spółdzielnie i szkołę Ambasador Jugosławii w towarzystwie członków ambasady i Wojewody krakowskiego. Kierownik szkoły z powodu choroby otrzymuje 3 miesięczny urlop, również i Pacułow, nauka trochę ucierpiała. Rok szkolny zakończono imprezą artystyczną siłami dzieci 28 VI 1948 r. Obecnych było około 70 osób starszych.

Rok 1948/1949. Dzieci: 212. Rok szkolny rozpoczęto nabożeństwem 1 IX. Wysłuchano przemówienia Ministra Oświaty nadanego przez radio. Zmieniony ustrój szkolnictwa, po szkole 7 klasowej może uczeń na żądanie iść do szkoły licealnej tj. do klasy 8 w razie złożenia egzaminu. Naukę prowadzą: Jan Twaróg, kier., Janina Koleśnik, Zofia Oktawiec, Kamila Pacuła i Genowefa Twaróg. Nauki religii udziela ks. Edward Opychał. Nauczycielstwo prowadzi kurs analfabetów i zajęcia świetlicowe w kole ZMP. Z wiosną 1949 r. rozpoczęły się prace pomiarowe na gruntach Pleszowa i przyległych gromad pod mającą powstać Hutę „Gigant”. Robotnicy cieszą się, że będą mieć pracę i zarobek, natomiast część ludności rolniczej z niepokojem śledzi postępy prac, bo będzie musiała oddać swe grunta pod budowę Nowej Huty, i siłą faktu stać się muszą rolnicy robotnikami. Dla Pleszowa, który był wsią typowo rolniczą o wyższej kulturze rolniczej i hodowlanej, zmiana ta będzie bardzo przykra i bolesna, bo mieszkańcy Pleszowa to staranni i zamiłowani rolnicy, natomiast dla bezrolnych i mało-rolnych będzie ona bardzo korzystna.

Rok 1949/1950. Dzieci: 200. Siły nauczycielskie w tym samym składzie. W Kujawach rozpoczęto prace ziemne pod kanał. Nauczycielstwo prowadzi kursy analfabetów dla 55 i 56 Brygady „Służby Polsce”.

Rok 1950/1951. Dzieci: 197. Trwają prace pod fundamenta mającej powstać Huty. Gromady Pleszów, Mogiła, Lubocza i inne zostają wcielone w obręb Krakowa, gromady te (12) podlegają tzw. Dzielnicowej Radzie Narodowej w Nowej Hucie.

Rok 1951/1952. Dzieci: 184. Uczą ci sami. Jest nadana jako etatowa przewodniczka harcerska Kazimiera Banaś.

Rok 1952/3 i 1955. Dzieci zapisanych ponad 200. Siły nauczycielskie te same. Naukę religii prowadzi ks. Jan Kuś.

Sylwetki kierowników szkoły

Według opowiadania mojego ojca, bardzo lubianym i szanowanym był kierownik szkoły w latach 1874–1877 Jan Wojciechowski, a jeszcze większy szacunek miał Władysław Kulka w latach 1877–1883. Za kierownictwa Walerii Wilgówny nauka szła kiepsko, bo była to kobieta wątła i kiepskiego zdrowia. Antonina Baczyńska była bardzo pilną w nauczaniu. Pomiędzy 1887 a 1892 r. uczy przez dwa lata Kazimierz Zimowski, który naukę

popędza kijem. Od 1894 do 1897 kierownikiem jest Karol Kozłowski stosujący bezwzględnie karę chłosty, sam piszący tego zaznał, bo za niego rozpoczął naukę. Z powodu rudych włosów i wąsów uzyskał przydomek „Panie złoty”. W roku 1897 po przybyciu Zagórzańskiej niewiele się zmieniło, również była to kobieta nerwowa, i karę chłosty stosowała, uczyła sama do południa i po południu, szczególny nacisk kładła na historię, lubiła uczyć śpiewu, dziewcząt haftu i robótek szydełkowych. Gdy się zdenerwowała na chłopców, posyłała po ks. Dz. Rychlaka, który wymierzał karę na leżącym na stolku dając najmniej pięć kijów na zadek, jak on zwykł nazywać: „spod ciemnej gwiazdy”. Rodzice ukaranego chłopaka mówili: „że sie może teros poprawi bo poświocanom rykom dostol”. Helena Ligenzianka była ogólnie lubiana i szanowana, przebywała w Pleszowie od 1901/1902 do dnia 22 II 1933 roku. Ks. Fr. Wąsik, który przybył na probostwo w 1903 r. kije i trzciny usunął z klas i zakazał dzieci bić. Karol Jankowski i Maria Burzyńska byli dość krótko i mało byli mi znani. Na niechlubne świadectwo zasłużył kier. Wojciech Zawada, który miał ze wsią wciąż jakieś zatargi i kłopoty, chciał wszędzie i wszystkim być, i zaczął z powrotem karę chłosty wprowadzać, i to go z Pleszowa usunęło, względnie to mu najwięcej dopomogło, że został przeniesiony na inną szkołę. 1 maja 1920 r. przybył na miejsce Zawady na stanowisko kierownika Jan Twaróg i Maria Józefczak, a nieco wcześniej Waleria Figwer. Za czasów Jana Twaroga szkoła została nadbudowana, do której to budowy wiele pracy fizycznej i umysłowej włożył, oraz ponad 1000 zł gotówki mającej wtedy wielką wartość. Prócz pracy zawodowej założył i prowadził Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży, uczył śpiewu czterogłosowego, dawał początki nauki muzyki, był współzałożycielem Ochotniczej Straży Pożarnej (w dniu 13 VI 1926), i początkowo jej sekretarzem. Przez kilka lat był skarbnikiem sklepu Kółka Rolniczego, sekretarzem Rady gminnej i in. Zawsze pogodny, cichy i skromny, zaskarbił sobie u miejscowej ludności szacunek i poważanie, prowadząc dalej naukę z pożytkiem dla dzieci, ku zadowoleniu ludności już ponad 35 lat. Współpracownicy jego, jak Zofia Richter, Kamila Wronianka, w czasie wojny wywiązywały się ze swych obowiązków wzorowo, jak również i obecne nauczycielki cieszą się dobrą opinią.

Kończąc opis szkoły w Pleszowie składam całemu gronu nauczycielskiemu serdeczne podziękowanie, a w szczególności kier. Janowi Twarogowi życząc im długiego zdrowia, wszelkiej pomyślności i zadowolenia w pracy zawodowej.

Mała Historia Urzędu Pocztowego w Pleszowie od 1848 do 1949 r.

W Imię Boże!

Wstęp

Przystępując do opisu historii Urzędu Pocztowego w Pleszowie chcę zaznaczyć, że jego stuletnia kronika nie będzie w pełni dokładna, a to dlatego, że nie posiadam żadnych zapisków na których mógłbym się oprzeć. W opisie będę posługiwał się opowiadaniem ludzi znacznie starszych ode mnie: Sebastiana Bylskiego (zmarł przed 1900 rokiem w wieku około 85 lat), Jana Nowaka byłego długoletniego kołodzieja dworskiego (zmarł po pierwszej wojnie światowej w wieku około 85 lat), ojca mojego Józefa Cygana byłego stangreta i karbowego dworskiego, który służył we dworze przez 54 lata (zmarł w 1940 r. w wieku 77 lat), oraz przytoczę wiadomości z opowiadania mojej matki, która mając 17 lat służyła u poczmistrzów i była równocześnie roznosicielką poczty (zmarła w wieku 82 lat w 1947 roku). Postaram się także spisać to, co zapamiętałem od najmłodszych lat aż po czas dzisiejszy. Wszystko to będę się starał w świetle prawdy opisać po to, by pozostał pewien zapis historii gromadzkiej. Tu nadmienię mi wypada, że opis ten jest już drugi, bo pierwszy napisałem w 1949 roku na prośbę kierowniczkę Urzędu Pocztowego w Pleszowie Zofii Gajoch, która cieszyła się, że Urząd Pocztowy w Pleszowie będzie posiadał własną historię. Niestety stała się rzecz przykra, bo tamten opis wypożyczył Dyr. Urzędu Pocztowego w Krakowie Ob. (...) i jej nie oddał, pomimo upominania się o jej zwrot. Tłumaczył się, że mu „zaginęła”, ale jego usprawiedliwienie nie jest wiarygodne, a postępek ten nie licuje z godnością i stanowiskiem Dyrektora tego Urzędu. W poprzednim opisie były zawarte dokładne daty, które uzyskałem od byłej poczmistrzyni – pani Bitnerowej, ale obecnie ona nie żyje, i tych informacji nie mogę już od nikogo uzyskać. (...)

Część I

Po rzezi galicyjskiej w 1846 roku i rewolucyjnemu nastawieniu chłopów w roku następnym przeciw panom, którzy straszliwie krzywdzili chłopów tzw. pańszczyzną czyli bezpłatną pracą pod batem ekonoma. Rząd austriacki w 1848 roku wydał dekret o uwolnieniu chłopów od pańszczyzny i uwłaszczeniu chłopów, czyli, że

władza panów została uszczuplona, a również z uwłaszczeniem chłopów i dania im hipoteki zostały utworzone na terenie byłej Galicji gminy jednostkowe z radnymi gminnymi i wójtami na czele. Otrzymali oni pewną władzę i uniezależnienie się od władzy pana i dworu. Równocześnie z utworzeniem gmin Rząd austriacki utworzył po pewnych wsiach Urzędy Pocztowe, z których wójtowie mieli zbierać listy i doręczać je adresatom. Mowa tu tylko o listach, które były rzadkością bo ludzie nie umieli czytać i pisać. Także gazet nikt nie czytał prócz księdza i nauczyciela, który był również pisarzem gminnym. Przymusu uczęszczania do szkoły nie było gdzieś do roku 1890. Wójtowie nie umieli czytać i pisać, wszystko załatwiał pisarz, wójt tylko stawiał pod aktem urzędowym trzy krzyżyki. Na dowód przytoczę fakt następujący: w pewnym domu w Kujawach na Zalesiu wpadł mi w ręce pewien akt urzędowy z 1860 roku spisany przez ówczesnego pisarza, który był miejscowym nauczycielem. Akt ten przez niego tylko był podpisany, natomiast wójt, podwójtowie i asesor podpisali tylko po trzy krzyżyki jako, że nie umieli pisać. Takim to pierwszym wójtem nie umiejącym pisać był prawdopodobnie niejaki Madej, a podwójtem niejaki Giza, który później został wójtem. Wobec takiego stanu rzeczy Urząd pocztowy w pierwszych latach swego istnienia był we dworze. Podówczas właścicielem dworu był pan Kirchmajer, a kto prowadził całe to pocztowe urzędowanie nie zdołałem stwierdzić. Natomiast pewnym jest, że początkowo po pocztę jeżdżono do Krakowa 2 razy w tygodniu, a później co drugi dzień. Pocztę zabierał furman dworski czyli stan-gret, który przyjeżdżał z dziedzicem do Krakowa. Postój furmanki po pocztę był w tzw. „Hotelu Centralnym”, który był własnością dziedzica Pleszowa, a stał w tym miejscu gdzie dziś znajduje się gmach Banku Polskiego przy ulicy Basztowej. Po przywiezieniu poczty do Pleszowa urzędnik pocztowy sortował na gromady według adresu wsi, bo w owym czasie do Poczty w Pleszowie należały następujące wsie: Lubocza, Branice, Wadów, Ruszcza, Wyciąże, Cło z Kościelnikami i Górka Kościelnicka. Wsie nadwiślańskie: Przyłasek Wyciąski i Rusiecki oraz Wolica należały do Poczty w Niepołomicach. Reszta wsi wschodniej części powiatu Krakowskiego jak: Wróżeńce, Czulice, Karniów, Głęboka i inne, aż po Prusy i Łuczanowice należały do poczty w Kocmyrzowie. Inne wsie położone bliżej Mogiły należały do poczty w Mogile. Po pocztę do Pleszowa wysyłały dwory swoich parobków na koniach, którzy po przyjeździe wiazali konie przy dębowym słupie na podwórku dworskim. Na listy mieli duże torby skórzane zamykane na kłódkę. Kluczyk od kłódki zostawał na poczcie, a drugi klucz do odemknięcia miał zarząd dworu odbierający pocztę, którą po przesortowaniu odbierał wójt danej wsi. Każda wieś miała swego listonosza, który był wynagradzany z kasy gminnej. W Pleszowie w tym czasie gdy pocztą zajmował się dwór listonoszem był Sebastian Bylski. (...) Ów Bylski był uciekinierem z powiatu tarnowskiego lub bocheńskiego, który jako uczestnik rzezi galicyjskiej przybył do Pleszowa i tu ówczesny dziedzic Kirchmajer przyjął go za swego parobka i dał mu nazwisko Bylski, a że to był człowiek piśmienny, więc prócz innych zajęć był także listonoszem za co płacę pobierał dwór. Około roku 1860 dwór kupił podstępem na licytacji pachciarz Kirchmajera niejaki Pikus Atteslander (Żyd). Rodzina Kirchmajera z Pleszowa wyjechała, lecz służba wszystkich pozostała, a pocztą zajmował się wtedy niejaki Dębczyński – ekonom dworski, zaś listonoszem był nadal Bylski. Taki stan przetrwał do ok. 1870 r. W tym czasie dwór wybudował dla służby dom zwany czworakiem lub „Pie-kłem”, i w domu tym (który stał w miejscu, gdzie jest stodoła organisty i kościelnego), urządzono mieszkanie dla poczmistrza: pokój, kuchnię, kancelarię oraz ubikację. Przed kancelarią stał słup dębowy przy którym wia-zano konie. (...) Urzędnikiem prowadzącym pocztę był niejaki Zbijewski, a listonoszem był nadal Bylski. Oko-ło 1882 roku pocztę roznosiła pokojówka dworska Julia Nowak (po zamążpójściu Cyganowa). Od roku 1885 roku pocztę roznosiła moja późniejsza matka Maria Pudlik, która u tegoż poczmistrza służyła. Około 1890 roku umarł pan Zbijewski, a pocztę prowadziła wdowa po nim z synem Zygmuntem (był to garbusek). Około 1893 roku zmarła poczmistrzyni Zbijewska, rodzina jej zabrała do siebie Zygmunta, a urząd prowadził nadany przez władze inny urzędnik nieznanego mi nazwiska, zaś listonoszem był ówczesny kościelny Rażny Wawrzyniec. W roku 1896 Urząd Pocztowy został przeniesiony z domu dworskiego do domu Jana Perlika (obecnie dom Nr 67 Feliksa Gajoszka), lecz po niedługim pobycie został przeniesiony do opuszczonego domu na tzw. Zajacówkę (dzisiaj własność Anastazji Furman). Pocztę woził z Krakowa parobek Józefa Perlika niejaki Grzegorz Warze-cha. Kolei wtenczas jeszcze do Czyżyn nie było, nie miał również Urząd Pocztowy w Pleszowie telegrafu, a od kiedy był telefon – nie wiem. Pocztę w Kujawach roznosił niejaki Gaja opłacany za doręczanie korespondencji przez gminę, prócz tego każdy kto ją otrzymywał płacił za doręczenie: od kartki 1 centa, a od listu 2 centy au-striackie. Urzędnikiem pocztowym był człowiek pochodzenia ruskiego. Wszelkie pozwy sądowe doręczali po-słańcy sądowi zwani pacholkami. W 1900 roku zostaje uruchomiona kolej z Krakowa do Czyżyn, gdzie po pocztę jeździł codziennie furman. Około 1905 roku poczmistrzem w Pleszowie został Stanisław Bitner, a pocztę roznosiła Franciszka Korzeniowska. Około 1908 roku władze pocztowe uruchomiły Urząd Pocztowy na Cle gdzie przeniesiono służbowo poczmistrza Bitnera, zaś na jego miejsce przybyła do Pleszowa Henryka Głęboc-ka. Urząd pocztowy mieści się wówczas w domu Michała Kota. (...) W tym czasie rząd austriacki ustanowił dla

poczty wozy kryte, czyli omnibusy blaszane, malowane na żółto z czarnym orłem dwugłowym po obu stronach wozu. Były one resorowane z podniesieniem i daszkiem dla furmana chroniącym od deszczu, który miał także fartuch skórzany zabezpieczający jego nogi od deszczu i przemoknięcia. Furman Józef Kardas, zwany „Dróżni-kiem”, szwagier Mateusza Wośka mieszkał w domu Nr. 87, który dziś zamieszkuje Wojciech Gargaś i Agata Baran. Furman miał przewiązany czarno-żółty sznur na którym była przytwierdzona trąbka. Jadąc, co pewien czas trąbił wyuczony sygnał. Wóznica poczty miał ten przywilej, że pomimo obowiązującego przepisu jazdy lewą stroną mógł jechać prawą lub lewą stroną, a gdy zatrąbił na trąbce, to każdy inny furman miał obowiązek z drogi mu zjeżdżać. Zwyczaj ten istniał do pierwszej wojny światowej czyli do 1914 roku. Około 1919 roku Urząd Pocztowy został przeniesiony do domu Franciszka Kryzy (obecnie dom Nr 24 Józefa Malinki i Katarzyny Kryzy). Pocztę woził Piotr Kryza. Nieco później poczmistrzyni Głęboka wyszła za mąż za Władysława Kuczka (...) W związku z uruchomieniem Urzędu Pocztowego w Wyciążach od poczty w Pleszowie zostały odłączone wsie: Ruszcza, Wyciąże, Cło z Kościelnikami i Górka Kościelnicka. (...) W 1911 roku – za czasów wójtowania Piotra Gajocha – gmina kupiła od hr. Osiecimskiego budynek dworski tzw. „karczmę”, który został częściowo przerobiony: skrzydło południowe zburzono, a jego gontowe pokrycie dachowe zerwano i pokryto dachówką. Urząd Pocztowy w 1912 roku został przeniesiony do nowych pomieszczeń w budynku gromadzkim (znajduje się tam do dziś), gdzie dawną salę karczemną przerobiono na mieszkanie dla poczmistrza i na kancelarię. Wów-czas poczmistrza Bitnera przeniesiono z Wyciąż do Pleszowa, a do Wyciąż na jego miejsce poszła poczmistrzy-ni Huczek-Głęboka. Pocztę przywoził ze stacji kolejowej w Czyżynach nadal Piotr Kryza, natomiast listy i ga-zety, (które zaczęli chłopcy prenumerować) po Pleszowie roznosiła Franciszka Korzeniowska, a w Kujawach Wiktoria Maniecka. Taki stan dotrwał do lipca 1914 roku. (...) W listopadzie 1914 r. wojska rosyjskie podeszły blisko Krakowa. Patrole ich były w Branicach, w Ruszczy i w Prusach, gdzie został zastrzelony i na stacji kole-jowej pochowany Wincenty Komasa – rodak z Pleszowa. Z powodu pojawienia się w okolicy wojsk rosyjskich w Pleszowie nastąpił ogromny popłoch. Wojska austriackie, (przeważnie madyary, którzy wycinali drzewa w Ple-szowie) uciekły w nieładzie. Uciekli również tzw. pospolitacy (Polacy) z komendantem Piedenbrunem (Żyd). Wieś miała zostać spalona. Pod stodoły nałożono słomy i snopków, czekano tylko na rozkaz podpalenia, a mu-rowane domy miały być wysadzone minami. Miejscowa ludność uciekała z dobytkiem i żywnością do Krakowa zostawiając wszystko na pastwę losu. Uciekł również z rodziną poczmistrz Bitner. Po przewaleniu się burzy wojennej miejscowa ludność zaczęła powracać w styczniu i w lutym 1915 roku, bo domy nie zostały spalone. Poczmistrz Bitner jednak nie powrócił wtedy do Pleszowa, lecz objął urząd pocztowy dopiero po zakończeniu wojny w 1918 roku. W okresie wojny poczta była nieczynna. Listy do Pleszowa i wsi należących do Poczty Ple-szów zabierano z Krakowa kiedykolwiek i robił to ktokolwiek. (...) Były to przeważnie „Feldpostkorrespon-denzkarte” od żołnierzy z frontu i od jeńców z niewoli rosyjskiej lub włoskiej oraz parę gazet. Wszelkie pisma sądowe oraz egzekucje były doręczane przez posłańców sądowych. Po zasiłki za mężów będących na wojnie ich żony chodziły do Krakowa do Starostwa Powiatowego, które mieściło się w gmachu przy ulicy Basztowej 22. Taki stan dotrwał aż do końca października 1918 roku. Po zakończeniu wojny zaczęły powracać rezerwiści z wojska oraz jeńcy wojenni z niewoli rosyjskiej. Pomimo strasznych zniszczeń doznanych w dobytku, ludność cieszyła się ogromnie z powodu odzyskania przez Polskę niepodległości. (...) W czasie wojen w latach: 1914-1918 i w 1920 roku zostało zabitych 31 mężczyzn z Pleszowa. Pozostało po nich 17 wdów i kilkadziesiąt sierot, było też 4 inwalidów ciężko rannych i kilkunastu lekko rannych. (...) Nadmienię jeszcze, że w czasie pierwszej wojny światowej w kancelarii pocztowej odbywały się zabawy weselne. Po uzyskaniu niepodległości Urząd Pocztowy w Pleszowie rozpoczął pracę pod nazwą Polskiej Agencji Pocztowej.

Część II

Z końcem 1918 roku przemalowano skrzynkę pocztową z koloru żółtego na czerwony, a biały orzeł zastąpił czarny. Pocztę w owym czasie przywoził furman z Czyżyn. Zabierał ją z wagonu pocztowego i zawoził do Mogiły, Pleszowa i Wyciąż, zabierając stamtąd pocztę nadaną w tamtejszych urzędach, tak, że za jednym ra-zem załatwiał przywóz i odwożenie poczty. Listy roznosiła po Pleszowie do 1924 r. Franciszka Korzeniowska, a w Kujawach Wiktoria Maniecka. Od ok. 1925 r. pocztę przywoził Jan Grymek, a roznosiła ją Maria Cygan, sio-sra żony kościelnego Wojciecha Pleciaka. Około 1930 r. umarł poczmistrz Stanisław Bitner. Urząd prowadziła wdowa po nim – Regina Bitner. Była to kobieta bardzo delikatna w obejściu, przystępna i wyrozumiała. Bardzo często załatwiała ludziom przysługi po godzinach urzędowania. Natomiast jej mąż był człowiekiem nerwowo chorym, niegrzecznym w obejściu. Około roku 1930-31 pocztę woził z Mogiły do Pleszowa i Wyciąż pan Bie-żanowski. To były bardzo ciężkie lata, które nazwano „kryzysem gospodarczym”, a na polskiej wsi zapanowała wielka nędza. Na skutek tego ustała prenumerata gazet, a listy – z powodu braku kilku groszy na opłacenie

znaczka pocztowego – pisano tylko w konieczności. Od 1929 r. więcej listonosze przeszli na etat państwowy, a dotychczasowi listonosze gromadcy zostali zniesieni, tak w Pleszowie, jak i w Branicach i Luboczy. Wadów został przydzielony do poczty Wyciąże. Listonoszem od 1930 r. był Wojciech Pleciak, i sam jeden obsługiwał: Pleszów z Kujawami, Luboczę i Branicę. (...) Później pocztę przywoził Jakub Gwóźdź z Mogiły, a potem Franciszek Szywalski, natomiast z Pleszowa do Wyciąż i Wawrzeńcyc – Jan Grymek. (...) Od 1936 r. z Ruszczy do Wawrzeńcyc i Nowego Brzeska jeździ furmanką Franciszek Wosiek z Pleszowa. Furman ten miał na wozie pakę zgrubnych desek, które były od wewnątrz wykute grubą blachą. Był on zaopatrzony w rewolwer dużego kalibru, który po przyjeździe z pocztą z Brzeska oddawał na przechowanie urzędnicze pocztowej. (...) Pocztę w Pleszowie prowadziła nadal Regina Bitnerowa. Ten stan dotrwał do 1 września 1939 r. Po krótkiej przerwie na początku wojny urząd pocztowy został uruchomiony i spełniał swoje zadania do marca 1945 r. Wówczas Regina Bitnerowa wyjechała do Krakowa. Na jej dotychczasowe stanowisko została skierowana młoda i sympatyczna Irena Szymachówna. Wkrótce jednak przeniesiono ją służbowo na bardziej odpowiedzialne stanowisko do Czyżyn, gdzie szkoliła zdolną dziewczynę z Pleszowa – Zofię Musiał, która po zdaniu stosownego egzaminu została w październiku 1945 roku samodzielną kierowniczką Urzędu Pocztowego w Pleszowie. Po roku wyszła za mąż za Jana Gajocha. Pracując na poczcie z poświęceniem zyskała powszechny szacunek. Listonoszem był wówczas Wojciech Pleciak, a od 1948 r. dodatkowo Tomasz Szywalski. Po odejściu Pleciaka na jego miejsce przyszedł Marian Adamski z Branic, który obsługiwał wraz z kolegą rejon Pleszowa, Branic i Luboczy. Obaj pełnili wzorowo swe obowiązki ku zadowoleniu ludności. Wypada zaznaczyć, że zajęli się energicznie propagowaniem czytelnictwa, i to dzięki nim wzrosła ilość prenumeraty gazet. Z powodu budowy kombinatu „Huta im. Lenina” na terenie Pleszowa postawiono baraki dla kilkuset robotników. W związku z tym zwiększyła się prywatna korespondencja i prenumerata gazet i dlatego w 1952 r. przydzielono trzeciego listonosza Jana Kardasa, który obsługiwał Luboczę. Gdy w 1953 r. wybudowano na gruntach probostwa w Pleszowie następne baraki, w których umieszczono ponad 2000 robotników pracujących przy budowie huty, Jana Kardasa przydzielono do Pleszowa. W 1955 roku zwolnił się na własną prośbę ze stanowiska listonosza Tomasz Szywalski i podjął pracę w Hucie im. Lenina, a jego miejsce zajął nowy pracownik. Kancelaria Urzędu Pocztowego jest w tym samym miejscu od przeszło 40 lat, jak również mieszkanie kierowniczką Ob. Zofii Gajoch, która od 10 lat zajmuje to stanowisko. Z okazji tego jubileuszu życzę jej długich lat zdrowia i wszelkiej pomyślności w pracy zawodowej i w życiu prywatnym, tak aby zyskała wielu przyjaciół. Niech placówka Urzędu pocztowego w Pleszowie w drugiej stulatce rozwija się ku zadowoleniu i ogólnemu polepszeniu sytuacji ludności, a na chwałę i cześć uмиłowanej Ojczyzny, Polski Ludowej – naszej najlepszej matki.

Historia Ochotniczej Straży Pożarnej

Historia Straży Pożarnej w Pleszowie sięga lat 1842-4. Nie jest wprawdzie rejestrowana gdzieś u władzy powiatowej, lecz jest to obrona przeciwpożarowa, którą zorganizował na terenie obszaru dworskiego Kirchmajer, ówczesny dziedzic Pleszowa. Sprzęt strażacki był bardzo prymitywny, bo była zaledwie jedna sikawka małego kalibru, jednocylinrowa, czterokołowa, kilkanaście metrów węża, kilka długich bosaków, i to był cały, kompletny sprzęt strażacki. Po wyjeździe z Pleszowa rodziny Kirchmajerów dwór objął w posiadanie nowy dziedzic Pinkus Atteslander Żyd z pochodzenia, który straży nie ulepszył. Dopiero pożar gorzelni dworskiej (stała w tym miejscu gdzie dom nr. 102 Jana Wójcika), który strawił wielki majątek żydowski, podobno się spaliło dużo koralu prawdziwych, złożonych jako pożyczone pieniądze. Pożar ten był około 1870 roku. Po tym pożarze dopiero ten dziedzic ulepszył trochę sprzęt strażacki i przeszkoleni zostali członkowie straży tj. służba dworska. Przeszkolenia dokonywał dojeżdżający instruktor z Krakowa. Taki stan trwał gdzieś do 1885 r. Syn dziedzica Zygmunt Atteslander będąc podówczas pełnoletnim mężczyzną zorganizował straż na wyższym poziomie, członkowie straży mieli pełne umundurowanie, nową czterokołową sikawkę, węże i bosaki. Służba, a przeważnie fornale byli wtedy na wikcie dworskim czyli na tzw. „stole”.

Było to popołudniową porą, w czasie sprzętu siana, konie nie były rozbierane z chomąt na południe. Fornale idą z kuchni po obiedzie, i widzą od strony zachodniej słup czarnego dymu. Natychmiast zabrzmiała trąbka na alarm, już konie zaprzęgnięte do 2 beczkowiezów z wodą, po 2 pary do wozu, 2 pary do sikawki za strażakami i na koniu komendant straży Zygmunt Atteslander. Po wyjeździe na gościniec uprzytomnili sobie, że pożar ten jest bardzo daleko. Przed wyjazdem wydawało się, że pali się w Mogile koło cmentarza, lecz nie wypadało się z drogi wracać. Jechali więc aż na miejsce pożaru. Okazało się, że paliły się stodoły dworskie w Rakowicach. W owym czasie we wsiach były domy drewniane, kryte słomą, obrony przeciwpożarowej nie było, to też niemałą sensacją było przybycie straży pożarnej z Pleszowa i to pierwszej jak straż miejska z Krakowa, która prawdopodobnie przy-

była parę minut później. A było to tak, że gdzieś na ul. Lubicz urwało się koło pod beczkowiezem i przyjazd straży miejskiej musiał się opóźnić, więc akcja obronna była prowadzona przez straż pożarną z Pleszowa pod komendą Zygmunta Atteslandera. Wypadek ten jak i cała akcja obronna straży z Pleszowa oddalonego o 12 km było tematem opisywanym przez wszystkie dzienniki krakowskie jak „Nowa Reforma”, „Czas”, „Grzmot”, „Nowiny”, „Kurier” i inne. Sprawą tą zajął się Zakład Ubezpieczeń tzw. „Floryanka”, który miał siedzibę w Krakowie przy ul. Basztowej, była to instytucja prowadzona przez obszarników. W zakładzie tym był zatrudniony na kierowniczym stanowisku brat Zygmunta Atteslandera, Maksymilian, który sprawę skierował do C.K. Namiestnictwa we Lwowie jako najwyższej władzy w Galicji, w imieniu Dyrekcji Ubezpieczeń z prośbą o odznaczenia i wyróżnienie dla pleszowskiej Straży Pożarnej. Było to około 1890 roku. C.K. Namiestnictwo prośbę tą załatwiło pomyślnie i w dowód wyróżnienia przydzieliło piękną i dużą sikawkę czterokołową, dwucylindrową z mosiężnymi łącznikami, cylindry miedziane, jednym słowem typ przeznaczony dla miast, oraz kilkadziesiąt metrów węża tłocznych i ssących. Na sikawce tej było 8 miejsc siedzących dla strażaków, a to: dla trębacza na przedzie z furmanem. Trębaczem był kołodziej dworski Szymon Rażny, z boków koło cylindrów i z tyłu były ławeczki dla pozostałych strażaków. Zastępcą komendanta był maszynista dworski Ludwik Huczek. Do straży należeli stangreci i fornale w liczbie 14 osób. Dyrekcja Ubezpieczeń „Floryanka” przyznała znaczną gotówkę za którą zakupiono umundurowanie: spodnie i bluzy drelichowe, grube, mocne kaski, pasy, toporki i bosaki. W czasie „Zielonych Świąt” odbył się pokaz sprawności strażackiej, a później zabawa strażacka w karczmie, która była własnością dworu. W czasie zabawy umundurowani strażacy otrzymali bezpłatnie piwo, wódkę i przekąski i bawiono się do rana, gdzie brali udział synowie dziedzica. Było to w roku 1891 lub 1892. Od tego czasu zabawy takie, tzw. „majówki” urządzano rokrocznie w lesie nad Wisłą w dzień, a jeżeli dopisywała pogoda zapalano pochodnie i tańczono przy świetle pochodni. Parę lat później komendant Zygmunt Atteslander zachorował i był zmuszony opuścić Pleszów i zamieszkać na stałe u swych sióstr w Krakowie. Dowództwo nad strażą objął Ludwik Huczek i Wojciech Krupa, kowal dworski. Pomimo choroby dotychczasowy komendant interesował się strażą, lecz po dłuższej chorobie zmarł, a po jego śmierci straż podupadła, bo dziedzic Stanisław Atteslander okazywał zbyt małe zainteresowanie strażą. Strażacy zaprzestali ćwiczeń, które przedtem odbywały się w niedziele, sikawka stała w remizie bezczynna, a wielu członków straży zmieniło służbę i wyjechało z Pleszowa. Do pożaru wyjeżdżano tylko na miejscu. Ostatnim może wyjazdem do innej wsi, był wyjazd do Wadowa, do dworu gdzie paliły się stodoły w 1904 roku. Taki stan bezczynności trwał do 1914 roku. W czasie wojny mundury, toporki, kaski zostały skradzione, również skradziono wszystkie łączniki, mutry i śruby metalowe z sikawek, które stały jako nieużyteczne graty – tak zakończyła swój żywot Ochotnicza Straż Dworska.

W 1893 roku panowała epidemia tzw. „cholera”, „mortus”. Tuż przy stawie wybudowano dom drewniany, obity deskami, kryty gontem. W domu tym w izbie o wymiarach 6x6 m urządzono salę szpitalną i chorych z domu zabierano i tam przynoszono, do tego tzw. szpitala, z którego nikt prawdopodobnie nie wracał, lecz tam umierał, bo śmierć miała przyspieszoną. Druga ubikacja w tym domu służyła jako gabinet dla lekarza. Po zakończeniu epidemii w budynku tym, w mniejszej izbie miała pomieszczenie sikawka gminna, którą opiekował się zwykle asesor gminny za co otrzymywał płacę 20 koron austriackich (wartość 100kg pszenicy lub 1 pary prosiąt). Dom ten został w 1912 roku zburzony, a sikawka stała w stajni karczemnej w miejscu dzisiejszej sali gromadzkiej. Przeszkolenia z obsługi sikawki nie były prowadzone, to też w razie pożaru węże przeciekały i najczęściej sikawka stała bezczynna. Po przerobieniu stajni na salę przez młodzież w 1922 r. sikawka gminna była u kogokolwiek bądź w wozowni lub w stodole. Taki stan trwał do 1924 roku, kiedy to młodzież zrzeszona w Związku Młodzieży na wniosek piszącego i kierownika szkoły p. Twaroga podjęła uchwałę o założenie w Pleszowie Ochotniczej Straży Pożarnej. Michał Cygan jako członek Rady Gminnej postawił na posiedzeniu Rady wniosek uchwały o założeniu Straży. Wniosek uchwalono 20 głosami, sprzeciwu nie było, 4 wstrzymało się od głosowania z powodu nowych wydatków, które nazwano „ciężorami”. Aby zdobyć pewne fundusze, uchwalono zostawić część pastwiska tzw. „klinik” na łąkę (3 morgi), trawę sprzedać na licytacji, a uzyskane pieniądze przeznaczyć na cele przyszłej Straży. Z powodu jednak inflacji pieniądza (ówczesnej marki) pieniądze za sprzedaną trawę zostały przeznaczone na na „załatwienie” budżetu gminnego, bo nowy pieniądz, złoty polski, został wprowadzony w obieg dopiero w ciągu 1924 roku. Dopiero 1925 r. dał pewien fundusz na ten cel, bo za sprzedaż trawy uzyskano około 500 zł., które Rada zastrzegła na budowanie remizy. Wydział Spółki Łowieckiej: Franciszek Szywalski, Józef Partyła i Michał Cygan z Kujaw uchwalili pieniądze otrzymane za polowanie z terenu gminy przeznaczyć na cele Ochotniczej Straży Pożarnej. Kwota dzierżawna za polowanie za lata 1925/6 jednak nie wpłynęła, więc założenie Straży się opóźniało. W 1926 r. w kwietniu przybył na probostwo do Pleszowa ks. Korzonkiewicz, który okazywał wielkie zainteresowanie sprawami gminnymi. Postarano się o statut i ustalono termin zebrania na dzień 13 czerwca 1926 r. Na zebraniu tym, które zgromadziło ponad 120 mężczyzn (star-

szych i młodszych) przewodniczył Ks. Korzonkiewicz, sekretarzem p. Twaróg. Referat o konieczności założenia OSP w Pleszowie wygłosił Michał Cygan z Kujaw uzasadniając, że honor i ambicja obywateli Pleszowa wymaga założenia Straży i dbania o jej rozwój. Za wnioskiem głosowali wszyscy obecni. Na członków czynnych wpisało się 18, a na wspierających 120. Wkładki uchwalono po 50 gr. miesięcznie, niektórzy wpłacili je zaraz. Na wyróżnienie zasłużył Jakób Broda, który złożył dużą ofiarę jak na owe czasy, bo 25 zł na zakup trąbki dla Straży. Prezesem został wybrany Michał Cygan z Kujaw, naczelnikiem Marcin Bednarz, zastępcą naczelnika Jan Gajoch, sekretarzem Jan Twaróg, skarbnikiem Józef Gajoch. Wszyscy zostali wybrani jednogłośnie na okres 4 lat. W pierwszym tygodniu po wyborach członkowie Wydziału Spółki Łowieckiej udali się do p. Kochanowskiego z propozycją, aby oddał stojącą beczynnie sikawkę, za co Wydział daruje dwuletni czynsz za dzierżawę polowania, na co p. Kochanowski się zgodził. Następnego dnia Józef Partyła pojechał koniami do dworu i sikawkę zabrał odwożąc ją wprost do pracowni ślusarskiej p. Huczka, który ją gruntownie wyremontował kosztem 500 zł, które Straż spłacała latami, bo kasa Straży była pusta. Remizę na pomieszczenia sprzętu Straży urządziła gmina Pleszów własnym kosztem. Odtąd Straż Pożarna brała udział w akcji gaszenia pożarów nie tylko we własnej wsi ale i w okolicznych. Dobry egzamin sprawności zdała straż w czasie pożaru kościoła w dniu 22 czerwca 1927 r. W czasie nabożeństwa wieczornego piorun uderzył w wieżę kościelną, po linie spadł na chór, uderzył w organy, stopił kilka piszczałek, poczym uderzył w chorągiew żałobną pod chórem. Kilka kobiet będących blisko chorągwi przewróciło się, dzieci zaczęły płakać i krzyczeć, a piorun zrobił swoją ognistą wędrówkę po kościele, aż wpadł gdzieś pod ołtarz obok księdza, który z przerażenia się przewrócił. W akcji gaszenia pożaru prócz Straży brała udział cała ludność Pleszowa, ale akcja była utrudniona z powodu wysokości wieży. Z pobliskich domów znoszono drabiny, wiązano łańcuchami i dostawiano do dachu. Wyszli po nich bez obuwia, na dach kościelny z węzłem i prądownicą – druh Jan Lech i Antoni Komasa, i ogień ugasili. Spaliła się tylko wieża, lecz wiązanie dzwonowe zostało uratowane. Czyn ich był bohaterski, podjęli go z narażeniem własnego życia wykazując się wielką odwagą i sprawnością. W 1928 roku stanowisko naczelnika Straży objął druh Józef Partyła, który poświęcał wiele czasu dla rozwoju Straży nie szczędząc własnych koni w drodze do pożaru, na ćwiczenia i alarmy nocne. Za czasów jego pełnej ofiarności pracy, Straż pleszowska na zawodach gminnych czy powiatowych zdobywała wyróżnienia pierwszego miejsca. Józef Partyła był komendantem Straży do 1.09.1939 r. W czasie wojny stanowisko to objął Józef Perlik, który całe swe zdolności i czas poświęcał dla dobra Straży i wsi, prowadząc zmiany pogotowia strażackiego w czasie akcji żniwnej. Po wojnie komendantem został Jan Gębala, który także ze swych obowiązków wywiązywał się wzorowo do 1948 roku. Potem obowiązki te przejął Tadeusz Walczak, który był bardzo zaangażowany w udoskonalanie sprzętu strażackiego. Na wspomnienie zasłużyli, za swą ofiarną pracę członkowie czynni Straży Pożarnej w Pleszowie: Wincenty Walczak, Piotr Baran, Jan Zwierkowski, Jan Wilczek. Na słowa uznania i podziękowania zasłużyli także członkowie wspierający: Ks. Franciszek Korzonkiewicz, Ludwik Huczek, Stanisław Rosiewicz, Jakób Broda, Piotr Gajoch, Walenty Gajoch, Stanisław Partyła, Wawrzyniec Czekaj, Jan Stefański i wielu innych.

13.06.1956 r.

Historia Kółka Rolniczego

Z końcem XIX wieku wieś Pleszów, jak i inne wsie, była bardzo zacofana pod względem oświaty rolniczej. Ziemia dawała liche plony bo była kiepsko uprawiana, orka płytka w zagony 6 i 8 skibowe. O wiedzę rolniczą nikt się nie starał, wieś była opanowana przez karczmarza, chłopci się rozpijali, wiele gospodarstw zostało zrujnowanych. Niedbano również i o inwentarz, zwłaszcza o krowy, które na wiosnę po wyjściu ze stajni na pastwisko ledwie, że mogły nogi przekładać, toteż często krowę wyciągano z rowu, bo o swej mocy nóg nie wyciągała. W 1896 roku przybył do Pleszowa na stanowisko proboszcza Ks. Dz. Józef Rychlak po odejściu Ks. Jana Puchały do Ruszczy. Ks. Rychlak, atletycznej budowy ciała, o niezwyklej sile był wielkim wrogiem pijaków, fajczarzy i pasożytów, którzy niemiłosiernie wykorzystywali chłopów nie tylko za wódkę lecz za lichy towar sprzedawany w karczmie. Ks. Rychlak chcąc ulżyć chłopom by ich tak niewykorzystywano, namawiał do założenia Kółka Rolniczego, którego znaczenia chłopci a również i ks. nie rozumieli uważając, że sklep chłopski katolicki to jest cała działalność Kółka Rolniczego. W niedługim czasie założono sklep w domu Piotra Walczaka (dziś syn Piotr nr 29) przy pomocy Ks. Rychlaka i nazwano szumnie Sklep Koł. Rol. Podówczas w Pleszowie były 3 sklepy żydowskie: Grosbarol – karczma, Rotfeinn – w domu Jana Perlika (obecnie Feliks Gajoszek nr 67) i Gronner. Były to sklepy spożywcze, spuścili z ceny na towary tak, że sklep Kół. Rol. nie wytrzymał konkurencji i po paru miesiącach wegetacji został w 1897 r. zlikwidowany. Stan taki dotrwał do 1908 roku, w którym Kazimierz Ga-

joch otworzył prywatny sklep w domu Karoliny Baran (obecnie Feliks Musiał nr 39) i pomimo konkurencji egzystował. W 1910 roku wyszła ustawa, że w gminach tych, które nie przekraczają 1000 mieszkańców propnacje i karczmy zostaną zniesione. Pleszów podówczas nie liczył jeszcze tylu mieszkańców wobec czego karczma została zlikwidowana. Żyd Infeld Rom. wyprowadził się do Krakowa, kupił kamienicę 2 piętrową, otwarł w niej sklep spożywczy (ul. Sołtyka). A drugi tekstylny na ul. Starowiślnej. W czasie wybuchu wojny w 1914 r. uciekł z całą rodziną do Szwajcarii lecz po wojnie powrócił. Budynek po karczmie wydzierżawił Jakub Scheiber, lecz bez wyszynku kiepski był dochód i po 2 latach sklep zwiął. Również wyjechał z Pleszowa do Mogiły Żyd Rotfeinn. Po zlikwidowaniu sklepu przez Żyda Schreibera budynek stał beczynny. Był tylko sklep Grommera, który sprzedawał wódkę lecz we flaszkach zalakowanych, picie w sklepie było wzbronione. W 1912 roku dzięki pomysłowi ówczesnego wójty Piotra Gajocha i jego energicznej postawie, który przeforsował na Radzie Gminnej wniosek kupna tego domu od hr. Osiecimskiego na własność gminy czyli gromady. Hrabia widząc, że dom nie daje dochodu zdecydował się sprzedać za cenę 2000 guldenów austriackich. Na wiosnę 1913 r. przystąpiono do przeróbki budynku, a więc skrzydło południowe zostało zburzone, sala karczemna przerobiona na kancelarię poczty i mieszkanie, a z magazynu zrobiono sklep. Zerwano pokrycie gontami, a pokryto dachówką. Po wykończeniu Urząd Pocztowy został przeniesiony na miejsce na ten cel przeznaczone. Ubikacje przeznaczone na sklep stały beczynny z powodu braku reflektanta. W roku 1914 wybuchła wojna, dał się odczuć brak niektórych artykułów. Na wiosnę 1915 r. sekretarz krakowskiej Rady Powiatowej – Bronisław Zborowski organizuje w Pleszowie ogólne zebranie, przedstawia cel uruchomienia sklepu pod nazwą „Doraźnej Pomocy” opartego na udziałach co mu się też udało. Sklep został otwarty, dość poważnie zaopatrzony w towar, a przez miejscową ludność nazwany sklepem Kółka Rolniczego. Sklep ten w czasie wojny zaopatrywał ludność miejscową w towary niezbędne dość dobrze, tak, że ludność była zadowolona. Po zakończeniu wojny w 1918 roku nastąpiła większa trudność w zaopatrywaniu ludności w towar. Przydział kartkowy został dalej utrzymany, prócz soli to prawie wszelki towar był wydawany na listy. A więc: mąka, cukier, tłuszcze, według osób, nafta, świece, mądro, tytoń, papierosy i wiele innych na kartki i listy. Rozdziałem tych towarów zajmowała się tak zwana komisja aprowizacyjna. A to: Piotr Gajoch jako wójt, ks. Jan Skarbek proboszcz, Stanisław Bittner poczmistrz, Wojciech Zawada, kierownik szkoły o Piotr Kowal podwójci. Komisja ta towar przydzielony na gminę dla ludności Pleszowa przydzielała sklepowi „Doraźnej Pomocy”, a w większej części otrzymywał przydział sklep Wilhelma Gronnera, natomiast sklep Kazimierza Gajocha w domu Karoliny Baranowej przydziałów tych nie otrzymywał prócz trafiki, którą Gajoch miał jako inwalida wojenny. Towarów przydziałowych było bardzo mało, ich kupno poza przydziałami na tzw. „pasek” wychodziło bardzo drogo, toteż zaczęły się nadużycia i towar ten szedł po kumotersku, co zostało dokładnie stwierdzone. Najwięcej na tym cierpieli ludzie biedni, wymyślano na komisję aprow., zaczęto potajemnie kontrolować przydziały i ich rozdzielanie, zasięgano opinii w Starostwie aprowizacyjnym w Krakowie przy ul. Kopernika (piszący się informował). Przyłapano chłopów z Kongresówki ze śmieciami, naftą i tytoniem itp. W początku 1919 roku zostały przeprowadzone wybory do miejscowej Rady gminnej z polecenia Władz, zostało utworzone 4 koło radnych, po 6 z każdego koła, liczba radnych wzrosła do 24 osób. Czwarte koło stanowili bezrolni, podpisany wszedł do Rady z czwartego koła, gdzie otrzymał funkcję sekretarza gminy, a Franciszek Szywalski został wójtem. Z członkami Rady, jak: Wawrzyniec Czekaj, Wojciech Kardas, Jan Walczak i in. postanowiliśmy wybrać nową komisję aprowizacyjną do której niżej podpisany Michał Cygan wszedł jako jej sekretarz i członek rozdziału, odebrano wszelkie akta od starej komisji, a względnie od jej sekretarza Zawady. Z wykazów tych dowiedzieliśmy się, że o blisko 200 osób było na wykazie więcej niż faktycznie ludność Pleszowa wynosiła. Mając niezbite dowody w rękach, za wszelką cenę chcieliśmy Sklep „Doraźnej Pomocy” czyli Zborowskiego usunąć, a założyć sklep, tzw. „Konsum robotniczy”. Wojciech Kardas sprowadził 2 przedstawicieli Partii Socjal. I zrobiliśmy poufne zebranie i ustaliliśmy wysokość udziałów, otrzymaliśmy potrzebne druki i statut, rozpoczęliśmy propagandę werbunkową do nowego sklepu, bojkotowaniem sklepu „Doraźnej Pomocy” i wypowiedaniem udziałów, co się nieźle zapowiadało, bo w krótkim czasie złożono ponad 5000 udziałów zebranych od ludzi bezrolnych i małorolnych. Ówczesny dziedzic Pleszowa Marian Kochanowski złożył na ręce Michała Cygana kwotę 2500 koron za jego służbę tj. fernali, a Kazimierz Gajoch, jako ten, któremu miano powierzyć prowadzenie sklepu złożył 3000 koron. Mając już dość poważny kapitał zrobiono zebranie członków, by przedstawić stan kasy i wybrać Zarząd sklepu. Na zebraniu, które odbyło się 7 IX 1919 r. wybrano Zarząd w składzie następującym: Przew. Wojciech Kardas, Sekr. Michał Cygan, Skarbnik Jan Walczak, członkowie: Wawrzyniec Czekaj, Piotr Wójcik i Jan Dudek. Wszelkie formalności uchwalono załatwić do 15 września, a dzień później sklep miał podlegać pod Zarząd Konsum. Tymczasem stała się rzecz niespodziewana: Ks. Jan Skarbek jako proboszcz, dowiedziawszy się o tym nie mógł się z tym faktem pogodzić, a to dlatego, że sklep tzw. „Konsum” miał być pod protektorem Pol. Par. Socjal. wobec czego postanowił przeciw-

działać. Udał się do wójta Fr. Szywalskiego po radę i pomoc w przeciwdziałaniu gdzie ustalono zaproponować Zarządowi przyjąć statut Kółka rolniczego i założyć sklep. W dniu 9.IX.1919 r. wieczorem przybył do mnie do mieszkania w Pleszowie w domu moich teściów Ks. Skarbek co mnie bardzo zadziwiło i prosił mnie: „by dla dobra podtrzymania ducha religijnego nie dopuszczać do tego, by socjaliści mieli pewną ostoję w Pleszowie i bałamucili ludność”. Wobec tego ks. Skarbek zaręczył wszelką pomoc i współpracę, jeżeli założymy sklep Kółka Rol. W tym celu zwołano Zarząd, a następnie zebranie ogólne, na którym przedstawił ks. Skarbek swoją propozycję współpracy, poczem po dłuższej dyskusji uchwalono założyć Kółko Rol. i sklep kółka. Ks. Skarbek przywiózł statut, druki i zamówił 2 prelegentów ze Związku Ekonomicznego Kółek Rolniczych w Krakowie, ul. Wiślna 8. w osobach: Edward Zabłocki i N.N., po których książd posłał swoje konie. Zebranie odbyło się w sali szkolnej przy bardzo licznych udziałach mieszkańców, przyjęto statut Kółka Rol., zarząd pozostawiono ten sam, z tym, że przewodniczącym został ks. Skarbek, a Wojciech Kardas zastępcą, a skarbnikiem Tomasz Broś. Działo się to w dniu 19 X 1919 roku, co jest przyjęte jako data założenia kółka rolniczego w Pleszowie. Starostwo aprow. na skutek interwencji sekr. Zborowskiego odmówiło przydziału towarów, dopiero po zebraniu potrzebnej gotówki towar zakupiono i zaopatrzone sklep w domu Karoliny Baran, którego poświęcenia dokonał ks. Skarbek 2.02.1920 r. Nowo otwarty sklep kółka rol. zaczął zjednywać coraz więcej zwolenników, a sklep „Doraźnej Pomocy” podupadał tak, że w lecie 1922 r. został zlikwidowany, a sklep kółka rol. przeniesiono do domu gromadzkiego. Jego prowadzenie Zarząd powierzył Janowi Bańdurowi na tych samych warunkach co Gajochowi, tj. 50% zysku czystego. Gajochowa otworzył prywatny sklep w domu dworskim tzw. „kuźni”, zabierając do niego sprzedaż wyrobów tytoniowych, wobec czego zaczęły się mozolne i kosztowne starania o przydział trafiki. W sierpniu 1927 roku wybrano nowy zarząd: Przew. Ks. Fr. Korzonkiewicz, z-ca: Wojciech Kardas, sekr. Michał Cygan z Kujaw, skarbnik Ja Twaróg, członkowie: Piotr Gajoch, Walenty Gajoch, Piotr Perlik, Wawrzyniec Czekał, sklepikarz: Piotr Baran, kierownik sklepu Józef Gajoch, syn Piotra. (...) Sklep był nieźle zaopatrzony w towar, był dobrze prowadzony i dawał niezły dochód, przeciętnie 12 % zysku od utargu. Z zysków kupiono maszynę młocarnię szerokomłotną, siewnik, bronę ławkową, tryjer, żmijkę itp. Od maszyny płacono 10 kl. pszenicy za 1 godz. – członkowie, a pozostali 12 kl. i jeszcze kółko mogło dać 3.000 zł. na budowę szkoły. O mankach, które są dziś tak modne nie było mowy i żaden ze sklepikarzy ich nie miał, bo był wymagalny gwarancyjny na pokrycie ewentualnego manka. Prócz sklepu kółka rolnicze prowadziło w porze zimowej kursy hodowli krów, świń, pielęgnacji i nawożenia łąk, założono poletka doświadczalne uprawy zbóż, buraków, ziemniaków, hodowlę kur i gęsi. Urządzano wycieczki na targi poznańskie i wiele innych. W październiku 1929 roku odbyła się uroczystość 10 lecia powstania kółka rol. W Pleszowie, odegrano przedstawienie „Niech żyje Koło Rolnicze” przez zespół Koła Młodych. Uroczystość ta była opisana w „Przewodniku Kółek Rolniczych”, gdzie zamieszczono reprodukcje zdjęć fotograficznych. Czynnych członków opłacających składki było 68. (...)

W czasie wojny dochody sklepu zostały uszczuplone, a wkrótce po niej wyszło zarządzenie, by sklepy kółek rolniczych łączyć w tzw. Zw. Samopomoc Chłopska. W Mogile powstała Centrala Gminna Spółdzielni Samopom. Chłop. Do której przeszły sklepy: Pleszowa, Mogiły, Luboczy, Krzesławic i Bieńczy z całym towarem, gotówką i wszelkim inwentarzem. W Pleszowie odbyło się walne zebranie kółka rol. Na którym zapadła uchwała, że „Przechodzimy wraz z całym majątkiem”. Postawiono wniosek o wyłączenie maszyny młocarni na rzecz gromady, lecz za tym wnioskiem nikt nie głosował. Od tego czasu podlegaliśmy pod dyktando Zarządu Gminnego w Mogile. Głównym prezesem był niejaki Szlek, a kier. towarowym Piłat z Krzesławic. W budynkach podworskich został utworzony G. O. M., kier. był Feliks Adamski, który wypożyczał maszyny, kosiarki i żniwiarki oraz przeprowadzał omłoty i pobierał opłaty. Ten stan dotrwał do 1951 roku. Po utworzeniu Dziel. Rady Narodowej w Nowej Hucie działalność oświatowa ustała, a sklepy przejął Zarząd Miejski tzw. MHD. Po pewnym czasie dawny sklep kółka rol. w Pleszowie został przydzielony Gm. Spół. Sam. Chłop. w Ruszcy, wraz z udziałami członkowskim i a ośrodek maszynowy, który mieścił się w stodole plebańskiej został przemianowany na Państwowy Ośrodek Maszynowy, czyli tzw. P. O. M., tak, że właścicielem maszyn stało się państwo, a wszelka własność dawnego kółka rolniczego została zlikwidowana. Za 3 – 4 lata zostaliśmy od Ruszcy oderwani i przydzieleni do Spół. Gminy Węgrzce, by znów w 1958 roku z powrotem być przydzielonymi do Ruszcy, lecz już bez maszyn, które zostały przydzielane nie wiadomo gdzie i komu, a Pleszów jako dawny ich właściciel nie miał na to żadnego wpływu, pomimo zabrania 2 maszyn omłotowych (druga przydzielona, nowa przez Komitet parcelacji po inż. Szubie także została zabrana). (...) Teraz zaczęła się długa i mozolna praca w celu otrzymania z powrotem maszyny młocarni, co zostało uwieńczone sukcesem. W 1958 r. w Pleszowie urządzono Okręgowe „Dożynki”, w których zespoły młodzi Pleszowa, Branic, Mogiły, Grębałowa, Krzesławic i Łęgu wystąpiły z wieńcami dożynkowymi, z własnym programem. Całością kierował Jan Gajoch, a że dzień był ciepły i słoneczny, zgromadziło się 4 – 5 tys. ludzi. Po występach artystycznych odbyła się na wolnym powietrzu zabawa taneczna do rana.

Plon Śmierci w czasie wojen (w latach: 1914-1918, w 1920 r., i w latach 1939-1945)

Po wypowiedzeniu wojny Serbii przez Austrię, rząd austriacki ogłosił powszechną mobilizację rezerwistów do 32 roku życia, a więc 8 roczników. W grudniu 1914 r. ogłoszono pobór 12 roczników tj. od 20 do 32 roku życia, tych, którzy w wojsku nie służyli. Uznanych za zdolnych pozostawiono zaraz w wojsku i wywożono na Śląsk do miejscowości Wagstadt lub do Iczina na Morawy. W kwietniu 1915 r. urządzono dodatkowy przegląd do 36 roku życia oraz powołanie rezerwistów do 42 r. życia do tzw. żandarmerii. Potem nastąpiła dalsza mobilizacja jeszcze starszych roczników – do 50 roku życia. Przeglądy te i uznawanie za zdolnych odbywały się co parę miesięcy, aż do zupełnego wybrania mężczyzn do wojska, tak, że nierzadko z jednego domu było po 2 i 3 synów w wojsku i ojciec również. Jednym słowem – ruina gospodarcza, bo cały ciężar pracy spadał na żony i dzieci oraz nielicznych starców, którzy w trudzie i znoju musieli wykonywać wszystkie prace związane z gospodarstwem. Trzeba dodać, że gospodarstwa rolne musiały odstawiać zboże. Kontyngenty te były bardzo dotkliwe a zarazem bardzo nisko płatne, natomiast za zarekwirowane krowy, świnie, konie i wozy, dawano nic nie znaczące kwity, za które nikt nigdy nic poszkodowanym chłopom nie zapłacił.

Lista poległych:

Wincenty Komasa, prawdopodobnie był pierwszym poległym z Pleszowa, który padł od kuli rosyjskiej w listopadzie 1914 r. na stacji kolejowej w Prusach, gdzie został pochowany.

Władysław Huczek, szofer, front włoski

Jerzy Józef Walczak (Ruskuwka)

Józef Gębała (Janas)

Wojciech Baran

Piotr Kasznik

Piotr Rospądek

Mikołaj Cyganik

Kazimierz Jarosz

Wincenty Walczak (Pustuła)

Piotr Nowak (Łyko)

Jan Ciesielski

Wincenty Korzeniowski

Józef Pleciak

Jan Łukasik

Wojciech Król

Szymon Nowak (Banach)

Józef Kapelant

Józef Nosek z Kujaw

Andrzej Król

Franciszek Kardas

Andrzej Wójcik

Jan Gawel

Franciszek Dudek

Józef Wilczek

Andrzej Cygan

Józef Kuśnierz z Kępy

Józef Nowak

Józef Świder z Kujaw

Inwalidzi:

Józef Wosiek, ranny w głowę, Tomasz Broś, ranny w rękę, Jan Cygan, ranny w głowę, Józef Zięba, ranny w nogę, Wojciech Kot, bez palców u nogi, Jan Rusiecki bez palców u nóg, Stanisław Kardas, bez nogi, Wojciech Nowak bez nogi, Piotr Gumół, inw. „na wewnątrz”, wrócił po wymianie jeńców z Rosji, Kazimierz Gajoch.

Zmarli w domu po powrocie z wojny wskutek przebytych chorób (tyfusu, cholery, a w szczególności malarii):

Jan Świder, Józef Świder, Józef Gębala, Jan Walczak, Wincenty Gajoszek, Józef Salwiński (legionista), Wincenty Walczak (Małek).

W 1920 r. zostali zabici:

Franciszek Chmiel (leg.), Jan Kowal (leg.), Jan Kryza (uła)

Zaginieni: Wojciech Cygan, Piotr Świder, Wojciech Farnaus (rozstrzelany)

Podczas II Wojny Światowej zginęli w 1939 r.:

Józef Nowak, Franciszek Krupa, ranni: Tadeusz Tynor, Stanisław Koczur, Jan Cygan.

Zmarł jako ofiara obozu koncentracyjnego inż. Józef Rosiewicz. W katastrofie lotniczej nad Anglią zginął pilot Kazimierz Rosiewicz. Nie powrócił z niewoli niemieckiej, gdzie zmarł, Stanisław Stefański. Po powrocie z niewoli zmarł Stanisław Baran, Jakub Stefański. Zastrzelony w domu w czasie ucieczki: Władysław Rażny. Rozstrzelani za posiadanie broni: Andrzej Rażny, Jan Sroka, rozstrzelany w „kongresówce”, gdzie został złapany: Wincenty Sroka.

Wywiezione zostały trzy rodziny żydowskie, razem 12 osób, i wszelki ślad po nich zaginął, a to: Weiser Icek, Weiser Bernard wraz z rodziną, Fiefenbrum z żoną i synami i Grommer Wilhelm.

grudzień 1955 r.

Zebrał i spisał Michał Cygan

Nowe Pamiętniki Chłopów (list konkursowy)

Gdy się zwrócę myślą wstecz do ostatniego dziesiątka lat dziewiętnastego wieku, w którym to czasie chodziłem do szkoły, i porównam warunki dzieciństwa mojego z obecnymi, jak podówczas jedna nauczycielka uczyła do południa i popołudniu, że była tylko jedna sala szkolna, która mogła pomieścić najwyżej 80 dzieci, a dzieci było zapisanych 180, jak to nauka była „popędzana” kijem nie tylko przez nauczycielkę, ale i przez księdza na nauce religii, trzcinką w rękę lub na pokładanego na stołek i dostawał uczeń pięć kijów t.z. „spod ciemnej gwiazdy”, jak za otrzymaną karę musiał uczeń podziękować, w przeciwnym razie popadł w niełaskę. Po ukończeniu lat szkolnych niewielu takich było, którzy mogliby się dalej kształcić z powodu wielkich opłat, na kształcenie syna mógł sobie pozwolić gospodarz 15-20 hektarowy, który posyłał syna uczyć się na księdza lub adwokata, bo to był „fach” wzbogacenia się. Małorolni chłopcy z trudem mogli zdobyć się dać syna do nauki do szewca, krawca, stolarza lub kowala, gdzie przez cztery roky za darmo pracował a ojciec był zobowiązany synowi sprawić ubranie i buty, a w praktyce również kij miał duże znaczenie. Ci zaś, którzy pozostali w domu po ukończeniu szkół, powiększali kadry pracowników dworskich i za 20 centów austriackich pracowali od świtu do nocy, poganiiani przez polowego dworskiego kijem, który dość często znalazł się na grzbiecie pracownika. Z takich to robotników wyrastali kandydaci przyszłych fernali dworskich, i prawie że na całe życie oddawali się w pańską niewolę marnując swoje siły i zdrowie, wyczerpani fizycznie przedwcześnie umierając. Wielu zaś było takich którym obrzydła praca we dworze i wyjeżdżali do Prus na pracę sezonową czyli tzw. „Saksy”, do Czech, Danii, Węgier, Francji a nawet i Ameryki. Niewielu było takich „szczęśliwców”, którzy by mogli znaleźć pracę w mieście, byli to przeważnie cieśle którzy wybierali się na cały tydzień do pracy która trwała od 6 rano do 6 wieczorem, odżywiając się zupą ziemniaczaną ugotowaną po pracy w miejscu noclegowym zwanym powszechnie „bidą” lub „sekulotkom”. Do prawdziwych „szczęśliwców” należeli ci którzy mogli otrzymać pracę w mieście we fabryce, lecz w czasie strajku znajdowali się w bardzo przykrym położeniu bo brak było środków do życia, a takiego dwór do pracy nie przyjął na czas strajku. Taki stan rzeczy dotrwał do pierwszej wojny światowej 1914 r. Po wybuchu wojny 1914 r. chłopcy spod zaboru austriackiego przeszli straszne doświadczenie. A więc: wszyscy mężczyźni od 18 roku życia do 42 a później nawet do 50 zostali wcieleni do armii. Zostały zarekwirowane konie, wozy, zabierano krowy i świnie na wyżywienie wojska, musiano odstawić zboże i ziemniaki otrzymując zamiast gotówki kwitek. We wchodniej części powiatu krakowskiego wycięto w kilku wsiach wszystkie drzewa, ofiarą padły kilkunastokrotne dęby, sosny, urodzajne grusze i jabłonie. Wsie Lubocza i Grębałów rozburzone, wieś Pleszów miała być spalona, ludność tych wsi została ewakuowana. Jako „plon” wojny po jej

zakończeniu jednej wsi Pleszów, która podówczas liczyła 160 gospodarstw, pozostała odbudowa zniszczonych budynków, brak kilkudziesięciu koni i wozów, krów i świń, zabitych 30 mężczyzn, pozostało 17 wdów i kilkadziesiąt sierot, 4 inwalidów bez nóg, lżej rannych kilkunastu. Oto skutki wojny. Po zakończeniu wojny nastąpiła zmiana pieniędzy z koron austriackich na marki polskie, przy zmianie tej ludność poniosła stratę, druga zmiana była w 1924 r. z marek na złote polskie, przy której to zmianie ówczesny minister skarbu Grabski tak wygrał chłopom kieszenie, że im pozostało osławione „plótno w kieszeni”!, i zaczęła się wkradać na wieś znana przedtem „nędza galicyjska”. Pomimo wysiłków pracy przez chłopów chłopcy nie mogą nadążyć z płatnościami wszelkich podatków. Robotnicy w mieście otrzymują nędzne płace, powtarzają się strajki. Po przewrocie majowym w 1926 r. i objęciu władzy przez sanację Piłsudskiego nastąpiły dla chłopów i robotników czasy ciężkie i beznadziejne. Produkt rolny za bezcen, a podatki wygórowane, których chłopcy nie są w stanie wypłacić. Dla przykładu podam: 1 kwintal żyta od 12 do 15 zł. a 1 kwintal azotniaku 30 zł. a więc 2 kwintale żyta za 1 kwintal azotniaku. Flaszka piwa 50 gr. A 1 litr mleka 10 do 12 gr., flaszka lemoniady 25 gr., i wiele innych. Chłopcy nie płacili – bo nie mieli pieniędzy, egzekutorzy zabierali poduszki, maszyny do szycia, nawet ostatnią krowę za podatki. Brak pieniędzy daje się coraz bardziej odczuwać, nie ma za co kupić soli, nafty, po domach siedzą po ciemku lub przy lampie mocno przykręconej, zapalki dzieli się na 2, 3 części lub zaświeca się słomą zapaloną od ognia z pieca, dzieci obdarte bez bielizny i ubrania, jedna para butów dla 3, 4 osób, mężczyźni i kobiety bardzo lichy ubrani i kiepsko odżywieni, o okrasie jedzenia nikt nie myślał, „byle na sól było”. I ten nędzny stan reżim sanacyjny nazwał „kryzys gospodarczy”, który dotrwał do wybuchu wojny hitlerowskiej 1939 r. Opisuję te fakty jako ten, który te czasy przeżywałem, bo liczę 67 lat, i we wszelkich poczynaniach strajków chłopskich brałem udział. Wojny hitlerowskiej opisywać nie będę, bo żywe jeszcze są w pamięci te straszne przeżycia wsi polskich. Gdy zastanawiam się nad minioną przeszłością i porównam z czasem obecnym czasy minione, to jakże wielka różnica jest w życiu wsi w czasie przedwojennym a obecnym, jak wielkie przemiany dokonały się na lepsze dla całego społeczeństwa w Polsce. Dziś dzieci w szkole są otoczone opieką przez Władze Państwowe, dziecko po ukończeniu szkoły podstawowej może się dalej kształcić, otrzymuje stypendium Państwowe, może wyjechać na koszt Państwa na studia za granicę i nikt dzieci w szkole nie bije kijem, co jest dziś nie do pomyślenia. Dostępne i ułatwione jest kształcenie się na fachowca. Dziś nie ma kandydatów na fernali dworskich, majątki rozparcelowane, nadzieleni ziemią zrzeszeni są w spółdzielnie produkcyjne, gdzie mają być znośniejszy przy wspólnej gospodarce, nie świszczy nad nimi bat ekonomia. Za granicę w poszukiwaniu pracy nikt nie wyjeżdża, na zagranicznych i rodzimych kapitalistów nikt nie musi pracować, pracy dla każdego jest dość, każdy ma przyszłość zapewnioną, bo jest ubezpieczony, strajki są w Polsce nieznane. Robotnicy, ich żony i dzieci porządnie ubrani, z ich twarzy widać, że nieźle odżywieni. Chłopcy po oddaniu dostaw obowiązkowych mogą swoje nadwyżki sprzedawać po wyższej cenie, za produkty zakontraktowane otrzymują ceny opłacalne. Dziś się nie słyszy o dużych zaległościach podatkowych, chyba przez złośliwość, usłyszysz się by komuś zabrano poduszki, chustki czy ostatnią krowę za podatki. Dziś chłopcy nie dzielą zapalki na 3 części, nie świecą kopcącymi lampami bo świecą żarówki elektryczne (w mojej wsi od 7 lat). Każdy chłop ma po kilka par obuwia, dzieci do szkoły idą porządnie ubrane, żony chłopów również dostatnio ubrane, buzie mają czerstwe i rumiane, z których bije zadowolenie z życia. Wszystkie te warunki na lepsze dała nam Władza Ludowa, która troszczy się o robotnika i chłopca, by im było coraz lepiej. Toteż chłopcy boleśnie odczuli przedwczesną śmierć Pierwszego Prezydenta Polski Ludowej, Ob. Bieruta Bolesława, który najwięcej troszczył się o podniesienie stopy życiowej ludzi pracy, przez uprzedmiotwienie kraju i tym samym danie możliwości lepszego bytu. Dymi 30 kominów Huty im. Lenina na gruntach mojej wsi rodzinnej, gdzie kilkadziesiąt tysięcy ludzi ma pracę, którą polepsza swój byt, a która jest chlubą Władzy Ludowej, stawiając Polskę w rzędzie Państw przemysłowych.

Michał Cygan, Pleszów-Kujawy nr. 164, gm. Nowa Huta

W tekście zachowano pisownię oryginalną, na poźółkłych, zapisanych kartkach zeszytowego papieru „w kratkę” formatu A-3, znajduje się także czerwony odcisk pieczęci z datą „30. Marz. 1956” oraz cyfry: „526095”. Do jednej ze stron przyklejony jest na odwrocie fragment koperty i stempla pocztowego z napisem „Warszawa”, co wraz z nagłówkiem „List konkursowy” wskazuje, że jest to praca napisana na konkurs listów, ogłoszony w Warszawie w 1955 lub 1956 roku przez jakąś instytucję lub czasopismo. (dop. red.)



Kopia mapy katastralnej z dn. 15 kwietnia 1884 roku, dotycząca parceli budowlanych Macieja Cygana (dziadka Michała) położonych w Pleszowie.



Rodzina Michała Cygana, ok. 1910 r.



Rodzina Michała Cygana, lata 50. XX w.



ZARZĄD KOŁA MŁODZIEŻY W PLESZOWIE 1927r.

1. Gajoch Józef s. Piotra prezes
2. Gajoch Jan "s. Walentego sekrét.
3. Marc. Bednarz członek zarządu
4. Wawrzyn. Czekał " " "
5. Michał Cygan " " "
6. Piotr Stanek bibliotekarz
7. Stanisł. Czernek człon. zarządu
8. Józefa Partylanka skarbnik
9. Francisz. Gębalanka człon. zarz.



ROK 1927 ZARZĄD KOŁA STRONNICTWA LUBOWEGO I JEGO CZŁONKOWIE
ZŁOTYM SZTANDARDEM PO JEGO POWSTANIU. Siedzą od lewej: prez.
powiatowy M. w pow. Krakowskim Jan GĄSIOCH, sekret. Koła Jan Partyl
ka, członek Zarządu, prez. Młodego Michał Cygan s. Józefa
Człon. Zarz. Stanisław Stanek. Stoją od lewej: Jan Cygan, Jan Gie
la prezes Koła Młodzieży, Jan Gajoch s. Piotra, Józef Gajoch chore
g. s. Walentego, Jakub Stefanki, Jan Gębal / Włodek / Feliks Gaj
oszek, Józef Szewalski. Zdjęcia wykonane w czasie poświęcenia sztandar
u przed salą Koła Młodzieży w Pleszowie.

Fragmenty kroniki Koła Młodzieży Wiejskiej „Wici” w Pleszowie



Dziewczęta z Pleszowa i Luboczy z feretronami, 1944-45 r.



Od lewej: Elżbieta Cyganówna, Genia Cyganówna, ?,
Rajczykówna, Walczakówna, 1944-45 r



Młodzież z Pleszowa i Luboczy, lata 30-40. XX w.



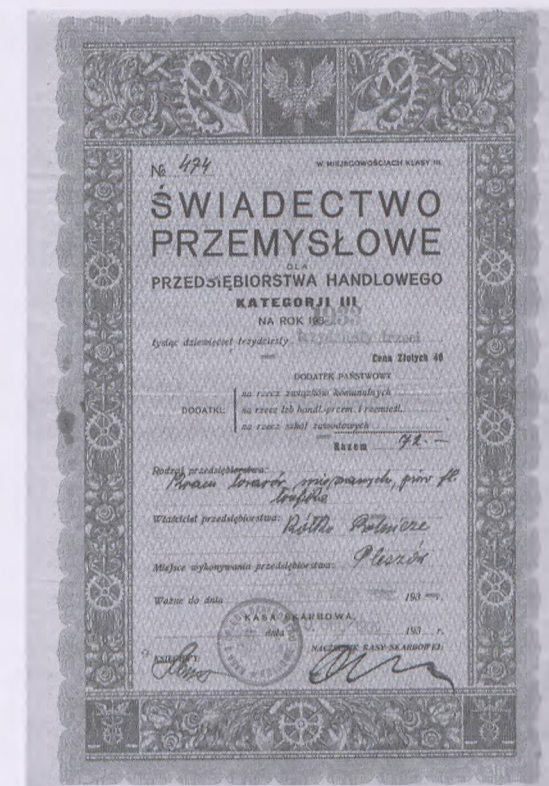
Młodzież z Pleszowa i Luboczy, lata 30-40. XX w.



Fragmenty kroniki Michała Cygana, 1955 r.



Pierwsza wspólna wycieczka do Wieliczki działaczy i członków koła Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej w Pleszowie, 5 czerwca 1922 r. Rzędami od dołu i od lewej: Tekla Nowak, Józefa Partylanka, Maria Gajoch, Stefan Cygan, Stanisław Kawula, Józef Wójcik, Józef Czekaj, M. Gajoch c. Kazimierza, Jan Rachwał, Michał Janik, Józef Gajoch s. Piotra, Michał Cygan, Jan Twaróg, Wiesław Makulski, Maria Cygan, Katarzyna Gajoch, Maria Pleciak, Agata Chmiel, Katarzyna Gajoch, Ant. Czekaj, Barbara Ciesielska, Kaczmarczyk, Katarzyna Stefańska, Br. Król, Franciszka Makulska, Stefania Nowak, Wiktoria Gajoch, Maria Kryzianka, Jadwiga Cyganówna, Piotr Stanek, Józefa Ciesielska, Józefa Musiał, Maria Cygan, Piekarczyk, Partylanka, Kardasówna, Katarzyna Partylanka, Jaworska, St. Kryzianka, Paweł Kówna, Piekarczyk, Czernek, Wł. Krupa, A. Stanek, Aniela Kowal, Mika, Partylanka, Grymkówna, Gajochówna, Rażna, St. Baran, Maria Cygan, Jan Cygan, Wiktoria Cygan, Franciszka Gębalańska, Walenty Gajoch, Jan Wójcik, Jan Partyła, Andrzej Gawel, Zięba, Piotr Kardas, Musiał, Józef Gajoch, Jan Gajoch (w mundurze), Jakub Sroka, Kazimierz Czernek, Zajac, Jakub Broda, Jan Lech, Józef Ptak, St. Kawula, Musiał, St. Zięba, Kardas, Gajochówna, Katarzyna Musiałówna, Piotr Burdek, Kardas, Grzybek, Kryza, Czernek, Jan Komasa, Piotr Walczak, Zajac, Wojciech Kowal, Wawrzyniec Czekaj



*Polisa z 1930 r. i świadectwo przemysłowe z 1933 r.
Kółka Rolniczego w Pleszowie.*

[illegible]

Kółko ROLNICZE: WYDZIAŁ: Ks. Franciszek Koronkiewicz - probosc
Wincenty Kardas - zast. probosc, Michał Łygan 46 - sekretarz, Jan Twarog skarbnik, Józef Piot, Józef Broda,
Michał Łygan 35, Antoni Malinka, Wacławymir Czechaj, Józef Sajach, Piotr Polak, Jan Bandur.
SZŁONKOWIE:
Ignacy Korub, Józef Lupa, Kasper Sumul, Józef Wójcik, Stanisław Stasiewicz,
Józef Rajczyk, Wójciech Chuga, Michał Łygan 46, Michał Łygan 35, Stanisław Bora,
Wojciech Nowak, Jan Łygan, Stanisław Tarnaw, Antoni Malinka, Kazimierz
Gryder, Józef Kot, Józef Goyb, Wójciech Kardas, Szymon Kardas, Jan Walczak,
Kazimierz Lecuga, Wójciech Bandur, Franciszek Krywalski, Stanisław Bedniewicz,
Walenty Sajach, Marcin Bednare, Józef Partyta, Stanisław Partyta,
Stanisław Pasoszek, Andrzej Kardas, Jan Grymek, Andrzej Polak,
Jan Wójcik, Piotr Wójcik, Tomasz Bów, Jan Broda, Wójciech Kacowski.

Fragment kroniki Koła Młodzieży Wiejskiej „Wici” z wykazem członków Kółka Rolniczego w Pleszowie.

Pleszów – z dziejów podkrakowskich wsi i ruchu ludowego

Opracowanie Jana Gajocha

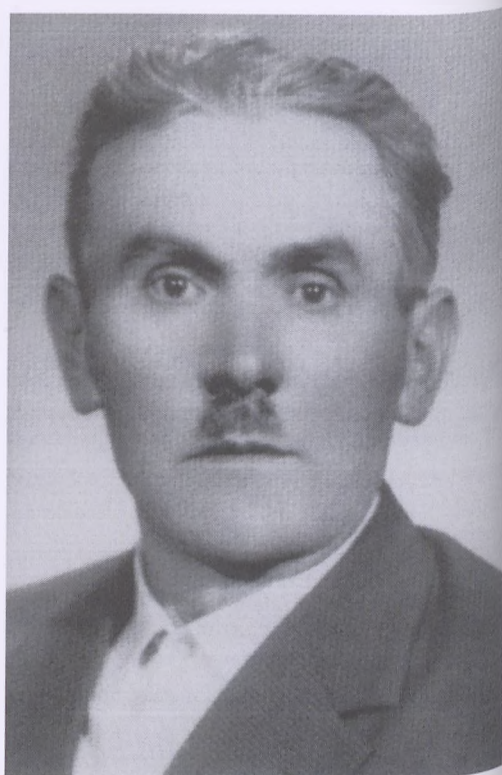
(...) W roku 1856 Pleszów z Kujawami liczył już 127 dymów (czyli kominów) i 881 dusz. Mogiła w tym czasie liczyła 1000 dusz. O losach chłopów w tych czasach kroniki pisane przez księży i panów milczą. Jednak dochowała się tradycja ustna. Ludzie starzy opowiadali o krzywdzie i pańszczyźnianej niedoli. Dochowała się smutna melodia i słowa piosenki śpiewanej przez pańszczyźnianych żniwiarzy:

*Zachodźże, słoneczko, skoro masz zachodzić,
bo mnie nogi bolą po tym polu chodzić.*

*Nogi bolą chodzić, ręce bolą robić,
zachodźże, słoneczko, skoro masz zachodzić.*

*Gdybyś ty słoneczko, na wyrobku było,
Tobyś ty słoneczko, prędzej zachodziło.*

*Za las, słonko, za las! Nie wyglądamy na nas,
Napatrzyś się jutro, jak będzie raniutko.*



Piosenka ta dobrze oddaje samopoczucie i tęsknoty pańszczyźnianego chłopca. Stare kroniki parafialne zawierają informację, że jeden z dziedziców Pleszowa zginął w bitwie z Turkami pod Warną, ale nie piszą, ile zginęło chłopów z jego pocztu, gdyż historię robili i pisali panowie, chłopci rodzili się po to, by odrabiać pańszczyznę. Dopiero Powstanie Kościuszkowskie położyło kres tej martwoty chłopskiej. Tadeusz Kościuszko zrozumiał, że Polska bez uspołecznionego chłopca musi zginąć, lecz powstanie przegrał, a kosynierzy racławicki musieli wrócić i dalej odrabiać pańszczyznę. Od pamiętnej bitwy racławickiej chłopci wychodzą na arenę dziejową jako siła dynamiczna i czynna, a ruch wywołany za czasów kościuszkowskich jest początkiem ruchów ludowych w naszym kraju. W tych właśnie latach zaczyna się w naszej okolicy proces uświadamiania chłopów. W Pleszowie znajdowała się kwatera organizacyjna kosynierów kościuszkowskich na całą okolicę. Kwatera ta mieściła się w domu chłopca pleszowskiego Rosy. Organizatorzy powstania przygotowali okolicznych chłopów do udziału w powstaniu walczącego o wolność narodu. Potwierdza to kronika parafialna, która nie podaje żadnych faktów, lecz istnieje wzmianka, że miejscowy kowal kuł kosy dla kosynierów. Dla piszącego księdza nie było ważnym podać nazwiska tych, którzy poszli z tymi kosami. Nie było więc przypadkiem, że Kościuszko idąc z obozu z Bosutowa szedł na Pleszów, gdzie miejscowi chłopci przed samą wsią uroczyście go witali. W miejscu tego powitania chłopci posadzili lipy, a pod lipą położyli kamienną płytę, popularnie nazwaną ławeczką Kościuszką. Lipa wyrosła na potężne drzewo, lecz w 1914 r. Austriacy wycięli wszystkie drzewa, a wraz z nimi lipę. Kamienna ławeczka jest pod opieką miejscowego społeczeństwa, i do dziś stoi dając świadectwo patriotyzmu chłopów (obecnie ławeczka gdzieś przepadła – dop.red.). Według ustnej tradycji Kościuszko 3 dni kwaterował w Pleszowie, lecz nie w pałacu u magnata Czartoryskiego, ani na plebanii, lecz pozostał w chłopskiej chałupie Rosy (później Rosiewicz). Grupa pleszowskich i okolicznych chłopów pomaszerowała z kosynierami pod Racławice. Na pamiątkę tego wydarzenia został zabrany do Muzeum Narodowego w Krakowie stół, przy którym Kościuszko się posilał i pracował. W naszej okolicy, bo w Krzesławicach, mieszkał sławny malarz Jan Matejko, który namalował dobrze znany obraz historycznej bitwy racławickiej. Matejko był w tych latach właścicielem dworu w Krzesławicach, a miejscowi chłopci służyli mistrzowi do odtwarzania kosynierów zdobywających rosyjskie armaty. Byli to chłopci z Krzesławic: Boligłowa, Czernek, Kofin, Raźni, Musiały, Nowak, Karbowski, Grelecki i wielu innych. Który z nich pozował do postaci Bartosza, nie udało się ustalić (wiadomość ustną podali: kowal Zakrzewski i Piotr Grymek). Z tamtych czasów pochodzi pewna historia rzucająca światło na ówczesny stosunek dziedzica do chłopów. Otóż było w zwyczaju Matejki, że przechodzący około okien dworu chłopci, bez względu na to, czy był ktoś w oknie, czy nie – musieli się kłaniać. Miejscowy chłop Czernek, który jeździł za stangretą z Matejką czwórką koni, był przystojny, dobrze się prezentował w czerwonej czapce z piórami na koźle, Matejko go lubił. Chłop przestał się jednak kłaniać przed pustym oknem. Matejko się o tym dowiedział, lecz nic mu nie powiedział. Przyszły święta Bożego Narodzenia, Matejko woła swojego Czernka, daje mu

dwa zajęce upolowane i list zapieczętowany i posyła go do Mogiły na posterunek żandarmerii, żeby go oddał komendantowi. Czernek przesyłkę zaniósł, oddał jedno i drugie, chce wracać do domu, lecz go zatrzymują. Komendant woła żandarmów, kładą chłopca na ławę, komendant mu oświadcza, że za to, że nie szanuje władzy tj. dziedzica, dostanie po cesarsku 25 kijów na siedzenie. Czy się później Czernek kłaniał przed pustym oknem – nie wiadomo. U schyłku XVIII w. Wojciech Bogusławski, twórca Teatru Narodowego w Warszawie, tworząc popularną do dziś operę opartą na motywach ludowych p.t. „Krakowiacy i Górale” umiejscawia ją w Mogile, gdzie była na Wiśle przystań dla flisaków. Bohater sztuki Bardos, poznaje piękną młynareczkę ze młyna, koło klasztoru. Zaczynają się zaloty, co wzbudza zazdrość miejscowych parobczaków. Zaczyna się akcja, z której wyrasta piękna opera narodowa. W powstaniu przeciw caratowi w 1863 roku był w Pleszowie chłop Gómol (mówią do Kaspra), który brał udział w wielu potyczkach i bitwach, był prześladowany, siedział po więzieniach.

Z początkiem XX wieku

Z tych okolic, bo z Bieńczyc chłopci zorganizowani w Stronnictwie Ludowym wybrali do Sejmu Krajowego we Lwowie Franciszka Ptaka z Bieńczyc. Było to na owe czasy wielkim wydarzeniem, które budziło chłopów do walki o swe prawa. Zaczęli się chłopci ruszać i coraz śmielej występować na arenę dziejową. Wyrastają nowi działacze jak: Jan Jarzyna z Bosutowa, Molewicki z Węgrzec, Maciej Czula z Grabia i Franciszek Wójcik z Wyciąż, który był później posłem do parlamentu wiedeńskiego i ministrem w Wolnej Polsce. Zdarzyło się raz, że z tytułu swej działalności i pokrewnych przekonań Jan Jarzyna został zaproszony przez Walentego Gajocha z Pleszowa na chrzestnego ojca dla narodzonego syna. Jarzyna zaproszenie przyjął chętnie, bo lubił kumotrować, i w którąś tam niedzielę października 1900 roku, przyjechał do kościoła w Pleszowie ochrzcić chłopaka. Ludzi zeszło się dużo, bo Jarzyna był znany. Ówczesny ksiądz proboszcz, gdy usłyszał nazwisko Jarzyny i Gajocha wpadł w gniew i oburzenie, że tacy ludzie, co czytają „Przyjaciela Ludu” prowadzą ludzi do piekła, mają śmiałość przychodzić do kościoła, jeszcze za chrzestnych ojców – odmówił chrztu i przy okazji wyszedł na ambonę i potępił odszczepieńców. Jarzyna się tego nie przeraził, powiedział księdzu, że mu się kłaniać nie będzie. Wziął kumoszke i dziecko na wóz i pojechali do Mogiły, do klasztoru, gdzie księża bez sprzeciwu chłopaka ochrztili.

Przed pierwszą wojną światową w okolicznych wsiach były organizowane Drużyny Bartoszkowe, które później weszły w skład Legionów. Z tego tytułu znalazło się kilku chłopaków z Pleszowa w Legionach, a to Józef Salwiński, Józef Walczak i Wojciech Kaszowski, który został wzięty do niewoli rosyjskiej.

W wolnej Polsce

Gdy nastąpiła wolna Polska, chłopci odsunęli się od Stapińskiego, który zaczął wicherzyć i za pieniądze kumać się z obszarnikami. Na czoło ruchu ludowego wysunęli się nowi działacze jak Wincenty Witos, Andrzej Sredniawski, Jakub Bojko i in. Powstaje Polskie Stronnictwo Ludowe „Piaś”, którego prezesem zostaje Wincenty Witos z Wierchosławic. W 1920 r. prezesem na powiat krakowski zostaje Franciszek Wójcik z Wyciąż, który potem będzie w pierwszych wyborach wybrany na posła do Sejmu Ustawodawczego w Warszawie z ramienia PSL „Piaś”. Na prezesa powiatowego wybrano Piotra Wyrobę z Liszek. W tych powojennych latach ruch ludowy, na skutek słabego jeszcze wyrobienia chłopów, uległ rozbiciu i skłóceniu. Działo około 40 stronnictw politycznych wzajemnie się zwalczających, nie mogło być mowy o jakiejś twórczej pracy i rządzie opartym na większości sejmowej. Rządy co parę miesięcy upadały, powstawały nowe nie przynosząc zmiany w położeniu. Następuje upadek waluty, strajki i rozruchy robotnicze. Z tej sytuacji korzysta marszałek Piłsudski i przy pomocy wojska i przewrotu obala w 1926 r. świeżo utworzony rząd prezesa Wincentego Witosa, oparty na porozumieniu stronnictw centro-prawicowych, mający zapewnioną większość sejmową zdolną do przeprowadzenia odpowiednich reform ustrojowych w Polsce.

Rządy sanacji

Po czasach sejmowładztwa i słabych rządów powstają rządy silnej ręki, które obiecywały poprawę stosunków i podniesienie dobrobytu w Polsce. Przewrót majowy poparły niektóre stronnictwa ludowe jak „Wyzwolenie” czy „Stronnictwo Chłopskie”, które haniebnie oszukano, gdyż rządy sanacyjne nie poprawiły bytu materialnego ani robotników, ani też chłopów, do których rządy opanowane przez obszarników odnosiły się z klasową nawiścią, co potwierdzają mowy wygłaszane przez obszarniczych posłów na Sejmie w Warszawie. Poseł Kleszyński krzyczał: „Za mordę chamów, krótko przy samym pysku”, a hasła w prasie i na zebraniach nawoływały:

„Do widel i gnoju chamy, a nie do rządów”. Rządy te były świadectwem pracy pogrobowców obszarniczych w rodzaju Branickich i innych zdrajców. Zapanowało jeszcze większe bezrobocie, a nędza szerokich mas powiększała się z dnia na dzień. Policyjne rządy tłumią każdy głos krytyczny odnoszący się do poczynąń rządów, gazety spod cenzury wychodzą z białymi łamami. Najwięcej prześladowany jest ruch ludowy, niezależnie z którego ugrupowania pochodzi. Kto nie chwali tego, co jest złe jest wrogiem, idzie do więzienia. Kto chwali, jest nagradzany, zostaje posłem lub otrzymuje inne synekury. (...) Ogół chłopów został zmobilizowany do walki z dyktaturą sanacyjną. Na czoło ruchu ludowego w Polsce wysuwa się zdecydowanie PSL „Piast”, a prezes tego stronnictwa, Wincenty Witos, zyskuje popularność w całym kraju za swe odważne i mądre wystąpienia w obronie praw ludu. Zebrania poselskie, na które przyjeżdżał Witos, były świetną szkołą obywatelską dla chłopów. Przytoczę wyjątek z jego przemówienia zamieszczonego w „Piaście” z dn. 8.10.1931 r.: „Jesteśmy w pełni prawnymi obywatelami, stanowicie w Polsce najliczniejszą klasę, nie wolno nam być ani martwymi ani obojętnymi na przejawy życia politycznego w Polsce. Cokolwiek jednak robicie, baczcie, aby nie łamać litery prawa ani przepisów. Wszystko musicie robić w ramach prawa”. Na terenie całej Polski wzmaga się praca organizacyjna wśród chłopów, mimo licznych szykan policyjnych i aresztowań powstają Koła Ludowe. Na zebraniach potępiają i wyklinają zdrajców i odszczepieńców, domagają się zjednoczenia wszystkich stronnictw ludowych w jedno stronnictwo ludowe. Również stronnictwa robotnicze zdecydowanie odmówiły poparcia dla rządów dyktatury sanacyjnej i zwróciły się do ruchu ludowego o utworzenie wspólnego frontu walki z dyktaturą sanacyjną.

Centrolew

W 1930 roku zostaje zwołany do Krakowa wielki wiec chłopsko-robotniczy, który wszedł do historii pod nazwą „Centrolew”. Wiec ten zorganizowany w dniu 29 czerwca 1930 r. był wyrazicielem żądań chłopów i robotników zorganizowanych w stronnictwach: PPS, NPR, Chrześcijańska Demokracja, PSL „Piast”, „Wyzwolenie”, Stronnictwo Chłopskie. „Centrolew” zwołany pod hasłem obrony praw i wolności ludu, mimo szykan i aresztowań zdążających uczestników wielkiego wiecu. Przemówienia Witos i innych przyjęte zostały entuzjastycznie i wlały otuchę w serca odartego z praw narodu. (...) Dyktatura sanacyjna widząc nieprzychylny zwrot w opinii krajowej i zagranicznej dla siebie, zastosowała wobec przywódców „Centrolewu” niebывалы terror połączony z okrucieństwem. W Brześciu nad Bugiem został utworzony obóz koncentracyjny, dokąd przewieziono bezprawnie aresztowanych przywódców „Centrolewu”, pod zarzutem nielegalnego spisku przeciwko państwu, co było kłamstwem, gdyż uzyskano zezwolenie władz na odbycie wiecu w Krakowie. Wobec aresztowanych przywódców w dn. 19 września 1930 r. zastosowano metody moralnego poniżenia. (...) Dopiero po 13 miesiącach trzymania w nieludzkich warunkach więziennych wytoczono oskarżonym proces, który rozpoczął się 26 października 1931 r. W czwartym dniu procesu przemawiał Wincenty Witos. Powiedział: „Nie chcemy, aby Polska budowana była na jednym człowieku, chcemy, aby budowała ją całe społeczeństwo. Ja byłem tym prezesem rządu, który został przez zamach majowy obalony. Nie ja dokonałem zamachu, a więc kto inny zrobił spisek i zamach, a ja siedzę na ławie oskarżonych”. W dalszym ciągu swego przemówienia powiedział: „Spodziewam się, że w Polsce przyjdą takie zmiany, że na ławie oskarżonych zasiądą ci, którzy chcieli zamachu i zrobili go”. Mimo świetnej obrony, która udowodniła, że „Centrolew” nie był żadnym nielegalnym spiskiem przeciwko państwu, że oskarżeni spełniali tylko swe funkcje społeczne zgodnie z przepisami konstytucyjnymi, w procesie tym zapadł niesprawiedliwy wyrok skazujący oskarżonych na wysokie kary pieniężne i aresztu. Witos dostał półtora roku i konfiskatę majątku. Działające w tym okresie PSL „Piast” w opinii całego społeczeństwa było najbardziej bojowe i było najbardziej masową organizacją polityczną chłopów, o czym świadczy masowe święcenie sztandarów ludowych z napisami „Żywią i bronią”, pod którymi całe wsie manifestowały na święta ludowe i na inne uroczystości. Oddzielnie działające dotychczas stronnictwa chłopskie pod naciskiem dołów ludowych, które domagały się zjednoczenia, po długich debatach i namysłach zwołały do Warszawy w 1931 r. Kongres wszystkich ugrupowań ludowych. Kongres jednomyślnie uchwalił połączenie trzech oddzielnie działających stronnictw, a to: „Piast”, „Wyzwolenie”, i „Stronnictwo Chłopskie” w jedno stronnictwo pod nazwą „Stronnictwo Ludowe”. Wybrana została Rada Naczelna, Naczelny Komitet Wykonawczy. Prezesem połączonych stronnictwa został jednogłośnie wybrany Wincenty Witos, były Premier Rządu Obrony Narodowej, więzień brzeski, najwybitniejszy chłop wszystkich czasów. Kongres połączeniowy był jasnym przebiegiem w czasach trwającego ucisku i szykan, był objawem trwającej solidarności ludu. Witos i inni więźniowie brzescy w roku 1933 po uprawomocnieniu się wyroku, w obawie przed aresztowaniami do odbycia zasądzonych kar, opuszczają kraj udając się na polityczną emigrację. Witos osiedla się na Morawach, w pobliżu polskiej granicy, skąd kieruje politycznie pracą stronnictwa. Po ucieczce więźniów brzeskich za granicę, dyktatura sanacyjna zatriumfowała, w celu zwiększenia terroru utworzono w Berezie Kartuskiej obóz odosobnienia, przeznaczony dla politycznych

działaczy opozycyjnych. (...) Z powiatu krakowskiego siedział tam Józef Urban z Bodzanowa, a Jan Gajoch z Pleszowa uniknął aresztowania, ponieważ w tym czasie przebywał już w krakowskim więzieniu św. Michała wraz z kilkoma działaczami młodzieżowymi, m.in. Staneckim i Jeleniem z Chałupek oraz ze Szczepanem Ziomekiem z Wadowa. Siedzieli za organizowanie kół „Zniczowych” na terenie powiatu krakowskiego. W czasie zwiększonego terroru dyktatury sanacyjnej ruch ludowy w niektórych rejonach po części się załamał i osłabł. Wtenczas do walki z sanacyjną dyktaturą pospieszyła młodzież pochodzenia chłopskiego, zorganizowana w akademickich kołach ludowych przy wyższych uczelniach (Polska Akademicka Młodzież Ludowa).

Powstanie „Znicza”

Do roku 1928 P. A. M. L. (Polska Akademicka Młodzież Ludowa) współpracowała z Małopolskim Związkiem Młodzieży Ludowej przy Małopolskim Towarzystwie Rolniczym w Krakowie. (...) Wyrażne przejście M.T.R. organizacji dotychczas ludowej na stronę dyktatury sanacyjnej stało się przyczyną powstania samodzielnego Związku Młodzieży Wiejskiej w Krakowie. Po opracowaniu statutu przez kolegę Marcinkowskiego, Mierzwę, Miłkowskiego i Witaszaka oraz zatwierdzeniu go przez władze, wydano odezwę do wszystkich Kół Młodzieżowych, by wstępowały do nowopowstałego, samodzielnego Związku Młodzieży Wiejskiej „Znicz”. (...) Praca organizacyjna przyniosła efekty, gdyż na zwołany pierwszy wojewódzki zjazd młodej i samodzielnej organizacji „Zniczowej” zwołany do Krakowa w dniu 6 lipca 1930 r. przybyło około 400 delegatów z 60 kół. Zjazd zaszczycił swą obecnością Wincenty Witos, którego przemówienie wywarło na zebranych duże wrażenie. (...) Wybrano władze, utworzono komisje: rolną, oświatową i sekcję koleżanek z przewodniczącą Heleną Ściborowską. Odśpiewano hymn związkowy, który oczarował młodzież swymi podniosłymi słowami: „Do niebieskich pował, od wrót czarnej ziemi już się sztandar nasz zniczowy kolorami mieni...”. Zjazd zakończył się w podniosłym nastroju, związek się umocnił, gdyż skupiał w swych szeregach najwartościowszą młodzież wiejską ówczesnych czasów.

Walka o młodzież w Pleszowie

W Pleszowie istniała młodzieżowa organizacja od 1920 r., najpierw oparta była na statucie Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej Męskiej i Żeńskiej. W 1923 r. pod wpływem członków Związku Młodzieży stowarzyszenie się rozwiązało, a powstało Koło Młodzieży przy M. T. R. w Krakowie. Koło Młodzieży pracowało pod kierownictwem Zarządu, którego długoletnim prezesem był kol. Jan Gajoch. Koło posiadało piękny sztandar, poświęcony uroczystości 8 września 1929 r. Koło Młodzieży prowadziło orkiestrę złożoną z 24 instrumentów, na których grali sami członkowie koła z Pleszowa. Orkiestrę ćwiczył kapelmistrz z wojskowej orkiestry Józef Cieraszewski, za miesięcznym wynagrodzeniem. Posiadaliśmy własną bibliotekę liczącą 1000 książek. Na świetlicy było zainstalowane cztero-lampowe radio, które było w tym czasie nowością, ludność z całej wsi schodziła się słuchać audycji. Mieliliśmy salę przerobioną z podworskiej zajezdnej stajni przez młodzież Koła jeszcze za czasów Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej, przy wydatnej pomocy kierownika szkoły i wychowawcy Jana Twaroga. Scena i dekoracje były malowane. Koło prowadziło chór mieszany. W latach 1929-1930 było ponad 100 członków w Kole, podzielonym na sekcje. Każdy należał do jakiejś sekcji, na czele której stał przewodniczący, który nadawał kierunek i przydzielał zadania. Sekcje były następujące: muzyczna na czele z kolegą Stefanem Cyganem, dramatyczna na czele z kol. Michałem Cyganem, starym członkiem i założycielem organizacji młodzieżowej jeszcze S. M. P. Chór prowadził kol. Józef Gajoch, były prezes Koła. Kapitanem sekcji sportowej był kol. Jan Gajoch. Prowadzono także PW., które ćwiczył były podoficer, zdolny i wybitny instruktor, plutonowy Jan Komasa, sekcję gospodarczą, poletka, wychów cieląt i loszek prowadził Jan Partyła. W latach 1925-1934 proboszczem w Pleszowie był ks. Franciszek Korzonkiewicz, ruchliwy bardzo. Prowadził Kółko Rolnicze, gorliwy ludowiec, pamiętam, jak w roku 1926, po przewrocie majowym, wyszedł po sumie przed kościół i głośno wołał: „Chłopy do Warszawy, bronić Wincentego Witos”. Do Koła Młodzieży odnosił się przychylnie. On też jako prezes Kółka Rolniczego przyczynił się do przyjazdu Prezydenta RP Ignacego Mościckiego do Pleszowa w dniu 28.07.1928 r. Koło Młodzieży w tej uroczystości wzięło wybitny udział. Jednak na skutek wzrastającej nędzy wśród ludności wiejskiej spowodowanej dyktatorskimi rządami elity sanacyjnej, powstała na wsi opozycja i niezadowolenie, które nie ominęło Pleszowa. Zarząd Koła Młodzieży został skrytykowany za wzięcie udziału w przyjęciu p. Prezydenta. Ks. Korzonkiewicz nie widział tych objawów i gorąco popierał rządy dyktatury sanacyjnej. Nasze drogi się jednak rozeszły. W 1930 r. dowiedzieliśmy się, że nasz proboszcz zostanie odznaczony za pracę społeczno-gospodarczą Krzyżem Zasługi. Zorganizowano komitet obywatelski celem zorganizowania uroczystości. Zwrócono się do mnie jako prezesa Koła Młodzieży z propozycją wzięcia udziału w tej uroczystości, ale z orkiestrą. Proszono, aby orkiestra zagrała „Pierwszą Brygadę”. Zwołałem Zarząd Koła, postanowiono, aby iść, ale zamiast „Pierwszej Brygady” zagrać „Bartoszu, Bartoszu! Oj nie

trać nadziei...". Decyzję tę zachowano w tajemnicy a nawet ćwiczone „Pierwszą Brygadę”. Przyszła uroczystość, przyjechał starosta powiatowy p. W. Wnek. Podczas dekoracji ks. Korzonkiewicz na dany znak orkiestra zagrała „Bartoszu, Bartoszu!” i z tym marszem opuściliśmy ostentacyjnie uroczystość, a za nami odeszła również ludność wiejska. Została garstka gorliwych zwolenników sanacji. Sytuacja polityczna zaostrzyła się. Postanowiliśmy przejść do powstałej w roku 1930 niezależnej organizacji młodzieżowej w Krakowie – „Znicz”. W tym celu zwołaliśmy w maju 1931 r. nadzwyczajne walne zebranie Koła Młodzieży. Przewodniczący ujawnił cel zebrania i podał wniosek, uchwalony przez Zarząd, o zmianie statutu z Małopolskiego Związku Młodzieży na Koło Młodzieży Wiejskiej. Wywiązała się gorąca dyskusja. Przyszedł również ks. Korzonkiewicz, by bronić ideologii sanacyjnego Związku, lecz kol. Jakub Stefański oświadczył, że już dłużej dyktatury księży nie będziemy słuchać. Wniosek przeszedł olbrzymią większością głosów. Zebranie zakończono odśpiewaniem hymnu wiciowego „Do niebieskich powań od wrót czarnej ziemi, już się sztandar nasz wiciowy kolorami mieni”. Przejście Koła do „Znicza” wywołało wściekłość władz sanacyjnych i prześladowanie. Według statutu Małopolskiego Związku Młodzieży, w razie rozwiązania Koła majątek tegoż przechodzi na Kółko Rolnicze lub na Powiatowy Zarząd MZW. Ks. Proboszcz był prezesem Kółka Rolniczego. Na jego żądanie, na salę Koła Młodzieży przybyła policja, i co na niej było opieczetowała. Zwrócili się do zarządu o oddanie instrumentów muzycznych, a za parę dni zażądali sztandaru lub odwołania uchwały o przejściu do „Znicza”. Zabrano również książkę protokołów, której już nigdy nie odzyskali. Odrzuciliśmy tę propozycję. Zaczęły się rewizje po domach za instrumentami muzycznymi. Zdołano odebrać tylko dwa instrumenty, które źle ukryto. Reszty nie znaleziono. Sztandar znajdował się jeszcze w kościele, gdzie był stale przechowywany, gdyż był noszony na procesjach kościelnych. Postanowiono go wykraść z kościoła. Podjęty się tego zadania koleżanki Kazia Gajochówna i Karolina Czekajówna. Gdy po majowym nabożeństwie już się ściemniało, w przebraniu weszły niepostrzeżenie do kościoła, wyniosły sztandar, oddały go oczekującemu nieopodal kol. Frankowi Wójcikowi, który go szybko rozkręcił na części i pociągnął się do pobliskiego parku, a później na Kujawy, gdzie go bezpiecznie ukryto. Znowu były przesłuchania zarządu i rewizje po domach, ale sztandaru nie znaleziono. Upłynęły dwa tygodnie, trochę się uspokoiło. W czerwcu na św. Jana, Koło Młodzieży na Brzegach tuż za Wisłą urządzało uroczystość wianków. Zostaliśmy zaproszeni do wzięcia w niej udziału. Postanowiono iść, by się trochę rozerwać po tych dramatycznych przejściach. Powyciągano z ukrycia instrumenty i poszliśmy. Przez Wisłę przepławiono się szczęśliwie. Prezes tamtejszego Koła zagał uroczystość, orkiestra zagrała, zaczęto puszczać wianki na wodę, rozpoczęły się tańce. Wtem od strony Wisły rozległy się krzyki, że się topią. Za chwilę zjawił się kol. Jan Komasa i doniósł, że rzeczywiście za nami podążyły całe grupy młodzieży nie należące do Koła Młodzieży. Przewoźnik ich przewoził. Na środku Wisły chcąc nastraszyć dziewczuchy, chłopaki zaczęli huśtać łodzią, a ponieważ łódź była przeładowana, to się wywróciła i wszyscy wpadli do wody. Było ciemno, każdy ratował siebie, chłopaki umieli pływać, ale dwie młode dziewczyny, które jeszcze do Koła nie należały, poniosły śmierć w nurtach Wisły. Utopiła się panna Gajochówna od Śliwki (jej brat grał w orkiestrze) oraz Sandorówna. Wypadek ten uderzył w Koło Młodzieży jak piorun. Wszyscy przeciwnicy rzucili się z furii na młodzież. Wykorzystał to przede wszystkim ks. Proboszcz. Na pogrzebie nieszczęśliwych ofiar, odpowiedzialnością za śmierć młodych dziewcząt obciążył Zarząd Koła. Zwracając się do matek wołał: „Matki, to pogański »Znicz« topi wasze córki. To kara Boża za niesłuchanie przez obłąkaną młodzież księdza”. Dużo starszych ludzi uległo tej psychozie. W najbliższą niedzielę ks. Proboszcz urządził misję. Zaproszeni księża całą niedzielę głosili kazania na temat pogańskiego „Znicza” i marnotrawnych synów, którzy nie słuchają swego ojca. Po każdym kazaniu modlono się o nasze nawrócenie. Rekolekcje te, w których widzieliśmy zakłamanie i obłudę, wyprowadziły całą młodzież Koła z równowagi. Po ostatniej nauce odruchowo, bez żadnych przygotowań zebrał się przed kościołem, a było nas tam ponad 50 koleżanek i kolegów. Oburzeni udaliśmy się na plebanie upominać się o sprawiedliwość. Plebanie zastaliśmy zamkniętą. Zaczęliśmy się dobijać do drzwi. W oknie pierwszego piętra ukazał się ksiądz, który wcześniej wygłaszał kazanie. Proboszcz ks. Korzonkiewicz na szczęście się nie pokazał, bo mogło dojść do poważniejszych zaburzeń. Na zapytanie tego księdza, czego chcemy, zażądaliśmy rozmowy. Ksiądz zszedł do nas, a wówczas przedstawiliśmy mu podniesionymi głosami, że nie jesteśmy pogańskim związkiem, że jesteśmy praktykującymi katolikami, chodzimy do kościoła, na święta patrona katolickiej młodzieży św. Stanisława Kostki przystępujemy do spowiedzi i komunii św., a ks. Korzonkiewicz na naszą intencję odprawia msze św. za pieniądze, którego nie słuchamy tylko dlatego, że zachwala dyktatorskie rządy, które doprowadzają chłopów i Polskę do nędzy i zafowania. Wywody nasze widocznie przekonały tego księdza, gdyż uznał za stosowne przeprosić wzburzoną młodzież za wyrządzoną nieświadomie krzywdę. Jednak władze sanacyjne w porozumieniu z proboszczem, za wszelką cenę chciały rozbić niezależną organizację „wiciową”. Żądano, abyśmy z powrotem przyjęli statut Małopolskiego Związku Młodzieży Ludowej, a zwrócą nam cały majątek. Gdy to nie pomogło, zaczęto przy pomocy księdza, kościelnego i szynkarza Żyda Gronera i jego przyjaciela z Krakowa, jakiegoś magistrata organizować Koło Młodzieży Ludowej z różnych miejscowych zawalidrogów, którzy do

Koła i organizacji nigdy nie należeli. Nawet kilka zabranych nam instrumentów muzycznych rozdano już między nowo zwerbowanych członków Małopolskiego Związku Młodzieży Ludowej. W lipcu 1931 r., a było to w niedzielę po niesporach, kilku „zniczaków” stało przed kościołem, nosili zielone krawaty z wyhaftowaną koniczynką, spokojnie sobie stali i rozmawiali. Od strony żydowskiego szynku szła z krzykiem grupa pijanych chuliganów, którzy widząc tylko trzech „zniczaków” z nożami rzucili się na nich z zamiarem odcięcia im zielonych krawatów. (...) Zajęcie zażegnała policja granatowa, która szybko przybyła, by bronić swych pijanych zwolenników, którzy darowane im instrumenty zdążyli już posprzedać na tandecie. Epilog tej sprawy nastąpił w sądzie. Po tych burzliwych zajęciach proboszcz bez rozgłosu opuścił naszą parafię, a na jego miejsce przybył ks. Antoni Góralik, który do zorganizowanej młodzieży odnosił się pozytywnie i tarcia między plebanią a wsią ustały. Praca w Kole ruszyła powoli. Gospodarz Jan Bańdur oddał w swym domu bezinteresownie dużą izbę na lokal, urządzono tam świetlicę, gdzie ćwiczył chór, urządzano zebrania i kursy. Na zbliżające się w tym roku święto ludowe w Kocmyrzowie postanowiono wystąpić z orkiestrą. Piotr Pawlik użyczył na lekcje orkiestry swego domu, przyjeżdżał kapelmistrz, orkiestra po dłuższej przerwie robiła postępy, brakujące instrumenty dokupiliśmy. Przed samym świętem ludowym policja otaczała w czasie próby dom, wkracza do środka i rekwiruje wszystkie znajdujące się tam instrumenty, oskarżając grających o przywłaszczenie sobie majątku Małopolskiego Związku Młodzieży. Odbyła się rozprawa i sąd ukarał członków orkiestry aresztem bez zawieszenia kary. Mimo tych ciężkich warunków i walk z władzami, a czasem także z własnymi rodzicami, którzy nieraz ulegali wrogim wpływom – praca nie ustaje. Koło Młodzieży urządza odczyty na tematy ideologiczne, omawia zarys nowego ustroju gospodarczego zwanego agraryzmem. Zebrania kończą się we wspaniałym nastroju, przy śpiewie „Choć burza huczy wkoło nas”, lub hymnu „wiciowego”. Istniała sekcja dramatyczna, która przygotowywała i grała po okolicznych wsiach przedstawienia. Nasza sala, którą dawniej przy wydatnej pomocy kierownika szkoły Jana Twaroga przerobiliśmy z podworskiej, karczemnej stajni stała teraz pustkami, gospodarowały tam myszy i szczury, a miejscowi alkoholicy urządzali sobie libację. Wyjazdy naszej sekcji w okoliczne wsie cieszyły się dużym powodzeniem, zasilaly naszą kasę, a po przedstawieniach urządzano pogadanki i zakładano w okolicy nowe Koła „Zniczowe”. Tak powstały Koła w Krzesławicach, w Mogile, w Łęgu, w Grębalowie, Wadowie oraz za Wisłą na Grabiach i w Biskupicach. Graliśmy różne sztuki: „Krowoderskie Zuchy” Stefana Turskiego, „Damy i Huzary” i „Zemstę” Aleksandra Fredry oraz „Jasełka” Lucjana Rydla. (...) Zapal do pracy oświatowej i politycznej wybitnie się wzmaga, wyrabiają się młodzi i ofiarni działacze: Andrzej i Piotr Stanek, Józef i Stanisław Czekaj, Kazimierz i Władysław Stefański, Jan, Teodor i Stefan Cygan – na Kujawach, Jan Gębala, Jakub i Stanisław Stefański, Jan Komasa, Stanisław, Jan, Władysław, Piotr Gajoch s. Piotra, i Jan Gajoch s. Kazimierza – w Pleszowie, Antoni Baranik i Antoni Kasznik – z Mogiły, gdzie mocno wyróżnia się młody akademik Tadeusz Komasa (późniejszy prokurator wojewódzki), oraz Stanisław Mars – z Krzesławic. Bardzo pożytecznymi działaczami w tym czasie były Józia Gębalka, Kazimiera Gajochówna z Pleszowa, Władzia Woźniakówna z Grębalowa oraz uczynna Józia Strychalska z Mogiły.

W 1936 r. Powiatowy Zarząd „Wici” organizuje w Czyżynach dożynki. Przed ich urządzeniem, za przemówienie na poświęceniu sztandaru ludowego w Bibicach policja aresztowała po żniwach Jana Gajocha z Pleszowa. Uroczystość jednak udała się, jeszcze bardziej popularyzując ideę ruchu „wiciowego” na terenie powiatu krakowskiego.

Stronnictwo Ludowe

W tym czasie mimo rozwoju ruchu wiciowego na terenie powiatu krakowskiego właściwy ruch ludowy po raz pierwszy jeszcze nie okrzepł i miał małą żywotność. Prezes powiatowy PSL „Piast” – Franciszek Wójcik zwraca się o pomoc do powiatowego Zarządu ZMW „Wici”, którego prezesem był Jan Gajoch. Spełniając tę prośbę, za zgodą prezesa Wojewódzkiego Zarządu – Stanisława Mierzwy, do pracy w stronnictwie zostają oddelegowani: kol. Jan Gajoch, Antoni Baranik i Tadeusz Komasa i in. (...) Następnie posłano mnie wraz z Piotrem Garlaczem z Leńcz do powiatu żywieckiego na robotę organizacyjną, gdzie w okolicach Lipowej budziliśmy uśpionych górali. Wyjazd do Żywca okazał się bardzo owocny, bo pobudziliśmy do pracy zarząd powiatowy, w wyniku czego wkrótce odbył się tam zjazd stronnictwa. Policja granatowa zajęła się nami i ledwo zdążyliśmy stamtąd uciec, aby uniknąć aresztowania. W 1932 r. Zarząd powiatowy organizuje w Pleszowie wiec ludowy z udziałem prezesa Wincentego Witosy. Wiec wypadł dobrze. Witos był zadowolony. Ludzi zeszło się około 4 tysięcy, nastrój był dobry. Banderia krakusów na pięknych koniach, na czele z weteranem ruchu ludowego z tych okolic – Franciszkiem Ptakiem z Bieńczyce prowadziła Wincentego Witosy z Mogiły do Pleszowa i z powrotem na stację kolejową do Krakowa. Wypadło to imponująco i wzbudziło duże zainteresowanie mieszkańców Krakowa. Chłopi z okolic Mogiły, Bieńczyce, Pleszowa i okolic zostali z powrotem wprowadzeni do walki o swe prawa. W tym też roku na jesieni został zorganizowany pierwszy próbny strajk chłopski, który był owocem ich dojrzewającej samodzielności. Jan Witaszek, członek Za-

rzędu Wojewódzkiego „Wici” wyjechał w okolice Krzeszowic, gdzie szedł od wsi do wsi pobudzając tamtejszych chłopów do walki czynnej o chleb i sprawiedliwość społeczną dla siebie i dla swych dzieci. Tam też został ujęty przez policję granatową i pieszo ciupasem przyprowadzono go do Krakowa umieszczając w więzieniu św. Michała, gdzie siedziało z Pleszowa dziesięciu członków Koła „Wici”: Stefan Cygan, Józef Czekaj, Józef Perlik, Jan i Teodor Cyganowie, czterech Gajochów i prezes Koła Ludowego – Ludwik Kowalczyk. Na rozprawie ustawiono ich rzędem jak drużynę w wojsku i za opór władzy zasądzono po sześć tygodni aresztu. Strajk nie odbił się głośnym echem, lecz spopularyzował wśród chłopów ideę walki czynnej. W 1934 roku odbyło się pierwsze święto ludowe w Pleszowie dla całego powiatu krakowskiego, zeszło się około pięciu tysięcy chłopów. Na zjeździe powiatowym prezesem został wybrany Wojciech Marchwicki z Piasków Wielkich, a sekretarzem Jan Gajoch z Pleszowa. W roku 1935 w święta Wielkanocne Koło Ludowe w Pleszowie święciło swój zielony sztandar ufundowany przez członków Koła. Minął rok wyężonej pracy organizacyjnej w powiecie krakowskim. Powstało wiele nowych Kół, a na terenie całego powiatu krakowskiego poświęcono we wszystkich gminach 18 sztandarów ludowych z napisem „Żywią i bronią”. (...) W 1937 roku ludowcy na terenie całego kraju organizują obchody w rocznicę wiekopomnej bitwy racławickiej, w której to bitwie po raz pierwszy w historii chłopci weszli na arenę dziejową jako zorganizowana siła, która przyczyniła się do zwycięstwa. Rząd odmówił wydania zezwolenia na obchody, lecz chłopci zeszli się, bo do kosynierów kościuszkowskich także szli bez zezwolenia dziedziców i jaśnie panów. Rząd obstawiał kopiec policją pieszą i konną, która nie chciała chłopów wpuszczać na usypany przez nich, na polu historycznej bitwy, kopiec. Doszło, bo musiało dojść, do starcia. Padli zabici i ranni, ale policję z kopca chłopci wyparli. 40 chłopów zasądzono na wysokie kary więzienia bez zawieszenia. Z naszych okolic też byli tam członkowie „Wici”, co dwa lata siedzieli w więzieniu. Byli to Jakub Piłat z Krzesławic, Stanisław Nawrocki z Czyżyn, Pazdański z Grębałowa. Przeniosło z Krzesztoporzyc. Mimo szykan i aresztowań chłopci dynamicznie się organizują. Hasło „W każdej wsi Koło Ludowe, w każdej gminie sztandar ludowy z Matką Boską”, jest konsekwentnie realizowane.

Strajk chłopski

W 1937 roku ruch ludowy na terenie całego kraju organizuje drugi wielki strajk chłopski, mający podłoże polityczne i gospodarcze. Polegał na wstrzymaniu dowozu żywności ze wsi do miast. Strajk został proklamowany w rocznicę „Czynu Chłopskiego” w dniu 15 sierpnia. W Krakowie na placu Jabłonowskich odbyła się akademii w rocznicę zwycięstwa nad Sowietami pod Warszawą. Zeszło się parę tysięcy chłopów ze sztandarami, z orkiestrami, ze śpiewem na ustach. „O cześć panowie magnaci” huczało po starym Krakowie. Usiłowały nam przeszkodzić jakieś sanacyjne bojówki. Na wiecu przewodniczył prezes Gajoch, referat wygłosił Mierzwa. Na trybunę wyszedł Jakub Pszczoła z Bieńczy, komendant gminnej straży, który w imieniu ruchu ludowego ogłosił na znak protestu przeciwko wyzyskowi i krzywdzie, 3 dniowy strajk chłopski. Rozrzucono ulotki i informacje o celach i przebiegu strajku. Chłopi zaczęli śpiewać „Gdy naród do boju” i „Nam nie straszą Biernacy i cary, co pustoszą i niszczą kraj nasz”. Mielśmy przecucie, że dział się będą rzeczy niecodzienne, lecz nie baliśmy się, idąc im na przeciw. Proklamowany strajk był dobrze przygotowany przez władze ruchu ludowego: były straże porządkowe, komendanci gmin, a każdy czynny ludowiec brał udział w tych pracach. Wspomnę tylko o głównych traktach wojewódzkich, jak: szosa warszawska, kocmyrzowska oraz na Cło. Tamtędy jechało najwięcej furmanek z rolniczych terenów, które nie były przez nas w pełni zorganizowane. Było tam dużo dworów, które popierały rządy dyktatury sanacyjnej. Zadaniem straży ludowej było wstrzymywanie i zawracanie wszystkich furmanek wiozących produkty rolne i zdążających do Krakowa, co zostało wykonane, ale na szosie warszawskiej, koło Michałowic i Węgrzec w dzień targowy, we wtorek nie obeszło się bez czynnego przymusu wobec furmanów dworskich i żydowskich. (...) Akcja odbywała się szybko i sprawnie. Wracające furmanki rozniosły wieść do wszystkich wsi. Na szosach prowadzących do Krakowa stały w każdej wsi straże chłopskie, i tak poczynawszy od Czyżyn stali: Gawły, Czernek, Kalinowski, Zbroja, w Mogile komendantem był Wojciech Socha, stali: Antoni Kasznik, Antoni Baranik, Brody, Gwoździe, w Bieńczykach komendantem był Jakub Pszczoła, stali: Jakub Jędrzejczyk, Franciszek Salwiński, Krawczyki, Ptaki i cała grupa ludowców. W Pleszowie komendantem był Ludwik Karolczyk, a stali: Jan i Teodor Cygan, Gębala, kilku Gajochów, Jan Partyka. W pierwszym dniu strajku, gdy stali na szosie: Stanisław Gajoch, Stanisław Walczak, Jan Partyka, Jan Gębala, od strony Branicy jechała furmanka, którą oni zatrzymali, a wtedy spod przykrycia wyskoczyli policjanci z karabinami. Ledwie straż chłopska zdołała uciec, by uniknąć rozpoznania i aresztowania. W ostatnim dniu stali Jan i Teodor Cyganowie, Jan i Józef Gajochowie, przez całą noc nikt nie jechał i był spokój. Straż już się ma zmieniać, wtem ze dworu pleszowskiego słychać wyjeżdżającą furmankę, straż czeka na nią i stwierdza, że znajduje się w niej mleko. Furman dworski Jan Cenda mimo wezwania nie chce nawrócić, więc wóz zostaje szybko wywrócony, a mleko wylane płynie w fosie. Narobiony hałas przyciąga nadbiegający patrol policyjny, który pilnował, by łamistrajkom nie stała się krzywda. Policjanci widząc

co się dzieje, zaczynają z daleka strzelać, kule gwizdzą, straż chłopska po wykonaniu zadania wycofuje się. Policja strzela nadal, ale na szczęście jest jeszcze ciemno. Lecz mimo to kol. Teodor Cygan ma przestrzeloną nogę, a czapka na głowie Gajocha też jest przestrzelona, jednak nie zostają rozpoznani. Aresztowano zupełnie innych ludzi, którzy o niczym nie wiedzieli. Jednemu z nich, Stanisławowi Świdrowi, żona w nocy rodziła dziecko i chłop szukał akuszerki, i dlatego widziano go, że chodził po szosie. (...) W trzecim dniu strajku chłopskiego robotnicy Krakowa, Tarnowa i innych miast przystąpili do generalnego strajku solidarnościowego. Życie w tych miastach zamarło, stanęły koleje i tramwaje, a na ulice wyszli robotnicy, by poprzeć walczących o swe prawa chłopów. W Krakowie na al. Słowackiego odbył się olbrzymi wiec robotniczo-chłopski. Przemawiali z ramienia Stronnictwa Ludowego, znany już działacz ludowy Stanisław Mierzwa, a z PPS – Józef Cyrankiewicz. Odbyły się pochody manifestacyjne pod pomnik Mickiewicza, gdzie przemawiało jeszcze wielu mówców, wzywających do solidarnej zgody i współpracy. Na ulicach leżały powywracane wozy tramwajowe i platformy ciężarowe. W czasie całego strajku policja granatowa była zmobilizowana i wzmocniona zmotoryzowanymi oddziałami szkoły policyjnej w Gołędzinowie, która w bestialski sposób biła i aresztowała straż chłopskie. Po zakończeniu tego historycznego strajku, który nie dał zwycięstwa, nadeszły represje, mandaty, procesy i więzienia, w których działaczom chłopskim nie żalowano pałek. Z powiatu krakowskiego siedziało 60 chłopów, drugie tyle było oskarżonych. (...) Chłopi nie załamali się, życie organizacyjne płynęło dalej, wśród młodych i starych wzmożła się działalność, w efekcie której zakładano Koła i święcono sztandary. W gminie Zielonki Koło Ludowe w Bibicach ufundowało piękny zielony sztandar ludowy, ludziska się wykosztowali, wniesli prośbę do starostwa powiatowego o zezwolenie na publiczne zgromadzenie. Władze odmówiły, ale odmowa przyszła w ostatnim dniu tj. w sobotę. W niedzielę ludzie się zeszli, poświęcenie odbyło się w kościele w Zielonkach, poczym udano się do Bibic, gdzie miał się odbyć wiec. Na przygotowaną trybunę wszedł prezes powiatowy Jan Gajoch i oświadczył, że z powodu zakazu wiec się nie odbędzie. Zwrócił się do obecnych, „by się wszyscy gromadzili pod zielonymi sztandarami, a jak stworzą taką siłę chłopską to dadzą Witosowi racławicką kosę do ręki, i gdy Witos będzie chciał to machnie kosą i cała sanacja się rozleci”. Po tym przemówieniu odbyła się zabawa ludowa, gdzie chłopci wyśpiewywali całą noc: „Nam nie straszą Biernacy i Cary”. Po tym poświęceniu sztandaru prezes Jan Gajoch znowu został aresztowany, i po siedmiu miesiącach śledztwa, sędzia Bobilewicz zasądził go za używanie słów, że „chłopi dadzą Witosowi kosę, a on całą sanację tą kosą wypędzi”, na osiem miesięcy więzienia, które już odsiedział w areszcie śledczym.

Zakończenie

Tak w skrócie przedstawiał się rozwój samodzielnego ruchu ludowego w podkrakowskich wsiach i w gminie Mogiła składającej się z 10 gromad, gdzie było: 10 Kół Ludowych, 7 Kół Młodzieżowych „Znicz”, 9 Kółek Rolniczych, 4 dobrze prosperujące sklepy spółdzielcze. Posiadano 2 sztandary ludowe z Matką Boską i sztandar młodzieżowy w Pleszowie i Grębałowie.

Wójtem w tym czasie był Stanisław Rosiewicz z Pleszowa, potomek tych Rosów, co Kościuszkę w swym domu gościli.

Jan Gajoch z Pleszowa, syn Walentego

Podczas uroczystości śpiewano pieśni poważne:

„Gdy naród do boju”

Słowa: G. Ehrenberg

Gdy naród do boju wystąpił z orężem,
panowie o czynszach radzili,
Gdy naród zawołał: „Umrzem lub zwyciężym!”
Panowie w stolicy bawili.

Refren:

O, cześć wam, panowie magnaci,
Za naszą niewolę, kajdany,
O, cześć wam, książęta, hrabiowie, prałaci,
Za kraj nasz krwią bratnią zbryzgany.
Armaty pod Stoczkiem zdobywała wiara
Rękami czarnymi od pluga.

Panowie w stolicy kurzyli cygara,
Radzili o braciach zza Buga.
Wszak waszym był synem ów niecny kunktator
Co wzbudzał przed wrogiem obawę,
I wódz ten naczelny, pobożny dyktator,
I zdrajca, co sprzedał Warszawę.

Lecz kiedy wybije godzina powstania,
Magnatom lud ucztę zgotuje,
Muzykę piekielną zaprosi do grania,
A szlachta niech wtedy tańczy.

Powstańcy nie znają wiedeńskich traktatów,
nie wchodzi w układy z carami,
lecz biją Moskali, wieszają magnatów,
i mścić się umieją stryczkami.

Młodzi śpiewali hymn „wiciowy”:

„Do niebieskich pował”

Słowa: Stanisław Młodożeniec

Do niebieskich pował, od grud czarnej ziemi,
Już się sztandar nasz wiciowy kolorami mieni....
Na sztandarze naszym skrzy się piękno świata.
Wyszedł swymi kolorami chłopskie dusze bratać.
Minął wiek gnuśności, po wsiach świt rumiany,
Rozstawione wokół wici, – wołać na odmianę!
Na nic nawałnice szarpacie burz rozdmuchy
Buchniem więksi serc pożarem, wstaniem twardego duchem.

Pod sztandarem naszym kwitnie wiara chłopska,
Cała ziemia za nim ruszy, pójdzie żywa Polska.
Ano od przyciesi dalej ją budować,
Polskę pięknić i układać do niebieskich pował.

Rozradować oczy, serce rozradować.
Kolorami sztandar płonie „Do niebieskich pował”.

Śpiewano także:

„Nam nie straszni Biernaccy i Cary”

Nam nie straszni Biernaccy i Cary
Co pustoszą i niszczą kraj nasz,
Nie ulękniem się więzień i kary,
Wspólnie walcząc pokonamy was.

Refren:

O biada wam sanacji pacholki,
Bo oto idzie wyzwolenia czas,
Wnet się skończą więzienia i pałki,
A za krzywdy ukarzymy was.

Bo to Brześć nie jest jeszcze zburzony,
My do niego przypuścimy szturm
A gdy przyjdzie ten czas wymarzony,
Powsadzamy was wszystkich do dziur.

A gdy wreszcie sanacja upadnie,
Zaprowadzimy porządek i ład,
Praworządność i prawo zawładnie
A my wtenczas zaśpiewamy tam:

O biada wam sanacji pacholki...



Pleszowianie na Zamku Królewskim na Wawelu, w głębi, w środku stoi Józef Rosiewicz, ok. 1929 r.



Przed domem Stanisława Rosiewicza, Pleszów, 4 maja 1929 r. Od prawej: poseł Franciszek Wójcik, ks. Jan Rosiewicz, Andrzej Kochanowski, Józefa Rosiewicz z wnuczką Janiną, ?, Zofia Rosiewiczowa, wojewoda p. Kwaśniewski, Maria Bitnerówna, Stanisław Rosiewicz z synem i in.



Od prawej: Jakub Stefański, Jan Gajoch s. Walentego, Jan Gajoch s. Piotra, Pleszów, lata 20. XX w.

Członkowie Koła Młodzieży Wiejskiej „Wici” na zjeździe wojewódzkim w Krakowie w 1930 r. Siedzą od prawej: Jan Gajoch, Jan Partyła, stoją: Jakub Broda i Jan Zwierkowski



Dzień „kościuszkowski” w Krakowie, ok. 1930 r. Stoją od lewej: Genowefa Cygan-Walczakowa, Stanisław Gajoch, Zofia Grymkówna-Świdrowa, Stanisława Cenda



Koła Stronnictw Ludowych i ZMW „Wici” z Pleszowa, Bieńczyń i Krzesławic w drodze na święto ludowe, lata 30. XX w.



W 1932 R. KOŁO MŁODZIEŻY WIEJSKIEJ Z WŁASNYCH składek i przedstawięń ufundowało instrumenty dla 24 osobowego zespołu orkiestry dętej .
Od lewej siedzą: K. Gajoch, Józ. Cieraszewski instr. orkiestry, kol. Królówna z Brzegów, Jan Gajoch prez. koła, M. Partylanka, goście i członkowie orkiestry.

Fragmenty kroniki Koła Młodzieży Wiejskiej „Wici” w Pleszowie

Lista członków orkiestry Koła Młodzieży Wiejskiej „Wici” w Pleszowie

1. Broda Jakub	- grał na barytonie
2. Cygan Stefan s. Józefa	- " " kornecie
3. Czekaj Józef s. Wacława	- " " klawesynie
4. Czekaj Stanisław	- " " waltze
5. Gajoch Józef s. Walentego	- " " cympałach
6. Gajoch Stanisław s. Piotra	- " " kornecie
7. Gajoch Jan s. Kazimierza	- " " E. trąbce
8. Gumił Tomasz	- " " D. bęble
9. Gubala Jan	- " " E. trąbce
10. Karowski Jan	- " " waltze
11. Kozma Andrzej	- " " klawesynie
12. Pietruszka Józef	- " " kornecie
13. Partyła Jan s. Wacława	- " " F. basie
14. Pyrzyk Józef s. Piotra	- " " kornecie
15. Stancik Piotr	- " " D. bęble
16. Stefański Kazimierz s. Józefa	- " " walborni
17. Stefański Władysław s. Jana	- " " klawesynie
18. Stefański Stanisław s. Antoniego	- " " kornecie
19. Szewalski Józef s. Franciszka	- " " E. trąbce
20. Wójcik Czesław s. Józefa	- " " klawesynie
21. Wójcik Franciszek s. Piotra	- " " klawesynie
22. Wójcik Witold s. Piotra	- " " E. trąbce
23. Zięba Jan	- " " klawesynie
24. Walczak Genowefa	- " " E. trąbce

W 1912 r. władze sanacyjne rozbiły orkiestrę. Część instrumentów miało się przechować. W latach 1932-34 uzupełniono brakujące instrumenty. Zorganizowała orkiestrę pod kierunkiem piątego instruktora państwowego orkiestry tramwajarzy w Krakowie.
Wojna rozpraszająca członków orkiestry i instrumenty. Bez wieści o nich. W latach 1945-46 zgłosił koleś Józef Czekaj i Stanisław Stefański. W pierwszych latach po wojnie zmarł Wójcik Witold, następnie Stancik Piotr, a Gumił Tomasz siedział w więzieniu.



W 1932 R. PO ZAKUPIENIU BRAKUJĄCYCH INSTRUMENTÓW URUCHOMIŁO KOŁO MŁODZIEŻY WIEJSKIEJ W PLESZOWIE. Instruktorem był ówczesny p. J. Luty członek orkiestry tramwajarzy w Krakowie.

Od lewej: Wójcik Witold, Wójcik Czesław, Zięba Jan, Czekaj Józef, Władysław Stefański, Pyrzyk Józef, Kapielista Józef, Szewalski Józef, Wójcik Czesław, Jan Gajoch, Stefański Stanisław, Franciszek Wójcik, Cyganowa Genowefa, Stefański Kazimierz, Wójcik Stanisław, Jan Gajoch s. Kazimierz, Tomasz Gumił, Stefan Gumił s. Józefa.



Stanisław Gajoch w roli Tadeusza Kościuszki podczas występów zorganizowanych w 140. rocznicę bitwy pod Racławicami, Pleszów, 1934 r.



ZARZĄD KOŁA MŁODZIEŻY WIEJSK. „WICI” W PLESZOWIE W LATACH 1932-1934 roku. Od lewej: sekretarz Koła Henryk Gajoch, prezes, siostry koleżanki Maria Gubalska, prezes Koła Jan Gubala, członek Zarządu Józef Gajoch, Jan Gubala / siostra / skarbnik Koła.



Na tle Barbakanu czterech družbów na koniach, od lewej: Józef Gajoch, Tadeusz Domański, Stefan Cygan, Jakub Stefański, na wozie od lewej starostowie: Michał Cygan, Jan Gajoch, za nimi Aniela Kowalówna i jako panna młoda – Honorata Cyganówna, luty 1931 r. Członkowie Koła Młodzieży Wiejskiej „Wici” z Pleszowa występowali wtedy jako uczestnicy „wesela krakowskiego” – spektaklu plenerowego zorganizowanego dla amerykańskiej ekipy filmowej (Columbia?, wytwórnia w Milwaukee?, Hoffman w Detroit?) prawdopodobnie na zamówienie środowisk polonijnych w Chicago. Być może do dziś istnieje gdzieś ten film lub jego kopia. Będziemy wdzięczni za wszelkie informacje na ten temat, zwłaszcza tych osób, które mieszkają w USA i mogłyby zrobić w tej kwestii rozszereżenie.



Fragment kroniki Koła Młodzieży Wiejskiej „Wici”

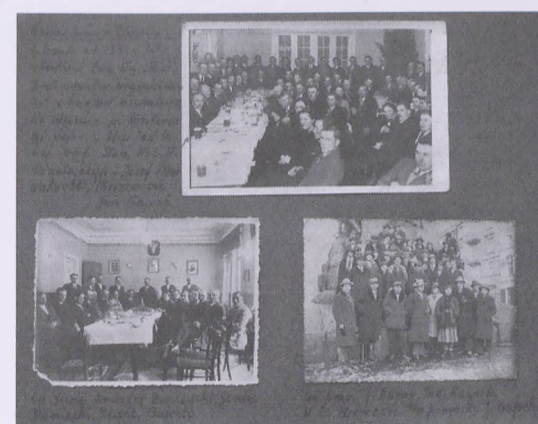
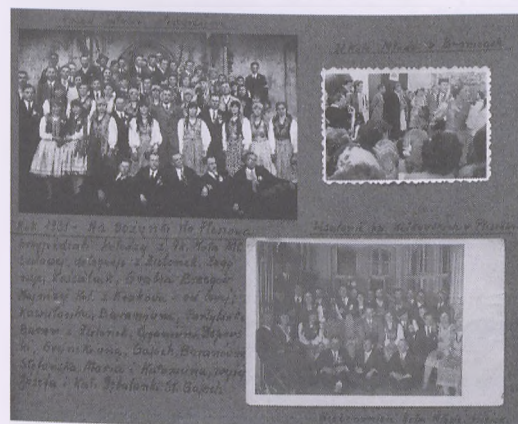
Wielki zjazd młodzieży w Pleszowie 1930 roku
 W dniu 21 lutego 1930 roku w Pleszowie odbył się wielki zjazd młodzieży z powiatu krakowskiego. Wzięło w nim udział około 1000 osób. W programie zjazdu figurowały: konkursy śpiewne, recytatorskie, sportowe i taneczne. W czasie zjazdu odbyły się również posiedzenia Rady Powiatowej i Komisji Młodzieżowej. Zjazd zakończył się w dniu 23 lutego 1930 roku. W dniu następnym odbył się zjazd młodzieży z powiatu pleszewskiego. Wzięło w nim udział około 500 osób. W programie zjazdu figurowały: konkursy śpiewne, recytatorskie, sportowe i taneczne. W czasie zjazdu odbyły się również posiedzenia Rady Powiatowej i Komisji Młodzieżowej. Zjazd zakończył się w dniu 25 lutego 1930 roku.



Na zdjęciu w I rzędzie od lewej siedzą: Stanisław Cygan, ?, Jan Gębala, Maria Szywalska, Jan Partyła, Władysława Zajęc, Stanisław Pardo, Teodor Cygan, Genowefa Cygan, ?, Stanisław Gajoch, z tyłu za nimi: w środku Jan Gajoch, Julia Gajoch, M. Kryza, Jadwiga Gajoch, M. Stefański i in. Koło Młodzieży w Pleszowie było b. żywotne i najliczniejsze w powiecie krakowskim. Ilość członków: 80-135. W 1936 roku Stronnictwo Ludowe ufundowało sobie sztandar. Jan Gajoch pełnił w tym okresie funkcję prezesa powiatowego



Zlot ludowców (m.in. z udziałem pleszowian i bieńczyzan) pod kopcem Kościuszki w Raclawicach, 1937 r.



Karty z albumu rodzinnego Katarzyny Gajoch-Witaszkowej



Delegaci na I Zjazd Kół Młodzieży Wiejskiej „Wici” z powiatu krakowskiego, zdjęcie pamiątkowe pod Pomnikiem Grunwaldzkim w Krakowie, 1930 r. W środku koło sztandaru stoją Pleszowianie: chorąży Jakub Broda, H. Cyganówna, M. Nowakówna, K. Baranówna, Wł. Czernikówna, K. Gębala, J. Gębala, K. Gajochówna, K. Wójcikówna, Stanisław Gajoch, Jan Gajoch, J. Stefański, J. Kot i in. Po prawej wysoko: Stefan Cygan, Józef Gajoch, Tadeusz Domański, Józef Czekaj i in. (Proszę zwrócić uwagę na postać chłopca z pomnika, którego wygląd współczesny – po odbudowie ze zniszczeń dokonanych przez Niemców w czasie okupacji – znacznie się różni od oryginału)

O Janie Gajochu z Pleszowa-Osiedla

Urodził się 16.10.1900 r. w Pleszowie-Kujawach, w rodzinie chłopskiej, jako jedno z dziesięciorga dzieci Walentego Gajocha i Katarzyny z Buczków.

Od najmłodszych lat o coś walczył, najpierw w czasie I wojny światowej o niepodległą Polskę, później z okupantem niemieckim i sowieckim oraz reprezentując go władzą PRL-u, a także budową Nowej Huty.

Był znanym i zasłużonym działaczem politycznym i społecznym, mającym na uwadze dobro kraju i chłopów polskich. Uczestniczył w organizowaniu „Wici” i „Batalionów Chłopskich”. Pełnił odpowiedzialne funkcje w ZMW „Wici” jako Prezes Koła w Pleszowie, Prezes Zarządu Powiatowego w Krakowie oraz Wiceprezes Zarządu Wojewódzkiego. Ponadto pełnił też funkcje Prezesa Powiatowego Stronnictwa Ludowego oraz członka Rady Naczelnej. W czasie okupacji należał do podziemnego kierownictwa Ruchu Oporu chłopskiego ROCH w powiecie krakowskim. Po wojnie należał przez jakiś czas do PSL, był również Prezesem Miejskich Kółek Rolniczych w Krakowie, działaczem ruchu społecznego, a także członkiem ZBOWiD-u.

Należał do najaktywniejszych i radykalnych działaczy ruchu ludowego w powiecie krakowskim, co przeszkadzało wszystkim kolejnym władzom, dlatego też był więziony, zarówno przed wojną, jak też w czasie okupacji oraz wielokrotnie po wojnie.

Walczył też z budową Huty i na czele trzyosobowej delegacji udał się do premiera J. Cyrankiewicza, aby przekonać go do zmiany decyzji, niestety bez pozytywnego rezultatu.

Był wybitnym autorytetem powszechnie szanowanym i przykładem żarliwego patrioty.

Działalność Jana Gajocha została szerzej opisana w albumie Adama Gryczyńskiego „Czas Zatrzymany” wydany w 2007 r.

Poza tym, że uczestniczył w życiu polityczno-społecznym, był również postępowym rolnikiem i wzorowym gospodarzem.

Ożenił się w 1937 r. z Zofią Tynorówną z Czyżyn. Po zakupie ziemi od pani Zofii Rozmarynowicz, jako wiano Mamusi, w 1938 r. przystąpiono do budowy domu i zabudowań gospodarskich, położonych w najdalej wysuniętej na zachód części Pleszowa nazwanej OSIEDLEM (po zabudowaniach naszych i sąsiadów nie pozostał nawet ślad). Ponieważ w tym czasie Tatuś był aresztowany, przy budowie dużo pomagał Jego brat, Józef Gajoch, oraz rodzina Tynorów. Już w wybudowanym domu przyszyły na świat córki Maria i Zofia.

Tatuś był człowiekiem postępowym, wprowadzającym nowości techniczne nie tylko we własnym domu, między innymi był inicjatorem elektryfikacji Pleszowa. Jako przykład wypowiedź Stanisława Kuhla z Pleszowa (był w okolicy znany jako fotograf):

„(...) W latach 1946-47 pracowaliśmy razem przy elektryfikacji Pleszowa. Był on wówczas Prezesem Komitetu Elektryfikacyjnego, ja zostałem skarbnikiem (...) Mieliliśmy w tej pracy dużo szczęścia o tyle, że do komitetu weszli ludzie bardzo w pracy ofiarni, jak Jan Gębala, Wojciech Broś i Józef Mól. Bez pomocy tych ludzi mielibyśmy duże trudności, jednak zarówno sposób kierowania przez Jana pracami, harmonizowanie zagadnień oraz Jego energia i znajomości doprowadziły do szczęśliwego zakończenia prac”

Jako jeden z pierwszych w Pleszowie, bo już ok. 1949 r. doprowadził wodę do domu, początkowo pompowaną ze studni, a potem pobieraną z wodociągu wybudowanego dla „Meksyku” (baraki dla junaków). Następnie uruchomiono centralne ogrzewanie z piecem w piwnicy.

Posiadaliśmy też, jako nieliczni w Pleszowie, maszyny rolnicze m.in. młockarnię, kosiarkę i żniwiarkę, którą zakupiono wspólnie z sąsiadem, kuzynem Mamusi, Janem Tynorem. Trzeba zaznaczyć, że Tynor był również rolnikiem bardzo postępowym, wprowadzał nowe odmiany drzew owocowych i kwiatów.

Tatuś oraz wielu innych gospodarzy uprawiali buraki cukrowe oraz tytoń, dla którego wybudował specjalną wędzarnię. Ich uprawa wymaga bardzo żyznej ziemi, jak więc ma się to do nieużytków, o których mówiły władze PRL-u uzasadniając budowę Huty na tym terenie?

To, że nasze ok. 13 ha gospodarstwo było wzorowo prowadzone to w dużym stopniu również zasługa Mamusi,



si, która w czasie licznych nieobecności Tatusia zajmowała się nim oraz ciężko pracowała fizycznie.

Jan Gajoch był także dobrym człowiekiem, pomagającym w potrzebie innym, zarówno w czasie okupacji jak i po wojnie, np. rodzinom profesorów UJ uwięzionych przez hitlerowców i inteligencji – w ramach akcji „Wieś-miastu”; koleżankom, których mężowie byli uwięzieni, a także uczestnikom Powstania Warszawskiego. Na przełomie 1944/45 mieszkała u nas rodzina państwa Kozłowskich z Warszawy, a w okresie wakacyjnym dwie warszawskie dziewczynki, których rodzice zaginęli.

Działalność polityczno-społeczna Tatusia miała duży wpływ na życie rodzinne, dotyczyło to głównie Mamusi, która bardzo przeżywała wszystkie aresztowania, wizyty w nocy i w dzień Niemców, Rosjan, a na końcu milicji i ubowców. Miało to również wpływ na córki. Pamiętam, że jako małe dziecko zapytałam Mamusi, dlaczego Wójciu Józiu (brat Tatusia) nie jest moim Tatusiem?

Pytanie było uzasadnione, bo Wójciu w tym czasie często u nas bywał i bawił się z nami, a z Tatusiem miałyśmy mały kontakt. Często był nieobecny z powodu pobytu w więzieniach lub na zebraniach. Natomiast w czasie obecności pracował w gospodarstwie, a po pracy czytał lub słuchał radia „Londyn” i „Wolna Europa”. Ponieważ stacje te były zagłuszane, to trzaski było słychać w całym domu. Ale taki był los rodzin wszystkich działaczy, co zrozumiałam dopiero później.

Potem te kontakty były o wiele bliższe do tego stopnia, że w zimie organizował kuligi dla koleżanek z klasy w liceum P.P. Prezentek, do którego uczęszczałam, a nawet razem kupowaliśmy buty przed moim ślubem.

Bywały też chwile, zwłaszcza podczas uroczystości rodzinnych, jak imieniny czy wesela, że Rodzice umieli się bawić, lubili tańczyć i śpiewać.

Ciężka praca i przeżycia wpłynęły na Jego stan zdrowia. Zachorował na serce, a po wylewie do mózgu nie wrócił już w pełni do zdrowia. W chwilach lepszego samopoczucia pisał wspomnienia.

Zmarł 17 listopada 1968 r. w wieku 68 lat

Na koniec zacytuję wypowiedzi o Tatusiu spisane przez jego kolegów:

• Stanisława Kuhla z Pleszowa w 1973 r.:

„(...) Twardy charakter, nie uginający się nigdy pomimo ewentualnych następstw, zawsze pracowity, nieraz wręcz do przesady. Wielokrotnie więziony, poniewierany, wymęczony przeżyciami odszedł od nas może za wcześnie. Brak Jego, jako niezmordowanego działacza odczuwamy, niezależnie od serdecznych uczuć dla Jego osoby. (...)”

• Walentego Adamczyka z Wieliczki w 1977 r.:

„(...) Mieszkanie Jana i Zofii Gajochów przy ruchliwej trasie stało otworem dla konspiratorów Ruchu Ludowego i BCH. Konferencje i odprawy odbywały się w ich domu. Tak wyglądało, jak by nie zdawał sobie sprawy z zagrożenia od Niemców, ten wytrawny polityk, a przecież Niemcy dobrze orientowali się w siatce dawnych przedwojennych działaczy Ruchu Ludowego. (...) Reasumując można powiedzieć, że był prawdziwym przywódcą w boju i pokoju, ofiarny dla Ruchu Ludowego, współpracowników i współdziałaczy. Był wzorem działacza ludowego i odważnego konspiratora chłopskiego, szczerym, nieklamany towarzyszem broni partyzantkiej, nieocenionym kolegą, a także wzorowym rolnikiem.”

• Antoniego Baranika z Mogiły w 1977 r.:

„(...) Wszystkim, którzy Go znali, utrwalił się na pewno w pamięci Jego uśmiech. Takim Go też pamiętam ze wszystkich zebrań, kursów, w dniach strajków chłopskich, w okresie tworzenia BCH, w walce z okupantem, a także w czasie organizowania władzy w pierwszych dniach po wyzwoleniu. Z uśmiechem na ustach witał nas i żegnał, kiedy w okresie choroby odwiedzaliśmy Go w domu i w szpitalu. Dodawał nam zawsze otuchy, zachęcał do dalszej pracy, uczył szanowania swoich poglądów i raz obranej drogi, z której wracać nie wolno. Pod tym młodzieńczym uśmiechem kryła się bogata Jego psychika, dobroć, życzliwość dla ludzi, chęć przekazania wartości niezbędnych do pracy społecznej, umiłowanie prawdy i dobra. Nie dbał i nie zabiegał o żadne zaszczyty i odznaczenia. (...) Do końca swoich dni pamiętał i chętnie mówił o Witosie. Te wartości Jego ducha i umysłu zjednały Mu tysiące przyjaciół ale i setki wrogów.”

Uważam, że mam powody aby być dumną z Rodziców Jana Gajocha i Zofii z Tynorów.

15.06.2008 r.

córka Maria Kornas



Katarzyna i Walenty Gajochowie na weselu córki Heleny i Wojciecha Jarzyny, Pleszów, luty 1920 r.



Ślub Jana Gajocha i Zofii z Tynorów, którego udzielił ks. proboszcz Józef Zastawniak w kościele św. Bartłomieja w Mogile, 1937 r.



Od lewej: Jan Gajoch, Józef Gajoch?, Jakub Broda, Pleszów, ok. 1937 r.



Zofia i Maria – córki Jana i Zofii Tynorów, ok. 1946 r.

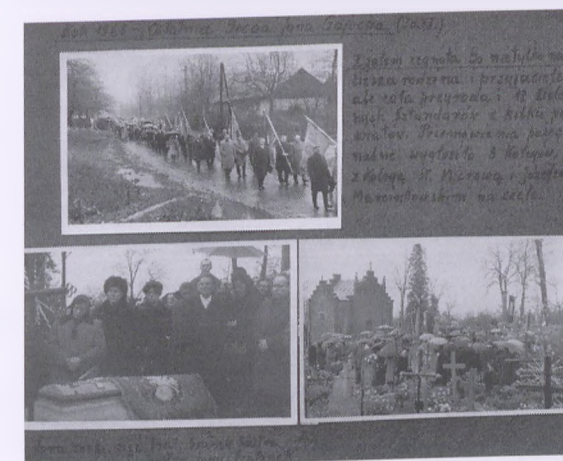


Pierwsze spotkanie Wincentego Witosa z działaczami ludowymi z terenu woj. krakowskiego w sali Domu Ludowego „Wisła” w Krakowie na „Święconym”, po powrocie z emigracji. Z prawej strony pod sztandarem siedzi Jan Gajoch, 29 kwietnia 1939 r.

Jan Gajoch przemawia na dożynkach powiatowych Kół Młodzieży „Wiciowej”, zorganizowanych przez koło w Bieńczycach, wrzesień 1946 r.



Notka pośmiertna Jana Gajocha zamieszczona w prasie krakowskiej, listopad 1968 r.



Ostatnia droga Jana Gajocha na zdjęciach z rodzinnego albumu



W 10 rocznicę śmierci Jana Gajocha, nad jego mogiłą na cmentarzu przemawia Stanisław Mierzwa, Pleszów, 1978 r.

Lata wojny 1939-1945 na terenie gminy Mogiła

Wspomnienia i informacje

Po żywiołowym rozwoju ruchu ludowego w latach 1930-39 na terenie naszej gminy, w latach ciężkich zmagani i strajków, chłopcy całego województwa krakowskiego żyli chęcią rozprawienia się z dyktaturą sanacyjną i urzeczywistnieniem modelu Polski, a zwłaszcza ustroju rolnego w oparciu o indywidualne gospodarstwa chłopskie, w ramach „agraryzmu” wypracowanego przez Związek Młodzieży Wiejskiej „Wici” i zatwierdzonego następnie przez ruch ludowy. Napad Hitlera na bezbronny Naród i zajęcie kraju przez wojska niemieckie uderzyły chłopów niczym obuchem w głowę. Odrętwienie to jednak nie trwało długo, gdyż już z końcem 1939 roku, za wiedzą i zgodą członków Wojewódzkiego Zarządu Stronnictwa Ludowego: Stanisława Mierzwy, Jana Witaszka i Józefa Marcinkowskiego na terenie powiatu, najpierw naszej gminy (z inicjatywy b. prezesa powiatowego Stronnictwa Ludowego – Jana Gajocha z Pleszowa) zawiązuje się tajna organizacja wojskowa pod nazwą Związek Walki Zbrojnej (ZWZ). Powstają placówki: w Pleszowie, Mogile, Bieńczycach i Krzesławicach. Akcję tę prowadzi, mianowany przez Komendę ZWZ, po uprzednim uzgodnieniu z zawiązującymi się władzami konspiracyjnymi Stronnictwa Ludowego, syn chłopski, inżynier rolnik, kapitan rezerwy Józef Rosiewicz z Pleszowa, jako komendant na powiat krakowski. Akcja ta trwała przez 1940 rok, gdy jednak okazało się, że ZWZ jest opanowany przez czynniki sanacyjne, które w przyszłości nie godzą się na żadne zmiany w systemie rządzenia Polską, członkowie Stronnictwa Ludowego powołali do życia konspiracyjną organizację Ruchu Ludowego pod nazwą ROCH. Jej poszczególne ogniwia otrzymały konspiracyjne nazwy, a to: Zarząd Wojewódzki – Nadleśnictwo, Zarząd Powiatowy – Leśnictwo, Zarząd Gminny – Leśniczówka, Zarząd Gromadzki – Gajówka. W roku 1940 zostaje powołany do życia Zarząd Powiatowy czyli Leśnictwo powiatu krakowskiego. Zarządy takie nosiły nazwę trójek (powiatowych, gminnych, gromadzkich). W skład trójki gminnej weszli: Antoni Baranik z Mogiły, Stanisław Ptak z Bieńczy, Idzi Jędraszczyk z Zesławic oraz jako zastępcę Jan Walerian z Krzesławic. Do komendy organizującej się Ludowej Straży Bezpieczeństwa (LSB) powołano: Stanisława Marsa z Krzesławic, Józefa Gajocha z Pleszowa i Jakuba Pszczółę z Bieńczy.

Trójki gromadzkie (Gajówki)

Trójka gminna czyli Leśniczówka gminy Mogiła zorganizowała trójki gromadzkie (Gajówki) w poszczególnych gromadach w następującym składzie:

Pleszów: Jan Cygan, Jan Gębala (po odejściu Jana Cygana do trójki gminnej), Wawrzyniec Sikora i Wincenty Gajoch

Kujawy: Wincenty Kardas, Wojciech Dzieja, Antoni Malinka

Mogiła: Antoni Kasznik, Andrzej Majcher, Józef Kawula, Tadeusz Chybała

Krzesławice: Józef Jędraszczyk, Wojciech Waśko, Antoni Czernek, Antoni Walerian

Bieńczyce: Andrzej Biernacik, Andrzej Ciepiela, Stanisław Zięba, Jakub Pszczółę

Lubocza: Piotr Rażny, Józef Pietruszka, Stanisław Jędras, Jan Partyła

Grębałów: Walenty Florkowski, Jan Cygan, Władysław Woźniak

Łęg: Józef Socha, Jakub Tyrka, Jakub Malik, Stanisław Kucharzyk

Czyżyny: Andrzej Malinowski, Sosin, Czernek, czwarty członek Gajówki był komendantem LSB.

Trójki gromadzkie na swoim terenie organizują według wskazówek podanych przez trójki gminne następujące sekcje:

1. Ludowa Straż Bezpieczeństwa
2. Oddziały Batalionów Chłopskich
3. Zielony Krzyż
4. Młody Las
5. Sekcje Spółdzielczo – Rolne
6. Sekcje Oświatowo – Propagandowe

W 1940 roku konspiracyjny ruch ludowy widząc w ZWZ reakcyjny kierunek polityczny zrywa z nim umowę, zwracając się z apelem do ludowców i sympatyków, by opuścili szeregi ZWZ, gdyż ruch ludowy tworzy wojsko

ludowe na wzór kosynierów kościuszkowskich pod nazwą Bataliony Chłopskie. Pierwszym, który pozytywnie ustosunkował się do tego wezwania był por. Walenty Adamczyk z Pleszowa. Następnie za jego przykładem i pod jego wpływem prawie wszyscy z terenu gminy przeszli wraz ze swymi oddziałami do BCH. Byli to: Józef Salwiński z Czyżyn, Jan Kotyza z Bieńczy, Władysław Bochenek i Bolesław Rażny z Krzesławic, Antoni Radziszewski i Bentkowski z Luboczy, Dubiel z Kocmyrzowa, i wielu innych.

Po tym masowym przejściu do BCH, ZWZ, względnie już w tym czasie Armia Krajowa, przestała na naszym terenie praktycznie istnieć, tylko bowiem nieliczne jednostki obce nam ideologicznie pozostały w AK. Powiatowa komenda AK widząc taką sytuację zaprosiła przewodniczącego trójki powiatowej Jana Gajocha i Walentego Adamczyka na konferencję, która odbyła się we dworze w Prusach, gmina Mogiła. Na konferencji tej komendant powiatowy Markiewicz pseudonim „Juliusz” zażądał oddania wszystkich żołnierzy, którzy przeszli do BCH z powrotem do AK. Gdy wymienieni przedstawiciele ruchu ludowego odmówili tego zagrożono im sądem wojskowym i „kulą w łeb” uznając przejście do BCH za dezercję z wojska. Stanowisko komendanta powiatowego AK było najzupełniej błędne, gdyż żaden z żołnierzy, którzy przeszli do BCH nie wycofał się z konspiracji, a tym bardziej nie zdezerterował z wojska, lecz wybierał tylko odpowiadającą mu formację i ideologię, w której chciał walczyć o Polskę. W kilka dni po owej konferencji w Prusach zgłosiło się do Jana Gajocha w Pleszowie dwóch osobników, którzy przedstawili się, że są oficerami AK i poszukują Walentego Adamczyka, na którego został wydany wyrok śmierci za dezercję z wojska. Otrzymali odpowiedź, że gdyby tylko wyrok został wykonany, to będzie to uważane przez ruch ludowy za zwykłe morderstwo i organizacja wyciągnie z tego faktu najdalej idące konsekwencje. Do Komendy Wojewódzkiej BCH natychmiast został przesłany odpowiedni meldunek, a komendant woj. „Zawojna” sprawę tę szybko ku naszemu zadowoleniu zlikwidował. AK musiała się pogodzić z faktem, że synowie chłopscy nie chcą służyć w wojsku, którego ideologia jest im obca. Po tych zgrzytach i nieporozumieniach została powołana Powiatowa Komenda BCH. Komendantem powiatowym został mianowany (na wniosek trójki powiatowej) przez komendanta wojewódzkiego Jan Kotyza ps. „Wiktor” z Bieńczy. Komendę gminną BCH tworzyli Stanisław Gajoch z Pleszowa, Alojzy Kościelniak i Wojciech Socha z Mogiły. Po zorganizowaniu Batalionów Chłopskich na terenie gminy, działały dwie placówki BCH (kompanie) dowodzone przez Władysława Bochenka ps. „Słaza” i Bentkowskiego ps. „Świerk”. Dowódcami plutonów w tych placówkach byli: Józef Marcinek z Mogiły, Józef Perlik z Pleszowa, Józef Ruśniak z Branicy – w placówce Mogiła, zaś w placówce Bieńczyce: Piotr Kotyza z Bieńczy, Jan Partyła z Luboczy i Antoni Walerian z Krzesławic. Przeprowadzono szkolenie zaprzysiężonych żołnierzy, odbywały się zbiórki, ćwiczenia, prowadzono szkołę podoficerską, odbywały się wykłady polityczne. W ten sposób podnoszono patriotyzm oraz szerzono ideę ludową wśród żołnierzy BCH. W roku 1940 został aresztowany komendant powiatowy Ludowej Służby Bezpieczeństwa – Stanisław Duda z Biechanowa. Na jego miejsce trójka powiatowa wyznaczyła Stanisława Marsa z Krzesławic ps. „Dom”, jego wybór zatwierdził kom. woj. „Zawojna”. W miejsce St. Marsa komendantem gminnym LSB został mianowany Józef Gajoch z Pleszowa. W domu Marsa odbywały się w Krzesławicach odprawy i zebrania. Odbył się także kurs ideowo-polityczny dla oficerów i podoficerów z całego powiatu. Kurs ten prowadzili: pułkownik z Komendy Głównej BCH z Warszawy oraz Wiatr ps. „Zawojna”. Kurs ten trwał 3 dni i stał na wysokim poziomie. Wynikiem jego było zbliżenie i zespolenie aktywu oficerskiego BCH oraz podniesienie jego poziomu ideologicznego. W kursie tym brali udział oficerowie: Jan Kotyza z Bieńczy, Józef Salwiński z Czyżyn, Bolesław Rażny i Władysław Bochenek z Krzesławic, Franciszek Feret z Mogiły, Lubowiecki z Radziszowa, Wrona ze Skawiny, Franciszek Lembas z Czarnochowic, Walenty Adamczyk z Pleszowa, Władysław Chwastek z Mistrzejowic, Franciszek Radziszewski, Józef Bentkowski, Partyła z Luboczy, oraz podoficerowie: Walerian z Krzesławic, Piotr Cholewa z Łuczanowic, Karol Koński z Mogiły, Józef Marcinek z Mogiły, Józef Gajoch i Józef Perlik z Pleszowa i inni, których nazwiska zapomniano. Na terenie gminy były przygotowane „meliny” dla ludzi, którzy musieli się ukrywać. Na wyróżnienie zasługuje dom Agnieszki Zbrojowej w Czyżynach, w którym przez całą okupację ukrywali się ludzie poszukiwani przez Gestapo, jak np.: Michał Berbeka, działacz z Dąbrowy Tarnowskiej oraz inny ważny działacz z Komendy z Warszawy, którego nazwiska nie znano. Agnieszka Zbrojowa przechowywała wszystkie te osoby bezinteresownie. Także u Idziego Jędraszczyka w Zesławicach i Józefa Jędraszczyka w Krzesławicach były „meliny” zawsze gotowe na przyjęcie i ukrycie ludzi walczących w pierwszych szeregach z okupantem. W miejscach tych przechowywali się: Władysław Wyroba z Krzęcina, komendant oddziału specjalnego z Miechowa, Wichurka oraz inny żołnierz z terenu miechowskiego. U Jana Cygana w Pleszowie przebywał odbity z transportu przez oddział „Olka” oficer jugosłowiański. U Józefa Gajocha i Stanisława Marsa przebywały grupy ludzi a także jeńców rosyjskich oczekujących po kilka lub kilkanaście dni na dalszy przebieg. Od 1940 roku (lub 1942, ostatnia cyfra nieczytelna), organizowane były oddziały dywersyjne do walki z wrogiem oraz elementami przestępczymi. Oddziały te były do dyspozycji sądów podziemnych. Komendanta-

mi tych oddziałów byli ludzie odważni, stojący równocześnie na wysokim poziomie społecznym i moralnym. Na terenie gminy Mogiła był oddział dywersyjny składający się z kilkunastu ludzi. Jego komendantem był „Kotek”, syn małorolnego chłopca, członek koła „wiciowego”, ceniony za swą bezinteresowność i uczciwość. W 1941 roku pracował w monopolu tytoniowym w Czyżynach, należał już w tym czasie do konspiracji. Przylapany na sabotażu został aresztowany, skatowany w nieludzki sposób i wywieziony do obozu w Pleszowie. W 1941 roku podczas transportu do innego obozu udało mu się zbiec pod gradem kul. Wrócił szczęśliwie do wsi. „Czarny” kieruje go oddziału specjalnego. Odtąd „Kotek” należąc do oddziału dywersyjnego, bierze udział w wielu akcjach tak przeciwko Niemcom, jak również przeciwko różnego rodzaju elementom przestępczym. (...) W Lubo- czy na chłopskim weselu, w czasie żałoby narodowej, gdy ludzie tam pili i wesoło się bawili, przechodzący przez wieś oddział „Olka” otoczył dom, wezwał gospodarza wesela do zaprzestania muzyki. Komendant wygłosił gościom patriotyczne przemówienie o walce, o cierpieniu narodu, a zwłaszcza o tragicznym losie Warszawy i jej mieszkańców. Gospodarz wesela za swe nierozsądne postępowanie złożył dobrowolnie 500 zł., a goście weselni dobrowolnie zebrali w sumie 450 zł. Pieniądze te komendant odprowadził do przewodniczącego trójki gromadzkiej na pomoc dla Warszawiaków. Dwóch młodych pijanych osobników, którzy w czasie przemówienia niewłaściwie się zachowali, ukarano chłostą i na 2 dni zamknięto do piwnicy o chlebie i wodzie. Odchodząc partyzanci wzniesli okrzyk „Niech żyje Polska”, co weselni goście z zapalem powtórzyli i wspólnie odśpiewali „Jeszcze Polska nie zginęła”. Akcja powyższa nie była odosobniona, na terenie powiatu podobnych przypadków było znacznie więcej. Władze Polski podziemnej dawały znać o swoim istnieniu. Akcje te były uzgodnione z Trójką i Komendą Powiatową, a na terenie gminy zostały opracowane przez Trójkę i Komendę Gminną. (...) W 1943 roku Niemcy zaczęli stosować represje i zbiorową odpowiedzialność na naszym terenie. I tak np. za jednego zastrzelonego i rozbitego Bahnschutza na terenie Bieńczyca zastrzelono 10 Polaków. W Grębałowie w 1944 r. za zastrzelenie Bahnschutzów rozstrzelano 80 Polaków przywiezionych z więzienia na Montellupich. Między rozstrzelanymi byli także ludzie z tych okolic. (...) Z terenu gminy aresztowano najpoważniejszych gospodarzy za niedostarczenie kontyngentów zbożowych. M.in. aresztowany został Jan Gajoch z Pleszowa. Uwięzieni siedzieli w okropnych warunkach w jednej celi, bez okien i bez toalety, w zaduchu i smrodzie przez 14 dni. Potem Gajocha aresztowano powtórnie. Tym razem Niemcy przyszli do domu Gajocha po bryczkę, której już dawno nie miał. Został więc aresztowany i późnym wieczorem odwieziony do Ruszczy, gdzie osadzono go w ciemnej sieni w lokalu spółdzielni pod strażą wartownika. Inni Niemcy poszli do gminy. Opodał był sklep spółdzielni, którego kierowniczką była Migalówna, siostra Józefa Migala. Po pewnym czasie aresztowany poprosił żołnierza niemieckiego o zezwolenie pójścia do sklepu po papierosy. Otrzymałszy zezwolenie szybko wszedł do sklepu, i jeszcze szybciej rzucił się w drugie drzwi otworzone przez kierowniczkę sklepu i pod osłoną nocy uciekł stamtąd, mimo strzelającego za nim wartownika, który tuż za nim wszedł do sklepu. (...) W 1944 roku, przyjeżdża do Mogiły oddział Niemców, ponieważ ludzie nie chcą chodzić do okopów na roboty i nie chcą jeździć do Kłaja do pracy przy wywózce drzewa z Puszczy Niepołomickiej, Niemcy są zdenerwowani, porozbiegali się po wsi, biją ludzi, a gdy znajdują ukrytego konia często rozlegają się strzały. We wsi panuje popłoch, ludzie uciekają w kierunku Wisły. W domu przewodniczącego trójki gminnej Antoniego Baranika, który stoi na błoniach koło Wisły, jest zmagazynowana broń. Baranik dowiaduje się od uciekających ludzi, że we wsi jest oblawa, wygląda więc na drogę i widzi grupę Niemców, zdążających w kierunku jego domu. Nie traci zimnej krwi, szybko zwołuje domowników, każe znosić do domu snopki skoszonego żyta, które były niedaleko. Zawijając w nie automaty oraz granaty, i każe z powrotem wynosić te snopki na pole i ustawiać w kopy. Niemcy nadeszli, obszukali dom, a widząc spokojnie pracujących ludzi przy żniwach, po chwili odeszli nie robiąc nikomu krzywdy. W sierpniu tego roku odbyła się w domu Baranika odprawa wszystkich oficerów BCH z terenu powiatu krakowskiego. Oprócz przedstawicieli Komendy Wojewódzkiej – „Zawojny” i „Wojtka” byli z naszego terenu Adamczyk, Kotyza, Lubowiecki, Rażny, Bochenek, Salwiński, Lembas, Wrona, Gawęda, Bętkowski, Radziszewski, Gajoch, Pyrlik i in. Dom odświętnie przystrojono, a członkinie Zielonego Krzyża przygotowały skromny poczęstunek. Pluton BCH pod dow. Józefa Pyrlika „Kruka” z Pleszowa ubezpiecza odprawę. Około godz. 12-tej posterunek obserwacyjny melduje, że kilku Niemców zbliża się w kierunku domu. Żołnierze są na stanowiskach gotowi na rozkaz nie dopuścić Niemców. Po krótkiej naradzie postanowiono jednak Niemców dopuścić do domu nie zaczepiając ich, gdyż i tak pluton miał nad nimi przewagę. Niemcy podeszli do domu, do żony Baranika, która do nich wyszła, poprosili o wodę, a napiwszy się odeszli z powrotem tam skąd przyszli. Zimna krew i opanowanie wszystkich zebranych zapobiegła panice, a może nawet niepotrzebnemu rozlewowi krwi. Po odejściu Niemców, narada odbywała się dalej bez przeszkód. W domu tym przechowywał się przez 1,5 roku Stanisław Styczeń, jak również inni ludzie, szukający schronienia przed okupantem. Wiosną 1943 roku w domu Baranika w Mogile odbyła się narada, na której Jan Gajoch oświadczył, że

Komitet Powiatowy BCH chce wydawać własne pismo konspiracyjne. Ustalono, że pismo ma się nazywać „Ziemia” i będzie tygodnikiem społeczno-polityczno-oświatowym. Nakład pisma wynosił ok. 2000 egzemplarzy. Komitet Redakcyjny powołany przez Trójkę Powiatową składał się z inteligencji tutejszej gminy oraz działaczy chłopskich z BCH z Mogiły i z Krakowa. Redaktor Władysław Sterbe, prokurator, syn chłopski, zamieszkały w Krakowie odbijał matryce, które następnie powielano w Mogile w domu Tadeusza Chybały. Dom ten był zwany „ruskim”. Czasopismo „Ziemia” powielali Tadeusz Chybała i Antoni Kasznik, pod opieką Antoniego Baranika. Praca odbywała się w czasie nocy i strzeżona była przez oddział specjalny BCH pod komendą „Kotka”, młodego robotnika. Powielacz dał Sterbe, który dostarczano do Chybały, przez Stanisława Marsa. Maszyna do pisania została zabrana w Szybach przez oddział „Wichurki”, którą także dostarczył Mars do Józefy Strychal- skiej, maszynistki redakcji. Do Komitetu Wydawniczo-Redakcyjnego należeli znani działacze chłopscy: Władysław Sterbe – prokurator, Jan Gajoch z Pleszowa – syn chłopski, rolnik, Józef Salwiński z Bieńczyca, zam. w Czyżynach – syn chłopski, adwokat, Teodor Cygan z Pleszowa – syn chłopski, Tadeusz Chybała z Mogiły – syn chłopski, Walenty Naturski z Krzesławic (lub z Krzeszowic) – nauczyciel, Stanisław Sedor z Wieliczki – pracownik spółdzielni, Stanisław Mars z Krzesławic – porucznik, Walenty Adamczyk – handlowiec, Jan Kotyza z Bieńczyca, ps. „Wiktor” – major, komendant pow. BCH, Józef Sedor ps. „Orkan” zam. w Krakowie – znany działacz ludowy, Stanisław Gawęda, Franciszek Piętaś z Rusocic – rolnik, Antoni Baranik z Mogiły – kom. gminnej trójki, działacz spółdzielczy, Antoni Kasznik z Mogiły – rolnik. Kolportaż czasopisma „Ziemia”, odbywał się przez łączników. Do Miechowa odsyłano ok. 500 egz. Rozdział czasopisma był dokonywany na miejscu przez łącznika powiatowego Teodora Cygana, na terenie Wieliczki kolportaż prowadził Stanisław Sedor, na powiat chrzanowski pisma odbierał Walenty Naturski, na powiat krakowski (część zach.) odbierał Franciszek Piętaś. „Ziemia” wychodziła do czasu oswobodzenia i była wydawana w takiej tajemnicy, że do końca nawet najbliżsi sąsiedzi nie wiedzieli, gdzie jest drukowana. Nie było żadnej wsypy.

Tuż nad Wisłą, koło samego wału leży gromada Chałupki, należąca do gminy Ruszcza. Mieszkał tam Franciszek Sendor, zagorzały „wiciarz” i radykalny ludowiec. Jego młodszy brat, Piotr, w czasie ucieczki w 1939 roku zaginął gdzieś bez śladu. Jakież było zdziwienie Franka, gdy pewnego dnia pod koniec 1943 roku zjawił się u niego jakiś obcy człowiek i wręczył mu małą karteczkę z zapisanymi na niej kilku słowami. Uradowany Franek rozpoznał pismo swojego brata Piotra, którego uważał za zaginionego. Brat mu donosił, że żyje i jest w Rosji, i prosi aby oddawcy tej kartki udzielił wszelkiej pomocy. Człowiek ten i dwie kobiety okazali się sowieckimi spadochroniarzami, szukającymi miejsca na ulokowanie radiostacji, rzeczy niebezpiecznej, lecz prośbie brata nie mógł Franek odmówić. Zawiadania o tym wydarzeniu komendę BCH, która jego stanowisko aprobuje i obiecuje udzielić pomocy i opieki. Radiostacja została umieszczona na strychu w domu Sendora, a częściowo po drugiej stronie Wisły na Grabiu, na cmentarzu. Radiostacja działała przez zimę i lato, przesyłając meldunki do Związku Radzieckiego o umocnieniach niemieckich, o ślepych lotniskach, o przemarszu wojsk itp. Gdy w 1945 roku ruszyła ofensywa sowiecka, samoloty korzystając z dostarczonych przez radiostację wiadomości leciały prosto na cel. Było w tym trochę i naszej zasługi, gdyż nasze oddziały czuwały nad bezpieczeństwem stacji. Niemcy szukali jej po okolicy radiowozem wychytującym fale radiowe. Myliły go jednak zrzucone przez samoloty małe aparaty, które uruchamiane korbą przez naszych ludzi w czasie pracy tamtej radiostacji, nadawały podobne sygnały, co Niemców dezorientowało. Zdarzyło się, że w Pleszowie w domu Jana Walczaka, za cmentarzem, gdy przez dłuższy czas działał taki aparat, Niemcy tak szybko podjechali pod dom, że ledwo zdołano ukryć taki aparat w kominie i Niemcy go nie znaleźli. Aparat ten obsługiwał Jan Gajoch (kuzyn Jana Gajocha, przew. Trójki pow.). Przez stację kolejową Batowice przejeżdżały liczne transporty kolejowe. Oddział LSB ostrzelał niemiecki oddział pilnujący mostu, rozbili go i uszkodził szyny na wiadukcie, powodując kilkudniową przerwę w ruchu. Z polecenia komendanta powiatowego LSB „Dęba”, przeprowadzał także akcje poza terenem naszej gminy. (...)

Łączność i prasa podziemna

Ważnym czynnikiem była łączność. Łącznicy byli na każdym stopniu organizacyjnym. Teodor Cygan ps. „Czarny” był łącznikiem powiatowym, a gminnym Wincenty Gajoch, obaj z Pleszowa. Łącznicy należeli do komend i spełniali zadania zlecone przez trójki gminne i gromadzkie. Od góry, czyli od zarządu wojewódzkiego, szły rozkazy i polecenia, zaś od dołu, czyli zarządów gromadzkich i gminnych, meldunki i doniesienia. Do obowiązków łączników należało przenoszenie prasy i meldunków. Prasa przychodziła do nas z Warszawy. Przez jakiś czas przywożona była koleją, później z powodu ciągłych łapanek na kolejach szła od powiatu do powiatu. Trwało to dłużej, lecz mniejsze było ryzyko wsypy. Pocztę przywożono do Pleszowa z Igołomii.

Przywoził ją „Kwiatek” do Wincentego Gajocha, gdzie była rozdzielana na powiat krakowski, wadowicki i bocheński. Gajoch wiozący prasę na rowerze został raz zatrzymany przez patrol policyjny w Igołomii. Dokładnie go zrewidowano, lecz prasy przy nim nie znaleziono, a tylko dlatego, że w patrolu tym był policjant z Mogiły – Stanisław Zema, który pozostawał w kontakcie z organizacją i on to właśnie tak gorliwie przeszukiwał bagaż i rower, a przy tym głośno krzyczał, by zadowolić Niemców. Punkty odbioru prasy dla powiatu krakowskiego znajdowały się na terenie miasta. Czuwał nad nimi „Czarny”, a znajdowały się w różnych miejscach, kościołach, domach prywatnych itp.(...) Do naszej gminy przychodziły następujące pisma konspiracyjne: „Orka”, „Przez Walkę do Zwycięstwa”, „Żywią i Bronią”, „Biuletyn Informacyjny”, „Dziennik Polski” i in. Wymienialiśmy także prasę z innymi organizacjami jak AK, WRN (Wolność Równość Niepodległość)

Tajne nauczanie

Na terenie gminy odbywało się tajne nauczanie w zakresie szkoły średniej. Przewodniczącym sekcji TN. był Józef Celiński – kierownik szkoły w Bieńczycach. Komplet tajnego nauczania czynne były w Bieńczycach, Mogile, Pleszowie, Czyżynach i Luboczy. Pracowali w nich: Józef Celiński, Jan Rusak, Jan Kotyza, Maria Kotyzowa, Wincenty Choma.

„Młody Las”

Nie zapomniano o „wiciowej” młodzieży. Przewodniczącym „Młodego Lasu” na gminę Mogiła był Kazimierz Zamojski z Krzesławic. U niego w domu odbywał się kurs młodzieżowy, organizacyjno-ideowy, którego wykładowcami byli działacze „wiciowi”: Mieczysław Kabat, Roman Złotek, Edward Czubek. Było 25 uczestników kursu. Przez trzy dni młodzi ludzie rozważali wady ustroju kapitalistycznego, które były przyczyną wojny. Zastanawiano się nad przyszłym ustrojem, opartym na spółdzielczości i chłopskich gospodarstwach, które miały tworzyć spółki maszynowe i wspólnie uprawiać ziemię, obniżając przez to koszty produkcji.

„Zielony Krzyż”

Z inicjatywy Kazimierza Gajocha, członkini Zarządu Wojewódzkiego oraz przewodniczącej Dekcji Kobiet przy powiatowym zarządzie Stronnictwa Ludowego, zostaje powołany w 1943 roku na terenie gminy „Zielony Krzyż” – konspiracyjna organizacja kobiet SL. Do trójki gminnej czyli zarządu gminnego weszły: Maria Cygan z Pleszowa, Zofia Zybur z Bieńczyc, Maria Kwater z Grębałowa. Do trójek gromadzkich należały: Katarzyna Witkówna, Irena Stolarska, Katarzyna Wysocka – w Kantorowicach, Franciszka Bochenek, Maria Mars, Zofia Walerian – w Krzesławicach, Zofia Celińska, Maria Jędrszczyk – w Bieńczycach, Maria Jędrszczyk, Maria Wąs, Katarzyna Ziętara – w Zesławicach, Krystyna Baranik, Antonina Mars, Maria Broś – w Mogile, Maria Nowak, Zofia Stefańska, Maria Cygan – w Pleszowie.

„Zielony Krzyż” skupiał w swych szeregach kobiety, żony, córki i siostry żołnierzy Batalionów Chłopskich. Za pieniądze uzyskane ze zbiorów zakupowały apteczki, które przewidziane były na wypadek zbrojnej walki z okupantem. Urządzane były kursy na których wykładano historię ruchu ludowego, spółdzielczość, oraz służbę samarytańską. W grudniu 1943 roku odbył się taki kurs dla przewodniczących gminnych trójek całego powiatu w Krakowie przy ul. Prądnickiej w mieszkaniu Wojciecha Jarzyny. Kurs trwał 3 dni, uczestniczek było 30. Wykłady prowadzili: Barbara Matusowa, Kazimiera Gajoch, Roman Złotek. Kurs zakończono uroczystym podwieczorkiem i odśpiewaniem hymnu „Jeszcze Polska nie zginęła”. Podniesione na duchu uczestniczki rojechały się do swych domów, by potem przystąpić do pracy organizacyjnej na swoim terenie. Jeden kurs odbył się w szkole podstawowej w Bieńczycach, prowadzony był przez pracowników „Społem”, jego kierowniczką była Zofia Legan. Kurs trwał 7 dni, krótszy, 3 dniowy odbył się w domu Antoniego Baranika w Mogile.

Po Powstaniu Warszawskim

W październiku 1944 roku, po upadku Powstania Warszawskiego, Niemcy wywożą pozostałą przy życiu, obdartą i wynędzniałą ludność Warszawy do różnych powiatów, a następnie przydzielają odpowiednie grupy warszawiaków do gmin położonych na ich terenie. Na wiadomość o tym zebrała się trójka gminna, i z jej inicjatywy wybrano oficjalny komitet gminny, którego zadaniem było niesienie pomocy wysiedlonej ludności, w gromadach zaś powołano komitety. W oznaczonym dniu na stacje Kocmyrzów i Bieńczyce przybyły pociągi z tysiącem chorych, śmiertelnie zmęczonych i wystraszonych ludzi. Czekały na nich furmanki wysłane przez

poszczególne gromady. Powołany komitet przydzielił poszczególnym gromadom odpowiednie ilości warszawiaków. Po dokonanych rozdziałach pozostało jeszcze około 250 osób, które komitet musiał zakwaterować w zabudowaniach OO. Cystersów w Mogile. Osobami przydzielonymi do gromad zajęły się komitety gromadzkie, przydzielając im kwatery u chłopów oraz wyżywienie. Zakwaterowanymi w klasztorze zajął się komitet gminny, dostarczając żywność i opiekę sanitarną. Na ten cel zarządzono zbiórkę żywności po gromadach i okolicznych młynach. Trójka gminna nakładała również na bogacących się w czasie wojny spekulantów kary pieniężne, które przeznaczono na pomoc dla wysiedleńców. W tym czasie nasze oddziały, rozbiorowszy strażników skonfiskowały we młynie w Mogile (w Gwoździarni) kilka ton mąki i kaszy, z której skorzystali warszawiacy oraz biedniejsza ludność i działacze ludowi na terenie Krakowa. (...)

Wypada nadmienić, że nieszczęśliwej ludności z Warszawy, nie wszyscy obywatele naszej gminy okazali życzliwość. Z polecenia trójki gminnej interweniowały nasze oddziały LSB czy BCH, najpierw wyjaśniając potrzebę udzielenia pomocy, a gdy to nie pomagało, uciekano się do bardziej radykalnych środków.

Przy wkraczaniu Armii Czerwonej i wycofywaniu się Niemców, w czasie patrolowania okolicy, został ciężko ranny w nogę komendant powiatowy Ludowej Straży Bezpieczeństwa – Stanisław Mars ps. „Dąb” z Krzesławic. Jest dzisiaj kaleką bez nogi, żyje w zapomnieniu bez najskromniejszych środków do życia.

Zakończenie

Kończąc ten kronikarski zapis – uwzględniający tylko niektóre akcje i wypadki – o gminie Mogiła w latach okupacji podajmy, że ilość ludzi zorganizowanych w gromadach gminy wynosiła ok. 1000 (na podstawie raportów przewodniczących trójek gromadzkich). W jednych gromadach było ich więcej, a innych mniej, co zależało od wyrobienia politycznego ludności oraz od ruchliwości trójki gromadzkiej. Na wyróżnienie zasłużył przewodniczący trójki w Pleszowie, dawny „wiciarz” – Jan Gębala. To dzięki jego inicjatywie ilość ludzi tam zakonspirowanych, znacznie przewyższała w tym względzie inne gromady. Pluton Batalionów Chłopskich, którego komendantem był najpierw Jan Partyła, a potem Józef Perlik ps. „Kruk” (przedwojenny plutonowy), liczył ok. 40 młodych chłopaków. Perlik tych ludzi szkolił, przeprowadzając na miejscu kurs oficerski oraz opatrywał swój pluton w broń, rozbierając pojedynczych niemieckich żołnierzy. Dawne „wiciarki” zgrupowane były w „Zielonym Krzyżu”. U członka trójki gromadzkiej Wawrzyna Sikory zainstalowane było radio, dzięki czemu mieliśmy zawsze świeże wiadomości. Ludzi zorganizowanych w BCH oraz LSB częściowo uzbrojonych i przeznaczonych w pierwszym rzędzie do walki z Niemcami na terenie gminy Mogiła było ok. 400. Reszta to „Młody las”, sekcje gospodarcze i kierownictwo cywilne. Duże uznanie należy się trójce gminnej, która dała z siebie tyle, ile tylko mogła. Największym jednak uznaniem trzeba obdarzyć tych, którzy z bronią w ręku spotykali się z wrogiem. Dzięki ofiarnej postawie i walce oddziałów dywersyjnych na terenie naszej gminy, mógł się rozwinąć silny ruch ludowy, który stanowił trzon ruchu oporu. Praca i walka przyczyniła się do podniesienia godności narodowej i karności chłopów, gdyż tam gdzie była dobrze zorganizowana trójka gromadzka, nic nie uszło jej uwadze, i na każdą zdradę i podłość przychodziła szybka reakcja w postaci wymierzonej kary chłosty lub śmierci. Większych walk nie było. Brak lasów i bliskość Krakowa nie pozwalały na organizowanie leśnych oddziałów. Oprócz walki z elementami przestępczymi i działań dywersyjnych, podjęto przygotowania taktycznego oddziału do przewidzianego zrywu ogólnonarodowego w końcowej fazie wojny.

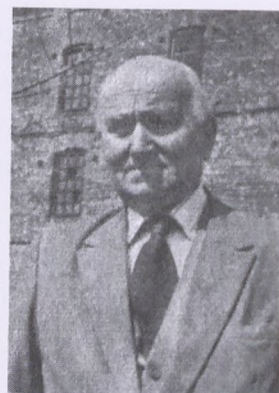
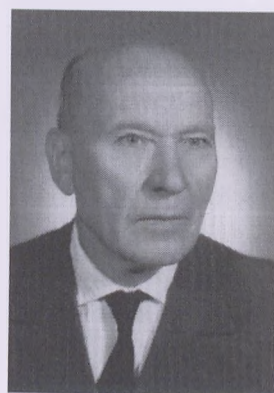
Powyższe informacje zebrał i spisał zespół dawnych działaczy ruchu ludowego: Jan Gajoch, Jan Gębala, Stanisław Kuhl, Kazimiera Gajoch, Antoni Baranik, Jan Kotyza



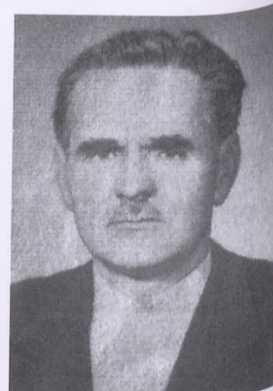
Działacze konspiracyjni w Gminie Mogiła. Od lewej: Jan Gębala, Wawrzyniec Sikora, W. Gajoch ps. „Droga”



Jan Kotyza ps. „Wiktor” z Bieńczy, komendant BCH



Józef Celiński, organizator tajnego nauczania, Katarzyna Gajoch-Witaszkowa, Antoni Baranik, Franciszek Feret



Od lewej: Józef Marcinkowski, Stanisław Mierzwa, Jan Witaszek (na potrójnym zdjęciu) Franciszek Gawęł, Antoni Kasznik



Andrzej Świerczewski ps. „AS”



Siedzą od lewej: Stanisław Gawęda, Józef Marcinkowski, Jan Gajoch, Stanisław Mars. Stoją: Józef Bembien, Władysław Sterba, Katarzyna Gajoch-Witaszkowa, Teodor Cygan, Józef Salwiński, ok. 1965 r.

Kronika Pleszowa z czasów okupacji

Po przejściu wojsk niemieckich i zajęciu całej Polski, u nas we wsi, życie powoli zaczęło wracać do normy. Ale nie pod każdym względem, bo dużo ludzi nie powróciło z wojny; jedni zginęli, inni dostali się do niewoli i nikt o nich nie wiedział. Gdy poczta przywróciła swoją działalność, ci co przebywali w obozach jenieckich, przysyłali do domu wiadomości i adresy. Tymczasem Niemcy zaczęli organizować w gminach i gromadach administrację. W gminie Mogiła wójtą został Jan Ciepiela z Bieńczy, a u nas we wsi sołtysami zostali ci sami, co byli za sanacji: Franciszek Szywalski, a jego zastępcą Józef Zięba. Poprzez te władze Niemcy przekazywali zarządzenia. Jednym z pierwszych był zakaz słuchania radia, które trzeba było oddać do gminy oraz zakaz urządzania wszelkich zebrań i zgromadzeń. Do tego czasu spotykaliśmy się w świetlicy u Jana Bańdura. Kolejne rozporządzenie dotyczyło zakazu pożyczania książek w bibliotekach i konieczności ich zwrotu. Bibliotekę posiadała szkoła i Koło Młodzieży „Wici”. Książki z biblioteki młodzieżowej zostały ukryte w domu Władysława Gajocha, a z biblioteki szkolnej u Jana Gębali. W domu Gajocha książki zamurowano pod piecem chlebowym, skąd od 1941 roku częściowo je wydostawano pożyczając członkom Koła Młodzieży i kompletom tajnego nauczania. W domu Gębali książki szkolne schowano do ula po pszczołach, gdzie dobrze opakowane dotrwały do wyzwolenia. Niemcy zażądali, aby wszystkie organizacje oddały swoje sztandary, które także musieliśmy ukryć. Sztandar młodzieżowy został schowany w domu Stefańskich, a sztandar ludowy w domu Józefa Gajocha. Oba sztandary doczekały zakończenia wojny. W tym czasie kiedy garstka nas borykała się z tym, gdzie ukryć książki i sztandary, jak zorganizować konspirację, to elementy przestępcze korzystając z chwilowego zamieszania organizowały bandy, które napadały w celach rabunkowych na mieszkańców naszej wsi. Bandyci wchodziłi do domów podstępem mówiąc, że idą Niemcy, a oni zamaskowani terroryzowali domowników, zabierając wartościowe rzeczy, pieniądze i odzież. Dokonano takich napadów na domy Wincentego Gumuła, Marcina Repecia, Józefa Gajocha, Zygmunta Nowaka i u dzierżawcy majątku Murzyna – Józefa Szuby. Kiedy na zebraniu radnych gromadzkich w tajnym głosowaniu wskazywano uczestników napadów, ci z zemsty podpalili pełne zboża stodoły Jana Partyły i Gajochów.

Jak wszyscy dobrzy Polacy i my od początku okupacji chowaliśmy broń myśląc o walce zbrojnej z okupantem. Raz po powrocie z wędrownki na wschód, w której brało udział ponad 40 członków Koła, z myślą o zaciągnięciu się w szeregi armii, zaczęliśmy myśleć o konspiracji. Jan Gajoch, przedwojenny prezes Stronnictwa Ludowego był często w Krakowie. Tam dawni „Wiciarze” przy ul. św. Jana 22 radzili o formach i zasadach pracy konspiracyjnej. Dnia 5 grudnia 1939 r. ukonstytuował się zarząd wojewódzki. Dla całości prac konspiracyjnych ruchu ludowego przyjęto nazwę „ROCH” (Ruch Oporu Chłopskiego). W jego skład weszli, ze starszych: Zygmunt Lasocki, Władysław Kurnik, Stanisław Mierzwa, Józef Marcinkowski i Jan Witaszek. Przystąpiono do organizowania „trójek” powiatowych (nadleśnictwa), którą w powiecie krakowskim tworzyli: Jan Gajoch – przew., Stanisław Lebiest z Brzegów i Franciszek Piętaś z Rusocic – członkowie. Do spraw oświatowych i tajnego nauczania dokończony został Walerian Naturski z Krzeszowic. Z początkiem grudnia zorganizowaliśmy „trójkę” gminną. Jej przewodniczącym został Antoni Baranik z Mogiły, członkami: Jan Walerian z Krzesławic i Jan Gębala z Pleszowa. Łącznikiem na gminy Mogiła, Ruszcza i Wawrzeńczyce został kol. Wincenty Gajoch ps. „Droga”. Z chwilą utworzenia przez nas konspiracji politycznej tworzy się organizacja wojskowa „Związek Walki Zbrojnej”, która organizował inż. Józef Rosiewicz z Pleszowa, który wciągał wszystkich oficerów i podoficerów, a przeważnie członków Koła Młodzieży i Stronnictwa Ludowego. Przewodniczącym trójki gromadzkiej zostaje Jan Gębala, sekr. Wincenty Gajoch, a członkiem Wawrzyniec Sikora. Zebrania odbywały się u Gębali albo u Sikory za wsią. Od stycznia 1945 r. zaczęliśmy dostawać prasę podziemną wydawaną przez Józefa Marcinkowskiego i Jana Witaszka w Krakowie – „Więści Ludowe”. Praca naszej trójki gromadzkiej polegała m.in. na podtrzymywaniu ducha w Narodzie oraz slaniu meldunków i odpowiedzi na pisma, które dostawaliśmy z „Nadleśnictwa” przez „Leśnictwo”. W okresie okupacji zorganizowaliśmy dwa święta ludowe oraz akademię rocznicową na Trzeciego Maja. Święta uroczystości składał się z wygłoszenia referatu, śpiewania pieśni narodowych, ludowych i deklamacji. Program uroczystości był obchodzony w ścisłym gronie, a głos zabierał przeważnie Jan Gajoch. Informowaliśmy także władze o ruchach wojsk niemieckich, o zachowaniu poszczególnych ludzi, ich stosunku do Niemców i przeciwnie. Były też przeprowadzane zbiórki pieniędzy na potrzeby organizacji, które zostały odprowadzane do „Leśnictwa” oraz zbiórki żywności. W 1942 roku zebraliśmy 5 q pszenicy, a w następnym roku 6,5 q, które to zboże Jan Gębala zawoził do młyna Franciszka Lelity w Mogile, a mąkę do Krakowa, gdzie była prowadzona akcja „Więść – Miastu”. (...) Rozprowadzano pisma podziemne: „Orka”, „Ziemia”, „Żywią i bronią”, „Przez walkę do zwycięstwa”, „Biuletyn Informacyjny” i „Dziennik Polski”. Mieliśmy ustalony taki porządek, aby każdy wiedział od kogo miał dostać i komu dać prasę, jedną gazetkę musiało przeczytać kilku kolegów. Tak pracowaliśmy do 1941 roku, kiedy doszli-

śmy do wniosku, że wobec niewłaściwej atmosfery w ZWZ trzeba koniecznie zorganizować Bataliony Chłopskie. Jan Partyła ps. „Ciepiela”, s. Stanisława zorganizował pluton w ilości 15 członków, byli to ci wszyscy, którzy przeszli ze ZWZ. Potem na komendanta został powołany Józef Pyrlik ps. „Kruk”, który był komendantem Straży Pożarnej w gminie Mogiła i równocześnie komendantem w Pleszowie. W czasie okupacji straż pożarna w czasie żniw pełniła dyżury w dzień i w nocy przez całą dobę. Strażacy pełniący dyżury posiadali legitymacje upoważniające ich do poruszania się w dzień i w nocy. Józef Pyrlik powiększył pluton BCH do stanu 43 ludzi, włączając wszystkich strażaków nadających się pod względem fizycznym i politycznym do BCH. Korzystając z przywilejów strażackich urządzano zbiórki i przeprowadzano ćwiczenia w terenie oraz omawiano zajęcia taktyczne. Zorganizowano 6 miesięczne szkolenie wg instrukcji z komendy powiatu, której dowódcą był Jan Kotyza z Bieńczy ps. „Wiktor”, instruktorem był Józef Pyrlik i Józef Gajoch s. Walentego, a zajęcia odbywały się w domu Jana Gębali ps. „Sliwka”. Do szkoły podoficerskiej w Pleszowie uczęszczało 20 osób, z których część ukończyła szkołę w stopniu starszych strzelców, kaprali, a kilku, którzy się wyróżnili, jak Józef i Stanisław Kaczor, Władysław Gajoch, Jerzy i Zdzisław Pożycki, Eugeniusz Cygan, Marian Brajtmajer otrzymało stopnie starszych plutonowych. Z bronią było bardzo źle, bo w 1942 r., kiedy się tworzyły BCH, mieliśmy tylko 2 dubeltówki, jeden pistolet 6,35 mm i jeden karabin od starszego ogniomistrza Jana Cygana z Pleszowa, wobec czego zaszła konieczność dozbrojenia placówki BCH. Utworzono oddział specjalny w powiecie, który zajmował się rozbijaniem Niemców, likwidacją szpiegów wojskowych i rozpoznaniem stacjonujących wojsk niemieckich w terenie. Pierwszą akcją polegającą na rozbiciu Niemca na Grabiu wykonano jesienią 1943 roku. Zdobyto w ten sposób 1 karabin i 1 pistolet parabelum. W Wadowie, gdzie stacjonowali Niemcy, zabrano radio, 1 pistolet i 2 dubeltówki. W 1944 r. w Pleszowie rozbijono Niemca, który zatrzymał się u Jana Cygana w celu podkucia koni. Niemiec jechał wozem konnym do Pobiednika, gdzie było lotnisko polowe. J. Cygan dał nam o tym znac. Niemiec został rozbity w pustym terenie. Poważne zasilenie bronią nastąpiło gdy rozbijono konwój niemiecki na drodze Wyciąże – Pobiednik. Konwój liczył 6 wozów konnych i 12 żołnierzy z Wehrmachu. Ta akcja była zaplanowana wcześniej. (...) Po dobraniu 3 ludzi z Pobiednika rozbijono konwój bez jednego wystrzału, zabierając 12 karabinów, kilkadziesiąt granatów i sporą ilość amunicji oraz trochę żywności. Niemców puszczono w dalszą drogę. Rozbrojenia dokonano na drodze przed Ciem, gdzie nie było zabudowań. W maju 1944 r. nasz oddział na torach kolejowych w Biezanowie-Podłężu rozbili 3 Niemców. W czerwcu 1944 r. na rozkaz powiatu i placówki gminnej Mogiła, został rozstrzelany szpieg Wysocki, który miał oprócz dowodu osobistego także dowód niemiecki i ukraiński. Usiłował się wciągnąć do organizacji, skierować do lasu i poznać dowódcę. Przypadkowo został rozpoznany przez naszych ludzi, gdy poruszał się w mundurze niemieckim po ulicach Krakowa idąc z drugim Niemcem. Pluton BCH w Pleszowie przez cały okres był przygotowany do akcji zbrojnej w razie oporu w Krakowie, miał za zadanie wraz z placówką gminną Mogiła zniszczyć hangary na samoloty na lotnisku w Rakowicach, od strony wschodniej. Do tego zadania był przygotowany materiał wybuchowy – specjalne butelki z benzyną, lecz akcja ta nie została przeprowadzona, gdyż Kraków został okrążony przez Armię Czerwoną i Niemcy wcześniej opuścili lotnisko. Pluton BCH w Pleszowie posiadał 14 kbk, 1 pistolet maszynowy pepesza, 10 pistoletów, 4 dubeltówki, kilkadziesiąt granatów i sporą ilość amunicji do kbk i innej. Oprócz tej broni 10 osób posiadało własną broń krótką z 1939 r. Całkowity stan broni liczył pod koniec 1944 r. 38 szt. Broń była przechowywana u dowódcy J. Pyrlika i przez niego wydawana do akcji. Konserwatorem tej broni był młody chłopiec liczący 13 lat Władysław Rospądek s. Jana. Granaty były u Stanisława Gajocha. Ludzie w plutonie byli zdyscyplinowani i zdecydowani na wszystko nawet bez wahania oddać życie za Ojczyznę. Byli to przeważnie „Wiciowcy” o zahartowanym duchu, którzy już wiele lat przed wojną stawiali opór sanacji, organizując strajki chłopskie i wiece, za co wielu z nich siedziało w areszcie. W 1944 r. po zorganizowaniu wolnej republiki pińczowskiej pluton został postawiony w stan pogotowia bojowego, czekali na rozkaz wymarszu w celu wzięcia udziału w powstaniu narodowym. Głównym organizatorem przed wojną i w czasie okupacji był Jan Gajoch s. Walentego z Kujaw. Aresztowany kilka razy przez sanację, dwa razy przez Niemców, a 7 razy po wyzwoleniu. Swoją odwagą, poświęceniem i nie ugiętą siłą walki dawał przykład innym. Wpajał w młodzież „wiciową” i członków Stronnictwa Ludowego poczucie godności osobistej, zachęcał do walki o równość i sprawiedliwość społeczną. Po wyzwoleniu zachęcał do pracy dla Polski Ludowej, żądał jak przed wojną, by była ona demokratyczna i jednakowo traktowała wszystkich swych obywateli.

Ludowy Związek Kobiet (LZK)

Pod koniec 1942 r. krakowskie kierownictwo ROCH wyraziło zgodę na zorganizowanie na Terenie Małopolski Ludowego Związku Kobiet. Przew. Trójki wojewódzkiej LZK została Katarzyna Balalowa ps. „Rzepicka”. W skład kierownictwa wchodziły Barbara Matusowa ps. „Kwiatkowska” oraz Katarzyna z Gajochów – Witasz-

Wg relacji Katarzyny Witaszek:

„Początkowo pełniłam dyżury w punkcie kontaktowym przy ul. Pędzichów 13. Od następnego roku, oprócz dyżurów, odbierałam i wydawałam łącznikom prasę centralną przywożoną z Warszawy przez Marię Maniakównę. W jesieni 1942 r. po zorganizowaniu trójki wojewódzkiej LZK zostałam wytypowana przez zarząd powiatowy „ROCH” do zorganizowania LZK w powiecie krakowskim. (...) Nie zapomnianym przeżyciem dla każdej z nas było składanie i odbieranie przyrzeczenia konspiracyjnego:

„W obliczu mego Narodu, umęczonego w potwornej niewoli, przyrzekam i ślubuję na wszystko, co mam najdroższego, że walczyć będę wszelkimi dla kobiety dostępnymi środkami – o całkowite odzyskanie niepodległości Ojczyzny mojej. Tajemnic organizacji nie ujawnię nawet przed najbliższymi dla mnie osobami. Złożonego przyrzeczenia wiernie dotrzymam. Tak mi dopomóż Bóg.”

Do zadań LZK należało m.in.: budzenie świadomości narodowej, podtrzymywanie ludzi na duchu, rozwijanie zainteresowań naukowych i politycznych, niesienie pomocy ludziom pokrzywdzonym przez okupanta, opieka nad więźniami politycznymi, jeńcami, wysiedlonymi z innych dzielnic oraz niesienie pomocy i ukrywanie Żydów. Najczęściej stosowaną formą pracy oświatowej były jednodniowe lub dłuższe kursy, referaty i dyskusje. Każdorazowo omawiano sytuację polityczną, program pracy na najbliższy okres, a przew. trójek gminnych składały sprawozdania miesięczne i omawiały warunki pracy w swoim terenie. (...) Wykonano dla żołnierzy – wspólnie z Zielonym Krzyżem – kilka tysięcy opasek biało-czerwonych z godłem Polski i literami BCH. Na uroczystości scalania BCH z AK, która odbyła się w dniu 15 sierpnia 1944 r. dla powiatu krakowskiego, w domu Antoniego Baranika w Mogile, koleżanki wręczyły część opasek naszym oficerom i przekazały je dla żołnierzy BCH. (...) Praca w konspiracji łączyła cały Naród, który nie żałował ofiar – gdyż celem tej pracy i walki była wolna Polska.”

Poza tymi organizacjami, które „ROCH” powołał do życia i których celem była walka z wrogiem, działała w naszej gromadzie grupa sanacyjna, należeli do niej ludzie, którzy przed wojną byli na posadach państwowych. Organizacja nazywała się „Korpus Bezpieczeństwa”. Niektórzy członkowie tej grupy zajmowali się pędzeniem bimbru i rozpijaniem mieszkańców wsi. Sąd podziemny wymierzył im karę chłosty po 25 kijów i zniszczenia bimbrowni. Nasz oddział specjalny karę tę wykonał. W majątku w Branicach była gorzelnia. Nasz oddział z Pleszowa dwukrotnie wypuścił okowitę ze zbiorników gorzelni. Wywiad prowadził nasz członek LSB Paweł Nosek, który nam donosił, gdy kotły były już pełne.

Na terenie gromady sołtysem był Franciszek Szywalski, a podsołtysem Józef Zięba z Kujaw. W drugim roku wojny Zięba zmarł, a na jego miejsce został powołany Michał Cygan z Kujaw. Władze administracyjne wyznaczały ludzi do pracy w Monopolu Tytoniowym. W 1944 roku wójt gminy Mogiła Jan Ciepiela zwolnił z pełnienia obowiązków dotychczasowego sołtysa, a na jego miejsce powołał członka BCH Jana Partyłę. W czasie okupacji Niemcy wydawali różne zarządzenia. Jedno z nich dotyczyło wywozu drzewa z Puszczy Niepołomickiej. Zarządzenie mówiło, o tym, że każdy kto posiada konia musi jechać wozic drzewo przez trzy dni w tygodniu. We własnym braku więc czasu na prace polowe, które wykonywano w nocy. Ludzie bronili się przed tą uciążliwą wywózką drzewa. Puszcza jest oddalona od naszej wsi ponad 20 km., jechało się na całe trzy dni, co bardzo chłopów wyczerpywało. (...) Ludzie bronili się od pracy przy wywozie drzewa w ten sposób, że jechali do Kłaja, tam robili kołami w polu u gospodarzy, a ci starali się dla nich o fałszywe kwity, że wywieźli drzewo z lasu. Kwity te fałszowali członkowie BCH. Niemcy prawie, że nie zezwalali na ubój świń. Sztuki te były koczowane. Po jej uboju odpinano jej kolczyk i zakładano mniejszej sztuce. Zmuszano ludność do uprawy tytoniu. Do skupu trafiały tylko liście najgorsze, tzw. pędy. Fałszowano protokoły, że plantacje z jakiegoś powodu się nie udały. Zdarzały się przypadki celowego spowodowania pożaru suszarni tytoniu oraz inne formy sabotażu. Niemcy wyznaczali na gromadę kontyngent ludzi do robót w Niemczech. Zgłaszali się chętni, którzy, za pewną ilość zboża złożoną ich rodzinom, wyjeżdżali za wyznaczonych na roboty, uciekając w czasie transportu, by po pewnym czasie wyjeżdżać ponownie. Niemcy przeprowadzali często przeglądy krów, celem wybrania sztuk na ubój. Przed tym bronili się ich właściciele, bo często ostatnią krowę zabierali rodzinie, która posiadała małe dzieci. Aby obronić krowy przed zabiciem zapisywano się do Związku Hodowców Bydła Nizinnego, który bronił przed zabiciem sztuk wydając licencje hodowlane. Bronili też weterynarze wydając zaświadczenia, że dane krowy są wysokocielne. Aby Niemcy nie wiedzieli, kto odstawił zboże, nasz oddział specjalny w punkcie skupu w Mogile (Gwoździarnia) niszczył dokumentację. Przy przeglądzie koni w Mogile, na którym Niemcy wyznaczali konie do wojska, zabrano kilka koni gospodarzom z Pleszowa. Wojciechowi Kotowi i Wł. Gajochowi za pośrednictwem dr Świby udało się te konie wykupić od Niemców za 3 kg słoniny od sztuki. W 1944 roku Niemcy zaczęli przygotowywać się w Krakowie do obrony przed zbliżającymi się od wschodu wojskami radzieckimi. Wydali zarządzenie, że z każdego domu musi chodzić na roboty jedna osoba i dodatkowo po dwa razy

w tygodniu ci, którzy mieli konie. Niemcy zaczęli kopać rowy strzeleckie i rów przeciwczołgowy, który łączył dwa forty—Mogilski i Grębałowski. Do robót tych potrzebna była duża ilość ludzi, bo prace wykonywane były ręcznie. Niemcy zwozili ludzi z okolicznych wsi i z Krakowa. Poza tymi wyznaczonymi, Niemcy jeszcze czasem przyjeżdżali do wsi i zabierali do roboty kogo tylko zastali w domu. Prace w lesie jak i na okopach trzeba było wykonać nawet w niedzielę. Kto się nie wywiązał z tej pracy, karany był niekiedy dość wysoką grzywną. Prace przy okopach wykonywano tak, aby Niemcy mieli z tego jak najmniej korzyści. Niemcy dla zastraszenia innych zabrali S. Barana z Pleszowa, który bojkotował wszystkie zarządzenia Niemców. Po aresztowaniu i wywiezieniu do obozu na Prądniku zginął w nieznanych okolicznościach. Władze okupacyjne wyznaczały zakładników po 20 osób. Zmieniali ich co 10 dni. Ludzie ci pełnili wartę nocną. Byli oni wyznaczani w tym celu, że w razie jakiegos sabotażu lub śmierci Niemca, zakładnicy odpowiadali za to swoim życiem. Oprócz zakładników były wyznaczane straże nocne, wyznaczane kolejno numerami po dwóch na noc.

Żydzi

W naszej gromadzie były trzy rodziny żydowskie. Dwie z tych rodzin były raczej biedne. Trzecia prowadziła sklep z wódką i była dość bogata. Gdy Niemcy usunęli Żydów z Krakowa, na teren naszej gromady przybyło kilka rodzin żydowskich. Wynajęli oni sobie mieszkania na wsi. W 1942 roku na wiosnę Niemcy wszystkich Żydów z terenu naszej gromady odtransportowali do Wieliczki. Część Żydów nie zgłosiła się na punkt zbiórki i ukrywała się po okolicznych wioskach. W naszej gromadzie ukrywało się kilka rodzin żydowskich. Dwóch miejscowych młodych Żydów – Ludwik i Tadeusz Fifimbronowie ukrywało się jakiś czas we wsi u gospodarzy, którzy ich żywili. Jeden z nich, Tadeusz, został rozpoznany w Krakowie i został zastrzelony na moście Dębnickim przez Niemców. Ludwik przeniósł się na inny teren, gdyż wszyscy go tu znali. Słuch o nim zaginął i też chyba zginął, bo po wojnie nie zgłosił się. W ogóle żaden z naszych Żydów nie przeżył. Domy ich sprzedała rodzina, która przeżyła. W naszej wsi przechowywało się cztery rodziny żydowskie. U Stanisława Brosia i Kaczmarczyka na Kujawach, którzy mieszkali we wspólnym domu. W czasie przypadkowej rewizji jeden z nich został wykryty i zastrzelony. Reszta zdołała ukryć się w krzakach nad Wisłą. Niemcy aresztowali całą rodzinę Kaczmarczyków i Brosiów. Za przechowywanie Żydów groziła kara śmierci. Kaczmarczykowi i Brosiowi udało się jakoś wybrnąć i wrócili wszyscy do domu. W innych domach też przechowywano Żydów, jak u Wojciecha Brosia na Kujawach, Michała Palucha, Józefa Mula. Po pewnym czasie Żydzi od Wojciecha Brosia drogą konspiracyjną zostali odtransportowani do Związku Radzieckiego.

Kontyngenty

Po wkroczeniu Niemców wyznaczono wysokie kontyngenty w zbożu. Liczne rodziny nie mogły sobie z tym poradzić i brakowało zboża na wyżywienie. Ludzie bronili się, pomagali sobie wszyscy nawzajem, wykupywali kartki we młynie, że zboże odstawił – w ten sposób usiłowano uchronić się przed represjami ze strony Niemców. W 1941 roku za to, że nie odstawiono zboża na kontyngent wsadzono do aresztu gminnego 12 obywateli, gdzie przetrzymano ich przez 14 dni w trudnych warunkach. W bardzo małym pomieszczeniu, bez okien, spali na słomie, nie było tam też żadnej ubikacji. (...) Niemcy nie pozwalali mleć zboża w młynach na własne potrzeby. Wyznaczali karty przemiałowe, na których była wyznaczona ilość zboża do przemiału. Karty takie wydawano w gminie, której burmistrzem był wtedy Jan Ciepiela z Bieńczyc. Młyn bez tych kart nie przyjmował zboża do przemiału, lecz ilość zboża jaka figurowała na kartach nie wystarczała do wyżywienia rodziny, szukano więc innych sposobów na mielenie zboża. Nie oddano wszystkich żaren, mimo obowiązującego nakazu oddania ich do sołtysa. Na tych żarnach mielono zboże sposobem domowym, co odbywało się w nocy, po kryjomu. Dwóch naszych mieszkańców Stanisław Tynor i Andrzej Kuśnierz zostali dotkliwie pobici za to, że nie oddali młynków do sołtysa, tylko je używali.

Szkoła

Po przejściu wojsk niemieckich zaczęła działać szkoła. W gronie nauczycieli znajdowali się: Jan Twaróg – kierownik szkoły, jego żona Genowefa, Helena Ligenzianaka i Zofia Richter. Była również Józefa Gębalanka, która pracowała w powiecie lubelskim i z powodu zawieruchy wojennej nie mogła tam wrócić. Nauka do zakończenia roku szkolnego 1940/41 trwała do końca lipca 1941 r. W okresie zimowym o opał starali się rodzice dzieci, kupując go na pasku. Niemcy też dawali przydział węgla i drzewa, lecz tego co przydzielali nie wystarczało. W roku szkolnym 1941/42 była bardzo ostra zima, naukę przerwano, nauczyciele pracowali w gminie. W roku

szkolnym 1942/43 szkołę zajmuje wojsko niemieckie, pozostawiając jedną salę lekcyjną. Nauka w niej trwała na zmiany do grudnia, kiedy to gmina zatrudnia wszystkich nauczycieli przy zakładaniu ksiąg podatkowych. Nauka owego roku po spowodowanej tym przerwie rozpoczęła się w kwietniu i trwała do końca roku szkolnego. W roku 1943/44 gmina podobnie zatrudniła nauczycieli. We wrześniu 1944 r. Niemcy zajmują całą szkołę wraz z mieszkaniem nauczycielki, dla której nowe mieszkanie wynajęła gmina u Ignacego Kozuba, gdzie przebywała do końca wojny. W 1944 roku naukę rozpoczęto w stodole u Rosiewicza. W okresie jesiennym było zbyt chłodno, zajęcia przeniesiono więc do Jana Bańdura. Po upływie 14 dni sala ta zajęta została przez wojska niemieckie. Jan Bańdur włożył bardzo dużo wysiłku w to, aby doprowadzić do zajęć szkolnych w tej sali. Dzieci znów zostały pozbawione warunków do nauki. Kierownik szkoły wraz z sołtysiem Janem Partyłą zwrócili się do Jana Gębali (Sliwki) o wynajęcie sali w niezamieszkałym domu, gdzie nauka odbywała się tam do zmroku. Dom ten służył także oddziałowi BCH jako szkoła podoficerska. Sala przez szkołę była użytkowana do 18 stycznia 1945 r. Od 27 stycznia nauka rozpoczyna się we właściwej szkole, opuszczonej przez Niemców i uporządkowanej. Kierownik szkoły prowadził także tajne nauczanie w stopniu średnim, w którym brało udział 9 osób: Stanisław Twaróg, Juliusz Twaróg, Władysław Kot, Maria Piekarczyk, Anna Piekarczyk, Krystyna Rosiewicz, Zofia Srokówna, Zdzisław Rytko, Andrzej Kuhl. Wszyscy zdali egzamin przed komisją weryfikacyjną. W nauce pomagała Janowi Twarogowi jego żona Genowefa, a pod koniec wojny także ks. Stanisław Sikora. Trwało to krótko, bo ksiądz został przeniesiony do Krakowa.

Kółko Rolnicze

W naszej gromadzie kółko rolnicze istniało już od 1912 roku. Prowadziło ono w gromadzie sklep, zajmowało się podnoszeniem poziomu rolnictwa i hodowli. Przed rozpoczęciem działań w okresie drugiej wojny światowej, miało już spore osiągnięcia i sukcesy. Sklep prowadzony przez kółko rolnicze dawał niezły dochód. W czasie wybuchu wojny była krótka przerwa w działalności kółka, ale już w 1940 r. zarząd kółka zakupuje młocarnię wraz z silnikiem spalinowym o wydajności 10 q ziarna na godzinę. Maszyna ta była pomocna wszystkim; dobrze młociła, czyściła i sortowała ziarno. Kółko dostawało przydział zboża siewnego dla rolników. Kółko rolnicze i jego zarząd były opanowane przez naszych ludzi, mogliśmy więc spokojnie przeprowadzać akcje. Z dochodu jakie miało kółko dzięki młóceniu zboża, część pieniędzy drogą konspiracyjną oddaliśmy na wyżywienie miasta. Z dochodu kółka kupiliśmy ciągnik, który okazał się wielką pomocą w pierwszych latach po zakończeniu działań wojennych, kiedy chłopci nie mieli koni. Sklep, który prowadzony był przez członka BCH Stanisława Kaczora stanowił również punkt kontaktowy.

Meliny dla ludzi spalonych

Na naszym terenie przechowywali się ludzie, którzy musieli opuścić własny teren za działalność polityczną. Dla tych ludzi przygotowane były kwatery. Jedną z nich była u Józefa Gajocha na Kujawach, który mieszkał bardzo daleko od drogi, blisko Wisły. Gdy ktoś jechał do niego, to go było widać z daleka – było tam dość bezpiecznie. Przebywał tam prawie miesiąc major jugosłowiański, który został potem od niego przeprowadzony do innej kwatery znajdującej się u Andrzeja Rozowskiego w Chałupkach. W lipcu 1944 r. przechowywają się dwaj oficerowie rosyjscy. Przyjął także dwie lekarki rosyjskie, które ukrywały się w krzakach nad Wisłą. Przewieziono zostały furmanką pod snopkami zboża, gdyż wszędzie drogi były obstawione przez Niemców. Przebywały u Gajocha przez 2 tygodnie, potem przebrane za chłopów, pod opieką naszego członka oddziału specjalnego Stanisława Czekała przeprowadzone zostały do powiatu bocheńskiego. W grudniu 1941 r. zgłasza się o pomoc do Kuhla znany mu osobiście Walczak – sierżant 5 Pułku Strzelców Konnych z Dębicy. Za głowę Walczaka Niemcy wyznaczyli nagrodę. U Kuhla przebywa on dwa miesiące. W połowie marca 1942 r. zostaje przeniesiony do Jana Gajocha, gdzie przebywa przez miesiąc, potem drogą konspiracyjną przechodzi na inne tereny. Na kwaterze u Stanisława Gajocha jest pracownik fabryki Zieleniewskiego – Stanisław Kurdziel, który miał wpadkę przy odbieraniu granatów na terenie fabryki, a do nas trafił przez naszego kol. Stefana Cygana. U Stanisława Gajocha przebywa także przez 4 miesiące uciekinier z obozu koncentracyjnego, przez następne 2 miesiące jest u Jana Gębali, został jednak przez Niemców wyśledzony i aresztowany. Żołnierz BCH Józef Hejar ranny w akcji 1943 r., pochodzący z powiatu brzeskiego ze wsi Borzęcin, został skierowany do nas, i umieszczony u ojca Teodora Cygana, a także był u Jana Stefańskiego na Kujawach. Troskliwą opiekę wykazały nasze koleżanki sanitariuszki z Zielonego Krzyża i został wyleczony. Pod opieką Józefa Gajocha był ranny żołnierz BCH z Brzegów – Mieczysław Jakubiec. W naszym terenie przebywali u kolegów Emil Koziół z powiatu brzeskiego, major Walenty Adamczyk i komendant BCH z powiatu krakowskiego, Władysław Wyroba, Józef Kołodziejczyk

z poznańskiego oraz częściowo „Zawojna”. W naszej wsi dawny majątek dworski, zakupiony przez Murzyna, dzierżawił Józef Szuba, który prowadził kontakty gospodarcze z Niemcami. Przyjeżdżali do niego Niemcy. Wyprawiali im huczne przyjęcia, za co został skazany na karę chłosty w ilości 25 kijów. Chłostę wykonał nasz oddział specjalny. Od tego czasu pan Szuba bardzo się zmienił. Pomagał ludziom. Niektóre wieloosobowe rodziny posiadające małe gospodarstwa zgłaszały się do Szuby po pracę, a on im wystawiał zaświadczenia, że u niego pracują i wówczas nie musiały się obawiać wyjazdu na roboty do Niemiec. Również i tym, co było im ciężko, załatwiał zwolnienia od robót na okopach.

Niemcy na terenie Pleszowa

Pierwsze wojsko niemieckie przybyło na teren Pleszowa w 1941 r. i zajęło kwatery w majątku u dzierżawcy Szuby w ilości 30 osób. W tym okresie dowódca ich zajął kwaterę na plebanii u księdza. Przechodzący przez nasz teren oddział AK zrobił nieudany zamach na owego oficera niemieckiego, który zdążył wyskoczyć oknem i uciec do stacjonujących żołnierzy niemieckich w majątku. Od tej chwili Niemcy wystawiali patrole nocne, które utrudniały nam poruszanie się i pracę konspiracyjną. Od chwili wybuchu wojny ze Związkiem Radzieckim przebywa u nas na kwaterze u Kota oficer niemiecki. Jaki był cel jego pobytu nie wiadomo, przebywał w naszej wsi do 1943 r. W tym samym roku przybywa dodatkowa jednostka niemiecka i zajmuje szkołę do końca wojny, jednostka liczy około 40 osób. Od lipca 1943 r. stacjonuje czasowo jednostka radiotechniczna. Zajęła ona kwatery u Piotra Walczaka, Jana Bańdura, Władysława Gajocha i Jana Gębali (Sliwki). Na każdej kwaterze przebywało po 7 osób. W polach mieli pozakładane aparaty podsłuchowe i na zmianę je obsługiwali. W okresie żniw, kiedy wszyscy byli w polach, spowodowali pożar stodoły Piotra Walczaka, stodoła spłonęła doszczętnie. We wrześniu 1944 r. do naszej gromady przybył pułk taborów niemieckich i rozlokował się w trzech wioskach: Pleszowie, Luboczy i Ruszczy. W Pleszowie było całe dowództwo, zajęli resztę pomieszczeń w szkole i kwatery w każdym domu. Kwatera dowódcy całego pułku znajdowała się w domu Stanisława Rosiewicza. W nie wykończonym domu Jana Gajocha urządzili sobie kasyno. Dom prowizorycznie wykończyli, a pomieszczenia na magazyny mieli u Józefa Partyły oraz w świetlicy domu gromadzkiego. Magazyny zawierały pasze dla koni. Niemcy opuścili nasz teren na trzy dni przed przyjsciem wojsk radzieckich. Wycofując się pozabierali konie i wozy prawie wszystkim gospodarzom, którzy nie zdążyli ich ukryć.

Zcalenie Batalionów Chłopskich z Armią Krajową

W sierpniu 1944 r. nastąpiło złączenie naszych oddziałów BCH z oddziałami AK, z zastrzeżeniem, że naszymi dowódcami pozostaną dotychczasowi. Złączenie odbyło się uroczystie u Antoniego Baranika, przewodniczącego trójki gminnej w Mogile. Tę uroczystość połączoną z zebraniem ubezpieczał nasz oddział BCH pod dowództwem Józefa Pyrlika. W zebraniu tym brali udział Komendant okręgu major Walenty Adamczyk ps. „Zawojna”, Jan Kotyza, komendant powiatowy, Lubowiecki, Bolesław Rażny i Bochenek z Krzesławic, Stanisław Mars z Krzesławic, Będkowski i Radziszewski z Luboczy, Jan Gajoch, Józef Gajoch, Stanisław Gajoch, Józef Pyrlik, Teodor Cygan z Pleszowa, Wrona i Stroniański oraz koleżanki z trójki powiatowej, trójki gminnej, Ludowego Związku Kobiet. Owe koleżanki przygotowały skromne przyjęcie i wręczały również białe-czerwone opaski BCH wszystkim obecnym. Z ramienia Armii Krajowej udział wzięło trzech oficerów, których nazwiska nie były znane. Na zebraniu postanowiono, że główne dowództwo przejmuje AK, a nasi oficerowie nadal pozostają na tych samych stanowiskach co byli. BCH ubezpieczało 15 członków. Major Walenty Adamczyk rodem z Luborzycy w okresie okupacji zajmuje pożydowski dom w Pleszowie, gdzie prowadzi przez 2 lata gospodę, która była punktem kontaktowym dla okolicy.

Warszawiacy

Po upadku Powstania Warszawskiego Niemcy wszystką ludność wysiedlili z Warszawy. Do gminy Mogiła przydzielono 1000 osób, z czego w Pleszowie było około 200 osób: kobiety z dziećmi, starcy – wszyscy wymordowani, chorzy. Z naszych ludzi został utworzony komitet, którego przewodniczącym był Józef Szuba. Jego zadaniem było znalezienie kwater u poszczególnych gospodarzy. Należy przypomnieć, że w tym czasie są jeszcze Niemcy na kwaterach, więc nie było o nie łatwo. Komitet się z tym uporał tak, że wszyscy mieli gdzie mieszkać. Dużą pomoc wykazał ks. St. Sikora oraz Szuba, który przyjął 26 osób. Mieszkańcy Pleszowa chętnie przyjęli warszawiaków, współczując im w nieszczęściu. Warszawiacy nie tylko mieli gdzie mieszkać, ale wszyscy mieli także zapewnione wyżywienie. W czasie pobytu warszawiaków niektóre miejscowe rodziny zaprzyjaźniły się

Przygotowanie władz

Pod koniec wojny dostaliśmy zarządzenie od władz konspiracyjnych o przygotowaniu nowych władz na okres powojenny. Klęska Niemiec była tak widoczna, że zachodziła potrzeba, aby z tym jak najszybciej się uporać. Wspólnie trójka gromadzka z aktywnym gromadzkim zostały wytypowane na nowe władze wsi. Sołtysiem zostaje Jan Gajoch s. Kazimierza, agronomem Jan Gębala, przewodniczący trójki gromadzkiej. Kierownikiem mleczarni Józef Gajoch s. Piotra. Przewodniczącym rady nadzorczej Kółka Rolniczego został Jan Gajoch, przew. Trójki powiatowej. Na prezesa Stronnictwa Ludowego został powołany przedwojenny prezes Jan Gębala. Zostaje też wytypowany prezes Koła Młodzieży i zostaje nim Jan Zięba z Kujaw.

Młody Las

W 1943 roku powołano organizację dla młodzieży pod nazwą „Młody Las” z własnym pismem „Świat Młodych”. W Pleszowie do trójki gromadzkiej należeli: Wł. Gajoch, który był równocześnie członkiem trójki gminnej, Jan Partyła s. Andrzeja i Jan Maj. Zadaniem trójki było prowadzenie rozmów z młodzieżą. Wł. Gajoch prowadził także bibliotekę byłego koła „Wici”, ukrytą we własnym domu w ilości 460 książek. Książki były pożyczane do czytania, dbano o ich oprawę. Młodzieży pożyczano także do czytania prasę ruchu ludowego. Pismo „Świat Młodych” miało charakter publicystyczny, głęboko ideowy, głosiło potrzebę walki wyzwoleniczej i społecznej o nowy ustrój. Władysław Gajoch dostarczał pismo do kol. Zamojskiego w Krzesławicach, a ten do wszystkich trójek gromadzkich. Najważniejszym zadaniem „Młodego Lasu” było zorganizowanie zaraz po wojnie kół Związku Młodzieży Wiejskiej „Wici”, we wszystkich gromadach powiatu krakowskiego. W Pleszowie trójka „Młodego Lasu” zorganizowała Koło Młodzieży do którego należało około 80 osób. Nadmienić należy o naszych zebraniach, które się odbywały w naszej wsi w czasie okupacji. Odbywały się one przeważnie u przew. trójki, Jana Gębali i Wawrzyńca Sikory a także u Władysława, Jana i Józefa Gajocha. Brali w nich udział: Jan Gajoch, przew. Trójki powiatowej BCH, Stanisław Gajoch, Jan Partyła, Józef Gajoch jako komendant gminny LSB, Józef Pyrlik, komendant BCH. Przeważnie z tymi ludźmi podejmowaliśmy wszystkie uchwały dotyczące wsi jak i poszczególnych osób. Omawiano sprawy polityczne i gospodarcze gromady. Program LZK realizowaliśmy na zebraniach niedzielnych u kol. Marii Nowak, natomiast ćwiczenia sanitarne i pomoc w nagłych wypadkach przeprowadzane były w domu siostry i szwagra St. M. Cyganowej. Ich córki Krystyna i Malinka chętnie służyły nam jako modele do ćwiczeń w bandażowaniu. Na jednym z takich zebrań wyszła sprawa podzielenia naszej gromady na dwie i była już przygotowana druga trójka gromadzka na Kujawach. Do trójki tej weszli: Wincenty Kardas jako przew., Antoni Malinka i Wojciech Dzieja, ale z powodu zakończenia wojny, trójka ta nie rozpoczęła działalności. Wspomnieć należy o tych osobach, które pracowały w wyższych komórkach „ROCH-a”, a pochodzili i organizowali pracę w Pleszowie. Do takich należeli: Jan Gajoch ps. „Krzemień”, Teodor Cygan ps. „Czarny”, który pełnił funkcję powiatowego łącznika, organizował kolportaż tajnej prasy i meldunków, inż. Józef Rosiewicz, komendant pow. ZWZ, utrzymujący stały kontakt z BCH, Katarzyna Gajoch-Witaszkowa, czł. Woj. Trójki LZK, która po zorganizowaniu pracy w powiecie krakowskim wyjeżdżała do dalszych powiatów. Do trójki gminnej LZK należała Maria z Gajochów Cyganowa. Komendantem gminnym LSB był Józef Gajoch ps. „Kajak”, a zastępcą komendanta BCH na gminę Mogiła był Stanisław Gajoch ps. „Topór”. Najmłodszy Władysław Gajoch ps. „Iskra” należał do trójki gminnej „Młodego Lasu”. Duże usługi dla BCH oddał również Józef Malinka, który przez całą okupację dokonywał wszelkich napraw broni i rowerów, których używał Oddział Specjalny. Na wyróżnienie zasługuje także Stefan Stefan Cygan ps. „Rapid”, wykonawca blaszanek z podwójnym dnem używanych do przenoszenia ważnych rozkazów. Kolporter prasy, razem z żoną Marią i K. Witaszkową, powiełał tajną prasę „Myśl i czyn” w Krakowie, pośredniczył w wyszukiwaniu melin dla „spalonych” kolegów w firmie Zieleniewskiego. W ich domu na Kujawach odbywały się zebrania i kursy sanitarne LZK. Trudną i odpowiedzialną funkcję łącznika w kilku gminach oraz kronikarza gminnego i członka trójki gromadzkiej pełnił Wincenty Gajoch ps. „Droga”, który zastępował „Czarnego” w całym powiecie. Duże zasługi dla wsi i Ojczyzny oddał również kierownik szkoły Jan Twaróg. Od początku okupacji zorganizował tajne nauczanie. Starał się aby po zajęciu szkoły przez Niemców dzieci nie miały przerw w nauce, uczył nawet na klepisku w stodo- le. Wpajał w dzieci i młodzież umiłowanie Ojczyzny – piękna i prawdy. Nadmienić należy o naszym proboszczu,

który zachował się jak dobry Polak i zawsze był wrogo nastawiony do okupanta, a na kazaniach wpajał ludziom tę prawdę, że każda przemoc musi runąć. Na uwagę i pochwałę zasługuje też córka pani Kubicowej – Zofia, która pracowała na głównej poczcie w Krakowie, gdzie listy adresowane do Gestapo zabierała i przekazywała władzom konspiracyjnym. Trzeba wspomnieć o naszych matkach, żonach i siostrach, które o wszystkim wiedziały, czytały tajną prasę, przechowywały ją i nieraz za nas ją odbierały i wydawały łącznikom, chociaż nie były zakonspirowane i nikt od nich nie odbierał przyrzeczenia. Żywiły uciekających żołnierzy, dawały schronienie bezdomnym. Tak wyglądała praca konspiracyjna w naszej gromadzie. Dzięki tak silnej organizacji nie mieliśmy żadnej wsypy. Nikt na nikogo nigdzie nie donosił, chociaż ludzie hodowali tuczniki i zabijali je na handel oraz na własne potrzeby, tak, że jeden kółczyk wystarczał na trzy i cztery świnie. Każdemu zależało na tym, aby najmniej oddać Niemcom. Tak pokrótce wyglądała nasza praca konspiracyjna w czasie drugiej wojny światowej. Może niejedno zatarło się już w pamięci, bo od tamtego czasu minęło już przeszło 30 lat. Cała praca konspiracyjna odbywała się na wsi leżącej na trasie Kraków – Sandomierz, 12 km od Krakowa, gdzie ruch Niemców na szosie był bardzo duży, bo byli oni zakwaterowani w każdej wsi pod Krakowem. Na dodatek w okolicy brak było lasu, a Puszcza Niepołomska jest oddalona o 12 km. Jedyne schronienie dawały krzaki nad Wisłą, gdzie można się było ukryć, względnie przeprowadzić kogoś dalej, chociaż i tę osłonę naturalną, jaką mieliśmy, Niemcy w ostatnim roku wojny zupełnie zniszczyli.

Zakończenie

Zamieszczone tu dane i informacje, tylko częściowo obrazują odwagę, poświęcenie i zapał z jakimi młodzież „wiciowa” i członkowie Stronnictwa Ludowego Pleszowa przystąpili i pracowali w konspiracji. Chłopi i młodzież „wiciowa” wychowana na wolnościowych tradycjach powstań kościuszkowskich i narodowych miała głębokie przywiązanie do wolnej ziemi ojców. Ceniła bardzo wolność osobistą, zasady demokracji, a nade wszystko wolność i suwerenność narodu polskiego. O wolność osobistą i sprawiedliwość społeczną walczyła z sanacją przez podniesienie oświaty i świadomości narodowej, organizowała strajki rolne. Płaciła mandaty karne, odważnie szła do więzienia. O wolność Narodu w walkach z najeźdźcą nie żałowała najwyższych ofiar, łącznie z oddaniem własnego życia. Analizując życiorysy cichych naszych bohaterów, których pamięć i nazwiska udało się nam uchronić od zapomnienia umieszczając je na tablicy pamiątkowej ufundowanej przez ich rodziny, to stwierdzić możemy, że wszystkie mimo różnicy wieku jedna łączyła myśl – walka o wolność Ojczyzny.

Dla ilustracji przytoczmy fragmenty z kilku życiorysów:

Józef Rozpądek, lat 24 – najmłodszy rozstrzelany przez Gestapo, jedyny syn, młody zdolny pilot, radiotelegrafista. Należał do Armii Krajowej, ostrzeżony o aresztowaniu przez granatowego policjanta mógł usunąć się z Krakowa.

Ze wspomnień Franciszka Rozpądk, ojca Józefa:

„Dnia 28.10.1943 r. z zakładu, gdzie pracował, zabrano 17 Polaków i natychmiast rozstrzelano. Dnia 5.12.1943 r. na ulicach Krakowa pojawiły się nowe listy straceń, gdzie pod nr. 5. zobaczyłem nazwisko mojego syna. Tak oddał swe młode życie za wolność Ojczyzny mój syn – prawy Polak. Kochał swój zawód – lotnictwo było jego pasją. Nie danym mu było zginąć w boju, w walce powietrznej o jakiej marzył – zginął zamordowany przez hitlerowców”.

Kazimierz Rosiewicz – nawigator lotnictwa, mógł po klęsce wrześniowej wrócić do cywila. Jednak wola walki za „Naszą i waszą wolność”, każe mu wędrować przez Rumunię do Francji. Po jej kapitulacji przybył w marcu 1940 r. do Anglii, gdzie został wcielony do jednostki powietrznej Sił Zbrojnych, brał udział w obronie Londynu. Awansuje na plutonowego i szkoli młodych pilotów polskich. W dniu 28.08.1941 r. w czasie lotu nawigacyjnego wraz z pięcioma uczniami, ginie na pokładzie samolotu zestrzelonego nad Kanałem La Manche.

Piotr Gajoch, lat 50, – najstarszy z wymienionych na tablicy pamiątkowej, już w czasie pierwszej wojny światowej był zesłany na Sybir. W 1920 r. bierze udział w obronie Warszawy. Ojciec sześciorga dzieci, działacz Stronnictwa Ludowego. W listopadzie 1939 r. bierze udział w konferencji międzypartyjnej z Rosiewiczem i innymi przedstawicielami stronnictw politycznych w tworzeniu pierwszej konspiracyjnej organizacji wojskowej – Związku Walki Zbrojnej. W północnej części powiatu krakowskiego zakłada trójki gminne tej organizacji. W kwietniu 1940 r. aresztowany przez Gestapo przechodzi „badania” w więzieniu na Montelupich. W czerwcu tego roku został wysłany transportem do Oświęcimia, gdzie również wytrzymał katusze nikogo nie zdradziwszy. Jako nr 982 pada pod ścianą śmierci bloku 11.

Inż. Józef Rosiewicz, lat 45 – pierwszy komendant Związku Walki Zbrojnej w powiecie krakowskim. Jako dobry Polak i gorący patriota brał udział jako ochotnik w obronie Warszawy i w II Powstaniu Śląskim. Jako inż.

rolnik pracował w Małopolskim Towarzystwie Rolniczym i w Izbie Rolnej. Kontakty z chłopami i młodzieżą „Wiciową” wykorzystuje na pracę konspiracyjną. Organizuje oddziały ZWZ i punkty sanitarne. Aresztowany w czerwcu 1942 r. został po kilku dniach wywieziony do Oświęcimia, a następnie do Buchenwaldu i fabryki V-2 w Dorach. Na początku 1945 r. przed wyzwoleniem obozu załadowano więźniów do wagonów towarowych i powieziono bez pożywienia w stronę Sudetów. W lasach, gdy pociąg zatrzymano, żywili się korą drzew. Na przełomie kwietnia i maja, gdy pociąg zatrzymano na stacji Marienschem z 5000 więźniów przeżyło niecałe 1000 osób. Pozostali w straszliwych męczarniach – a wśród nich i nasz ziomek i rodak – umarli na tyfus głodowy. W ostatnim grypse z Oświęcimia napisał: „Jestem ostatni, mam czyste sumienie i niesplamiony honor Polaka”. Numer obozowy Józefa Rosiewicza – 55802.

Jan Wilczek, ur. 1902 r., syn Józefa i Marii z Gajochów, odziedziczył po swoich przodkach głęboki patriotyzm. Jak głosi tradycja, w rodzinie Gajochów mieszkających na tzw. „Kopaninie”, po Powstaniu Styczniowym w 1863 r. mieli swoje zgrupowanie powstańcy. Chłopi z Pleszowa brali udział w tym powstaniu. Jan Wilczek po odbyciu służby wojskowej należał do czynnych członków Koła Młodzieży „Wici” w Pleszowie, pełnił też funkcję instruktora Przysposobienia Wojskowego oraz był komendantem Ochotniczej Straży Pożarnej. W sierpniu 1939 r. został zmobilizowany, walczył na Śląsku i na terenach wschodnich. Przez kilka lat rodzina nie wiedziała o jego losie. W 1947 r. PCK w Londynie przysłało rodzinie zawiadomienie, że zginął w 1942 r. w Korminie w ZSRR, z dala od Ziemi Ojczystej, którą bardzo kochał.

Bracia Jakub i Stanisław Stefańscy z Pleszowa zmobilizowani zostali w 1939 r. Obaj należeli do Koła Młodzieży Wiejskiej „Wici” i pełnili w nim różne funkcje. Byli bardzo inteligentni, brali udział w pracach kulturalno-oświatowych, a Jakub przygotowywał referaty i dyskusje. We wrześniu 1939 r. dostał się do niewoli niemieckiej. Pracując u bauera zorganizował wśród jeńców polskich pracujących w okolicy komórkę konspiracyjną. Po pewnym czasie został zesłany do obozu koncentracyjnego w Maunthausen, gdzie otrzymał nr 107420 i stał się ofiarą doświadczeń medycznych. Gdy alianci wyzwolili obóz, był tak osłabiony, że nie mógł podnieść się o własnych siłach. Wrócił do Pleszowa dopiero pod koniec sierpnia, ale zaszczepiona w obozie gruźlica i rak nie dały się wyleczyć. Zmarł w 1946 r. w sanatorium w Komorowicach, gdzie został pochowany. Jego młodszy brat, Stanisław, w 1944/45 przebywał na robotach w Berlinie i przypuszczalnie zginął tam podczas bombardowania.

Józef Czekał został aresztowany najpóźniej, bo w sierpniu 1944 r. Był czynnym członkiem Koła Młodzieży „Wici” w Pleszowie. W Krakowie chodził do szkoły zawodowej i pracował w zawodzie stolarskim, lecz soboty i niedziele spędzał w domu i Kole, gdzie uczestniczył w uroczystościach i przedstawieniach. Brał udział w strajkach rolnych i robotniczych. Po aresztowaniu, mimo wysiłków rodziny, nie można było uzyskać wiadomości o jego losie, dopiero w grudniu 1944 r. przyszedł od niego list z obozu znajdującego się na terenie Austrii. W liście tym prosił o przysłanie chleba, cebuli i papierosów. Paczka została wysłana natychmiast, ale czy ją otrzymał, jak i gdzie zginął, nie wiadomo. Odszedł od nas cicho, jak miliony innych, z dala od Ojczyzny i najbliższych w 38 roku życia.

Te fragmenty, przykładowo wybranych życiorysów ofiar wojny pochodzących z Pleszowa, nie obrazują ich przeżyć. Nikt z nas nie może oddać i wyobrazić sobie grozy i głodu męki jaką przeżywali Ci męczennicy w czasie długich dni konania lub nagłej śmierci. W niepewności i żalu po utraconych żyły rodziny w Pleszowie i w całej Polsce. Bunt i nienawiść do okupanta łączyła wszystkich członków konspiracji, dodawała sił do walki. Wyzwalała w nas wszystkich odwagę, wiarę i chęć niesienia pomocy ludziom dotkniętym przez los. Członkowie Ruchu Oporu i Ludowy Związek Kobiet, cała wieś od początku okupacji niosła pomoc polskim żołnierzom, rodzinom uwięzionych profesorów UJ, więźniom politycznym, a w 1944 r. wysiedlonym warszawiakom. Właściwie Stronnictwa Ludowego i „ROCH” sprawy niesienia pomocy nie były obojętne, o czym świadczy m.in. fragment jednej z instrukcji wydanej do swoich członków w początkach okupacji:

Złagodzenie nędzy społeczeństwa polskiego, pomoc nieszczęśliwym w szczególności winna objąć: więźniów politycznych i ich rodziny
żołnierzy wojsk polskich i ich rodziny w kraju
wdowy i sieroty po poległych i zmarłych w obozach koncentracyjnych
rodziny wysiedlonych
biedne rozdzielone rodziny członków ugrupowań politycznych itp.

(Dalej instrukcja mówi o założeniu ewidencji i sposobie prowadzenia tej akcji)
Po powstaniu Warszawskim władze „ROCH” i przedstawiciele województw zebrani na konferencji w Miłanówku, wydały do chłopów odezwę w której m.in. czytamy:

„Wobec pozostałych przy życiu, brutalnie przez Niemców wyrzuconych mieszkańców stolicy – Ruch Ludowy uczyni wszystko, aby ulżyć ich doli. Konferencja wzywa ogół chłopów do udzielenia im najserdeczniejszej gościny, a komórki Ruchu Ludowego do zorganizowania pomocy”.

Niech te przykłady humanitarnego podejścia do ludzi skrzywdzonych przez okupanta – wspomnienia o ofiarach i męczeńskiej śmierci milionów Polaków, a wśród nich naszych braci i kolegów będą przykładem dla młodego pokolenia – męstwa, bezinteresowności i ofiarności w służbie dla Narodu i Ojczyzny.

*Jan Gębala „Ciepiela”, Józef Gajoch „Kajak”, Władysław Gajoch „Iskra”,
Józef Pyrlik „Kruk”, Katarzyna Witaszek „Kamińska”*

Modlitwa partyzancka

Słowa i muzyka: Adam Kowalski

O Panie, któryś jest na niebie,
Wyciągnij sprawiedliwą dłoń.
Wołamy ze wszech stron do Ciebie
O polski dach i polską broń.
O Boże, skrusz ten miecz co siecze kraj,
Do wolnej Polski nam powrócić daj,
By stał się twierdzą nowej siły
Nasz dom, nasz kraj.
O usłysz, Panie, skargi nasze,
Wysłuchaj nasz tułaczy śpiew,
Znad Warty, Wisły, Bugu, Niemna,
Męczeńska do Cię woła krew.
O Boże, skrusz ten miecz co siecze kraj...
O Panie, wejrzyj sprawiedliwie
Na walkę naszą w ciemną noc.
Modlimy się o to gorliwie,
By okupanta złamać moc.
O Boże, skrusz ten miecz co siecze kraj...
W poszumie drzew błogosław, Panie,
Przysięgę naszą aż po grób,
Cokolwiek było lub się stanie,
Nie damy Polski - to nasz ślub.
O Panie, skrusz ten miecz co siecze kraj...

„Modlitwa obozowa” powstała w obozie dla internowanych w Bals w Rumunii. Autor był kapitanem. Modlitwa zyskała szeroki rozgłos, była śpiewana w wojsku w Szkocji oraz oddziałach partyzanckich w kraju, dokąd dotarła za pośrednictwem cichociemnych. Jej słowa brzmiały szczególnie wymownie w różnych regionach okupowanego kraju, gdzie śpiewano ją jako „Hymn puszczy” lub „Modlitwę partyzancką”. Była znana także w Pleszowie, gdzie nawet matki nuciły ją swoim dzieciom, które po wielu latach – już jako starsi ludzie – wspominając po jej wysłuchaniu, rzewnie wówczas płakały z głową pod pierzyną... Ostatnia zwrotka powstała w oddziałach partyzanckich zgrupowania Stołpecko-Nalibockiego na Kresach Wschodnich, gdzie śpiewano: „Nie damy Kresów – to nasz ślub”. Tu można ją usłyszeć: <http://pl.youtube.com/watch?v=9jNstfJJfFM&feature=related>, a w komentarzach przeczytać m.in.:

„Patrząc na dzisiejszą rzeczywistość aż serce ściska, za co przyszło walczyć najwierniejszym synom i córkom Ojczyzny... Gdyby to oni mogli po wojnie odbudowywać Polskę, to dzisiaj nasz kraj wyglądałby zupełnie inaczej. Chwała Bohaterom!” Odyseusz1992



Józef Salwiński z Kujaw, organizator grupy legionistów w latach 1914-1918



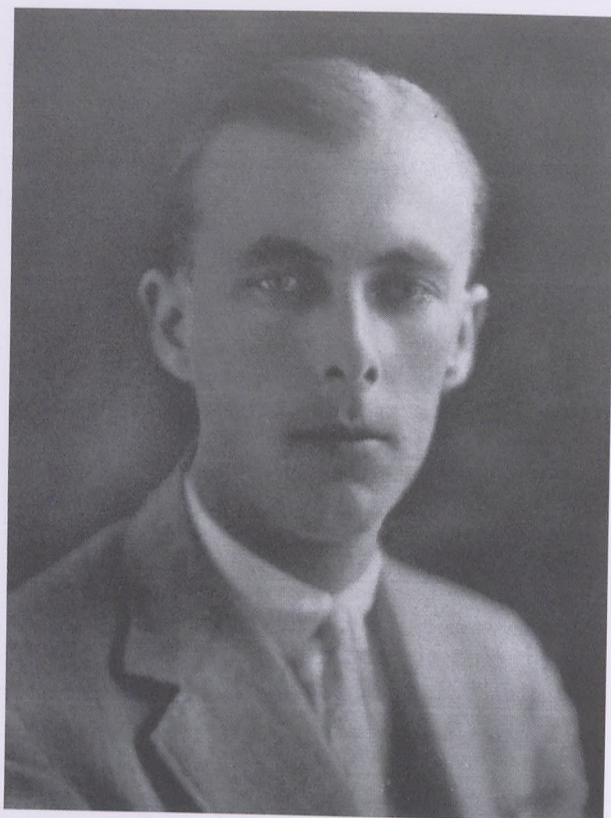
Józef Rozpądek, lat 24, zaginął bez wieści



Jan Wilczek, lat 40, zaginął w ZSRR w Kermienie



Kazimierz Rosiewicz, lat 25, zaginął nad Kanalem La Manche



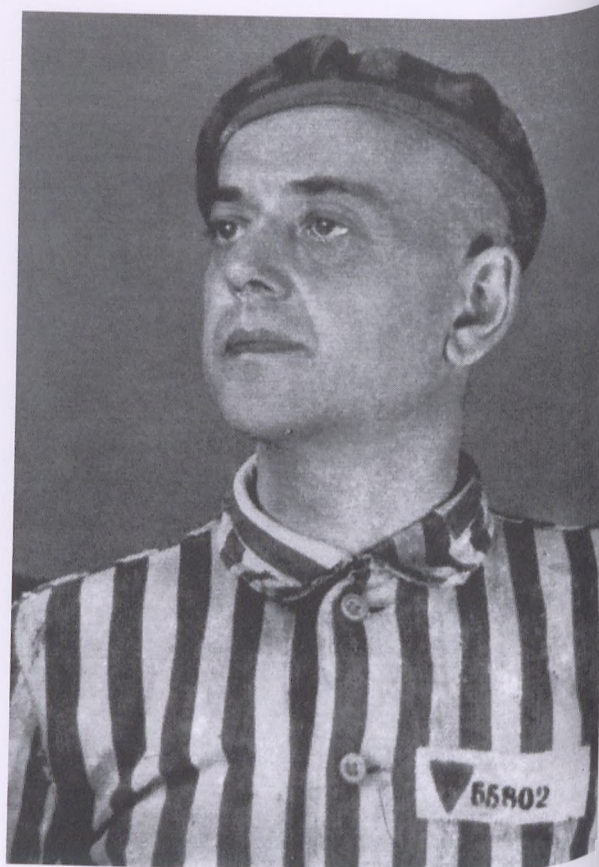
Andrzej Kochanowski, lat 38, zginął w Oświęcimiu



Ludwik Bieroń, lat 35, zginął w Przytkowicach



Inż. Józef Rosiewicz, lat 45, komendant ZWZ na powiat krakowski, aresztowany w 1942 r., przebywał w obozie w Oświęcimiu, zginął w Mariesheim



Inż. Józef Rosiewicz po przyjeździe do Oświęcimia



Stanisław Baran, lat 38, zginął bez wieści



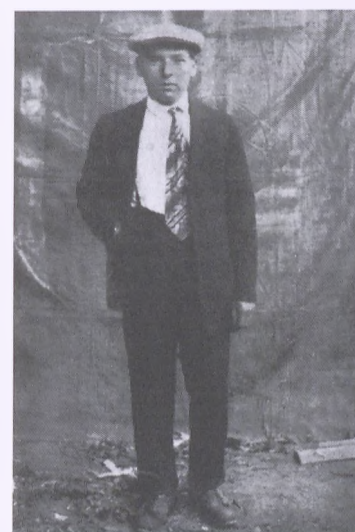
Piotr Gajoch, zginął w Oświęcimiu



Piotr Gajoch, lat 50, w „pasiakach” po przyjeździe do Oświęcimia



Stanisław Kura, lat 39, zginął w Oświęcimiu



Józef Dzieja, lat 45, rozstrzelany w Krzesławicach



Stanisław Stefański, lat 34, zginął bez wieści



Jakub Stefański, lat 39, zmarł w Komorowicach



Józef Czekaj, lat 38., zginął w obozie koncentracyjnym w 1945 r. Na zdjęciu w dniu jego ślubu (siedzi w środku) grali koledzy z orkiestry KMW w Pleszowie. Od lewej: Kazimierz Stefański, Witold Wójcik, Stefan Cygan, Andrzej Burnet, ?

W Pleszowie – fragment opracowania Jana Twaroga

Wiek XX

Dziedzic Krzesławic i Pleszowa, Wincenty Kirchmajer zmuszony był warunkami życia do sprzedaży Pleszowa. Nabywcą był Pinkus Atteslander, ale już w 1902 r. kupił od niego Pleszów hrabia Kazimierz Lubicz-Osiecimski (Oświęcimski). Z rąk Osiecimskich nabył Pleszów hrabia Poniński, a ten odstępuje go Kochanowskiemu. Po jego śmierci spadkobiercy (tj. dzieci) sprzedają mocno już sparcelowany majątek w 1927 r. Stanisławowi Kotkowskiemu z Miłoszowic. Wkrótce następuje ostatnia parcelacja z wolnej ręki. Pałac z parkiem i ok. 40 morgów pola zakupiły zakonnice C.C. Bożej Miłości z Krakowa, zabudowania folwarczne z około 80 morgami pola obciążonego długiem hipotecznym zakupił Ignacy Murzyn, który sprzedał swoją małąrolną posiadłość Fabryce Sody Solvay, i sprowadził się do Pleszowa. Resztę folwarku o powierzchni ok. 80 morgów nabyła Zofia Rozmarynowiczowa z Krakowa. W ciągu ostatnich stu kilkudziesięciu lat Pleszów, obejmujący z przysiółkami 1800 morgów pól i łąk (w czym było ok. 1200 morgów dworskich i 600 morgów chłopskich), przeszedł prawie w całości w ręce pleszowskich gospodarzy.

Na probostwie od 2.03.1897 r. do 23.12.1904 r. był ksiądz Dr. Józef Rychlak, potem przeniósł się do Krakowa na probostwo św. Mikołaja.

W kronice istnieje zapis: „W Pleszowie położył wiekopomne zasługi względem swoich następców. Postarał się o przeprowadzenie rozprawy konkursowej, na której zgodzono się na wystawienie nowej plebani murowanej z piętrem i z nieszczęsnymi suterrenami, w których grzyb znalazł znakomite dla siebie siedlisko i zabiera się do zniszczenia ludzkiego dzieła. Wymieniony, czcigodny pleban uzupełnił ogród plebański kilkudziesięciu szczepami szlachetnymi (karłowe i wysokopienne) gruszki i kilka bośniackich śliwek. Za jego czasów w 1900 r. dobudowano jedną klasę dla szkoły ludowej w Pleszowie, i mieszkanie dla drugiej siły nauczycielskiej. Z funduszu uzyskanego przy budowie tejże klasy postawiono jeden ołtarz boczny w kościele, a drugi powstał ze składek dobrowolnych, dzięki zabiegom tegoż plebana. Gospodarstwem się nie trudził, grunt wydzierżawił, ogród sobie tylko zostawiając”.

Od 23 XII 1904 r. do 28 II 1905 r. administrował ks. Franciszek Wąsik, były administrator i wikariusz parafii św. Mikołaja w Krakowie, a od 28 II 1905 r. Franciszek Wąsik, parochus w Pleszowie. Był to proboszcz wielkiej zacności, surowych obyczajów, śpiewak znakomity i kaznodzieja. Kazaniami swymi jeszcze jako administrator parafii św. Mikołaja ściągając na swe nauki cały Kraków. Dla siebie nie zbierał grosza, dochody na ozdobę kościoła przeznaczając. Za jego to czasów kościół pleszowski przyszedł do najlepszego wyglądu wewnątrz w porównaniu z kościołami sąsiednimi. Parafię gorliwością swą „przeorał”, zmieniając lud na lepsze „z gruntu”. Z woli Bożej 14 VIII 1910 r. w Krakowie, jadąc na instalację X. Buzą do Niegowici, tknięty został paraliżem na prawy bok. Po jakimś czasie przyszedł do siebie tak, że mógł czytać, pisać i chodzić, lecz Mszy Św. bał się odprawiać. Niestety w r. 1911 w czasie „Gorzkich Zali” dostał ataku epilepsji, utracił mowę, zapomniał czytania i pisanie. Służąca wiernie wozila go na wózku. „Ani tu, ani tu” – to cała jego mowa. Płakali parafianie miłujący go prawdziwie, w tygodniu co najmniej 3 Msze Św. O zdrowie zamawiali, do wszystkich miejsc cudownych posyłali na Msze Św., lecz Bóg inaczej zrządził. Do dzisiaj (9 VII 1917) stan jego jest niezmieniony.

„Pierwszym administratorem „in spiritualis” został mianowany ks. Benedykt Welc, cysters z Mogiły od 9 IX 1912 do 31 VIII 1913. Kapłan to był „secundum cor Dei” parafię prowadził w duchu poprzednika. Kiedy ksiądz Welc odwołał z posady Ks. „przeor, Teobald Kajut, X. Biskupi Konsystorz zamianował administratorem „in spiritualis” ksiądz Jana Chrobakiewicz. (1 X 1913-30 XI 1914) Przybył tutaj z Zawoi. Ciężko jest mieć chorego paralityka w domu, ciężko też było ks. Chrobakiewiczowi, tem bardziej, że mianowano w Pleszowie administratorów tylko „in spiritualibus”, gdy tymczasem realiami zarządzała służąca chorego a rachunki zdawała przed X. Dziekanem. Parafianom też chodziło o to, bo ich ksiądz był wikarym niejako u służącej. To też całą duszą chciał się ks. Chrobakiewicz stąd wyrwać. W czasie swej bytności w Pleszowie drogą konkursu postawił nową stodołę i stajnię z drzewa, kryte dachówką. Nadeszła w 1914 r. nieszczęsna wielka wojna europejska. Rosjanie



podeszli pod Kraków w listopadzie. Z parafii pleszowskiej: Pleszów Grębałów cały i pół Luboczy – wojsko, by mieć widok z twierdzy, zdemolowało, resztę ludności ewakuowano do wsi pod Krakowem. Tylko na Kujawach zostało jakie 200 ludzi. Ksiądz Wąsik wywiozła służącą do Polanki Wielkiej koło Oświęcimia, do rodziny. Ks. Chrobakiewicz wyjechał do Żywca, do matki, by już więcej nie wrócić. Z resztą parafian, jako administrator parafii Pleszów, Ruszcza, Górka i Czulice pozostał tutejszy rodak z Luboczy, ks. Józef Walczak, z diecezji lwowskiej, bawiący na urlopie. (fragm. nieczyt.) się z wojskiem rabującym. W tym czasie wojsko z rozkazu wyższego wycieło wspaniały park obok pałacu r. Ponińskiego, tysiącletnie dęby legły potokiem, kasztan stary runął, pod którym niegdyś Kościuszko siedział, wycięto przy plebani 2 i pół morga sadu, drzewa koło kościoła, połamano mury przy kościele. Kiedy Rosjanie cofnęli się nad Nidę, X. Biskupi Konsystorz zamianował administratorem „in spiritualibus” ks. Jana Skarbka od 19 I 1915 r.

Za specjalnym zezwoleniem Komendy Krakowskiej przepuszczono go tutaj z walizką w ręce, bo rzeczy nie mógł przewieźć. Pustkę zastał w parafii, w budynkach dworskich, plebańskich i chłopskich było jak w chlewach po przemarszu wojsk. Nawet blachy na kuchni nie zostawiono, meble skradziono lub zrąbano i spalono, w mieszkaniu „loka” były istne!

Ks. Skarbek zamieszkał na razie u chłopca Wilczka na Kujawach, by po kilku dniach, po wyczyszczeniu jednego pokoju, zamieszkać na podłódze. Jeść nie było co, kupić nie było u kogo.

Z końcem sierpnia wraca ks. Wąsik. Umiera 11 VI 1918 r. pochowany na cmentarzu parafialnym. X. Skarbek zostaje instytuowany w dniu 2 IX 1918 r. Ksiądz Jan Skarbek, tytularny kanonik, magister prawa cywilnego był proboszczem do 30 I 1925 r. Został parafię materialnie i moralnie podupadłą, zostawił ją w stanie wzorowym. W 1916 r. założył Sodalicję Mariańską Panien i Sodalicję Matek. Dnia 22 III 1916 r. poświęcił nowy cmentarz na roli darowanej przez hr. Ludwika Ponińskiego.

Od 1 X 1915 do 31 VIII 1916 r. w pałacu hr. Ponińskiego, który wynajęły zakonnice du Sacre Coeur ze Zbylitowskiej Góry i urządziły tu pensjonat dla panien z arystokracji, gdyż ich siedzibę wojna zburzyła. Przełożoną była Matka Helena Chłapowska, wnuczka słynnego generała, prokuratorą była Niemka, bar. Jadwiga von Grimmenstein. Katechetą i spowiednikiem ich i zakonnice był administrator X. Jan Skarbek. Wśród zakonnic było 6 Francuzek, reszta Polki. Cały zakład liczył 60 osób. Z tego czasu zanotował ks. Skarbek następujące zdarzenie: „Na wiosnę tego roku (1916) modliły się zakonnice za cesarza austriackiego. Usłyszała to M. Jadwiga von Grimmenstein i odezwała się do M. Przełożonej, Heleny Chłapowskiej: – Modliłyście się dzisiaj za cesarza austriackiego, a kiedy pomodlicie się za niemieckiego? – My się zawsze za niego modlimy, odrzekła Matka Przełożona. – Jak to? Kiedy? zapytała zdziwiona. – Wówczas – rzekła M. Chłapowska – modlimy się za cesarza niemieckiego, kiedy śpiewamy:abyś nieprzyjaciół Kościoła Świętego poniżyć raczył. Przyjęła ten żart (przy tem najzacniejsza osoba) żartem – ale usłyszała prawdę o Wilusiu, którego była powinowatą”.

31 VIII 1916 opuściły Pleszów zakonnice, a już 8 IX 1916 wydzierżawili pałac hr. Ponińskiego Księża Salezianie. Urządzili w nim dla siebie nowicjat, który przenieśli z Radnej w Krainie. Dyrektorem był ks. Piotr Wiertelak, prefektem ks. Stanisław Kruger, spowiednikiem Ignacy Dobiasz. W sierpniu 1917 r. przenieśli Ks. Salezianie także swój studentat z Radnej do Pleszowa. Ks. Salezianie w niedziele i święta odprawiali w kościele parafialnym prymarię dla ludu a nadto pomagali spowiadać. Urządzili również dla mieszkańców Pleszowa w swoim zakładzie kilka uroczystości religijnych i odegrali „jasełka”. W czerwcu 1918 r. nowy nabywca Pleszowa p. Marian Kochanowski wymówił Ks. Salezjanom dzierżawę, więc przenieśli swój zakład do Oświęcimia.

W 1916 r. przeżył ks. Administrator Jan Skarbek wraz ze swymi parafianami silne wzruszenie po otrzymaniu od władz austriackich wezwania do wydania najpiękniejszego dzwonu zabytkowego z 1639 r. odlanego przez Szafrę z Pieskowej Skały – na przetopienie dla celów wojskowych. Ks. Skarbek umówił się z oficerem, P. Żuławskim, a bratem szkolnego kolegi księdza z czasów studiów w Rzeszowie, że dzwon będzie w całości zrzucony z wieży na grubą warstwę słomy, aby nie uległ zniszczeniu, gdyż ks. Skarbek zapowiedział wniesienie rekursu przeciw zabraniu zabytkowego dzwonu, mając nadzieję odzyskania go z miejsca, gdzie będzie na skład złożony. Dzwon ostrożnie zrzucano, ale ponieważ nadchodziła noc, ładowanie na wóz odłożono do drugiego dnia, a żołnierze odeszli na plebanie na nocleg. W nocy dzwon znikł. Na próżno podoficer Prokaska wściekał się, straszył kobiety, że wojsko wieś spali, chciał badać dzieci szkolne, ale kierownik P. Wojciech Zawada stanowczo się temu sprzeciwił, odgrażał się ks. Skarbki, który nawzajem oświadczył, że go oskarży o odszkodowanie, bo nie postawił straży, a dzwon był zabytkowy i na pewno byłby parafii zwrócony. Śladu dzwonu nie znalazły nawet psy śledcze. Wojsko musiało się zadowolić zabranie 30 kilogramowej sygnaturki z kościoła i podobnego dzwonka z cmentarza.

Dzwon odnaleziono 19 XII 1918 dopiero po kilku godzinach poszukiwań na polu, gdzie był zakopany. W akcji uratowania dzwonu oprócz ks. Jana Skarbka byli czynni: Piotr Kowal, podwójci, Tomasz Broś, Stanisław Bańdur, Piotr Perlik, Wincenty Kardas i Jakub Kardas. „Żadna baba nie wiedziała” – zanotował także kronikarz. I rozedrgał się głębokim swoim tonem uratowany dzwon w pierwsze dni zmartwychwstałej po wiekowej niewoli Polski i grał odtąd co niedzielę i w święto, wzywając do modlitwy i pracy, jak by chciał przestrzec naród przed nieprzyjacielem bezwzględniejszym i sroższym, który zagrozi w 1939 r. wolnemu życiu Polski i życiu każdego jej obywatela. 1 września 1939 r. ukazały się nad cichą ziemią polską nieprzyjacielskie bombowce, niosąc śmierć, zniszczenie i rabunek dorobku narodu polskiego. 7 XI 1939 r. słuchaliśmy z dziećmi w klasie po raz ostatni głosu naszego dzwonu ze łzami w oczach. Serce jego długo uderzało rytmicznie i mocno, jakby chciał przekazać słuchającym głęboką wiarę w nowe – mimo klęski – zmartwychwstanie. Pod ciosami młota kowalskiego zmarł dzwon pleszowski, ale ciałem swoim nie przyniósł zwycięstwa nieludzkim okupantom Polski. W miejsce straconego prastarego dzwonu sprawili ofiarami parafianie dzwon nowy, który budzi ich jak poprzednik do pracy i modlitwy. Inicjatorem zakupu dzwonu był ks. Jan Kuś, wikariusz pleszowski, zaś bezpośrednie starania o zbieranie funduszy, o zawarcie umowy z Firmą w Andrychowie podjęli i wykonali: Kazimierz Czernek i Wojciech Kowal, syn Piotra, tego, który w 1916 r. brał udział w ukryciu dzwonu przed rekwizycją, a w szczególności – jak mi to sam przed śmiercią opowiadał – starał się udaremnić wywieszenie dzwonu przez psa, gdyż po wywiezieniu dzwonu w pole, polała pozostała przed kościołem słomę i wszystkie okoliczne ścieżki naftą. Dzwon kosztował 180 000 zł. Dnia 22 VI 1952 r. odbyła się uroczystość poświęcenia. Piękne kazanie okolicznościowe wygłosił ks. kanonik Leon Katana, proboszcz z Ruszczy. Proste słowa poematu Kazimierza Tetmajera – „Na Anioł Pański biją dzwony” przytoczone przez kaznodzieję wzruszyły do głębi serca słuchaczy.

Opisane poprzednio zdarzenia, w małej jeszcze mierze malują szlachetną postać ks. Kanonika mgra Jana Skarbka. Obdarzony wielką pamięcią, energią, rozumem i pracowitością, pokonywał trudności, zdobył serca i zaufanie parafian, którzy śpieszyli do niego z prośbą o radę i pomoc. Osobiście w domach upominał i karcił nawet dorosłą młodzież, gdy zauważył brak posłuszeństwa czy poszanowania rodziców. Jako przewodniczący Rady Szkolnej miejscowej przeprowadził restaurację zniszczonych wojną budynków szkolnych w Pleszowie i Luboczy. Dla szkoły pleszowskiej odstąpił z przyległego szkole ogródka plebańskiego pas ziemi wzdłuż południowej granicy dla umożliwienia wjazdu na teren szkolny. Mimo rozlicznych zajęć duszpasterskich i starszego już wieku dojeżdżał do Krakowa na wykłady na Uniwersytet Jagielloński, i złożył egzamin magisterski na Wydziale Prawniczym 26 VI 1925 r. W 1921 r. postanowił ozdobić kościół polichromią. Zachęcił parafian do ofiarności oświadczając, że cały dochód z obchodzenia parafii „po kołędzie” przeznacza na malowanie kościoła. Parafianie składali dobrowolne datki, zrobili „zsypkę zboża” dla malarzy, znosili mleko na produkowanie kazeiny potrzebnej do zaprawy farb, a ksiądz proboszcz żywił dwóch malarzy przez 7 miesięcy. Koszt ogólny malowania wyniósł przeszło milion marek polskich. Wnętrze kościoła przybrało odświętną, barwną szatę. Wykonawcami byli: Adam Marian Giebułtowski, art. malarz z Oświęcimia i Stanisław Grycner ze Szczekocina, jako pomocnik. Przed malowaniem pokryto południową część dachu na kościele nową blachą, naprawiono inne części dachu, otynkowano wieżę i ściany zewnętrzne, odnowiono północną część muru cmentarnego. Dwory i chłopcy złożyli na to chętnie po 1000 marek polskich z morgi posiadanej ziemi. O.O. Cystersi z Mogiły ofiarowali przyniesiony ołtarz z XVIII w. Malarz, St. Grycner, starannie go odnowił kosztem 150 000 Mkp., a art. malarz A. M. Giebułtowski wykonał do niego wizerunek św. Józefa za 50 000 Mkp. Po 10 latach pracy w Pleszowie otrzymał ks. Jan Skarbek nominację na prepozyta kościoła parafialnego w Oświęcimiu. Z głębokim żalem żegnali odjeżdżającego parafianie pleszowscy. 22 II 1926 r. ruszyła z Pleszowa bryczka otoczona przez kilkudziesięciu krakusów na koniach ku stacji kolejowej w Krakowie, budząc powszechny podziw i uznanie krakowian dla tej ludowej formy wyrażania uczuć dla odjeżdżającego duszpasterza. Ciężką i przykrą byłaby jego praca, gdyby była wykonywana w osamotnieniu, bez serdecznej współpracy towarzysza. Nie było w tym czasie wikariusza, ale w pobliżu było życzliwe i pomocne nauczycielstwo oraz rodziny Huczków i Rosiewiczów, w których znajdował życzliwy oddźwięk i poparcie dla swych zamierzeń. Wielką pomocą służył mu ks. kan. Jan Rosiewicz, katecheta szkoły na ul. Topolowej w Krakowie. On to w czasie ewakuacji odprawił 24 XII 1915 r. pasterkę dla pozostałych wbrew rozkazom ewakuacyjnym pleszowian, kujawian i żołnierzy austriackich mających służbę na przedpolu forticznym Krakowa. Ks. Rosiewicz zawsze służył pomocą i następnym proboszczom w Pleszowie, ilekroć potrzebowali tej pomocy. W spisie inwentarzowym kościoła figuruje również jego nazwisko jako ofiarodawcy zielonej kapy i srebrnego kielicha ozdobionego kilku starymi, srebrnymi pieniążkami. Po odjeździe ks. Jana Skarbka administrację parafii od 1 II do 17 IV 1926 r. prowadził O. Alfons Wiczorek, zast. O. Gwardiana O.O. Kapucynów w Krakowie. W krótkim czasie polubili go wszyscy, z którymi się zetknął w swej

pracy duszpasterskiej. Wykonywał ją starannie, z uśmiechem i dobrym słowem (najczęściej żartobliwym) dla każdego. Dnia 17 IV 1926 r. objął z jego rąk parafię ks. Franciszek Korzonkiewicz, były proboszcz z Krzywaczki. Podobnie, jak praca ks. Jana Skarbka, jego praca przeszła ośmioletnią (do VIII 1934) pozostawiła głęboki ślad w życiu całej parafii, a szczególnie Pleszowa. Obydwu cechowała wielka troskliwość o życie duchowe parafii i stan kościoła. Ks. Korzonkiewicz oddawał się także pracy społecznej, zwłaszcza gospodarczej w zakresie Kółka Rolniczego. Był przyjacielem szkoły. W stosunkach z parafianami okazywał wielką życzliwość i dobroć serca. Wspierał materialnie biedną, uczącą się młodzież, wiele osób zostało jego dłużnikami za posługi religijne. Z własnych funduszy zakupił szafę i około 200 książek jako zaczątek biblioteki parafialnej. Jednak praca z młodzieżą dostarczała mu wielu przykrości i skłoniła go do przeniesienia się do Inwałdu. Ks. Skarbek takich przejść nie miał. Dopiero w czasie okupacji, kiedy w Oświęcimiu urządził dla dzieci przystępujących do I Komunii Św. śniadanie, oskarżyły go władze okupacyjne o użycie do śniadania kilku kg masła i dłuższy czas trzymały go w więzieniu. Obaj księża zmarli nie dożywszy podeszłego wieku z powodu choroby.

Ochotnicza Straż Pożarna

Początek akcji przeciwpożarowej w Pleszowie według wspomnień najstarszych mieszkańców sięga 1842 roku. Utworzono wtedy na folwarku tzw. „obronę pożarową”. Złożoną z pracowników folwarcznych. Posiadała do użytku zaledwie jedną, małą sikawkę. W 1870 roku posiadała już lepszy sprzęt przeciwpożarowy, a od 1885 roku istnieje we dworze stała straż złożona z fernali, posiadająca lepszą sikawkę ręczną na kołach, drobny sprzęt pomocniczy oraz jednolity ubiór. Ćwiczenia odbywały się w niedziele. W 1890 roku straż pleszowska pospieszyła do pożaru we dworze w Rakowicach przybywając tam przed Oddziałem Straży Pożarnej z Krakowa, przyczyniając się wydatnie do stłumienia ognia. Z powodu braku opieki ze strony zmieniających się właścicieli Pleszowa straż podupadła, nie okazując życia. Gromada pleszowska (wieś) w tym czasie nie posiadała swojej straży ani przyrządów. W każdym jednak prawie domu znajdował się hak osadzony na długim drążku, tak zwany „bosak”, który służył do zrywania poszycia płonącego budynku i do burzenia więzby dachowej. Do pożaru biegli z pomocą wszyscy sąsiedzi z bosakami i wiadrami na wodę. Ustawiały się szeregi podające wodę ze stawu lub studni tym, co stojąc na drabinach gasili wodą ogień. Słaba to była obrona. Najczęściej ograniczała się do wyniesienia sprzętów z palącego się budynku i do obronienia sąsiednich przed przerzuceniem się na nie ognia.

W 1924 roku na zebraniu Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży kier. szkoły, Jan Twaróg, prezes Stowarzyszenia wraz z Michałem Cyganem z Kujaw przedłożyli zebranej młodzieży pleszowskiej i kujawskiej wniosek założenia Ochotniczej Straży Pożarnej w Pleszowie. Myśl tę podjęła młodzież ochotnym sercem. (...) W gromadzkim domu urządzono remizę na pomieszczenie sikawek, beczkowsu, drobnego sprzętu przeciwpożarowego oraz kołowrót wyciągowy dla suszenia mokrych po użytku węży ssących i tłocznych. W ciągu lat 1924-1939 funkcje naczelników OSP pełnili ofiarnie: Jan Wilczek, Wójcik, Lech, Marcin Bednarz, Józef Partyła. Mile tu wspominać ofiarę Jakuba Brody z Kujaw, który za 25 zł. zakupił trąbkę sygnałową do użytku straży oraz ofiarną pracę nacz. Józefa Partyły, który na każdy sygnał alarmowy użyczał swych koni na wyjazdy Straży. Dotąd mam w pamięci jego szybką decyzję, gdy kierował Strażą przy pożarze stajenki Findów. Dach słomiany płonie i wkrótce grozi zawaleniem, a koń w żaden sposób nie da się nakłonić do wyjścia na podwórko jarzące się ogniem pożaru (był późny wieczór). Pada komenda J. Partyły: „Chłopaki, konia za nogi, unieść przemocą”. Rozkaz wykonano – koń znalazł się w bezpiecznym miejscu – prawie równocześnie zapadła się płonąca powalona stajenka. Szereg lat pełniłem obowiązki sekretarza OSP. Protokołowałem treść zebrania, składałem raporty władzom nadziedzonym, przedkładałem wnioski do Zakładu Ubezpieczeń o zasiłki na przybory strażackie. Powiększał się przez to inwentarz remizy i sprawność działania OSP. Pewnego dnia odbywało się walne zebranie. Miano wybrać nowy zarząd. Niechętnie rozrzućmy książki organizacyjne i opuścili salę szkolną, w której odbywało się zebranie. Straż przestała organizacyjnie istnieć. Pozbierałem książki, odczekałem 2 miesiące aż się gorące animozje uspokoją, zaprosiłem członków na nowe zebranie. Burza została zażegnana – wybrano nowy zarząd na dalsze lata pracy strażackiej dla dobra pleszowskiego, kujawskiego ale i szerszego społeczeństwa. Obok praktycznych korzyści, jakie dawała a pomocy w leczeniu O.S.P. w czasie nieszczęśliwych wypadków była ona równocześnie dla młodzieży szkołą dzielności, karność i bezinteresownej pracy społecznej na użytek ogółu. Straż Pożarna nie tylko broniła przed ogniem ale służyła pomocą w różnych okolicznościach życia. To na przykład w czasie malowania kościoła strażacy odkurzają, skrobią i równają tynk ścian pod pierwszy podkład farby, to znów przed przyjazdem Prezydenta Ignacego Mościckiego do Pleszowa wykonują dekorację drogi przez wieś. Tradycyjnym obchodem stało się zaciąganie

warty u Grobu Chrystusowego w kościele. W czasie rezurekcji ostatnia para strażników w mundurach z wielkim rumorem halabard przewracała się na posadzkę kościoła wzbudzając wśród obecnych wiernych wielkie wrażenie. Za chwilę wrażenie to potęgował Jan Zwierkowski hukami strzałów z moździerzy ustawionych na skarpie drogi w pobliżu kościoła. Zapomniałem nadmienić uprzednio, że około godziny 4 nad ranem bicie zabytkowego wysokiego bębna budziło ludzi na rezurekcję. W 1929 roku w czasie gwałtownej burzy piorun uderzył i zapalił wieżę kościelną. Szybko zorganizowano obronę. Zestawiono węże a W. Komasa z przytraczonym do pasa węzłem i prądownicą po drabinie wspina się na dach kościelny, zbliża ku oknu wieży i poprzez nie zbija ogień z płonących belek tak, że dzwony pozostały nietknięte ogniem. Stopił się tylko cynkowy dach wieży a miedziana bania spadła z upalonego masztu. Oby następne pokolenia strażackie naśladowały swoich poprzedników w dzielności, pracy i ofiarności. Na zakończenie z wdzięcznością wspominam ofiarę złożoną przez OSP. na moje ręce, w sumie poprzednią walutą 10 tys. zł., jako pomoc szkole i jej Komitetowi Rodzicielskiemu na zakup radioodbiornika „Aga” do użytku dzieci szkolnych, którego ogólny koszt wynosił wówczas 40 tys. zł. Bardzo miłe wspominam wieloletnią współpracę z OSP. i życzę jej dalszego pomyślnego rozwoju.

Sklep

Wielki wpływ na rozwój rolnictwa i hodowli zwierząt gospodarskich wywarła organizacja rolników w Pleszowie pod nazwą Kółko Rolnicze. Powstało ono z inicjatywy kilku gospodarzy, zwłaszcza kujawskich, m.in. Wojciecha Kardasa, Michała Cygana, Jana Walczaka. Kardas był przewodniczącym zarządu. Początkowym celem kółka było wspólne nabywanie i rozprowadzanie między członków nawozów sztucznych, nasion, cementu oraz zapraszanie inżynierów rolnictwa i hodowli do wygłaszania w Pleszowie odczytów. Od 11 XII 1915 r. sekretarzem Rady Powiatowej w Krakowie, Zborowski, otwarł w Pleszowie sklep pod nazwą Sklep Samopomocy Włościańskiej, który po kilku latach z powodu małego obrotu towarowego zamknął. Przejął go wówczas z towarami w prywatną własność miejscowy rolnik, Jan Bańdur, ale i on po kilku latach odstąpił sklep Kółku Rolniczemu. Objęcie nastąpiło 15 IV 1928 r. Sklep Kółka zaczął pracować bardzo szczupłym kapitałem ze złożonych udziałów członkowskich. Dzięki zapobiegliwości Piotra Perlika i Józefa Gajocha, sklep funkcjonował coraz lepiej zaopatrując rolników w artykuły pierwszej potrzeby domowej i gospodarczo-rolniczej. Obrót towarowy powoli wzrastał przynosząc niewielki, ale stały dochód. (...) Księgowym i sekretarzem był Jan Twaróg, który prowadził odbiór utargów, księgowanie, przekazywanie władzom bilansów, przekazywanie obliczonych podatków i opłat dla ZUS. Kierownikiem sklepu czynił w Krakowie zakupy, przywoził je, i po skalkulowaniu ceny oddawał sklepownemu. Kierownikiem sklepu był Józef Gajoch, spośród sklepowych najdłużej pracował Stanisław Koczur (od 31 III 1937 do 25 VII 1950 r.). Sklep w Pleszowie przetrwał jako część Gminnej Spółdzielni Samopomoc Chłopska do 25 VII 1950 r. tj. do czasu przejścia przez Powszechną Spółdzielnię Spożywców w Krakowie.

Kółko Rolnicze

(...) Duszą tych prac był przewodniczący Kółka, ks. Franciszek Korzonkiewicz. Otoczony był gronem chętnych i pracowitych członków zarządu, a byli to: Wincenty Kardas z Kujaw, Michał Cygan z Kujaw, Jan Twaróg z Pleszowa, Piotr Gajoch z Pleszowa, Jakub Broda z Kujaw, Michał Cygan z Pleszowa, Stanisław Baran z Kujaw, Antoni Malinka z Kujaw, Wawrzyniec Czekał z Kępy, Józef Gajoch z Pleszowa, Piotr Perlik z Pleszowa, Jan Bańdur z Pleszowa.

Praca toczyła się w atmosferze zgody i dawała bardzo dobre wyniki.

Ks. Franciszek Korzonkiewicz jako przewodniczący Kółka postawił na zebraniu wnioski urządzenia w Pleszowie uroczystości „Dziesięciolecia Niepodległości”. Do realizacji przyjętego wniosku przyczyniły się wszystkie istniejące organizacje wraz z nauczycielstwem. Wiele pracy włożono w przygotowanie tej patriotycznej uroczystości, ale też udało się. Do kilkusetosobnej rzeszy uczestników z całej okolicy w trybunę ustawioną przed gromadzkim budynkiem przemówił donośnym głosem, mocnym głosem Karol Hubert Rostworowski. Jego słowa oraz ślicznie wygłoszony wiersz Marii Konopnickiej „Ave Patria” przez Józefę Gębalankę, rodowitą pleszowiankę – nauczycielkę oraz pieśni chóru dziecięcego wzruszyły serca słuchaczy. Oprócz głębokiego przeżycia uroczystość wniosła bogaty plon finansowy za wianuszki i wstępy, co przyczyniło się do szybszego rozwoju sklepu Kółka. Równocześnie z pracą gospodarczą toczyła się zwłaszcza w okresie zimowym praca szkoleniowa. Przybywali do szkoły inżynierowie – rolnicy: Tracz, Gajewski, Kaziemierz Cieśliewicz, Józef Rosiewicz, Tymofitowicz, Cikowski, Jamka i in. Największa sala szkolnaapełniała się po brzegi słuchaczami z Pleszowa i Kujaw. Inżynierowie przekazywali swoje wiadomości i doświadczenia z własnej praktyki, udzielali rad i odpowiadali

na liczne pytania. W sali często brakowało powietrza, lampa naftowa odmawiała światła mimo uchylonego okna dla dopuszczania powietrza.

Pracę Kółka Rolniczego w Pleszowie ceniło Okręgowe i Małopolskie Towarzystwo Rolnicze. Pleszów wybrało jako miejsce wizyty Pana Prezydenta Ignacego Mościckiego w dniu 28 VII 1929 r. dla okazania dorobku prac rolniczych i hodowlanych. (...) Tłumy z bliższej i dalszej okolicy Pleszowa zajęły place przed kościołem i domem gromadzkim. Naprzeciw przybywającego P. Prezydenta wyjechała b. liczna banderia krakusów na koniach. U bramy powitalnej przy ławeczce kościuszkowskiej powitały Prezydenta p. Kotkowska i p. Gajochowa chlebem i solą, po czym ks. Korzonkiewicz wprowadził go do kościoła. Właściwa część przyjęcia i pokazu hodowlanego odbyła się na placu. Orkiestra odegrała hymn narodowy, chór młodzieżowy wykonał pieśń powitalną na 3 głosy. Chór niezbyt się popisał, gdyż zbalamucony tonacją, w której grała orkiestra, nie pochwycił tonacji pieśni podanej przez kierownika. Następnie uczennica szkoły w Luboczy, Marysia Twaróg, wygłosiła wiersz powitalny napisany przez ks. Fr. Korzonkiewicza. Po powitaniu oglądał Pan Prezydent przygotowaną wystawę. Były tam krowy rasy nizinnej wysokomlecznej i różne gatunki drobiu. Następnie odwiedził dwa domy włościańskie: Rosiewiczów i Walczaków. U Walczaków zastał gości weselnych na tzw. „poprawinach”. Dla młodej pary zostawił na pamiątkę zastawę stołową. Następnie odjechał odprowadzony przez banderę.

Organizacja młodzieżowa

Pierwsza organizacja młodzieży pozaszkolnej powstała pod wpływem przygotowanego przez Jana Twaroga przedstawienia „Jasełek” L. Rydla w Boże Narodzenie 1920 r. W przedstawieniu, odegranym trzykrotnie, brało udział blisko 40 osób, przeważnie spośród starszej, pozaszkolnej młodzieży. Przedstawienia zdobyły sobie powszechne uznanie. Młodzież zwróciła się do kierownika szkoły z prośbą o zorganizowanie stałego zespołu. Ponieważ w sąsiedniej Mogile oraz w Bieńczycach istniały już Katolickie Stowarzyszenia Młodzieży więc za ogólną zgodą założono KSM w celu wspólnej pracy na polu oświatowym, kulturalnym i gospodarczym. Na szym odchyleniem od statutu było to, że praca obejmowała młodzież męską i żeńską. Pierwszym prezesem Stowarzyszenia został wybrany Jan Twaróg. Od początku 1921 r. rozwinęła się ożywiona praca. Młodzież okazała się niezwykle chętną i uzdolnioną. Szybko przyswajała sobie teksty ról sztuk przeważnie ludowych, odgrywanych w dużej sali szkolnej. Założono stały chór 4 głosowy, mieszany, w którym brali udział także dorośli jak np. Michał Cygan, jako tenor i brat jego sierżant WP Jan Cygan jako bas. Chór ćwiczył śpiewanie z nut pod kierunkiem Jana Twaroga oraz później pp. organistów: Jana Gumuła, następnie Janika oraz Jana Rachana. Chór występował w większe święta w kościele i upiększał często urządzone przez Stowarzyszenie uroczystości narodowe np. 3 Maja, 11 Listopada i in. Kierownik szkoły zapoczątkował bibliotekę dla Stowarzyszenia i wezwał młodzież do ofiarności na rzecz jej powiększenia. Pamiętam ofiarę Jana Bańdura w postaci zakupionych „Chłopów” Wł. Reymonta, a także miłą wiosenną grę w „zielone”. Kary egzekwowane za przylapanie na braku „zielonego” przy sobie powiększały fundusz zakupu książek. Dużą przeszkodą w pracy Stowarzyszenia był brak własnej sali. Największa sala szkolna okazywała się jednak na zebrania i przedstawienia za szczupłą, a zasłanianie okien, budowanie sceny i rozbieranie jej zaraz po przedstawieniu, by sala mogła być na drugi dzień gotowa do pracy szkolnej niszczyło ją i przysparzało pracy. Na środku wsi stał gromadzki budynek, część starej karczmy zajeźdźnej odkupionej ze dworu, lecz bez sufitu, bez okien, bez podłogi i z surowej nie otynkowanej cegły. W niej właśnie przyjeżdżający z dalekich stron w drodze do Krakowa znajdowali postój z wozami i końmi. Podjąłem staranie na zebraniu Rady gminnej pleszowskiej o oddanie tej „stajni” do użytku kulturalnego młodzieży, która własnymi rękami zamieni ją w salę przedstawieniową. Wśród radnych siedział były wójt, Piotr Gajoch, którego staraniem gromada Pleszów odkupiła karczmę od hr. Ponińskiego. Prośba moja w imieniu młodzieży została chętnie przyjęta. Po ukończeniu jesiennych robót gospodarczych zaczęliśmy pracę około „sali”. (...) Przez zimę pracowaliśmy w wymrożonej przestrzeni strugając belki i deski. Dopiero następnej zimy tynkowaliśmy ściany. Był to zabawny widok. Przy każdej ścianie po 2-3 tynkarzy, którzy może dopiero po raz pierwszy mieli kielnię w ręce. Nad każdym dziwne oświetlenie; zapalona świeczka zawieszona na długim drucie zatkniętym w suficie. Najwięcej energii przy tych pracach okazywał Józef Gajoch, syn wspomnianego Piotra. Józef Gajoch był najmłodszym moim towarzyszem pracy. Kiedy wieczorem przychodziłem z lampą do „sali”, stawiałem ją w otworze okiennym. Jej światło idące w ciemność nocy, wzywało chłopców do dalszej, jakże przykłej w takiej zimnicy, pracy. Nic dziwnego, że w czasie mrozu często brakowało chętnych do pracy. Józef Gajoch, który zwykle przybywał pierwszy, udawał się na poszukiwanie ochotników. Najczęściej znajdował ich w zacisznym domu szewca, Farnausa, na pogaduszkach lub przy grze w „durnia” i wyciągał ich do dalszej pracy. Pewnego razu nie zastał nikogo, prócz klepiącego skórę Farnausa. „Nie ma dziś chłopaków?” – zapytał Gajoch. „Nie przyszli”

warty u Grobu Chrystusowego w kościele. W czasie rezurekcji ostatnia para strażników w mundurach z wielkim rumorem halabard przewracała się na posadzkę kościoła wzbudzając wśród obecnych wiernych wielkie wrażenie. Za chwilę wrażenie to potęgował Jan Zwierkowski hukami strzałów z moździerzy ustawionych na skarpie drogi w pobliżu kościoła. Zapomniałem nadmienić uprzednio, że około godziny 4 nad ranem bicie zabytkowego wysokiego bębna budziło ludzi na rezurekcję. W 1929 roku w czasie gwałtownej burzy piorun uderzył i zapalił wieżę kościelną. Szybko zorganizowano obronę. Zestawiono węże a W. Komasa z przytroczonym do pasa węzłem i prądownicą po drabinie wspina się na dach kościelny, zbliża ku oknu wieży i poprzez nie zbija ogień z płonących belek tak, że dzwony pozostały nietknięte ogniem. Stopił się tylko cynkowy dach wieży a miedziana bania spadła z upalonego masztu. Oby następne pokolenia strażackie naśladowały swoich poprzedników w dzielności, pracy i ofiarności. Na zakończenie z wdzięcznością wspominam ofiarę złożoną przez OSP. na moje ręce, w sumie poprzednią walutą 10 tys. zł., jako pomoc szkole i jej Komitetowi Rodzicielskiemu na zakup radioodbiornika „Aga” do użytku dzieci szkolnych, którego ogólny koszt wynosił wówczas 40 tys. zł. Bardzo mile wspominam wieloletnią współpracę z OSP. i życzę jej dalszego pomyślnego rozwoju.

Sklep

Wielki wpływ na rozwój rolnictwa i hodowli zwierząt gospodarskich wywarła organizacja rolników w Pleszowie pod nazwą Kółko Rolnicze. Powstało ono z inicjatywy kilku gospodarzy, zwłaszcza kujawskich, m.in. Wojciecha Kardasa, Michała Cygana, Jana Walczaka. Kardas był przewodniczącym zarządu. Początkowym celem kółka było wspólne nabywanie i rozprowadzanie między członków nawozów sztucznych, nasion, cementu oraz zapraszanie inżynierów rolnictwa i hodowli do wygłaszania w Pleszowie odczytów. Od 11 XII 1915 r. sekretarzem Rady Powiatowej w Krakowie, Zborowski, otworzył w Pleszowie sklep pod nazwą Sklep Samopomocy Włościańskiej, który po kilku latach z powodu małego obrotu towarowego zamknął. Przejął go wówczas z towarami w prywatną własność miejscowy rolnik, Jan Bańdur, ale i on po kilku latach odstąpił sklep Kółku Rolniczemu. Objęcie nastąpiło 15 IV 1928 r. Sklep Kółka zaczął pracować bardzo szczupłym kapitałem ze złożonych udziałów członkowskich. Dzięki zapobiegliwości Piotra Perlika i Józefa Gajocha, sklep funkcjonował coraz lepiej zaopatrując rolników w artykuły pierwszej potrzeby domowej i gospodarczo-rolniczej. Obrót towarowy powoli wzrastał przynosząc niewielki, ale stały dochód. (...) Księgowym i sekretarzem był Jan Twaróg, który prowadził odbiór utargów, księgowanie, przekazywanie władzom bilansów, przekazywanie obliczonych podatków i opłat dla ZUS. Kierownikiem sklepu czynił w Krakowie zakupy, przywoził je, i po skalkulowaniu ceny oddawał sklepowemu. Kierownikiem sklepu był Józef Gajoch, spośród sklepowych najdłużej pracował Stanisław Koczur (od 31 III 1937 do 25 VII 1950 r.). Sklep w Pleszowie przetrwał jako część Gminnej Spółdzielni Samopomoc Chłopska do 25 VII 1950 r. tj. do czasu przejścia przez Powszechną Spółdzielnię Spożywców w Krakowie.

Kółko Rolnicze

(...) Duszą tych prac był przewodniczący Kółka, ks. Franciszek Korzonkiewicz. Otoczony był gronem chętnych i pracowitych członków zarządu, a byli to: Wincenty Kardas z Kujaw, Michał Cygan z Kujaw, Jan Twaróg z Pleszowa, Piotr Gajoch z Pleszowa, Jakub Broda z Kujaw, Michał Cygan z Pleszowa, Stanisław Baran z Kujaw, Antoni Malinka z Kujaw, Wawrzyniec Czekaj z Kępy, Józef Gajoch z Pleszowa, Piotr Perlik z Pleszowa, Jan Bańdur z Pleszowa.

Praca toczyła się w atmosferze zgody i dawała bardzo dobre wyniki.

Ks. Franciszek Korzonkiewicz jako przewodniczący Kółka postawił na zebraniu wniosek urządzenia w Pleszowie uroczystości „Dziesięciolecia Niepodległości”. Do realizacji przyjętego wniosku przyczyniły się wszystkie istniejące organizacje wraz z nauczycielstwem. Wiele pracy włożono w przygotowanie tej patriotycznej uroczystości, ale też udało się. Do kilkudziesięciu rzeszy uczestników z całej okolicy w trybunę ustawioną przed gromadzkim budynkiem przemówił donośnym głosem, mocnym głosem Karol Hubert Rostworowski. Jego słowa oraz ślicznie wygłoszony wiersz Marii Konopnickiej „Ave Patria” przez Józefę Gębalankę, rodowitą pleszowiankę – nauczycielkę oraz pieśni chóru dziecięcego wzruszyły serca słuchaczy. Oprócz głębokiego przeżycia uroczystość wniosła bogaty plon finansowy za wianuszki i wstępy, co przyczyniło się do szybszego rozwoju sklepu Kółka. Równocześnie z pracą gospodarczą toczyła się zwłaszcza w okresie zimowym praca szkoleniowa. Przybywali do szkoły inżynierowie – rolnicy: Tracz, Gajewski, Kaziemierz Cieśliewicz, Józef Rosiewicz, Tymofitowicz, Cikowski, Jamka i in. Największa sala szkolnaapełniała się po brzegi słuchaczami z Pleszowa i Kujaw. Inżynierowie przekazywali swoje wiadomości i doświadczenia z własnej praktyki, udzielali rad i odpowiadali

na liczne pytania. W sali często brakowało powietrza, lampa naftowa odmawiała światła mimo uchylonego okna dla dopuszczania powietrza.

Pracę Kółka Rolniczego w Pleszowie cenilo Okręgowe i Małopolskie Towarzystwo Rolnicze. Pleszów wybrało jako miejsce wizyty Pana Prezydenta Ignacego Mościckiego w dniu 28 VII 1929 r. dla okazania dorobku prac rolniczych i hodowlanych. (...) Tłumy z bliższej i dalszej okolicy Pleszowa zajęły place przed kościołem i domem gromadzkim. Naprzeciw przybywającego P. Prezydenta wyjechała b. liczna banderia krakusów na koniach. U bramy powitalnej przy ławeczce kościuszkowskiej powitały Prezydenta p. Kotkowska i p. Gajochowa chlebem i solą, po czym ks. Korzonkiewicz wprowadził go do kościoła. Właściwa część przyjęcia i pokazu hodowlanego odbyła się na placu. Orkiestra odegrała hymn narodowy, chór młodzieżowy wykonał pieśń powitalną na 3 głosy. Chór niezbyt się popisał, gdyż zbalamucony tonacją, w której grała orkiestra, nie pochwycił tonacji pieśni podanej przez kierownika. Następnie uczennica szkoły w Luboczy, Marysia Twaróg, wygłosiła wiersz powitalny napisany przez ks. Fr. Korzonkiewicza. Po powitaniu oglądał Pan Prezydent przygotowaną wystawę. Były tam krowy rasy nizinnej wysokomlecznej i różne gatunki drobiu. Następnie odwiedził dwa domy włościańskie: Rosiewiczów i Walczaków. U Walczaków zastał gości weselnych na tzw. „poprawinach”. Dla młodej pary zostawił na pamiątkę zastawę stołową. Następnie odjechał odprowadzony przez banderę.

Organizacja młodzieżowa

Pierwsza organizacja młodzieży pozaszkolnej powstała pod wpływem przygotowanego przez Jana Twaroga przedstawienia „Jasełek” L. Rydla w Boże Narodzenie 1920 r. W przedstawieniu, odegranym trzykrotnie, brało udział blisko 40 osób, przeważnie spośród starszej, pozaszkolnej młodzieży. Przedstawienia zdobyły sobie powszechne uznanie. Młodzież zwróciła się do kierownika szkoły z prośbą o zorganizowanie stałego zespołu. Ponieważ w sąsiedniej Mogile oraz w Bieńczykach istniały już Katolickie Stowarzyszenia Młodzieży więc za ogólną zgodą założono KSM w celu wspólnej pracy na polu oświatowym, kulturalnym i gospodarczym. Na pierwszym odchyleniu od statutu było to, że praca obejmowała młodzież męską i żeńską. Pierwszym prezesem Stowarzyszenia został wybrany Jan Twaróg. Od początku 1921 r. rozwinęła się ożywiona praca. Młodzież okazała się niezwykle chętną i uzdolnioną. Szybko przyswajała sobie teksty ról sztuk przeważnie ludowych, odgrywanych w dużej sali szkolnej. Założono stały chór 4 głosowy, mieszany, w którym brali udział także dorośli jak np. Michał Cygan, jako tenor i brat jego sierżant WP Jan Cygan jako bas. Chór ćwiczył śpiewanie z nut pod kierunkiem Jana Twaroga oraz później pp. organistów: Jana Gumuła, następnie Janika oraz Jana Rachana. Chór występował w większe święta w kościele i upiększał często urządzone przez Stowarzyszenie uroczystości narodowe np. 3 Maja, 11 Listopada i in. Kierownik szkoły zapoczątkował bibliotekę dla Stowarzyszenia i wezwał młodzież do ofiarności na rzecz jej powiększenia. Pamiętam ofiarę Jana Bańdura w postaci zakupionych „Chłopów” Wł. Reymonta, a także miłą wiosenną grę w „zielone”. Kary egzekwowane za przylapanie na braku „zielonego” przy sobie powiększały fundusz zakupu książek. Dużą przeszkodą w pracy Stowarzyszenia był brak własnej sali. Największa sala szkolna okazywała się jednak na zebrania i przedstawienia za szczupłą, a zasłanianie okien, budowanie sceny i rozbieranie jej zaraz po przedstawieniu, by sala mogła być na drugi dzień gotowa do pracy szkolnej niszczyło ją i przysparzało pracy. Na środku wsi stał gromadzki budynek, część starej karczmy zajezdnej odkupionej ze dworu, lecz bez sufitu, bez okien, bez podłogi i z surowej nie otynkowanej cegły. W niej właśnie przyjeżdżający z dalekich stron w drodze do Krakowa znajdowali postój z wozami i końmi. Podjąłem staranie na zebraniu Rady gminnej pleszowskiej o oddanie tej „stajni” do użytku kulturalnego młodzieży, która własnymi rękami zamieni ją w salę przedstawieniową. Wśród radnych siedział były wójt, Piotr Gajoch, którego staraniem gromada Pleszów odkupiła karczmę od hr. Ponińskiego. Prośba moja w imieniu młodzieży została chętnie przyjęta. Po ukończeniu jesiennych robót gospodarczych zaczęliśmy pracę około „sali”. (...) Przez zimę pracowaliśmy w wymrożonej przestrzeni strugając belki i deski. Dopiero następnej zimy tynkowaliśmy ściany. Był to zabawny widok. Przy każdej ścianie po 2-3 tynkarzy, którzy może dopiero po raz pierwszy mieli kielnię w ręce. Nad każdym dziwne oświetlenie; zapalona świeczka zawieszona na długim drucie zatkniętym w suficie. Najwięcej energii przy tych pracach okazywał Józef Gajoch, syn wspomnianego Piotra. Józef Gajoch był najmłodszym moim towarzyszem pracy. Kiedy wieczorem przychodziłem z lampą do „sali”, stawiałem ją w otworze okiennym. Jej światło idące w ciemność nocy, wzywało chłopców do dalszej, jakże przykłej w takiej zimnicy, pracy. Nic dziwnego, że w czasie mrozu często brakowało chętnych do pracy. Józef Gajoch, który zwykle przybywał pierwszy, udawał się na poszukiwanie ochotników. Najczęściej znajdował ich w zacisznym domu szewca, Farnausa, na pogaduszkach lub przy grze w „durnia” i wyciągał ich do dalszej pracy. Pewnego razu nie zastał nikogo, prócz klepiącego skórę Farnausa. „Nie ma dziś chłopaków?” – zapytał Gajoch. „Nie przyszli”

odrzekł Farnaus. „Szkoda” zmartwił się Gajoch „ale widzę, że oprócz handlu butami zaczynasz handlować kapelusami, bo widzę spory ich zbiór u ciebie na skrzyni”, i otworzywszy drzwi do sąsiedniej izdebki, powyciągał z niej ukrytych tam chłopców i przywiódł do dalszej roboty. Innym razem spostrzegł wieczorem sporą gromadkę, która na jego widok, zaczęła szybko zmierzać w stronę drogi na Kujawy. Dogoniwszy chłopców, zapytał: „Gdzie wy idziecie?”. „Na Kujawy – na wesele” brzmiała odpowiedź. „A czy byliście tam proszeni?” – badał dalej Józef Gajoch. „Chodźcie tu, gdzie was proszą”. I znów w ten wieczór przybyło kilka metrów otynkowanej ściany. (...) Mróz zelżał. Zaczęły się roboty stolarskie, budowa ścianki przedniej sceny (proscenium), wykonanie drzwi i okien, wprawianie podłogi. W tych pracach z wielką bezinteresowną pomocą przyszedł nam Piotr Burdek. Potrzebne fundusze na materiały zdobyliśmy grając przedstawienia w sali szkolnej. Ruch artystyczny wzmożł się po odmalowaniu i ozdobieniu obrazami wykończonej sali. Aktorów dobrych i chętnych było dużo. Spośród nich wspomnę Józefa Gajocha, który wkuwał na pamięć pełne zeszyty rozpisywanych (często przez siebie) ról przy rąbaniu dla domu drzewa, młóceniu zboża w stodole itp. zajęciach gospodarskich, wspominam także Jana Gumulę, miejscowego organistę rodem z Pleszowa, który z młodzieńczym zapałem podejmował rolę w każdym prawie przedstawieniu, a bywało i tak, że w jednej sztuce przeistaczał się nie rozpoznawany w kilka postaci. Wystawialiśmy przeważnie sztuki ludowe, patriotyczne „jaselka” w różnym opracowaniu, a po zdobyciu praktycznie doskonalszej sztuki aktorskiej, młodzież porywała się na wystawianie dzieł Fredry, Bałuckiego, Roźnowskiego. Praca młodzieży przy budowie własnej sceny została sownie wynagrodzona, gdy dźwięczne słowa naszej pięknej mowy siały w sercach prostych słuchaczy głębokie wzruszenie podczas wystawiania sztuk: „Polska już wolna”, „Hanusia Krożańska” i inne sztuki ludowe jak: „Błazek opętany” Anczyca, „Wesele na Prądniku”, „Wigilia św. Andrzeja”, „Wesele Zosi”, „Fotograf w opalach”, „Zrękowiny u Druzgały”, „Dziewiczy wieczór” i in. budziły nie tylko wiele wesołości ale i serdeczne współczucie z powodu trudności piętrzących się na drodze kochających się ludzi. Wielki sukces odniosły „Śluby panińskie” Fredry i „Grube ryby” Bałuckiego. Na przedstawieniu „Niespodzianki” Roźnowskiego powiało po sali grozą dramatu życia. Praca młodzieży nie polegała tylko na chórze i przedstawieniach teatralnych ale stopniowo objęła odczyty a także szkolenie rolnicze przez uprawę poletek doświadczalnych. Pragnąc upogłodzić pracę oświatową napisałem prośbę do Kuratorium OSK o przydzielenie lampy projekcyjnej do wyświetlania przeźroczy. Długo nie było odpowiedzi, więc zakupiłem z własnych funduszy rzutnik do przeźroczy z oświetleniem karbidowym (nie było jeszcze w Pleszowie oświetlenia elektrycznego). Koszt rzutnika 250 zł., nasady 160 zł. Tej lampy używałem w szkole i w Stowarzyszeniu i pożyczałem jej ks. Korzonkiewiczowi do Solidarności Dziewcząt w Grębałowie. Treścią przeźroczy wypożyczanych z Tow. Szkoły Ludowej a czasem od p. Inspektora Szkolnego – Orszulskiego, była geografia, historia, astronomia, sztuka: „Królowa Jadwiga na Wawelu” Gawalewicz, „Legenda o Matce Boskiej”, „Obieg ziemi i księżyca” itp. Po długim czasie od wniesienia prośby przybył do Pleszowa p. Kurator Kupczyński. Zobaczył salę, bibliotekę blisko 700 książek już liczącą. Nadeszła pocztą latarnia projekcyjna, ale bez źródła światła. Obie nie używane dzisiaj lampy projekcyjne znajdują się dotąd w szkole pleszowskiej, która bowiem otrzymała już za czasu Polski Ludowej epidiaskop i rzutnik na prąd elektryczny. Miło mi podnieść, że w tych czasach początkowych prac Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży, budowy sali, gromadzenia biblioteki okazywała młodzież wielką wzajemną życzliwość bez względu na różnice majątkowe, okazywała patriotyzm, umiłowanie wsi i poważanie dla rodziców. Nieraz zdawało mi się, że członkowie Stowarzyszenia to dzieci z jednej dobrej rodziny. Podobnie i zachowanie się dzieci szkolnych było bez zarzutu. Byłem młodym nauczycielem, a nie potrzebowaliśmy walczyć o zdobycie czy utrzymanie autorytetu wychowawczego. Było to zasługą rodziców dzieci, poważnie pojmujących swą rolę wychowawczą. Wdzięczni byli szkole za jej prace tak w murach szkolnych jak również z młodzieżą dorastającą. Wspominali, jak to niedawno, kiedy nie było jeszcze Stowarzyszenia, chłopcy doradli czy też dorastający mieli zatargi z chłopcami z sąsiednich wsi, kończące się napadami i bójkami. Wyrazem wdzięczności za prace zapoczątkowane z młodzieżą przez kierownika szkoły było zakupienie ze dworu od p. Kochanowskiego na wniosek radnego Wojciecha Kardasa 1 ha 03 arów pola za cmentarzem do użytku kierownika szkoły (o które sam nie zabiegał). Grunt zainstalowano jako własność gromady i gromada opłacała z niego podatki. Nadmieniam, że na dwóch zebraniach Rady gromadzkiej, której byłem członkiem, stawiałem wnioski o zainstalowanie tego pola na własność szkoły, jednak większość odmówiła, motywując tym, że gdyby przybył inny „niedobry” kierownik, nie mogłaby mu gromada odebrać prawa używania gruntu szkolnego. Grunt ten został w 1955 r. zajęty na własność Państwa i zabudowany przez przesiedlonych z Kępy gospodarzy. W użytkowaniu następnych kierowników szkoły pozostała tylko mała łączka po obu stronach kanału wykopanego dla odprowadzania wód gorących z koksowni. Pozostały obszar wynosi 10 do 12 arów.

W przeciągu lat pracy Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży nikomu nie przyszło na myśl oddziaływać na członków w duchu jakiej określonej partii politycznej. Celem pracy była radosna twórczość kulturalna w nie-

dawno odzyskanej wolnej Polsce – Matce wszystkich jej obywateli. Jednak wpływy partii politycznych zaczęły przenikać na wieś. W Pleszowie miało od dawna wielu zwolenników Polskie Stronnictwo Ludowe „Piaś”, którego wódz ludowy, Wincenty Witos, był przez pewien czas Premierem Rządu. W Pleszowie powstało Koło PSL „Piaś”. Wpływy PSL objęły Małopolskie Towarzystwo Rolnicze i związany z nim Małopolski Związek Młodzieży Ludowej. Młodzież pleszowska, której część weszła już w tym czasie w wiek dojrzały, uchwaliła przejść na statut Związku Młodzieży Ludowej. Mimo tej secesji od sztandaru Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży dorobek pracy Stowarzyszenia w postaci sali, biblioteki i sprzętów urządzenia sali i sceny przejęło Koło Młodzieży. Mimo to współpraca szkoły i życzliwość ze strony ks. Proboszcza nie ustała. Koło Młodzieży spotkało się ze strony Pana Wincentego Styrylskiego, prezesa Małop. Zw. Młodzieży oraz p. Marii van Wollenowej i p. Inż. Józefa Rosiewicza, kolejnych przewodniczących Okręgowego Zw. Mł. L. W Krakowie z wielką życzliwością. W Kole Młodzieży powstała myśl założenia własnej orkiestry. Już przedtem nauczył kier. Szkoły kilku chłopców gry na skrzypcach (Stanisław Stefański, Stefan Cygan, Józef Gajoch). Teraz zaczął uczyć zespół kilkunastu chłopców znajomości nut, na dużych arkuszach papieru pakowego pisał ćwiczenia, których takty i wartość nut wystukiwali chłopcy, nabierając tak koniecznych wiadomości nim otrzymają instrumenty, których okazji nabycia dopiero poszukiwano. Przygotowanie trwało około 3 miesiące. W tym czasie udało się nabyć: bas w stroju F, 2 waltornie, tenor, baryton, 2 trąbki Es, 1 trąbkę B, altówkę B, trzy klarnety, bęben duży i mały, talerze a osobno dokupiono nowy, duży bas B, i z początkiem września 1931 r. rozpocząłem naukę sposobu zadęcia i odczytywania nut przy pomocy palcowania. Potrzebne wiadomości czerpałem z polskich i niemieckich „szkół” na poszczególne instrumenty. Mimo szczupłych moich możliwości już na Boże Narodzenie poważyła się „orkiestra” wystąpić na chórze w kościele z kilkoma kołedami. Chłopcy zachęeni tym występem, zabrali się do ćwiczeń z jeszcze większą ochotą, a także postarali się o płatnego instruktora w osobie plutonowego orkiestry 20 pułku piechoty tak, że na Wielką Niedzielę 1932 r. orkiestra wystąpiła bardzo składowo w procesji około kościoła. Od tego czasu orkiestra dawała koncerty marszów, walców, polek na placu przed budynkiem gromadzkim i upiększała urządzane w sali uroczystości. W dniu 15 maja 1932 r. odbyła się uroczystość poświęcenia orkiestry i zabawa w sali pałacowej, a dochód z niej posłużył na dokupienie nowych instrumentów. Do pięknego sukcesu tej imprezy przyczyniła się bardzo opieka, jaką otaczali Koło wymienieni uprzednio prezesi a szczególnie inż. Józef Rosiewicz, który zorganizował również dla Koła występ w Krakowie tj. ujęcie na taśmę filmową wesela krakowskiego odegranego przez członków Koła Młodzieży z Pleszowa, a także występ Koła na Wawelu z odegraniem wyjątków z „Kościuszką pod Racławicami” Anczyca. Niestety wkrótce po tym jakby kulminacyjnym punkcie rozwoju kulturalnej pracy Koła Młodzieży nastąpiły wydarzenia, które doprowadziły do zahamowania rozwoju i upadku orkiestry. Skoro wpływy Rządu sanacyjnego objęły Małopolskie Towarzystwo Rolnicze i Małopolski Związek Młodzieży, młodzież pleszowska poddała się pod wpływ akademickiej organizacji młodzieżowej „Znicz” i odrzuciła statut Kół Młodzieży przy MTR mimo, iż jej rodzice zorganizowani w Kółku Rolniczym nadal w nim pracowali a sprawy polityczne omawiali w organizacji politycznej w swoim kole PSL. Dla uniknięcia rozłamu i niezgody zwołałem w porozumieniu z ks. Korzonkiewiczem zebranie porozumiewawcze najaktywniejszej młodzieży, na którym poddano wniosek, by Stowarzyszenie objęło młodzież od 14 do 20 roku życia, a Koło Młodzieży „Znicz” starszych. Sala i inwentarz miał pozostać przy Kole. Dotąd mam w przechowaniu notatkę, kto był za a kto przeciw. Wysiłki porozumienia spełzły na niczym. Doszło do przykrych zajęć z powodu inwentarza, a zwłaszcza instrumentów muzycznych. Oddano do przechowania tylko część, z której bęben duży i mały, klarnet i tenor (czy baryton) wypożyczono gminie w Mogile na jakąś uroczystość. Wybuchła wojna i te instrumenty przepadły. Przepadły również instrumenty pozostałe w rękach niektórych członków orkiestry. Jeden z nich chciał ubocznie sprzedać najdroższy wówczas bas B wartości 600 zł za 50 zł. do Stowarzyszenia Młodzieży w Ruszycy. Bas ten odzyskano. Nowo zorganizowane Koło Młodzieży uzupełniło część instrumentów, orkiestra była czynna, ale wojna rozproszyła jej członków a instrumenty zaginęły. Przykre zajścia skłoniły ks. Fr. Korzonkiewicza do rezygnacji z pracy duszpasterskiej w Pleszowie, gdyż jak się wyraził: „Nie chcę, by moja obecność stanowiła przeszkodę w zbawieniu dusz ludzkich”. Przeniósł się do Inwałdu w powiecie wadowickim, gdzie zdobył sobie dalszymi pracami serca i uznanie nowych parafian. Zmarł po kilku latach pracy na nowym stanowisku, a pogrzeb jego był wielką manifestacją serdecznych uczuć tamtejszych robotników i chłopów dla tego niestrudzonego pracownika społecznego i szlachetnego, ofiarnego, dobrego człowieka. Już w czasie pracy w Pleszowie był odznaczony za pracę społeczno-gospodarczą Złotym Krzyżem Zasługi. Niedługo pozostawała młodzież pleszowska pod wpływem organizacji „Zniczowej”, przechodząc wkrótce na statut Koła Młodzieży Wiejskiej „Wici”. Wojna przerwała jego działalność. O ile po 1918 r. atmosfera radości z odzyskania wolności Polski bardzo sprzyjała opisanym pracom społecznym i rozwojowi organizacji kulturalnych w Pleszowie, to w 1945 r. radość ta była jeszcze większa, bo wynikała z przeświadczenia, że naród uniknął biologicznej zagłady, to jednak życie społeczne wsi i jej rozwój uległo zakłóceniu.

W atmosferze wzajemnej niechęci prace nowych organizacji społecznych nie rozwijały się z takim zapałem jak to było w latach 1918-1939. Członkowie PSL przeciwstawiali się nowemu Stronnictwu Ludowemu, Koło Gospodyń – Koło Ligi Kobiet. Założone po 1945 r. Koło Młodzieży Wiejskiej nie mogło sobie zjednać sympatii dawnych członków. Zdrowy jednak rozsądek stopniowo wyrównuje różnice poglądów politycznych, łagodzi antagonizmy, bo zmuszają do tego problemy nowego życia. Kółko Rolnicze, przemianowane na Gminną Spółdzielnię Samopomocy Chłopskiej, utraciło cały swój dobytek, ale jako organizacja pleszowskich rolników podjęło na nowo wspólne nabywanie nawozów, cementu, wapna, pasz i nasion siewnych. Na tle tej pracy stopniowo dochodzi do uzgodnienia i polepszenia stosunków przeciwnych sobie ugrupowań społecznych. Szkoła w tym czasie nie chciała wchodzić między skłóconych obywateli, pracowała u siebie nad dziećmi, pomagając jednak w każdej imprezie, która służyła ogółowi społeczeństwa. Trudne było to stanowisko szkoły. Liczne zarządzenia Władz, skierowane do wsi, do miejscowych organizacji społecznych o wykonanie pewnych prac w miejscu, opierały się zawsze o szkołę. Im trudniejsze było zadanie (w atmosferze różnicy poglądów politycznych), tym chętniej udawano się do szkoły o pomoc w organizacji i jego wykonaniu.

Z ramienia Zarządu Gminnego w Mogile odbyła się w szkole w Mogile uroczystość otwarcia Gminnej Biblioteki. Wracającemu z dziećmi Janowi Twarogowi tak opisały swoje wrażenia gospodynie z Mogiły, uczestniczki uroczystości: „Kiedy zobaczyliśmy na scenie garstkę (36) drobnych pleszowskich dzieci, pomyślałyśmy: co też one potrafią? – tymczasem za chwilę musiałyśmy osuszać napływające do oczu łzy wzruszenia pod wpływem piękna wykonania pieśni”.

W tym samym roku wykonaliśmy u siebie w Pleszowie bardzo starannie przygotowany obfity program wieczorku ku czci Fryderyka Szopena.

Wychowanie fizyczne i sport

Zawiazkiem prac w kierunku wychowania fizycznego był zespół do gry w piłkę nożną od wiosny 1924 r. przy Katolickim Stowarzyszeniu Młodzieży w Pleszowie. Zakupiono przybory do gier oraz białe-czerwone koszulki na wzór Cracovii i grano zawody z młodzieżą najbliższych wiosek najczęściej na pleszowskim błoni. W okresie członkostwa w Małopolskim Związku Młodzieży Ludowej organizowano w Pleszowie sąsiedzkie zawody lekkoatletyczne: biegi, skoki, rzuty dyskiem, kulą i oszczepem z najbliższymi Kołami Młodzieży. Dnia 28 VI 1931 r. urządzono w Pleszowie powiatowe zawody lekkoatletyczne. Okręgowy Związek Młodzieży przyznał zwycięzcom nagrody i dyplomy. W okresie okupacji pracownik sklepu Kółka Rolniczego, p. Stanisław Koczur, uruchomił zespół do gry w siatkówkę. Grywano przed domem gromadzkim lub na podwórzu szkolnym z zespołami Ruszczy, Igołomii i in. W 1944 r. powstał z inicjatywy pewnego wiedeńskiego sportowca, zatrudnionego przy stadninie koni wojskowych we dworze – zespół do gry w piłkę nożną. Grano mecze z Mogiłą, Branicami, Dojazdowem i in.

Stała organizacja sportowa powstała dopiero po odzyskaniu wolności z inicjatywy studentów: Józefa Cygana, Władysława Kuhla i Juliusza Twaroga. Klub zarejestrowano jako Ludowy Zespół Sportowy i wprowadzono stałe ćwiczenia oraz liczne zawody z zespołami Luboczy, Grębałowa, Łuczanowic, Branic, Ruszczy, Wyciąż, Głębokiej, Mogiły, Bieńczy, Brzegów, Dojazdowa, Czyżyn oraz z drużynami 55 i 56 Brygady Służby Polsce, które kwaterowały w Pleszowie, a pracowały przy budowie Kombinat. Najaktywniejszymi zawodnikami tego okresu byli obok poprzednio wymienionych założycieli: Kazimierz Gajoch, J. Kozub, J. Czopek, Henryk Nowak, Stanisław Suder, Stanisław Rosiewicz, Franciszek Szywalski, Ryszard Cygan (ze dworu), Ryszard Cygan (syn Jana z Pleszowa), Antoni Wosiek, Tadeusz Suder, Jan Zasada, A. Laszkiewicz, S. Adamski, J. Waliss, J. Kalisz, Fr. Zięba. Prowadzono również ćwiczenia lekkoatletyczne i grę w siatkówkę.

W 1952 r. objęli kierownictwo Ludowego Zespołu Sportowego ob. Feliks Adamski i J. Sadlik. Zarejestrowali zespół w federacji sportowej „Kolejarz” i już w 1953 r. grają chłopcy w C-klasie okręgu krakowskiego, a wkrótce awansują do B-klasy. Niestety w 1955 r. klub przestał istnieć z powodu kradzieży wszystkich przyborów i butów piłkarskich z niestrzeżonego magazynu przy boisku sportowym.

W 1956 r. reaktywowano klub pod nazwą „Pleszowianka”, który z początku z dużym powodzeniem zdobywał punkty w C-klasie, ale potem osłabł w zapale, nie zgłaszał się w komplecie na obowiązkowe zawody, tracił punkty „walkowerem” i w końcu zapadł w bezczynność.

W latach 1928 – 1932 czynny był w Pleszowie Oddział Przysposobienia Wojskowego i Wychowania Fizycznego. Zajęcia prowadził bardzo starannie O. Jan Wilczek, kapral rezerwy.

Szkoła nie posiadała sali gimnastycznej ani odpowiedniego boiska do ćwiczeń. Do tego celu wykorzystywała szkoła boisko klubu sportowego na błoni gromadzkim.

Kursy oświatowe i gospodarcze

Organizacje społeczne w Pleszowie przeprowadzały co pewien czas dla swoich członków kursy szkoleniowe. Kółko Rolnicze – prowadziło kursy i poletka upraw rolnych i hodowli zwierząt domowych.

Koło Młodzieży – poletka doświadczalne, kurs kroju i szycia.

Koło Gospodyń oraz Koło Ligi Kobiet – kurs szycia, gotowania i pieczenia ciast.

Szkoła przeprowadziła:

Kurs uzupełniający program szkół III stopnia przed II wojną światową. Kurs ukończyło 17 uczestników wobec komisji egzaminacyjnej w osobach wizytatora K.O.S. Kr. Białasa, Insp. Szkoln. Feliksa Sidorowicza i Insp. pracy kulturalnej Ferdynanda Gągoli.

Kursy analfabetów, które ukończyło z dobrym wynikiem 21 uczestników.

Kursy analfabetów oraz kursy dokształcające dla 55 i 56 Brygady Służby Polsce. Uczestnikami byli młodzi chłopcy z różnych stron Polski. Wieczorami szczupły budynek szkolny napełniał się ponad 200 uczestnikami. Lekcje prowadziło nauczycielstwo tut. szkoły oraz oficerowie i podoficerowie Brygad Służby Polsce.

Jednoklasowa szkoła ludowa

Od 31 VIII 1874 r. przestała pracować szkoła w Pleszowie jako parafialna a rozpoczęła istnieć jako jednoklasowa szkoła ludowa w wynajętej izbie w domu Marianny Partyliny (u Gizów).

Ustawa Sejmu galicyjskiego z 1872 r. stworzyła w Galicji dwa typy szkół:

małomiasteczkowe – wiejskie
miejskie o szerszym zakresie nauki

Stanowy ten system szkolny, krzywdzący był dla mas ludowych i szkodliwy dla całokształtu kultury narodowej. Powstała jak na owe czasy stosunkowo duża ilość szkół lecz przeważnie tylko o 1 nauczycielu. Wiele dzieci nie chodziło do szkoły z powodu znacznych nieraz odległości niektórych wsi od wioski, w której była szkoła. Toteż stan oświaty był niski. W 1890 r. było 67% analfabetów, w 1900 r. – 56%. W latach wojny 1914-18 była w szkole nauka ale często przerywana z powodu ewakuacji wsi, zakwaterowania wojska a później z braku opału. (...)

Po przeniesieniu się p. Wojciecha Zawady do powiatu chrzanowskiego rozpoczął pracę w szkole pleszowskiej od 1 V 1920 r. Jan Twaróg. Wraz z nim pracują: Helena Ligęzianka, Maria Józefczakowa, Waleria Figwerówna. Liczba dzieci w szkole przekracza 200. W 1923/24 roku przybywa piąty nauczyciel Henryk Flis. W 1924/25 jest w szkole tylko 170 dzieci z powodu 50% śmiertelności dzieci wśród rocznika 1917, który miał wstąpić do I klasy. Od 1 I 1925 r. otrzymała szkoła organizację czteroklasowej (przyznano 4 stałe etaty nauczycielskie) Równocześnie nadano szkole imię Ks. Hugona Kołłątaja, na wniosek kierownictwa szkoły. Ks. H. Kołłątaj, reformator Uniwersytetu Jagiellońskiego, współtwórca Konstytucji 3 Maja, mieszkał pewien czas w pałacu w Pleszowie. W latach następnych waha się liczba dzieci w szkole od 180 do 200 a uczy 4 siły naucz. Gdyż H. Flis odszedł do szkoły w Dojazdowie. W 1924 r. przybyła w miejsce p. Walerii Figwer, przeniesionej do szkoły w Luboczy, p. Genowefa Twarogowa z domu Wojnarowska. 28 II 1933 r. dzieci szkolne i licznie zebrani mieszkańcy Pleszowa ze łzami w oczach żegnali odchodzącą w stan spoczynku po 35 latach pracy nauczycielskiej (w tym blisko 33 latach w szkole pleszowskiej) p. Helenę Ligęziankę, składając jej podziękowanie za pełną poświęcenia pracę wychowawczą i wręczając jej pierścień pamiątkowy wraz z dyplomem honorowej obywatelki Pleszowa. W 1933/34 roku jest w szkole 209 dzieci. Na miejsce H. Ligęzianki przybył bezpłatny praktykant nauczycielski, p. Józef Handzlik. Przykre to jest, że w naszej niedawno odrodzonej Ojczyźnie szerzy się bezrobocie i kandydat do pracy, mimo uzyskanych kwalifikacji, musi podjąć pracę bez wynagrodzenia w nadziei, że po roku otworzy się dla niego miejsce z wynagrodzeniem. Wymieniony zawdzięcza możliwość przetrwania tak trudnych warunków życia zacnemu proboszczowi pleszowskiemu, ks. Fr. Korzonkiewiczowi, który dał mu u siebie pomieszczenie i utrzymanie. J. Handzlik pochodził z biednej rodziny. Obowiązki szkolne wypełniał bardzo starannie, po ukończeniu rocznej praktyki otrzymał zatrudnienie w szkole w powiecie krakowskim. (...)

Pewnego dnia udałem się do Mogiły do p. Inż. Kazimierza Cieślewicza, ówczesnego naczelnika gminy i przedstawiłem mu warunki życia szkolnego: dwie sale przy 5 siłach nauczycielskich, i liczbie dzieci przekraczającej 200. Szczególnie podkreśliłem brak pomieszczenia, gdzie by zimą przybyłe dzieci mogły zdjąć przemoczone płaszcze i zagrzać zziębłe nogi. Wskazałem na możliwość polepszenia tego stanu przez wykonanie drewnianej nadbudowy szkoły, której koszt obliczył zdolny i doświadczony mistrz ciesielski, Andrzej Kardas z Pleszowa, na

lokalu. Zrozumiałem również stanowisko mego kolegi, który wcześniej nie pomagał przy remoncie, bo wiedział, że szkoła weszła mimo woli w zajęty już lokal, czego ja dotąd nie byłem świadomy. W tej miłej choć małej szkółce doczekaliśmy dnia wyzwolenia.

Pewnego dnia tuż przed wyjazdem Niemców przybiegł do mnie sąsiad sprzed szkoły Józef Partyła, bardzo przerażony, bo u niego w szopie mieli złożoną paszę dla koni, prasowaną w kostki, mówiąc, że Niemcy chcą ją podpalić, aby pasza nie wpadła w ręce radzieckie. Jeżeli podpaliliby mu szopę, to spłonąłby również dom mieszkalny, drewniany, kryty słomą. Pobiegnę z Partyłą do jego domu i proszę w jego imieniu o zaniechanie tego zamiaru. Podoficer poczęstowany wódką przez gospodarza po dłuższej chwili zgadza się, pod warunkiem usunięcia paszy przez rozdanie jej wielkiej ilości ludziom w ciągu 2 godzin. Pobiegnę do sołtysa, by zorganizował pojazd, a ja młodzież do wyrzucania paszy do podstawionych wózków, taczek lub worków. Opróżnianie szopy trwało nieco dłużej, ale dom został uratowany, a pasza przydała się w wielu pleszowskich gospodarstwach. Niedługo później przybiegła do mnie p. Maria Gębalowa, mówiąc, że Niemcy zabierają jej ostatniego konia. Prosiła o interwencję. Mimo powstrzymywania mnie przez żonę i panią Dudkową, argumentem, że Niemcy są rozgniewani klęską – poszedłem. Rzeczywiście, Niemiec odprowadzał już konia. Zbliżyłem się, tłumacząc, że gospodyni oddała już 2 konie, ten ostatni konieczny jej będzie w gospodarstwie, że gospodyni odwdzięczy się żywnością na drogę. Niemiec oddał uzdę właścicielce.

Dnia 23 stycznia 1945 r. zabraliśmy się do oczyszczania naszego budynku szkolnego po kwaterunku wojsk niemieckich i przechodzących oddziałów radzieckich. Z pomocą dzieci rozebrałem ścianki działowe zbite z desek przez Niemców oraz przybudowaną do południowej ściany drewnianą, zbitą z desek kuchnię. Dzieci wyniosły z sal słomę, pozamiatały podłogi, a matki je umyły. Podjęliśmy naukę we wszystkich pięciu klasach w dniu 27 stycznia 1945 r.

Światło elektryczne

W zimie 1945 na 46 zawiązaliśmy w Pleszowie pierwszy komitet elektryfikacyjny. Celem jego było przeciągnięcie linii elektrycznej z Mogiły, która już kończyła u siebie elektryfikację, do Pleszowa i Kujaw. Kosztorys linii i 2 transformatorów nie przekraczał 2 mln. zł. Na próżno Komitet przedstawiał, jak życie kulturalne i gospodarcze wsi podniesie się po zastosowaniu światła i mocy elektrycznej, na próżno kierownik szkoły, jako księgowy Kółka Rolniczego wykazywał, że 2 mln zł na elektryczność nie jest dużą kwotą, bo taką w ciągu roku przepito i przepalono w sklepie Kółka. Wniosek Komitetu razem z nim upadł. Dopiero po pół roku, gdy materiały elektrotechniczne bardzo (prawie dwukrotnie) zdrożały, powróciła chęć sprowadzenia prądu. Posłużyły do tego prawdopodobnie rozmowy z sąsiadami z Luboczy, która pospieszyła się i już z prądu korzystała, a także wzrosło zaufanie do nowo wybranego, energicznego Komitetu, na którego czele stanęli: Stanisław Kuhl, Józef Mól, sołtys oraz Jan Gajoch – z osiedla. Ich usilnej pracy a także dzięki energicznemu zbieraniu deklaracji i zaliczek udziałowych, ukończono budowę linii i transformatorów wiosną 1947 r., a w dniu 4 maja 1947 r. odbyło się poświęcenie oraz wieczornica w sali gromadzkiej. Koszt elektryfikacji zbliżył się do kwoty 4 mln. zł. Wszystkim pracownikom zasłużonym w tej trudnej, ale szczęśliwie zakończonej akcji, nazwanej w książce pamiątkowej tytułem: „Jaśniej w domu – szczęśliwiej w życiu”, podziękowała młodzież szkolna stosownie do okoliczności ułożoną piosenką „Pleszówku, Pleszówku, ty ładna wiosieczko”. Tekst piosenki z melodią wpisano w książkę pamiątkowej pod obrazkiem transformatora namalowanym akwarelą przez p. Janinę Kolesnik, nauczycielkę szkoły w Pleszowie. Było to podziękowanie od szkoły za wprowadzenie prądu do sal szkolnych, który umożliwił stosowanie w nauce rzutnika, episkopu i aparatu projekcji filmowych.

Jan Twaróg, kierownik szkoły w Pleszowie w latach 1920-1958

Wyciąg z dokumentów służbowych i osobistych

Okręg Szkolny Krakowski, Data wypełniania: 15 VIII 1945 r.

Inspektorat szkolny

- I. Nazwisko i Imię: Twaróg Jan
- II. Stanowisko służbowe: kierownik szkoły powszechnej w Pleszowie
- III. Data i miejsce urodzenia: 1 lipca 1893 r. w Łuczanie wicach p. Krakowski
- IV. Narodowość: polska

V. Stan rodzinny: żonaty

Stanowisko żony: nauczycielka szkoły powszechnej w Pleszowie

Ilość dzieci na utrzymaniu:

1. Stanisław, ur. 27 czerwca 1925 r. uczeń II kl. licealnej

2. Juliusz, ur. 2 lipca 1928 r., uczeń I kl. licealnej

3. Anna, ur. 21 stycznia 1937 r., uczennica III kl. szk. powsz.

Wykształcenie: Państwowe Seminarium Nauczycielskie z Egz. Dojrz. Z d. 21 VI 1912. L. 58. W Krakowie

Kwalifikacje zawodowe: 1. Egzamin kwalifikacyjny w Krakowie 26 X 1915. L. 508 2. W.K.N. w Krakowie z dn. 28 X 1932. L. 165.

Przebieg służby państwowej do dnia 1.IX.1918 r.:

Od 1 IX 1912 do 31 XII 1912 zastępstwo chorej nauczycielki w 4 klasowej szkole powszechnej w Prądniku Czerwonym

Od 1 I 1913 do 31 X 1918 tymczasowy nauczyciel w 4 kl. szkole powszechnej w Mogile.

Przebieg służby państwowej polskiej od 1 IX 1918 r.:

Od 1 XI 1918 do 28 II 1919 – nauczyciel tymcz. Szkoły 4 kl. w Mogile

Od 1 III 1919 do 1 IX 1920 – nauczyciel tymcz. Szkoły 4 kl. w Luboczy

Od 1 IX 1920 do 1 IV 1921 – tymcz. Nauczyciel kierujący 2 kl. szkoły w Pleszowie

Od 1 IV 1921 do 1 IX 1926 – stały nauczyciel kierujący szkoły w Pleszowie w drodze konkursu (Kurat. Okr. Szk. Lwowskiego d. 8 IV 1921 L. 8443 /I)

Od 1 IX 1926 do 1 IX 1939 – stały kierownik szkoły 4 klasowej w Pleszowie (Kuratorium O. Szkoln. Krakowsk. 23 IV 1926 L. 5511)

Przebieg pracy zawodowej w okresie okupacji (od 1 IX 1939 – 31.XII.1944):

Od 1 IX 1939 do 31 XII 1944 – kierownik szkoły w Pleszowie i naucz. Klasy w 24 do 30 godz. Tyg. (Starosta Pow. VII A. Nr. 1268/1940 23 VIII 1940)

Tajne nauczanie:

Od 1 IX 1943 do 15 II 1945 uczyłem mimo zakazu władz zaborczych 8 uczniów i uczennic. Z tych jeden uczeń zdał tzw. małą maturę przed Tajną Komisją w mieszkaniu p. Wiz. Michalskiego w Krakowie, ul. Kanonicza, drugi zdał dwie klasy gimn. przed Tajną Komisją u prof. Niemca w Krakowie, ul. Szlak (Świadek p. Insp. Witek, tam obecny). Pięciu uczniów zdało pierwszą klasę gimn. Zaraz po wypędzeniu okupantów, uczęszczając zaraz potem do II kl. i przechodząc z końcem lipca br. do kl. III. Jeden uczeń, któremu udzielałem lekcji historii i geografii Polski, syn ukrywającego się przed okupantami kierownika szkoły, ukończył obecnie I kl. gimn. Uczyłem przeważnie wszystkich przedmiotów, przeciętnie po 18 godz. tyg. Przez krótki czas uczył ze mną religii, historii i geografii książd Stanisław Sikora. Pracę moją notował ob. Celiński Józef, kier. Szkoły w Bieńczykach, który prowadził tam tajny komplet.

Przebieg państw. Służby nauczycielskiej po dniu 1.I.1945 r.

Od 1 I 1945 do dzisiaj – kierownik szkoły powsz. W Pleszowie (III st. O 5 siłach n.) – na podstawie poprzednich dekretów grupa uposażenia w dniu 1 VIII 1939 r.: VII

Urlopy bezpłatne w ciągu całej służby: nie miałem

Przerwy w służbie: nie miałem

Prawdziwość podanych szczegółów stwierdzam własnym podpisem, biorąc na siebie pełną odpowiedzialność sądowo – karną za fałszywe niezgodne z prawdą przedstawienia dat i faktów.

W Pleszowie dnia 15 VIII 1945 r.

Jan Twaróg

Zaświadczenie

Podpisani przedstawiciele organizacji społecznych w osiedlu Pleszów poświadczają, że ob. Jan Twaróg pracował od 1 maja 1920 do 31 sierpnia 1958 r. jako nauczyciel i kierownik szkoły podstawowej w Pleszowie, niezwykle ofiarnie i nieprzerwanie przez 38 lat nie tylko z dziećmi szkolnymi w szkole, ale również w miejscowych organizacjach społecznych dla dorosłych, do których założenia pracą swą się przyczynił.

Na szczególne wyróżnienie zasługuje jego 20 letnia praca w Kółku Rolniczym, a później w Gminnej Spółdzielni Samopomocy Chłopskiej w Pleszowie w charakterze sekretarza i księgowego. Należne mu bardzo skromne wynagrodzenie latami odkładał a po uzyskaniu w ten sposób kwoty 1100 zł wystąpił z projektem wykonania koniecznej nadbudowy szkoły, która dotąd posiadała zaledwie dwie sale do nauki dla przeszło 250 dzieci i tylko jedno mieszkanie dla nauczyciela. Oprócz wspomnianej kwoty uzyskał z Kółka Rolniczego zapewnienie wpłaty na nadbudowę 3000 zł pożyczki i 500 zł bezwrotnej darowizny, gdyż Zarząd Kółka Rolniczego i Rada Gromadzka chętnie poparła inicjatywę kierownika szkoły. W 1938 r. ukończono nadbudowę piętra za cenę ponad 16 tys. złotych. Szkoła uzyskała przez to trzy nowe sale do nauki i drugie mieszkanie nauczycielskie. Trudno opisać, ile musiał wykonać prac i zabiegów, aby uzbierać tak poważną kwotę w czasach przedwojennych tylko ze źródeł społecznych, gdyż żadnej dotacji państwowej za pośrednictwem Władz szkolnych nie otrzymano.

Dzięki pracy kierownika szkoły i życzliwej szkole współpracy Gromady Pleszów zyskała młodzież szkolna na długie lata lepsze warunki zdrowia i nauki.

Wiele również zawdzięczają pracy tego kierownika Rada Gromadzka i organizacje młodzieżowe jak: Ochotnicza Straż Pożarna i Koło Młodzieży, których był współzałożycielem i motorem ich długoletniej i owocnej dotąd działalności dla rozwoju kulturalnego Gromady.

W okresie okupacji, gdy budynek szkolny zajęły oddziały niemieckie, organizował naukę na boisku w stodole Rosiewiczów, po nastaniu zimy w użyczonym przez ob. Jana Bańdura bezinteresownie izbie, a gdy i to zabrali dla siebie Niemcy, wyremontował opuszczony dom poza cmentarzem, przy pomocy ofiarnych dzieci, i tam kontynuował nauczanie do dnia wyzwolenia. Prowadził też równocześnie wraz z żoną i ks. Prefektem Stanisławem Sikorą komplet tajnego nauczania.

Zaświadczenie to wydaje się temu niestrudzonemu i zasłużonemu pracownikowi, by w razie potrzeby mógł on, czy też jego rodzina uzyskać pewne ulgi mieszkaniowe w uznaniu zasług i ofiar przy rozbudowie szkoły.



Jan Twaróg wśród uczniów ze Szkoły Powszechnej IV klasowej w Pleszowie, ok. 1925 r.



Wesele Jana Twaroga i Genowefy z Wojnarowskich, 1924 r.



Jan Twaróg, ok. 1920 r.



Rodzina Jana Twaroga. Od lewej: syn Stanisław, żona Genowefa z Wojnarowskich, syn Juliusz, Jan Twaróg, mama Maria, ok. 1930 r.



Stanisław i Juliusz przed szkolnym ogrodem w Pleszowie z zabawkami zrobionymi przez ich ojca – Jana Twaroga, ok. 1933 r.



Rodziny Jana i Franciszka Twarogów oraz ich znajomi, Pleszów, ok. 1932 r.



Jan Twaróg z dziećmi: Stanisławem (ur. 1925), Anną (ur. 1937) i Juliuszem (ur. 1928)



Szkoła Podstawowa w Pleszowie, lata 40-50. XX w.



Dzieci ze szkoły w Pleszowie, z tyłu od lewej stoją: ks. proboszcz Franciszek Korzonkiewicz, wikary, ksiądz Zbigniew Puzyna, (krewny kardynała Jana Puzyny) Jan Twaróg, Genowefa Twarogowa, ok. 1925 r.



Dzieci ze Szkoły Powszechnej w Pleszowie, 1932 lub 33 r. I rząd od lewej: ?, Jan Rosiewicz s. Stanisława, Białota (powiedział po zrobieniu grupowego zdjęcia: „Nie bolalo!”), Jakub Szywalski (zmarł młodo na gruźlicę), ?, Marian Malinka (był bardzo zdolny), II rząd: Juliusz Twaróg s. Jana (zrobił z ust cienki „dziubek”, bo chciał wyjść na zdjęciu szczupło), Krystyna Wolińska, Teresa Srokówna, Stanisław Twaróg s. Jana, Cienia Cygan, ?, ?, III rząd: ?, Zofia Gębalanka, ?, nauczycielka Genowefa Twarogowa, żona Jana, ?, ?, IV rząd: Król, ?, ?, Eugeniusz Cygan, ?, ?



Przedstawienia teatralne wykonywane z udziałem młodzieży pleszowskiej: „Śluby Panieńskie” – 1947 r.,



„Macieju, Macieju a gdzie ty jedziesz?” – 1948 r.



Dawna karczma, Dom Gminny, Urząd Pocztowy, Zlewnia Mleka, Sklep PSS, Remiza Strażacka. Z drugiej strony znajdowała się sala Koła Młodzieży Wiejskiej „Wici”, fot. Władysław Rospondek



Sypanie kopca Józefa Piłsudskiego na Sowińcu przez dzieci z Pleszowa, pośród uczniów Jan i Genowefa Twarogowie, 1936-37 r.



Wycieczka szkolna do Wieliczki, 27 września 1953 r.



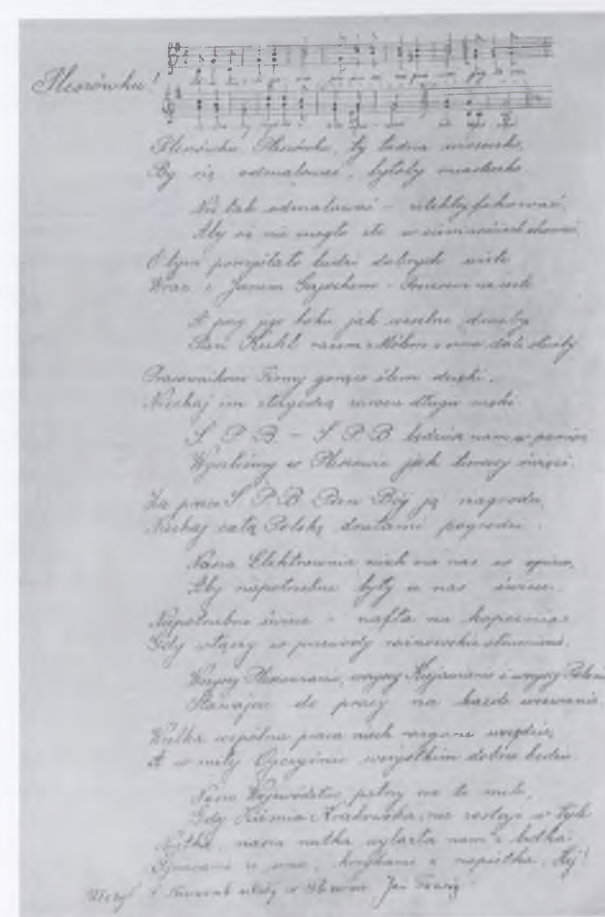
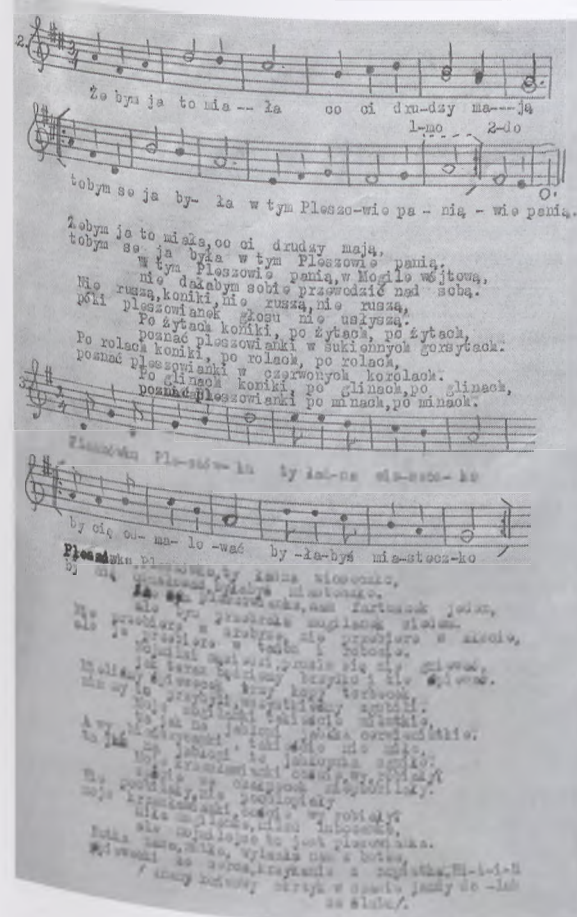
Uroczyste pożegnanie odchodzących na emeryturę Jana i Genowefy Twarogów, Pleszów, 1958 r., fot. Władysław Rospondek



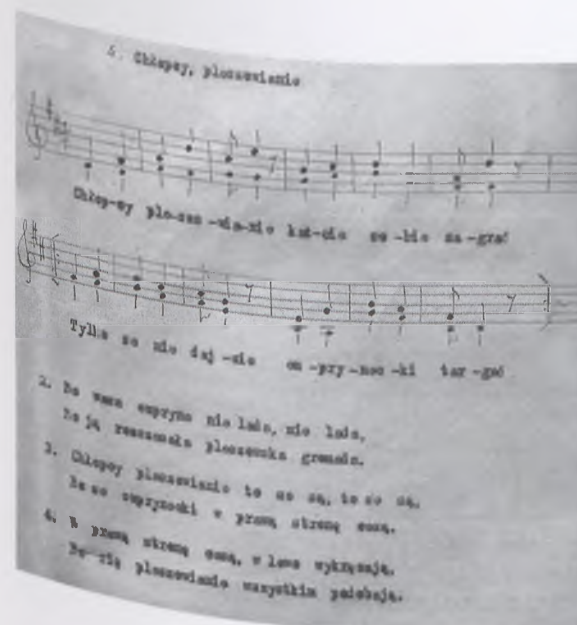
Bracia: Jan i Franciszek Twarogowie - giganci pracy wychowawczej, oświatowej i patriotycznej, Nowa Huta, ok. 1960 r.



Ks. proboszcz Antoni Góralik składa podziękowanie za pracę Janowi Twarogowi, 1958 r.



Fragmenty przyśpiewek ludowych zebranych przez Jana Twaroga oraz ułożona przez niego piosenka „Pleszówku, Pleszówku”, która miała kilka wersji śpiewanych na różne okazje



Jan Twarog z żoną Genowefą, ok. 1960 r., Fot. Anna Twarog

Genowefa Twarogowa z d. Wojnarowska (ur. 19.11.1898 r., zm. 28.03.1976 r.)

Ukończyła Żeńskie Seminarium Nauczycielskie w Krakowie w 1919 r. Jako nauczycielka pracowała od 22.08.1919 r. w Tresnej, od 1.09.1920 r. w Nowej Wsi Szlacheckiej, od 1.09.1921 r. w Luboczy a od 1.10.1924 r. w Pleszowie. W okresie od 1.09.1939 r. do 18.02.1945 r. miała przymusową przerwę w pracy na skutek zarządzeń niemieckiego okupanta. Po przejściu na emeryturę w 1958 r. uczyła jeszcze w niepełnym wymiarze godzin w szkole podstawowej w Nowej Hucie. Była nauczycielką bardzo gorliwą, a zarazem wielką przyjaciółką dzieci i młodzieży, do których miała serdeczne, matczyne podejście. Mimo odsunięcia jej od pracy z dziećmi w czasie okupacji, była zaangażowana w tajne nauczanie, które w rodzinnym mieszkaniu w szkole, prowadził Jan – jej mąż. Była dla niego wielką podporą i przyjaciółką, przejmując na siebie większość obowiązków domowych, a zwłaszcza tych związanych z wychowaniem trójki dzieci: Stanisława, Juliusza i Anny. Jej dzielna, pełna ofiarności postawa umożliwiła jej mężowi poświęcenie całego czasu szkole i podejmowanym przez niego niezliczonym pracom dla dobra wspólnego całej społeczności Pleszowa. Genowefa Twarogowa szczególnie dużo ciepła okazywała sierotom, które mieszkaly w zakładzie wychowawczym, prowadzonym przez Siostry Bożej Miłości w Pleszowie. Pozostała na długie lata we wdzięcznej pamięci nie tylko swoich wychowanków, ale i tych wszystkich, których spotkała na drodze swego pracowitego życia.



W IV Klasowej Szkole Powszechnej w Pleszowie, w głębi nauczycielka – Genowefa Twarogowa, lata 20. XX w.

Wspomnienia Katarzyny Gajoch-Witaszek o rodzinie Walentego Gajocha z Pleszowa



Ród Gajochów można zaliczyć do najdawniej zamieszkałych w Pleszowie rodzin. W kronice parafialnej notowany jest (obok: Gawłów, Stefańskich, Kaszowskich, Partyłów, Cyganów, Rosiewiczów) od XVII wieku. Wcześniejsze kroniki zostały spalone podczas „Potopu Szwedzkiego”. W tym samym czasie rodziny Gajochów mieszkaly również w Luboczy i Ruszcy, gdzie ks. Proboszcz Kajetan Kulpiński zanotował: „10 stycznia 1791 r. ochrzczony syn Paweł pracowitych Tomasza i Jadwigi Gajochów”. Po latach w rejestrze ślubów zapisano: Paweł Gajoch lat 32 i żona jego Jadwiga w dniu 15 sierpnia zawarli związek małżeński w tutejszym kościele.

W rejestrze ludności katolickiej w roku 1792 ks. Andrzej Jurkowski proboszcz pleszowski wymienia Stanisława Gajocha i jego żonę Katarzynę, zamieszkałych w domu pod nr. 27, którzy mieli 6 synów (Marcin lat 24, Wawrzyniec lat 22, Franciszek lat 20, Józef lat 12, Maciej lat? i ...), dwie córki i służącą. Wspomniany powyżej ks. Proboszcz Andrzej Jurkowski – pleban pleszowski w latach 1760-1790 – zostawił po sobie i inne cenne notatki, które znalazłam w Archiwum Wojewódzkim w Krakowie. W jednej z nich zapisano „Gaweł z Gajochem ma zatrzymaną i nie wypłaconą dziesięcinę za rok 1778, 79, 80, 81, 82, 83”. Ta odważna, buntownicza postawa naszych przodków spodobała mi się bardzo. W roku 1771 zanotowano: „kmięcie wsi Pleszowa (podano ich 15, a między nimi Walentego Gajocha), dziedzicznej Księcia Kazimierza Czartoryskiego Łowczego Koronnego, robią po 5 dni ciągłych, mają grunta ku Mogile, ku Ruszcy i Branicom”. W 1780 r. w Rejestrze dziesięciny z Przemiarków kmiących (nazwa pól pleszewskich) do plebani należących figuruje Stanisław Gajoch.

Ród Gajochów, oprócz pewnej zamożności i dużej ilości dzieci, musiał się cieszyć dobrą opinią sąsiadów. Jeden z synów Stanisława, wymieniony w rejestrze ks. Jurkowskiego, był naszym pradziadkiem. W rodzinie dziadków (Józef Gajoch i Marianna Cichy) było trzech synów: Walenty, Piotr i Stanisław oraz córki: Helena, Anna, Antonina i Marianna(?).

Dziadek, jak wspominał ojciec, był mądrym i lubianym człowiekiem. Musiał również zyskać uznanie i zaufanie chłopów, bo przez kilka lat był wójtem. Najstarszy z synów WALENTY GAJOCH (1864-1942) był naszym ojcem. Młodszy od ojca o 2 lata Piotr (1866) został oddany do gimnazjum w Krakowie. Najmłodszy Stanisław (1877) przeznaczony był na ojcowiznę, był jednak słabego zdrowia. Po pewnym czasie rozchorował się poważnie na płuca i zmarł w 1902 r. Piotr musiał wrócić, by prowadzić gospodarstwo. Ożenił się z Józefą Partyłanką z Luboczy i mieli 8 dzieci: Józefa, Jana, Stanisława, Władysława, Piotra, Wincentego, Marię i Wiktorię.

W 1890 r. w wieku lat 26 najstarszy syn Józefa Walenty, poślubił 19-letnią Katarzynę Buczkównę (1871-1949), naszą mamę. Zamieszkali w jej rodzinnym domu na Kujawach. Mama była sierotą. W pierwszym roku życia straciła matkę, a w wieku 15 lat ojca.

Najstarszy ich syn, Piotr, urodził się w roku 1891. Po ukończeniu 21 lat został powołany do wojska austriackiego. W 1916 r. w walkach koło Kraśnika został ranny. Po wyleczeniu wrócił na front. Dostał się do niewoli rosyjskiej (?) i został zesłany na Sybir. Uciekał z niego dwukrotnie. Druga ucieczka się udała. W maju 1918 r. wrócił do domu rodzinnego. W tym samym roku we wrześniu poślubił Małgorzatę Jarzynównę, córkę znanego działacza ludowego. Mieli 6 dzieci: Jana, Stanisława, Zofię, Józefa, Rozalię i Marię. W 1920 r. brał udział w obrobie Warszawy. W 1939 r. od pierwszych tygodni okupacji należał do organizacji wojskowej ZWZ (Związek Walki Zbrojnej). W kwietniu 1940 r. został aresztowany przez Gestapo, w czerwcu wywieziony do Oświęcimia (nr 982) a w lipcu 1941 r. rozstrzelany pod „Ścianą Śmierci”.

Drugi syn, Walenty – imiennik ojca – urodzony w 1893 roku, był członkiem koła młodzieży w Pleszowie. Brał również udział w pierwszej wojnie światowej. Dwa razy ranny w płuca przechodził operacje i kilka miesięcy leżał w szpitalu w Krzeszowicach i w Nowym Targu. W 1925 r. zawarł związek małżeński z Anastazją Nawarówną z Węgrzec. Mieli dwoje dzieci: Józefa i Mariana. Walenty i Anastazja bardzo ciężko pracowali na swoim 16 morgowym gospodarstwie. Walenty pod koniec życia kilka lat chorował i zmarł w 1963 roku, w wieku 70 lat, na marskość wątroby.

Z kolei w rodzinie Katarzyny i Walentego Gajocha przyszły na świat dwie córki:

Helena – urodzona w 1896 r. – była przystojną i dobrą dziewczyną o dużych ładnych oczach. W roku 1920 poślubiła Wojciecha Jarzynę, brata żony Piotrusia. Po urodzeniu i śmierci synka Tadeusza, sama zachorowała i zmarła w Krakowie w 1922 r.

Józefa – urodzona w 1898 r. W 1916 r. panowała w Krakowie i wsiach okolicznych epidemia szkarlatyny. W naszej rodzinie oprócz dwóch najmłodszych córek, Jadwisi i mnie, starsze rodzeństwo musiało przebywać w szpitalu. Była mroźna zima. Po kąpieli w szpitalu O.O. Bonifatów Józia dostała zapalenia płuc. Niestarannie leczone stało się początkiem gruźlicy. Zmarła w kwietniu 1916 r. w wieku lat 18-tu.

Na przełomie wieków, w roku 1900 urodził się trzeci syn, Jan. Od najmłodszych lat dużo czytał. Zapisany do gimnazjum, czytał nocami przy świecy. Zachorował poważnie na oczy tak, że musiał przerwać naukę. W roku 1921 jako żołnierz brał udział w Trzecim Powstaniu Śląskim. Po założeniu w Pleszowie Koła Młodzieży pełnił w nim różne funkcje, do prezesa włącznie. Był również prezesem powiatowym ZMW „Wici” i Stronnictwa Ludowego. Za odważne przemówienia i strajki rolne przebywał w więzieniu. Od pierwszych miesięcy okupacji jako przewodniczący trójki politycznej „Rocha” (Ruch Oporu Chłopskiego) organizował konspirację w całym powiecie krakowskim. Dwa razy więziony przez Niemców, ratował się ucieczką. Po „wyzwoleniu”, za krytykę ustroju, za obronę ziemi przed zalewem przemysłu był więziony kilka razy.

Jan w 1937 r. poślubił Zofię Tynorównę z Czyżyn. Mieli dwie córki: Marię i Zofię. Więzienia zniszczyły mu zdrowie, ale nie złamały ducha. Zmarł na serce w 1968 r. w wieku 68 lat, jeszcze we własnym domu wśród trujących dymów Nowej Huty. Żegnało go 14 sztandarów i setki ludzi.

Czwarty syn Gajochów Józef, urodził się w 1903 roku, był również chłopcem bardzo zdolnym, ale do gimnazjum nie miał ochoty iść. Wolał zostać rolnikiem, bo bardzo kochał ziemię i niezależność. Podobnie jak Janek pracował społecznie. W kole młodzieży pełnił funkcję sekretarza, brał udział w kursach oświatowych, przedstawieniach i zjazdach. Należał do orkiestry, dużo czytał. W okresie okupacji pomagał Jankowi w organizowaniu trójek gromadzkich, kolportował prasę konspiracyjną, ukrywał i dożywiał żołnierzy uciekających z transportów kolejowych. Na naszym strychu w starej stodole ukrywali się różni działacze, m.in. „Zawojna”. W stodole odbywały się również zebrania konspiracyjne i uroczystości narodowe. Od 1943 r. był gminnym komendantem LSB (Ludowa Straż Bezpieczeństwa). Zbierał materiały do konspiracyjnego pisma „Ziemia” wydawanego w Mogile. Po wyzwoleniu pracował na własnym gospodarstwie i pomagał bratowej podczas spowodowanej aresztowaniami nieobecności brata Janka. W dalszym ciągu był czynnym członkiem SL i działał w powiatowym zarządzie Kółek Rolniczych.

Dopiero w 1949 r., po śmierci mamusi, założył własną rodzinę. Ożenił się z miłą i mądrą „wiciarką” Zosią Stefańską. Mieli 3 córki: Annę, Urszulę i Katarzynę. Po wywłaszczeniu Józef dzierżawił dwa morgi ziemi i dalej gospodarzył aż do ostatnich sił, do 82 roku życia. Zmarł w 1985 r. Żegnało go 11 zielonych sztandarów.

W 1905 roku urodziła się córka Marysia. Uczyla się dobrze i chciała uczyć się dalej, ale po śmierci Józia i doku-pieniu pola, potrzebna była w gospodarstwie. Podobnie jak starsi bracia była czynnym członkiem Koła Młodzie-ży. Brała udział w konkursach rolniczych, kursach oświatowych, kursach gotowania i szycia. W 1933 r. wchodziła w skład zarządu koła i była jego skarbniczką. W roku 1934 wyszła za Stefana Cygana. Mieli 3 córki: Krystynę, Halinę i Marię. W okresie okupacji siostra należała do LZK (Ludowego Związku Kobiet). Stefan w kole młodzie-ży należał do orkiestry i chóru, był dobrym artystą i chętnie pomagał w organizowaniu nowych kół we wsiach okolicznych. W okresie okupacji należał do BCh, rozprowadzał pisma konspiracyjne. Po śmierci rodziców ce-lem ułatwienia kształcenia dzieci Cyganowie sprzedali gospodarstwo i zamieszkali w Krakowie. Maria zmarła w 1996 r. W 1908 r. urodził się Stanisław i w tym samym roku zmarł. W 1910 r. przyszła na świat ja – Katarzyna. Byłam dzieckiem wątłym i niechcianym. Często chorowałam, ale uczyłam się dobrze. Dzięki namowom pana kierownika szkoły, Jana Twaroga, postanowiono mnie dalej kształcić. Trudne warunki materialne rodziców sta-nęły na przeszkodzie ukończenia gimnazjum i studiów wyższych. Po ukończeniu Szkoły Zawodowej i Semina-rium zaczęłam pracować w Kole Młodzieży, przeważnie w czasie wakacji. W Krakowie brałam udział w kursach i zjazdach Wiciowych organizowanych przez PAML (Polska Akademicka Młodzież Ludowa). W latach 1938-39 pracując w Warszawie uczęszczałam na wykłady psychologii na Wolnej Wszechnicy przy ul. Oraczeńskiej. Od 1940 r. należałam do Wojewódzkiej Trójki LZK. Organizowałam trójki gminne, prowadziłam wykłady dla ko-leżanek z trójki powiatowej i wyjeżdżałam do kilku dalszych powiatów. Należałam do towarzystwa Opieki nad Młodzieżą Chłopską i do ChTPD (Chłopskie Towarzystwo Przyjaciół Dzieci). W zarządzie Wojewódzkim „Wici” pełniłam funkcję skarbniczki, a następnie przewodniczącej Sekcji Koleżanek. Razem z Zarządem i koleżankami organizowaliśmy kursy ogólnoswiatowe, spółdzielcze i zawodowe dla koleżanek z województwa krakowskiego.

We wrześniu 1948 r. rozpoczęłam studia na Wydziale Humanistycznym UJ. Po czterech latach obroniłam pracę magisterską z zakresu Pedagogiki Dorosłych. Pracowałam w Bibliotece Miejskiej, a po „październiku” w szkolnictwie. Dnia 12 lipca 1958 r. zawarliśmy związek małżeński z Janem Witaszkiem znanym i cenionym działaczem wiciowym i ludowym.

Na tym zdaniu kończą się notatki Katarzyny Gajoch-Witaszek. Kolejne zapisy pochodzą od Marii Kornas, córki Jana Gajocha.

Po 7 szczęśliwych latach osłabione dawnymi przeżyciami i troską o wolność Narodu serce przestało bić na zawsze. Katarzyna zmarła w 1992 r. Ostatnim dzieckiem w rodzinie Gajochów była córka Jadwiga, urodzona w 1912 roku. Od najmłodszych lat była bardzo pracowita i gościnna. Podobnie jak starsze rodzeństwo była czynnym członkiem Koła Młodzieży w Pleszowie. Wchodziła w skład jego Zarządu i w pewnym okresie pełniła funkcje skarbniczki. Chętnie brała udział w kursach oświatowych, przedstawieniach i zjazdach wiciowych. W pierwszym roku okupacji za nieoddawanie w terminie kontyngentu zbożowego został razem z innymi 16 gospodarzami aresztowany brat Janek i Ojciec, liczący wtenczas 76 lat. Jadwisia dobrowolnie zgłosiła się za nie-go do więzienia. Przez dwa tygodnie w strasznych warunkach sanitarnych męczyła się razem z innymi. W na-stępnym roku przeszła operację na woreczek żółciowy. Operacja i ciężkie przeżycia rodzinne osłabiły poważnie jej organizm. W 1943 r. wyszła za mąż za Ludwika Jelenia. Po roku urodziła syna Władysława. Potem stan jej zdrowia pogorszył się znacznie i w 1946 zmarła.

Powyższe wiadomości o rodzinie Gajochów, spisane w 1986 r., pragnę poszerzyć wspomnieniami o Rodzicach i domu rodzinnym. Od lat najmłodszych pamiętam, że rodzice i starsze rodzeństwo żyło ze sobą w zgodzie. W domu panował spokój i miła atmosfera. Mama była bardzo energiczna i pracowita. Dobrze organizowała prace związane z prowadzeniem gospodarstwa domowego i utrzymaniem w nim porządku. Po nocach szyla dla nas ubrania, kupowała nam potrzebne do szkoły książki i zeszyty. Ale nie rozpieszczała nas. W zależności od wieku, każde dziecko musiało wykonywać codziennie przydzieloną mu pracę w domu, paść krowy i gęsi, a następnie karmić trzodę chlewną i krowy, a chłopcy konie. We żniwa i kopania wytwarzała się czasem nerwo-wa atmosfera, kiedy deszcze przeszkadzały zbierać zboże, czy suche ziemniaki i jarzynę. Przeważnie dwa razy w tygodniu rodzice wyjeżdżali na targ do Krakowa. Mama dostarczała na tzw. „gotówki” nabiał, śmietanę, mle-ko, a przed świętami drób. Tatuś sprzedawał zboże, ziemniaki i jarzyny. W okresie międzywojennym produkty rolne były bardzo tanie, nie było dużo kupujących, nieraz rodzice przywozili je z powrotem do domu. Stałe dochody były jedynie z dostarczanego codziennie (40-50 l) do Krakowa mleka. Celem zaoszczędzenia czasu, zawiązała się w Pleszowie tzw. spółka mleczarska (6-8) gospodarzy, z których każdy raz w tygodniu do ustalo-nych wcześniej szpitali dostarczał zamówioną ilość mleka. Zaoszczędzone pieniądze Mama składała w Powia-towej Kasie Oszczędności na posag dla dzieci. W 1916 r. Ojciec wszystkie 20-letnie oszczędności Mamy oddał na Pożyczkę Narodową. Późniejsze oszczędności przeznaczone były na dokupienie pola, na pokrycie kosztów mojego kształcenia i inwestycje w gospodarstwie.

Ale równocześnie z ciężką pracą domową Mamy, związaną z wychowaniem i chorobami dzieci i Ojca zajętego uprawą ziemi, Rodzice interesowali się życiem społeczno-oświatowym i politycznym. Wiem od Braci, że Ojciec prenumerował, czytał i pożyczał sąsiadom „Przyjaciela Ludu”, „Wieniec i Pszczółkę” 1, a od 1913 r. „Piasta”. W porze letniej na czytanie w dzień nie było czasu, ale przy każdym obiedzie Ojciec, Bracia i ja, jak byłam w domu, w czasie wakacji czytaliśmy książki lub gazety. Nie lubiła tego mama (choć sama lubiła czytać), bo gdy była pogoda i pilne prace to szkoda było czasu. Ojciec pracował także społecznie. Był członkiem Kasy Stefczyka, Rady Gminnej, Komitetu Rodzicielskiego i Rady Powiatowej, a od 1918 r. Stronnictwa Ludowego. W 1932 r. na wiec do Pleszowa przyjechał Wincenty Witos. Było to dla chłopów i całej ludności okolicznych wsi wielkie przeżycie. Na „Rynku” w Pleszowie w imieniu Rady Gminnej jako najstarszy jej członek, witał Go nasz Ojciec. Kiedy po 6 latach Witos wrócił z „tułaczki” Ojciec pytał Janka o Jego zdrowie i wygląd. Zawsze żywo interesował się losami Polski. Już w czasie choroby, po śmierci Brata w Oświęcimiu, kiedy na niedzielę przyjeżdżałam do domu, pytał o losy wojny i pamiętam jak powiedział „Tak bym chciał doczekać tej wolnej Polski i zobaczyć jaka ona będzie”. Niestety, dnia 9 czerwca 1942 r. odszedł na zawsze. Cicho, bez pożegnania i Zielonych Sztandarów bo i te były w niewoli. W 1949 r. odeszła Mama. Perspektywy wysiedlenia z domu ro-dzinnego i z ziemi nie mogło przeżyć Jej serce.

Opisała Katarzyna Gajoch-Witaszek,
uzupełniła Maria Kornas – córka Jana Gajocha

Wspomnienia rodzinne

Pierwszą osobą, która zaczęła się zajmować historią naszej Rodziny była siostra mojego tatusia Katarzyna Gajoch-Witaszek, a po jej śmierci kuzynka Marysia Gajoch-Kornas.

Udało im się odnaleźć daty urodzin, ślubów i zgonów naszych prapradziadków, ich i rodzin, którzy żyli i mieszkali na terenie Pleszowa, Luboczy i Ruszczy.

Prapradziadek Marcin Gajoch (1767 – 1827), żona – Katarzyna Pyrlik. Ślub ich odbył się 25.11.1805 r., a ich syn Józef Gajoch przyszedł na świat w 1818 r. Żoną jego była Marianna Cichy, pobrali się 16.07.1848 r. Jeden z ich synów to mój dziadek, Walenty (ur. 9.02.1864 r. zm. 9.06.1842 r.), ożenił się z Katarzyną Buczek (ur. 21.10.1871 r., zm. 13.07.1949 r.).

Rodzina babci również wywodziła się z Pleszowa. Pierwsze znalezione dane dotyczące Jej przodków to: Andrzej Buczek (ur. 1771 r. zm.

10.01.1830 r.), żona Rozalia Mika, ślub odbył się 10.02.1800 r., mieli syna Wawrzyńca (ur. 04.08.1820 r., zm. 10.01.1830 r.), żona Magdalena Falkowska (Falboska) (ur. 23.05.1847 r. zm. 04.04.1872 r.), pobrali się 09.02.1871 r., córka ich – to moja babcia Katarzyna (ur. 21.10.1871 r. zm. 15.07.1949 r.). Ślub Walentego Gajocha i Katarzyny Buczek – moich dziadków – odbył się 30.09.1890 r. Zamieszkali w domu rodzinnym babci, w przysiółku Pleszowa, Kujawach-Kępie nad Wisłą. Mieli pięciu synów i pięć córek.

W domu rodzinnym na Kujawach-Kępie pozostał mój tatuś, który ożenił się z Zofią Stefańską (ur. 04.11.1918 r. zm. 29.09.2005 r.), ich ślub odbył się 21.08.1949 r. Rodzina mamusi też była duża. Było ich dziewięć. Dziadek Jan Stefański był flisakiem, jego bracia brali udział w wojnie polsko-bolszewickiej – byli w kompani kadrowej.

Doskonale pamiętam dom, w którym mieszkaliśmy do 1961 r. (identyczny jest pradiadka w Pleszowie przy ul. Nadbrzezie). Pozostał mi w pamięci układ domów, a także ich mieszkańcy, gdzie wszyscy się znali i pomagali sobie nawzajem. Była to nasza mała ojczyzna. Mieszkały tam rodziny: Brosimów, Kaszowscy, Kasznikowie, Kurasio, Rajczykowie, Chosajowie, Kuśnierze, Pabiańczykowie, Paluchowie, Stefańscy – dziadkowie, my – Gajochowie, Brosiowie, Matuszczykowie, Wiktoria Kardas, Grzybowscy, Kawulowie, Ziębowie, Kaczmarczykowie, Jakub Stanek, Franciszka?

Rodzeństwo tatusia i mamusi oraz oni sami byli czynnymi uczestnikami kółek i stowarzyszeń, jakie działały na terenie Pleszowa w okresie międzywojennym jak i w czasie okupacji.

Tatuś za taką działalność został odznaczony w 1964 Złotym Krzyżem Zasługi z Mieczami, a w 1971 Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Otrzymywał od 1977 r. rentę dla zasłużonych.

Budowa kombinatu to była wielka tragedia dla mieszkańców. Wszyscy zostali wywłaszczeni. Jedni poszli mieszkać do Nowej

Huty, inni budowali nowe domy. Na Kujawach zrobiono osadnik popiołów z wielkich pieców. Dzisiaj to miejsce wygląda jak step.

Rodzice posiadali duże gospodarstwo. Mieli hodowlane krowy, które były pod stałą kontrolą. Mleko wożono do zlewni w Pleszowie. Po rozpoczęciu budowy huty tatuś jeździł do pracy końmi – były trzy.

W domu rodzinnym rodziców spotykaliśmy się na imieninach, odpuscie i innych uroczystościach. Pamiętam wyprawy na imieniny stryja na Węgrzce. W lutym na Walentego jeździliśmy ze stryjkiem Jaśkiem z Pleszowa saniami. Konie miały piękne homonta oraz dzwonki. Za to w lipcu jeździliśmy bryczką na imieniny stryjenki Małgorzaty, na sumę odpustową do Raciborowic, a później do Bosutowa na imieniny do stryjenki. Później to już były wyprawy środkami komunikacji miejskiej. Pamiętam również jak na wesela jechało się bryczką. Mamusia ubierała się po krakowsku. Rodzice byli ludźmi pogodnymi, bardzo pracowitymi. Odwiedzało nas bardzo dużo znajomych, poznałam osobiście pana Stanisława Mierzwę, Jana Kotyżę i in. W wakacje przyjeżdżały dzieci rodzeństwa tatusia i mamusi, którzy do dnia dzisiejszego wspominają, jakie to były piękne chwile.

Mieszkańcy Kujaw-Kępa mieszkali w swoich domach do ostatniej chwili, gdy tylko można było do nich dojechać, ponieważ produkcja huty zwiększała się i przybywało coraz więcej popiołu i wody, którą odprowadzano do Wisły.

W grudniu 1961 r. przeprowadziliśmy się do Pleszowa. Tatuś jeszcze uprawiał resztki pola. Mamusia poszła



do pracy do huty. Ja z siostrami jeździliśmy do szkół w Nowej Hucie. Ula skończyła Akademię Rolniczą, Kasia liceum ogólnokształcące. Tatuś zmarł 29.12.1985 r. Jego pogrzeb to wielkie spotkanie rodzinne oraz przyjaciół z czasów przedwojennych. Przyjechali ludzie, z którymi się przyjaźnił. Przybyło 11 zielonych sztandarów ludowych, na których jest orzeł w koronie, Matka Boska, sztandarów którym był wierny od lat młodości. Należał do PSL-u. W imieniu kolegów i przyjaciół żegnali go: pani dr Barbara Salwińska-Ciećkiewicz, pan Jan Kotyza, pan Marcinkowski.

Moja mamusia zmarła 20 lat później – 29.09.2005 r.

Teraz mieszkam w domu rodzinnym, chcę podtrzymać tradycję rodzinną. Z trzema córkami chodzimy na uroczystości kościelne w strojach krakowskich, bierzemy też czynny udział w dożynkach.

Anna Gajoch Adamczyk

Moja rodzina w Pleszowie

Odkąd pamiętam Pleszów, to zawsze kojarzy mi się z moją Rodziną. Tutaj mieszkali: babcia, dziadziuś, stryj-kowie, stryjenki, a teraz ja wraz z moimi Rodzicami i bratem Jakubem.

Już od najmłodszych lat babcia z dziadziusem opowiadali o dawnych czasach; o tym jak mieszkali na Kujawach-Kępie, o pracy w polu, o sobótkach nad Wisłą. Wspominali dwie wojny światowe, gdy mężczyźni uciekali do lasów, do partyzantki, aby walczyć o wolność naszej Ojczyzny, wspominali o nalocie rozpoczynającym na naszym terenie II Wojnę Światową, który zastał babcię w drodze do Krakowa, na wysokości lotniska w Czyżynach, o zajęciu domów przez Niemców, potem Rosjan, a po wojnie o kolejnej tragedii – wywłaszczeniu pod budowę kombinatu. Dom rodzinny mojej mamusi zawsze był ciepły, pełen miłości i życzliwości.

Pleszów to dla mnie kolebka rodziny, przyjaciół, znajomych. Tutaj nie było tygodnia bez gości i ich wspomnień. Bliskość cmentarza parafialnego sprawiała, że tych gości było znacznie więcej niż w innych pleszowskich domach. Do dzisiaj w moich uszach brzmi „do widzenia, do miłego zobaczenia”, którymi to słowami zawsze żegnał się z nami dziećmiakami wujciu Stefan Cygan. Ciocia Kazia (Katarzyna Gajoch-Witaszek) już na początku lat 80-tych mówiła, że należy się uczyć języków, bo świat biegnie do przodu, i jak dorośniemy, to ich znajomość będzie niezbędna – miała rację.

Dziadziusia pamiętam jako stareńkiego, gdy się urodziłam, to miał już 74 lata, ale zawsze był uśmiechnięty i życzliwy. Ponieważ dziadziuś był najstarszym mieszkańcem Pleszowa, to z domu moich dziadków wychodził wieniec dożynkowy, który wila pani Stanisława Kawula. Wieniec był piękny, kolorowy, ozdobiony kwiatami, jabłkami, i makówkami. Później razem z sąsiadami szliśmy korowodem do kościoła. Wśród zdjęć rodzinnych jesteśmy nawet uwiecznieni (ja, moje siostry Ania i Ewa i kuzynki Kasia i Asia z Kielc) jak przed wieniec maszerujemy z bochenkiem chleba, oczywiście „po krakowsku”. Tradycja noszenia stroju krakowskiego pozostała żywa w mojej Rodzinie do dnia dzisiejszego. Razem z moją mamusią, Anią, w Boże Ciało, dożynki i inne uroczystości ubieramy się w te piękne stroje. Jak zamknę oczy, to widzę jak przed domem dziadziuś orze konikiem kawałek ukochanej ziemi, i rozmawia z nim, jak z kimś bliskim. W Pleszowie była bardzo dobra ziemia, a decyzja o budowie Nowej Huty, a w ślad za nią wywłaszczenia z ojcowizny dla dziadziusia i innych gospodarzy z Pleszowa i Mogiły za symboliczną opłatą były życiową tragedią. Dziadziuś utracił 16 morgów pola i uprawiał go pieczołowicie niemal do śmierci. W 1980 roku, podczas orki, odbita o konia gałąź uderzyła go w oko, i dziadziuś przestał na nie widzieć. Zmarł 29.12.1985 r. i pomimo, że jego pochówek odbył się w dniu 01.01.1986 r., to na jego pogrzebie było mnóstwo ludzi: rodziny i przyjaciół. Pamiętam, że nad grobem dziadziusia stawili się zielone sztandary (11 szt.), i wygłoszono przemówienia pożegnalne.

Babcię Zosię pamiętam doskonale, zmarła przed trzema laty (29.09.2005 r.). Była tak jak dziadziuś; pogodna, życzliwa, a kiedy trzeba było, to nawet troszkę sroga. Babcia opowiadała jakie życie było ciężkie, jak pracowała we dworze, potem nosiła na piechotę, na plecach bańki z mlekiem do Krakowa (dziś nawet nie bardzo potrafiły to sobie wyobrazić). Wspominała też jak do ich domu na Kujawach przychodziły moje ciocie: Marysia, Krysia, Rysia, Halinka, Danusia, Hania, wujek Andrzej.

Ciocia Marysia Gajoch, wspominając mojego dziadziusia z łezką w oku, mówi, że zawsze znalazł dla niej czas, a ona zawsze lubiła odwiedzać Kujawy. Krysia i Rysia Cygan do dnia dzisiejszego zastanawiają się skąd babcia Zo-

sia miała tyle cierpliwości i wytrzymywała ich zabawę – gonienie się w koło przez strych i podwórko i ten ogromny hałas. Ciocia Halinka Cygan znana mi jako gospodyni (niestety tylko z opowiadań), zakładała fartuch babci i sprzątała. Ciocia Danusia, Hania i wujek Andrzej Gębikowie przyjeżdżali na Kujawy do mojej prababci Wiktorii Stefańskiej, a przychodzili bawić moja mamusię Hanię i do dzisiaj wspominają zabawy w domu moich dziadków.

Ja pamiętam Kujawy jak jeździliśmy tam na wykopki. Wyprawa na wozie to była atrakcja. Jednego roku wykopaliśmy ziemniaka dziwnego kształtu, który wszystkim przypominał kaczkę, śmiechu było co niemiara. Odpoczywaliśmy wtedy pod ogromnym drzewem na wale. Babcia zabierała mnie też, gdy szła przerzucać siano i nieraz usnęłam pod jedną z kopek. Pamiętam, jak babcia Zosia piekła pączki a my zjadaliśmy je takie gorące to były góry pączków!

Babcia Zosia, pomimo postępującej choroby, zawsze była uśmiechnięta, rozśpiewana. Mówiła, że kto śpiewa dwa razy się modli, że śpiewanie dodaje jej sił. Siedziała w kuchni z dużym piecem i nuciła. Były to pieśni religijne i takie piosenki z lat młodości, piosenki, których się nauczyła na spotkaniach Koła Młodzieżowego.

Ten piec lubiliśmy wszyscy; wnuczki (Ania, Ewa, ja, Kasia i Asia) i wnukowie (Kuba i Piotrek). Tu można było zobaczyć czar ognia, posłuchać trzasku drzewa, upiec placek z ciasta makaronowego, obsmażyć ziemniaki – to szczególnie lubiły moje kuzynki Kasia i Asia Stępień, a Kuba z Piotrkim uwielbiali dokładać do pieca.

Do dzisiaj nie bardzo potrafię sobie wyobrazić święta Wielkiej Nocy czy Bożego Narodzenia, które spędzam gdzieś indziej. Od zawsze – jak pamiętam – mamusia w Wigilię już od samego rana jechała do Pleszowa przygotować z babcią wieczerzę, a my (ja z siostrami Anią i Ewą i naszym tatusiem) ubierałyśmy choinkę, rozkładaliśmy wytrzepane wcześniej dywany i popołudniu jechaliśmy na rodzinne spotkanie i przeżywanie tego wieczoru. Była uroczysta kolacja z miejscem dla wędrowca, modlitwa, opłatek, kolędowanie i zawsze znalazł się dla każdego Aniołek z prezentami, potem szliśmy na Pasterkę. Mróz szczypał nas w policzki i uszy, śnieg trząsał pod nogami..., ale było w tym pełno uroku. Podczas wieczerzy było nas sporo: babcia z dziadziusem, moi rodzice i moje siostry, siostry mojej mamusi; Kasia z mężem Zbyszkim, Ula z córkami Kasią i Asią i wujkiem – ok. 13 osób.

Babcia Zosia pochodziła z dużej rodziny, było ich dziewięćdziesiąt dzieci. Obecnie z rodzeństwa babci żyje tylko jej najmłodszy brat, wujciu Józiu Stefański. Często zapuszcza wąsy i brodę i wygląda jak Święty Mikołaj. Teraz jak już zabrakło babci i dziadziusia moja mama pielęgnuje te nasze zwyczaje, nadal się spotykamy choć już rzadziej, podtrzymujemy tę rodzinną atmosferę, którą w naszą Rodzinę wszczerpiła babcia Zosia.

Renata Adamczyk



Ziemia zrabowana

Worali się w chłopską ziemię. Ołówki planistów pocięły na nowo leżące na urzędniczych biurkach mapy. Przecięły linie ludzkich losów.

W dwóch podkrakowskich gminach, Mogiła i Ruszcza, zaraz po wojnie nowa władza wywłaszczyła cztery tysiące rolniczych gospodarstw, by na ich ziemi zbudować hutę. Dwa tysiące hektarów żyznych pól zagarnął sam kombinat. Jedenaście tysięcy – miasto Nowa Huta. Za ziemię pierwszej i drugiej klasy płacono wywłaszczonym symboliczne, groszowe odszkodowania.

Władysław Gajoch, najstarszy mieszkaniec wsi Pleszów (dawna gmina Mogiła) czytał „od zawsze” prasę ludową. Nawet gdyby sięgnął po inną, pewnie nie dostrzegłby niczego niepokojącego w ogromnym nagłówku na pierwszej stronie: Plan 6-letni wyrzeźbi nowe oblicze starego Krakowa. Z referatu Józefa Cyrankiewicza, podsumowującego dyskusję w czasie I Konferencji Wojewódzkiej PZPR w Krakowie: „Oto decyzją rządu, podsumowująca 6-lecie, największy zakład hutniczy Polski (...) nowa huta stanie w ubogim w przemysł województwie krakowskim. To znaczy przybędzie także nowa wielka cementownia i szereg zakładów, i linia kolejowa. To w sumie kilkanaście tysięcy robotników, to zastępy inżynierów i techników, to nowe oblicze województwa krakowskiego, a więc i starego Krakowa, gdzie wszystko, co piękne z tradycji, łączyć się będzie nową treścią w nowe formy Polski Ludowej”.

Władysław Gajoch wolałby, żeby treść z formą władza zdecydowała się łączyć gdzie indziej. Wyjmuje na pociemniały ze starości, ciężki dębowy stół plik pożółkłych papierów. – Przetrawiły przechowywane przez cztery pokolenia w blaszanej puszcze po papierosach. Dla ochrony przed myszami – wyjaśnia. Najpierw uniwersał cesarza Józefa skierowany do poddanych „w królestwach naszych Galicji i Lodomerii”, regulujący wysokość opłat pobieranych przez parafię za usługi pogrzebowe. Rok 1795. Następnie spis powłaszczeniowy. Wieś Pleszów liczy 26 kmiecych gospodarstw po 19 morgów (pod numerem 16 zapisano zagrodę pradziadka, Stanisława Gajocha) oraz 16 gospodarstw zagrodniczych po 5 morgów. Rok 1848. Kiedy umiera Stanisław, nie zostawiając testamentu, zbiera się rada rodzinna, by oszacować wartość majątku. W jednej kolumnie wypisują nieruchomości, przedmioty, zwierzęta. W drugiej – cenę. Zaczynają od starej chałupy (800 złp), przez pola (388 złp), 133 wierzby na łąkach (po 6 gr. każda), krowę łysą starą (36 złp). Na końcu spisu żarna (3 złp), kociołek miedziany (2 złp), widły, kosa. Jest dokładnie 4 kwietnia 1848 r. Kiedy sto lat później na terenie Pleszowa zaczęła się praca przy budowie Nowej Huty, publicyści prześcigać się będą w wyliczeniach: „Ciężar konstrukcji żelaznej Nowej Huty wyniesie 100 000 ton. Taką samą wagę mieć będą urządzenia techniczne 100 000 ton. Ciężar maszyn wyniesie około 120 000 ton, cementu potrzebnego do budowy 220 000 ton, materiałów ogniotrwałych 220 000 ton” Tyle Ignacy Krasicki. „Gazeta Krakowska”. 31 stycznia 1949. Zanim przyszła huta, mieszkańcy Pleszowa nie znali magii wielkich liczb. Dorabiali się powoli. Przez pokolenia. Do odziedziczonej ojcowizny dokupywali po jednej, po dwie, góra trzy morgi ziemi. W poukładany od pokoleń świat wtargnęło nowe. – To były takie czasy, przecie na tych kułaków wrzeszczeli. Kułakiem przecie byłem. To radio nieraz to jakby człowiek wnet złapał i rozbił. Tak człowiekiem nerw targał – wspomina Władysław Gajoch. Ludowa władza uwolniła od piętna kułactwa. W osobnej tekturowej teczce, zawiązanej dokładnie szarą wstążką, zaczął na nowo gromadzić dokumenty. Orzeczenia Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej o wywłaszczeniu.

„Prawomocnym orzeczeniem z dnia 9 maja 1952 L.SA II/44Pleszów /5/52 wywłaszczyło Prezydium WRN w Krakowie na rzecz Skarbu Państwa, na cele budowy kombinatu Nowa Huta i stopnia wodnego niżej wyszczególnione grunty:

Pgr. I. kat. 1753 o pow. 11 790 m.kw. II kl.

Pgr. I. kat. 1754 o pow. 288 m.kw. II kl.

Pgr. I. kat. 1832 o pow. 11 01 m.kw. II kl.

Pgr. I. kat. 1833 o pow. 6014 m.kw. II kl.

Pgr. I. kat. 637 o pow. 1370 m.kw. II kl.”

Suche cyfry. Tylko Władysław Gajoch wiedział, że na „pgr. I. kat. 1753 o pow. 11 790 m. kw. II kl” najlepiej rosła pszenica, a na „pgr. I kat. 1832 o pow. 11 01 m.kw. II kl.” nic nie udawało się tak dobrze, jak zasadzone we właściwym czasie ziemniaki.

„Wierzyciel, pomimo zawiadomienia i wezwania, nie podjął w terminie należnej mu kwoty z tytułu odszkodowania, bez uzasadnionej przyczyny” – napisał pełnomocnik do spraw wywłaszczeniowych, dr Maksymilian Kwaśniewski.

Miał usiąść z urzędnikami i pokazywać stare, już wtedy mocno pożółkłe papiery, świadczące, że w 1848 roku jego pradziad, Stanisław Gajoch był na terenie wsi Pleszów właścicielem dziewiętnastomorgowego gospodarstwa, zapisanego w księgach hipotecznych pod numerem 16? Za hektar ziemi płacono mu od 1300 do 1600 złotych, gdy sąsiad zza miedzy kupiłby dziesięciokrotnie drożej. Za majątek gromadzony przez pokolenia mógłby sobie zafundować zegarek albo trójdzwiorową szafę. – Dla szanującego się gospodarza wstyd było iść do banku po takie pieniądze, po takie byle co – mówi. – Namawiali nas na zachód. „Ziemi dostaniecie, ile chcecie” – kusili. Na niemieckie ziemie, które za chwilę odbiorą nam Niemcy. Trudno było przenosić się z rodziną. Inna huta brała naraz nie wszystko. Można było dwa, trzy lata gospodarzyć – przypomina Władysław Gajoch. Inni z wywłaszczonych, Andrzej Ptak z Bieńczy, dobrze pamięta: – Do żniw był tydzień. Prosimy: „Poczekajcie. Nic nie pomogło. Na pola wjeżdżały maszyny, spychacze. Sprowadzali furmanów zza Bugu. Oni kopali ziemie, kanały, wyrównywali. Władysław Gajoch, choć wywłaszczony, nie był najbardziej pokrzywdzony. Zostawił mu przynajmniej dom. Jan Gajoszek, jeden z najlepszych gospodarzy w Kujawach, pleszowskim przysiółku, pojechał do Warszawy upomnieć się o sprawiedliwość. Po powrocie czekał na niego nakaz eksmisji. Wystarczył dzień i w pośpiechu zmieniono jego dom w ruinę. Trzy dni po zabudowaniach nie zostało śladu. Rodzinę wywieziono do klasztornej folwarku w Mogile. Do sąsiada, Bazińskiego, wpadli rano, kobietę za włosy wyrzucili, całą rodzinę do stajni. Junacy dom zburzyli. Dziś tam blok stoi. A Baziński, robotnik przecież, przed wojną jeszcze na rowerze piasek z Wisły woził, żeby się postawić.

Wszystko zgodnie z dekretem z 24 kwietnia 1949 roku „O nabywaniu i przekazywaniu nieruchomości niezbędnych dla realizacji narodowych planów gospodarczych”. W majestacie prawa. Wywłaszczonym „kułakom” dopieklili też napływowi.

Andrzej Ptak: – Jeździliśmy ze skargą do władz. Pułkownik – nie pamiętam nazwiska – powiedział: „Niemoliwe, panowie”. Przyjechał potem na inspekcję, zobaczył, oberwał kamieniem w głowę, zmienił zdanie: „Mielicie rację”. Zgrzytało od samego początku w sojuszu robotniczo-chłopskim. Anonimowy A.R. informował na łamach „Gazety Krakowskiej”, organu KW PZPR, że: „W związku z nadchodzącą cieplejszą porą roku wybitnie zwiększył się ruch pasażerów z bagażami w postaci koszyków, tobołów i baniek (...) Gdy konduktor ujrzy robotnika od razu oświadcza, że miejsca już w autobusie nie ma i równocześnie wpuszcza drugim wejściem ludzi trudniących się handlem. Czas najwyższy z tym skończyć.”

Notatka nosiła tytuł: „Autobusy PKS-u z Pleszowa uniedostępnione dla robotników”. Napiętnowani handlarze to żona Władysława Gajocha, żony i córki sąsiadów, którzy gnębieni kontyngentami, dokładali do ziemi rozwożąc mleko (podobnie jak za czasów przedwojennych, samorzutnie powstałych w Pleszowie spółek wozaków).

Dwa światy. Jedni chodzili na 1-majowe pochody, drudzy obchodzili Święto Ludowe ze sztandarami w kościele. Najsilniejsza organizacja partyjna w całym województwie, jeśli nie w kraju i topniejące z upływem czasu, gdy wymierali starzy działacze – szeregi PSL. Rozkradziono cegłę na budowę Domu Ludowego w Bieńczy, asfalt drogi na Kocmyrzów przykrył dwa doły z gaszonym wapnem. W szafie Władysława Gajocha rozsypują się stare, ludowe sztandary.

Chcieliśmy zrobić nowe, drzewce jest nawet dobre, złożylibyśmy się po milionie na haft, ale po co? Kto będzie z nimi chodził? – pytają. Urzędnicy stawiają inne pytania.

Po co rozdrapywać rany? Jeszcze kilka lat i wywłaszczeni kułacy z Mogiły, Pleszowa, Ruszczy, Branic, Luboczy, Krzesławic, Grębałowa wymrą. Problem zniknie.

Tuż po odwilży październikowej trafiła do Cyrankiewicza trzyosobowa delegacja nowohuckich rolników. Piotr Gajek, Jakub Broda z Mogiły i Piotr Salwiński z Krzesławic zwojowali tyle, że premier przyznał rządową zapomogę dla najbiedniejszych. Dla 70 rodzin z 4 tysięcy wywłaszczonych. Potem już tylko obietnice. Po wyborach czerwcowych 1989 roku przyszło nowe. Wydawało się, że warto spróbować jeszcze raz. Próbowali dzielnicy komitet ZSL.

Z pisma Kombinatu Metalurgicznego Huty im. Lenina:

„Do ZSL, dzielnicowy komitet Nowa Huta, os. Willowe 30. Odszkodowania za wywłaszczone nieruchomości ustalone były w oparciu o przepisy rozporządzenia Rady Ministrów z 3.06.1950 w sprawie ustalania norm szacunkowych dla nieruchomości nabywanych w celu realizacji narodowych planów gospodarczych. (...) Naszym

zdaniem okres ten należy uznać za zamknięty i nie wracać do tych kwestii, tym bardziej, iż roszczenia z tego tytułu uległy już przedawnieniu. Najdłuższy przewidziany kodeksem cywilnym okres przedawnienia wynosi 10 lat.”

Skutecznie upomina się o zagrabiony majątek kościół (siostry zakonne w Luboczy dostały z powrotem 50 ha). Wracają na swoje – choć z trudem – właściciele młynów, upaństwowionych lasów, fabryk. Chłopi z dwóch dawnych podkrakowskich gmin na swoje nie wrócą, bo na zrabowanej im ziemi stoją wielkie piece, koksownie, aglomerownie, cementownia. Znużeni czekaniem założyli w kwietniu 1992 r. Stowarzyszenie Poszkodowanych Właścicieli Nieruchomości wywłaszczonych przez Kombinat Metalurgiczny i budownictwo w Krakowie. Powędrowały pisma do Warszawy. Do ministerstw, klubów parlamentarnych, marszałków Sejmu i Senatu. Najczęstsze odpowiedzi: Problem jest nam bliski, ale nie mamy możliwości udzielenia bezpośredniej pomocy. Pismo prześlemy odpowiedniej komisji. – Nie krzyczymy: pieniędzy!, bo wiemy, że pieniędzy nie ma. Nie będziemy też przecież wyrzucać ludzi z bloków, które stoją na naszej ziemi – mówi Andrzej Ptak. Moglibyśmy dostać rekompensatę w akcjach przedsiębiorstw, bonach kapitałowych. Stowarzyszenie proponuje, żeby działki nie wykorzystane „na cele określone w decyzji o wywłaszczeniu” wróciły do prawowitych właścicieli. 80 arów udało się odzyskać Andrzejowi Ptakowi od Skarbu Państwa. – Trudniej jest wydrzeć coś od miasta. Naszą ziemię, która stała się własnością komunalną, rozprzedają na przetargach jako działki budowlane – twierdzi z gorąco. Zrzeszeni w Stowarzyszeniu uważają, że najprościej byłoby stworzyć fundusz na zaspokajanie roszczeń reparyacyjnych z części pieniędzy za najem i sprzedaż mieszkań, czynszów oraz uzyskanych z prywatyzacji zakładów przemysłowych.

Czas stępił ostrze goryczy. – To były takie czasy. Tego chłopca wszędzie wyzywali, aż i wszystko zbrzydło. A z drugiej strony trza było żyć. Trza było jechać do huty zarobić – Władysław Gajoch przez 17 lat dorobił się, jako elektryk, hutniczej emerytury. Podobnie jak wielu sąsiadów przy późniejszych wywłaszczeniach, gdy odszkodowania były już wyższe, wziął przyznane mu pieniądze. Pleszów zaliczony do najbardziej zanieczyszczonych z trzech stref ochronnych wokół kombinatu skazano na zatrzymanie w czasie. Zakazano budowy nowych domów, remontów już istniejących. Wypieszczoną wypielegnowaną wieś zamienili w getto. Skansen skazany na śmierć techniczną – twierdzi prezes Stowarzyszenia. Po 1989 roku brakło pieniędzy, by prowadzić wykup gospodarstw. Przy biegnącej przez Pleszów asfaltowej ulicy, gdzie po obu stronach rozsiadły się niskie, stare, drewniane chaty – cisza, bezruch. Z daleka, od szosy na Sandomierz słychać bez przerwy monotennie huczące samochody.

Mówię: – Spokojnie tu.

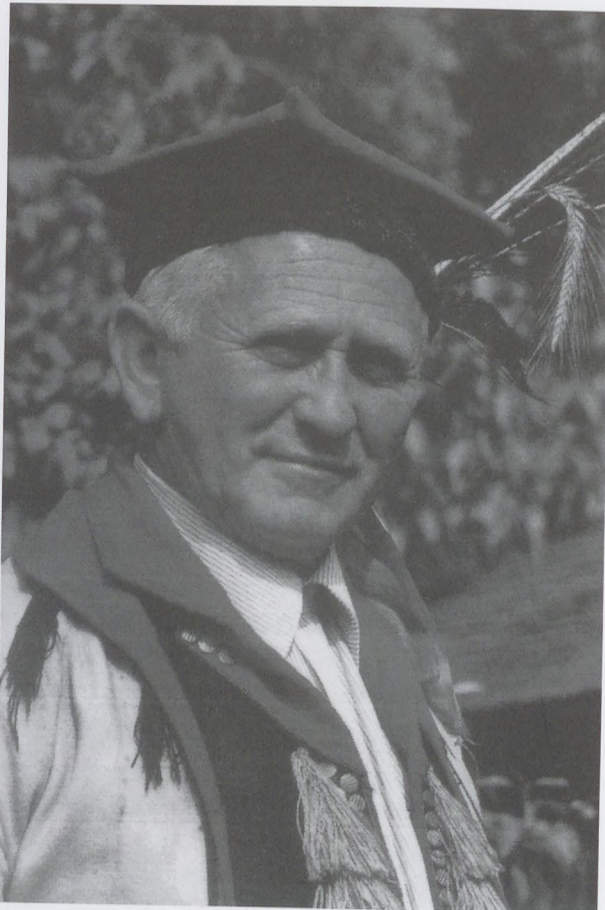
Władysław Gajoch: – Za spokojnie.

Stodoły w Nowej Hucie trzeba zburzyć, i to w terminie, bo szpecą – zadysponował ostatnio na sesji jeden z radnych.

W Pleszowie czekają na decyzję, że wkrótce będą musieli płacić za wodę. Zanim przyszła huta, korzystali ze studni. Później skażonej ściekami, trującymi chemikaliami wody nie chciały pić nawet zwierzęta. Huta bezpłatnie doprowadziła wodociąg. Teraz każe płacić. Chłopi kupili zegary. Wiedzą, że wcześniej czy później znowu przegrają.

Tomasz Zieja

Artykuł „Ziemia zrabowana” pierwotnie ukazał się w „Sycynie” Nr.40 (9 VI 1996)



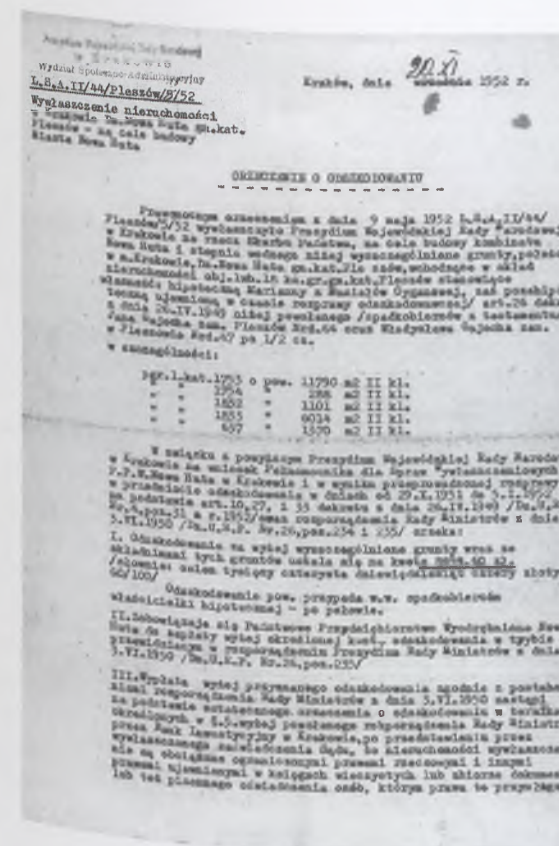
Władysław Gajoch z Pleszowa, 1978 r.,
fot. Władysław Rospondek



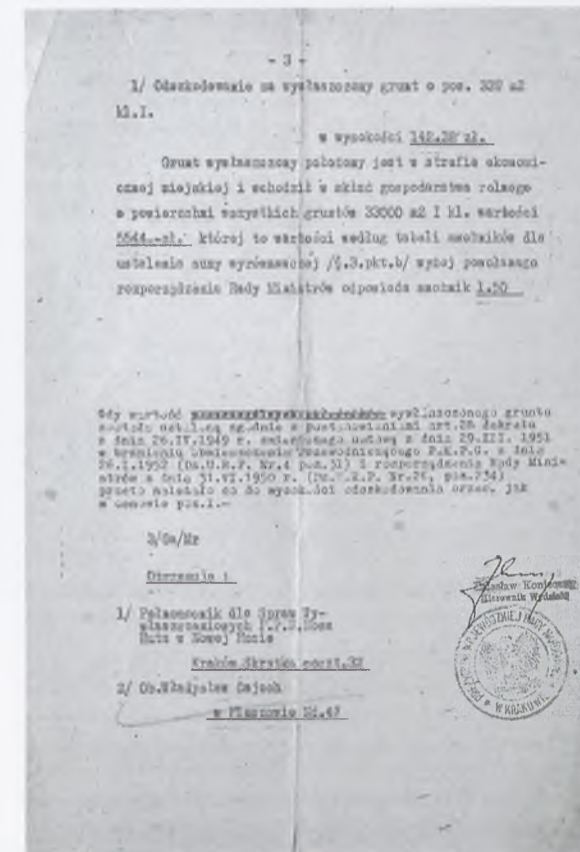
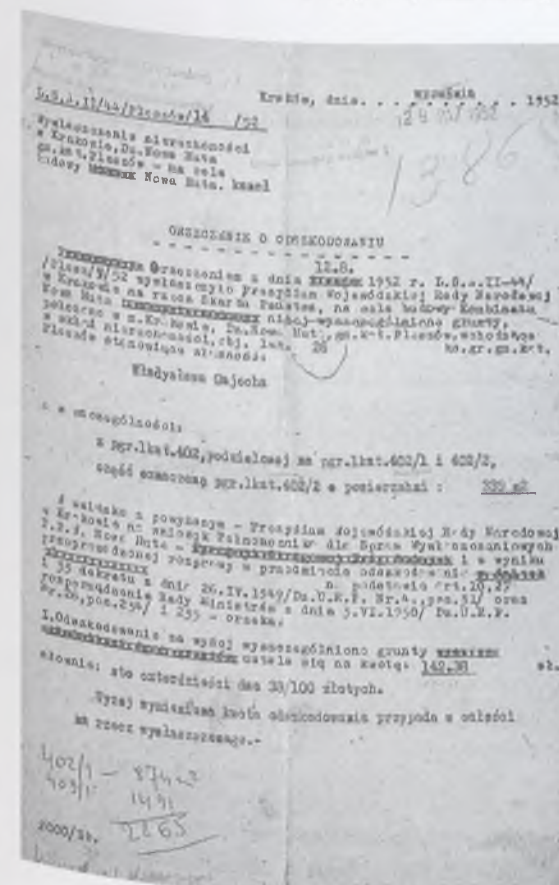
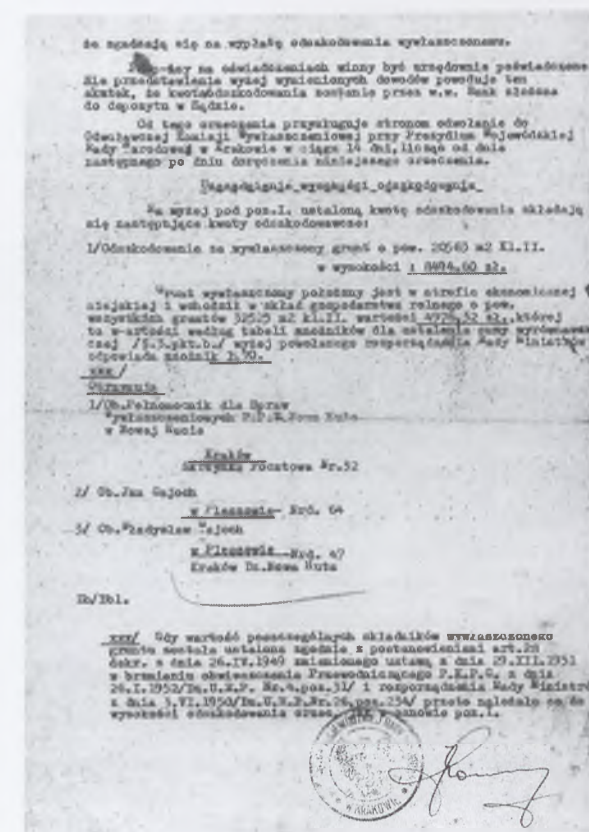
Dom rodzinny Gajochów w Pleszowie



Gospodarstwo rodzinne Gajochów w Pleszowie, lata 50-60. XX w.



Decyzje o wywłaszczeniu gruntów należących do rodziny Gajochów



Pamięci Władysława Gajocha

Pozostał tylko ból...

Wiele chciałoby się powiedzieć w chwilach takich jak ta. I nagle okazuje się, że pióro jest bezradne, słowa odporne nie wyrażają tego, co by należało, jeszcze bardziej tego, co się czuje. Tak trudno bowiem pisać o człowieku, który jeszcze tak niedawno był wśród nas...

Władysław Gajoch, prezes Koła Polskiego Stronnictwa Ludowego w Pleszowie, urodził się 14 lutego 1918 roku w Pleszowie, wsi w owych czasach oddalonej o około 20 km od Krakowa, obecnie osiedla Nowej Huty. Jako młody, siedemnastoletni chłopak, wstąpił do Związku Młodzieży Wiejskiej „Wici”. Już od 1937 roku działa w Stronnictwie Ludowym i w tymże roku bierze udział w strajku chłopskim. Ze stronnictwem Ludowym wiąże się na całe życie.

Po kampanii wrześniowej w 1939 roku przystępuje do konspiracji. Jako „wiciowiec” otrzymuje zadanie przechowania księgozbioru – jak na te czasy dosyć pokaźnego, bo liczącego 465 woluminów. Pomimo groźących represji otwiera wkrótce podziemną bibliotekę, z której korzystają prawie wszyscy mieszkańcy wsi. Biblioteka służy także podchorążówce Batalionów Chłopskich zorganizowanej we wsi, obecnie osiedlu, Mogiła. W międzyczasie Władysław Gajoch kończy kurs podchorążych w Pleszowie w stopniu plutonowego i zostaje wcielony do oddziału BCH w Pleszowie pod dowództwem „Kruka” – Józefa Pyrlika. Otrzymuje pseudonim „Iskra”. Oddział zajmuje się sabotażem, zdobywaniem broni, wywiadem oraz działalnością oświatową. Ma na swym koncie wiele udanych akcji, co przy dużej ilości wojsk niemieckich na terenach Pleszowa i okolic jest dużym osiągnięciem.

Władysław Gajoch, poza działalnością w ZMW, SL, BCH, znajduje jeszcze czas na pomoc ludziom z Pleszowa i okolic oraz prowadzenie gospodarstwa. Działalność konspiracyjną kończy wraz z wyzwoleniem w 1945 r. Za swój wkład w walkę o wolność został odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi, Krzyżem Partyzanckim, Medalem Zwycięstwa i Wolności oraz Krzyżem Batalionów Chłopskich. Po wojnie włącza się w nurt pracy społecznej na rzecz swojej wsi, osiedla, a potem miasta Krakowa. Jako przedstawiciel Polskiego Stronnictwa Ludowego w Pleszowie współpracuje z Wincentym Witosem i Stanisławem Mierzwą. Działa w organizacji „Samopomoc Chłopska”, w Komitecie Osiedlowym, jest radnym, przewodniczy kółku rolniczemu i przez kilka kadencji jest prezesem koła PSL w Pleszowie. Przez te kilka kadencji nie było uroczystości na terenie osiedla, Nowej Huty, Krakowa, w której zabrakłoby Władysława Gajocha. Zawsze ze sztandarem Polskiego Stronnictwa Ludowego, zachowanym od początku jego powstania. I wielki chyba czas, by przypomnieć sobie nieadekwatność słów do czynów. Był... pracował... działał...

Możemy wydłużyć listę organizacji, w których działał, choćby o Towarzystwo Uniwersytetów Ludowych, o Radę Parafialną itd. Nie sposób jednak wyliczyć wszystkich jego poczynąń, gdy siedemdziesięcioośmioletnie życie składało się z pracy na rzecz innych. Ale najtrudniej pisać o człowieku.

„Pozostał tylko ból...” – mówi jego córka, Elżbieta. Nie może jeszcze bez łez powiedzieć cokolwiek o swoim Ojcu. Był wspaniałym mężem i ojcem, dobrym sąsiadem i parafianinem. Był spokojny i mądry. Jego uczynność i oddanie swojej rodzinie, sprawom swej małej Ojczyzny – Pleszowa, Nowej Huty, Krakowa, a także tej dużej – Polsce – były tak naturalne i proste, tak oczywiste, że się ich nie zauważało. Dopiero, gdy go zabrakło – powstała wyrwa, której zasypać się nie da... To smutne, że wielkość człowieka uświadamiamy sobie wtedy, gdy go zabraknie. Tę wielkość odczuliśmy w dniu 14 sierpnia 1996 r., gdy śp. Władysław Gajoch zmarł.

Tę wielkość odczuły setki jego kolegów i przyjaciół w dniu 18 sierpnia br. odprowadzając Zmarłego na miejsce wiecznego spoczynku. Tę wielkość w pięknych słowach podkreślił proboszcz parafii Pleszów, a także duszpasterz Polskiego Stronnictwa Ludowego w Nowej Hucie, ks. Dziekan Józef Hojnowski. Wzruszającymi słowami pożegnał Zmarłego w imieniu Polskiego Stronnictwa Ludowego sekretarz Zarządu Wojewódzkiego PSL, kol. Kazimierz Zak. Kondukt żałobny odprowadzało 16 sztandarów PSL oraz Batalionów Chłopskich. Ale czy wszystko da się wypowiedzieć słowami?...

Pozostał tylko ból...

Pozostało jeszcze jego dzieło i pamięć,

I wiara – jak dobry może być człowiek.

Więc, Drogi Kolego Władysławie

Spoczywaj w pokoju

Bo zawsze będziesz wśród nas.

Stefan Kasprzycki

*Wspomnienie o Władysławie Gajochu zostało pierwotnie zamieszczone
w „Piaście”, sierpień – wrzesień 1996*



Władysław Gajoch, fot. Władysław Rospondek

KRZESŁAWICE



Obraz Krzesławic w dawnych pamiętnikach

*Krzesławice, Wioseczko moja ukochana,
Z rąk niecnego jurysty niedawno wyrwana!
I kiedyż cię zobaczę od więzów swobodny?
Kiedyż zacznę żyć, siebie i twych wdzięków godny?
Bawiąc się lub pracując, lub śpiąc wśród cienia,
Wiodąc biednego życia miłe zapomnienia...*

Hugo Kołłataj, Daremne projekta

„Krzesławice, Wioseczko moja ukochana...” – pisał Hugo Kołłataj, kiedy po upadku powstania kościuszkowskiego siedział w austriackim więzieniu w Ołomuńcu. Tęsknił do tego miejsca bardziej niż do jakiegokolwiek na świecie, a przecież ani się tutaj nie urodził, bo przyszedł na świat w Dederkałach Wielkich na Wołyniu, ani też nie był to jego jedyny majątek (należały do niego na przykład również pobliskie Bieńczyce). Hugo Kołłataj prowadził bardzo aktywne życie: pisał, podróżował, działał na niwie politycznej, reformował krajowe szkolnictwo w ramach Komisji Edukacji Narodowej. Wszystko to wymagało od niego stałej obecności w stolicy lub w którymś z wielkich ośrodków: Wilnie, Lwowie bądź Krakowie. Jednak gdy pisał te wersy, był już człowiekiem przegranym. Siedział w więzieniu, a jego przyszłość malowała się ponuro – dlatego tęsknił do miejsca, gdzie mógłby zaznać chwili słodczy i spokoju.

Mówi o tym poemat „Daremne projekta”, z którego pochodzi przytoczony cytat. Dzieło to jest dla nas o tyle cenne, że zawiera opis budynków dworskich, ogrodów i zabudowań gospodarczych dziś już nieistniejących, gdy bowiem Kirchmayerowie wzniesli tu nową rezydencję w 1826 r., dawny dworek Hugona Kołłataja przemieniono w „kuchnię letnią”. Stała ona mniej więcej tam, gdzie dziś znajduje się latarnia koło parkingu. Resztki tej budowli istniały tu jeszcze w 1918 r., potem je rozebrano.

Kirchmayerowie byli wielkimi bankierami. Ich rodowa siedziba mieściła się w pobliskim Pleszowie, zakupionym od Czartoryskich. Tam też wystawili sobie okazały dom, który z czasem przemienił się w prawdziwy pałac. Krzesławice stanowiły tylko jeden z licznych folwarków, które puszczano w dzierżawę. Jakiś czas gospodarował tu jeden z rodu – galicyjski polityk Julian Kirchmayer, ale z punktu widzenia piśmiennictwa ważniejszy okazał Kazimierz Girtler, syn rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego, Sebastiana Girtlera. Był to człowiek bywały w świecie, w dodatku parający się piórem i chętnie spisujący dla potomnych opasłe pamiętniki. W 1971 ukazały się dwa tomy jego wspomnień (Kazimierz Girtler, *Opowiadania*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1971). Znajdują się tam wzmianki o jego działalności w Krzesławicach, opisy życia chłopów i ich mentalności, wizyty u okolicznych dzierżawców, refleksje o polityce... etc. Słowem, nakreślił Girtler barwną panoramę życia wiejskiego z pierwszej połowy XIX w.

Tak na przykład opisywał zabawy chłopów:

„Wesela bywały szumne. Godawiec, sołtys, którego liczą dziś na kilkanaście tysięcy gotówki, wydając córkę za mąż do Mogiły, prócz wina, miodu, araku, piwa, kupił 40 garnców okowity. Takie wesele zwykle trwało cały tydzień. Wyprawę panny młodej – pościel, skrzynię – przewożą uroczyście na wozie, na którym ona siedzi; przy strzelaniu i krzyku z domu odjeżdża. Bywają przy tym maskarady i różne wysokie wesołości, śpiewy wdzięczne, choć wrzaskliwe, a taniec szalony. Taki taniec w porządnym krakowskim ubiorach, jaki bywał w krzesławickiej karczynie, prawdziwie że warto choć raz w życiu oglądać. Lud to, lud niezrównany do wszystkiego, gdyby jeno nie był bałamucony i narowiony. Jakież to lud był za Jagiellonów – ten lud krakowski. Cóż on wart był dla każdego z królów polskich, coż on wart i dziś jeszcze!” (Girtler, ... s. 169-170)

Następny właściciel majątku nie pisał zbyt wiele, lecz za to pozostawił liczne szkice i widoki tych okolic. Chodzi tu, oczywiście, o Jana Matejkę, który w 1876 r. nabył dwór oraz 330 morgów ziemi (około 160 ha) za 92 tys. złotych reńskich uzyskanych ze sprzedaży obrazu „Batory pod Pskowem”. Artysta był niezwykle przywiązany do tego miejsca, choć gospodarował nie najlepiej (jako malarz niewielkie miał pojęcie o pracy na roli, zaś lata nieurodzaju dodatkowo pogłębiły kryzys). Po jego śmierci rodzina sprzedała włość za jedyne 54 tys. złr., choć do tego czasu ceny ziemi znacznie wzrosły. Sporządzony na potrzeby procesu sądowego inwentarz (rodzina sądziła się o spadek) jest kolejnym ciekawym źródłem dotyczącym dziejów dworu i samych Krzesławic.

Matejko często umieszczał krzesławicki pejzaż na swoich obrazach w charakterze tła. Występuje on w portretach dzieci, „Rzeczpospolitej Babińskiej” oraz w dziele „Bolesław Rogatka z Anną de Dederen”. Z kolei konie

z dworskiej stajni pojawiają się m.in. na płótnach: „Jan III Sobieski pod Wiedniem” oraz „Kościuszkowski pod Racławicami”. Szczególnie ten drugi obraz mocno związany jest z Krzesławicami, bo tutejsi chłopcy pozwolili malarzowi do postaci kosynierów (jeden z nich, wyobrażający Bartosza Głowackiego, zmienił sobie potem nazwisko z Boligłowa na Głowacki). Poza tym widoczny na obrazie kopiec, na który wjeżdża Naczelnik, rzeczywiście znajdował się na końcu dworskiego ogrodu. Matejko umieścił też na płótnie dawnego właściciela dworu w Krzesławicach, Hugona Kołłatają, choć akurat jego pod Racławicami nie było.

Wśród zachowanych rysunków Matejki wiele dotyczy Krzesławic. Niektóre z nich zawierają objaśnienia, stąd np. wiemy, jak wyglądał Janek Krzepina – fornal czy miejscowy geniusz – Grzymek, a także jak odbywał się przyjazd na wieś rodziny Matejków (zdarzenie to przedstawił artysta w formie zabawnej autokarykatury). W salach watykańskich znajduje się malowidło przedstawiające wręczenie papieżowi obrazu „Jan III Sobieski pod Wiedniem”. Wśród sportretowanych tam osób rozpoznać można wójta z Krzesławic, którego Matejko zabrał do Rzymu jako przedstawiciela ludu polskiego.

Sam Mistrz Jan pamiętników nie zostawił, ale spisywał je jego sekretarz, Marian Gorzkowski, który przedstawiał życie malarza czasami godzina po godzinie. Poznali się akurat owego 1876 r., kiedy to artysta kupił Krzesławice. Gorzkowski tak to wspomina:

„W końcu tego roku (tj. 1876) przypada sprzedaż wielkiego obrazu, »Stefana Batorego«, który zakupił hrabia Tyszkiewicz z Litwy, oraz nabycie wsi Krzesławic, gdzie urządzona została także letnia dla artysty pracownia. Zdobyć na własność wioski jest zawsze dla każdego najulubieńszym marzeniem, toteż artysta cieszył się bardzo, że już posiada na własność kawał tej polskiej ziemi, którą z dzieciństwa ukochał.” (Marian Gorzkowski, Jan Matejko, Kraków 1993, s. 75-76).

Pamiętniki Gorzkowskiego są dziełem bezcennym zarówno do poznania biografii Matejki, jak i dziejów Krzesławic. Odnotowują niezwykle dokładnie, jakie obrazy artysta tu namalował, kto mu służył za model, kto go odwiedzał... itp. Zachował się z tych czasów także artykuł w „Kurjerze Warszawskim” napisany przez dziennikarza, który odwiedził Matejkę w jego wiejskiej rezydencji (gospodarz malował wówczas „Rzeczpospolitą Babińską”, dając jako tło jabłonie w swoim sadzie).

Obraz Krzesławic pojawia się także w pamiętnikach gen. Jerzego Kirchmayera. Ten doskonały żołnierz, uczestnik wojny polsko-bolszewickiej i kampanii wrześniowej 1939 r., dowódca Okręgu Warszawskiego Armii Krajowej, a przy tym ceniony historyk wojskowości, spędzał w dzieciństwie letnie wakacje w krzesławickim młynie, który pozostał w rękach rodziny po sprzedaży dworu w 1876 r. i aż do 1913 r. stanowił ich własność. Generał tak pisał o jego znaczeniu:

„Ale młyn krzesławicki był jakby jakimś rodowym dobrem rodziny Kirchmayerów. Miał go dziadek, potem stryj Kanty, teraz rodzice. W Krzesławicach wyrosli moi stryjowie i ich siostry. (...) Krzesławice były już jakby ostatnim wspomnieniem jeszcze niedawnej świetności Kirchmayerów. Pewnie tu zawiązał się mariaż Beaty, córki właściciela dworu krzesławickiego, mistrza Jana Matejki, z moim stryjem Wincentym Kirchmayerem. Z Krzesławic było niedaleko do Pleszowa, w którym grzebano – niczym na Wawelu – zmarłych członków naszego rodu.” (Jerzy Kirchmayer, Pamiętniki, Książka i Wiedza, Warszawa 1965 s. 56-57)

Także w XX w. dworek był często malowany i uwieczniany na blonie fotograficznej. Na przykład w zbiorach Muzeum Dworku Matejki znajduje się scena rodzajowa zatytułowana „Poranek w Krzesławicach” pędzla bratanka Mistrza Jana, Stefana Matejki. Jest tam też widok dworku z 1942 r. namalowany przez Leszkę oraz inny, wykonany przez Stefana Rostworowskiego w latach 70.

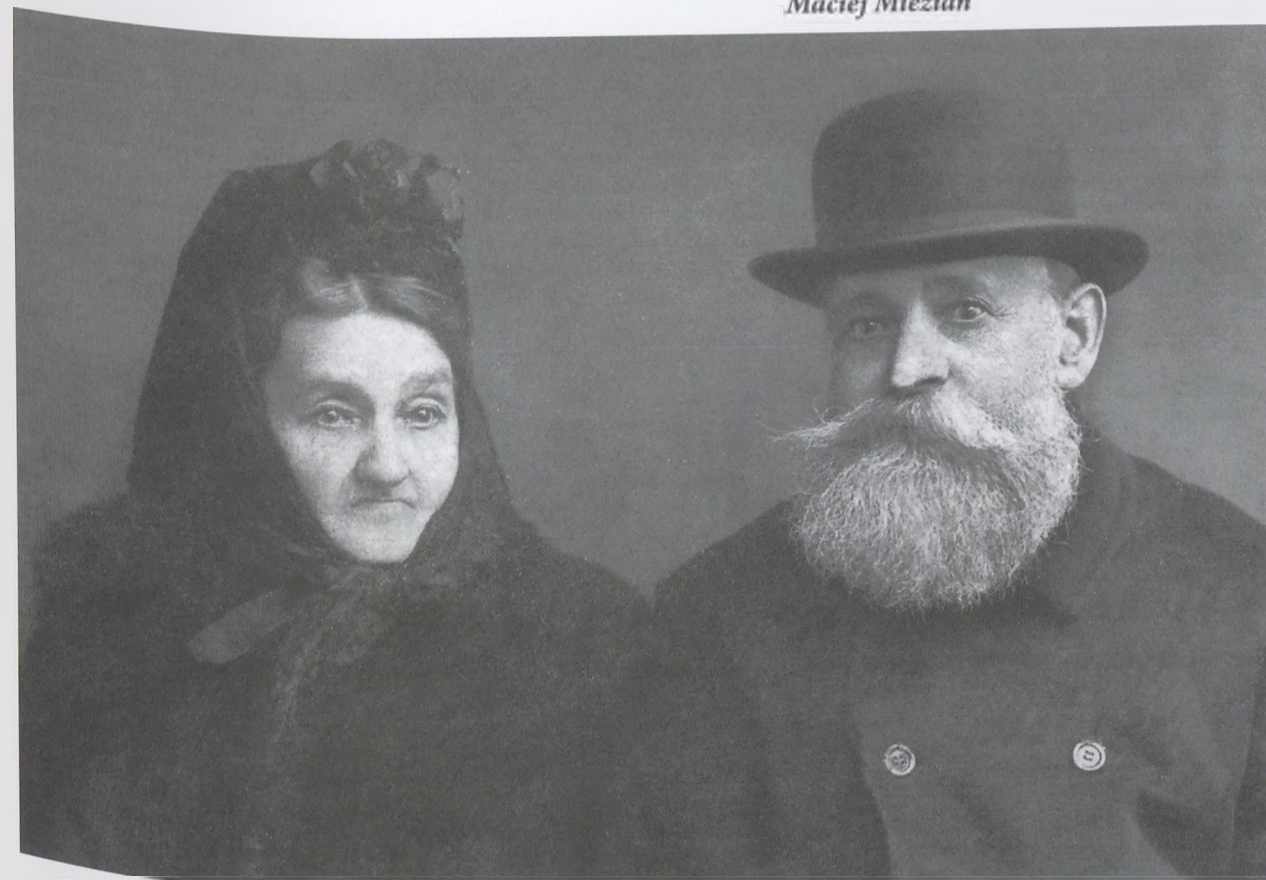
Muzeum Historyczne Miasta Krakowa posiada liczne zdjęcia Henryka Hermanowicza i Stanisława Gawlińskiego pokazujące stan dworku z czasów, gdy mieszkała tu ostatnia dziedziczka, Maria Burzyńska. Widać tam nieistniejące już zdobienia sufitu w salonie oraz budynki spichlerza i stajni, rozebrane w latach 70.

Gdy w pierwszej połowie lat 90. byłem kustoszem Muzeum Dworku Matejki, nagrano tutaj kilka przedstawień Teatru Telewizji, głównie w reżyserii Kazimierza Kutza. Ponieważ były to z reguły sztuki Czechowa albo Ostrowskiego, rezydencja Matejki na parę tygodni zmieniała się w rosyjską prowincję, zaś przez pokoje przewijała się plejada wybitnych polskich aktorów: Anna Dymna, Agnieszka Grochał, Dorota Segda, Jerzy Bińczycki, Jan Frycz czy Zbigniew Zamachowski.

Reasumując, można powiedzieć, że co do ilości pisanych i malowanych przekazów Krzesławice ustępują na terenie Nowej Huty jedynie Mogile, gdzie znajduje się słynny Kopiec Wandy i klasztor cystersów. Zapewne wiele z pejzaży Krzesławic robionych np. przez uczniów Matejki, którzy przyjeżdżali do niego na „majówki”, wisi nierozpoznanych w muzeach i zbiorach prywatnych.

Dom Matejki w Krzesławicach jest uważany za jeden z najcenniejszych przykładów architektury dworskiej w Polsce. Jego wizerunek umieszcza się w albumach, a nawet znalazł się na znaczku pocztowym. Także sama wieś warta jest obszernej monografii, bo szczyci się bogatą historią i wybitnymi mieszkańcami.

Maciej Mieźian



Teodor Cybulski z żoną, właściciele Dworku Matejki, którzy nabyli go po śmierci Jana Matejki od jego syna Tadeusza, ok. 1915 r.



Dworek Matejki, lata 60, fot. Maciej Mieźian



Dworek Matejki, 2006 r., fot. Adam Gryczyński



Maria Burzyńska z domu Cybulska, ostatnia właścicielka dworku, obok niej stoi Ignacy Trybowski z Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych, fot. Maciej Mieźian

Dramat Pięknej Zośki

Byłem jeszcze dzieckiem, gdy po raz pierwszy usłyszałem o Pięknej Zośce, czyli Zofii Frontczakównie z Zesławic. Jej dramatyczne dzieje, opisane w „Pitavalu krakowskim” autorstwa Stanisława Salomonowicza, Janusza Szwai i Stanisława Waltosia, opowiedziałem kiedyś mojemu dziadkowi, Janowi Małecie. Ku memu zdziwieniu okazało się, że dziadek znał ją osobiście. Urodził się bowiem w 1905 roku w Kantorowicach – wiosce graniczącej z Zesławicami, toteż razem z Franczakówną i innymi dziećmi pasł krowy i biegał po łąkach.

Trudno mi sobie wyobrazić, co poczuł owego feralnego 22 maja 1927 r., gdy w Krakowie gruchnęła wieść, że z rzeki Dłubni wydobyto pokawałkowane zwłoki należące do jego koleżanki z dzieciństwa, zaginionej tydzień wcześniej. Musiał to być dla niego szok, podobnie jak dla wszystkich mieszkańców Krakowa.

Zofia Franczakówna nie była bowiem osobą nieznaną. Jej wielka uroda sprawiła, że stała się wziętą modelką, uwiecznianą na obrazach przez najwybitniejszych krakowskich artystów. Już od czasów Młodej Polski, gdy pojawiła się moda na „ludowość”, młode dziewczyny ze wsi pozowały w strojach ludowych profesorom i studentom Krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Najczęściej po sprzedaniu jaj i serów na Rynku Kleparskim siadały pod gmachem Akademii i czekały na propozycje. Był to dla nich dodatkowy dochód, choć okupiony ciężko, bo pozowanie narażało je na ostracyzm we wsi i zazdrość mężów. Obiegowe opinie o zepsuciu w świecie artystycznym odbiły się także niekorzystnie na małżeństwie samej Zofii Franczakówny i być może doprowadziły ją do tragicznego końca.

W 1921 roku dziewczyna wyszła za mąż za niezbyt gospodarnego, a w dodatku nieźrównoważonego emocjonalnie gospodarza, Macieja Palucha. Razem osiedli na należącym do Zofii niewielkim 6-morgowym gospodarstwie we wsi Dłubnia (obecnie wioska ta już nie istnieje, pochłonięta przez rozrastającą się Nową Hutę).

Mąż wiecznie robił jej awantury i regularnie bił. Sytuacji nie poprawiały też uszczypliwe uwagi sąsiadów na temat pozowania Zofii, choć dzięki tym dochodom łątała ona jakoś domowy budżet i była w stanie wykarmić dwójkę dzieci. Nie mogła w tym względzie liczyć na swojego męża, który zaniedbywał gospodarkę i nie przynosił do domu żadnych pieniędzy. W lipcu 1926 r. pobita i posiniaczona Franczakówna zdecydowała się porzucić Macieja Palucha i wraz z dziećmi przeniosła się do ciotki przy ul. Pasterskiej. Wkrótce wniosła pozew o rozwód.

Ponieważ mąż ciągle ją nachodził, grożąc przy okazji krewnym, że wszystkich ich pozabija, ciotka wymówiła jej mieszkanie. Wobec tego Zofia wynajęła niewielkie lokum przy Grzegórzeckiej, a w swoim domu w Dłubni pojawiała się już tylko w obecności osób trzecich.

Wiosną 1927 r. Paluch przestał wypłacać zasądzone przez sąd alimenty, jednak zaklinał się, że to tylko krótka zwłoka i wszystko ureguluje w połowie maja, kiedy spodziewał się przyływu gotówki. Zofia uwierzyła. 15 maja 1927 r. sama przyjechała do Dłubni po pieniądze – i to był jej błąd. Ostatni raz widziano ją żywą o godz. 14.00, kiedy to witała się z mężem w progu domu. Co następnie stało się za tymi drzwiami, nie wiadomo do dziś. Opowieść Palucha o tym, że Zofia groziła mu siekierą, jest mało prawdopodobna. Za to fakt, iż uderzył ją w głowę od tyłu i zabił na miejscu, a potem pociął na kawałki, potwierdziły dowody zebrane w śledztwie.

Jego вина była bezsporna i choć się do niej nie przyznawał, to plamy krwi na ścianie i odciski zakrwawionych dłoni świadczyły przeciwko niemu. Nawet przy ówczesnych mocno niedoskonałych metodach badania śladów nie było trudności z wykazaniem, że miało tu miejsce morderstwo. Nic nie dały także tłumaczenia Palucha, że znalezione zwłoki należą do kogoś innego, a jego żona żyje, tylko uciekła z kochankiem. Pomimo iż nigdy nie znaleziono głowy i kończyn górnych, ustalono ponad wszelką wątpliwość, że wyławiane przez prawie cały miesiąc fragmenty kobiecego ciała należą do Zofii Paluchowej. Notabene miejscowa ludność ochrzciła potem rzekę Dłubnię mianem Paluchówki.

8 grudnia 1927 r. mordercę skazano na 15 lat ciężkiego więzienia, potem wyrok ten obniżono do 12 lat. Od wyższej kary uchronił skazanego fakt, że nie dało się mu udowodnić działania z premedytacją. Czyn uznano za zbrodnię w afekcie, pod wpływem silnych wzruszeń i to stanowiło okoliczność łagodzącą.

Cztery lata później Paluch, pisząc z więzienia w Nowym Wiśniczu prośbę do Prezydenta RP o ułaskawienie, przyznał się do winy i opisał okoliczności morderstwa. Zwolniony po odsiedzeniu 10 lat, w grudniu 1937 r. był już wrakiem człowieka. Do Dłubni nie wrócił. Osiadł w Krakowie, gdzie zajmował się zbieraniem szmat i pustych butelek, sprzątał też w jakimś zakładzie fryzjerskim i był „dziadkiem kościelnym” u św. Marka przy ul. Sławkowskiej. W 1960 r. usnął z papierosem na stosie szmat, które gromadził w szopie przy ul. Zamojskiego i zmarł od zaccadzenia tlenkiem węgla. Tak zakończył się ostatni wątek „sprawy Pięknej Zośki”.

Maciej Mieziań

Zofia Paluch z Franczaków

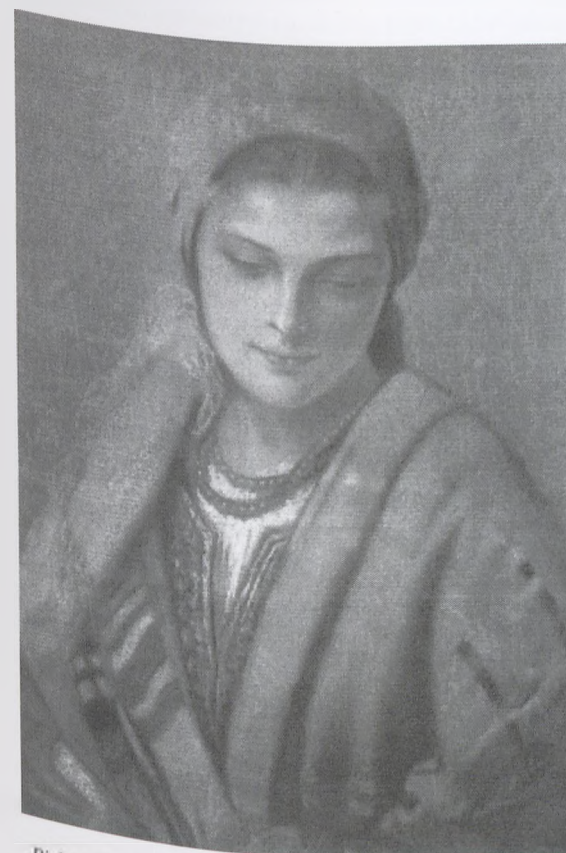
Zofia Paluch z Franczaków, żona Macieja, mieszkająca w Zesławicach pod numerem domu 15 została pochowana w Raciborowicach 15 maja 1927 r. w wieku 29 lat. Urodzona 23 grudnia 1898 r. w Zesławicach pod numerem domu 36 z Jana Franczaka (ówcześnie pisano Francaka), rolnika, syna Antoniego i Agaty Gałczyńskiej w Zesławicach, urodzonego 10 lipca 1862 r. i Marianny Ziółko, córki Stanisława i Zofii Gontkiewicz, urodzonej w Giebułtowie w 1868 r. Rodzice Pięknej Zośki wzięli ślub w 1889 r.

Chrzestnymi Zofii Franczak byli: Bartłomiej Wojdyło, rolnik z Modlnicy i Zofia Ziółko, rolniczka z Giebułtowa. Ślub Macieja Palucha, urodzonego 31 listopada 1892 r., rolnika, syna Stefana i Rozalii Gorzkowskiej (Goszkowskiej) z Piękną Zośką odbył się w Raciborowicach 28 sierpnia 1921 r. Miał wówczas 29 lat, a panna młoda 23 lata. Świadcami byli Jakub Grela i Jan Żak.

Opis zgonu w księdze metrykalnej: (łac) Trucidata per visua tuum (suum?) et membrs truncata. Non provisa. Proiecta in flumen Dłubnia inventa per partes. (czyli (tłumaczenie własne, niedokładne: zamordowana „per visua” i poćwiartowana. Nie zaopatrzona (sakramentami). Kawałki ciała znalezione w rzece Dłubni.

Źródło: Archiwum parafialne w Raciborowicach, Liber defunctorum, t. XIV, Liber natorum et baptisatorum, t. XIII, Liber Copulatorum.

Informacje dodatkowe o „Pięknej Zośce” zebrał Mateusz Wyżga



„Piękna Zośka” na obrazach Piotra Stachewicza (1858–1938). Z prawej reprodukcja z przedwojennego kalendarza. Autor kształcił się w Krakowskiej Szkole Sztuk Pięknych, studia kontynuował w Monachium. Tworzył obrazy religijne, historyczne, rodzajowe oraz portrety. Znaną są zwłaszcza portrety kobiety w stroju krakowskim do których pozowała mu „Piękna Zośka” – Zofia Paluchowa. Był członkiem Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych, tworzył m.in. ilustracje do powieści Henryka Sienkiewicza, poezji Adama Mickiewicza oraz Marii Konopnickiej. Stachewicz jest autorem dekoracji mozaikowej kościoła OO. Jezuitów. (Źródło: Wikipedia)

Ludobójstwo w forcie w Krzesławicach w latach 1939-1941

Podczas opracowania cyklu artykułów o zbrodni popełnionej przez Niemców przy forcie w Krzesławicach wykorzystałem dokumenty przechowywane w Archiwum Państwowym w Krakowie i w Instytucie Pamięci Narodowej (IPN). Najbogatszy zbiór dokumentów w tej sprawie posiada krakowski oddział IPN, wśród których mieszczą się: archiwum śledztwa w sprawie zbrodni w Krzesławicach Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, a więc raporty i końcowy protokół z prac ekshumacyjnych ofiar zbrodni; opis miejsca egzekucji z mapką rozmieszczenia zbiorowych grobów, zeznania świadków zbrodni oraz inne dokumenty. Po zakończeniu wojny nie zachowały się archiwa niemieckiej administracji Generalnej Guberni dokumentujące przebieg tych rozstrzeliwań. Dlatego w toku śledztwa przeprowadzonego po zakończeniu wojny nie udało się ustalić danych personalnych funkcjonariuszy niemieckich, którzy wydawali rozkazy i kierowali akcją oraz numerów identyfikacyjnych oddziałów niemieckich, które wykonywały zbiorowe egzekucje. Wiceprokurator Prokuratury Wojewódzkiej Jan Brandys delegowany do Okręgowej Komisji Badań Zbrodni Hitlerowskich w Krakowie w sprawozdaniu z przeprowadzonego śledztwa pisze:

„Wobec braku dokumentacji i innych konkretnych dowodów w tym zakresie nie zdołano ustalić osób (nazwisk i funkcji) sprawców-rozkazodawców względnie bezpośrednich wykonawców zbrodni w Krzesławicach. Na podstawie jednak ujawnionych w śledztwie okoliczności (a m. in. ogólnikowych zeznań niektórych świadków) można wnosić, że w egzekucjach tych bezpośrednio udział brali funkcjonariusze Gestapo, SS i prawdopodobnie żandarmerii względnie policji ochronnej w Krakowie”. Jednak według prokuratora ze względu na piastowane stanowiska. O całej sprawie musieli wiedzieć i wydać zgodę wyżsi funkcjonariusze policji bezpieczeństwa i służby bezpieczeństwa (SiPO i SD) w Krakowie i między innymi oni ponoszą odpowiedzialność za tę zbrodnię, a wśród nich: SS Obergruppenführer Wilhelm Krüger, wyższy dowódca SS i Policji od X 1939 r. do XI 1943 r. Dowódca policji bezpieczeństwa i służby bezpieczeństwa w Generalnej Guberni od X 1939 r. do I 1941 r., SS Brigadeführer Bruno Streckenbach, od I 1941 r. do VII 1943 r. SS Brigadeführer Eberhart Schongart (stracony z wyroku brytyjskiego dn. 15 V 1948 r.). Dziennik Polski 18 VI 1945 r. opublikował informację o zbrodni popełnionej w czasie okupacji w Krzesławicach przez Niemców na obywatelach polskich. 23 VI 1945 r. Powiatowy Oddział Informacji i Propagandy w Krakowie w piśmie do Starostwa Powiatowego polecił: „W ostatnich dniach podała prasa do wiadomości ogółu komunikat o odkryciu w obrębie fortu w Krzesławicach, gmina Mogiła, masowego grobu ofiar, pomordowanych przez barbarzyńskich okupantów niemieckich. Ponieważ sprawa ta domaga się nie tylko wyjaśnienia, ale wydobywania na światło dzienne, dalej przeprowadzenia ekshumacji zwłok w nowej zbiorowej mogile, proponuje niniejszym Powiatowy Oddział Informacji i Propagandy Starostwu Powiatowemu utworzenie odnośnego Komitetu (...)” Projekt składu Komitetu był już gotowy.

2 VII 1945 r. i równolegle zbierano fundusze pieniężne na sfinansowanie prac ekshumacyjnych. 21 VII 1945 r. zawiązał się Komitet ekshumacji zwłok ofiar pomordowanych na forcie w Krzesławicach. W zebraniu organizacyjnym Komitetu uczestniczyli m.in. wójt gminy Mogiła, Józef Celiński – kierownik szkoły w Bieńczykach, ks. Antoni Góralik – proboszcz w Pleszowie, ks. Leon Orłowski – delegat zakonu Cystersów, przedstawiciele redakcji Dziennika Polskiego, Głównego Komitetu Badań Zbrodni w Polsce, Gminnej Rady Narodowej w Mogile oraz Naczelnik Powiatowego Oddziału Informacji i Propagandy w Krakowie. W ramach komitetu powołano 2 sekcje: organizacyjną, która miała na celu postawienie pomnika ku czci ofiar w Krzesławicach (weszli do niej m.in. przeor oo. Cystersów Augustyn Ciesielski i ks. Józef Zastawniak) i techniczną, odpowiedzialną za przeprowadzenie ekshumacji i identyfikacji zwłok. Proroktor Uniwersytetu Jagiellońskiego prof. dr T. Dziurzyński delegował dr. Jana Olbrycha, prof. medycyny sądowej w UJ do komisji sądowo-lekarskiej. Przewodniczącym Komitetu Ekshumacji został starosta powiatowy. W dniu 15 X 1945 r. o godz. 9.30 Komisja w obecności dziennikarzy, świadków tej zbrodni (m. in. mieszkańców wsi Krzesławice) oraz rodzin ofiar rozpoczęła prace ekshumacyjne przy forcie w Krzesławicach. Komisja sądowo-lekarska (3 lekarzy i 2 sędziów) przeprowadzała sekcje zwłok w jednej z izb w forcie lub na zewnątrz. Rodziny i inni świadkowie mogli obserwować prace ekshumacyjne w celu identyfikacji rozstrzelanych osób. Przed rozpoczęciem ekshumacji liczbę ofiar szacowano na 1000 lub 2000, podczas gdy prace ekshumacyjne odsłoniły 440 zwłok pomordowanych, co oczywiście nie umniejsza potworności tej zbrodni. Prace ekshumacyjne trwały od 15 X do 6 XII 1945 r. Protokół ekshumacji spisano 17 X 1946 r. W dalszym toku śledztwa Okręgowa Komisja przesłuchiwała świadków oraz gromadziła dalsze dowody tej zbrodni. W dniu 14 I 1948 r. Główna Komisja Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce w składzie: Sędzia Okręgowy Śledczy Jan Sehn, Sędzia Sądu Grodzkiego dr. St. Żmuda, wiceprokuratorzy Sądu Okręgowego Edward Pękalski i dr Wincenty Jagosiński, prof. i kierownik Zakładu Medycyny Sądowej UJ, biegły są-

dowy dr Jan Olbracht oraz dwóch członków Krakowskiej Komisji Okręgowej (w Krakowie) Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce podpisali końcowy protokół ze śledztwa. Podczas prac ekshumacyjnych odkryto zwłoki 440 ofiar zbrodni, w tym 18 kobiet, rozmieszczonych w 29 grobach zbiorowych wokół fortu. Najmniejszy grób mieścił 2 zwłoki a największy – 52. W wyniku przeprowadzonych badań i oględzin stwierdzono: 89 % ofiar poniosło śmierć wskutek strzału w głowę, w tym 78 w tył głowy. W wielu przypadkach nie udało się stwierdzić miejsca postrzału na wskutek daleko posuniętego rozkładu zwłok i uszkodzeń niektórych części ciała.

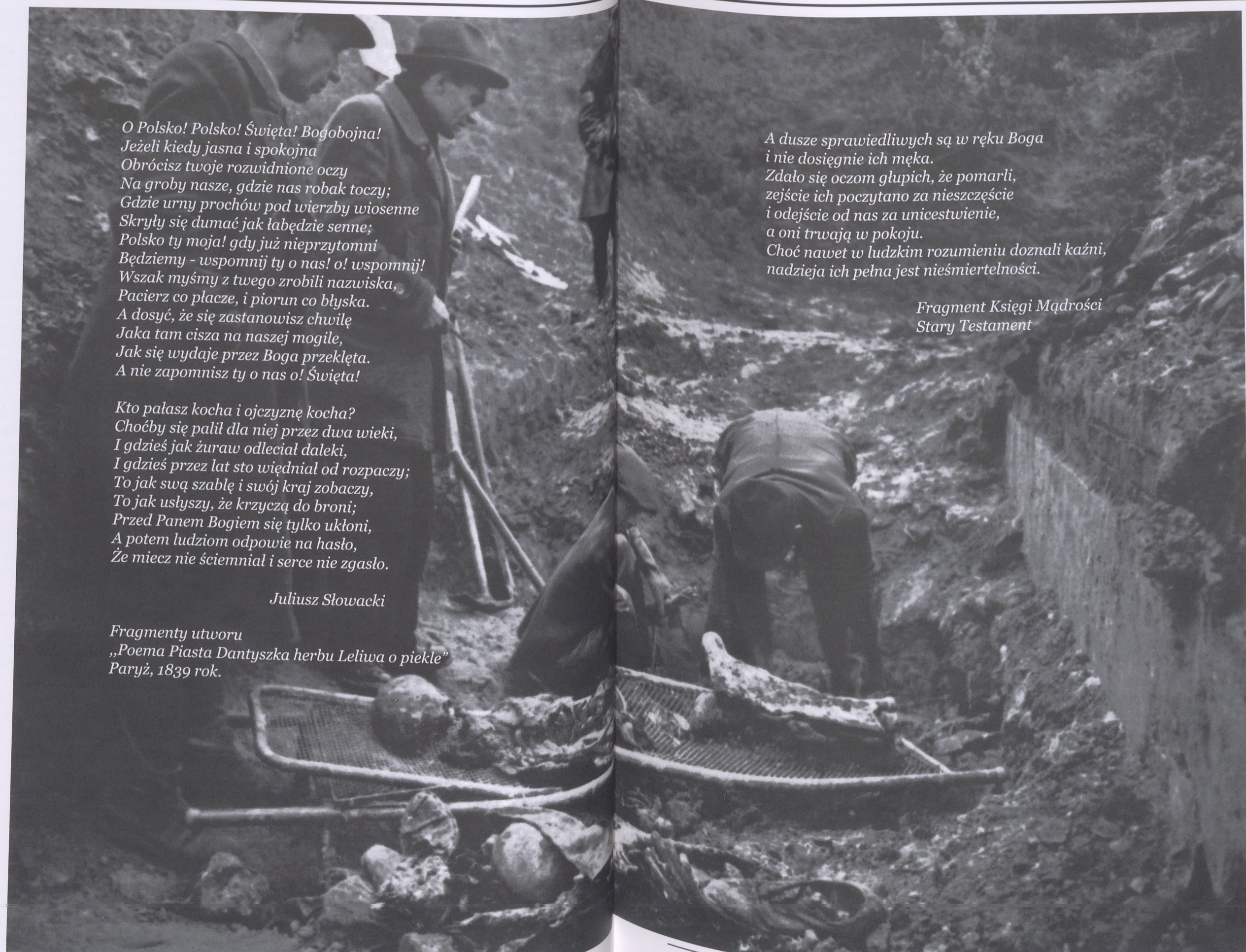
Oprawcy swoje ofiary przed egzekucją ustawiali tuż nad krawędzią wykopanego dołu tak, aby po zadaniu strzałów ich ciała bezwładnie wpadały bezpośrednio do grobów (w tym przypadku podczas ekshumacji odkryto, że ciała leżały w różnych kierunkach) lub ustawiali skazanych obok grobów i po przeprowadzonej egzekucji ciała układano w grobach, kładąc je względem siebie równolegle w pozycji grzbietowej. Ręce niektórych ofiar były splątane ze sobą co wskazuje, że tuż po oddaniu strzału niektórzy jeszcze żyli, kiedy leżeli w grobach. Tych ofiar prawdopodobnie dobijali lub grzebali żywcem. W kilku przypadkach stwierdzono założone opaski na oczach. Na ogół nie krępowano kończyn przed egzekucją. Strzały oddawano z broni o jednolitym pocisku opancerzonym lub nieopancerzonym, a niektóre ofiary dobijano narzędziami tępymi, jak kolbą karabinu. Na podstawie oględzin odzieży i zachowanych przedmiotów osobistych zidentyfikowano 104 ofiary, a 78 dzięki zeznaniom świadków i innych okoliczności. 258 zwłok nie zidentyfikowano. Pierwszą egzekucję Niemcy wykonali w dn. 1 XI 1939 r. a ostatnią ujawnioną w dn. 7 XI 1941 r. Pod względem zawodowym rozstrzeliwano uczniów, studentów, nauczycieli, robotników, chłopów, oficerów zawodowych Wojska Polskiego, artystów. Około 52 % ofiar stanowiła inteligencja. Powody egzekucji były różne: za działalność konspiracyjną w strukturach Armii Krajowej; część ofiar pochodziła z łapanek ulicznych lub aresztowani za domniemaną działalność sabotażową, za posiadanie broni. Część Gestapo aresztowała omyłkowo lub jako zakładników, jak w przypadku 32 zakładników z Myślenic aresztowanych w Myślenicach 23 VI 1940 r. i rozstrzelanych w Krzesławicach 29 VI 1940 r. Sprawa zakładników z Myślenic była przedmiotem odrębnego śledztwa po wojnie. Wielu rozstrzelano za próbę przekroczenia nielegalnie granicy słowacko-węgierskiej. Tą grupę stanowili oficerowie Wojska Polskiego i cywile-mężczyźni. Na terenie Słowacji po aresztowaniu ich przez słowacką straż graniczną, byli przekazywani w ręce niemieckie. Wśród rozpoznanych najwięcej było ofiar między 20 a 30 rokiem życia. Najmłodsza ofiara liczyła 15 lat, a najstarsza – 70 lat.

Przebieg egzekucji:

W przeddzień egzekucji, późnym popołudniem Niemcy przywozili samochodami ciężarowymi krytymi brezentem do fortu grupę skazanych, którzy mieli wykopać groby, po czym odwożono ich do więzienia. Następnego dnia rano z więzienia wyjeżdżała kolumna kilku samochodów ciężarowych wypełnionych skazanymi wśród których byli ci którzy poprzedniego dnia wykopywali groby. Eskortowały je 2 lub 3 samochody osobowe. Z tyłu każdej ciężarówki siedział strażnik. Po dotarciu na miejsce pluton egzekucyjny w sile 10 żołnierzy wykonywał wyrok. Ciała przysypywano warstwą ziemi o grubości 60 cm. Jedną z mieszanek wsi Krzesławice tak wspominała te czasy podczas śledztwa przed prokuratorem: „W drugiej połowie czerwca 1940 r. w godzinach rannych słychać było przez szereg dni strzały na forcie krzesławickim, dokąd zwożono autami ciężarówkami ludzi. Zaciekawiona tym ludność miejscowa poczęła zaglądać na fort krzesławicki i przekonała się, że są świeże groby. Nie ulegało więc wątpliwości, że Niemcy rozstrzelują tam ludzi i chowają ich na miejscu. Przy niektórych grobach znaleziono części ubrania, jak szaliki, kapelusze a nawet i kawałki palców ludzkich. W dniu 29 VI 1940 r. słychać było strzały w forcie krzesławickim dwukrotnie. Jak ludzie z Krzesławic twierdzili przywożono tam w jednym dniu grupę więźniów, która kopała grób, a następnego dnia strzelano do więźniów i chowano ich w tym grobie”.

Krzysztof Rosolek

Autor dziękuje krakowskiemu oddziałowi Instytutu Pamięci Narodowej za udostępnienie dokumentów dotyczących zbrodni w Krzesławicach.



O Polsko! Polsko! Święta! Bogobojna!
 Jeżeli kiedy jasna i spokojna
 Obrócisz twoje rozwidnione oczy
 Na groby nasze, gdzie nas robak toczy;
 Gdzie urny prochów pod wierzby wiosenne
 Skryły się dumać jak łabędzie senne;
 Polsko ty moja! gdy już nieprzytomni
 Będziemy - wspomnij ty o nas! o! wspomnij!
 Wszak myśmy z twego zrobili nazwiska,
 Pacierz co płacze, i piorun co błyska.
 A dosyć, że się zastanowisz chwilę
 Jaka tam cisza na naszej mogile,
 Jak się wydaje przez Boga przeklęta.
 A nie zapomnisz ty o nas o! Święta!

Kto pałasz kocha i ojczyznę kocha?
 Choćby się palił dla niej przez dwa wieki,
 I gdzieś jak żuraw odleciał daleki,
 I gdzieś przez lat sto więdniał od rozpacz;
 To jak swą szablę i swój kraj zobaczy,
 To jak usłyszy, że krzyczą do broni;
 Przed Panem Bogiem się tylko ukloni,
 A potem ludziom odpowie na hasło,
 Że miecz nie ściemniał i serce nie zgasło.

Juliusz Słowacki

Fragmenty utworu
 „Poema Piasta Dantyszka herbu Leliwa o piekle”
 Paryż, 1839 rok.

A dusze sprawiedliwych są w ręku Boga
 i nie dosięgnie ich męka.
 Zdało się oczom głupich, że pomarli,
 zejście ich poczytano za nieszczęście
 i odejście od nas za unicestwienie,
 a oni trwają w pokoju.
 Choć nawet w ludzkim rozumieniu doznali kaźni,
 nadzieja ich pełna jest nieśmiertelności.

Fragment Księgi Mądrości
 Stary Testament



Ekshumacja i identyfikacja zwłok 440 Polaków rozstrzelanych przez Niemców w forcie krzesławickim w latach 1939-41.
Wzgórze Krzesławickie, listopad 1945 r. Prywatne archiwum Kazimierza Malca



Ekshumacja i identyfikacja zwłok 440 Polaków rozstrzelanych przez Niemców w forcie krzesławickim w latach 1939-41.
Wzgórze Krzesławickie, listopad 1945 r. Prywatne archiwum Kazimierza Malca

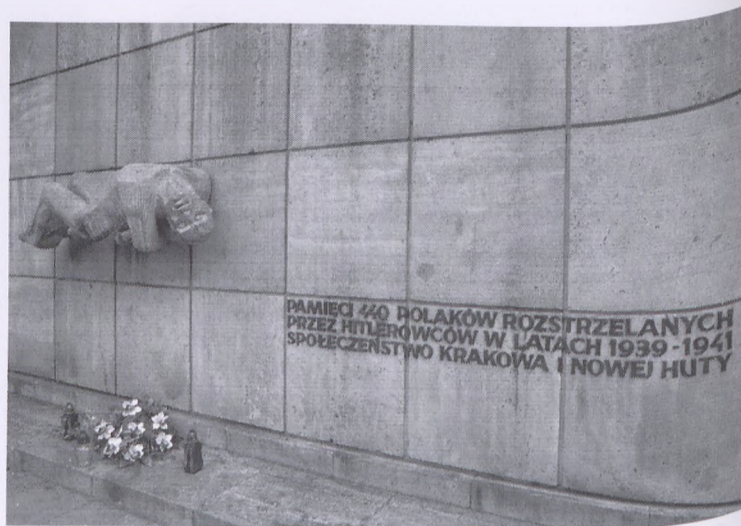


Wśród więźniów przywiezionych do fortu w dn. 28 czerwca 1940 r. był Stanisław Marusarz. Pod okiem niemieckich żołnierzy Polacy kopali dół z przeznaczeniem na grób. Dzięki udanej ucieczce z celi z więzienia w dn. 2 lipca 1940 r. Stanisław Marusarz wraz z dwoma współtowarzyszami zachował życie. Pozostali więźniowie zostali rozstrzelani w fosie w zachodniej części fortu 2 i 4 lipca 1940 r.

Po zakończeniu wojny fort przez krótki czas służył administracji wojskowej, a później został przekazany w ręce cywilne. W latach 1949-52 urządzono tu hotel dla ekip budujących Nową Hutę. 27 maja 1957 r. odsłonięto tablicę upamiętniającą zbiorowy mord, jednakże z podanymi nieprawdziwymi latami dokonanych egzekucji. Rok później odsłonięto postawiony na masowym grobie pomnik. W latach 60. XX w. obiekt został mocno zniszczony po fali nielegalnie zakładanych działek. W grudniu 1976 r. na polecenie władz dzielnicy Kraków Nowa Huta wysadzono w powietrze zachodnią kaponierę (autentyczne miejsce dokonywanych egzekucji, na ścianie umieszczona była tabliczka z napisem: „Miejsce uświęcone męczeńską krwią Polaków”), schron pogotowia nr II i III oraz północno-zachodnie wyjście z koszar, zasypano fosę w północno-wschodniej części wraz z kaponierą czołową i wschodnią (kolejne, autentyczne miejsca dokonywania egzekucji), zniwelowano wały ziemne.

Pamiętką dewastacji są również ślady pozostałe w samym forcie; na wale artyleryjskim stoją altanki, w dawnych schronach pogotowia mieszczą się piwnice i kurniki. W fosie przez wiele lat nagromadziło się mnóstwo śmieci. Stan fortu (sprofanowanego i zdewastowanego) w niczym nie przypominał Miejsca Pamięci Narodowej.

Na szczęście tamten okres to już tylko historia, którą można wspominać. W 1993 r. powstała koncepcja przekształcenia fortu na rzecz Młodzieżowego Domu Kultury autorstwa Stanisława Owcy (Przewodniczącego Rady Dzielnicy XVII Miasta Krakowa) i Franciszka Dziadonia (Dyrektora MDK), a w 1994 r. decyzją Zarządu Miasta Krakowa obiekt przekazany został Młodzieżowemu Domowi Kultury Na Stoku.



Pomnik poległych w forcie krzesławickim, 2008 r.,
fot. Adam Gryczyński

Wspomnienia Stanisława Cygana

Dawne czasy, dwór, odebranie ziemi, junacy, współczesność:

Kiedyś to było zupełnie inaczej, były zasady, normy, każdy miał kawałek ziemi, a jak nie mógł z niej wyżyć, to pracował we dworze. Dawniej mieszkał tam Matejko, potem pani dziedziczka, nazywała się Burzyńska. Wcześniej Matejko, opchnął to Kirchmajerom, a oni Cybulskim. Po pierwszej wojnie światowej, tam gdzie jest kościół na Wzgórzach, to było pole Pana Cybulskiego, zabrali mu 100 morgów pola po 800 zł. To dostał bidok 800 tys. A jak zabrali ziemię, gdy potem powstał kombinat, to Burzyńską dziadówką zrobili. Ten dworek Matejki, to już ruina była, bo jak jej zabrali wszystko, to ona nie miała żadnych środków do życia, a co dopiero na utrzymanie budynku i remonty. A to był socjalizm. Jeśli kto krzyknął coś – jak my miejscowi – no to był wróg. A kto się miał cieszyć? Mieliśmy po 18 – 20 lat, ale nasze ojce, dziadki i krwawica pokoleń... Przyszli i zabrali. Trzy brygady junaków tu były, tzw. „stonki”, to się nic nie utrzymało na ogrodzie, z korzeniami wyrwali, niszczyli. Było tu 3 tysiące junaków, 3 brygady, każda po tysiąc chłopów, no to przecież nikt by ich nie upilnował. A jak się tam poszło na skargę, to niech kto odróżni i pokaże który to był – jeśli tysiąc junaków jednakowo ubranych – a nawet gdyby rozpoznać którego, to w nocy by przyszli i wszystko zniszczyli. To były początki; „Meksyk”, hotele robotnicze w Pleszowie. Ja będąc w wojsku w 1952 r. pojechałem do Rembertowa po filmy i pytam się, co będzie dziś, a on mówi „Blaski i cienie Meksyku”. Myśleli, że będą sombrera, kowboje i piękna muzyka. Puścili – bo to taki dodatek był – blaski i cienie, ale tych naszych baraków hotelowych. Cienie – to jak przyszedł w tych „gumiorach” w błocie, kufajach, jabcoka popił na wyrze, a blaski – to byli ci czystiejsi, stołówek mieli, była świetlica. Socjalizm umiał reklamować, to była ta cała propaganda. I my byli serdecznie rozbawieni, że zamiast tego Meksyku, my ten swój mieli. W armii służyłem w Warszawie. Politruk taki był z naszej wsi, to po dwóch latach miał dwie gwiazdki, no i został kaznodzieją, utrwalaczem władzy ludowej. A jego ojciec miał 15 morgów, to już się nazywał kułak, i ojcu zabrali, a synowi nie chciało się robić, więc poszedł do wojska. Było takie powiedzonko: „nie matura, lecz chęć szczerą, zrobi z ciebie oficera”. To on z takich był, siedem klas nie skończył, ale go „upiekli”, i jak było to wyświęcenie, promocja nazwijmy, na te dwie „gwiachy”, no to leciała propaganda w „Żołnierzu Polskim”, że były „pasikrowa”, syn „fornola”, a ojciec stał przy martenowskich piecach, które dopiero z ziemi wychodziły. To była propaganda, ale kto był stąd, to wiedział, a kto tu nie był, to uwierzył; że niby ta huta stoi na bagnach, piachach i nieużytkach. Zabrali najpiękniejsze ziemie.(...)Po wojnie władza, tzw. elita rządząca to robiła: jak orkiestra grała w Moskwie, tak musieli tańczyć.

Praca, gospodarstwo:

Przed Hutą to się z pola żyło. Ale to tylko ci, co mieli, a wielu było takich, co nie miało, no to oni od wiosny do jesieni u gospodarza robili: plewienie, sianie, żniwa, kopanie. We dworze dużo tych fornali robiło. Tam było ze 200 morgów pola, więc pracowało kilkunastu ludzi. Znać tę anegdotę: „Błyśnij Panie, znajdę banie?” Było to na jesieni, zbierało się na burzę, a służba folwarczna powiada: wybierzemy się na dynie (owoce już były takie jak arbuzy), no bo to karbowego nie będzie, nie będzie pilnował. To było tam gdzie jest dziś dyrekcja huty, a wtedy to były szanice austriackie. I tam, na tych dworskich polach, ci fornale przyszli jak strasznie siupało. Pioruny wałą – mówią – karbowy nie będzie pilnował, to „chapniemy” sobie tych dyń. A karbowy, który awansował dlatego, że dobrze goił, co to miał nie pilnować a pilnował, wziął jakiegoś solidnego „sękoca” i przyczaił się. No i te folwarczne chłopcy na tym polu mówią: – „Błyśnij Panie, znajdę banie” – bo jak się błysło, to te dynie zauważył, bo jaśniejsze były. A ten karbowy, przyczajony jak nagle błysnął tym „sękocem”, to im się na długo ciemno zrobiło.

Karczma, Żydzi:

Tam gdzie jest dziś nowa restauracja „Laguna”, to tam była kiedyś karczma żydowska – „Rajtary” się nazywały, a mówili „Buciory”, bo na froncie, były takie wyrzeźbione przez jakiegoś artystę rybaczkie buty, i dlatego, że wielkie były, to karczmę nazwali „Buciory”. To przyszedł ten pod wąsem w 1939 r. i Żydów załatwił. Mieszkał po nich komendant, volksdeutsch, Pokładnik, co był nam mało szkodliwy, no to jakoś dożył śmierci. A w karczmie u Żyda, jak to u Żyda. Większość to piła piwsko, trunek, no i były tam jakieś „potupajki”. Na dole była karczma, a u góry Żydzi mieszkali. Życzyć Polakom, żeby tak solidarni byli między sobą jak Żydzi. Ileż to trwa ich historia, a nie zatracili języka, obyczajów, a nasz pojedyk na chwilę na Zachód, i już nie mamrota po polsku.

Kontakty z Krakowem, stacja kolejowa:

Stacja była, stąd 500 m., bilet kosztował złotego do Krakowa, a jajko 4 grosze, to baba, żeby kupić ten bilet, to musiała 25 jaj sprzedać. Dlatego szły za pociągiem, no i banie z mlekiem niosły na piechotę, nieraz i boso, no bo ich nie stać było – pociąg był drogi. A towar sprzedawało się u bogatych państwa, Żydów, adwokatów. Powiedzenie takie było: – Kiedy chłop dawniej jadł kurę lub rosół z kury? – Wtedy jak chłop był chory, albo kura była chora.. Nie było tak dobrze jak wam teraz. A ten pociąg Pan Getz, – Żyd zbudował, z Krakowa do Kocmyrzowa, a w Kocmyrzowie był już car, już była granica austriacko – rosyjska.. A ten Getz, był także właścicielem browaru w Okocimiu. Pociąg kilka razy dziennie chodził: Kraków – Kocmyrzów, do granicy, rano, popołudniu, a w międzyczasie jak było mniej ludzi, to jechała dreżyna, taki jeden wagon f la tramwajowy, po to, żeby nie zatrudniać ileś tam ludzi, węgla itd., Zabierała 50 – 100 ludzi, a nie 500. Też brano złotówkę, ale wychodzono jakby naprzeciw ludziom, żeby ułatwić życie, a dziś tyle pociągów zlikwidowali.

Dożynki:

Dożynki organizowali po pracach polowych. Pan dziedzic był zawsze gospodarzem, i była przodownica, no i przodownik. Za to, że za dwóch robiła, to pan rękę uściśnął, coś tam dał, postawił, muzyka przygrywała. A jak chłop był wiemy, mocno gonił, to dostawał awans na karbowego, coś jak brygadzysta. Niedawno jego gonili, a on jak awansował, to już nie pamiętał z czego wyszedł, „nie pamięta wół, jak cielęciem był” – byli tacy, miałem dwóch za swojego dzieciństwa.

Odpust:

Jak odpust był, to się do Mogiły chodziło, z różnych stron przychodzili, ludzie nawet na kolanach szli. Tam karczma była, można było się wody napić. Ale wszyscy szli, całe rodziny. Ale teraz już tak się nie chodzi.

Muzycy:

Był tu taki społecznik, po prostu miał to we krwi – bo do tego trzeba mieć powołanie, poświęcić się. Bywało, że zostawiał swoją robotę, i szedł do młodzieży uczyć ją grać. Umiał grać na kilku instrumentach, tańczyć umiał. On urodził się w 1909 r., to pamiętał jeszcze austriackie czasy, i dokąd on był prezesem wszystko grało; były dożynki, zabawy, był zespół. Kiedyś nawet występowali ci jego tancerze na Stadionie Dziesięciolecia w Warszawie, na dożynkach centralnych, to musieli umieć tańczyć. Był samoukiem, ale co wziął do ręki; akordeon, trąbkę czy skrzypce – na tym grał. A później obalili go, bo był dla niektórych niewygodny, i to wszystko później siadło; młodzież dorosła pożeniła się, niektórzy wybyli, a pozostałych zniechęciło.

Wesele:

Na pewno kogo było stać, to robił huczne wesele, ale „bidoki” (były takie małżeństwa przed wojną, i w czasie okupacji) to byli tacy nawet, że nie stać ich było na dorożkę, więc do Pleszowa, do kościoła na nogach poszli, i żyli z sobą kilkadziesiąt lat, nie jak ci, co tymi wystawnymi dorożkami, powozami zajeżdżali, a po paru latach małżeństwo się rozlatywało. Bo nie szata zdobi człowieka, tylko to, co w nim jest.

Szkoła:

Szkoła była, a teraz szkoły nie ma. Dzieci chodzą gdzieś tam pod krzyż, jest teraz autobus, ale ile kosztuje to zawożenie. A szkoły nie ma, bo było drogo. Ale trzeba było ze cztery klasy zostawić, a później starsze niechby szły dalej. Ja tutaj do szkoły chodziłem, ale kiedy to było.

Czas wolny, szopka, obyczaje:

Wszystko było. Z górki się zjeżdżało. A ci co mieli pola, to mieli konie, więc kuligi były urządzenie, zabawy różne. Był spokój, nie było przecież telewizji, kina itd., tylko to, co lokalnie wymyślili. Kto był bogatszy to pojechał pociągiem, czy dorożką do Krakowa. No, ale ile było takich, których było na to stać? Na pewno tamten żywot był inny, i co najważniejsze, sąsiad sąsiada znał, a teraz?... szopka. Na święta Bożego Narodzenia, to nawet te dzieci, choćby marną „szopencję” zrobiły, to do domu i tak nie wejdą, bo wszędzie jest zagrodzone i jeszcze

pies. A wtedy to szło się z szopką, i cały ten zespół odgrywający jasełka wpuszczali do domu. Pośpiewali, obśpiewali gospodarza, poczęstowano ich. Teraz to wszystko jest inaczej, każdy psa spuści, zamknie, i nikt nikogo nie zna.

Była wzajemna pomoc. Jak się jakaś osoba biedniejsza w rodzinie żeniła, to jeden dał maki, drugi dał masła, sera i wspomogli, a dziś – samoluby. Kiedyś to było „wspomóż”, a dziś żadnych zasad, tylko zazdrość, pazerność, chciwość. Tylko choróbka się doskonaliła. Bo to ludzie też byli kiedyś inni. A teraz tutaj już zupełnie inni mieszkają, większość starszych poumierła, a ci, co tu są, to obcy ludzie. Jest jeszcze jeden – Władysław Ślęzak, on tu jest najstarszy, miał brata księdza, a tak to już wszyscy „popakowani”. Siostra moja, tu koło figury mieszka, ma 87 lat. Ona się nazywa Katarzyna Kofin.

Notowała Agata Kamińska, 2007 r.



Mężczyźni z Krzesławic i Pleszowa, lata 30. XX w.



Wspomnienia Katarzyny Kofin

Dom rodzinny:

Wychowałam się na tej ulicy (obecnie ul. Wańkowicza w Krzesławicach), w takim drewnianym domu, on jeszcze stoi do dziś, ale jak wojna się skończyła i komuniści przyszli, budowali hutę, to nas wysiedlili, zabrali dom, choć tam później jeszcze mieszkaliśmy.

Rodzina:

Moi rodzice byli z Krzesławic, ciężkie mieli życie. Mama się tyle napracowała, miała ośmioro dzieci. Ja miałam czterech braci i trzy siostry. Gdy moja mamusia umarła, miała 91 lat.

Dzieciństwo:

Chodziłam do szkoły w Krzesławicach przez 3 lata, później aż do siódmej klasy do Bieńczyc. Dawniej tak nie było, żeby można się było uczyć – nie było takich możliwości. Z koleżankami się bawiłyśmy: grałyśmy w skakankę i takiego chłopka się rysowało



Młodość:

Jasielka robiliśmy i zabawy różne, we młynie. Właściciel pozwalał, chłopaki przyszli z harmonią. Tam był taki duży plac przy młynie, gdzie tańczyliśmy.

Muzycy:

Byli w Krzesławicach muzycy, mieszkali w szkole. Grało trzech moich braci i ojciec też grał bardzo ładnie. To była jedyna rozrywka, nic innego wtedy nie było. Brat grał na harmonii, ojciec na skrzypcach, samouk. Koło figurki mieszkał pan, co grał na trąbce. Jak było koledowanie, to chodzili z życzeniami, grali i śpiewali.

Stroje krakowskie:

Byli krakowiacy i krakowianki, miałam korale prawdziwe, takie jak się w Krakowie kupowało. Teraz już w nich nie chodzę, dałam mojej wnuczce, ona ma pięć lat i też ma krakowskie ubranie, tylko korale miała plastikowe.

Wesele:

Wesele było krakowskie. Ja do ślubu szłam po krakowsku. Zawsze były dwie starościny i dwie drużki, ale one już w sukienkach szły. Ślub brałam w Pleszowie, jechało się bryczkami, z Bieńczyc wynajęliśmy dorożkarza, była para siwych koni. Wesele było w domu, na podwórku budowali podłogę, tam się tańczyło, a w mieszkaniu goście siedzieli. To nie były duże wesela, rodzina tylko, 20-30 osób. W innych miejscowościach całe wsie zapraszały i wszystkie młode dziewczyny na drużki, u nas tego nie było.

I ocepiny były, piosenki się śpiewało pannie młodej, gościom, a ludzie płacili. A jak drużka zaśpiewała ładnie i ktoś miał pieniądze, to dużo rzucali. Ważne żeby drużka miała dobry głos, żeby znała te wszystkie piosenki. A później panna młoda część z tego dawała orkiestrze, bo to nieraz ponad dwie godziny trwało, a oni grali. Moja mama już po wojnie chodziła do dworku, do koła gospodyń, ona znała te wszystkie piosenki dobrze.

Parafia:

My należeliśmy do Pleszowa, zresztą dalej należymy. Tam mamy cmentarz, tam się jeździło na odpust, na Wielkanoc się szło. A w niedziele chodziliśmy do Mogiły, a jak były ważne rzeczy, to do Pleszowa. I to pieszo! A jest tam z osiem kilometrów. Jak ksiądz chodził po kołędzie i siedział na stołku, a w domu były jakieś dziew-

czyny, to jak tylko wyszedł, to zaraz najstarsza szybko siadała, żeby wyjść za mąż. Ja nie siadałam nigdy, tylko moja młodsza siostra i pierwsza za mąż wyszła.

Kapliczka:

Jest tu ta figura, gdzie Ojciec Święty mszę odprawiał. To u nas w tym starym domu było. Jako kardynał tu był. Mieliśmy w Krzesławicach księdza (ksiądz Hyc), a nie wolno było mszy odprawiać. Ksiądz wynajmował pokój u jednej pani, to przyszła kartka, że nie wolno, u drugiej to samo. W końcu przyszedł do mnie, a ja się strasznie bałam. Wojtyła powiedział dopiero, że jak się zgodzę, to przyjedzie, msze odprawi. No i przyjechał. Krakowianki się poubierały elegancko, żeby go przywitać. Później u nas w domu była w tygodniu religia dla dzieci, a niedzielą msza. A ja Karola Wojtyłę to znałam jeszcze z wcześniejszych czasów, od franciszkanów. W czasie wojny mieszkaliśmy na Floriańskiej i chodziłam do kościoła. Raz przywieźli relikwie Boboli, wszyscy chodzili oglądać, z całego Krakowa, chociaż Niemcy łapali. Ja jednego dnia wyrwałam ząb, strasznie mnie bolało i krew się lała, ale poszłam tam, do franciszkanów. A tam tyle ludzi, kolejka aż na Grodzką. Dwóch takich młodych księży pilnowało. Moja koleżanka mówiła: „ten wysoki to jest Wojtyła, mama mu umarła, tata mu umarł”. Ona go znała dobrze. No i tak idziemy, coraz bliżej, oni pilnowali porządku i nagle on podszedł i mówi: – „Co, ząb boli? To proszę bez kolejki”, a taki był ładny chłopak, przystojny. Ja mu to przypominałam później, śmiał się, mówił: „możliwe, możliwe”, i pobłogosławił naszą chatkę. Jak ja się wtedy cieszyłam!

Karczma:

Była tutaj karczma, którą Żydzi prowadzili, a jak ich zabrali, to się zrobiła spółdzielnia, sklep spożywczy tam zrobili. Tego budynku już nie ma, wszystko na hutę zabrali. W Pleszowie była druga karczma, tam wódkę wyrabiali, taki samogon.

Dwór:

Dwór dawniej miał Matejko, później sprzedał. Potem był pan Cybulski, pani Burzyńska. We dworze biedniejsi ludzie pracowali, za grosze. Później sprzedawali te dworskie pola, po kawałeczku, aż przyszła huta i się skończyło. Tu przy figurze był taki dzwonek od dworu. Był taki pan polowy, on dzwonił o 6 rano, w południe dzwonił żeby z pola zeszli, o pierwszej dzwonił, baby wracały, o siódmej schodzili znowu z pola. A jak ktoś umarł, to się mu coś tam płaciło i też zawsze dzwonił. U niego na podwórku był ten dzwonek.

Straż pożarna:

Była we wsi konna straż pożarna. Po drugiej stronie drogi mieli wóz w takiej wielkiej szopie. Mama mi opowiadała, że raz był taki wielki pożar, od pioruna pięć stodół się spaliło, ale ja tego nie pamiętam.

Jarmarki:

Na jarmarki jeździło się do Proszowic, jakieś 30 kilometrów. Jak chcieliśmy kupić świnię, krowy, to tam się jeździło, w Kocmyrzowie też były, ale nie takie jak w Proszowicach. A jakieś deski, czy miotły to górale przywozili, jechali wozem i wołali, a ludzie wychodzili żeby je kupić.

Żydzi:

Było kilka rodzin żydowskich: w młynie, karczma była żydowska, skład zboża.

Cyganie:

Nie, tu nie mieszkali, tylko przychodzili powróżyć i żebrać, a jak się dało ukraść to i ukradli. Chodziły takie Cyganeczki z dzieckiem na plecach, albo na rękach.

Wąwóz:

Jak się pójdzie w górę uliczką Czerwonego Krzyża – tam jest wąwóz. To tam się młodzież spotykała, była muzyka, paliliśmy ogniska w Zielone Świątki.

Okoliczne wsie:

Lubocza. Jak ktoś się żenił z dziewczyną z Luboczy, to się śmiali, że oni są „poliwory”, bo jak dawniej była taka nędza, to oni tylko gotowali „poliwkę”. Z serwatki z mąką robiło się tę „poliwkę”, u nas tego nie robili. Na śniadanie jadło się zupę ziemniaczaną.

Kraków:

W Krzesławicach nie było tak źle, bo było blisko do Krakowa. Mieliśmy wielki, hektarowy ogród, owoce, mama chodziła sprzedawać na Kleparz, albo na Topolową. Może tam dalej gdzieś ludzie mieli biednie, u nas nie było źle. Do Krakowa pieszo się chodziło. Bilet kosztował złotówkę, za to można było dużo rzeczy kupić. Tylko ci, co pracowali i jeździli do szkoły mieli bilety miesięczne. Moja mama jak chodziła, to brała ze dwie blaszanki mleka na plecy, do koszyka ładowała gruszek, albo śliwek i pieszo do Krakowa. A później robiła zakupy do domu, i znowu z tym wszystkim wracała umęczona. Dawniej ludzie byli silni.

Miejsca niebezpieczne:

Może to prawda, a może nieprawda, ale opowiadają ludzie o strachach. Mój wujek miał konie. W nocy jechał do Pleszowa, tam było dworskie pole i koniczynka. I te konie żarły, a on siedział i mówił, że widział jak jedzie krakowiak, a zwierzęta mu się spłoszyły. I jeszcze opowiadali jak nad Dłubnią ktoś paśł konia i nagle patrzy, a tu idzie świnia; wielka i gruba. A był z kolegą i mówi: – „Patrz jaka świnia, komuś uciekła, złapiemy ją i zabijemy”. Przyczaili się, a świnia idzie i idzie, i schodzi do rzeki, więc oni za nią. Nagle weszła do wody i znikła, a oni zostali i nie umieli stamtąd wyjść. Ja raz w nocy o dwunastej szłam z bratem do karczmy. W domu byli goście, jakieś imieniny i nas wysłali po wódkę. Baliśmy się ale poszliśmy. I widzieliśmy takiego wielkiego psa jak szedł, minął nas i zbiegł do wody, a potem tam zniknął. Przyszłam do domu upłakana, a ojciec mówi: – „Wierzę wam, bo ja też nieraz dziwne rzeczy widzę”.

I wojna światowa:

Tu w Krzesławicach nie było nikogo, bo w 1914 roku przesiedlili wszystkich mieszkańców do Krakowa, a tu było wojsko austriackie, jakieś 500 żołnierzy. A w tym domu gdzie mieszkała moja babcia mieli kuchnię.

II wojna światowa:

Tam gdzie było w domu dużo dzieci, to Niemcy zabierali do pracy i do Oświęcimia wywozili. Ja w czasie wojny mieszkałam w Krakowie, taka pani mnie zameldowała, jej mąż mówił po niemiecku. Ja miałam kennkartę, i chodziłam do pracy do restauracji. Tak przeżyłam wojnę. Tą restaurację Niemcy później kazali zburzyć, bo budowali kolej. Zostałam bez pracy i wróciłam do domu. Po dwóch dniach akurat sołtys przyszedł, a szukali 25 osób do klasztoru. Tam w Mogile byli Niemcy, cały klasztor rzeczy zrabowanych. W piwnicach, w pokojach, wszędzie. Tam trzeba było robić takie paczki na front z jedzeniem, z zapalniczkami. A zaraz później przyszli Rosjanie, i wojna się skończyła. Ale oni też rabowali, mieszkali we wsi, zabierali kury, harmonie, zegarki, co kto miał. A potem wyszłam za mąż. Mój mąż był w lagrze jako jeniec wojenny, wrócił chory i niedługo później zmarł, a ja zostałam sama z dwójką dzieci.

Po 1949 roku:

Powiedzieli: będą budować hutę, pole zabierają, ludzi wyrzucają. U nas wszystko zasiane było, przyjechał bagier, ściął wszystko, wywłaszczyli. Mieliśmy stodołę, garaż, i za to wszystko były trzy tysiące złotych, to można było wtedy sobie okno kupić, albo drzwi. Z domu się nie wyprowadziliśmy. Bo nas nie wyrzucali, tylko straszili i straszili. W końcu nic z tego nie było; ja chodziłam, załatwiałam, żeby ziemię oddali ale to pozostało państwo – teraz tam są zieleńce i jeździ tramwaj.

Notowała Agnieszka Krupnik, 2007 r.

Wspomnienia anonimowe z Krzesławic**Czasy najdawniejsze, wygląd okolicy, dwór:**

Tu była droga brukowana. W polu się robiło. Były stare domy, przy tej drodze, może co dziesiąty dom, bo nie było tyle domów co teraz. Starych to też nie wiele zostało, albo są, ale wyremontowane, zmienione, jak mój. Ja to nawet kiedyś coś poczytałem o Krzesławicach, ale pamięć zawodna. A wie pani skąd nazwa Krzesławice? Od założyciela, który się Krzesław nazywał, to tak z historii, żeby wiedzieć. Więcej to za bardzo nie wiem, ale to pamiętam, że to nie od krzesel, tylko od Krzesława. Przez całe Krzesławice zawsze była jedna główna ulica, począwszy od mleczarni, aż do tej karczmy „Pod buciarami”, i do linii tramwajowej to były Krzesławice. Wzdłuż płynie tu rzeka Dłubnia, z zabytków to jest Dworek Matejki, co w nim mieszkał Matejko, a wcześniej Kołłątaj. Na koniec dziedziczka mieszkała, pola miała, prace zawsze można było jakąś podłapać, ale później to „działową” była, jak odbierali ziemie. Młyn, co jest tam dalej, to też Krzesławice, jest też fort austriacki, ale to już Mogiła. Co jeszcze... tu niedaleko była granica austriacka, droga była okropna, błoto w czasie sloty, i dalej był zabór rosyjski. Galicja miała największą swobodę, no a ludzie to jak na wsi, byli bogaci i biedniejsi, ja to też nie miałem jakiegoś gospodarstwa prawdziwego, to człowiek zarabiał jak umiał.

Gospodarstwo, zajęcia:

Dzieci szły do pola i robiły, bo tu wszędzie naokoło były pola. Albo się z krową szło, albo coś. Ja to nie miałem gospodarstwa, ale paśli my te krowki, to była rozrywka, bo nie było komputerów i innych takich.

Czas wolny, dzieciństwo, dom:

Jako dzieci, to można było iść bawić się w śniegu, a zimy były srogie, zasy tak wysokie były. No to można było jeździć, i na łyżwy iść na staw koło dworku, ślizgać się. A bogatsi jak mieli konie, to kuligi były organizowane, to była zabawa! A na narty to my chodzili na Wzgórza Krzesławickie – tam można było jeździć, bo tu nie ma gdzie. A tam żeśmy jeździli na Batowice. A kuligi najlepsze i tak w Zakopanem, a nie tu, chociaż tu też zabawa była, no kulig to co, z dziesięciu ludzi się zebrało, tylko ja nie miałem konia, ale dużo tu było koni w okolicy.

Moja rodzina to z Królewca przyszła, po powstaniu styczniowym. Dziadek założył tu rodzinę i miał dom, my jesteśmy tak troszeczkę napływowi, no ale już od ilu lat, więc prawie miejscowi. Tu się urodziłem, w tym domu, tylko dawniej inaczej wyglądał. Mój dom to już z 70 lat ma jak nie więcej, ale są tu jeszcze starsze domy, chociaż różni ludzie w nich mieszkają, nie ci co kiedyś. Takich domów to mało zostało, taki pomalowany na niebiesko jeden stoi, a i stodoły już nie takie, i drzewa wykarczowali. Pola wszędzie były, a teraz to już z pola nikt nie żyje. W ogóle teraz to już prawie wszyscy starsi wymarli. Trzeba by pod figurę iść, jak tam wszyscy w te majówki chodzą, to można jeszcze starszych spotkać, ale to też wielu nie stąd, tych naszych to już niewiele. Ja to znów taki stary nie jestem, ale rówieśnicy wyjeżdżali, a ja zostałem. No i właśnie remontuję własnoręcznie chałupę, no z pomocą oczywiście.

Szkoła:

Do szkoły miałem ze 4-5 km., bo tu była szkoła, ale tylko kilka klas, to trzeba było chodzić daleko, i to na nogach. A kiedyś było tu więcej klas, potem zlikwidowali. I też wychowanie było inne, można było dostać od nauczyciela, a w domu pasem na dokładkę, a teraz mamy bezstresowe wychowanie i młodzież już nie ta. Był szacunek dla starszych, zasady, taka dyscyplina i więcej obowiązków.

Dożynki, muzycy:

Tu były dożynki, takie regionalne. Wszystko w tradycyjnych strojach; tańce były i pieśni, cały zespół był. Wykonanie prawie profesjonalne, bo był taki jeden, co grał i to prowadził. On już prawie jak Europejczyk, taki był dobry. A dożynki, to była taka impreza, że zaczynała się w kościele. Z tego co pamiętam więc się robiło, było poświęcenie, na koniach jechali, furmanki były drabiniaste... No i tak to wyglądało, że zbierali się tutaj, ktoś to organizował, była impreza, zabawa, coś się zawsze wypilo, no i obowiązkowo były jakieś bójki – nie, nie żartuję! Nie zawsze, ale zdarzały się.

Krzesławice, 2007 r.

Notowała Agata Kamińska

1.
Oj, wyleć, wylećrawy sokole,
Bo już nie wyjdziem w to puste pole.
Oj, wyleć, wylećrawa przepiórko
Bo już nie wyjdziem w to puste pólko.
Plon niesiem plon.

2.
Latają ptaszki pod modrym niebem,
My tu idziemy do Was ze śpiewem.
Będziemy tańczyć tu przy muzyce,
Aż nam zaświecą sierpy księżycy.
Plon niesiem plon.



Dożynki w Krzesławicach z różnych lat. Przyspiewki ułożyła
Władysława Gajoszek-Sewerynek z Krzesławic



1.
Polska dziewczyna w krakowskim stroju
Najładniej wygląda w świecie.
Jako na miedzy ta róża polna
Jako to łąkowe kwiecie.

2.
Spódniczka na niej suto marszczona
Gorset wyszywany w kwiaty.
Włosy w warkocz równo splecione,
We włosach wpięte bławaty.

3.
Jeszcze fartuszek w pasie marszczony,
Na głowie chusteczka krasna.
Sznury korali wokół szyi,
Twarz pogodna i jasna.

4.
Babcie i mamy tak się nosiły.
My też kochamy te stroje.
Te stroje jasne, proste i krasne
Jak proszę są serca nasze.



Wspomnienia Zofii i Józefa Grymków

Dożynki, Zielone Świątki:

Żona:

Kiedy w Krzesławicach odbywały się dożynki, to były występy zespołu który prowadził pan Piotr Grymek. To był bardzo zdolny człowiek i chciał mu się uczyć młodzież; grał, śpiewał, układał piosenki, robił dożynki. Jeździli po różnych miejscowościach, występowali w strojach krakowskich, zajmowali tam pierwsze, drugie miejsca, występowali też w Dworku Matejki, a on grał na harmonii. To był rolnik, ale taki samouk, bardzo zdolny i chętny, poświęcał ludziom bardzo dużo czasu, i wszyscy wspominają, że jak Piotruś był to na Zielone Świątki (gdy się „miotły pali”) organizował ognisko (tu jak ta droga Czerwony Krzyż, gdzie jest wawóz). A tam my śpiewali, piekli ziemniaki, tańczyli, pili wódkę, ale się działo! O, a tu mam nawet zdjęcie jak my grali, jak chodzi o tego Pietrka, to tu ze mną na zdjęciu jest. Domy były przystrojane kasztanem, a na Zielone Świątki wejścia do domów były przybijane liśćmi. Każdy dom był tak ozdobiony na zielono, to wyglądało ładnie, a potem to domy się już zmieniły. Bywały zabawy, specjalne tańce organizowano w wawozie, gdzie my tańczyli krakowiaki i ludowe takie – to właśnie ten Grymek prowadził. I przy ognisku to się odbywało, żeby nastrój był. Czasem to wieczór nas łapał a nawet później. Mój mąż też gra, też samouk. A wracając do dożynek, to tu jest zdjęcie z chlebem, jak do poświęcenia idą, bo najpierw się szło do kościoła, a później było przyjęcie na świetlicy; ludzie pili i się bawili. Dawniej to się w tutaj w Dworku Matejki po żniwach odbywały dożynki. Był wieniec, który robiły te panny, co pracowały, z Krzesławic i się paradnie szło. Dziedzic przyjmował na swoim podwórku, no i zabawa była po dożynkach, tak jak teraz, a mąż też grał. Na zabawach się grało, i gdzie się dało; na piecach jak się huta rozpoczynała budować, to tam na zabawach my grali, po weselach grali my też, ale nie w takich drogich restauracjach jak teraz, tylko w domu, bo w domach były wesela. A w niedziele jak nieraz była pogoda, to poschodzili się, i tutaj taki sąsiad jeszcze grał na trąbce, mąż na harmonii, ktoś jeszcze grał na skrzypkach czy nie? No, ten grał na skrzypkach... Pietrek, a on wybitny był...



Ślub:

Nasz ślub to już się odbył pięćdziesiąt lat temu, a nawet pięćdziesiąt dwa, bo to było w 1955 r. A jaki my mieli ślub, to się nie da opowiedzieć (śmiech). Byliśmy młodzi jak się poznaliśmy, no i postanowiliśmy się pobrać. No i on przyszedł z pracy nie umyty, nie ogolony i tak do urzędu stanu cywilnego, akt my podpisali, on pojechał potem do pracy, a ja do domu. A jeszcze chciałam powiedzieć, że wzięliśmy pięćsetny ślub, pięćsetny akt w urzędzie został podpisany, nie wiem czy to na szczęście, czy nie, no ale wciąż jesteśmy razem, więc może na szczęście. No, a później był kościelny ślub, a ja nie jestem tutaj urodzona, tylko do Raławic chodziłam do szkoły, tam gdzie Kopiec Kościuszki. No i tak my urządzili z rodzicami, że nie będziemy tu robić wesela, tylko tu weźmiemy ślub, i pojedziemy na wesele do Raławic. Ale uzgodnili my z moimi rodzicami, że weźmiemy ślub w sobotę (no ale to takie młode, głupie my), więc przygotowali się na sobotę, a my wzięli ślub w niedzielę i pojechali my w niedzielę. W sobotę było przyjęcie, orkiestra grała, ludzie tańczyli, bawili się i śmiali, że nie ma pana młodego, że pan młody uciekł (śmiech). I dopiero jak my tu wzięli ślub w kościele, był samochód jakiś taki kryty, ciężarowy, na który my powiadali, goście najbliżsi i pojechali my tam do mojej mamy. Mama ręce rozłożyła: – „Dzieci co wyście mi narobili! Wczoraj goście byli, wszystko zjedli, wypili, a wyście dzisiaj przyjechali”. W kuchni nie było nic, my tylko zabrali beczkę piwa (śmiech). No, ale to nie było poważne, no bo jak można rodziców tak wystawić! Jak my zajechali (a pogoda była piękna, bo to w sierpniu braliśmy ślub), było gorąco; ja w białej sukni, samochód jakiś taki nieszczelny... Tak się kurzyło, że my dojechali takie brudne, ukurzone, a potem było jeszcze gorzej, bo nam się samochód na dworze zepsuł. Stoimy tak na drodze, kierowca naprawia, a ja chodzę w białej sukni. Dopiero poszli po jakiegoś grajka, przyszedł, grał, ludzie potańczyli, zadowoleni, beczkę piwa jeszcze my wzięli i tego piwa popili, bawili się do rana, a rano my przyjechali do domu. No, i mieli my wesele jeden dzień tylko, a zawsze były dwa dni. Ja pracowałam na kombinacie, no i on jako kierowca tam przyjeżdżał – i tak poznaliśmy się.

Mąż: A to jest zdjęcie jak jeszcze jeździłem w pięćdziesiątych latach; pierwsze samochody, co ruszy dali do budowy Huty, z drewnianymi drzwiami były.

Strój krakowski, ubrania:

Żona: Tu jest mój strój krakowski, ale to już jest nowy, bo sama uszyłam, to ma taki wygląd jak ten stary prawie. Więc tu jest gorset, a tu mam drugi, tylko z długim rękawem, jakby czasem było zimno, ale to się nazywa katana, to nie jest gorset. Jeszcze jest spódniczka, fartuszek... wstążkę kupiłam na Słowacji. No i mam piękne korale, takie czerwone. A wcześniej były takie panie, co szyły to, jedna tu była taka... Wyrzoga się nazywała, Wyrzga. Dawniej każdy miał strój, tak się chodziło na procesje, panie brały ślub po krakowsku, dawniej po ślubie chodziły w tych strojach, a po śmierci kazały się w nich chować. Teraz sąsiadka chowała matkę, to jej babcia była po krakowsku pochowana, jeszcze buty wykopali, bo to skórzane, i coś jeszcze z krakowskiego stroju. I to się trzyma, bo ubrania porządniejsze były niż teraz, krawcowe dobre we wsi były, to wszystko uszyć umiały, a były ubrania przed wojną porządne. Ale jak już się zaczęło wchodzić w życie coraz lepiej, to było tylko gorzej. A za okupacji to nie było w ogóle ubrań, tak Niemcy wydusili, że z worków ludzie szyli, kradli, to się z worków szyło, takie były eleganckie.

Szkola:

Mąż: Była tu szkoła podstawowa; najpierw była szkoła, potem świetlica, a teraz zrobili klub. U nas siedem klas było, a kto chciał, to chodził do Bieńczyc, bo tu klas było siedem, ale razem była szósta i siódma. Tam się uczyło wspólnie, był ten sam nauczyciel. A nauczyciele to byli na pewno lepsi niż teraz, i lepiej uczyli. A jak był jaki najstarszy, to oni go tak trenowali, że wszyscy umieli na nim, bo najgorzej miał bidny ten, co się nie uczył, i wszyscy się na nim nauczyli, bo jedno było w kółko to samo, a ci, co byli lepsi, to już pojechali, a tego też musiał nauczyć ostatniego. To nie tak, że „dwójka”, siadaj i naucz się, i przez to się musiał nauczyć, to z nim siedzieli. Byli ostrzy, ale byli tacy inteligentni, nauczyciel – to był nauczyciel. Lepiej było na drugą stronę przejść i z drogi zejść, niż się z nim spotkać jak przechodził. Były takie kary, że bili po łapach (to zasadniczo mało się zdarzało), ale nękał nauką, to lepiej chyba dostać było nawet (śmiech).

Czas wolny, zmiany we wsi:

Po szkole w piłkę my grali. Nie było uczciwego boiska, ale my grali, bo były takie kawałki błot. Były też wojskowe, treningowe szanice, to tam boisko było. W tym miejscu, gdzie teraz rozpoczyna się Huta, ale wojsko przyjeżdżało tylko na ćwiczenia trzy razy na rok, przeważnie ćwiczyli ułani z końmi, ech – to nie takie wojska jak teraz. Tu jak przyjeżdżali, to u Matejki konie stały, wypas koni był i ćwiczyli tam tydzień, dwa tygodnie, z szablami w pełnym biegu takie różne, a przyjeżdżała cała kompania tak 100 nieraz, i u Matejki byli, namioty rozstawili i w namiotach też wszystko było.

A zimą to była zabawa, w każdym domu były w niedziele kuligi organizowane, każdy zaprzęgał, bo w każdym domu był koń, przecież gospodarki były. I jeszcze były takie góry jak kombinatu nie było, to jazdy było potąd, jak ino kto chciał. Na nartach, bo górzyste pole było, wioska była w dole i zimą nikt nie bronił po śniegu nikomu jeździć. Ale góry zabrane zostały też, pod tramwaj nasyp zrobiony, przecie nie wyglądało kiedyś tak, jak teraz. Teraz jest zmieniony cały krajobraz, teraz to się tyle wybudowało, ale znikło dużo, a tam gdzie jest Sanepid znikła cała część wsi. Wszystko zostało wyburzone i drogę przebudowano. Tam przecie pociąg chodził do Kocmyrzowa i wygodą była z pociągiem, elegancko, ale technika poszła do przodu i są tramwaje, a pociąg szedł przez całe miasto, przez Wiczystą, przez Grzegórkę, koło Młyna, Dąbie i na Dworzec Główny – dobre było połączenie.

Junacy, „Służba Polsce”:

A tu gdzie jest teraz urząd pracy, byli junacy z SP, prowadzili kuchnię i mama jego tam pracowała, i tata też pracował. Tysiąc ludzi było, więc się gotowało dla tych junaków, mieli wyżywienie, bo pracowali. Ja byłem do wódcą kompanii tu w czterdziestej piątej brygadzie, byłem chyba 2 lata w SP, w 1959 r. tam byłem, to znaczy przez zimę nam płacili i my tylko pilnowali tych baraków. I na kursy my chodzili, na jakie kto chciał, bo zapisywali na Zwierzyniecką, bo tam była komenda.

Zdolny byłeś, to mogłeś na coś chodzić, no to było dobre. A junacy rozrabiali, ale to brygada z brygadą, bo jak byli Warszawiacy, a druga brygada obok stała Poznaniaków, to oni zawsze byli jacyś niezgodni. A to dużo chłopaków, bo to tysiąc chłopaków, a tu były trzy brygady: 45, 46, 47. No to koło trzech tysięcy młodych ludzi, to dajcie spokój. I to wszystko wychodziło na kombinat do roboty, codziennie kompaniami. Ale nie mieli my z nimi problemów, bo kuchnia była duża i dobra, nie wychodzili nigdzie, a jak przychodzili na wieś, to na spacer chyba tylko.

Kontakty z Krakowem, pociąg:

Do Krakowa pociąg chodził Kocmyrzowską; z Kocmyrzowa do Krakowa. Tory były jak tutaj do „piątki” się idzie, obok mleczarni. Ciuchcia taka chodziła, nie jechało się szybko, ale lepsze to niż te tramwaje teraz, bo wypadków nigdy nie było. A na nogach my chodzili 7 km. Tak, były panie, które hodowały krowy i nosiły mleko w takich bańkach blaszanych na plecach, chustka i do Krakowa szły na pieszo, no bo pociąg kosztował bardzo dużo pieniędzy, to jakby ona chciała jechać i sprzedać mleko, to mleko musiała by oddać za darmo, bo wszystko dałaby na pociąg, więc chodziły panie pieszo. A przez Plac Centralny też pociąg chodził, „Mogiłka” się nazywał, bo tam nie było placu, tylko łąki, więc tory były, i szedł pociąg z Krakowa do Mogiły, no i tam był koniec. Kraków chodziło się zwiedzać, przecież to nie było takie jak teraz miasto, a lepiej tam było jak na wsi; tu były wioski, a Kraków to był Kraków, tam było elegancko, nie tak jak teraz. Teraz to cię na ulicy chcą wywrócić, popychają się, a wcześniej jak wyszło państwo na ulicę, to widać było, że to był Kraków. Dorożki, pięknie wszystko ubrane, wieczór, panie w kapeluszech, panowie z laseczkami, mieli takie szaliki białe, w cylindrach i dorożkarze elegancko ubrani, konie... Wtenczas w Krakowie to ludzie żyli, a teraz to zbieranina i obcokrajowcy szwargotają... Ja tak nie lubię iść do Krakowa, bo nic nie słyszę tylko obcy język i te reklamy w obcych językach – to coś mnie bierze, naprawdę już!

Kościół, pogrzeby:

Jak ja szedłem do komunii, to był z klasztoru (Cystersów w Mogile) ksiądz, nie z Pleszowa, ale dobrzy byli księża, wszystko elegancko. To on już nie żyje, ten ksiądz, Matejkiewicz się nazywał, baaardzo fajny, wysportowany ksiądz. Lubił sport, lubił grać, lubił fizyczną taką robotę i grał z nami w piłkę. Fajny ksiądz był, a teraz to każ jakiegoś księdza biegać za piłką, z tym brzuchem to... (śmiech). Ten kościół tu w Krzesławicach w osiemdziesiątym roku zaczęli budować, nie budować, tylko odbudowywać, bo on jest przeniesiony z Jawornika, gdzie był rozbierany, oni nie mieli pieniędzy na złożenie go. Bo był pożar, spalił się kościół i wybudowali potem nowy i ten stary jeszcze leżał i już go nie chcieli, bo sobie wybudują nowy. A księdza mieliśmy takiego, Hyc się nazywał, prałat ksiądz, żyje jeszcze, pozbierał to opalone drzewo i poprzywozili górale tutaj, bo ksiądz nic tylko w Krzesławicach kościół musi być. Bo dawno, dawno temu w Dworku Matejki była kaplica, ale to nikt nie pamięta tego, bo to było jak był najazd tych Austriaków, jak rozbiór Polski był i rycerze jak padli, to ruskie Kozaki ten kościół spalili, bo konie wprowadzili i tak się stało z tą kaplicą, że potem już nikt jej nie odbudował. No i ksiądz bardzo chciał wybudować kościół na tym samym miejscu. Do kościoła chodziło się do Mogiły najczęściej, bo blisko, a parafia była w Pleszowie i do dziś jest. Ale na śluby, pogrzeby, różne uroczystości to się chodziło do Pleszowa. Teraz to można jechać tramwajem, ale kiedyś to się szło godzinę, no i też pogrzeby szły na pieszo, chociaż trumnę to końmi wieźli, na wozie. Taki dzwonek był we dworze, jak pogrzeb był, jak ciało wychodziło w trumnie ze wsi i końmi przeprowadzili (no zależy ile było ludzi na pogrzebie), jak byli mężczyźni, no to nieśli, nie całą drogę, ale tak za wieś przeważnie, jak był koniec wioski, to przekładali na wózek ciało, no to póki przez wieś szli, a byli we dworze fona, znali każdego, to dzwonek dzwonił dopóki nie przejechali przez całą wieś. A teraz ten dzwonek jest w kościele i on też jest jeszcze po Kirchmayerach zabytkowy. Dawniej on był we dworze, we Dworku Matejki i dzwonił jak był pogrzeb, pożar, to wtedy się dzwoniło tym dzwonkiem. I jeszcze się dzwoniło jak byli w pracy ludzie, tam gdzie kombinat, to się dzwoniło, żeby zjeżdżali na obiad.

Straż pożarna:

Tu była u nas straż pożarna, przed domem, tu jest teraz zagrodzone, ale dawniej tu była strażnica, Ochotnicza Straż Pożarna, tak jak to po wsiach było. Sikawka była taka piękna i oddali ją na złom, to by teraz można do ślubu było jechać. Była sprowadzona mosiężna – coś wspaniałego, teraz to ani w zabytkach takich nie mają! I jak nastąpiła Huta, to oni ją wzięli wywieźli na złom. Taką rzecz, no to była ręczna pompa, ale to było coś wspaniałego. Jak ślub był właśnie tego Grymka, bo on był komendantem tych chłopaków, bo sekcja normalna to było dwunastu chłopaków do pożaru, cała obsługa, bo była beczka też taka elegancka, to ta sikawka wyglądała jak bryczka do ślubu, taka piękna była. No i ubrania mieli strażackie takie, oryginalne, no bo przedtem to jak było na Wielkanoc, to oni trzymali honorową straż przy grobie. I ubrania mieli poszyte i wszystko było. I to zniszczyli wszystko, tą budę rozwalili, sikawkę odstawili, to by teraz pieniądze okropne z tego były, bo kto teraz takie coś robi, takie cacko. Bo to nie było w Polsce zrobione, chyba z Austrii było sprowadzone.

Karczma:

Po pracy to zabawa była. W Mogile była niegdyś knajpa Gigant, i tam się chodziło na zabawę, codziennie była, tylko na betonie. Ile my tam stargali butów, bo był beton, jeszcze taki nierówny, muzyka grała z megafonów

– a my hulali. Teraz tam poczta jest w Mogile w tym miejscu i ten plac, co tam właśnie jest, to tam my chodzili na tańce. To były pierwsze zabawy w Hucie. A przed Hutą knajpa była, Żydówka prowadziła, Rajterka się nazywała, to karczma tak zwana, bo wcześniej były karczmy, nie knajpy. Teraz jest tam sanepid gdzie karczma stała, teraz to jest rozburzone, ale to miejsce przeznaczone było, tam była przedwojenna karczma, tak zwana. Prowadziła ją Pani Rajterowa i tam była szkocka. I tańczyć można było, to jakby tam zbójcy byli, najsilniejsi, to oni tam bywalcami byli, lubili się bić, jak i teraz się biją, no ale to w karczmie się działo. I zaraz był magazyn też obok tego i skupowali tam wszystko, a jak się sprzedawało, to się poszło do karczmy. Tam wszystko przyjmowali, zasadniczo zboże, pierze jak to wcześniej darli po wsiach, to on tam skupował wszystko, też był Żyd, no bo kto się tym trudził przed wojną, no bo to przed wojną było, przed 1939 r.

Dwór i czasy socjalizmu:

Najwspanialszy to był dwór, tam ludzie wybitni, bo kształceni. Na drugim miejscu we wsi to był ksiądz. We dworze, nie tym, tylko co był wcześniej, to rządził Cybulski, wcześniej byli Kirchmayery, Burzyńscy, Bukowscy. To za nich to się działo. Ostatni byli Cybulscy to i dworek przewalili, no opili po prostu. A ten Cybulski, co jest na tym zdjęciu, to jest potomek, to był cały ród Cybulskich, to ten pierwszy, to był rycerzem, to był Tatar chyba i on tu we dworze był cięty, jak był najazd tu tych Tatarów, no i został. Wyleczyły go panny we dworze, bo to rycerz był no i został, ożenił się i Cybulskich powstało dużo, we dworze mieszkali. Teraz to jest tylko domek, a kiedyś było tyle stodoł, że pół ogrodu zajmowały, ale je komuniści rozburzyli, spichlerz też rozburzyli, albo podatkami tak ciężyli, bo mówili, że to był kapitalista albo kułak i trzeba było go niszczyć i poodbierali pola, hutę postavili. Przecież cała ta huta, ten obszar, to do dworu należało pole, jak huta jest pod Pleszów, pod Luboczę, to wszystko do dworu należało i Wzgórza Krzesławickie – to wszystko należało do dworu. A ludzie pracowali tam we dworze, przecież tam było 12 par koni, a krow ze 100, kur, indyków i pawie. Żywność i to wszystko było u nich, ale wszystko ko diabli wzięli, nie ma nic. Zostały mury, ale to nie takie, tylko oni to rozburzyli, cały dworek, bo nie mogli dojść z tą panią Burzyńską, bo nie chciała się zgodzić im wyjść, więc powiedzieli, że będą dach remontować, a jak zaczęli remontować, to rozwalili całe i ją (Panią Burzyńską) trzymali w stajni, tę właścicielkę ostatnią, co jeszcze żyła i postavili murowane, tylko że podobne jak tamto było. Ale już nie tak zrobione, sufitu po Matejce nie ma wymalowanego, co był, zburzyli i do widzenia. I wszystko się zmieniło, a pewnie, że na gorsze, bo nie można się było budować, wszystko stanęło, cała budowa, bo miały być do zburzenia całe Krzesławice, całkowicie. Pas zieleni miał być zrobiony i koniec, takie zarządzenie. Pleszów też był zagrożony, jeszcze pół Luboczy i kawałek Mogiły, bo tutaj miał być pas zieleni. A co zrobili, wodociągi i studnie są bez wody, bo nie było wody w gruncie i do dziś nie ma, studnia jak się wykopie, to nie ma wody, bo są studnie jedna za drugą, co są pompy i wodę ściągają. Potem zrobili wodociągi przez wieś, ale studni nie ma. Znaczą studnie jeszcze są, ale wody nie ma.

Kolęda:

Chodzili po kolędzie, ale tego się nie da opisać, to trzeba by widzieć. No, przebierali się, sami przebrania robili, krawcowe były, to robiły wszystko, kroili, dar mieli ludzie taki. I stroje były wszystkie, od króla po te pastuszki i śmierć, i diabeł, i jeszcze dorabiali Żyda, i tak od domu do domu. Jak chodzili z przedstawieniem, to do domu wpuszczali, bo przebrani byli i przygotowani. Przedstawienie było z szopką, to było elegancko, więc wpuszczali do domu i całkowicie było przedstawienie. To było przygotowane i to wszystko między sobą chłopaki organizowali, my się sami organizowali, a drudzy byli tacy, co za oknami tylko, no i śpiewali kolędy. Muzyka grała, to nie tak jak teraz, że nie ma kto we wsi grać. Przedtem było dwudziestu albo i więcej muzykantów we wsi. Grali, bo nie było zajęcia, to jak się schodzili, to tylko instrumenty.

Okupacja, praca:

Za okupacji było tutaj bardzo ciężko, bo stali tutaj Niemcy. Po domach mieszkali, rano zbiórka i wozili na lotniska, bo przecież jak Getto bombardowali, to tu, stąd startowali, stąd samoloty do Warszawy. To jak Żydzi zrobili w Warszawie, i potem tak samo jak w Warszawie było to powstanie, to też stąd startowali. Tu ładowali bomby i na stolice szły z Czyżyn, z lotniska. I prześladowania były, kobiety miały najgorzej, bo tu taka partyzantka też się gdzieś utworzyła i jak się puszczały z Niemcami, to je ostrzygli do gołego i na sumę w Mogile musiały stać z gołymi głowami. A przecież to nieraz potrzebne były kontakty, albo żeby się coś dowiedzieć, albo żeby sobie poradzić, bo różnie z Niemcami było. No bo jak mieszkali za ścianą, w domu, w jednym mieszkaniu, chodzili, to przecież to był strach, a oni byli bezwzględni, niemiecki każdy jeden żołnierz był bezwzględny. Jak by tylko który coś poczuł, to nie było szans, to nie tak jak teraz

policjantowi powiesz, że coś tam, tylko raz powiedział i musiało być tak. A ta partyzantka to u nas we wsi była, pewno, że ja ich znał, ale ee to taka partyzantka była, że była, bo u nas lasów nie było, to tylko takie zgrupowanie; oni się do kupy schodzili, żeby coś zorganizować, ale bez lasu, bez niczego, to gdzie ukryć się, to nie ma szans, tu nie było jak.

Z Żydami był problem, bo Pani Rajterka zmarła, ale córki jej były, została jedna, to ją przechowali w Krzysławicach, bo ta jedna była dentystką, to ją tutaj niedaleko u sąsiada przetrzymała, a całą wojnę potrafiła przesiedzieć na strychu, coś podobnego. I to w takim domu, co wszyscy chodzili i nikt się nie kapnął. A ta pani już zmarła, jak ona wyszła po tej całej wojnie, to chodziła z podziękowaniem, ale oni byli już starszym małżeństwem i oboje zmarli, nie pamiętam jak się nazywali. A ta dentystka to chyba do Izraela wyjechała, bo znikł ślad po niej. A Sytka, to druga córka, to się u Gienka przechowywała, ale ja nie wiem, co się stało z nią, nie mam pojęcia. Resztą Żydów zabrali, tego, co przy karczmie był i z młyna też, tam był Kanarek, to też był Żyd. W samym młynie u siebie się przechowywał z rodziną i ktoś wypatrzył, nie wiem czy trzy miesiące było chyba do zakończenia wojny, taki pech. Nie wiem czy światło było, co się stało, tego nikt się nie dowiedział i do Wieliczki zabrali tych Kanarków, a co tam się stało...

A po wojnie też było gorzej, no od okupacji było lepiej, ale przed wojną było dobrze. No było ciężko ale nie tak, jak za okupacji, to sobie nikt nie zdaje sprawy jak to było, ale przetrzymało się. Przecież ile tu ludzi zginęło, ilu zastrzelili... przywieźli ich z łapani, tam jest pomnik zrobiony pod tą górą gdzie ich zastrzelili. A ci, co jeździli, (bauszci ich nazywali), to nie byli Niemcy, tylko nasi Polacy zapisani, po prostu różni wzięci byli. Ślężaki byli i różni byli, to oni tak łatwo powstępowali. No i przywieźli tych, co złapali na ulicy w Krakowie i zastrzelili za to, że była granda, no po prostu. I jeszcze kobita nasza została zastrzelona, w domu przez okno. Mieszkała koło stacji, jakaś strzelanina się zrobiła i w domu prasowała coś przy oknie, i trafiona została.

A przed wojną to było dobrze, bo do Krakowa blisko. U nas wszyscy ze wsi to robili w Krakowie, a jak nie to na kolei, na pocztach, budowlanka i robota była, bo było blisko. Na kolei to najwięcej, a kolej była tak płatna, że jak 360 zł miesięcznie zarabiał przed wojną, to nie wiadomo było co z pieniędzmi robić. Jeszcze do wojska chłopaki jak nie wracali, to na zawodowego zostawali, bo też wojsko płaciło było dobrze, kto był zdolny i zdrowy, to zaraz w wojsku zostawał. No i w polu, przecież, każdy miał gospodarzkę, krowy, konie, z tego się utrzymywał, a teraz nie ma pola, huta zabrała i spokój święty (śmiech). Teraz to jeden koń jest we wsi, krowy to chyba żadnej, a mleka jest pod dostatkiem. Ja nie wiem jak to się stało. No, ale przedtem z mleka to wszystko żyło, cała wieś, bo Kraków brał wszystko, Żydzi brali. Przyjeżdżali na miejsce z bańkami, brali i codziennie odjeżdżali, tak że zbyt był. Truskawek sadzili my tu bardzo dużo, na sprzedaż i to z Katowic po nie przyjeżdżali, pociąg był, to wagony podstawiali. Skupy były po wiosce, elegancko było, z truskawkami było dobrze, bo płacili dobrze.

Cyganie:

Nie było dużego kontaktu z Cyganami, tabory przejeżdżały tu czasami, ale nie było u nas Cyganów. Gdy byli przejazdem, to popłoch wśród dzieci był najlepszy, to się dzieci bały, bo zawsze mówili, że „porwą cię Cygany”, bo to całe tabory, pięć, sześć, jechali końmi przez wieś. Też się zatrzymywali gdzieś na skrawku, jechali, to przecież musieli odpocząć, a teraz to wszędzie są Cygany, w całej Hucie, a przedtem nie było. Nikt nie chciał, żeby wróżyli chyba, ja nie znam, bo Niemcy nie lubili tych, więc nie pozwalali tu chodzić, ja nie kojarzę za dużo. Przed wojną jeździli, to tabory szły i już po wyzwoleniu jeszcze jeździli. A tak nieraz mówią, że Cygany kradły, no pewno że czasem wzięła jakąś kure, jak złapała, ale tak żeby byli złodzieje, to nie, to tak jeden drugiemu powie i już się tak mówi.

Legendy, miejsca straszne:

Była tu jedna legenda (ale ja tego tak nie pamiętam) z pokolenia, bo to wcześniej było. Tam gdzie Błonia są w Bieńczykach, łąki takie, moczary były, to pamiętam, bo tam się końmi nie jeździło, bo jak się koniem wjechało, to nie wyszłyby. I na tych moczarach była prochownia tak zwana – to było takie coś wybudowane jak dla wojska – i potem tam w tej prochowni ponoć odbywały się zbójckie zabawy. I tamtędy jak jechał ksiądz do chorego, a oni się tam bawili, to ponoć w to bagno wpadła ta prochownia i zapadła się w tych łąkach, ale to kupę lat temu było. Jezioro wyszło w tym miejscu potem i była woda. Ale to było takie mokradło, że jak tam stało, to się samo mogło zapaść, tam się końmi nie przejechało, wozem nie przejechało, bo takie były moczary, taka woda tam była. Teraz tego już nie ma.

Kontakty z innymi wsiami:

Każda wieś miała oddzielnie procesje, każda wieś oddzielnie chodziła; do Mogiły do kościoła i do Pleszowa, to kontakt był. Były też bijatyki, bo się jedna wieś z drugą wsią nie lubiła. Krzysławice z Mogiłą – było w po-

rządki, ludzie kontaktowali się, bo było jakoś dobrze, a z Luboczą już nie. Teraz to jest już inna Lubocza, inne pokolenia już są, ale przedtem mówili, że to są po Tatarach ludzie. A bójki to przeważnie jak do dziewczyny chodzili, jak się stąd jakąś zapoznało, czy my chodzili do innych, to zawsze z kobitami kłopoty – jak teraz też, i były porachunki. Jak była tu zabawa, poszli my i oni byli, nabroili, no to my znowu tam i tak było. Ale to nie za okupacji, tylko jeszcze przed wojną, w 1938 czy 1937 r.

Chrzest, lekarz, cholera:

Przeważnie się szło do Pleszowa, ale jak ktoś chciał w Mogile, to też, nie odmówili. Przecież jak bliżej było to szli kumotrowie, a nie tak jak teraz – pół wsi, cała ekipa. No, 4 – 6 osób, najbliżsi, to takie były chrzciny i zawsze potem zabawa, bo to zawsze okazja. I żadnych prezentów, teraz to się dziecku daje, a kiedyś tak nie było, nie było szans na prezenty. U nas to w ogóle żadnego szpitala, tylko była taka położna we wsi, Cybuch się nazywała. To była taka kobieta, że tylko ona była najwyższym lekarzem we wsi. A lekarz był taki w Bieńczykach, drugi był w Mogile, ale to za okupacji leczyć zaczął – Łowczowski. Nie wiem czy żyje jeszcze, ale był do wszystkiego, on wszystko robił; porody, co by nie było, przecięcia, operacje, wszystko, co mógł, to robił, a nie tak jak teraz, że to nie robi, tamto nie robi, ten od oka, ten od ucha, a on był od wszystkiego. Tylko najgorsze było, że trzeba było końmi jechać po niego i przywieźć, no bo na nogach nie chodził, a przecież samochodu nie było, tylko koniem. A to jeden był taki we wsi, to już wszyscy do niego chodzili, bo on kontakty miał dobre, czy w nocy, czy w każdą godzinę pojechał, to nie tak, że wieczór nie pojeździe. Siada na wóz i jedzie. A walizkę miał taką z tymi przyborami (lekarz). A przeważnie każdy miał wóz, mało było żeby nie było konia w domu, tak że kłopotu nie było, no ale byli tacy, co mieli wyjazdowe, eleganckie bryczki, koniki eleganckie do wyjazdu, na wesela, bo na wesela trzeba było mieć eleganckie konie, nie takie dziadowskie, tylko takie jak teraz po Krakowie jeżdżą te bryczki. A jeszcze był taki jeden, znachor mówili, Grzesiak się nazywał, też nie żyje już, ale to śmiechu warte było, ale to nie u nas, ino na Forcie Krzysławskim, zabytku po Austriakach. To był tam taki znachor, tak się ogłosił, bo on na tym forcie mieszkał, był za stróża i tam ukrywali się złodzieje u niego w tych kuznach, a bał się ich wygonić, no to i byli. To jak tam poszli do niego, to on tam leczył tymi ziołami, jak to kiedyś było. A on miał w beczce wodę, z deszczu napadała, miał takiego pomocnika i jak przyszła baba, że ją tam coś boli czy coś, to mówił – przynieś tam wody ty – nabrał wody z beczki, nabrał pół litra albo litr, i wysmaruj tym chłopca albo babę, no dobrze żeby by czuł. Baba go wysmarowała, chłop rano wstał i już jest wyleczony deszczówką, wodą (śmiech). A to mu nie pomogło, tylko to, że go pomasaowała porządnie, wysmarowała, no tak leczyli. To był najpierwszy lekarz! Ale jednego wyleczył chłopaka od nas, tam nie było żartów z nim, bo nos mu tak całkowicie odpadał, Rany Boskie co ten chłopak miał od młodych lat! I chodził po doktorach, wozili go wszędzie! On mu kazał przyjąć (a miał wojskowe książki lekarskie i na tym się znał), i temu chłopakowi wyleczył nos, że później szmatę ściągnął, no i mu nos wyleczył. I on książki wziął i tam patrzył i tak tymi ziołami, tymi liśćmi, a on się poświęcił i chodził do niego, no jak się miał nie poświęcić taki chłopak i jedynie tą robotę to pamiętam, że zrobił i wyleczył. A potem dopiero dowiedzieliśmy się, że wojsko mu zostawiło książki, lekarze wojskowi, bo oni na tych prochowniach, fortach przebywali. On z nimi kontakt miał, te książki czytał, no i doszedł po tym i rzeczywiście zrobił dobrze. I teraz normalnie chodzi już, bez niczego, a tyle lat z taką chusteczką, do szkoły nie chciał chodzić, nikt nie chciał z nim w jednej ławce siedzieć. A tu kiedyś był pomór ludzi, kupę czasu przed wojną, i zajęło się tym wojsko. Kto uciekł, to uciekł, a jak nie to dostał zastrzyk i był pochowany – to tak zwane ośle doły się to nazywało, i tam tych ludzi wszystkich zwozili, bo cholera zapanowała i wojsko się wzięło za to, bo byłoby wszystko wymarło! Nie wiadomo gdzie by się to przeniosło. I dostawali zastrzyk, bo nie nadawali, bo przecież nie było opieki i chowali ich w jednym dole, to wapnem było całe posypane. To było tam pod wzgórzami, jak ten pociąg tam, co tunele są pokopane, to mniej więcej w tym miejscu było. U nas we wsi bardzo dużo umarło, jak ino tylko który był lepszy, to uciekał, bo jak nie to wojsko otaczało całą wieś, kto był tylko chory i wszystkich wyzabijali, no bo żeby się nie rozniosło, nie było wyjścia, nie było leków tak jak teraz. Ale to było kupę lat przed wojną. Oni brali do lekarza i lekarz oceniał, czy jeszcze jest możliwość przeżycia, to byli wojskowi lekarze i oceniali czy się jeszcze nadaje do leczenia czy i tak umrze. A żeby się nie roznosiło to tak robili. No, ale nie było innego wyjścia przecież. Tak, że to był okropny wtenczas pomór, bardzo dużo ludzi umarło.

Darcie pierza:

Na darcie pierza to dawniej schodziło się do jednego domu, a gdy już u jednego skończyli, to szli do drugiego, i to nie tylko panie, ale panowie czasem też. I to było wieczorami, zimową porą, bo każdy miał czas, panie się podobały, na działkach nie było roboty, to się schodziły panie po domach. Hodowały gęsi, nie tak jak teraz, że gęsi nie ma, kury nie ma ani nic nie ma we wsi, ani kozy, ani krowy! A dawniej to panie hodowały gęsi, poduszki robiły i były pierzyny z pierza, nie tak jak teraz, wszystko anilana i to wszystko niezdrowe paskudztwo. No i schodziły się

i samemu się pierzyny robiło, to się kupowało nie poszwy, tylko jak to się nazywało takie czerwone, wsypy, kupowało się wsypy i do tych wsypów pierzyna musiała mieć 4 kg, żeby była pierzyna porządna, a poduszka musiała ważyć 2 kg, tak że przenieść taką pościel, to wcale nie łatwo! Ale to ciepłutko się spało pod takimi pierzynami, teraz to mówią, że niezdrowo, że jakieś roztocza się lęgną w pierzu, ale czy to prawda, to ja nie wiem.

Malowanie domów:

Taki był tu zwyczaj, że wszystkie domy były niebieskie, to znaczy malowane na niebiesko. Co roku przed Wielkanocą każdy malował, a żeby glina nie schodziła, panie dodawały łajno krówskie, ale to wszystko wywietrzyło się i nie było smrodu. A trzeba było tak robić, bo się lepiej trzymało, wtedy glina tak z deszczem nie schodziła.

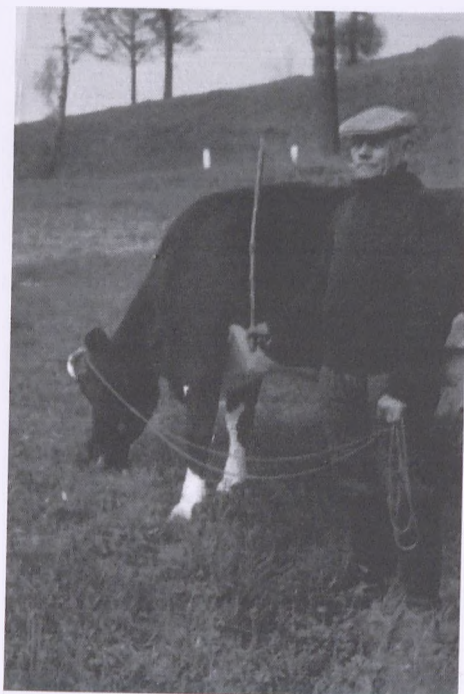
Notowała Agata Kamińska, 2007 r.



Wesele Zofii i Józefa Grymków, Raclawice, 1955 r.



Na klawecie gra Stanisław Gajoszek, na skrzypcach Piotr Grymek, na akordeonie Józef Grymek, Krzesławice, lata 50. XX w.



Antoni Grzesiak pasie krowę na forcie w Grębałowie, lata 50. XX w.



Ochotnicza Straż Pożarna, Krzesławice, lata 30. XX w.



Józef Grymek w Nowej Hucie, lata 50. XX w.



Józef Grymek z junakami 45. Brygady SP na wycieczce do Wieliczki, 3 czerwca 1951 r.

GRĘBAŁÓW



Rodzina Woźniaków z Grębałowa

Po upadku Powstania Styczniowego dwaj bracia o nazwisku Woźniakowski (jeden z braci miał na imię Wojciech, a jak drugi nie wiadomo) uciekli z zaboru rosyjskiego do austriackiego. Ukrywali się oni przez jakiś czas w lesie niedaleko granicy rosyjskiej w miejscowości Grębałów, gdzie przypadkowo zostali „znalezieni” przez gajowego. Bracia, bojąc się deportacji, nie chcieli wyjawić swojego nazwiska w związku z czym zostało im nadane nazwisko Gajowiak oraz przydzielona izba u jednego z gospodarzy w Grębałowie.

Po pewnym czasie jeden z braci wyprowadził się do Krakowa i przyznał się do nazwiska Woźniakowski. Drugi z braci Wojciech został w Grębałowie i w pewnym stopniu także wrócił do swojego nazwiska jednakże w skróconej formie – Woźniak. Już pod tym nowym nazwiskiem ożenił się z córką gospodarza Katarzyną (nadal jednak pozostał mu przydomek „Gajowiak”).

Młode małżeństwo doczekało się trzech synów Franciszka (ur. 1889), Józefa (ur. 1891) i Piotra (ur. 1894). W 1914 roku Józef i Franciszek zostają wcieleni do wojska austriackiego i od momentu wybuchu wojny aż do jej zakończenia walczyli na wielu frontach m.in. w Rosji, na Węgrzech i we Włoszech. Po jednej z bitew, Józef, wraz z swoim przyjacielem Czechem odłączyli się od swojej kompanii i zaczęli wędrować po Austro-Węgrzech robiąc wszystko aby swojej jednostki nie odnaleźć. Udało im się tak wędrować przez kilka miesięcy. Gdy przychodzili do jakiejś jednostki mówili że ich kompania została rozproszona w czasie bitwy i nie mogą znaleźć tej sobie przynależnej. Sztabowcy ustalali gdzie w tym momencie jest ich jednostka, zaopatrywali w prowiant (słonina i chleb) i wysyłali w dalszą drogę. Józef Woźniak wraz z kolegą kierowali się jednak w innym kierunku i sytuacja ta powtarzała się kilkakrotnie. Takie „unikanie powrotu do jednostki rodzinnej” ułatwione było działaniami wojennymi i zmianami miejsc stacjonowania jednostki. Po pewnym czasie przez pomyłkę znaleźli się jednak w swojej jednostce. Tam zostali przyjęci z honorami i odznaczani medalami – Józef został awansowany na starszego szeregowego (Gefreiter), a dowódca w czasie ich odznaczania powiedział „Tak jak syn do swojej matki nie zważając na trudy tak i żołnierz do swojej jednostki wraca”.

Powojenne losy Franciszka nie są mi znane.

W 1914 roku wieś Grębałów została na wypadek ataku wojsk rosyjskich zrównana z ziemią przez wojsko austriackie w celu oczyszczenia przedpola Fortu 49 1/4. Wyburzono domy, wycięto drzewa i krzewy. Mieszkańcy musieli szukać schronienia w sąsiednich wsiach. Rodzina Woźniaków zamieszkała u gospodarza w sąsiedniej wsi Kantorowice. Na ten adres Józef i Franciszek wysyłali listy i kartki z wojny oraz ze szpitala (gdzie Józef przebywał po tym jak został ranny w klatkę piersiową). Józef, po powrocie na front, znalazł się w okopach zagazowanych iperytem i w wyniku czego stracił wdech. Jak mówił „Dzięki wojnie mogę trzeć chrzan na święta i nie płakać”. W końcu został awansowany na kaprała (Korporal).

Józef Woźniak był przystojnym i atrakcyjnym kawalerem. Jak wspominał – jedna z dziewczyn która chciała go zobaczyć idącego drogą w Grębałowie wybiła głowę szybą w oknie. W 1917 roku będąc na urlopie ożenił się z Franciszką Walerian z Krzesławic.

Po I wojnie pracował aż do emerytury na kolei państwowej na Dworcu Głównym w Krakowie.

Józef i Franciszka mieli dwie córki Józefę i Władysławę oraz syna Jana (ur. 1918), którego ojca. Jan ożenił się z Marią Cygan z Luboczy (ur. 1911 córką Marcina Cygana) – ich dzieci to Władysław, Józef, Henryk i Elżbieta...ale to już inna historia.



Henryk Woźniak



Franciszka z Walerianów i Józef Woźniakowie, 1917 r.



Franciszka i Józef Woźniakowie z dziećmi. siedzą od lewej: Józefa i Władysława, stoi Jan, z tyłu NN., Grębałów, lata 20. XX w.



Rodzina Cyganów z Luboczy, 1936 r.



Józef Woźniak, lata 40. XX w.



Maria Woźniak z Cyganów, lata 30. XX w.



Maria Woźniak z bratankiem Januszem Cyganem, późniejszym generałem LWP, lata 30. XX w.

Jakub Bęben

Jakub Bęben urodził się 14.08.1894 roku w Grębałowie, gdzie jego rodzina mieszkała od pokoleń.

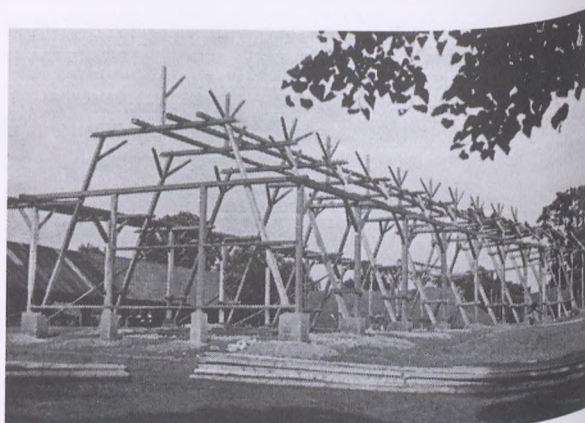
Ukończył Szkołę Ludową w Luboczy. W okresie I Wojny Światowej służąc w armii austriackiej przebywał kilka lat w Albanii, Hercegowinie i Czarnogórze, gdzie wyuczył się zawodów: cieśli, murarza i majstra budowlanego, a nawet został cenionym skrzypkiem w orkiestrze wojskowej. Po powrocie z wojny ożenił się w wieku 26 lat z Marią Walczak. Mieli córki: Janinę i Władysławę oraz synów: Tadeusza i Mariana. Jakub Bęben przez wiele lat – przed jak i po II Wojnie Światowej – prowadził w Grębałowie jedyny warsztat ciesielsko – budowlany, który wykonywał prace w zakresie budowy domów, stolarki drzwiowo – okiennej oraz mostów drewnianych. Prace te były prowadzone nie tylko dla mieszkańców Grębałowa i okolicznych miejscowości, ale jego dobra renoma sięgała znacznie dalej. Z usług zakładu korzystali także mieszkańcy Krakowa, Czyżyn, Raciborowic, Świątnik, Głogoczowa, Zabierzowa, Pcimia i in. Jakub Bęben dobierał w zależności od potrzeb i charakteru zlecenia odpowiednią ekipę, w skład której wchodził z reguły mężczyźni z Grębałowa: Jakub Walczak (pomocnik w ciesielce), Walenty Masier, Władysław Bęben, Józef Bęben, Józef Rylak, Jan Cygan (robił okna) i in. W okresie przeszło półwiecza swojej aktywności zawodowej Jakub Bęben ciesząc się opinią znakomitego i uczciwego fachowca wystawił w okolicach Krakowa kilkadziesiąt domów, budując je od fundamentów po sam dach. Wybudował także w Grębałowie w latach 20. modrzewiowy dwór dla Władysława Cieślewicza (dzierżawcy tutejszych dóbr Kurii Biskupiej), w Mogile w 1938 r. wielkie stodoły (po pożarze folwarku cysterskiego), a w latach 40. dom Franciszka Twaroga (kierownika szkoły w Luboczy). Po I Wojnie Światowej istniała pilna potrzeba odbudowy zniszczonych mostów, i wówczas po rekomendacji udzielonej przez Morisa Mamesa (właściciela tartaku i składu drewna w Kocmyrzowie) Jakub Bęben otrzymywał wraz ze swoją ekipą państwowe zlecenia na budowę mostów w rejonie Limanowej, Dobrej i Mszany Dolnej. Ostatni most drewniany postawił w 1959 r. w Zakopanem na Gładkiem. Te prace, podobnie jak budowę dachów wykonywał z prawdziwą przyjemnością i satysfakcją. Oprócz działalności zawodowej Jakub Bęben prowadził także wiejską orkiestrę grając na skrzypcach (miał absolutny słuch), zaś innymi jej członkami byli: Walenty Masier (perkusja), Franciszek Cholawa (klarnet), Wojciech Walczak (trąbka), był też harmonista. We wrześniu 1939 roku Jakub Bęben ucieka wraz z rodziną na wschód docierając do Szczucina, gdzie był naocznym świadkiem spalania przez Niemców w budynku kilkudziesięciu Polaków. Po miesiącu tułaczki powrócił do Grębałowa, w którym mieszkał przez całą okupację, szukając różnych prac dorywczych z uwagi na obowiązujący w tamtym czasie zakaz budowania domów. Po wojnie kontynuuje swoje przedwojenne zajęcia niemal do samej śmierci, która nadeszła 11.01.1973 r. Jego ostatnim dziełem jest duży i piękny dom rodzinny w Grębałowie. Jakub Bęben był człowiekiem bardzo dobrym, pogodnym i życzliwym. Pozostawił po sobie – oprócz wielu istniejących do dzisiaj obiektów budowlanych – jak najlepsze wspomnienia zachowane przez rodzinę, znajomych i sąsiadów.

Na podstawie wspomnień córki Janiny i syna Mariana opr. Adam Gryczyński





Ekipa budowlana Jakuba Bębna z Grębałowa
(stoi u góry na belce), lata 30. XX w.



Konstrukcja stodoły odbudowywanej po pożarze przez ekipę
Jakuba Bębna w majątku cysterskim, 1938 r.



Jakub Bęben (siedzi w II rzędzie 2 od prawej) na weselu syna Tadeusza i Zofii z d. Puła, Grębałów, 1959 r.

Wspomnienia Janiny Matusiak

Rozmowa z panią Janiną Matusiak (84 lata) i jej przyjaciółką (86 lat), Grębałów. Moje pytania pisane są pismem pogrubionym, wypowiedzi pani Janiny – normalnym, a jej przyjaciółki – kursywą. Rozmowa toczyła się przede wszystkim wokół zdjęcia, przedstawiającego poświęcenie sztandaru szkoły w Luboczy w 1934 roku. Dużą część rozmowy zajęło opowiadanie pani Janiny o przeżyciach z drugiej wojny światowej, których prosiła jednak nie nagrywać, ze względu na ich bardzo osobisty i traumatyczny charakter. Nie nagrałam ich więc także ze względu na to, że wyczerpały mi się baterie w dyktafonie – ach, ta technika... To jednak, co zdążyłam nagrać – przedstawiam poniżej. Resztę rozmowy starałam się zapamiętać i najważniejsze rzeczy zapisać. Oto wyniki mojego pierwszego grębałowskiego spotkania:

– To jest ten sztandar z Luboczy – szkolny sztandar. To zdjęcie będzie w tej książce – na pewno będzie, bo to jest rzecz ważna, i z tego się wszystko zaczęło.

– To jest pani zdjęcie?

– Tak, ja wszystko pani wytłumaczę, pokażę zaraz. To jest szkoła w Luboczy, a poświęcenie sztandaru odbyło się 5 maja 1934 roku. Tu ja jestem właśnie...

– Ile miała pani wtedy lat?

– No zaraz, w której to było klasie? W czwartej chyba...

– Zaraz... ja byłam... tyś była w piątej klasie.

– No, to było właśnie 5 maja, i opowiem całość jak się to zaczęło i tak dalej. Chodziłam do tej piątej klasy i mieliśmy czytankę...

– Jak ta czytanka była, to tyś chodziła jeszcze nie do piątej klasy, ale do czwartej.

– Tak, tak. Tu jest ten nauczyciel...

– A kto panią uczył?

– Nazywał się Józef Bęben. A ja się nazywałam za panny Benben. Ja „en”, a on Bęben właśnie.

– To jest właśnie w Luboczy, i tu jest taka stodoła tam, i koło tej stodoły stoimy.

– Ta szkoła była w tej stodołę?

– Nie, tu podium było, bo to było na podwórku. Pogoda była piękna, śliczna! I to był cały ten sztandar, o – tu jestem ja, tu jest Włodek, co był sztandarowym.

– To wtedy w Grębałowie nie było szkoły?

– Nie, tylko w Luboczy. I tam żeśmy chodzili do tej szkoły.

– I ja tu mówiłam ten wierszyk: „Stańmy na baczność...”. Ale to później pani powiem ten wierszyk.

– Z całego tu województwa krakowskiego zjechały szkoły.

– A dlaczego?

– No, bo to było poświęcenie sztandaru. Piękny ten sztandar był!... i to właśnie była ta czytanka, i był ten nauczyciel – on młody taki był, wszystko organizował! Przeróżne rzeczy: przedstawienia, wyjazdy...

Tutaj nagranie się urywa – baterii zabrakło... Ale oto, co wyłuskałam i zapamiętałam z opowieści moich rozmówczyń:

Poświęcenie sztandaru szkoły w Luboczy, na którym przede wszystkim skupiły się moje rozmówczynie, zapisało się w pamięci obu pań jako bardzo wielkie, podniosłe wydarzenie i wspaniała uroczystość. Pogoda była piękna. Wszyscy wyglądali bardzo odświętnie, ślicznie. Uroczystość była ważna, bo zjechali na nią przedstawiciele szkół z całego ówczesnego województwa krakowskiego. Przyjechał też nawet kurier z Krakowa, który całe wydarzenie opisał i który zrobił fotografię, którą pokazała mi pani Janina. W centralnej jej części stoi chłopiec



ze sztandarem – Wincenty Groś. Obok niego, po lewej stronie, stoi pani Janina. Po prawej – Józefa Grzesiak (która, jak opowiadały później panie, zginęła w Oświęcimiu). W głębi, za dziećmi ubranymi w piękne, krakowskie stroje (pani Janina nie pamiętała, kto je szył), stoi ich nauczyciel – pan Bęben. Och, jakież to był wspaniały człowiek! Obie panie, wspominając go, nie mogły się go nachwalić. Ileż on robił, działał! Młody był, i taki aktywny: a to przedstawienia, a to wyjazdy, wycieczki... Doprawdy, niezwykle był z niego człowiek. Przyjaciółka pani Janiny angażowała się we wszystkie chyba przedstawienia, które pan Bęben organizował. Była bardzo utalentowaną dziewczynką. Recytowała pięknie wiersze, a w przedstawieniach grywała zazwyczaj same główne role. Także na poświęceniu sztandaru wyrecytowała wiersz „Stańmy na baczność”, który pamięta do dziś.

A jak ogólnie zapisał się przedwojenny Grębałów w pamięci jego mieszkanki? Krótko mówiąc – idylla. Sielanka. Dzieciństwo, życie w Grębałowie było cudowne. Przede wszystkim było naznaczone silnymi więziami między ludźmi – nie to, co dzisiaj. Panie z nostalgią wspominały liczne spotkania towarzyskie, wspólne zabawy, czy po prostu wspólne przebywanie. Ludzie bardziej byli razem, byli ze sobą zżyci, związani. Dla obu pań życie w Grębałowie było życiem radosnym i dobrym. Sam Grębałów był piękną, rozwiniętą wsią o długoletniej tradycji, którą przerwała I wojna światowa – wówczas wysiedlono mieszkańców Grębałowa, a ich domy zrównano z ziemią, aby wyczyścić przedpole twierdzy Kraków, mającej bronić miasta przed nieprzyjacielskimi wojskami. Rodziny moich rozmówczyń także zostały przesiedlone, ale zaraz po wojnie, jak wiele innych rodzin, wróciły do Grębałowa i odbudowały swoje domostwa. Grębałów wrócił do życia i stał się miejscem, z którego wyszło wielu światłych i uczonych ludzi. Wiele dzieci z chłopskich, grębałowskich rodzin poszło na studia do Krakowa, przynosząc chlubę swojej rodzinnej wiosce. Sporą rolę w kontaktach Grębałowian z Krakowem odegrała z pewnością kolej tzw. „kocmyrzówka”, która do 1970 r. przechodziła przez Grębałów i łączyła go z miastem.

Z II wojną światową wiążą się dla moich rozmówczyń wspomnienia traumatyczne: odgłosy masowych egzekucji na pobliskich wzgórzach, stacjonowanie wojsk niemieckich, potem rosyjskich, w grębałowskich domach. U pani Janiny wciąż żywe są emocje i wspomnienia związane z tamtym strasznym czasem.

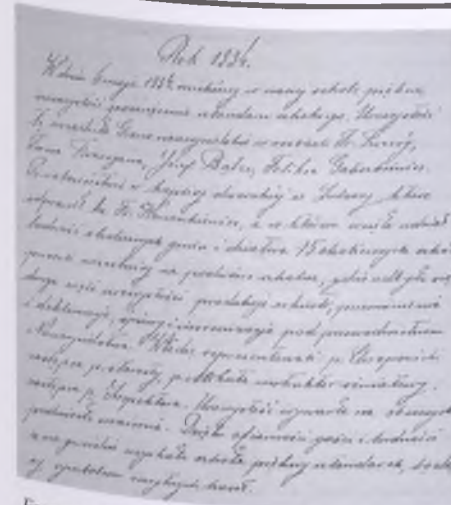
Wybudowanie po II wojnie światowej Nowej Huty nie wpłynęło specjalnie na życie Grębałowian. Pani Janina wspomina jedynie, że nowa dzielnica oddzieliła ich wieś od kościoła w Pleszowie, do którego przedtem chodzili mieszkańcy. Moja rozmówczyni traktowała powstanie Nowej Huty jako mało znaczący, wręcz nieistotny fakt – być może dlatego, że budowa tej dzielnicy nie dotknęła bezpośrednio terenów Grębałowa, i nie wiązała się z wysiedleniami i zabieraniem gruntów, jak to miało miejsce w innych okolicznych wioskach – Bieńczycach, Czyżynach, Mogile.

Grębałów, 29 czerwca 2007 r.

Notowała Magdalena Maciejewska



Procesja ze sztandarem szkolnym. Chorąży: Stefan Lach, obok z lewej Zofia Kowal, z prawej Stanisława Partyła, za nimi idzie ks. proboszcz Antoni Góralik, Pleszów, lata 50. XX w.



Fragment kroniki Szkoły Powszechnej w Luboczy, prowadzonej przez Franciszka Twaroga, kierownika szkoły



Uroczystości poświęcenia sztandaru szkolnego w Luboczy, 6 maja 1934 r.



Franciszek Twaróg z uczniami SP w Luboczy i sztandarem szkolnym, ok. 1935 r.

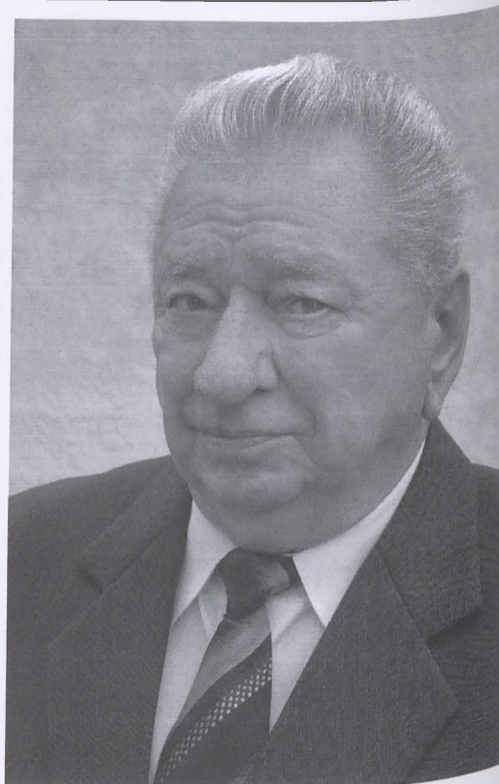


Sztandar szkolny – zdjęcie współczesne.

Wspomnienia Stanisława Kubarka

Dawny Grębałów, zajęcia mieszkańców

Przed wojną Grębałów liczył tylko 80 domów. Atmosfera była bardzo przyjemna, wszyscy się znali, odwiedzali. Ludzie zajmowali się głównie ogrodnictwem i handlem. Towary wysyłano nawet do Zakopanego. Moja mama miała czereśnie, porzeczki. Dużo krów było, więc kobiety jeździły pociągiem do Krakowa z mlekiem, serem i masłem. Miały 2 bańki na plecach, jedną na piersiach w takiej płachcie, i tak nosiły. Pociąg był bardzo drogi. Ludzie na wycieczki nie jeździli. Jak już jechali, to tylko z towaram do sprzedaży: z mlekiem, z owocami. Ciężko było, żadnej techniki; na polu sierpem i kosą ścinało się zboże, młóciło się cepami, strasznie ciężko... Przed wojną było w Grębałowie 8 stawów. Kobiety w nich prały. W latach 50-tych, 60-tych te stawy zasypali ziemią z kombinatu, który wtedy budowano. Pierwsze drogi były z żużla pochodzącego z kombinatu, były wożone z Pleszowa. W tym czasie byłem Przewodniczącym Komitetu Osiedlowego, a w sumie pełniłem tę funkcję przez 26 lat.



Kościół

Kościół w Grębałowie nie było, lecz w Pleszowie. Trzeba było iść jakieś 6 kilometrów pieszo. Latem szło się boso, buty się w rękę trzymało, przed kościołem myło się nogi i wkładało buty tylko na mszę, bo szkoda ich było. Wracało się też boso. Ja swoje pierwsze buty otrzymałem na Pierwszą Komunię Św.

Strój krakowski

Każda wioska posiadała obraz, który nosiła na wszystkie ważne uroczystości, procesje. Grębałów miał obraz św. Teresy. Stoi on jeszcze w Pleszowie. Cztery młode panny ten obraz nosiły na każdej uroczystości, w ubraniu krakowskim. Stroje krakowskie były piękne. Do nich były takie haftowane, wełniane chusty. Moja mama i wiele kobiet chodziło jeszcze w takiej do kościoła.

Rozrywka

Przed wojną nie było żadnych rozrywek, czasem tylko wesela. Wieczorami kobiety darły pierze i śpiewały sobie. Jarmarków nie było, tylko w Proszowicach. Jeźdzono na nie bardzo rzadko wozami zwanymi „rafiokami”.

Służba zdrowia

Dawniej nie było w Grębałowie służby zdrowia. Najbliższy szpital był dopiero w Krakowie przy ul. Kopernika. Była tylko akuszerka, nazywała się Cyganowa. W 1934 roku moja babcia Wiktoria zachorowała na ślepą kiskę, wsadzili ją na wóz konny, przykryli pierzynami, bo to zima była, ale niestety nie dowieźli jej na czas i zmarła w drodze.

Ważne postacie

Z ważnych postaci mogę wymienić dwie. Pierwsza to mój dziadek, Wincenty Pazdalski, który pisał wszystkim podania do gminy w Mogile. Wszyscy właśnie do niego zwracali się w różnych sprawach. Druga niezwykła postać to Franciszek Twaróg, nauczyciel, kierownik szkoły w Luboczy.

Zmiany w Grębałowie po II wojnie światowej

W latach 50-tych powstała w Grębałowie drewniana świetlica zbudowana z materiałów pochodzących z rozbiórki baraków, które zostały zlikwidowane na kombinacie. W latach 60-tych było tam kino „Balladyna”.

a obecnie jest tam klub „Dukat”. W 1954 roku założyłem Klub Sportowy „Grębałowianka”, fundamenty pod Klub budowali sami sportowcy, po skończonych treningach. Klub istnieje do dziś. Przy rozpoczęciu budowy Nowej Huty w Grębałowie, co drugą niedzielę, a przeważnie po wypłacie, na terenie Klubu Sportowego odbywały się zabawy taneczne. Zyski z tych imprez szły na buty, na piłkę – bo z początku to grali taką gumową lub szmacianką. Przez te zabawy to wszystkie ładne dziewczyny pożeniły się z chłopakami. Ale ogólnie życie młodzieży też było ciężkie.

Jak budowa Nowej Huty wpłynęła na życie wsi

Jak zaczęto budować hutę, to ludzie, którzy zostali wywłaszczeni z pola, przeżywali to tragicznie. Były kłopoty z milicją. Kobiety z dziećmi rzucały się pod koparki, spychacze... Ale i tak zabierali, nie pytali się. Za 1,5 morgi dawali wartość maszyny do szycia. A przecież ziemia na Wzgórzach to była ziemia pierwszej klasy! Jaka była pszenica piękna, ziemniaki... Za te półtorej morgi mama wzięła pieniądze dopiero po 10 latach, bo inaczej by przeszły na skarb państwa. Ja tam na Wzgórzach właśnie miałem pole. Teraz stoją tam bloki mieszkalne i super-sam. Stoi też pomnik na moim polu, na pamiątkę tych 80 Polaków, których tu Niemcy pomordowali. Tak więc dla wielu, to było ciężkie życie, ale z drugiej strony niektórzy mieszkańcy Grębałowa byli też zadowoleni, bo otrzymali pracę i bezpłatne mieszkania w Nowej Hucie, na nowych osiedlach – jeśli pracowali na kombinacie. Dlatego też bardzo dużo ludzi się stąd wyprowadziło, ojcowie pozostawali w starych domach, a dzieci się przeniosły.

Notowała: Magdalena Maciejewska, 1 sierpnia 2007 r.



Wiktoria i Wincenty Pazdalscy, lata 90. XIX w.

Wspomnienia Franciszka Nowaka

Historie związane z kapliczkami, ważniejsze wydarzenia



W 1811 roku spłonęło gospodarstwo pani Raczyńskiej Małgorzety. Doszczętnie spłonęło. W roku 1868 pani Marianna Miklewska, posesorka wsi Grębałów, na pamiątkę tego tragicznego wydarzenia ufundowała kapliczkę Serca Pana Jezusa z inskrypcją, która istnieje w oryginale do dnia dzisiejszego: „Boże, chroń nas od podobnego pożaru, jaki nawiedził Małgorzetę Raczyńską w roku 1811. Na tę pamiątkę Maryanna Miklewska pomnik ten ufundowała.” Na przełomie XIX i XX wieku zbudowano krzyż i ufundowano figurę Pana Jezusa. Dzisiaj to jest na skrzyżowaniu ulicy Kantorowickiej i Gustawa Morcinka. Pani Bausowa, gospodyni, w piękne, słoneczne popołudnie, obierając ziemniaki siedziała na progu a tu nagle wpada ognista kula do domu – piorun kulisty. Oblatuje wszystkie izby, nie wyrządzając szkody, wleciał na strych opalając dzieżę do wyrabiania ciasta, i z hukiem wyleciał przez okno w ścianie. Na zwieńczeniu, pod kalenicą, jest taki otwór którędy wyleciał. I na pamiątkę tego wydarzenia i w podzięk Panu Bogu za to, że wówczas nikomu nic się nie stało ufundowano właśnie ten krzyż Pana Jezusa. W książeczce „Szlakiem grębałowskich kapliczek” są zawarte historie wszystkich. Ja od dziecka interesowałem się historią naszego osiedla, jak i w ogóle mam sentyment do historii... W końcu XIX wieku miało tu miejsce ważne wydarzenie – budowa kolei z Krakowa przez Grębałów do Kocmyrzowa. Natomiast w 1908 roku niejaki Jan Cebulski funduje kapliczkę Matce Boskiej w dowód wdzięczności, że małżonka urodziła mu syna. A Cebulski był tutaj ziemianinem, dzierżawcą – chyba Krzesławic. Nadmienię, że Grębałów słynie z wielu kapliczek w większości poświęconych właśnie Matce Bożej. W 1911 roku założona została Spółka Wodna w Grębałowie. Wraz z zaangażowaniem się wielu rolników, m. in. z Luboczy w 1912 zostały posunięte daleko idące przygotowania. Ale wtedy też była biurokracja i trzeba było jeździć w związku z tą rejestracją, żeby mogła funkcjonować Spółka Wodna. Chodziło o meliorację terenu ale wraz z wybuchem pierwszej wojny światowej wstrzymano wszelkie działania w tej sprawie. Znamiennym faktem – wszędzie to mówiłem, mówię i mówić będę, bo to nie tylko ustny przekaz ale i udokumentowany historycznie – w 1914 roku było rozebranie Grębałowa i wielu innych wiosek (Kantorowic, Dłubni, Zesławic – dop. red.) znajdujących się w obrębie trzeciego pierścienia Twierdzy Kraków. Grębałów został dokumentnie rozebrany. Mieszkańców wysiedlono do okolicznych wsi: Czyżyn, Łęgu, na Dąbie, Grzegórzki i do Krakowa – gdzie kto trafił. Tutaj nie było nic i nikogo! Dlatego z dużym naciskiem o tym mówię bo to, że znowu mamy Grębałów jest dowodem twórczej pracy ludzi, którzy tutaj żyli. To nie jest tak, że ludzie tylko mieszkali sobie, bo tu życie wcześniej tętniło. I potem wrócili. Zaczęli wracać już w 1916 roku, nawet pod karą śmierci. Zaborca – gnębiel jeśli chodzi o ówczesny stosunek wojska austriackiego, w ogóle Austrii do Polski i do nas, Polaków groził nam utratą życia. Tu nie ma tłumaczenia i żadnej ulgi w stosunku do innych zaborców. I ludzie pod groźbą tak wielkiej kary wracali. Przysłowie mówi: „Gdzie się kto ulągnie, tam jego ciągnie” – i tu ludzie wracali. Kopali doły, przykrywali deskami, robili takie ziemianki – lepianki i tak mieszkali.

– A Pana rodzina też była wysiedlona?

– Nie. Ja i ojciec mój pochodzimy z Prus. Mama jest rdzenną grębałowianką ze strony Zyburów. Prusy to już jest parafia Raciborowice. Po pierwszej wojnie światowej zaczęli się ludzie organizować, z pomocą przyszło tu państwo polskie. Pod kierownictwem architekta znanego w Polsce – Wacława Krzyżanowskiego, wiele wsi zaczęto odbudowywać, w tym także Grębałów, a wraz z nim mój stary dom, i wiele innych, których dziś już nie ma (z tego okresu pozostały może tylko 3-4 domy). Nie ma dowodu pisanego, że postawioną tu w 1923 roku kapliczkę ufundowano w dowód wdzięczności za szczęśliwy powrót mieszkańców po wojnie do swoich gniazd, ale z przekazu ustnego wiemy, że tak być mogło i w dowód wdzięczności postawiono tutaj kapliczkę. Matce Bożej. W 1925 roku reaktywowana została Spółka Wodna, między innymi z inicjatywy Walentego Florkowskiego. W 1934 r. były dwa znaczące wydarzenia w dziejach Grębałowa i Luboczy: Trzeba jeszcze dodać, że te wioski były integralnie związane z sobą poprzez wspólną parafię i szkołę. Otóż w 1934 roku ufundowany został sztandar szkoły powszechnej, gdzie chorążymi byli właśnie uczniowie z Grębałowa i z Luboczy – do dziś dnia jedna

pani jeszcze żyje. Równie ważnym wydarzeniem, świadczącym o aktywności ludzi, którzy potrafili zjednać wokół siebie na jakiś wspólny cel mieszkańców, było ufundowanie feretronu świętej Teresy od Krzyża znajdującego się do dziś w kościele w Pleszowie, dawniej naszym parafialnym. Feretron to jest figura, różnej wielkości, ale może to być także obraz noszony przy różnych uroczystościach kościelnych jak Boże Ciało, rezurekcja, jakieś lokalne święto kościelne. Na nosidlach noszą dziewczyny, a chłopaki – ci młodzi – noszą go na ramionach. Nasza ceramiczna figura jest wysoka na metr trzydzieści i jest pokryta glazurą, w większości współfinansowała ją pani Helena Cieślewicz – dzierżawca przedwojennego majątku w Grębałowie. Okres wojenny, no to różnie bywało.... Najbardziej dramatycznym wydarzeniem było rozstrzelanie 80 Polaków. Myśmy się zorganizowali, żeby kontynuować pamięć tej tragedii, a szczególną uwagę przywiązywał do tego – bo był naocznym świadkiem – ś.p. Stanisław Florkowski. I on twierdził, że było to 28, a wszyscy mówili, że 29. Umieli się ludzie zorganizować. Tutaj zawsze ludzie przejawiali inicjatywę, żeby sobie w życiu pomóc. Wypadałoby tu przytoczyć całą plejadę nazwisk, ale dominowały rody Florkowskich, Łachów i takie nazwiska jak Masier, Blach, Nowak Andrzej, Grzesiak i cały szereg innych. Elektryfikacja wsi – przełom lat 40. i 50., lata 50. – założony został Klub Sportowy „Grębałowianka”, zbudowano świetlicę, Dom Ludowy, lata 60. – woda, wodociąg, drogi – i tutaj było zaangażowanych wielu mieszkańców pod wodzą aktywistów. Lata 70. – gazyfikacja (ukończona w latach 80.) i równoczesna telefonizacja.

Mimo istniejących różnic między niektórymi osiedlami w zasobności majątku ziemskiego ludzie jednoczyli się, organizowali się w sprawach dotyczących ich wszystkich. W wielu wsiach były orkiestry, chóry. W Luboczy była orkiestra, wybudowano Dom Ludowy, remizę, szkołę – to się nie wzięło znikąd, to ludzie się organizowali. Aczkolwiek polityczne sprawy też były. Nie lubili – mówię to z zapisów kroniki pleszowskiej – komunistów tu nigdy nie lubili.

Życie na wsi, stosunki międzyludzkie, miejsca spotkań, czas wolny

Było życie twarde – to mi powiedział człowiek, który miał majątek; gospodarz. Mówił mi: „Franiu, życie było twarde, a w wielu przypadkach bezlitosne”. Człowiek bogaty był traktowany z respektem – bo bogaty, ale w wielu przypadkach biedny człowiek to był „dziod”. Nie miał szacunku żadnego. Przymierał też, głodem ale była również współpraca i pomoc drugiemu człowiekowi. Ludzie byli z sobą życzliwi. Ale były przypadki, że jak biedny, no to „dziod”. Stosunek jeden do drugiego wynikał między innymi z tego, czy ktoś był zamożny. Ale byli też ludzie bogaci, zamożni, którzy oddawali, pozytywnie emanowali swoim postępowaniem na innych, byli lubiani i szanowani. To nie tak, że jak był bogaty kmieć, hrabia czy ktoś taki to już był niedobry – nie. Ludzie pamiętają i chwalą do dnia dzisiejszego wielu z tego okresu. Wielu osób spośród starszych już nie ma bo poumierali, ale tutaj Cieślewiczów – jako dzierżawców i zarządzających majątkiem ludzie zawsze chwalili i do brzo mówili o nich. I o wielu innych. Tak samo mówili w Łuczanowicach, bodajże o hrabim Mycielskim. Życie było. Ludzie się odwiedzali i co było charakterystyczne, to co ja pamiętam – nie zamykało się domów. Do dnia dzisiejszego we mnie to tkwi. Nie mam psa, nie mam zamka, znaczy mam taką zapadkę, ale nie mam w naturze zamykania. Nie zamykało się w Grębałowie domów jeden przed drugim ani nie trzeba się było zapowiadać: czy państwo jesteście, czy mnie przyjmiecie... Przyszło się: – „Dzień dobry, co słyhać?” – „A siadojcież, no, pogodamy sobie”.

– Często się ludzie spotykali?

Bardzo. Ludzie przychodzili do siebie. To znaczy nie tak: wszyscy do wszystkich, tylko było takie ulubione miejsce spotkań powstałe samorzutnie, że tam, a nie gdzie indziej, spotykali się. Było to w Grębałowie na skrzyżowaniu obecnej ulicy Geodetów i Kantorowickiej, a wtedy „Pod Nowokiem” się spotykali. „Pod Morawcową koło babki” – takie było określenie, a to jest teraz skrzyżowanie ulicy Kocmyrzowskiej i Kantorowickiej tam, gdzie się znajduje kapliczka ufundowana przez tego Cebulskiego dla Matki Bożej w 1908 roku. Później spotykaliśmy się pod stodołą „U Zięcioka” – obecnie jest tam nasz klub „Dukat”. No i „Na Błoni”, dzisiaj się mówi – klub sportowy, boisko, ale dawniej: „Na Błoni”. „Pod Masierem”, o – „Pod Masierem na Błoni”, często my się tam spotykali. Grało się w karty, grało się w „odbitkę”, w pieniądze... wie pani, jak to się gra w „odbitkę”? Ja pani pokażę. Podobnie w „rzucankę”, w „zośkę” no i w „dubla”. „Dubla” zaraz przyniosę. Robiliśmy zdjęcia...

– A zabawy jakieś były?

– Zabawy były piękne! Zwyczajne, zwykłe – takie wiejskie zabawy. Oczywiście ogłoszenia były rozklejane po okolicznych wioskach, ludzie przychodzili, no i były piękne zabawy do pewnego momentu. A jak się tam po-

szturchali, to o dziewczynę, to ten na nogę, na odcisk komuś nadepnął, no i przeganił się potem, ale za chwilę przyszedli razem, wypili. Nie było bandytyzmu takiego. Ale też było nieźle – tłukli się...

Co było charakterystyczne, to dużo się grało (przynajmniej tu w Grębałowie na pewno, ale i w Krzesławicach też), śpiewaliśmy. Ja mogę zaśpiewać tysiące, tysiące piosenek z tamtego okresu – i wojskowych, i ludowych, i ballady takie. Nawet kiedyś mi koleżanka, Basia Brzezińska, pisała nuty do takiej ballady wiejskiej „Wieczorem w niedzielę przy wiejskim kościele”. Piękna ballada, 24 zwrotki, mówiąca o życiu pewnej rodziny kmieci. Mielili syna, wysłali go na nauki do miasta, że pójdzie na księdza, a on przepił te pieniądze, przepił majątek rodziców, rodzice z głodu umarli, a on... Ale to jest taka ballada, rozpoczyna się od słów:

*„Wieczorem w niedzielę przy wiejskim kościele,
Dziad stoi i bije we dzwony.
Wtem młodzian nieznan podchodzi i słucha zdziwiony,
I pyta nieśmiało, co się we wsi stało,
Komóż to dzwonicie mój panie?
Oj smutne to sprawy, jeżeli ciekawy
Posłuchaj opowiem ci panie.
Przed wielu latami...”*

No, i na gitarach tutaj pobrzdkiwali, co niektórzy grali, śpiewali, ale grali też na harmonijkach ustnych. Tam była taka typowa koleżeńska amatorszczyzna. To było w kawalerce. Ja pamiętam od lat 50-tych do początku lat 70-tych, że na harmonijkach grali, pięknie grali! Także mieli – a to już kogoś nobilitowało – „Piccolo”, z takim różkiem. To on na takiej harmonijce wszystko wygrał, a jeszcze jak sobie szklankę wziął, no to proszę pani... śpiewaliśmy! Bo to była taka niepisana rywalizacja między kawalerami z Grębałowa i Krzesławic. Jeździło się do Huty, do restauracji „Teatralnej”, do „Krasnoludka”, do „Ludowej”, ale wtedy trzeba było być ubranym. Jak chłopak wyszedł, to była rywalizacja: kto miał ładniejsze buty, mokasyny, warszawskie, węgierki... I chłopak jak wyszedł, to pachniał. Tak, chłopaki pachniały! Elegancki, czystutki, mimo że różne były warunki, jeśli chodzi o utrzymanie higieny, bo to jak na wsi. No, ja się pod studnią często myłem. Ale nie było tłumaczenia, żeby pod wieczór wyjść, w spodniach (nie džinsach czy tych farmerskich), wyjść na randkę czy na spotkanie. Absolutnie! W takich to się chodziło do roboty, ale pod wieczór wyjść to trzeba było elegancko. To było charakterystyczne tak dla chłopaków z Grębałowa, tak i z Luboczy, i z Krzesławic, i nie tylko – czystość i elegancja. Wielka elegancja. To mówię z pełną odpowiedzialnością. Taka była rozrywka czasu kawalerskiego, dzieciennego, wypełnienie wolnego czasu. Ten kto miał gospodarę, ten nie miał czasu, bo wszystko na gospodarce trzeba było robić. Ja i mnie podobni no to różnie, też trzeba było wypełnić wolny czas pozalekcyjny – jak nie było roboty. Między innymi był dubel. Tak to się nazywa. (tu nastąpił pokaz gry w „dubla”) Czasem grało się i w ośmiu chłopaków – mieliśmy wszyscy zajęcie. Grało się również „w króla” albo „w dwa ognie”. Chciałbym to przywrócić, bo to jest piękna gra. Nawet na boisku do siatki można grać. To było w okresie letnim. Na boisku, na błoni spędzaliśmy czas. Gdy wychodziliśmy do szkoły przed ósmą, tośmy wracali, jak już było ciemno. Nie było czasu jeść ani pić... to znaczy wodę żeśmy pili z różnych studzienek i jak były owoce jakieś, no tośmy się podzielili, ale nie szliśmy od razu po szkole do domu, bo to było wcześniej. Natomiast w okresie jesienno – zimowym były przygotowania do Świąt Bożego Narodzenia, do kolędy, robiliśmy szopki: większe, mniejsze; szkielec... Forma praktycznie nie u każdej się radykalnie zmieniała, bo mogła być na przykład bez półkul, tylko prosta. Ale były też takie formy szopek, że posiadały 3 piętra i dopiero nad nimi znajdowała się wieżyczka, kopuła. I myśmy wieczorami właśnie spotykali się u kogoś w trzeciej izbie. To wynikało z układu budynku, gdzie była kuchnia, sieni, kumora (nie komora!), sypialnia, i (nie we wszystkich domach, ale w wielu), tzw. „trzecia izba” – wolna izba, nie zamieszkała przez domowników. Z reguły co roku spotykaliśmy się u kogoś innego, to zależało od tego, co kto miał w domu. Nie było światła publicznego, nie było asfaltowych dróg, a gdy nadeszła jesień słotna, to chodziło się po kolana w wodzie, błocie i w śniegu zarazem, i nie przeziębilo się jakoś. I spotykaliśmy się. Jeden kupił żylatynę (tak się nazywa różnokolorowa folia do witrażyków), drugi papier. I jak kto potrafił – wycinał. Była rywalizacja między różnymi grupami ponieważ tworzyły się grupy kolędnicze (było ich kilka), nie tylko u nas, ale dominował pod tym względem Grębałów. To był sposób na wypełnienie wolnego czasu, jesienno – zimowego ale i możliwość zarobienia paru złotych. Bywało, żeśmy zbierali w czterech sześćdziesiąt złotych, to po 15 złotych na każdego wypadało. Chałupy były niskie, nie było elektryki, bramę otwierało się, czy pies był puszczony, czy nie, ale jak się z szopką szło – to psy uciekały. Kolędowało się. Było też – jak z okna tak zapukali – to trzeba było odejść. To

było przykre, ale czasem się zdarzało. Więc szło się, kolędowało, wychodzili gospodarze, tu czy tam parę złotych dali, podziękowaliśmy. A było też tak, że gdzie dali dobrze, to my za jakąś chwilę drugi raz podeszli. Wynieśli ciasta, poczęstunek. W latach 50-tych ciasto to był rarytas. Rosół z makaronem był w niedzielę, i to z kury. Poza tym, cóż: ziemniaki z barszczem, barszcz z ziemniakami, i tak na przemian różne zupy. Takie były czasy. Z szopką chodziliśmy od Bożego Narodzenia do Trzech Króli – to było piękne. Na koniec kolędy, jak żeśmy tak pochodzili, spotykaliśmy się właśnie w tej trzeciej izbie u tego, gdzieś tam przygotowywali się i ćwiczyli. Zapraszaliśmy dziewczyny. Butelka wódki to była na całą noc, na dwudziestu ludzi starczyło, jeszcze zostało. Była natomiast harmoszka, klarnet, skrzypce, trąbka, to do dziś człowiek to miło wspomina. A i starsi ode mnie także wspominają te czasy z rozrównieniem... Była rywalizacja, ja z kolegą Edkiem Ślęzakim (dwa domy dalej), nieskromnie powiem – tańczyliśmy. Inny kolega – Stasiu Broś grał na akordeonie, a my polkę i oberka – ale bez przerwy. – No, Edek! Kto kogo przetrzyma? – Ech, Franeczku, ty nie masz szans! – Ja mówię: Edek, kto kogo przetrzyma? Dwadzieścia jeden minut tańczyliśmy polkę na przemian z oberkiem (to jest taniec jak polka, tylko, że jeszcze szybszy). To już później kolega Stasiu, ten co na akordeonie grał, mówi: – Dajcie mi już spokój, bo mnie ręka boli! I zostawił to granie więc rywalizacja nierozstrzygnięta została do dnia dzisiejszego. Tylko dziewczyny, jak tańczyliśmy, to się zmieniały: – Dziękuję, Stefciu, – Proszę, Marysiu. A cośmy się ośpiewali, mój Boże kochany! To były czasy... Aczkolwiek trudne. Nie chciałbym, żeby wróciły, natomiast forma i stosunki międzyludzkie – to bym chciał. W kawalerce na przykład to nie było różnicy, że ja nie mam pieniędzy, ty masz pieniądze, czy coś – szliśmy razem. Było też tak, że na czekoladę czasem nie miałem dla dziewczyny (bo w Nowej Hucie była moda na walce czekoladowe), to z kolegą popatrzyliśmy na siebie, zrozumieliśmy o co chodzi, i dziewczyna moja miała czekoladę, jego dziewczyna miała czekoladę. Dzisiaj jest brak takiego romantyzmu, bezinteresowności, tej zwyczajności takiej. Brakuje mi tego. Z kolegami, z którymi się tam trzymaliśmy, lubimy się dalej, ale już tego kontaktu nie ma. Zresztą to rzeczą naturalną jest, bo przecież oni mają już swoje rodziny: dzieci, wnuków, no i nie da się już tak jak dawniej...

– Czy jak powstała Nowa Huta, to bardzo zmieniło się życie w Grębałowie? Jak się zmieniło?

Dawniej Grębałów był osiedlem typowo rolniczym, chociaż przed wojną dużo ludzi stąd pracowało na polach i na kolei. Generalnie jednak miało bardziej rolniczy niż robotniczy charakter. Po rozpoczęciu budowy Nowej Huty zaczęło się przekształcać w osiedle robotnicze, zachowując przez długie lata charakter wiejski, ze wszystkimi jego tradycjami, obrzędami itd. Wiara tu jest niekwestionowana, bo tak było, jest i tak pozostanie. Byli i tacy, którzy nie pracowali na kombinacie lecz na roli, byli pracujący i na roli, i na kombinacie, ale większość – mogę to powiedzieć z pełną odpowiedzialnością, bo mnie i moją rodzinę to dotyczy – większość pracowała na kombinacie. Tutaj są takie różne poglądy, światopoglądy, że jakby nie Huta, to by inaczej było. To wszystko jest prawda. Na pewno tak. Tylko, że jest też zakłamanie, fałsz i obłuda, bo ludzie zostali tutaj w brutalny sposób wyrugowani z ziemi ojczystej.

– A z Grębałowa też?

– Z Grębałowa właśnie nie. Granica była tu nieopodal. Lubocza już wchodziła w ten zakres zmian Grębałowa – nie. Natomiast Grębałów ma silny związek z Nową Hutą poprzez wysiedlonych ludzi z Luboczy, Krzesławic, Bieńczyc, Ruszczy, Wadowa itd., i osiedlonych tu na północnych częściach Grębałowa. I to jest ten związek. Natomiast niektórzy ponieśli także straty materialne: rodziny Łachów, Florkowskich, Bębnów, z tej racji, że zbudowano osiedle na Wzgórzach i na Stoku, a oni tam mieli swoje ogrody, sady, pola. To były pola grębałowskie, również do Kantorowic należały – i to zostało zabrane. Takie były u nas straty na rzecz budowy nie tyle kombinatu, co miasta. Przede wszystkim jednak ludziom zabrano ziemię w Luboczy, Wadowie, Ruszczy, Branicach, Pleszowie, Mogile, Bieńczycach, Mistrzejowicach i w Czyżynach, natomiast Grębałów większych strat związanych z utratą arealu nie miał. Istnieje natomiast ścisły związek – jak powiedziałem – z przesiedleniem ludzi stamtąd do Grębałowa. Ale oni zasymilowali się i włączyli w tutejszy nurt życia, w działalność. Twórcy ludzie! Do dnia dzisiejszego tu mieszkają, a teraz także już ich synowie, córki, wnukowie, wnuczki i prawnuki. I tak to wszystko się toczy...

Notowała: Magdalena Maciejewska, 31 lipca 2007 r.



Procesja mieszkańców Grębałowa do kościoła w Pleszowie ze sztandarem i feretronem Św. Teresy, ok. 1935 r.



Banderia krakusów, Grębałów, lata 30. XX w.



Franciszek Twaróg w otoczeniu dzieci z Grębałowa, Luboczy i Wadowa, lata 40. XX w.



Uroczystość religijna w Grębałowie, lata 50-60. XX w.



Od lewej: Zofia Łach z d. Blach, Rozalia Krupa z domu Słęczak, Władysława Piaseczna z d. Pazdańska, Grębałów, lata 30. XX w.



Wesele Wiktorii i Stefana Łachów, Grębałów, 1941 r.



Działacze i zawodnicy sportowi z Grębałowa. Stoją: Stefan Łach, Stanisław Łach, Jan Woźniak, Tadeusz Krupa, Władysław Łach, Marian Łach, siedzą: Stanisław Nowak, Stefan Kot, Marian Pszczola, lata 50. XX w.

Wspomnienia Grażyny Piotrowicz

Rodzina, dokumenty

Wyciąg ślubny moich rodziców, data zawarcia ślubu: 23 października 1947 roku, dokument wystawiony był w Pleszowie. I jeszcze ta pisownia: Marjan Florkowski, Marja Benben. Znalazłam także szkolne świadectwa mojej mamy z 1934 roku, na nich jest podpis kierownika szkoły Franciszka Twaroga. Niestety moją mamę wychowywała macocha, więc wówczas ta malutka dziewczynka miała opuszczonych aż 312 godzin, po prostu musiała paść krowy i to jeszcze z dzieckiem na ręce...

Mój ojciec był wywieziony do Bambergii w Niemczech. Tu jest napisane: „Bamberg, 1 lipiec 43, na pamiątkę swojemu koledze Maniusiowi”. A to jest mój dziadziś i dedykacja: „kochanemu synowi na obczyźnie”. Znow 1943 rok

A to jest ojciec mojej mamy – Franciszek Bęben. Byłam małym dzieckiem, ale go jeszcze pamiętam, dlatego, że przyniósł mi żółtą, malutką kołyskę dla lalek.

Praca

Jak rodzice zaczęli dom budować, to ja miałam może 6-7 lat, a tu było pustkowię. Zanim wybuchła wojna mama miała 15 lat i pracowała na tych polach Emila Freggęgo, bo ktoś musiał utrzymywać rodzinę. Opowiadała mi, że w 1943 roku, był potworny głód, ludzie nie mieli w ogóle co jeść. Byli tak strasznie głodni, że gdy w dzień sadzili w polu brukiew, czy cokolwiek, to w nocy przychodzili, i wykopywali to, co tam zasadzili, żeby tylko można było zjeść cokolwiek. Mało tego, to moja mama z jej kuzynem, chodzili po polach i ścinali niedojrzałe kłosa zbóż. Przychodzili do domu, wyrzucali na dach szopy, żeby one bardziej dojrzały gdy słońce prażyło. A jak dojrzały, to mielili zboże na żarnach, robili z tego mąkę, potem piekli placki i jedli, żeby brzuchy czymś zapchać. Ale ponieważ to zboże było niedojrzałe, to dostawali później bóleści. Chodzili po tych polach, kradli, no bo to inaczej nie można nazwać, mama powtarzała mi wiele razy: – „Dziecko, ty sobie nawet nie wyobrażasz, jaki był głód”. Opowiadała, że jak pracowały, to śpiewały piosenkę: „Zachodźże słoneczko, skoro masz zachodzić, bo nas nóżki bolą po tym polu robić”. Ten właściciel Fregge, był dobrym człowiekiem. Mama zawsze mówiła, że to jest jego rodzina, tu na tym zdjęciu: Święta Wielkanocne 1943, Grębałów. Ale czy tak jest, to nie wiem. Mówiła, że starał się o tych ludzi, był taki wyrozumiały, wiedział, że oni głodni do pracy przychodzą. W południe była przerwa, no i mama, której praca utrzymywała całą rodzinę, to zawsze coś tam dostawała do jedzenia; jakąś mąkę, jarzyny – i ona przynosząc to do domu liczyła, że ciotka coś jej ugotuje (bo taka ciotka ją wychowywała). A tymczasem gdy mama przychodziła, to ciotka mówiła: – „Maryś, Maryś! Nie miałam z czego co ugotować, ugotowałam kompotu z rabarbaru”. I mama opowiadała dalej: – „Piłam ten kompot – nie było wtedy cukru, jakąś sacharyną się słodziło – i lzy mi same leciały, wytarłam je, a tu trzeba było z powrotem wracać i pracować”. Później jak front przechodził, to ich wszystkich zagoniono do kopania rowów. Na forcie krzesławskim, gdzie było 440 poległych, to moja mama będąc młodą dziewczyną przymusowo pracowała przy kopaniu rowów, i opowiadała mi, jakie to było straszne, jak Niemcy więźniów przywozili, jak oni musieli groby sobie wykopywać, jak tych ludzi przywozili albo zabitych, albo tam na miejscu rozstrzelali, nieraz na ich oczach, i oni musieli ich potem grzebać. Raz naprzywozili tych trupów, i zwalali ich tak, jakby z wywrotki, na to wszystko koniem zabitym jeszcze przyłożyli; zwłoki się rozkładały, potem jak widzieli, że te zwłoki za bardzo się rozkładają, to znowu tych ludzi zgarniali do pracy.

Był też taki okres, że moja mama pracowała w zakładach Tytoniowych i Spirytusowych. To były lata może powojenne, a może jeszcze nie, sama nie wiem dokładnie. Może ona z tego Freggiego poszła tam do tych Zakładów. A tu jest ojca pismo: „Pamiętka z wykonywania czynu pierwszomajowego, rok 1950, Zakład Przemysłu Monopolowo-Spirytusowego w Krakowie”. Tata wtedy tam pracował, w tych Zakładach Spirytusowych. Potem ojciec pracował na kombinacie.



Pociąg, kontakty z Krakowem

Dla mieszkańców Grębałowa rozrywką był przejeżdżający pociąg. Pamiętam, że zawsze się bałam o tych ludzi, którzy na dachach jechali, bo tak były pociągi oblegane. Ciotki mamy do centrum miasta chodziły na piechotę, miały tam umówione osoby którym roznosiły mleko. Robiły z prześcieradła plecak, nosiły bańki w srebrnym kolorze, nogi miały wyrobione, bo do centrum to jest kawał drogi, a one codziennie tak chodziły. Jak krowy się doilo, to trzeba było coś z tym mlekiem robić, więc je sprzedawały.

Wspomnienia z okresu II Wojny Światowej

Mama opowiadała mi taką historię: miała koleżankę, a ta koleżanka narzeczonego, który został schwytany przez Niemców, i dostał wyrok śmierci. Przewieźli go tutaj na fort grębałowski, i on z tego fortu przez kogoś dał znać, że jutro o świcie będzie rozstrzelany, i żeby ona przyszła się z nim pożegnać. Ona się bała iść sama, i namówiła moją mamę: – „Proszę Cię, chodź ze mną...”. Mama z nią poszła i opowiadała, że było strasznie. Mówiła tak: – „Stałam z daleka, nie chciałam bliżej podchodzić, bo tam były wysokie zasieki z drutów kolczastych; ja się trzymałam z daleka, a ona tam podeszła do tej siaty, i nie wiem, co tam sobie mówili, w każdym bądź razie ona była cała splekana... Gdy ona tam podbiegła, to nawet ich tam nikt nie odganiał, pozwolili mu się pożegnać z dziewczyną, i jak ona potem odeszła, to myśmy z tej góry biegiem się puścili od tego wszystkiego, a potem słyszymy: ta ta ta ta ta ta... On został wtedy rozstrzelany.”

Mama bardzo często opowiadała także o tym miejscu, gdzie rozstrzelano osiemdziesięciu Polaków – bo to tym żył przecież cały Grębałów. To właśnie wujek – Stanisław Florkowski jako młody chłopak tam pobiegł. Sprawa wyglądała w ten sposób, że chuligani czy partyzantka – trudno teraz dociec – napadali na Niemców. Jak pociągi jechały do Kocmyrzowa, to napadnięto dwóch Niemców. Zostali postrzeleni właśnie tutaj, w Grębałowie; jeden został na miejscu zabity, a drugi był ranny, tylko nieprzytomny. I za to mieli pacyfikować całą wieś, właśnie za tych Niemców. Ale ten jeden, co był postrzelony, odzyskał przytomność i powiedział, że tego nie zrobili mieszkańcy Grębałowa, tylko ktoś inny. W związku z tym Niemcy przywieźli z więzienia na Montelupich 80 zakładników. No i ten mój wujek Staszek jako młody chłopak poleciał tam i chciał się po prostu przyjrzeć. On mówił, że rzeka krwi wtedy popłynęła...

Mama opowiadała mi też jeszcze inną historię: jak oni kopali doły na fortach krzesławskich, i gdy więźniów tam rozstrzelali, to jeden z nich, jak szła seria, to się przewrócił razem ze wszystkimi, ale przeżył. I jemu się udało uciec, po jakichś dużych perypetiach. Jak go tam chcieli ziemią zawalać, to on dawał znaki, że żyje, żeby to robić jakoś wolno, żeby go nie przysypać i żywcem nie pogrzebać. Była taka akcja, że ktoś odwracał uwagę tych Niemców, a jemu się udało wyczołgać z tego rowu, potem chyba stanął razem z nimi do zasypywania, w każdym bądź razie to był jeden jedyny człowiek, który został uratowany z tych ludzi, którzy zostali tam przywiezieni na rozstrzelanie.

Mama знаła jeszcze dużo takich historii, ale my jako dzieci nie bardzo chcieliśmy tego słuchać, ale mama w kółko opowiadała, i zawsze coś z tego w pamięci pozostało.

Dawne wspomnienia

Moja mama mieszkała w Grębałowie od urodzenia, ja też się tu urodziłam. Rodzice wynajmowali dom i tu mieszkali. U babci nie mieszkali nigdy. Jak tata zaczął pracę w zakładach monopolu spirytusowego, to dostał mieszkanie na Dąbiu gdzie rodzice się przenieśli i mieszkali przez kilka lat, a później zaczęli w Grębałowie dom budować i wrócili tu z powrotem. Grębałów z czasów mojej młodości zupełnie inaczej wyglądał. Drogi były takie, że nie można nóg było z błota wyciągnąć, nocami było ciemno. Na wprost babcinego domu było dużo stawów i ja zapamiętałam kumkanie żab. Zanim ten dom powstał, to myśmy przyjeżdżali tutaj, spaliliśmy na sianie. To siano było takie pachnące, tylko trochę się jako dzieci baliśmy, bo ciemno było przecież, ale tam za widoku ścielili. No i zanim się zasnęło, to rechotanie tych żab było cudowne...

Pamiętam z czasów dzieciństwa jak po tych łąkach chodziłam; kaczeńce się zbierało, maślanki – takie kwiatki były, maślanki – i strasznie te łąki lubiłam. Jeszcze jest taka oaza spokoju, więc można tam iść, wsłuchać się w śpiew skowronków, zwłaszcza na wiosnę. Wsłuchiwałam się często w tą przyrodę, i tak. sobie pomyślałam, że jak to kiedyś jeszcze zostanie zabudowane, to koniec.

Kapliczki

Dużo tu kapliczek, i prawie wszystkie są przedwojenne. Tylko ta jest najnowsza, na końcu drogi, w 2000 roku została postawiona, a inne kapliczki pochodzą z zamierzchłych czasów. Działamy w Towarzystwie Przyjaciół

Grębałowa, więc się o nie troszczymy, staramy się zbierać fundusze, żeby te kapliczki odnawiać, ludzie też się o nie troszczą. Tych kapliczek jest chyba 7 czy 8 na terenie Grębałowa, a każda kapliczka ma swoją historię. Jest też książeczka, która powstała na jubileusz 750-lecia Grębałowa, i są tam wiersze o tych kapliczkach napisane przez Annę Brzezińską i Barbarę Urbańską.

Kościół

Tu nie było kościoła. Chodziło się do Luboczy gdzie jest kaplica, ale na śluby, pogrzeby czy święcenie wieńców dożynkowych to trzeba było jechać do Pleszowa. Na niedzielne msze św. chodziliśmy do Luboczy (w tej chwili tam jest już parafia, kościół). W środku Luboczy jest mała kapliczka, gdzie w lecie odbywały nabożeństwa, ja swojego drugiego syna tam chrzcili. A kościół jest w Pleszowie i z Grębałowa szło się tam na nogach. Gdy był pogrzeb mojej babci, byłam w ósmej klasie. To był styczeń, i myśmy na nogach szli przez cały czas. Ludzie trumnę na ramionach nieśli, zmieniali się i nieśli. Pamiętam, że komuś się słabo zrobiło...

Szkoła

Szkoła była w Luboczy, jej kierownikiem był Franciszek Twaróg, człowiek obdarzony ogromnym talentem: pisał piękne wiersze i malował. Najpierw zaczęłam chodzić do szkoły podstawowej nr. 39 na Dąbiu i pewnym szokiem było dla mnie przejście z tej szkoły krakowskiej do szkoły w Luboczy, skoro ja ten swój pierwszy dzień w niej pamiętam. Dzieci chodziły boso, a ja szłam w butach i ładnej seledynowej sukience (wtedy zaczęłam drugą klasę), a one mnie wszystkie do szkoły prowadziły. W tej szkole (stała jeszcze do niedawna) nie było sali gimnastycznej, jak nie napalili, to marzło się, siedziało się w butach, często przemoczonych. Ja szłam na skróty, więc przez te łąki, które nie były zmeliorowane w związku z czym brodziło się w wodzie. A buty często przemakały, i tak się siedziało w tych przemoczonych butach przez parę godzin. Pamiętam też dzień, kiedy w szkole był apel, byli tam rodzice, i kazano ściągać krzyże ze ścian. Je nie rozumiałam, dlaczego wszystkie mamy płaczą, o co tu w ogóle chodzi. A w klasach wisiały krzyże i wtedy wyszło rozporządzenie, że trzeba je usunąć.

Ważne postacie

Wyjątkową postacią był w mojej rodzinie Walenty Florkowski. To był stryjek mojego ojca. On był wielkim działaczem społecznym, z jego inicjatywy świetlicę wybudowano, on porwał ludzi do czynu. Potem jego syn Antoni odziedziczył tę żylkę, był ponadto bardzo zdolny aktorsko. Na świetlicy odbywały się kursy kroju i szycia, gotowania, szydełkowania... Ja się tam nauczyłam szydełkować. Robiło się serwetki, chusteczki – taka moda była. Ta świetlica żyła! Odbywały się tam różnego rodzaju imprezy, zabawy. Był tradycyjny opłatek, zabawa sylwestrowa – ta społeczność sama się organizowała, własnym sumptem. Moja mama, ponieważ była dobrą kucharką, więc ona wraz z innymi kobietami pichciła, szykowała, gotowała na te wszystkie imprezy. Założyliśmy także teatrzyk dziecięcy, potem było tam kino „Balladyna”, były różne zespoły taneczne. Przyjeżdżał profesor Duda, który uczył nas tańczyć, przyjeżdżał też Anatol Kocyłowski, choreograf i kierownik artystyczny Zespołu Pieśni i Tańca „Nowa Huta” i przygotowywał nas do dożynek, do wyjazdów na występy. Ważną postacią był Franciszek Twaróg, on był człowiekiem niezwykle zdolnym. Był też ojciec Franka Nowaka, Karol Nowak – wielki społecznik, to po nim odziedziczył Franek tę żylkę społecznikowską, ale teraz właściwie nie ma już takich ludzi, którzy chcą się czymś bezinteresownie zajmować. Mamy jednak Towarzystwo Przyjaciół Grębałowa, no i coś tam robimy, czasem nawet o nas piszą w gazecie, w Głosie – Tygodniku Nowohuckim. W sumie zawsze coś się dzieje, i dopóki będzie starczać nam sił – będziemy działać.

Ważne miejsca

Najważniejszym z miejsc jest to upamiętniające 80 zabitych Polaków. Poza tym są to figurki, bo pod nimi zbierały się na majówki kobiety. I one śpiewały. To było dawniej nie do wyobrażenia, żeby młoda dziewczyna nie poszła na majówkę. To był wewnętrzny nakaz, tradycja przenoszona z pokolenia na pokolenie. Zbliżał się miesiąc maryjny i wszyscy wieczorem szli na te majówki. Mama opowiadała, że potem przychodziły chłopaki, były wesołe rozmowy, z czasem małżeństwa się kojarzyły...

Innym ważnym miejscem są Błonia, bo na tych Błoniach także kwitło życie. W lecie organizowano zabawy, robiono dożynki. A w okresie wojny, kiedy przechodził front, to wojsko się tam rozbijało. Ustawiali namioty, ogniska zapalali. To błonie było takim jak gdyby centralnym miejscem starego Grębałowa gdzie się życie towa-

rzyskie skupiało. Potem świetlicę wybudowali, ale błonie zostało. 50 lat już ma klub sportowy Grębałowianka, a dawniej młodzi chłopcy też trenowali na tym błoniu. Wybudowanie boiska, zagospodarowanie terenu, to są niedawne czasy. A ja pamiętam na tym błoniu z czasów dzieciństwa kaczki i gęsi.

Kontakty Grębałowa z innymi wsiami

Teraz mamy bardzo dobre kontakty: Lubocza – Grębałów. Ale był okres taki, kiedy Lubocza Grębałowa nie lubiła. Tam się chłopaki bez przerwy szturchali między sobą, jakaś taka niezdrowa, dziwna rywalizacja była. Ale teraz myśmy już inaczej podeszli do tego; jako Towarzystwo Przyjaciół Grębałowa zainicjowaliśmy ruch, że Lubocza, Pleszów, Krzesławice zaczęły się organizować we własnych społecznościach.

Więzi międzyludzkie

Dawniej ludzie byli bardziej z sobą zżyci. Mama mi mówiła: – Dziecko, teraz to się trzeba umawiać, dzwonić, a dawniej przyszło jedno do drugiego, i czym kto miał częstował; przeważnie chlebem ze smalcem posypanym cebulą, albo nagotowano żuru i jadło się wspólnie z jednej miski, kawałek słoniny ukroili, albo coś tam innego. Nikt się nie pytał, czy może przyjść, czy nie – po prostu przyszedł i porozmawiał."

Czas wolny, rozrywka

Na tym zdjęciu jest moja mama z kuzynką Janiną, która nazywa się też Bęben, to jest córka Jakuba, cieśli, który budował domy. Rozrywką były też spacer, proszę zwrócić na zdjęciu uwagę: tory i rząd drzew. Jeszcze inna fotografia z tych rozrywek młodzieży grębałowskiej: jest niedziela, więc panowie grają przeważnie w karty; panie siedzą... Do wielkiego święta należało, jak ktoś sobie zdjęcie zrobił, to było wydarzenie!

Były też zabawy, ale na tych zabawach się pewnie dość tłukli, i tak to było...

Co jeszcze? Jak się jechało do Krakowa, to obowiązkowo musiało się fotografować.

Moja mama należała do koła młodzieży, które nosiło feretron świętej Teresy, uczestniczyła także w dożynkach.

Strój krakowski

Do feretronu ubierano się po krakowsku, to było wyróżnienie i zaszczyt. Musiały być mniej więcej 4 jednokowe wzrostem dziewczyny, a każda z nich za punkt honoru musiała mieć strój krakowski, piękne korale... Ja nie wiem, kto szyl te stroje. Na pewno to było jakieś takie rękodzieło, dlatego że tak jak na tych zdjęciach widać różne są te fartuszki, różne kolory tych tkanin, wzornictwo różne... Albo je gdzieś kupowali, albo zamawiali – pojęcia nie mam, jak to wyglądało. Ale te stroje przechodziły (bo na przykład w Luboczy to one przechodzą) z pokolenia na pokolenie. Ja mam oryginalny pas krakowski – taki, który przechodził z pokolenia na pokolenie, ma ponad 100 lat, i to jest oryginalny pas krakowski. Dawniej to każdy mężczyzna był z takim pasem.

Wesela

Moja mama układała weselne rymowanki, ale muszę jeszcze powiedzieć jak wyglądały wesela w Grębałowie. No więc najpierw proszą drużby, proszą drużbów i starostów. Drużbowie mieli na celu obsługiwać młodych, a starostowie mieli na celu zabawiać gości, pilnować alkoholu itd. Odbywało się to w ten sposób, że najpierw przychodziła muzyka. Drużbowie przyjeżdżali po pana młodego. Drużby przypinały bukiety, najpierw swoim drużbom; ale jeszcze muszę się cofnąć, bo niektóre drużby kazały po sobie przyjeżdżać, więc drużba brał muzykę, i z bukietem kwiatów jechał najpierw do domu drużby. Jeżeli były dwie drużby, no to wesela się tam zaczynały o godzinie dziesiątej, jedenastej, trwało to do południa, zanim do kościoła dotarli. Jak już te drużby się z tymi drużbami spotkały, no to dawaj, muzyka! I jadą do pana młodego. I znowu jest granie. Przy czym w każdym z tych domów szykowane były przyjęcia – to było najciekawsze! Ja pamiętam, że też raz byłam drużbą, i też tu miałam kapelę pod domem, drużba po mnie przyjechał. No i jak już pan młody został przez tych drużbów odebrany, to jadą teraz do pani młodej. Aha, jeszcze trzeba powiedzieć, że i niektóre starościny sobie życzyły, żeby po nie przyjechać do domu; jak nie, to tam się gdzieś spotykali. Jak już cały ten orszak weselny się zgromadził, jechał do pani młodej. I było przedtem w Grębałowie tak, że wszyscy goście przyjeżdżali do pani młodej, na końcu dopiero przyjeżdżał pan młody. Więc panna młoda musiała już warować w sukni ślub-

nej od godzin rannych, bo jak się goście zjeżdżali, to ona sama tych gości witała i prezenty odbierała. Później przyjeżdżał pan młody. No więc jak już się tam ten pan młody zjawił, no to było błogosławieństwo. Na tym błogosławieństwie klęczy się na białym prześcieradle lub obrusie, rodzice składają życzenia, potem muzyka gra „Serdeczna Matko”, a wszyscy płaczą, panna młoda też., bo to są takie specjalne słowa: „Serdeczna Matko, opiekunko ludu, wyprowadźże nam tych młodych do ślubu, wyprowadźże, wyprowadź obficie, bo to nie na rok, tylko całe życie” – tak do lat 50-tych to jeszcze na pewno to było, obowiązkowo.

Potem były ocepiny. To był najlepszy punkt programu, wszędzie były balaski, bo to nie było takiej siaty, podłogi były przed domami. No więc najważniejszy punkt programu, na który schodziła cała wieś, ta nie zaproszona stała za tymi balaskami, i to się nazywało halastra. To był gwóźdź wesela, te ocepiny! No więc było szczęście, jak drużka miała ładny głos i dobrze i fajnie śpiewała, gorzej było jak fałszowała. Więc śpiewała jedna drużna, druga drużna, jedna starościna, druga starościna...

Śpiewały różne przyspiewki. O, ileż było tych przyspiewek! Ja też je układałam. Panu młodemu na przykład przyspiewywało się tak:

*Siedzisz sobie tam Franiu jak Bolesław Chrobry,
ale nie wiadomo, czy ty będziesz dobry*

*Pamiętaj ty, Franiu, byś wódki nie pijał,
boś ją nie kołysał ani nie przewijał.*

A pani młodej śpiewało się na przykład:

*Policz sobie Kasiu, ile dziurek w dachu,
tyle będziesz miała w pierwszej nockę strachu.*

*Jak się będziesz bała, to się przykryj z głową,
niech się dzieje co chce z tą drugą połową.*

Polegało to na tym, żeby te pioseneczki były dowcipne, żeby się ludzie śmiali. Zanim zaczęto śpiewać było zbieranie pieniędzy. Najpierw drużny prosiły wszystkich panów, tańczyły z nimi, tam ze dwa razy się zakręciły, podprowadzały do stołu i trzeba było wyrzucić kasę na talerz, wypić kieliszek wódki z jednego kieliszka, wziąć kanapkę albo ciasto i odejść. Więc jak to już się obtańcowywanie skończyło, to drużna prosiła pannę młodą i obydwie tańczyły, a drużna śpiewała. I jak ona kończyła, przychodziła starościna i śpiewała:

*Wy, mili drużbowie, podajcie stołeczek,
będziemy pannie młodej ściągali wianeczek.*

Panna młoda siadała, odpinali jej wianek i zakładali chusteczkę. O ten wianek potem były boje, wszyscy sobie go wydzielali, więc czasami pozostawały strzępy z tego wianka. Tak się działo w dawnych czasach; potem już towarzystwo nabierało oglady. Jak już się tam poszarpali o ten wianek, to trzeba było dawać wykupne (bo też o to chodziło) w postaci alkoholu oczywiście. No i tę pannę młodą wystroili w tę chustkę.

*A spod podłogi wyskoczyła żabka,
nasza panna młoda zrobiła się babka.*

Później śpiewała starościna, albo i nie. W międzyczasie kucharki roznosiły halastrze ciasto na talerzach. Oczywiście każdy musiał dostać z tych zza płota kawałek ciasta. No, a potem, jak już więcej popili, to w ruch szły balaski i zaczęli się tłuc, okładać wszyscy, i czasami się wesele rozganiało, bo się tak tłukli, że szkoda gadać – ale to nie było regułą. I tak się kończyło, przy czym poszli do domu, przespali się, i były poprawiny. Czasami te wesela trwały po trzy, cztery dni nawet, dopóki się tam nie skończyło jedzenie. Ale to było dawno, teraz już ucywilizowane, już teraz godzina druga, trzecia, z tego co wiem, to się wesela kończą, ale gdzieś tam też jeszcze do rana trwają.

Dożynki

Dożynki odbywały się na błoni, a ponieważ miałam zacięcie artystyczne od małego więc tańczyłam na nich, byłam też przodownicą, bo to była funkcja, ha! Tu prawie każde gospodarstwo miało konie. Młodzi ludzie, młodzi mężczyźni te konie pięknie stroili. I oni, krakowiaci, przepięknie się prezentowali na koniach. Każdy miał swoją krakowiankę z którą potem tańczył. Oni na tych koniach jechali po gospodarzy. Gospodarz zaprzęgał wóz drabiniasty, taki na zboże, pięknie go stroił, i ci gospodarze jechali na tym wozie, a krakowianki jechały z wieniec. Było tak, że na wozie był postawiony wieniec, krakowianki dookoła, a krakowiaci na tych pięknych, przystrojonych, czyściutkich koniach. To był pokaz! I tak się, taką paradą jechało się do kościoła, przeważnie na mszę na jedenastą godzinę. Tam było poświęcenie wienca. Później, po południu, wszystko to się działo na tym

błoni. Tam był taki podest robiony, zbijany itd., i tak na tym błoni w pierwszym rzędzie siedzieli gospodarze, jacyś oficjele zaproszeni, chociaż nie wiem, czy tam się w ogóle ktokolwiek zapraszał, no ale jakiegoś może wójta gminy prosili. Przedstawiano program artystyczny. Gospodarz prosił gospodynię do tańca, oni jeden taniec sami tańczyli na całej podłodze, zapraszając tym samym wszystkich zebranych do zabawy. Natomiast krakowianki i krakowianki mieli swoje wydzielone miejsce. Gospodarze wszystko finansowali: pieczenie ciast, jedzenie, jakie tam przyrządzali, alkohol – to wszystko to już było w gestii gospodarzy. Każdego roku kto inny był gospodarzem. Teraz my tutaj w Grębałowie też taką namiastkę tradycji mamy, ale są zawsze problemy, bo nikt nie chce być tym gospodarzem. My teraz ich zresztą nazywamy starostami, bo gospodarzem jest prezydent miasta czy przewodniczący dzielnicy, a nawet może być nim ksiądz. Nie ma koni, nie ma krakowianek, co najwyżej dzieci się ubiera, i pewnie z biegiem czasu to wszystko pójdzie w zapomnienie. Tak wyglądały te dożynki...

Pierwsze po wojnie dożynki w Grębałowie odbyły się w 1946 roku, gospodarzami byli: Zięciakowa, Jan Pszczola. Pamiętam takie dożynki, bo moja mama też była kiedyś gospodynią, to były piękne dożynki! Była taka piękna piosenka „Błogosławiony chleb ziemi czarnej” – i to z taką powagą wszyscy śpiewali, przodownica klęczała z tym chlebem, ja byłam wtedy małą dziewczynką, ale brałam czynny udział w tych obrzędach.

Święta

Zapamiętałam z dzieciennych lat, że jak było święcenie, to nic nie wolno było jeść, pamiętam też, jak moja mama zawsze w Wielką Sobotę prasowała wykrochmalone makatki, które dawniej się wieszało. Ja jeszcze mam gdzieś te makatki, jeszcze się uchowały u mnie w domu, oczywiście ich nie wieszam, ale patrzę z sentymentem, bo jedną sama wyszywałam na pracach ręcznych, a ukończyłam ją 9 marca 1960 roku. Pamiętam zapach tego krochmalu, tych serwetek, bo przecież one były wyprane, wyprasowane, i moja mama je wieszała. Nie wolno było nic dotykać. Wszystko mieliśmy z bratem nowiutkie do święcenia: podkolanóweczki (bo byłam już takim podlotkiem), jakąś garsoneczkę miałam uszytą – wszystko musiało być nowe i tylko czekało do Wielkanocy. Na drugi dzień było śniadanie. Mama nigdy wtedy nie gotowała, w pierwszy dzień świąt bardzo późno było śniadanie, potem jakiś tam żurek robiła, taki wielkanocny, ale miała to wcześniej przygotowane, bo było dopustem Bożym w ogóle w Święta Wielkanocne gotować. Drugi dzień świąt, to i owszem, ale pierwszy dzień świąt Zmartwychwstania Pańskiego – nie było mowy. Nie daj Bóg, żeby ktoś do sklepu wtedy chodził, tak jak teraz się chodzi – to było w ogóle nie do pomyślenia!

Boże Narodzenie – podobnie było. Ubieraliśmy choinkę właściwie w wigilię, albo czasami mama dopuszczała nas do niej dzień wcześniej. Na choince były orzechy w staniol zawinięte, były jabłka i nabijane zapalki na drucikach wiązane. Teraz postanowiliśmy na świetlicy dzieciom pokazać, jak choinka dawniej wyglądała, i zrobiliśmy to. Ja się podjęłam, że owinę cukierki, tak jak dawniej były owijane. Więc kupiłam troszkę tego złotka, bibułę, ponacinałam itd. Inna koleżanka zrobiła jakieś serduszka, łańcuchy z papieru, jabłka były, orzechy, cukierki, różne takie pajacyki z wydmuszek...

Dawniej to wujek Jasiak Florkowski miał sanie i urządzał kuligi. Jechaliśmy na tych kuligach, przyczepialiśmy sanki, on na tych dużych saniach, a my na tych małych, baliśmy się, bo czasami jechał szybko, te ostatnie sanki miały zawsze najgorzej – wywalały się. No, ale zimy też były srogie, równina, było gdzie jechać.

Pogrzeby

Dawniej człowiek był oplakiwany, szanowany nawet po śmierci. Dzisiaj śmierć jak gdyby spowszedniała. Jak ktoś umarł, dawało się znać do innych. Pierwszą rzeczą, którą robili, to przychodzili na różaniec, modlili się. Trzy dni musiał ten zmarły pozostać w domu. Oplakiwali, ubolewali strasznie! I to nie tylko do dnia pogrzebu, ale i po pogrzebie rozmawiało się o tym, a jakim był człowiekiem, a co w życiu zrobił, czy dobrego, czy złego. Było to zupełnie inaczej, a teraz? Wezmą, odwiozą, spotykają się na cmentarzu, zakopią do ziemi – i nie ma człowieka.

Wiara, zabobonność

Mama opowiadała, że była ogromna zabobonność. Ludzie się bali wszystkiego. Każde jakieś zdarzenie było odczytywane na różne sposoby. Jak drogę czarny kot przeleciał, to nie daj Boże, a czegoś tam jeszcze nie należało zaczynać od piątku, innych rzeczy od poniedziałku. Mama twierdziła, że to wynikało stąd, że niektórzy ludzie nie byli chrzczeni, że nie przykładali takiej wagi do wiary, do religii, do praktyk. Nie każdemu się chciało – zanim kaplica powstała – do Pleszowa chodzić. Była taka bieda, że w domu była jedna para butów i nie wszyscy mogli iść do kościoła, dlatego, że jak jedna osoba szła w butach, to reszta pozostawała bez butów. A jak było

zimno to nie szła. Ale buty tak się oszczędzało, że jak było bardzo duże błoto, to się te buty ścigało, i się szło boso w błocie, żeby te buty jeszcze długo mogły służyć – to były nie do uwierzenia rzeczy. A co moja mama mówiła jeszcze? Ponieważ była bardzo biedną dziewczyną i pracowała na polach Freggiego, opowiadała mi, że miała jedną spódnicę, którą ścigała, prała i zakładała. I jak jej słońce płamę wypaliło, gdy się schylała, na tyłku, to ona ją przekręcała do przodu i fartuchem zakrywała, żeby po prostu nie było tego widać – taka była bieda. Dopiero później się szycia uczyła, u takiej dalszej krewnej, potem już sobie umiała uszyć różne rzeczy. Miała taki zmysł artystyczny, że potrafiła z niczego coś wykombinować.

Budowa Nowej Huty

Pamiętam... to były bardzo urodzajne ziemie. Oni wciskali ciemnotę, że to nieuprawne tereny. A tu była pierwszej klasy gleba! Tu naprawdę zanim Nowa Huta powstała na tych łąkach, to mama tam uprawiała piękne warzywa: marchew, ziemniaki – naprawdę się wszystko rodziło. No, a później pamiętam tylko, że dziadek wyjeżdżał do pracy takim, wozem – jak to nazywali – „gumiakiem”. Dziadek miał konia. Ja się urodziłam w 1948, to jak Nową Hutę zaczęli budować, to trochę zapamiętałam. Dziadek jeździł, zarabiał, bo zwozili różne materiały, tylu ludzi tam przedtem pracowało, a ilu teraz pracuje?

Grębałów, 31 lipca 2007 r.

Notowała Magdalena Maciejewska



Prace polowe w gospodarstwie rolnym im. E. Freggiego w Grębałowie, ok. 1938 r.



Młodzież z Grębałowa, lata 30-40. XX w.



Dożynki w Grębałowie, 1957 r.



Grażynka Florkowska, lata 50. XX w.



Przygotowania do dożynek w Grębałowie. Zajęcia prowadzi Anatol Kocylowski, choreograf i kierownik artystyczny Zespołu Pieśni i Tańca „Nowa Huta”, obok niego Grażyna Piotrowicz z d. Florkowska, lata 70. XX w.



Maria i Janina Bębnówny (kuzynki), Grębałów, lata 40. XX w.



Prace polowe w gospodarstwie rolnym im. E. Freegiego w Grębałowie, ok. 1938 r.



Dożynki w Grębałowie, ok. 1938 r.

LUBOCZA



Rodzina Partyłów

W 1838 roku Elżbieta i Sebastian Partyłowie budują na ojcowiznie dom w Luboczy – kurną chałupę bez komina. Na stelażu u powały wpisują datę budowy: 18.08.1838 r. oraz swoje imiona. Z poprzedniego domu zabierają ławkę, na której w roku 1794 odpoczywał Tadeusz Kościuszko przechodząc ze swoimi oddziałami pod Połaniec (fakt ten dokumentował wyryty na niej napis), i wbijają jej drewniane nogi do klepiska w kuchni. Komin w domu zastępuje „nalepa” – miejsce przed piecem chlebowym. Syn Sebastiana i Elżbiety – Jan Partyła obejmuje ojcowiznę w latach 60-tych XIX wieku, a jego gospodarstwo należy do największych we wsi. Do pracy w majątku zatrudnia parobków, a sam prowadzi nieco „rozrywkowy” tryb życia. Dbą przede wszystkim o konie, a posiada najpiękniejsze. Przyjaźni się z Janem Matejką; odwiedzają się nawzajem, zwłaszcza kiedy mistrz przebywa w Krzesławicach. Łączy ich miłość do koni, kiedyś dokonali nawet zamiany; za jednego wyjątkowego maści konia należącego do Partyły Matejko zaoferował swoje trzy. Według przekazu pochodzącego od mojego ojca Piotra, jest to wypchany koń znajdujący się w Muzeum Matejki na ul. Floriańskiej w Krakowie. Jan Partyła wiele czasu spędzał w karczmie w Ruszczy, gdzie zawozili go tam parobkowie. Kiedy o wyznaczonej godzinie przyjeżdżali po gospodarza bryczką zaprzęzoną w 2 konie – ten nie wsiadał, bo bryczkę musiały prowadzić 4 konie. Śpiewał: „pędzą konie pędzą, nie potrzeba bicz, teraz przyjechały tu po królewicza” i dopiero wtedy wsiadał do bryczki.

Następcy Sebastiana i Jana przyjmowali zasadę, że powierzchni gospodarstwa nie należy uszczuplać, i w związku z tym każda z córek Partyłów jako wiano otrzymywała ziemię dokupioną dodatkowo. Ojcowizna w całości pozostawała zawsze dla syna, który zostawał na gospodarstwie. Dzięki temu gospodarstwo Jana i Katarzyny z Bochenków Partyłów w roku 1930 należało do największych w okolicy. Partyłowie mieli pięć córek i dwóch synów. Córki wychodziły na mąż i wyprowadzały się z domu, zanim to jednak nastąpiło mieszkaly wraz z rodzinami na ojcowiznie. Niespodziewana śmierć Jana Partyły w roku 1934 spowodowała, że Piotr mając zaledwie 20 lat obejmuje 40 hektarowe gospodarstwo. Pomimo młodego wieku radzi sobie nieźle angażując się równocześnie w wiele przedsięwzięć m.in.; budowę Domu Ludowego (w roku 1936), uczestniczy w kursie wyprawiania skórek, zakłada pasiekę, kończy kurs strażacki. Wspólnie z nim zamieszkuje matka Katarzyna, brat Stanisław (studiuje prawo na UJ) oraz siostra Wiktoria z mężem i córką. W wieku 39 lat umiera nagle najstarsza siostra Józia, a jej dzieci; Zosia i Mietek zamieszkują u wujka Piotra przez 4 lata. Piotr zajmuje się organizowaniem pomocy dla Szpitala im. Kopernika; zbiera mleko od sześciu rolników z Luboczy i przez sześć dni w tygodniu dostarcza je do szpitala furmanką zaprzęzoną w konie. Sam oddaje najwięcej, ponieważ ma największe gospodarstwo. Raz w roku po zbiorach przyjeżdża ksiądz proboszcz z Pleszowa, który otrzymuje zaopatrzenie tzn. ziemniaki, zboże, jarzyny. Piotr wozi też mleko do brata swojej matki – Bochenka, właściciela restauracji przy ulicy Radziwiłłowskiej, skąd mleko odbiera także ks. Nodzyński z parafii Św. Józefa z ulicy Poselskiej. Wszystkie te produkty oddawane były charytatywnie. Jakże ciężko musiał pracować, by wystarczyło jeszcze na studia brata, utrzymanie i pomoc dla własnej rodziny.

Podczas wojny w domu stacjonuje oddział niemiecki. Z pomieszczeń gospodarczych należało usunąć wszystkie sprzęty. Dowódca zajmuje jeden z dwóch pokoi, ale okazuje się przyjaznym i życzliwym człowiekiem. Obejmuje bacznie młodego gospodarza i zleca Piotrowi prowadzenie uprawy ich sposobem dostarczając maszyny rolnicze: koparkę (do kopania ziemniaków), żniwiarkę (maszynę do koszenia zboża z równoczesnym odbieraniem na snopki, która była bardzo nowoczesna jak na owe czasy). Gospodarstwo staje się przez to nowoczesne i wiodące w okolicy, co jednak wiąże się z oddawaniem sporej części zbiorów na rzecz wojska niemieckiego. Drugi oddział niemieckich wojsk stacjonuje w Luboczy po sąsiedzku – w majątku sióstr Norbertanek.

Rodzina doświadczyła tragedii wojny – w Oświęcimiu zginęła córka siostry Piotra – Józia Grzesiak. 15.08.1945 roku Piotr Partyła zawiera związek małżeński z Genowefą Walczak z Wadowa. Wciąż pracuje dla lokalnej społeczności; wspólnie z kierownikiem szkoły Franciszkiem Twarogiem i Józefem Pietruszką zakłada Komitet Elektryfikacyjny, dzięki któremu już we wrześniu 1946 roku w Luboczy popłynął prąd.

W 1949 roku, gdy rozpoczyna się budowa Nowej Huty i kombinatu, Piotr odmawia przyjęcia zapłaty za odebranie 20 ha ziemi (proponowana przez władze wysokość odszkodowania pozwalała wtedy na zakup dobrych butów), zakłada komitet protestacyjny lecz za podżeganie ludzi do odmowy przyjęcia odszkodowania zostaje zatrzymany przez funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa w Mogile. Wkrótce potem sprzedając pełną słomy stodołę kupcom otrzymuje godziwą zapłatę i snuje plany na przyszłość. Niestety, w nocy nastąpiła wymiana pieniędzy... Jak gdyby tych nieszczęść było mało jest przesłuchiwany i więziony przez UB na okoliczność nielegalnego handlu. W tym czasie dzierżawcą majątku sióstr Norbertanek zostaje Julian Bochenek, i kieruje do

Piotra ok. 25 letnią dziewczynę, która podczas wojny wywieziona została z rodziną spod Wilna do Niemiec skąd powróciła jako sierota tułając się po dworcach. Była w ciąży i nie posiadała żadnych dokumentów. Na wniosek skierowany do Sądu Powiatowego Wydz. Spraw Opiekuńczych przez mojego ojca otrzymała metrykę z danymi osobowymi które były domniemane. Zośka – bo tak się do niej zwracaliśmy – nie umiała pisać ani czytać. Kiedy latami 90. szukałam w Archiwum Urzędu M. Krakowa informacji o złożeniu tego wniosku nie znalazłam jednak po nim żadnego śladu, a pod numerem dowodu osobistego który posiadała Zośka widniała inna osoba. Kobieta ta całe swe życie spędziła w naszym domu, była bardzo oddaną osobą, traktowała nas jak swoje dzieci i pomagała w pracy na gospodarstwie, zmarła w 1989 roku. U nas w domu na początku lat 50. przebywały także dzieci z ubogich rodzin: Tosiek Kowal, Stefek i Jasiek. Chłopcy pomagali w gospodarstwie, a ojciec zadbał o podstawy ich wykształcenia wysyłając ich do szkoły w Luboczy, gdzie ukończyli podstawówkę u Franciszka Twaroga. Zośka nauce nie podołała – pozostała analfabatką, natomiast chłopcy pod koniec lat 50. usamodzielnili się i wyjechali z Krakowa.

Gdy rozpoczęła się na początku lat 50. budowa huty (m.in. na polach ojca położonych między Luboczą a Pleśzowem), to z okien i podwórka widać było jak spychacze i maszyny wjeżdżają do naszego wypielegnowanego przez lata sadu – jednego z najładniejszych w okolicy – wyrывая tam jabłonie, śliwy, grusze i spychają za- dbane przez ojca ule. Junacy z SP całymi gromadami nachodzili pozostałą część ogrodu niszcząc zbiory, a na prośby aby oszczędzili pozostałe drzewa – grozili wulgarnie.

Większość mieszkańców Luboczy tracąc dotychczasowe podstawy swojej egzystencji podejmuje pracę przy budowie kombinatu, a potem w Hucie im. Lenina. Warto zaznaczyć, że Lubocza na rzecz huty utraciła ok. 75 % swojego arealu. Piotr Partyła mimo iż zabrano mu aż 20 ha ziemi, uważany jest przez władzę za „kułaka”, i z tego powodu w jego domu dochodzi do częstych rewizji i zatrzymań przez funkcjonariuszy UB, który nie mogąc złamać Piotra ciągle nachodzili jego dom i rodzinę m.in. przesłuchując żonę, która była w ciąży. Niedługo po urodzeniu Aleksandra w 1952 roku Genowefa Partyła zostaje wezwana na przesłuchanie do Rady Narodowej na os. Młodości w związku z donosem jakoby jej pole położone w Wadowie stoi odłogiem. Nie powraca z przesłuchania lecz zostaje przewieziona do więzienia przy ul. Montelupich w Krakowie. Przed aresztowaniem broni jej ówczesny przewodniczący Rady Narodowej Franciszek Daniel, jednak to nie pomogło. Zdarzenie to mocno odbiło się na zdrowiu jej 3 miesięcznego syna. W domu pozostaje ojciec z trojgiem dzieci w wieku lat: 6, 5 oraz 3 miesiące, a także całym gospodarstwem, które liczy teraz 12 ha. W opiece nad dziećmi pomaga siostra Franja. Z Warszawy przyjeżdża brat Genowefy Stanisław Walczak, który pracuje w jednym z tworzących się tam Mini-sterstw, i dzięki jego pomocy zostaje ona zwolniona do domu po 10 dniach więzienia.

Pamiętam dokładnie chwile, kiedy siedząc w pokoju za kuchnią – z oknem na ogród sąsiada – widziałam biegnącego sąsiada Piotra Walczaka, który stukał do naszego okna i szeptał: „idą!”, a chodziło oczywiście o UB. Pamiętam też jak mama tłumaczyła panom w długich jasnych płaszczach szukających ojca: „Idźcie szukać na strych, jak chcecie zawalić powalę”, z czego rezygnowali, bo dom miał 120 lat, a dzięki temu mój ojciec był po raz kolejny uratowany. Do roku 1956 nasz dom był ustawicznie kontrolowany. Kontyngenty, czyli obowiązkowe dostawy były przez władze ciągle podwyższane, i nie można im było w żaden sposób podołać. Chłopi – rolnicy broniąc się podejmowali różne formy sprzeciwu wobec rażącej niesprawiedliwości. Ojcu w tym proteście dzielnie pomagali: Stanisław Gajoch i Jan Gajoch z Pleszowa.

Rodzice mimo ciężkiego życia wypełnionego pracą i nieustannym niepokojem bardzo dbali, aby w domu było co czytać. Zawsze znaleźli też chwilę na przeczytanie dzieciom bajki (niezapomniana o Misiu Kuleczce, przy której rzewnie płakaliśmy). Czytały nam też starsze kuzynki od których dostawaliśmy sporo książek, a po- tem także w szkole – za dobre wyniki w nauce. Jakaż to była radość, kiedy dostałam „W pustyni i w puszczy”, ale i pewien kłopot, bo przecież nie byłam jeszcze biegła w czytaniu.

Jako dzieci wakacje spędzaliśmy pomagając w polu przy żniwach. Stawialiśmy „kucki” ze snopków zboża i paśliśmy krowy. W lecie chodziło się boso, a kiedy opowiadałam to mojemu 10 letniemu synowi stwierdził: „ale mieliście fajnie”.

Po roku 1956 następuje tzw. odwilż, i rodzice myślą o budowie nowego domu. Dzięki pomocy ich przyjaciela, który pracował w Banku Rolnym – Władysława Strycharza dostają pożyczkę i rozpoczynają budowę. Bracia chodzą do szkoły, a ja dostaję się na studia na UJ, ale stypendium nie dostaję, ponieważ dochodowość z gospo- darstwa (wg zaświadczenia z Wydziału Finansowego) jest zbyt wysoka, co jest oczywistą fikcją. W obliczu cięż- kiej sytuacji finansowej i ogromu pracy na 11 ha matka ciężko choruje, doktor S.W. bezinteresownie zajmuje się ratowaniem jej zdrowia, a nawet życia.

W latach 60. Piotr Partyła zostaje zastępcą przewodniczącego, a potem przewodniczącym Komitetu Osie-

dlowego w Luboczy. Jego działalność przynosi wiele pożytku dla osiedla. Począwszy od elektryfikacji poprzez budowę drogi, chodników, sklepu, do uruchomienia Ośrodka Zdrowia. Swoją funkcję radnego Dzielnicowej Rady Narodowej traktuje bardzo odpowiedzialnie i stara się z niej wywiązać najlepiej jak potrafi. Pomimo, że ukończył tylko 4 klasy szkoły podstawowej jest człowiekiem odczytanym i zorientowanym w problemach współ- czesnego świata. Pomaga ludziom w kryzysach życiowych, pisze podania i interweniuje gdzie trzeba. W osiedlu, w miejscowej świetlicy organizowane są różnego rodzaju kursy (szycia, gotowania, rolnicze, tańca ludowego). Corocznie odbywają się dożynki, a w lecie „festyny” na błoni. Pierwsze po wojnie dożynki w Luboczy zostały zorganizowane w 1962 roku, gospodarzami wtedy byli Piotr Partyła i Maria Wójcik.

Dla chłopów – rolników nastają lepsze czasy dopiero w latach 70. Zostają zniesione obowiązkowe dostawy, a pracujący na roli mogą otrzymać renty i emerytury. Nasze gospodarstwo zaczyna się rozwijać, ojciec kupuje nowe maszyny rolnicze do których nabycia upoważniają talony wydawane przez Wydział Rolnictwa Urzędu Dzielnicowego. Ojciec dostaje takie talony, ponieważ jest jednym z najlepszych rolników na terenie Nowej Huty, o czym świadczą dyplomy uznania za dobre wyniki osiągnięte przez niego w uprawie i hodowli. W roku 1980 przekazuje gospodarstwo synowi Aleksandrowi, i nadal – na ile starczy mu sił – pomaga w pracy, ale przede wszystkim służy dobrą radą. Mając teraz więcej czasu ogląda telewizję, bardzo dużo czyta, dobrze się orientuje co dzieje się wokół i na świecie. Jest człowiekiem łatwo nawiązującym kontakt, opowiada o swoim ży- ciu i swoich przodków – stąd opisane tu wspomnienia. Nurtowała go jednak pewna sprawa o której powiedział później. Wychowany w przeświadczeniu, że ojcowizna i nazwisko powinno być zachowane, martwił się, że nie ma wnuka po synu. Jego nadzieja jednak się spełniła, bo w roku 1990 doczekał się wnuka Jarosława, a potem wnuczki Katarzyny o nazwisku Partyła (wszystkich wnuków miał siedmioro). Był bardzo pogodnym człowie- kiem, lubianym i cenionym nie tylko w rodzinie.

Jego osobista historia to przykład człowieka, który przez całe życie ciężko pracował, a wszystko to co robił – robił przede wszystkim z myślą o innych. Piotr Partyła zmarł 24.05.2000 roku.

Anna Kozłowska – córka Piotra Partyły z Luboczy



Katarzyna Partyła, lata 50. XX w.

Piotr Partyła, 1935 r.



Jan Partyła z Luboczy, ok. 1900 r.



Siedzą: Jan i Katarzyna Partyłowie, pomiędzy nimi Marysia Walczakówna (córka Piotra i Wiśki), stoją od lewej: Piotr i Wiśka z d. Partyła Walczakowie, Stanisław Partyła, Maria Tochowicz z d. Partyła, Piotr Partyła, Józia Partyła (zginęła w Oświęcimiu), Lubocza, 1930 r.



Marysia Walczak i Jasiek Grzesiak przed domem Partyłów, Lubocza, ok. 1938 r.



Rodzina Partyłów przed domem rodzinnym z 1838 r. Lubocza, 1948 r.



Katarzyna Partyła z wnuczką Jasiem Walczakiem, lata 40. XX w.



Genowefa z Walczaków i Piotr Partyłowie z dziećmi: Andrzejem i Hanią, lata 50. XX w.

Franciszek Twaróg – nauczyciel z Luboczy



Podczas spotkania w lutym 2006 r. w klubie „Dukat” z mieszkańcami Grębałowa, biorącymi udział w projekcie „Czas zatrzymany”, ujrzałem na stoliku kilka pożółkłych fotografii, które przykuły moją uwagę. Przedstawiały tego samego, przystojnego mężczyznę w różnych okresach jego życia; od młodości po wiek dojrzały. Najczęściej z młodzieżą; przed szkołą, na lekcjach i na wycieczkach. Były też zdjęcia rodzinne: w domu i ogrodzie a nawet przy ulach w pasiece, gdzie gołymi rękami, bez jakichkolwiek zabezpieczeń wyciąga ramki z pszczołami siedzącymi na ramkach z plastrami miodu. Kiedy zaciekawienie moje wzrosło, spytałem: Kim jest ten człowiek na zdjęciach? – To Franciszek Twaróg! – odpowiedziało niemal jednogłośnie jakby z lekkim zdziwieniem, że mogę tego nie wiedzieć. Owszem, wiedziałem, że istnieje ulica w Grębałowie nazwana jego imieniem, czytałem na ten temat pewien artykuł

w lokalnej prasie, ale nie mogłem połączyć tej postaci z fotografiami leżącymi teraz przede mną, ponieważ nie znałem go za życia ani nawet ze zdjęć. Dowiedziałem się, że zdjęcia zostały wcześniej wypożyczone od jego córki, pani Marii Zderkowskiej, i że jej ojciec był absolwentem Seminarium Nauczycielskiego, a od 1917 roku długoletnim kierownikiem szkoły w Luboczy, której ufundował w 1934 roku sztandar. W 1954 roku został usunięty ze szkoły za odmowę zdjęcia ze ściany krzyża. Do pracy w szkole przywrócono go w niepełnym wymiarze godzin dopiero na skutek protestów mieszkańców Luboczy i Grębałowa, których dzieci pobierały naukę w tej szkole, tak samo jak oni przed wojną. Franciszek Twaróg pozostawił po sobie cenną kronikę szkoły zawierającą jego wspomnienia oraz racjonalną analizę faktów z życia szkoły i wsi. Do tej szkoły chodziły wówczas dzieci z Luboczy, Grębałowa i Wadowa od których teraz – już jako ludzi starszych – to wszystko mogłem teraz usłyszeć. Był wielkim patriotą-nauczycielem, ale przede wszystkim wychowawcą. Wielu jego uczniów kochało go jak własnego ojca, a szkołę w Luboczy traktowało jak drugi dom. Franciszek Twaróg uczył wszystkich przedmiotów. Był także absolwentem rozmaitych kursów, a po ich ukończeniu prowadził dla mieszkańców okolicznych wsi zajęcia z sadownictwa, pszczelarstwa, stolarstwa i robót ręcznych. Nauczał także muzyki – był dobrym skrzypkiem. Uwielbiał grać utwory R. Schummana, zaś jego żona Teresa (z domu Starkel), również nauczycielka, grała wybornie na fortepianie. Moi rozmówcy podkreślali, że miał do nich stosunek ojcowski i był dla wszystkich jednakowo sprawiedliwy – choć wymagający. Potrafił czasem „przyłożyć” w dłoń smyczkiem lub linką, co jednak wcale nie osłabiało jego autorytetu wśród młodzieży szkolnej, ani nie wzbudzało protestów wśród rodziców. Franciszek Twaróg był urodzonym społecznikiem: inicjatorem budowy w 1934 roku Domu Ludowego w Luboczy i członkiem-założycielem rozmaitych kół np. Związku Nauczycielstwa Polskiego czy komitetów d/s Ochotniczej Straży Pożarnej, a po zakończeniu wojny – elektryfikacji wsi i zwalczania analfabetyzmu.

To jestem ja!

Widząc moje rosnące zainteresowanie postacią Franciszka Twaroga, obecny na spotkaniu pan Franciszek Nowak (jak się potem dowiedziałem – prekursor popularyzacji tej szlachetnej postaci) obiecał, że umówi nas na kolejne spotkanie u pani Marii Zderkowskiej – córki Twaroga. Słowa dotrzymał i wkrótce doszło do ponownego spotkania w Grębałowie, tym razem do domu u pani Marii. Po miłym przywitaniu z nią oraz jej córką i zięciem – Państwem Hanną i Józefem Pocięchami, znalazłem się w obszernym pokoju pełnym sprzętów i przedmiotów pamiętających jeszcze jej dom rodzinny, czyli szkołę w Luboczy, gdzie oprócz sal lekcyjnych było także mieszkanie jej kierownika, czyli dwa pokoje z kuchnią i osobną jadalnią. Na początku sympatycznej rozmowy pokazałem pani Marii przyniesione ze sobą zdjęcia, wybrane spośród tych, które wcześniej zreprodukowałem w klubie. Zdjęcia te były już skopiowane na domowej drukarce, a dla podniesienia kontrastu i usunięcia plamek obrobione na komputerze. Jedno spośród nich z 1929 roku, przedstawiało grupę dzieci na szkolnym podwórku, podczas gimnastyki na świeżym powietrzu. Jakież było moje zdziwienie, gdy pani Maria wskazując na nim małą dziewczynkę w białej, eleganckiej sukience i w bucikach powiedziała z uśmiechem – „To jestem ja!” Owszem, zdarzały się w mojej 30-letniej przygodzie z fotografią czasami równie ekscytujące chwile, ale nieczęsto. Tym razem byłem pewien, że

działo się coś niezwykłego. Silnie przemówiła magia i urok starej fotografii, wzmocniona bezpośrednim kontaktem z kimś, kto się na niej znajdował i rozpoznał, na dodatek po 77 latach! Pani Maria widząc moje nieskrywane zaskoczenie z uśmiechem kontynuowała: – „A te dziewczynki obok, to moje koleżanki: Wikta Błachówna z Grębałowa i Władzia Krupianka z Luboczy. Z tyłu, przy szkolnej stodole stoi w garniturze mój ojciec, a w tle widać jeszcze stodołę dworską i spichlerz Sióstr Norbertanek”. Patrzyłem raz na panią Marię, będącą w doskonałej nadpodziw kondycji, a drugi raz na zdjęcie i byłem rad, że mogłem uczestniczyć w tak intymnym misterium. W trakcie dalszej pogawędki okazało się, że jej ojciec – Franciszek Twaróg miał wówczas 38 lat, a ona – 10. W tym samym 1929 roku w Pleszowie, podczas uroczystości dożynkowych i powitania Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej – Ignacego Mościckiego, wizytującego ten urodzajny zakątek kraju, Marysia Twarożanka deklamowała przed nim wiersz rozpoczynający się od słów: „My dzieci szkolne stajem wraz, By uczcić Ciebie Panie, Jesteśmy wdzięczne, żeś i nas przyjął na powitanie” (...) Wystąpiła wtedy w stroju krakowskim, który specjalnie na tę okazję zamówił jej ojciec, przeznaczając na to całą swą nauczycielską pensję, czyli 100 złotych. Był uszyty na miarę przez najlepszą gorseciarkę w okolicy – panią Marię Chmiel z Pleszowa, a strój ten jego właścicielka przechowuje z pietyzmem do dziś, podobnie jak wiele innych pamiątek rodzinnych. Franciszek Twaróg poświęcił się tej szkole bez reszty na długie lata. Warto poznać choćby w wielkim skrócie jego biografię, bowiem żywo ilustruje ona losy człowieka, o którym do dziś powiadają, że był „solą tej ziemi” i tytanem pracy społecznej na rzecz ukochanej wsi.

Ominęła go czarna ospa

Przyszedł na świat 2 kwietnia 1891 roku we wsi Łuczanowice, gdzie wcześniej zamieszkał jego ojciec Kasper – góral z Rabki, który był robotnikiem rolnym u właściciela majątku Władysława Mycielskiego. W jego rodzinie było aż ośmiu dzieci, co pogarszało ich niełatwą sytuację materialną. Mieszkali w starym, drewnianym, krytym strzechą domku dworskim stojącym pomiędzy dwoma stawami. Franciszek Twaróg w swych prywatnych wspomnieniach z kwietnia 1962 roku, dedykowanych swej jedynej córce Marysi napisał, że wraz z rodzeństwem w lecie używał dużo kąpieli, łowił ryby i raki, a zimą – chociaż matka chowała im z oszczędności buty – ślizgali się boso po lodzie. Gdy miał rok, we wsi panowała czarna ospa, na którą wiele osób zapadło i zmarło. Zachorowała też jego matka, która karmiła go własną piersią, a mimo to wyjątkowo nie zachorował. Do szkoły ludowej chodził w pobliskim Dojazdowie, a gdy miał osiem lat rodzina przeniosła się do dawnej karczmy zwanej „gospodą”, gdzie matka sprzedawała artykuły spożywcze. Często odbywały się tam – zwłaszcza w zimie – wieczorne spotkania sąsiadów. Mały Franio kładł się wówczas cichutko na kanapie za siedzącymi chłopami i słuchał opowiadań o strachach, gusłach i czarach.

Lata nauki i samodoskonalenie

W późniejszym okresie Franciszek chodził do szkoły św. Barbary na Małym Rynku w Krakowie mieszkając w opłakanych warunkach na stacji u zaprzyjaźnionej rodziny, skąd później zabrała go matka na ul. Smoleńsk 19, gdzie objęła stróżówkę. Nauka szła mu dobrze. Franciszek wspomina, że rodzice dali mu piękny przykład spokojnego, zgodnego i uczciwego życia. Podkreśla ich ofiarność i pracowitość, co wzbudzało w nim miłość i szacunek, ale także skłonność do posłuszeństwa. Po ukończeniu najwyższej, czwartej klasy poszedł do gimnazjum św. Jacka przy ul. Siennej, gdzie ukończył z dobrymi wynikami I oraz II klasę. Tę naukę przerwał jednak ojciec – mimo jego płaczu i prośb – zapisując go do Seminarium Nauczycielskiego, ponieważ nauka w gimnazjum i na studiach trwała zbyt długo. Ojca opuszczały już siły i czuł, że długo jako stangret dworski nie wytrzyma, a był ktoś musi rodzinie zapewnić. Franciszek Twaróg potem przyznał, że decyzja ojca była słuszna, bo życie dopisało smutny scenariusz: jego ojciec zmarł wkrótce po otrzymaniu przez niego posady nauczyciela. Musiał go wówczas zastąpić w opiece nad matką i rodzeństwem. W okresie nauki w seminarium Franciszek należał do tajnych kolek samokształceniowych, był także piłkarzem w „Wiśle” i „Wawelu”, chodził też na gimnastykę do krakowskiego „Sokoła”. Świadectwo dojrzałości otrzymał w 1910 roku – w rocznicę zwycięstwa pod Grunwaldem.

Powrót na wieś

W tym samym roku rozpoczął pracę w Czulicach, gdzie dał się poznać jako zdolny nauczyciel, dobrze radzący sobie nawet z 60 – osobową klasą. W wiejskiej świetlicy, gdzie gromadziła się po lekcjach dorastająca młodzież, urządzał wraz z kierownikiem szkoły zabawy, odczyty i przedstawienia ujawniając swe predyspozycje do pracy społecznej. Założył nawet małą orkiestrę smyczkową. Po trzech latach został przeniesiony przez Inspektorat Szkolny w Krakowie do Branic, gdzie doskonalił się w robotach ręcznych, ogrodnictwie, sadownictwie i hodowli

pszczoł. W 1913 roku na fali dążeń wolnościowych założył Drużynę Bartoszewą należącą do Chorągwi w Krakowie. Po wybuchu pierwszej wojny światowej Drużyny te zostały rozwiązane po odmowie złożenia przysięgi wojskowej na wierność Austrii, a Franciszek Twaróg powrócił ze zgrupowania w Mszanie Dolnej do szkoły w Branicach. Został zwolniony ze służby wojskowej do pracy jako: nauczyciel, pisarz gminny, członek komisji aprowizacyjnej i straży pożarnej. W Branicach poznał swą przyszłą żonę Teresę Starkel, która pracowała tam jako nauczycielka. Na własną prośbę, po kilku latach pracy w Mogile i Branicach, został przeniesiony do zrujnowanej przez wojska austriackie i żandarmerię szkoły w Lubocy, gdzie zniszczono cały dorobek 40 lat istnienia szkoły: ławy, stoły, piece, wszystkie akta, pomoce naukowe i zbiory biblioteczne. Ocalała tylko pieczęć. Franciszek Twaróg mając 26 lat został kierownikiem tej placówki dnia 7 maja 1917 roku. Jest pełen zapału i choć wie, że ciężka praca – podejmuje to wyzwanie, by po półwieczu, we wspomnieniach napisanych dla córki wyznać, że spędził w Lubocy wszystkie najcenniejsze lata swego życia. Chciał je ustabilizować i pragnął wówczas samodzielnej pracy na wsi. Ale Lubocza była zrujnowana, podobnie jak szkoła. Stało się tak na rozkaz wojsk austriackich, dla oczyszczenia przedpoja fortu w Grębałowie broniącego Krakowa przed zbliżającą się armią rosyjską. Zburzono pół wsi; budynki mieszkalne i gospodarcze, wycięto wszystkie drzewa, zniszczono ogrodzenia. Ludzi zaś wysiedlono na przedmieścia Krakowa. Franciszek Twaróg w pierwszym okresie swej pracy przeżywał więc bardzo ciężkie chwile, tym bardziej, że Lubocza, podobnie jak inne zrujnowane wsie korzystała z moratorium, zwalniającego ją z płacenia podatków gruntowych z których pobierano datki na utrzymanie szkoły. Sytuacja wymagała zatem ofiary ze strony jej heroicznego kierownika, który mając stosowne uzdolnienia porobił stoły, szafy i stołki. Naprawił porozbijane ławki, schody i ganek. Ślub z Teresą zawarł 4 kwietnia 1918 roku, która wkrótce potem przeniosła się z Branic do Luboczy, a remont szkoły stał się wreszcie możliwy po uzyskaniu państwowej subwencji i napłynięciu dotacji na utrzymanie szkoły. Franciszek Twaróg reaktywował Kółko Rolnicze, przeprowadził rejestrację strat wojennych ludności, pisał setki wniosków o odbudowę, pracował w miejscowym kole Związku Nauczycielstwa Polskiego. Posadził mnóstwo drzewek owocowych, omawiał na zebraniach potrzeby gospodarcze wsi. Założył nawet kontraktowaną hodowlę jedwabników morwowych. 10 października 1918 roku pojechał pociągiem z Grębałowa do Krakowa, gdzie był naocznym świadkiem zdania władzy przez generała Nastupila i oddawania szabli polskim patrolom przez oficerów austriackich.

Nastali lata szczęśliwe

Zaczyna wreszcie wieść spokojne życie przy boku swej ukochanej małżonki przyznając, że poświęcenie jego rodziców nie poszło na marne, ponieważ dało mu chleb i pozycję całej rodzinie. Franciszek Twaróg daje się wciągnąć w wir pracy społecznej. Zakłada z dorosłą młodzieżą Koło Młodzieży. Jego siedzibą jest oczywiście szkoła, w której wciąż urządza jakieś zebrania, przedstawienia i zabawy. Z dochodów uzyskanych tą drogą zakupuje książki i zakłada bibliotekę. Wiele czasu spędza z młodzieżą w swoim mieszkaniu na rozmowach i planowaniu pracy. Buduje ruchomą scenę, by po każdym wieczornym przedstawieniu można ją było łatwiej rozebrać, a rano bez przeszkód rozpocząć naukę. Reżyserował przedstawienia, malował własnoręcznie dekoracje, wykonywał kostiumy, grał na skrzypcach. Uczył pieśni ludowych, zaś jego żona Teresa i koleżanka Felicja Galiszkievicz prowadziły kursy gotowania i szycia, a brat Felicji – nawet kurs tańca. Franciszek Twaróg w swych wspomnieniach serdecznie przypomina swych przyjaciół i wielu współpracowników; absolwentów szkoły, którzy w swych marzeniach chcieli zobaczyć wieś szczęśliwą, a swą pracą chcieli tę przyszłość urzeczywistnić. Wszyscy moi rozmówcy, którzy o nim opowiadali, zwracali uwagę na jego niezwykłą skromność. Starł się zawsze bardziej podkreślać osiągnięcia innych niż własne. To co robił, robił przede wszystkim dla dzieci i wsi, która zawdzięcza mu sporo, o czym do dziś nie tylko starsi ludzie pamiętają. Będąc niedawno u pana Stanisława Walczaka, radnego z Luboczy w poszukiwaniu starych zdjęć, miałem okazję obejrzeć amatorski film na taśmie video z 1994 r. pokazujący uroczystości, związane z obchodami 60-lecia sztandaru szkolnego. Usłyszałem tam wiele gorących słów pod adresem jej dawnego kierownika.

Potrafił zjednać ludzi

Pan Stanisław Walczak, którego Twaróg uczył, mówi: – Był wielkim patriotą i pedagogiem! – Był człowiekiem twórczym i wszechstronnym. Uczył rozmaitych przedmiotów, ale przede wszystkim uczył nas patriotyzmu, co znalazło swój wyraz w jego nauczaniu na tajnych kompletach, które prowadził w czasie wojny z narażeniem życia. Cechowała go także szczodrość, dobroć i odwaga. Ale nade wszystko autentyczne umiłowanie ojczyzny. Także jego działalność społeczna przynosiła piękne owoce, bo potrafił zjednać ludzi wokół idei, których najczęściej był inicjatorem i wykonawcą np. budowy Domu Ludowego czy powojennej elektryfikacji wsi. Organizował im zabawy, wycieczki i kuligi. Pisał także wiersze opowiadające o miłości, radości i zaufaniu – wspominał pan

Walczak oprowadzając mnie po opustoszałej i popadającej w ruinę szkole. – O, tutaj była jadalnia, tu zaś kuchnia, a w tym miejscu w pokoju stał fortepian, na którym grywała jego żona Teresa. Z przepięknego pieca kaflowego pozostała niewielka kupka gruzu i kilka potłuczonych kaflów z ciekawą ornamentyką. – O! W tym pokoju w czasie wojny przyszedł na świat jego wnuk Jureczek – dodaje pan Walczak – Jest teraz profesorem w Pittsbourghu w Ameryce, ale był w Lubocy podczas uroczystości związanych z 60 – leciem szkolnego sztandaru. Pozostałości po ściennych malowidłach przypominają życie dawnych lokatorów. Pan Stanisław pokazuje zawalone wejście do piwnicy i małą komórkę – Tu przechowywano zapasy na zimę; przetwory i konfitury. – W tej szkole kiedyś były robione pomiary i badania – powiada dotykając ścian przy oknie zabitym deskami – Fundamenty i grube na 60 centymetrów ściany są w dobrym stanie, szkoda byłoby je wyburzyć. Budynek ma swą historię związaną z niezapomnianym kierownikiem. Można by go odremontować i urządzić w nim dom kultury lub choćby świetlicę dla młodzieży. Trzeba tylko wpierw dach naprawić, bo wichura szkody wyrządziła i teraz przecieka. Przypomnę, że pomysł pana Stanisława spodobał mi się bardzo. Franciszek Twaróg pewno też by się ucieszył. Prowadził tu wszakże zajęcia świetlicowe dla młodzieży skupionej w Kole Młodych. Warto ten pomysł poddać pod rozważenia naszym decydom. W jednej z sal można urządzić coś na kształt izby pamięci, w której wyeksponuje się powiększone reprodukcje zdjęć, dokumentów i pokaże zachowane przedmioty, bo przecież warto przypomnieć – w czasach powszechnego upadku wartości i autorytetów – takich ludzi jak Franciszek Twaróg.

Praca, praca, praca

Od samego początku swej – jak to określał – służby nauczycielskiej tj. od 1 sierpnia 1910 roku należał do Związku Nauczycielstwa Polskiego. Był we Lwowie w 1911 r. na ogólnym zjeździe i wiecu nauczycielskim żądając 7 – letniej nauki w szkole powszechnej, wykształcenia wyższego dla nauczycieli i poprawy płac. Przez 30 lat należał do ogniska branickiego i był jego przewodniczącym. Jednocześnie był członkiem Zarządu Okręgowego ZNP w Krakowie. Zachowały się zdjęcia z tamtego okresu ilustrujące zebrania, zjazdy i wycieczki związkowe które organizował. Po latach gorąco wspominał z pracy oświatowej i samokształceniowej: Genowefę i Jana Twarogów, Wiśniewskich, Hojnackich, Lowasów, Wyżgów, Tylków, Okulczyka, Pałosa, Wąsa, Hausnera, panią Galiszkiewicz. W równej mierze udzielał się równocześnie w Kole Młodych, pragnąc poprzez spotkania i zjazdy kół skończyć z zawiścią i krwawymi rozgrywkami pomiędzy młodzieżą z poszczególnych wsi. Miał za sobą – jak sam wyznawał – powagę organizacji ojców zrzeszonych w Kółku Rolniczym. Wspominał tu przede wszystkim Emila Zegadłowicza – poetę i pisarza, autora dzieł o wsi, przewodniczącego Zarządu Małopolskiego Związku Młodzieży, ale także rolników: Wincentego Kota, Wincentego Pietruszkę, Piotra Brosia, Wojciecha Raźnego, Józefa Bętkowskiego i in. W jego odczuciach, tę spokojną pracę nadszarpnęła potem konkurencja Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży Męskiej i Żeńskiej, Koła Młodzieży „Znicz” i Związku Walki Młodych. Rozproszone siły i organizacje zwalczały się wzajemnie, co nie wyszło nikomu na korzyść.

Sztandar szkolny

W 1928 roku Franciszek Twaróg rozpoczął starania o odkupienie starego dworskiego czworaka od Sióstr Norbertanek ze Zwierzyńca. Konwent Sióstr wyraził zgodę na sprzedaż domku drewnianego i w listopadzie tegoż roku w wyremontowanym domu odbyła się nauka w nowej sali lekcyjnej. Pełna nazwa szkoły w Lubocy w tamtych latach brzmiała: „Czteroklasowa Publiczna Szkoła Powszechna im. Księdza Stanisława Konarskiego”. Do najważniejszych uroczystości związanych z tą szkołą należało poświęcenie sztandaru szkoły z Matką Boską i orłem w koronie w dniu 6 maja 1934 roku. Franciszek Twaróg uczestniczył ponadto w takiej ilości rozmaitych komitetów, rad i komisji, że śmiało mógłby dziś kandydować w tej kategorii do rekordu Guinnessa! Rzecz jednak w tym, że przyjęte obowiązki traktował bardzo poważnie wywiązując się z nich najlepiej jak tylko potrafił. Funkcje te wynikały z jego pracy, zainteresowań i czynnego stanowiska wobec problemów wsi. Był m.in. członkiem Powiatowego Komitetu nad Wdowami i Sierotami po poległych, członkiem Powiatowej Komisji Aprowizacyjnej, członkiem Tymczasowej Rady Powiatowej w Krakowie, członkiem Rady Kasy Komunalnej Powiatu Krakowskiego oraz członkiem Powiatowej Rady Szkolnej.

Dom Ludowy

Wyróżnienia go omijały, ponieważ był bezpartyjny. Skreślano go zazwyczaj z listy odznaczonych – tym bardziej więc pozostawał wierny swej pracy w kółkach rolniczych i młodzieżowych oraz w ZNP. Sen z powiek spędzała mu nieustannie trwoga o pożar we wsi, zabudowanej szeregowo drewnianymi budynkami. Zainicjo-

wał więc założenie Oddziału Ochotniczej Straży Pożarnej, którą zaopatrzone w sprzęt i mundury, regularnie przeprowadzając szkolenia. Brak stosownych pomieszczeń dla OSP i innych organizacji wyzwolił w nim inicjatywę budowy Domu Ludowego. Chciał tym samym odciążyć prowadzoną przez siebie szkołę, która już „pękała w szwach” od coraz to innych zebrań i przedsięwzięć. Franciszek Twaróg czuwał nad postępem prac przy Domu Ludowym dokonując m.in. rozliczeń finansowych. A koszt budowy były niemałe: 9000 zł. Dnia 16 sierpnia 1936 roku nastąpiło otwarcie Domu Ludowego w samym środku wsi Lubocy, na gruzach zburzonej w czasie I wojny karczmy dworskiej Twaróg był z tego dumny i radował się, że w miejscu gdzie niegdyś rozpijano wies, stanął teraz dom przeznaczony dla pracy oświatowej, kulturalnej i spółdzielczej.

Lata wojny

W czasie kampanii wrześniowej w 1939 roku, w lubockiej szkole kwaterował polski oddział przeciwlotniczy z ciężkim karabinem maszynowym ulokowanym na złamanym chłopskim wozie. Potem nastąpiła miesięczna tułaczka Franciszka Twaroga po Polsce wschodniej, skąd szczęśliwie powrócił do domu w którym zastał żonę i dziecko. We wsi stacjonowali już Niemcy. Szkołę trzeba było opuścić dla wojska, a nauka odbywała się teraz w dwóch izbach domu dworskiego. Uczono języka polskiego i geografii. Franciszkowi udało się ukryć bibliotekę szkolną, obrazy, podręczniki, sztandar szkolny i radioaparat. Nastąpiły lata prześladowań i ciężkich doświadczeń. Niemcy robili łapanek, aresztowano nawet za sprzedaż mleka. Zginęła wówczas jego znajoma, pani Kołacz – matka dwojga niemowląt. Do Oświęcimia wywieziono też jedną z nauczycielek – Irenę Oliwiankę, gdzie wkrótce zmarła na tyfus. Zginęła też Józia Grzesiak, córka tutejszego rolnika, wyróżniająca się spośród wszystkich pań wdziękiem i urodą. Poginęło też wielu innych, wywożonych do obozów i na przymusowe roboty do Niemiec, do Puszczy Niepołomickiej, do budowy bunkrów i rowów strzeleckich. Drakońskie dostawy żywności, zboża i ziemniaków spowodowały we wsi głód. Napad tutejszych partyzantów z Batalionów Chłopskich na siedzibę „Trauhander” w Mogile – choć co do tego krążą do dziś różne wersje – gdzie zabrano, a następnie spalono spisy bydła i trzody podlegającej kontroli dostaw, na jakiś czas pozwoliło prowadzić tu wolny handel i swobodny ubój. Franciszek Twaróg wraz z żoną i kolegą Maciejem Nowakiem oprócz nauki jawnej dla wszystkich dzieci zorganizował u siebie tajne nauczanie. Było to bardzo niebezpieczne zajęcie, bo po obu stronach mieszkania w 2 klasach przebywali Niemcy. Na tajnych kompletach przerabiano ostatnią klasę podstawówki i pierwszą klasę gimnazjalną.

Koncert nad koncertami

Zaraz na początku okupacji przyszedł do szkoły – z komendy zakwaterowanej we dworze – pewien Niemiec, który przedstawił się jako profesor gimnazjalny Staedtler. Jedną z sióstr norbertanek ostrzegła przed nim, mówiąc, że to gestapowiec. Był wyznaczony do kontrolowania szkoły Franciszka Twaroga. Zobaczył fortepian, powiedział, że jest muzykalny i spytał, czy może zagrać. Po otwarciu klapy zobaczył rozłożone na pulpicie nuty. Były to pozostawione wcześniej pieśni patriotyczne z mazurkiem Dąbrowskiego na pierwszej stronie. Niemiec nieświadom tego co to jest, zagrał i zaśpiewał kalecząc słowa hymnu. W oczach Franciszka i Teresy pojawiły się łzy. Niemiec nie pytał o nic i zamknął fortepian, który przez długi czas stał potem głuchy. A jednak odbył się tu koncert konspiracyjny. I to jaki! Halina – koleżanka córki Marysi, która w obawie przed represjami uciekla wraz z matką z Krakowa do pobliskich Branic, przyszła kiedyś do Lubocy, gdyż nie było u niej w domu fortepianu do ćwiczeń. Miała wówczas jakieś 18 lat. W nauczycielskim mieszkaniu zebrało się sporo osób. Niemców akurat nie było, a wszyscy spragnieni byli muzyki. Halina grała z pamięci utwory klasyków. Na Twarogu największe wrażenie wywarł polonez A-dur Chopina. Wszyscy tonąc we łzach gorąco oklaskiwali młodą artystkę, ale nikt nawet nie przypuszczał, że stoi przed nimi późniejsza, światowej sławy pianistka: Halina Czerny – Stefańska.

Bóg jest cudowny, fortuna jest zmienna

Niemiec Staedtler wielokrotnie nachodził szkołę i często rozmawiał z panią Teresą, która świetnie znała niemiecki. Kiedyś ją spytał – Czy nie zechciałaby pani zostać Niemką, skoro tak dobrze mówi i ma z domu niemieckie nazwisko? Żona Twaroga na to z gniewem odpowiedziała wskazując portret ojca wiszący na ścianie: – Ojciec mój był Polakiem, walczył o Polskę i cierpiał za nią i ja chcę pozostać i umrzeć Polką! Z trudem jakoś opanowano nerwową sytuację, choć katastrofa wisiała na włosku. Ale i tak skończyło się to donosem. Innym razem Staedtler spytał Franciszka: – Jak pan sądzi, czy będzie jeszcze Polska? Wówczas Twaróg odparł tak samo jak w roku 1655 kanonik Szymon Starowolski, królowi szwedzkiemu Karolowi Gustawowi przed sarkofagiem Władysława Łokietka na Wawelu: „Deus mirabilis, Fortuna variabilis” (Bóg jest cudowny, fortuna jest

zmienna). Staedtler odrzekł: – My Niemcy nie liczymy na Boga, my swoją siłą zwyciężymy. Po upływie 4 lat historia zweryfikowała te sądy, jednak wcześniej doszło tu jeszcze do wielu dramatów. Pewnego zimowego poranka, gdy pan Franciszek szedł do Krzesławic, obok niego przejechały niemieckie auta ciężarowe, na których za zasłonami można było zobaczyć więźniów i uzbrojonych strażników.auta skręciły w polną drogę w stronę fortu w Krzesławicach, a ponieważ były duże zasypy śniegu, wkrótce zatrzymały się i wówczas pan Franciszek ujrzał więźniów brnących przez śnieg, popędzanych przez konwojentów. Po chwili, gdy znikli w kazamatach fortu usłyszał strzały – było to miejsce straceń. Od 11 listopada 1939 r. do jesieni 1941 r. Niemcy rozstrzelali i grzebali w fortecznych fosach polskich patriotów – więźniów przewożonych z ul. Montelupich i więzienia św. Michała w Krakowie, którzy dzień wcześniej kopali tam doły dla siebie. Zginęło wówczas 440 osób. Dziś w tym miejscu stoi pomnik. 19 stycznia 1945 roku pojawił się w Luboczy pierwszy czołg radziecki i piechota. Wcześniej Niemcy zaczęli uciekać w popłochu, zostawiając nawet broń z pociskami w szkolnym ogrodzie. Doszło do krwawej walki. Rozbito dwa czołgi: radziecki i niemiecki. Poległo kilku Niemców.

Duch sprawczy

Franciszek Twaróg później napisał: „I znów, jak przedtem po pierwszej wojnie światowej, zabraliśmy się za przerwana przez 6 lat wojny działalność społeczną, gospodarczą i kulturalno-oświatową”. W roku szkolnym 1946/47 naukę w szkole podjęło aż 175 uczniów. Warunki przy tej ilości dzieci były niezwykle trudne, ale jej kierownik – „duch sprawczy”, zawsze troszczył się o swe dzieci znajdując wyjście z niejednej sytuacji. Jednocześnie pracował jak lokomotywa w Komitecie elektryfikacyjnym, pociągając za sobą opornych i niezdecydowanych, co doprowadziło w ekspresowym tempie do tego, że światło w domach zabłysło już 20 września 1946 roku. Prócz tego został przewodniczącym Gminnego Komitetu do zwalczania analfabetyzmu w Mogile i organizował kursy we wszystkich wsiach należących do gminy, a osobiście prowadził je w Luboczy za co otrzymał dyplom uznania. Przyswiecała mu pamięć o ojcu, który nie z własnej woli był analfabetą. Widział jak miasto zbliża się nieuchronnie do wsi i wiedział, że zmieni się wkrótce jej charakter w związku z oddziaływaniem Nowej Huty. Nie wierzył jednak, aby ta bliskość unicestwiła pracę na wsi, której poświęcił wraz z żoną całe swe dorosłe życie. Do końca swych dni chciał pozostać wśród swoich uczniów i wychowanków.

Upragniony dom

W 1946 roku zakupił parcelę w Grębałowie, na której postawił drewniany domek, aby mieć spokojny dach nad głową. Przeniósł się tu na stałe w 1954 roku, wraz z żoną, którą w tym czasie dotknął całkowity paraliż. Wciąż był przy niej, niosąc jej pomoc i opiekę, gdy ta przykuta była do łóżka. Przeżyli ze sobą w wielkiej miłości 41 lat. Franciszek twierdził, że jeśli mógł zrobić cokolwiek dobrego dla społeczeństwa – było to zasługą żony Teresy, która życzliwą opieką i pracą domową stwarzała odpowiednią atmosferę dla jego pracy publicznej. Nowy dom Franciszek Twaróg otoczył sadem, gdzie przewiózł pasiekę i posadził morwy. Próbował także uprawy poziomek owocujących od maja do października. Od czasu gdy zamieszkał w Grębałowie, chodził jeszcze przez 7 lat do szkoły w Luboczy, gdzie po przejściu na rentę uczył w zmniejszonym wymiarze 16 godzin tygodniowo. Codziennie przemierzał tam i z powrotem 4 km – w deszczu i błocie, spiekocie i na mrozie. Nigdy nie opuścił nawet jednego dnia nauki, ani też nie spóźnił się na lekcje. Gdy w 1961 roku na pobliskich Wzgórzach Krzesławickich powstała szkoła dla klas I-IV mieszcząca się w prowizorycznym baraku, Franciszek Twaróg poprosił o przeniesienie do tej placówki. Mawiał, że jest to najmniejsza i najbiedniejsza szkoła w Nowej Hucie, ale ma za to najwspanialszy horoskop, bo wkrótce powstanie tu „szklany dom” Żeromskiego – 19 – to oddziałowa szkoła. Odczuwał niezwykłą parabolę i związek pomiędzy martyrologią krzesławicką, której był naocznym świadkiem, a współtworzeniem nowego życia przez wychowanie dzieci oddanych mu pod opiekę. Pragnął je doprowadzić do nowej szkoły powstającej na wzgórzu i uczyć je nadal. Ta praca dawała mu spokój i zadowolenie. Wypełniała jego samotność życiem twórczym. Był pewien, że skoro ma dać z siebie pewne wartości, to musi je także posiadać oraz mieć silną wolę – bo jak mówi Wyspiański: „Dużo byście mogli mieć, byście tylko chcieli chcieć”. Dla niego była to naczelną zasadą życia i pracy. Czuł się w niej spełniony. Franciszek Twaróg pochodził z ludu i miał wrodzony imperatyw życia dla niego. Był wielkim patriotą – nauczycielem ludowym. Jego dzieło może stanowić piękny i wzruszający przykład i symbol heroicznej pracy, pełnej wiary, nadziei i miłości oraz zmagania z przeciwnością losu. Zmarł 26 maja 1968 roku w Nowej Hucie. Został pochowany w grobowcu rodzinnym na Cmentarzu Rakowickim.



Franciszek Twaróg przed Szkołą Powszechną w Luboczy, 1917 r.



Franciszek Twaróg w otoczeniu rodziny i znajomych. Obok niego z lewej, w ciemnej sukni siedzi żona Teresa, za nim nieco z prawej matka Maria, a w ostatnim rzędzie w środku stoi brat Jan, Lubocza, 1918 r.

Franciszek i Teresa z d. Starkel Twarogowie w dniu swojego ślubu, Lubocza, 1918 r., fot. Jadwiga Starkel (Modlińska)



Franciszek i Teresa Twarógowie na podwórku szkolnym, pomiędzy nimi córka Marysia, na leżaku odpoczywa p. Anteka, koleżanka Teresy. Z prawej strony znajduje się stodoła szkolna, w głębi dworska oraz spichlerz Sióstr Norbertanek, Lubocza, 1920 r. XX w.



Od prawej: Władzia Krupianka, Marysia Twaróżanka, Teresa Twarógowa, Zofia Karpińska (siostra Teresy), za nimi stoi Franciszek Twaróg, pozostałe osoby to Barbara, koleżanka Teresy i jej ojciec oraz nauczycielka NN. Szkoła w Luboczy, lata 20, fot. Jadwiga Modlińska



Członkowie Ochotniczej Straży Pożarnej w Luboczy, ok. 1930 r. XX w.

Franciszek Twaróg z uczestnikami kursu wyprawiania skórek króliczych, lata 30. XX w.



W mieszkaniu szkolnym zajmowanym przez rodzinę Franciszka Twaroga od lewej siedzą: nauczycielka Teresa Twarógowa, ks. proboszcz z Pleszowa – Franciszek Korzonkiewicz, stoją nauczyciele: Józef Bęben, Feliks Galiszkiewicz i Jan Twaróg – kierownik szkoły w Luboczy, lata 20. XX w.



Franciszek Twaróg w otoczeniu uczniów przed szkołą, Lubocza, ok. 1930 r.



Wycieczka na Wawel młodzieży z Koła Młodych w Luboczy, lata 20. XX w.



Franciszek Twaróg w otoczeniu uczniów, lata 50. XX w.



Uroczystość pożegnania Franciszka Twaroga jako kierownika szkoły, Lubocza, ok. 1954 r.



Franciszek Twaróg prowadzi zajęcia lekcyjne. Pracował wtedy w niepełnym wymiarze godzin, ok. 1957 r., fot. Józef Brożek



Stara szkoła w Luboczy. Obecnie już nie istnieje. 2006 r., fot. Adam Gryczyński



Wspomnienia Marii Zderkowskiej z domu Twaróg

Panią Marię Zderkowską poznałem 17 lutego 2006 roku w Grębałowie. Pierwsze nasze spotkanie odbyło się w domu zbudowanym na początku lat 50. ubiegłego wieku przez jej ojca Franciszka Twarogę (1891-1968), kierownika szkoły w pobliskiej Luboczy. Celem wizyty było uzyskanie informacji o jej ojcu, bo pisząc wtedy opracowanie chciałem się czegoś więcej o nim dowiedzieć, ale także o przeszłości Luboczy, małej podkrakowskiej wioski, w której p. Maria spędziła szczęśliwe lata swojego dzieciństwa i młodości.

Interesowały mnie również stare fotografie, których poszukiwałem w ramach nieco wcześniej podjętej akcji „Czas zatrzymany”.

Tamtego mroźnego, zimowego wieczoru udałem się do niej w towarzystwie pana Franciszka Nowaka, zastając tę 86-letnią panią w znakomitej – jak na swój wiek – kondycji. Zaskakiwała nas przez kilka godzin żywotnością, elokwencją i świetną pamięcią wydobytą z życia wzięte szczegóły sprzed kilkudziesięciu lat. Spotkanie miało nastrój radosny, choć w rzece nostalgicznych wspomnień

najczęściej odbijały się postaci, które już dawno od nas odeszły. Pojawiały się też pełne powagi refleksje ale dla przeciwwagi – anegdoty i różne zabawne historyjki. Wskrzeszając je w wyobraźni p. Maria robiła to w sposób na tyle wyrazisty, że atmosfera tak przywołanego, minionego świata zaczęła się stopniowo udzielać słuchaczom. Z nieukrywaną dumą pokazywała fotografie z początku XX w. z rodzinnych albumów, jak i te zrobione całkiem niedawno, na których uwieczniono najmłodsze pokolenie. Odnosiłem wrażenie, że chce się podzielić w tak krótkim czasie – możliwie największą porcją opowieści. Chwilami ta sytuacja wprowadzała ją zresztą w stan lekkiej euforii, zwłaszcza wtedy, gdy wspominała z szacunkiem i wzruszeniem swoich wspaniałych rodziców, matkę chrześną i przyjaciół lub pokazywała strój krakowski, w którym wystąpiła w 1929 roku przed prezydentem RP Ignacym Mościckim w Pleszowie.

Z tym większym smutkiem i niepokojem pół roku potem dotarła do mnie wiadomość, że odniesiony przez nią groźny uraz głowy i ręki (spowodowany upadkiem pod ciężarem chcącego się z nią przywitać psa), nie pozwolił jej odzyskać w pełni sił i zdrowia. Jednak dane mi było jeszcze kilka razy spotkać się z p. Marią, i przeprowadzić z nią krótkie rozmowy. Okazało się to tym łatwiejsze, że bezpośrednie kontakty – mimo dzielącej nas różnicy wieku – doprowadziły w bardzo krótkim czasie do wytworzenia psychicznej więzi, wzmocnionej dodatkowo przez szczerość i romantyczną zadumę nad fenomenem życia. Gorących, a czasem gorzkich tematów do rozmów, dostarczały nam także meandry i zagrożenia egzystencji zdominowanej przez politykę, interesy i bezmierną ludzką chciwość, dla której ogromny świat jest przecież i tak zbyt mały. Wspólne emocje i przeżycia, które towarzyszyły nam od chwili pierwszego spotkania, utrzymywały się zaledwie przez 15 miesięcy, ale wydawało się, że ta nasza znajomość trwała od dawna.

20 kwietnia 2007 roku pani Maria zadzwoniła do mnie do pracy o godzinie 19-tej, i rozmawialiśmy przez prawie pół godziny. Odnosiłem przynębiające wrażenie, że jest w silnej depresji, z powodu powtórnie złamanej ręki, w tym samym zresztą miejscu co poprzednio. Przychodziły jej do głowy „czarne myśli”, ponieważ wielokrotnie powtarzała, że musi się już zbierać na „tamten świat”. Dziękowała jednak za to, że dobry Pan Bóg pozwolił jej dożyć chwili, kiedy współcześni, po latach przemilczenia tematu, zainteresowali się wreszcie historią wsi wchłoniętych przez Nową Hutę, a to dzięki wystawom, książkom i spotkaniom. Uświadamiałem jej, że te wszystkie działania, to przede wszystkim zasługa i sukces ludzi, którzy nareszcie poradzi sobie ze swoją, często ukrywaną latami boleścią i odważyli się pokazać stare fotografie i opowiedzieć o swoim życiu, i o tym co ich spotkało. Tych wszystkich, których młodość przypadła na czasy wolnej Polski, i których potem tak bardzo skrzywdzono. Pocięszalem ją, że właśnie dzięki takim jak ona, przedwojenna historia ludzi z tutejszych wiosek, będąca przez ponad pół wieku tematem tabu, nareszcie mogła do nas przemówić, a dzięki zdjęciom, w zaufaniu udostępnionym z domowych archiwów, wyraźniej unaocznili kształty minionego świata. Staralem się ją pocieszać, dodawać otuchy. Mówiłem, że musimy jeszcze wydać drugą, a może nawet trzecią część „Czasu zatrzymanego”, i że ona koniecznie musi mi w tym pomóc, że jest bardzo potrzebna, że nikt poza nią nie jest już w stanie rozpoznać wielu postaci

na wyblakłych fotografiach. Ale chyba to wszystko na niewiele się zdało, bo ona już w głębi duszy przeczuwała, że to jest jej pożegnanie, że powolutku odchodzi... Jednak potrzebowała tego kontaktu i rozmowy, co być może przyniosło jej odrobinę ukojenia w smutku i rozterce. Ubolewała, że radość oczekiwania związana z bliskim przyjazdem jej syna – prof. Jerzego Zderkowskiego z USA, została zmacona jej powtórny wypadek. Miała jednak nadzieję i snuła plany, że kiedy syn tutaj przyjedzie, to cała rodzina będzie bardzo szczęśliwa.

Nazajutrz rano miałem wyjechać z wystawą „Czas zatrzymany” do Miejskiej Biblioteki Publicznej w Końskich k. Kielc. Na pożegnanie zapewniłem jeszcze panią Marią, że stare zdjęcia z Luboczy oraz jej ojca zostaną tam pokazane, a jego postać i wychowawczą działalność przybliży podczas majowego spotkania z uczestnikami międzynarodowego pleneru fotograficznego „Art-Eko”. Kiedy zatelefonowałem do niej po powrocie dowiedziałem się, że przebywa już ciężko chora w szpitalu. A gdy stamtąd powróciła do domu – na krótko tylko odzyskując przytomność – nie miałem już więcej okazji, aby się z nią zobaczyć, ani usłyszeć jej miłego głosu...

Brakuje tylko...konfesjonu!

Bardzo ciepło wspominam te chwile, które spędziłem u p. Marii w domu lub w ogrodzie, gdzie całe godziny upływały nam jak kwadransy, na oglądaniu starych fotografii i odkrywaniu rozmaitych śladów przeszłości za pomocą książek, zeszytów, czasopism, obrazków, kart pocztowych i bibelotów. Najważniejsze były oczywiście reminiscencje, ale muszę przyznać, że bywałem czasami – na pożegnanie – obdarowany przez nią kwiatami dla mojej żony Oli, a w maju także przepięknie pachnącym bzem, wyhodowanym niegdyś przez jej ojca z jednej gałązki przywiezionej z Luboczy, nie mówiąc już o konsumpcji tak finezyjnych łakoci jak strudel wiedeński, pomagający przecież nie lada umiejętności kulinarnych, w czym wyspecjalizowała się jej córka – pani Hanna Pocięcha. Wspominam także wizytę w towarzystwie mojego syna Kamilka, który z zacięciem przysłuchiwał się dykteryjkom pani Marii, podziwiając przy okazji różne archiwalia i przedmioty, a zwłaszcza duży, zabytkowy fortepian, które jednak przegrywały z małym kotkiem w rywalizacji do świata dziecięcych fascynacji.

Pani Maria zaprosiła mnie kiedyś na spotkanie, i siedząc w chłodnym cieniu drzew, przy stoliku w ogrodzie, zaczęła snuć opowiadania z młodości, kreśląc słowem i gestem barwny, sugestywny, obraz dawnego życia. Niektóre wspomnienia miały bardzo kameralny, niemal intymny charakter. Byliśmy sami, gdy w pewnej chwili, pani Maria nagle przerywając jakiś wątek zwróciła się do mnie: – „A wie pan, że ja tak się teraz tu czuję jak u księdza na spowiedzi? Brakuje tylko...konfesjonu!” Speszony nieco tym zaskakującym wyznaniem, lekko uśmiechnąłem się do niej w oczekiwaniu na kontynuowanie rozpoczętego tematu, lecz prędko zauważyłem, że zrobiona dygresja przestawiła jej myśli na inny tor. Teraz już wiem, że będąc u schyłku życia chciała podzielić się z kimś okruszkami tych wspomnień, jakie pozostawiły po sobie trwalszy ślad. Lecz nagle, pani Maria w pół zdania zamilkła, a moje kolejne, jeszcze większe zdumienie wywołało stopniowe oddalanie się tej kobiety, siedzącej jak dotąd spokojnie na krześle. Zanim zorientowałem się o co chodzi, moja rozmówczyni o mało nie runęła do tyłu na ziemię, wskutek – jak się potem okazało – osunięcia się jednej z nóg siedziska wprost do niewielkiej ziemnej dziurki, wygrzebanej zapewne przez jakąś myszkę mieszkającą w ogrodzie. Na szczęście udało się wtedy w ostatniej chwili zapobiec upadkowi...

Najbliższa rodzina

Babcia pani Marii Zderkowskiej pochodziła z Wesołowskich z Rdzawy, gdzie posiadali dworek, natomiast dziadek; Kacper Twaróg był górale przybyłym za chlebem spod Rabki (przez długie lata był stangretem u hrabiego Mycielskiego w Łuczanowicach), a ożenił się z Marią z domu Wójcik, pochodzącą z Węgrzynowic. Mama pani Marii Zderkowskiej – Teresa z domu Starkel, mimo, że z pochodzenia hrabianka, po ukończeniu w Wiedniu austriackiej szkoły powszechnej, a później seminarium nauczycielskiego została z przekonania nauczycielką i wyszła w 1918 r. za kierownika szkoły w Luboczy – Franciszka Twarogę. Na stawiane jej przez niektórych członków rodziny zarzuty popełnienia megalomanii bez chwili wahania odpowiadała: „Moja sfera teraz, to dzieci, które uczę”. Jej dwie siostry – młodsza Jadwiga i najmłodsza Zofia, także zostały absolwentkami tego seminarium, ale poza krótkim okresem pracy nauczycielskiej podjętej przez Jadwigę, te panie powychodziły dość bogato za mąż, nie musząc się podejmować jakiegokolwiek pracy. Jadwiga jednak została w latach 20. szefową kadr w filii zakładu „Fitzner – Gamp – Zieleniewski” w Sosnowcu. Mówiono o niej, że jest tam „wielką figurą”, ponieważ będąc szefową kadr przyjmowała do pracy ludzi oczekujących nieraz przed jej biurkiem w długiej kolejce. Była na tym odpowiedzialnym stanowisku bardzo lubiana i ceniona za sumienność i łagodne usposobienie. Posiadała przy tym szczególny dar: intuicję „wychwytywania” najlepszych, spośród oczekujących na pracę. Obie ciotki pani Marii były bardzo zamożne, stać je było na wczasy w dowolnym miejscu w Europie, najchętniej przyjeżdżały jednak

na wakacje, nawet na cały miesiąc do Luboczy, którą wprost uwielbiały. Z Katowic przyjeżdżała Zofia z mężem Franciszkiem Karpińskim, poznaniakiem, który był jednym z dyrektorów w katowickiej filii holenderskiego Philipsa oraz z synkiem Jędrkiem, a druga z siostr – Jadwiga także nie opuściła żadnej nadarzającej się okazji, aby odwiedzić swą siostrę Teresę i szwagra, tym bardziej, że była matką chrzestną ich córki Marysi. Na urlopy całe to towarzystwo przyjeżdżało właśnie do szkoły w Luboczy, gdzie rozlokowywali się w dużym pokoju, w którym stał stół z krzesłami, kredens, szafa, kwietnik i fortepian. Pani Teresa Twarogowa, mama Marysi, układała tam zazwyczaj na podłodze nie pogiętą słomę i przykrywała pościelą, której było tam pod dostatkiem, a wówczas „nikomu już nic więcej, do szczęścia nie brakowało”. Mówiono: „gdzie nam wyjeżdżać, skoro tu jest tak dobrze!” Pomagała jej w tych przygotowaniach Barbara Ciesielska – pomoc domowa, traktowana zresztą jak członek rodziny, siostra późniejszego opata cystersów w Mogile – Augustyna Ciesielskiego.

Jadwiga Modlińska z domu Starkel

Po pewnym czasie do Luboczy zawitał niedoszły narzeczony Jadwigi – Kurt Frank (mówiono na niego Kazimierz lub Kurt), pół Polak – pół Niemiec. Jego postać wiąże się z nieszczęśliwą historią życia Jadwigi, godnej zapewne odrębnej opowieści. Otóż Jadwiga z domu Starkel (1893-1932), kiedy już dorosła najpierw pokochała z wzajemnością swego dalekiego kuzyna Tadeusza B., był on jednak niewierzący, a na dodatek wyśmiewał się z religii nie chcąc przystąpić do sakramentu małżeństwa, co Jadwiga traktowała jako niezbędny warunek zamążpójścia. Miłość ich, pomimo, że wzajemna i płomienna napotkała na przeszkodę nie do przebycia, co dodatkowo utrudniało pochodzenie z wyższych sfer i ostentacyjne manifestowanie tego przy każdej okazji za strony rodziny jej narzeczonego.

Tu mała dygresja: gdy na pewien ślub tamta rodzina zapraszała gości, zwrócono się do jej siostry, Teresy Twarogowej w te słowa: „Telesiu, ty jesteś biedna, bo wyszłaś za nauczyciela, nie miałabyś nawet odpowiedniej sukienki aby się porządnie ubrać” – wówczas Teresa obraziła się, i „wszystko się z nimi skończyło”. Jadwidze także nie spodobał się ten przytyk skierowany do jej siostry. Jednak gdy w czasie wojny panowała u nich po-
tworna bieda (w 6-osobowej rodzinie był biolog i architekt lecz nie mieli żadnej pracy) i przymierali głodem, Franciszek Twaróg na wieść o tym, podejmując duże ryzyko, wynajął w Luboczy furmankę z koniem, załadował ziemniaki, mąkę, jabłka, miód i posłał to wszystko dla nich, do Krakowa do tego wielopokojowego mieszkania, gdzie wcześniej był wraz z żoną tak źle widziany. Od tamtej chwili został już „kochanym Franusiem”.

Po śmierci swoich rodziców Jadwiga, dysponująca pewnym majątkiem, była jednak zależna od swych prawnych opiekunów, którymi zostali właśnie opisani rodzice Tadeusza B. Ten jednak wciąż nie dopuszczał do głowy myśli, że nie zdobędzie ręki Jadwigi, „bo kochał się w niej straszliwie”, i w czasie rozłąki, każdego bez wyjątku dnia słał jej najpiękniejsze kartki pocztowe jakie tylko można było zdobyć. Zebrały się ich setki, co świadczy o dość długim okresie ich znajomości. Gdy kończyła się inwencja albo czasu brakowało, Tadeusz słał do narzeczonej kartkę za kartką, choćby tylko z datą i adresem, ale wysyłał je codziennie. Jadwiga pozostała mimo to w swym postanowieniu niewzruszona, i do jej małżeństwa z Tadeuszem nigdy nie doszło, a „miłość akademicka” – z czasem wypaliła się. Jego rodzice chcąc się wywiązać z nałożonego układem rodzinnym zobowiązania, wydali Jadwigę w 1920 r. za mąż, za człowieka szlachetnego, religijnego, a zarazem bardzo majątnego – niejakiego Modlińskiego. Nieszczęście nie opuszczało jednak Jadwigi nadal, bo Modliński na drugi dzień po ślubie dostał częściowego wylewu krwi do mózgu i został sparaliżowany od nóg do pasa, nie mógł się w ogóle poruszać, o obowiązkach małżeńskich nie wspominając. Przeleżał tak biedak będąc pod troskliwą opieką żony i personelu zakładu opiekuńczego u Helców w Krakowie przez 12 długich lat, nie podnosząc się wcale z łóżka, z postępującym w górę ciała paraliżem. Pobył w tym zakładzie kosztował go krocie, ale dzięki temu przedłużył sobie życie o wiele lat. Odziedziczył po swych przodkach z Francji tytuł barona i znaczny majątek. Zanim zmarł na nadciśnienie w 1930 r., udzielił zgody na rozwód i powtórne małżeństwo swej żony ze wspomnianym wcześniej Kurtem Frankiem, nieprzytomnie zakochanym w Jadwidze zastępcą dyrektora fabryki gdzie ona pracowała, i gdzie się poznali. Modliński nie podnosił się wcale z łóżka ale był całkiem świadomy. Często odwiedzany przez żonę mówił do niej: – „Słuchaj Jadziu, to przecież jest niemożliwe, abyś ty zmarnowała przy mnie całe swoje życie. Zwalniam cię z przysięgi wierności małżeńskiej – daję ci wolność”. Jadwiga z czasem obdarzyła uczuciem Kurta Franka, lecz będąc osobą wierzącą i wrażliwą nie chciała pozostawiać męża na łasce losu, w życiowej samotności, i jego propozycję za każdym razem odrzucała tym bardziej, że jakaś jej ciotka przypominała: – „Nie, nie opuścisz go, przecież przysięgałaś aż do śmierci!”.

Nie było to jednak potrzebne, bo Jadwiga i tak nie chciała wyjść za Kurta Franka. Mawiała: „Dopóki mąż mój żyje, możemy być tylko przyjaciółmi, ale o » tym « nie ma mowy”. Była autentycznie zrozpaczona chorobą męża.

najbardziej w początkowym okresie ich związku. Z czasem, jako kobieta bezdzietna i pozbawiona naturalnych obowiązków wypływających z roli matki, próbowała sobie znaleźć jakieś dodatkowe zajęcia, tym bardziej, że była bardzo ciekawa świata, zaradna i aktywna. Pani Maria opowiadając o niej mówiła, że „była łagodna i miała złote serce, ale i nieszczęśliwe życie, bo zaraz gdy kogoś pokochała, to pojawiały się i piętrzyły nie do pokonania przeszkody”.

Jadwiga dziecka uwielbiała muzykę, więc przywoziła ze sobą do Luboczy patefon i kolekcję płyt, które wieczorami słuchano przy otwartym oknie, ku uciesze wiejskiej gawiedzi zbierającej się nieopodal na drodze. Drugim jej hobby była fotografia, którą uprawiała z prawdziwą przyjemnością robiąc przede wszystkim zdjęcia rodzinne. Po wywołaniu klisz naświetlała później papiery w tzw. kopioramce w dziennym świetle, i samodzielnie obrabiała je w domu. Na zachowanych zdjęciach Modlińskiej oprócz członków najbliższej rodziny znajdują się także postacie, które pani Maria Zderkowska po około 70-ciu latach identyfikowała i wymieniała bez trudu: Kurt Frank, ksiądz Jan Skarbek i ksiądz Franciszek Korzonkiewicz z Pleszowa, ojciec z zakonu oo. Kapucynów, wuj Wesołowski, sportowiec, narciarz”), Felicja Galiszkiewicz – nauczycielka, pan Józef Bęben – nauczyciel, pani Łukaszewicz – żona dyrektora, Barbara Ciesielska – pomoc domowa, Rogowski – syn kierownika szkoły w Branicach, bratanek pani Oliwianki, która zginęła w Oświęcimiu za przechowywanie Żydów, pani Sikorska... Na zdjęciach często pojawiały się także dziewczynki: Władzia Krupianka z Luboczy, Jagusia Ciesielska z Pleszowa-Kujaw, Wikta Błachówna z Grębałowa i wiele innych, które odwiedzając Marysię Twarożankę, stawały się przy okazji wdzięcznym obiektem zainteresowań fotograficznych jej cici. Jadwiga Modlińska będąc matką chrzestną Marysi Twarożanki zawsze przywoziła jej jakieś sukienki, trzewiki, lalki, wózek i wiele innych zabawek. Jadwiga mieszkała w Sosnowcu – i jak się po latach okazało – dokładnie na tym samym, niewielkim osiedlu, co rodzice przyszłego męża Marii – Romana Zderkowskiego, z którym prawdopodobnie w czasie odwiedzin swej cici bawiła się nawet na podwórku, nie wiedząc, że kiedyś zostaną małżeństwem. Znacznie częściej niż ona w Sosnowcu, pojawiała się jednak w Luboczy jej ciocia wraz z pozostałymi gośćmi... „To były niezwykle uroczne tygodnie, gdy oni do nas przyjeżdżali, było cudownie!” powtarzała z błogim uśmiechem na twarzy pani Maria. Opowiadała: „Tatusz wynajmował dość często konie, bryczkę i odwiedzaliśmy w Pleszowie rodzinę jego brata Jana, który był kierownikiem tamtejszej szkoły albo składaliśmy wizytę u zaprzyjaźnionego z nami księdza proboszcza Jana Skarbka, a gdy odszedł, to ksiądz Franciszek Korzonkiewicz. Urządzaliśmy także wycieczki do Ruszczy, Dojazdowa i wielu jeszcze innych miejsc, gdzie robiono fajne zabawy i ogniska, a w zimie kuligi”. Po powrocie z wycieczek i kolacji niedoszły narzeczony Jadwigi Modlińskiej – Kurt, zazwyczaj wspaniale koncertował na fortepianie (na przemian z Teresą Twarogową), lub namiętnie grywał ze wszystkimi w szachy, a nawet uczył tej królewskiej gry dzieci wiejskie.

„Mieliliśmy wtedy dwa psy” – opowiadała pani Maria. Jeden był wielkim dogiem i nazywał się „Reks”, a drugi, zupełnie maleńki wabił się „Pypciu”. Dzieciom przychodzącym do szkoły nie robiły żadnej krzywdy, były od małego dobrze ustawione i nie było mowy, aby kogoś „szarpnęły” i zaatakowały. Gdy tylko Kurt zaczynał grać na fortepianie, to te psy gdziekolwiek by się nie znajdowały (bo się je spuszczało z łańcucha), za chwilę wchodziły pod fortepian i słuchały muzyki razem z domownikami, a dopóki on grał, dopóty one tam leżały.

Pod fortepianem stały zazwyczaj olbrzymie dymiony z winem agrestowym, porzeczkowym, śliwkowym i ja-
błecznik, więc czasem musiały między sobą te psy dyskretnie powalczyć o miejsce.

Kurt przyjeżdżał wraz z Jadwigą z Sosnowca do Luboczy nie tylko na urlopy, ale także na każde większe święto, i kiedy się tu znalazł, bardzo lubił – od czasu do czasu – pojechać „kocmyrzówką” (koleją łączącą Kraków z Kocmyrzowem) do dawnej stolicy Polski, by tam pozwiedzać zabytki i pospacerować po Rynku i Plantach.

Na te wycieczki udawał się najczęściej samotnie, nie licząc towarzyszących mu w drodze na stację znajomych psów: „Reksa” i „Pypcia”, które idąc w parze, z racji znacznej różnicy swej wielkości wyglądały „szalenie zabawnie”. Ale zanim Kurt dotarł na pociąg, musiał pokonać drogę na piechotę z Luboczy przez Błonia do Grębałowa, którą bardzo uwielbiał, bo dookoła była wspaniała przyroda i rozciągał ciekawy krajobraz, którym był nieustannie zachwycony. „Po co mi jechać do Ameryki na Florydę?” – mawiał, i nie były to tylko puste słowa, bo był bardzo zamożny, i bez problemu mógł pojechać tam, gdzie tylko by zechciał.

Kurt wracał z Krakowa pociągami o godzinie 15-tej, ale już pół godziny wcześniej oba znajome psy wybiegały z domu na stację, gdzie go cierpliwie oczekiwały. Miały jakiś niesamowity instynkt i wyczuć czasu, a tym zachowaniem udawały, że były z nim bardzo zaprzyjaźnione.

Kurt Frank przyjeżdżał wspólnie z Jadwigą do Luboczy przez wiele lat, ale kiedy po 12 latach pobytu w zakładzie u Helców zmarł na skutek nadciśnienia, na wylew krwi do mózgu jej mąż – pan Modliński, postanowili

się wreszcie pobrać. Po okresie rocznej żałoby była już nawet wyznaczona data ich ślubu: 12 marca 1932 roku. Jednak Jadwiga odczuwając pewne dolegliwości (guz) postanowiła poddać się jeszcze przed zamążpójściem operacji w prywatnej klinice Dra Gasińskiego. Operacja była bardzo kosztowna (2,5 tys. złotych plus opłaty za przedłużony pobyt w szpitalu), jednak dla jej narzeczonego – Kurta, nie stanowiło to żadnego problemu, a po zabiegu, gdy Jadwiga zamierzała się z nim udać do domu, przyjechał po nią rozradowany, z bukietem pięknych kwiatów. Samochód z szoferem stał przed kliniką, a Kurt długo oczekiwał na swą wybrankę, którą jeszcze przed wypisem miał powtórnie przebadać właściciel kliniki, chirurg Gasiński. Pobyt Modlińskiej był jednak przedłużony, bo coś budziło niepokój lekarzy. Dr Gasiński badał ją jeszcze tuż przed wyjściem, dotykał nogi, która była lekko opuchnięta, sprawdzał ciśnienie. Ale w końcu powiedział: – „Może Pani opuścić klinikę, jest pani zdrowa”. Jadwiga słysząc to ucieszyła się, a w chwilę potem, chcąc się przebrać do wyjścia, usiadła na skraju łóżka aby zdjąć przez głowę koszulę, uniosła ręce do góry, i... w tej samej chwili osunęła się upadając na podłogę. Natychmiastowa pomoc nie przyniosła żadnego efektu i pacjentka zmarła w obecności lekarza i swojego narzeczonego, którego trzeba było ratować, bo na zmianę; to szalał z rozpacz, to znów tracił przytomność. Potem okazało się, że Jadwiga dostała zawału mózgu na skutek powstania zakrzepu krwi. Zmarła mając zaledwie 39 lat. Po jej śmierci Kurt Frank nie odzyskał równowagi psychicznej i do swojej dyrektorskiej pracy już nie powrócił. Wciąż rozpaczał, żyć mu się nie chciało, i zmarł w trzy miesiące po ukończeniu.

Zofia i Franciszek Karpińscy

Druga ciocia pani Marii – Zofia Karpińska, była bardzo wesoła, śpiewała frywolne piosenki, i opowiadała pikantne kawały, co jej się czasami zdarzało nawet w poważnym towarzystwie. Pani Maria uważała, że człowiek musi się czasem pośmiać i opowiedziała taki zasłyszany dowcip: „Siedzą sobie trzy żony u jednej z nich w pokoju i opowiadają o swych mężach. Pierwsza mówi: – Mój mąż nie byłby taki zły, gdyby nie to, że jest alkoholikiem. Druga na to: – Z moim gorsze mam kłopoty, bo lubi kobiety, straszny z niego babiarz, i wciąż mnie zdradza. A trzecia mówi: – Mój mąż jest bardzo dobry, ale niestety jest syfilitykiem. A z drugiego pokoju dobiega głos: – Tyle razy ci mówiłem, że nie syfilitykiem tylko filatelistą!”

Z wujkiem Franciszkiem Karpińskim, mężem Zofii, także wiązały się śmieszne historie. Był człowiekiem ze wszech miar solidnym, a w pracy poważnym za fachowość i nienaganne obyczaje. Jednak kiedy przebywał na urlopie w Luboczy prawdopodobnie chciał odreagowywać to wszystko, co było dla niego sztywnym kanonem zachowań w miejscu pracy, gdzie był jak już wspomniano – dyrektorem. Wynajdował sobie i innym rozmaite zajęcia: zabawy z dziećmi, psami, gry na podwórku i w domu, zabawy na huśtawce, bliźsze spaceru i dalsze wędrówki etc. Bardzo chętnie pomagał też przy pracach polowych np. zbieraniu siana na łące przed burzą czy zbiorze owoców, których w sadzie nigdy nie brakowało. Niecodziennym jednak zajęciem, któremu się oddawał co roku, było pogłębianie rowu odprowadzającego wodę przed domem. Od stojącej na podwórku studni, ze świetną – jak mawiano – wodą, zawsze ciekła jej malutka strużka, która niosąc piasek, a w czasie deszczu drobne kamyczki zamulała pobliski rów z wodą. Franciszek bardzo lubił czyścić ten rów. Robił to zawsze „na bosaka” podwijając jednocześnie spodnie do kolan i ubierając na siebie dość mocno sfatygowaną odzież używaną zazwyczaj „do ogrodu”. Pewnego razu, gdy tak kopał z wielkim zapałem, ubrudzony wielce, nieoczekiwanie podjechał ekskluzywny samochód i wyszedł z niego elegancki kierowca i pyta: – „Gospodarzu, czy nie wiecie gdzie tu jest z Katowic, taki pewien dyrektor?” – „A to właśnie ja jestem” – odpowiada Franciszek. Kierowca niemal się załamał, popatrzył na niego z niedowierzaniem, ale mówi: – „Panie dyrektorze, przyjechali do firmy szefowie z Holandii, proszę natychmiast jechać ze mną do Katowic”. Franciszek ledwo zdążył się przebrać i umyć. Łazienki co prawda wtedy nie było, ale na szczęście na piecu kaflowym stał olbrzymi gar cynowy, w którym zawsze było pod dostatkiem gorącej wody, więc z porządną kąpielą w balii nie było problemu. Robiło się odpowiednią mieszankę, dolewając w razie potrzeby zimnej wody konewką służącą zazwyczaj do podlewania kwiatów, i jeden drugiego polewał przy myciu.

W następnym roku ten sam człowiek, który wówczas przyjechał do Luboczy został osobistym kierowcą Franciszka Karpińskiego, i przyjeżdżał odtąd razem z nim, jego rodziną i nianką synka Jędrka. Nazywał się Gazda, a okoliczne dzieci, które czasami dla frajdy woził za przyzwoleniem Franciszka, uradowane wołały: – „Gazu panie Gazda, gazu panie Gazda!”. Samochód był obszerny, mieściła się w nim niemal cała przybyła na urlop rodzina, która robiła wycieczki do pobliskich wiosek, ale też dalej: do Proszowic, Krakowa lub Puszczy Niepołomickiej. To było przed II Wojną Światową, a gdy ona wybuchła, Franciszek Karpiński został zmobilizowany do wojska, gdzie poszedł natychmiast, zostawiając w domu żonę wraz z 10-letnim synkiem i zaledwie 2-tygodniową córeczką. Wkrótce jednak dostał się do niewoli, ale udało mu się uciec z oflagu, skąd wrócił do Katowic, a potem bojąc się

że będą kłopoty (w międzyczasie jego syn, mimo polskiego pochodzenia dostał nakaz wstąpienia do organizacji „Hitlerjugend”), przeniósł się dzięki pomocy znajomych Holendrów wraz z całą rodziną do Warszawy – „poszedł z deszczu pod rynnę” – jak rzekła pani Maria. Po upadku Powstania Warszawskiego, 4-osobowa rodzina Karpińskich przyjechała do Twarogów do Luboczy, gdzie mieszkali przez wiele miesięcy, póki Franciszek nie dostał posady. Po wojnie pracował w stołowie „U Literatów”, u p. Kwiatkowskiego przy ulicy Krupniczej w Krakowie.

Coś wyniosła i ma to do dziś

Pani Maria jeszcze przed wojną ukończyła w Krakowie X liceum o profilu humanistycznym, z którego – jak z przekonaniem twierdziła – „coś wyniosła i ma to do dziś”. Uważała, że było świetnie prowadzone, wręcz „genialnie”. Wspominała: „W naszej klasie były trzy Żydówki, i jeżeli ktoś będzie mówił, że Polacy są antysemitami, to ja widzę jedną możliwość; odwinąć rękę i trzepnąć w mordę! – przepraszam za wyrażenie. Nie było między nami żadnej różnicy! Ja byłam proszona do nich na szabas. Ojciec jednej z nich był adwokatem, matka lekarką – szalenie bogaci ludzie. No i ta Fela mówi: – Słuchaj, mamusia z tatusiem zapraszają cię na jutro, na szabas. I szłam na ten szabas, siedziałam przy tych świecach i nie czułam się w żadnym wypadku inna w czymkolwiek”.

Ksiądz, który zniósł jajko

Przed wojną przychodził na piechotę z Pleszowa uczyć dzieci religii do szkoły w Luboczy młody wikary, ksiądz Zbigniew Puzyna, krewny Jana Puzyny – kardynała. Był bardzo gorliwy, ale nie bardzo jeszcze umiał sobie z dziećmi radzić na lekcjach, prosił więc nieraz o pomoc Teresę Twarogową, która choć kochała dzieci, to jako nauczycielka potrafiła być czasem bardzo „ostra”. Wpadała wtedy do klasy, tłukła mocno linijką o blat stołu, i uniesionym głosem, prawie z krzykiem karmiła i upominała dzieci, które już do końca lekcji siedziały cicho w ławkach bojąc się nawet pisnąć, a wikary mógł bez przeszkód prowadzić dalej zajęcia. Kiedyś zdarzyło się, że po przyjeździe z Pleszowa, w pośpiechu nie zdążył zjeść w całości drugiego śniadania przygotowanego mu przez panią Teresę. Udając się na lekcję religii schował do kieszeni w sutannie ugotowane na twardo jajko, które w pewnym momencie wypadło mu wprost spod sutanny na podłogę, na sam środek szkolnej sali wprawiając małe dzieci w zupełne osłupienie, które po chwili, gdy ochłonęły, zaczęły wołać gremialnie: „Ksiądz zniósł jajko!, ksiądz zniósł jajko!”

Idź sobie

Pani Maria wiedząc, że interesują mnie anegdoty i opowieści, telefonowała niekiedy, i próbowała opowiadać dawne epizody z jej życia. Ale one rwały się i przenikały z innymi, w przeciwieństwie do tych wysłuchanych niegdyś w ogrodzie w Grębałowie w maju 2006 r. kiedy opowiedziała mi pewną niebezpieczną przygodę, której – jak mnie zapewniła – oprócz dwóch przyjaciółek z młodości, nie wyjawiała nawet swoim rodzicom. Wydarzenie to miało miejsce późną wiosną 1940 r. na polnej drodze do Prus – wioski sąsiadującej z Luboczą.

W czasie nabożeństw majowych przystępowało się do spowiedzi i komunii św., a do Luboczy przyjeżdżał z posługą duszpasterską pewien ksiądz z Pleszowa, którego dobrze znała, nie tylko z racji udziału w życiu religijnym, ale i spotkań w ich domu, gdzie był częstym gościem na świątecznych obiadach, podczas których omawiano różne sprawy. Bywało, że odwiedzał ich także dla relaksu, jako partner jej ojca do gry w szachy lub karty. Słowem był człowiekiem dobrze Marysi znanym, a nawet „zbyt dobrze” – jak się wyraziła, aby akurat u niego się wypowiadać. Może dlatego, a może trochę z przekory, dziewczyna postanowiła, dowiedziawszy się wcześniej o przybyciu innego księdza do kaplicy w Prusach, uczestniczyć tam, wraz z najbliższymi koleżankami w nabożeństwach. Feralnego dnia była już po uprzedniej spowiedzi, ale wybierała się ponownie do Prus aby wziąć tym razem udział we mszy i przystąpić do komunii św. Takie wyjścia były też okazją do spotkań towarzyskich, postanowiła na tę uroczystą okazję po raz pierwszy założyć piękną, niedawno uszytą, białą sukienkę. Suknia była z jedwabiu, otrzymanego jeszcze przed wojną przez jej ojca z fabryki w Milanówku, w zamian za kontraktowane dostawy surowca pochodzącego hodowli jedwabnika morwowego w której się od lat specjalizował. Przygotowanie nowej kreacji i różnych dodatków przeciągało się jednak, i oczekujące dotąd na podwórku koleżanki udały się w drogę do kaplicy w Prusach. – „Dogonię was!”, krzyknęła za nimi Marysia przez okno czesząc włosy, dodatkowo nie mogąc w pośpiechu odnaleźć swojej torebki. Kiedy mniej więcej po 2 kwadransach znalazła się – idąc na skróty – pośród rozległych pól w połowie drogi, ujrzała w oddali mężczyznę, który szedł w jej kierunku z górki, mało używaną ścieżką. Opowiadając mi o tym zdarzeniu sprzed lat, pani Maria zaznaczyła, iż mimo to, nie bała się wcale, „no bo cóż mi się mogło przydarzyć, skoro we wsi najwyżej złodziej ukradł poduszkę lub kurę”. Poza tym

jako dziewczyna zaprawiona w codziennym, szybkim chodzeniu na stację kolejową w Grebałowie, czuła się dość pewnie i sądziła, że „w razie czego” ucieknie. Zatem niczego złego się nie spodziewając, uprzejmie ustąpiła starszemu nieznajomemu drogi, robiąc krok na bok. Skromnie spuściła wzrok i nie zdążyła mu się nawet dobrze przyjrzeć, gdy nagle poczuła zniewalająco silny uścisk jego szorstkich dłoni na swojej delikatnej szyi. Nie zdołała nawet głośniej krzyknąć, ale ponieważ dawno straciła z oczu swoje przyjaciółki, a w pobliżu nikogo nie było, więc i tak nie miałby kto przyjść jej z pomocą. Zrozumiała z przerażeniem, że w tej sytuacji może liczyć tylko i wyłącznie na siebie. Zaczęła się wyrwać, walczyć i drapać pazurami zwalistego napastnika, który przewrócił ją w rosnące wokół zielonkawie jeszcze zboże, zaciskając coraz mocniej palce na jej krtani i przygniatając do ziemi swoim ciężarem. Broniąc się rozpaczliwie czuła, że gwałtownie zaczyna brakować jej oddechu. Złoczyńca jedną ręką nadal ją dusił, drugą zaś usiłował zerwać z niej sukienkę. Marysi przed oczyma zawirowały czarne plamy, zaczęła tracić przytomność lecz ostatnim wysiłkiem wypowiedziała w myślach te słowa: – „Dziękuję Ci Boże, za to, że jestem choć po spowiedzi, a gdy stanę dziś przed Twym tronem, to bądź dla mnie łaskaw!” I w tej samej chwili poczuła, że ucisk słabnie, mężczyzna powoli zsuwa się z niej, w końcu puszcza ją całkiem, powstaje i po chwili mówi: – „Idź sobie”. Dziewczyna będąc w wielkim szoku, po zaczerpnięciu kilku łyków powietrza także powstaje z ziemi, i zamiast rzucić się do ucieczki, zaczyna się wkoło rozglądać; gdzie tu jest jej zgubiona podczas szamotaniny torebka. Po chwili, nie zwracając uwagi na bandziora, odnajduje nieopodal w zbożu otwartą torebkę, lecz bez zawartości. Szuka więc nadal: lusterka, puderniczki, chusteczek... W pewnej chwili uświadamia sobie, że pomaga jej zbierać te przedmioty do torebki jej niedoszły zabójca. Sprawiał wrażenie, że był tym zdarzeniem także oszołomiony, a Maria, po znalezieniu wszystkich (sic!) pogubionych wcześniej rzeczy, udała się w mocno zazielenionej młodym zbożem i ubrudzonej ziemią sukience wprost na mszę św. do kaplicy, gdzie w przytłumionym świetle zdążyła jeszcze w ostatnim momencie przystąpić do komunii. W drodze powrotnej opowiedziała zaniepokojonym, najbliższym przyjaciółkom o tym, co ją w drodze spotkało. Gdy przybyli do Luboczy, zmierzchało już, a Maria chcąc ukryć przed rodzicami niedbały wygląd, a zwłaszcza pobrudzoną suknię – weszła ukradkiem do domu i już nigdy, aż do tej chwili nikomu nie wyjawiała tego sekretu. Wkrótce po tamtym napadzie przeczytała notatkę w gazecie, że granatowi policjanci złapali w okolicy Prus mężczyznę, który popełnił tam jakieś morderstwo. Rysopis jednoznacznie wskazywał na tego samego człowieka, który skrzywdził naszą bohaterkę. Okazało się, że zabójca ten wyszedł na wolność wypuszczony przed kilkoma dniami przez Niemców, z więzienia w Wiśniczu, gdzie odsiadywał wieloletni wyrok za gwałt i morderstwo.

Wypadek dziecka, który ocalił ludzi

Z późniejszym okresem okupacji wiązał się jeszcze inny dramatyczny epizod, świadczący jednak o tym, że czasami „nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło”. Zdarzenie opowiada o tym, jak wypadek niemowlęcia przyczynił się prawdopodobnie do uratowania życia wielu osób. Nadmienimy, że pani Maria po wyjściu za mąż i urodzeniu syna Jerzego, mieszkając nadal wraz z mężem i swoimi rodzicami w szkole w Luboczy, była zatrudniona w krakowskiej filii Przedsiębiorstwa „Las”. Otóż w kwietniu 1943 r., przed wyjazdem do pracy podczas robienia śniadania jej 9-cio miesięczny synek Jerzy doznał poważnych oparzeń od wylanej na jego nóżki herbaty. Poparzone dziecko wymagało natychmiastowej pomocy lekarskiej, bo ściągnięte rajtuzy schodziły wraz ze skórą. Wypadek dziecka niesamowicie komplikował fakt zapowiedzianej przez Niemców poprzedniego dnia kontroli w księgowości przedsiębiorstwa, którą prowadziła właśnie pani Maria. Doprawdy trudno jest sobie wyobrazić rozterkę kobiety, która obowiązkowo musi pojawić się w pracy na określonej godzinie, a z drugiej strony chce uratować swoje poparzone dziecko. Najbliższy lekarz był aż w Kocmyrzowie – to było za daleko, by tam pojechać a jednocześnie zdążyć na czas do pracy. Jej ojciec – Franciszek – decyduje się jechać po doktora wynajętą ze dworu bryczką wraz z końmi, a Maria z trwogą pozostawia płaczące z bólu i strachu dziecko w domu pod opieką swej matki. Nie wiedząc, czy zobaczy jeszcze przy życiu swe dziecko, udaje się wraz z mężem Romanem na stację kolejową w Grebałowie, by dojechać stamtąd do Krakowa. Na skutek przeciwności losu, które spotkały ich z rana spóźniają się jednak na „kocmyrzówkę”, i zamiast o 7-mej godzinie wyjeżdżają o 9-tej. Później okazuje się, że to uchroniło ich od wywózki do obozu w Oświęcimiu, gdyż była na pośredniej stacji na Grzegórkach łapanka, którą Niemcy urządzili tego dnia o świcie. Pierwszy pociąg pojechał z ludźmi wprost do Oświęcimia, a oni dotarli do miasta szczęśliwie, już tym następnym. Gdy pani Maria weszła w pracy do swego pokoju, z przerażeniem stwierdziła, że oprócz jej zwierzchnika, czeka już na nią dwóch Niemców, niecierpliwie siedząc przy biurku i popijając herbatę. Rozpoczęła się dokładna kontrola dokumentów, pogłębiała ciężką atmosferą strachu, ponieważ w przedsiębiorstwie „Las” było wtedy wielu fikcyjnie zatrudnionych uciekinierów ze stolicy, tzw. „martwych dusz”, w tym kilku profesorów wyższych uczelni. Rewizję ułatwiał znacznie fakt jej znajomości języka niemieckiego, odpowiadając bowiem na ich pytania, zręcznie kamuflowała te kartoteki i wykazy, które w żadnym wypadku nie mogły

się stać przedmiotem kontroli, gdyż skutkiem tego byłoby niechybne uwięzienie lub nawet śmierć ukrywających się osób. Gdy nadszedł najgorszy moment i pani Maria pomyślała, że Niemcy odkryją tajemnice prawdziwej ewidencji – zadzwonił telefon. Odebrała go wystraszona. W słuchawce odezwał się głos jej ojca Franciszka Twaroga, a Maria płacząc do słuchawki zapytała: „Czy żyje?”. „Ależ tak!” – odpowiedział ojciec – „Nawet się uśmiecha” – dodał. Jej ojciec telefonował z poczty w Pleszowie, gdzie dotarł na piechotę z Luboczy pokonując – już po udzieleniu dziecku pomocy przez lekarza i jego zabandażowaniu – wiele kilometrów. Donosił jej uradowanym głosem, że po przyjeździe do domu lekarz stwierdził u jej synka Jureczka niezbyt groźne, powierzchowne obrażenia, które znacznie gorzej wyglądały niż były w rzeczywistości. Pani Maria doznała prawdziwej ulgi: oto jej ukochany synek będzie żył, a rany zbliznią się nie pozostawiając większych śladów na jego ciałku. O! jakże czekała na tak dobre wieści. Dziękowała za to wszystko Panu Bogu i nie potrafiła w żaden sposób ukryć swoich głębokich emocji, pomimo tego, że w zawieszeniu pozostawała jeszcze sprawa kontroli fikcyjnych kartotek, których wykrycie mogło skutkować aresztowaniem, a nawet śmiercią wielu niewinnych osób. Po odłożeniu słuchawki na widełki telefonu usłyszała skierowane przez dowodzącego Niemca pytanie: – „Co się stało?”. Wówczas Maria drżącym jeszcze z przejęcia głosem i ocierając łzy spływające po policzku opowiedziała całe poranne zdarzenie, i to, że dzwonił właśnie w tej sprawie jej ojciec informując ją, że synek przeżyje. – „A ile lat ma twój syn?” – spytał Niemiec.

„Dopiero dziewięć miesięcy” – odpowiedziała Maria. „To prawie tyle, ile ma mój syn...” – zamyślił się na chwilę, a po chwili wydał jej polecenie: – „Niech pani weźmie kartkę papieru, wkręci w maszynę i pisze co podyktuję”. „Wysłał mnie do Oświęcimia!” – przemknęło jej natychmiast przez myśl, „na pewno coś wykrył” – pomyślała. Ale on podyktował jej treść: „Po wnikliwym i obszernym zbadaniu dokumentacji księgowej w tejże firmie stwierdzam, iż żadnych uchybień nie ma”. Maria z niewysłowioną ulgą odetchnęła, a Niemiec najwyraźniej wzruszony zawyrokował dodając: „Powinna pani udać się zaraz do domu. Tam jest dziś pani miejsce – przy dziecku. Właśnie skończyliśmy kontrolę. Wszystko jest w porządku. Niech pani już jedzie.”

Po rosie, po rosie

Franciszek Twaróg ogromnie kochał swojego wnuka Jureczka. Często śpiewał mu do snu piosenkę rozpoczynając się od słów: „Leć głosie po rosie, prosto ku lasowi, powiedz Jureczkowi...” itd.

Lecz miał kiedyś naradę w klasie z innymi nauczycielami, a tu za drzwiami wnuczek płacze w niebogłosy i wrzeszczy w kółko: „po losie, po losie, po losie...”. W pewnej chwili babcia Jureczka – pani Teresa Twarogowa nie mogąc sobie już dłużej z nim poradzić, zmęczona i zdesperowana weszła do klasy, gdzie odbywało się zebranie i poprosiła męża: „Franek – zrób coś! Zaśpiewaj mu wreszcie tę ulubioną piosenkę!”, na co on przepraszył zgromadzonych nauczycieli i zaśpiewał w drugim pokoju do ucha wnukowi kołysankę, po której maluch natychmiast się uspokoił, i można było spotkanie bez przeszkód kontynuować.

Świnia, świnia

W okresie okupacji Jureczkiem opiekowała się, zwłaszcza wtedy gdy jego rodzice byli w pracy – 15-letnia dziewczyna wysiedlona, jak wiele innych osób z poznańskiego, która zamieszkała razem z nimi w szkole w Luboczy. Pani Maria wspominała: „Przyjechała biedna, dosłownie bez niczego. Daliśmy jej zrobić ze skóry buty, bo żadnych nawet nie miała”. Tamta panienska aby jakoś zabawić powierzone jej opiece dziecko, pokazywała mu często różne zabawki, przedmioty i obrazki, ale gdy już się nimi ewidentnie znudziło, to także znaczki z Hitlerem w mundurze wojskowym, mówiąc przy tym szyderczo: „Świnia, świnia...”, a maluch za nią bezwiednie powtarzał to słowo.

W tym samym czasie, przez pół roku w jednej z sal lekcyjnych zakwaterowanych było kilku Niemców. Pewnego dnia, gdy mały Jureczek bawiąc się na podwórku zobaczył jednego z nich wychodzącego z domu w podobnym mundurze, który znał ze znaczka z Hitlerem, wskazał nań rączką i głośno zawołał: – „Świnia, świnia, świnia!”. Rodziców Jureczka – Marię i Romana niemal sparaliżowało ze strachu, bo bali się, że któryś z Niemców może znaczenie słowa zrozumieć, i do końca ich pobytu nie wypuszczali już chłopca na zewnątrz budynku, chyba, że Niemcy wyjeżdżali gdzieś na dłużej.

Nudzi mi się

Z okresu, gdy stacjonowało tam wojsko niemieckie, pani Maria zapamiętała dwóch oficerów, z których jeden był porywczy i zły, a drugi spokojny i dobry. Ten pierwszy o mało raz nie zastrzelił jej mamy, podczas sprzeczki

(początkowo wychowywała się w Wiedniu, gdzie ukończyła szkołę i doskonale mówiła w tym języku), drugi natomiast, jak się okazało był lekarzem i poprosił Teresę Twarogową o pomoc w wyszukaniu domu gdzie mógłby leczyć miejscową ludność, bo jak mówił: „Nudzi mi się”. Poprosił, aby pani Teresa współpracowała z nim jako tłumacz, na co ona dość chętnie przystała chcąc nieść ludziom pomoc. Oficer – lekarz powiedział, że wybierze sobie dom, w którym – gdy będzie miał wolny czas – to zajmie się leczeniem za darmo, a nawet może dać ludziom trochę lekarstw. Po starannych oględzinach wybrał sobie dość biedną chałupkę pani Kru-powej, stojącą naprzeciwko szkoły. Mieszkała w niej wraz z matką szkolna koleżanka Marysi – Władzia, na którą mówiła od dzieciństwa „Baka”. Chałupa choć z ubitym, glinianym klepiskiem zamiast porządnej podłogi okazała się niezwykle czysta i schludna – i o to właśnie Niemcowi chodziło. Zaczął w niej przyjmować i dobrze leczyć chorych, głównie tych najbiedniejszych. Nie brał za to pieniędzy, ale czasem gdy ktoś przyniósł mu za ofiarowane lekarstwa trochę jajek lub kurę, to takie prezenty przyjmował. Po wojnie okazało się, że był Austriakiem, bo przyszedł od niego list z prośbą o zaświadczenie, że nie robił Polakom w czasie wojny krzywdy i że ich leczył. Teresa i Franciszek Twarogowie odpisali mu po niemiecku, dziękując w imieniu mieszkańców za pomoc udzielaną Polakom, którzy byli na co dzień świadkami, a ludzie zachowali go także we wdzięcznej pamięci jako porządnego człowieka.

Oklamywali nas

„Gdy po wojnie nastały czasy Bieruta, to początkowo komunizm nie był taki ostry” – mówiła pani Maria. „Oklamywali nas, że to tak dalej będzie. Bierut prowadził na procesji Bożego Ciała kardynała Wyszyńskiego pod rękę, pod baldachimem – tak się zaczęli komuniści na początku! I myśmy w to uwierzyli, i ci ludzie zdobyli stanowiska, a za chwilę...”

Za kogo pan mnie uważa?

W latach 50. do Franciszka Twaroga przyjechał pewien bogaty „badylarz” – hodowca kwiatów spod Kazimierza Wielkiej, który niegdyś mieszkał gdzieś w pobliżu i chodził do szkoły w Luboczu, ale jej nie ukończył, a teraz koniecznie chciał uzyskać świadectwo 7 klasy, które było mu do czegoś bardzo potrzebne, a prawdopodobnie chodziło o prowadzoną przez niego działalność handlową. Pani Maria była świadkiem, jak natarczywie domagał się wypisania tego świadectwa, oferując jej ojcu sporą sumę pieniędzy, mówiąc, że ma ich teraz naprawdę bardzo dużo, a nauczycielowi także mogą przydać. Mówiąc to, wyciągnął z kieszeni zwitek banknotów, i trzymając go w wyciągniętej ręce, pewnie oczekiwał, że kierownik szkoły je przyjmie. Twaróg najpierw grzecznie, lecz stanowczo odmówił, ale kiedy po raz kolejny to nie skutkowało, zmierzzył delikwenta wzrokiem od stóp do głów, po czym spokojnie lecz dosadnie rzekł: – „Za kogo pan mnie uważa?”, i odwrócił się na pięcie, zamykając drzwi przed nosem przybysza, który pozostał na schodach z głupią miną.

Epilog

Krótki, bo niespełna 2 letni okres jaki upłynął od chwili pierwszego spotkania z Marią Zderkowską przyniósł niestety smutne zakończenia tych opowieści. Jedno takie – o czym już wspomniałem – że pani Maria, latem 2006 roku uległa poważnemu wypadkowi, drugie natomiast, że starą szkołę w Luboczu zburzono, lekceważąc zgłaszane tu i ówdzie postulaty zaadoptowania jej na świetlicę czy klub. Konsekwencje tej pierwszej okoliczności, na którą nałożyła się potem jeszcze inna choroba pani Marii, nie pozwoliły jej już więcej odzyskać dawnych sił i zdrowia. Mimo to, była naprawdę szczęśliwa, że mogła 7 marca 2007 r. uczestniczyć w ważnym i radosnym spotkaniu oraz promocji książek: „Franciszek Twaróg – nauczyciel z Luboczy” i „Czas zatrzymany” w Urzędzie Miasta Krakowa z udziałem Prezydenta Miasta Krakowa Prof. Jacka Majchrowskiego, licznie przybyłych gości i przedstawicieli wiosek z terenu obecnej Nowej Huty. Zmarła przeżywszy 88 lat w dniu 8 października 2007 r. a po uroczystym nabożeństwie żałobnym przy Zmarłej odprawionym w piątek 12 października 2007 r. przez proboszcza z Luboczy, ks. Stanisława Dolasińskiego została odprowadzona na miejsce wiecznego spoczynku na Cmentarzu Rakowickim.

notował Adam Gryczyński



Marysia Twaroganka, ok. 1920 r.



Teresa Twarogowa z córką Marysią, lata 20. XX w.



Przed szkołą w Luboczu, od lewej: Franciszek Twaróg, Feliks Galiszkiewicz, Józef Bęben, Kurt Frank, Marysia Twaroganka, NN., Teresa Twarogowa, ok. 1928 r.



Rodzina Franciszka i Teresy Twarogów, lata 20. XX w.



W drodze do Kocmyrzowa, ok. 1930 r.



Marysia Twaroganka z mamą w ogródku przed szkołą, Lubocza, lata 30. XX w.



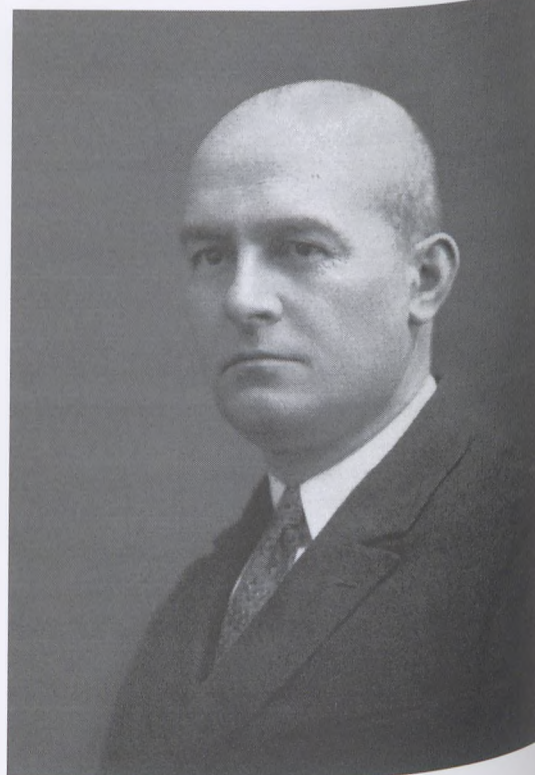
Maria z ojcem w Krakowie, lata 30. XX w.



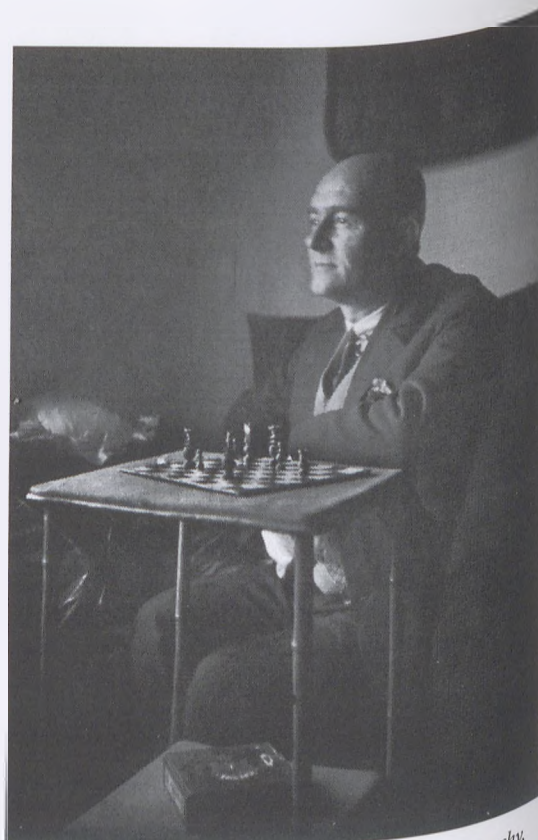
Jadwiga Modlińska z domu Starkel, ok. 1915 r. Jadwidze za-
wdzięczamy piękne fotografie, które wykonywała przebywając
w Luboczy w latach 20. ubiegłego wieku, gdy odwiedzała swoją
siostrę Teresę i szwagra Franciszka Twarogę. Pozostało po jej
twórczości zaledwie kilkadziesiąt odbitek papierowych, nato-
miast płyty szklane z których je robiła uległy całkowitemu znisz-
czeniu ok. 1972 r. podczas remontu dachu szkoły w Luboczy



Józef Twaróg, brat Franciszka i Jana. Przed wojną stacjo-
nował w Brześciu n. Bugiem i Unińcu. Wzięty przez Sowietów
do niewoli zginął w Katyniu w 1940 r.



Kurt Frank, narzeczonny Jadwigi, lata 20. XX w.



Kurt Frank w oczekiwaniu na partnera do gry w szachy.
Lubocza, fot. Jadwiga Modlińska



Zofia (Karpińska), Teresa (Twarogowa) i Jadwiga (Modlińska) Starkelówny, Wiedeń, ok. 1910 r.



Maria z Twarogów i Roman Zderkowski, 18 października 1942 r.

WADÓW



Wadów

...to dawna wieś położona 15 km na północny – wschód od centrum Krakowa; Wieś wzmiankowana już w 1243 r., kiedy to Klemens z Ruszczy zamienił wieś swoją Wadów z komesem Sezemą i jego synem Markiem na polcę w Niegardowie. Osada ta stanowiła początkowo własność szlachecką rodu Gryfitów i podlegała parafii w Ruszczy. Prawdopodobnie w XIV w. była lokowana na prawie niemieckim; w dolinie potoku, w rejonie obecnych ulic Zagościniec i Jaskrowej, wytyczono układ centrum zabudowy, lokując zagrody chłopskie przy dwóch drogach ujmujących wydłużony plac wiejski.

W 1430 r. Spytek z Melsztyna sprzedał Wadów wojewodzie krakowskiemu Janowi z Tarnowa. Z kolei w r. 1452 Jan z Jarosławia, który odziedziczył wieś, sprzedał ją za 1100 grzywien Andrzejowi z Łownicy. Około połowy XV w. powstał w Wadowie folwark, który zajął północno – wschodnią część zabudowy. W 2 poł. XV w. na jego terenie istniał dwór. W 1581 r. wieś liczyła 11 półłanków kmiecych, 3 zagrodników bez roli, 6 komorników bez bydła i 2 rzemieślników; dziedzicem był Mikołaj Jakubowski. Pod koniec XVIII w. wieś liczyła ok. 170 mieszkańców, 26 domów, 19 chałup, znajdowały się w niej dwie karczmy i dwór. W końcu XIX w. Badenowie wzniesli we wsi murowany dwór. Następnie wieś była własnością Zofii Kulinowskiej i prawie do końca II wojny światowej był zamieszkały przez właścicieli. Po wojnie majątek uległ parcelacji.

Widziane z Wadowa

Zapewne, gdy w 1874 roku, w miejscu starego dworu w Wadowie, budowano neorenesansowy dwór zaprojektowany dla Józefa i Heleny z Wężyków Badenich przez Antoniego Łuszczkiewicza, myśłano o siedlisku na lata. Ich herby i dewiza „Z darów Bożych” zdobią jeszcze elewację, ale gdyby ostatnia właścicielka Zofia Kulinowska odwiedziła dziś Wadów, zapewne załamałaby ręce nad jego stanem...

Kulinowska została właścicielką wadowskich dóbr w 1928 roku. Pochodziła z lubelskiego, a majątek pod Krakowem kupiła jej matka. Wszak Zofia była absolwentką agronomii, a w Wadowie mogła gospodarzyć prawie na 200 morgach! Do wojny dochód z uprawy ziemi, (na których głównie uprawiano zboże i ziemniaki), hodowli bydła, (dwór otaczały stajnie, stodoły i spichrze), pozwalał na właściwe utrzymanie dworu. Umożliwiał także jego właścicielce na zagraniczne podróże.

Gdy majątek przejęła po wojnie „władza ludowa”, Skarb Państwa, a potem Gmina Kraków, losy dworu i otaczającego go parku, toczyły się rozmaicie, z dramatycznym finałem postępującej dewastacji.

Zdjęcie w „Kronice Przedszkola” nr 63 w Wadowie przedstawia starszą panią, siedzącą wśród przedszkolaków. Objaśnia je krótki wpis:

„16 stycznia 1981 roku na uroczystą zabawę karnawałową przy choince zaproszono byłą właścicielkę dworku w Wadowie mgr Zofię Kulinowską. Powitania gościa dokonała dyrektor przedszkola Matylda Karbownik. Gość i zaproszeni rodzice obejrzeli część artystyczną w wykonaniu Oddziału I”.

To w tej kronice Zbigniew Rajski, radny z Wadowa znalazł informacje, uzupełniające historię dworu. Bo przedszkole i dworek mają wcale nie tak krótki etap, wspólny etap historii.

W „Kronice” pieczołowicie wklejono artykuły z krakowskich gazet. W „Przekroju” z 1980 roku, roku pamiętnego Sierpnia, znana krakowska dziennikarka Dorota Terakowska, przywołała wspomnienia ostatniej właścicielki dworu – „życie na kilkanaście życiorysów”, przełamane na pół zmianą ustroju, wywłaszczeniem i poszukiwaniem miejsca w nowej powojennej rzeczywistości.

„Gazeta Krakowska” z kolei opublikowała wspomnienia samej Zofii Kulinowskiej nadesłane na konkurs Gazety Krakowskiej. Opowiadają o jej pracy w czasach powstawania kombinatu w Nowej Hucie. To epizod z jej życia mniej znany. By córki mogły wpisać w dokumenty „odpowiednie pochodzenie”, zaczęła pracować jako pomocnica majstra murarskiego: stała przy taśmie i kładła na nią cegły, jak inne robotnice z Nowej Huty. Budowała bloki przy dzisiejszym Centrum A. Potem zatrudniła się jako instruktor kulturalno-oświatowy, niosąc „kaganek oświaty” pośród pierwszych budowniczych kombinatu. Taka była: zawsze aktywna, zawsze użyteczna. I pisała bez goryczy otwarta na przyszłość, będąc już podeszłą w latach, we wspomnieniach w Gazecie Krakowskiej:

„Huta pochłaniała jedną wieś za drugą. Nawet nie wiem czy zostały zachowane wszystkie nazwy tych wsi. Na naszych oczach, oczach jednego pokolenia zmieniały się w miasto. Miejmy nadzieję, że my, dawni mieszkańcy tych terenów zobaczymy, że to miasto budowane przez nas z takim trudem, móżolem, poświęceniem i wyrze-

zeniem – nie zapomną z jakich wyrosło korzeni, a my odchodzący będziemy spokojni, że nasz wysiłek i pracę przejmą młodsze ręce, obywatele odpowiedzialni za przyszły los naszej ojczyzny.”

Ileż mieszkańców mógł liczyć Wadów przed wojną, gdy w wadowskim dworze mieszkała jeszcze jego ostatnia właścicielka? Generalnie wieś leżała wzdłuż dzisiejszej głównej drogi z Luboczy do Ruszczy. W głąb, „za dwór”, rozrosła się dopiero po wojnie.

– Tutaj gdzie stoi nasz dom, było wszystko dworskie, ze 150 morgów pola w kawałku – pokazuje Zofia Suśniak, pamiętająca dwór i właścicielkę jeszcze sprzed wojny. Stajnie dworskie znajdowały się w miejscu gdzie dziś kaplica. Była też długa obora i stodoła była w miejscu dzisiejszej szkoły. Staw też był, a przy dworze lodownia i piwnica.

– Tata był fornałem. O czwartej rano szedł do dworu, by dać koniom jeść. We dworze było 5 par koni i para koni wyścigowych, do bryczki. Mój wujek tymi końmi powoził. Od tego tata codzienne obowiązki zaczynał, potem wykonywał prace polowe. O siódmej nosiłam ojcu śniadanie: dwa jajka mama dała, a on jeszcze jedno jajko dawał mi żebym zjadła. O dziewiętnastej, po całym dniu pracy ojciec wracał do domu. W domu było nas dziewięcioro i coś tu dużo mówić, bieda była. Tyle mieliśmy – wspomina Zofia Suśniak, pokazując puste dłonie. Biedy nie łagodził nawet fakt, że Zofia była – jak i 40 innych dzieci z Wadowa – chrześniaczką właścicielki dworu.

– Jako dziecko, przed wojną, bywałam we dworze. Zawsze na Boże Narodzenie choinkę ubierać nas zapraszała. Jadalnia była po prawej stronie, kuchnia na dole, w sieni były szafy, w szafach słodycze, był jeszcze dziecienny pokój i salon z kominkiem. Jak potem w latach siedemdziesiątych wykonywano remont to kominek z brązu został ukradziony... – wspomina.

Niania córek Kulinowskiej, pani Ania zręcznie szydełkowała: ładne czapki, rękawiczki, wykonywała i one trafiały do chrześniaków Kulinowskiej w prezencie. Pani Zofia wspomina jeszcze wspólną majówkę pod figurką, świecenie święconki na Wielkanoc, gdy mieszkańcy zbierali się wokoło dworu, jedna z córek Kulinowskiej niosła wodę święconą, a przywieziony z Ruszczy ksiądz święcił pokarmy...

Po wojnie ziemie dworskie rozparcelowano – między fernali, tych, którzy przed wojną pracowali we dworze.

– Mój tatuś dostał 3 hektary pola. Niania dostała 2 hektary, kucharka 2 hektary, fornałe po 3 hektary – wylicza Zofia Suśniak.

Zofia do szkoły podstawowej poszła w 1941 roku. Do Ruszczy. Ta czteroklasowa szkoła, w której małą Zosię uczyła panna Hausnerówna już dziś nie istnieje. Starsze dzieci uczyły się w szkole w Luboczy. Potem Zofia jeszcze dwa lata dojeżdżała pociągiem do Gimnazjum Spółdzielczego do Krakowa, pokonując codziennie dwaście kilometrów, pieszo, do stacji kolejowej, ale to już było po wojnie.

Po parcelacji dworu Zofia Kulinowska przeprowadziła się na ul. Długą, do niewielkiej kamieniczki której była właścicielką. Tam odwiedzali ją mieszkańcy Wadowa, a i ona czasem tu przyjeżdżała. Tak jak wtedy do przedszkola...

Przez te kilkadziesiąt lat wiele się w Wadowie zmieniło. Ale dwór stał, choć doznał na sobie niemiłych skutków historycznych zmian. Początki miejscowego przedszkola, sięgają 1951 roku. Powstało przy współudziale Ligii Kobiet Polskich na wniosek Franciszki Piskorz. Przez pierwszy rok mieściło się w jej domu, ale tu warunki były trudne. Po upływie roku przedszkole przeniesiono do domu Marcina Szydły (dzieci mogły korzystać z 3 izb i osobnej kuchni), po czym Franciszka Piskorz zwróciła się o pomoc do Zarządu Kolei w sprawie przeniesienia przedszkola do opuszczonego dworku. Ruszcza już wówczas stawała się wielkim kolejowym węzłem przeładunkowym, dostarczającym surowce i węgiel dla budującego się kombinatu. Sprowadzono robotników murarzy wywieziono z dworku gruzy, zakupiono stoły, krzeselka, Zarząd Kolei przyczynił się do urządzania przedszkola. I tak przedszkole znalazło się w salonach dworku, ukryte w parku.

Po raz pierwszy, bo gdzieś w połowie lat siedemdziesiątych, znowu musiało zmienić lokal – gdy rozpoczęto remont dworku. Trwał długo, dopiero w 1983 roku przedszkole mogło się tam wprowadzić ponownie. I to były chyba najlepsze lata w powojennej historii dworku. Przedszkole mieściło się w nim do roku 2003. Dlaczego go stamtąd wyprowadzono? Zbigniew Rajski i Zofia Suśniak nie wiedzą. Może już wówczas ktoś chciał dworek i pałac kupić?

Obecnie budynek jest opuszczony i niszczeje. W międzyczasie uporządkowano park; ze środków Gminy, do których dołożyła się Rada Dzielnicy XVII. Dziś Wadowianie nie są pewni ich dalszych losów. O dwór bowiem upomnieli się spadkobiercy Zofii Kulinowskiej. – Oby nie okazało się, że Gmina wyłożyła pieniądze na prywatną własność, że, to nie będzie już nasz osiedlowy park, choć w samym środku dzisiejszego osiedla – obawia się radny z Wadowa. I podjął kroki by tę niepewność wyjaśnić. Na razie poprzez interwencje radnego

miasta Krakowa Józefa Pilcha, otrzymał ksero decyzji Ministra Rolnictwa i Rozwoju Wsi utrzymującej w mocy uprzednią decyzję Wojewody Małopolskiego, że „nieruchomość Wadów popadała pod działania przepisu art.2 ust.1 Dekretu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego z 6 września 1944 r. o przeprowadzeniu reformy rolnej”. Ale jak Zbigniew Rajski się dowiedział spadkobiercy odwołali się do Sądu Administracyjnego. I nadal trzeba czekać...

Zbigniew Rajski pochodzi stąd, z osiedla kolejowego, tam się urodził, a od ponad dwudziestu lat pracuje w krakowskiej hucie. Wybudowanie bloków dla kolejarzy i wprowadzenie się tu niemal stu kolejarskich rodzin były wydarzeniem, które po raz pierwszy „rozsadziło” Wadów. Drugą młodość przeżywa dziś, gdy dzieci, które niegdyś wyprowadziły się od miasta, wracają na ojcowiznę, ale też za sprawą przybyszów, którzy tu zdecydowali się wybudować swoje domy.

Wadów – niby miasto, niby osiedle wiejskie. Na pewno miasto, gdyż wchodzi w obręb Krakowa, ale poziom życia daleki tu jeszcze od miejskiego. Trochę zaniedbany: te nie czyszczone i pogłębiane od lat rowy, te ulice i drogi z dziurami, brak chodników, no i straszący dewastacją dwór.

W Dzielnicy XVII te problemy życia na peryferiach miasta widać najwyraźniej, bo w jej obręb wchodzi wiele dawnych podkrakowskich wsi i choć Rada Dzielnicy XVII się stara, tu środki finansowe musi rozdzielać między potrzebny a potrzebniejszym. – Nie chcę tylko siedzieć i gadać, chcę dla tych ludzi coś zrobić. W mieście mają ludzi apteki, kina, plac handlowy na miejscu. Z dojazdem nie ma problemu, a do Wadowa miejskim autobusem dostać się trudno, gdyż nie raz ponad godzinę autobusu nie ma. W autobusie w godzinach szczytu ścisk, bo autobusy jeżdżą rzadko i linie do Wadowa obsługują wozy średniej wielkości. To i tak lepiej niż przed rokiem, kiedy jeździły tu tylko krótkie busy. Firma która wykonywała kanalizację niestety zniszczyła nam drogi. Mam obiecanie, że poprawią. Tematem na już jest przedłużenie linii autobusowej, aż do kościoła w Ruszczy, gdzie mieszkańcy Wadowa mają swój kościół parafialny i cmentarz. – wylicza sprawy do załatwienia Zbigniew Rajski. Kolejne to; skomplikowane skrzyżowanie w środku wsi, gdzie przecinają się główne kierunki ruchu – prosiłoby się o namalowanie linii rozgraniczających pasy jezdni. Albo niby prosta droga z Luboczy do Wadowa, która w mglisty poranek lub noc staje się niezwykle niebezpieczna, bo kierowcy nie mają żadnego punktu odniesienia. Przydałoby się wymalowanie linii rozgraniczającej jezdnie.

Patrząc na zdewastowany dwór Zbigniew Rajski ma mieszane uczucia. Chętnie widziałby w tym miejscu jakąś publiczną instytucję ot chociażby Towarzystwo Przyjaciół Dzieci, z którym na ten temat ostatnio rozmawiał, ale także z miejscem dla wadowskiej młodzieży, która dziś nie bardzo ma się gdzie podziąć. Przychodzą do parku pod pałac, a złe skutki szybko widać i nie pomogą na to częstsze patrole Straży Miejskiej. W pałacu są piękne, sklepione piwnice – tam mógłby powstać klub, pub, miejsce spotkań.

Wystarczyło cztery lata by dawny dwór Zofii Kulinowskiej pozostający w całkiem dobrym stanie po wyprowadzce przedszkola stał się ruiną. Ubywa szyb w oknach, ze środka wyrwano wszystkie metalowe elementy. Pod presją Z. Rajskiego Krakowski Zarząd Komunalny, któremu zabytek podlega, zabezpieczył płytami pilśniowymi okna i drzwi. Czy to przeszkodzi złodziejom? A tak piękne przedszkole tu było...

W morzu problemów jest jedna dobra wiadomość – w Wadowie przy szkole, powstanie boisko wielofunkcyjne. Z budżetu Miasta Krakowa przeznaczono już 150 tys. zł na projekt. Projektant już był, oglądał. Może to będzie wielofunkcyjne boisko ze sztuczną nawierzchnią i przykryte powłoką balonową. Dzieci i młodzież już się na to cieszą...

Krystyna Lenczowska

„Głos Tygodnik Nowohucki”, marzec 2008 r.

Pożegnanie wadowskiego dworu

Zofia Kulinowska w reportażu „Życie na kilkanaście zyciorysów” autorstwa Doroty Terakowskiej, „Przekrój” 1981 r.

...Byłam młoda, silna, zdrowa, lubiłam tę ziemię i starałam się dobrze gospodarzyć. Miałam około sześćdziesięciu krow, 14 koni, traktor, dużo psów. Zawsze kochałam zwierzęta...

(...)Łudziłam się, że ten dwór jest tak mały, a ziemi tylko 200 morgów, więc mi go zostawią. Ale pozwolono mi zostać jeszcze tylko dwa miesiące. (...)

Oddanie dworu miało wymiar prawie symboliczny. Przyszło dwóch komisarzy i powiedzieli, że bym oddała klucze farnalom. Staliśmy wszyscy w salonie, farnale, komisarze i ja. Nikt nie chciał wziąć tych kluczy. Wtedy wymyśliłam sposób. Widzi pani, w każdej wsi, więc i w Wadowie, jest jakiś jeden taki wsiowy szaleniec. On te klucze wziął bez wahania. Nie, oni nie chcieli wziąć tych kluczy nie dlatego żeby mnie tak kochali. Tylko nie wiedzieli na pewno czy TO zostanie? A ja już wiedziałam na pewno i naprawdę chciałam im te klucze oddać. Potem zaczęło się wielkie święto. Wszyscy pili wódkę, śpiewali, tańczyli. Cieszyli się, że przyszło NOWE. Komisarze w tym czasie – bardzo kulturalni ludzie – pomogli mi się zapakować, ułatwili nawet zabranie wszystkiego co było moja prywatną własnością, co miało dla mnie jakieś znaczenie. Dobrze ich wspominam. Jeden był krakowskim tramwajarzem, drugi partyzantem.

Zofia Suśniak, mieszkanka Wadowa:

Urodziłam się 5 września 1931 roku, w Wadowie: mamusia z domu była Piskorz Franciszka, tatuś – Bąk Jan. W domu było nas dziewięć, ja byłam czwartym dzieckiem. Tatuś dostał morgę pola od rodziców, mamusia też morgę. Babcia – tatusia mama dała działkę a rodzice tatusia – dom postawili. Drewniany. W roku 1939 wybuchła wojna. Do szkoły poszłam w roku 1940. We dworze była Anna, niania córka Klinowskiej. Było ich dwie: z pierwszego małżeństwa z Pobórką Stanisławem, wojskowym, miała właścicielka dworu córkę Zuzannę, z drugiego, z dentystą, chyba austriackiego pochodzenia, Hohmanem – Jolantę. Niania ze dworu zbierała wiejskie dzieci, jak było ciepło, wierszyków nas uczyła i przedstawienia robiła z nami...

Fornale, dzięki temu że pracowali we dworze to otrzymywali za zapłatę drzewo, ziemniaki, zboże, ale co tu dużo mówić – była bieda. Mieliśmy te dwa morgi pola, jedną krowę, świnkę też hodowaliśmy...

Niemcy dworu nie zajęli. W czasie drugiej wojny światowej bywał tu nawet Hans Frank, Kulinowska i jej mąż austriackiego pochodzenia doskonale mówili po niemiecku. Dzięki temu udało im się wielu ludzi uratować, przecież tu także działała partyzantka. Dopiero Rosjanie jak przyszli przeprowadzili parcelację. Zaraz po wojnie Kulinowska zamieszkała u Szczęsnego na górze, nad stajnią, razem z dziećmi. Żydów w Wadowie nie było. W Ruszycz był przed wojną jedna rodzina. Nazywali się Sieje, jeszcze ich dom drewniany istnieje. Proboszczem w Ruszycz był ksiądz Katana. Dawał mi ślub, w roku 1950. A moją córkę Marysię bierzmował w Ruszycz sam Karol Wojtyła...

Po wojnie gospodarze w Wadowie zaczęli uprawiać otrzymany z reformy grunt. Maszyny ze dworu wywieziono, dużo prac trzeba było wykonywać ręcznie.

Pewnego razu pamiętam, nastała moda na ogórki i większość je hodowała. Były też zakusy by w Wadowie kolchoz założyć, spółdzielnię produkcyjną znaczy, ale mimo nacisków i nachodzenia, tylko trzech gospodarzy zgodziło się przystąpić, żeby dzieci się do szkół podostawały.

Mój dziadek ze strony mamusi był „odproszacem”. Pogrzeby odprawiał. Jak ktoś zmarł we wsi to ludzie przychodzili do dziadka i prosili by poprowadził pogrzeb. To nie było tak jak teraz, a z Wadowa na cmentarz parafialny do Ruszycz jest trzy kilometry, więc ktoś musiał poprowadzić śpiew. Dziadek nazywał się Piskorz Franciszek. Umarł młodo, w 1927 roku, ja go nie znałam. Ale mamusia o nim nam opowiadała. Wieczorem, wtedy przecież nie było prądu ani telewizora, zbierała nas, wszystkie dzieci razem i śpiewaliśmy różne pieśni i piosenki. Po dziadku został taki śpiewniczek pieśni żałobnych i ja go odziedziczyłam. Potem oddałam go do Mogiły, jak jednemu z ojców się moje śpiewanie spodobało. Śpiewać na pogrzebach zaczęłam od śmierci mojego męża, w 1972 roku. Wtedy na pogrzeb tak dużo ludzi przyszło i pomyślałam, że muszę im to odrobić... Taki jakiś dar mam to i śpiewałam.

Najwięcej to taka pieśń mi utkwiała w pamięci, z broszurki po świętej pamięci dziadku:

*Już idę do groby smutnego, ciemnego,
gdzie będę spoczywał aż do dnia sądnego,
Gdzie moźni królowie swe kości składają,
Księżęta, pralaci w proch się obracają.
W tą podróż odchodzę, nie biorę nic z sobą,
W postaci okrytej śmiertelną żałobą
Tylko cztery deski, licha biała szata,
Toć cała wysługa z mizernego świata...*

Jestem już stara. Zaśpiewałam jeszcze przy trumnie Joli z domu Kulinowskiej, w kaplicy na Salwatorze w 1997 roku. Wcześniej też chrzestnej – Zofii Kulinowskiej zaśpiewałam. Chrzestna zmarła 28 grudnia w 1994 roku, (urodziła się w 1907 roku. Teraz mam już 77 lat, głos trochę słabszy, a jak zimno to łatwo się przeziębam.

Wadów PKP

Zbigniew Rajski, mieszkaniec Wadowa: W roku 1949 zaczęto budować kolej, prowadzącą do Nowej Huty. Zaczęli wozic piach na nasypy na wiadukt. To była duża stacja przetokowa przy budowie kombinatu, gdzie wjeżdżało wiele pociągów i potrzebowali manewrować wagonami. Dużo kolejarzy dostało tu pracę. 500 ludzi pracowało w obsłudze pociągów: dyżurni ruchu, manewrowi zwrotniczy, nastawniczowie, cała obsługa kolei. Musieli gdzieś mieszkać. W 1954 roku wybudowano, na dawnych polach pierwsze dwa bloki. A w 1963 roku – reszta bloków. Pamiętam pierwszy sklep w osiedlu – taki wagon kolejowy. Bloków wybudowano 16, mieszka w nich 100 rodzin. Moi rodzice też dostali mieszkanie w tych blokach. Przez to, że była kolej, że wprowadziło się tu tak dużo ludzi, Wadów się rozwinął. Przybyło mu mieszkańców.

Szkoła w Wadowie

Zbigniew Rajski, Zofia Suśniak:

Po wojnie Zofia Kulinowska zamieszkała przy ul. Długiej, a dwór został opuszczony. Nie na długo, bo wkrótce powstała tam szkoła.

W czasie wojny dzieci z Wadowa chodziły do szkoły podstawowej do Ruszycz. Kierownikiem szkoły, czteroklasowej, była Jadwiga Hausner. Łuczanowice i Lubocza miały szkołę. W Lubockiej szkole dzieci z Wadowa kończyły wyższe klasy podstawówki. W roku 1950 zorganizowano zebranie i Józef Rzepecki, późniejszy dyrektor wywalczył szkołę w Wadowie. Mieściła się we dworze, a Rzepecki został jej pierwszym dyrektorem. Jego żona również była nauczycielką. Po nim nastąpił dyrektor Walek, po Waleku – Pyś, potem Marian Figlewicz pani Grotowa, pani Wątroba i pani Kwiatek Barbara. Pierwsi dyrektorzy mieszkali we dworze. Od strony wschodniej były mieszkania dla nauczycieli. Wtedy szkoła dzieliła dworek z przedszkolem. Sale przedszkolne znajdowały się od strony zachodniej.

Szkoła podstawowa mieściła się we dworze do 1968 roku.

Główne wejście do dworu znajdowało się od wschodniej strony. I tam też znajdowały się mieszkania dla dyrektora i nauczycieli. Ówczesni uczniowie, dziś starsi mieszkańcy Wadowa wspominają dyżury, kiedy to biegli wokół szkoły-dworu po parku, z dzwonkiem w ręku, obwieszczając koniec przerwy.

Nową szkołę w Wadowie wybudowano w 1968, po sąsiedzku. Niedaleko też, wspólnymi siłami, z własnych środków, mieszkańcy wybudowali kaplicę. W budowie pomagali nawet najmłodsi. W 1980 roku zaczęto zwozić cegły na budowę, w 1983 roku – kaplica była gotowa.

Z Kroniki Przedszkola w Wadowie:

Początki przedszkola nr 63 w Wadowie sięgają roku 1951. Przy współudziale Ligi Kobiet, zarządu Kolei w Wadowie, na wniosek przewodniczącej LK Franciszki Piskorz, założono przedszkole. Przez pierwszy rok mieściło się ono w domu p. Franciszki Piskorz os. Wadów nr 20, zajmowało 2 izby, liczyło 30 dzieci. Brak było zabawek, książek, warunków sanitarnych. Dzieci myły ręce w miednicy. Korzystano z kuchni p. Franciszki. Nie było inwententki, więc sprawami zaopatrzenia zajmowała się początkowo sama. Pierwszymi wychowawczyniami były p. Maria i p. Janina pochodzące z woj. kieleckiego. Po upływie roku przedszkole przeniesiono do domu p. Marcina Szydły, os. Wadów, gdzie dzieci mogły już korzystać z 3 izb i osobnej kuchni. Zatrudniono też ekspedientkę.

Pierwszymi kucharkami w przedszkolu były p. Maria Piskorzowa, a później Karolina Kostek. Po upływie półtora roku p. Franciszka Piskorz zwróciła się znów o pomoc do Zarządu Kolei, w sprawie przeniesienia przedszkola do opuszczonego dworku. Sprowadzono robotników, murarzy, wywożono gruz, pracowała też pani Franciszka. Zakład Opiekuńczy – Zarząd Kolei przyczynił się do urządzenia przedszkola. Zakupiono stoły, krzeselka, leżaki, wykonano urządzenia sanitarne. Przeznaczono dla dzieci jeden salon. Nie było podziału na grupy wiekowe.

W 1975 rozpoczął się remont dworku, a przedszkole zostało przeniesione do Szkoły Podstawowej nr 77 w Wadowie. W 1985 roku wróciło do dworku i stamtąd zostało wyprowadzone do osobnego budynku.

Figura św. Stanisława Kostki

Figura na skrzyżowaniu ul. Glinik i Wadowskiej, została jak wieść wadowska niesie, wystawiona za Tadeusza Kościuszki, który wtedy miał zmierzać pod Racławice. Jak wspomina Zbigniew Rajski, gdy był dzieckiem, bawiące się obok figury umieszczonej na niewielkim wzgórku (kurhanie) wygrzebały z ziemi ludzką czaszkę. Jak czytamy w opracowaniu Piotra Matroszki „Dzieje parafii Ruszcza”, w tym miejscu pochowano 8 konfederatów barskich. Ostatnio dzięki środkom z Gminy Kraków kamienna figura została oczyszczona z olejnej farby, którą była po wojnie pomalowana i odnowiona.

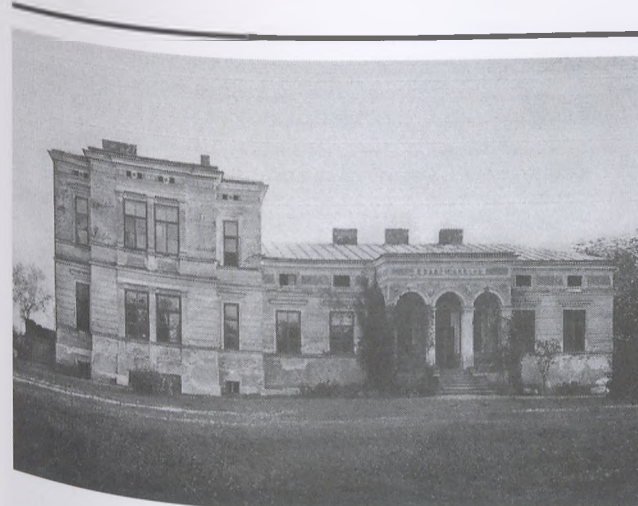
Antoni Łapajerski dokumentujący losy nowohuckich kapliczek: Figura św. Stanisława Kostki, sygnowana jest napisem „1780”. Kamienna rzeźba św. Stanisława Kostki, trzymającego na ręku Dzieciątka. Szaty Jezuska okrywają tułów, nóżki i dłonie odsłonięte; lewa dłoń Dzieciątka skierowana ku twarzy świętego Stanisława. Figura osłonięta blaszonym współczesnym daszkiem. Na zdjęciach sprzed konserwacji szata świętego zatraciła szczegóły – pomalowana była farbami olejnymi na niebiesko, odsłonięte części ciała pomalowane na kolor cielisty, szaty Dzieciątka pomalowane były na żółto; również cokół kamienny z wolutami pomalowany był niebiesko-żółtymi kolorami, tablica fundacyjna była nieczytelna. Pokrycie kamiennej figury farbami olejnymi spowodowało, że łuszcząca się farba odpadała razem z dużymi fragmentami zespolonego z nią kamienia. W 2004 roku kapliczkę odnowiono ze środków Miejskiego Konserwatora Zabytków przywracając pierwotne szczegóły i uzupełniając liczne ubytki. W trakcie konserwacji okazało się, że jest to wizerunek św. Stanisława Kostki a nie jak wcześniej sądzono św. Antoniego. Obaj święci przedstawiani są w podobny sposób, różnią się szczegółami habitów zakonnych. Figura jest zaznaczona na mapie z 1909 r.

Krzyż przy wjeździe do Wadowa

Cenny jest krzyż stojący przed wjazdem do Wadowa. Starsi mieszkańcy wiążą go ze sporem o granice posiadłości, jaki prowadzili właściciele sąsiadujących majątków. Długo nie mogli dojść do zgody więc udali się o rozstrzygnięcie sporu do Rzymu. I na pamiątkę postawili przy ul. Wadowskiej i za Ogrodem, przy drodze prowadzącej do dworu w Wadowie, kamienny krucyfiks.

Antoni Łapajerski: Krzyż wykonano na przełomie XVIII i XIX w., w tradycji barokowej. Chrystus, krzyż oraz cokół kamienny znajdują się w dobrym stanie; krzyż pomalowany na biało, cokół na brązowo z białym gzymsem. Krzyż widoczny jest na mapie z 1909 r. Obiekt należy do grupy najstarszych figur w tym rejonie. Na krzyżu postać Chrystusa zwieszona na wyprężonych ramionach, z głową w koronie cierniowej pochylonej na prawe ramię, nogi ugięte, stopy przebite jednym gwoździem. Perisonium umocowane na sznurze, związane na lewym boku. Jesienią 2005 r. krzyż został wspaniale odnowiony ze środków Gminy Kraków pod nadzorem konserwatorskim Miejskiego Konserwatora Zabytków. Po konserwacji, zarówno krzyż i cokół jak i sama postać Chrystusa utrwalała została w kolorach pastelowych.

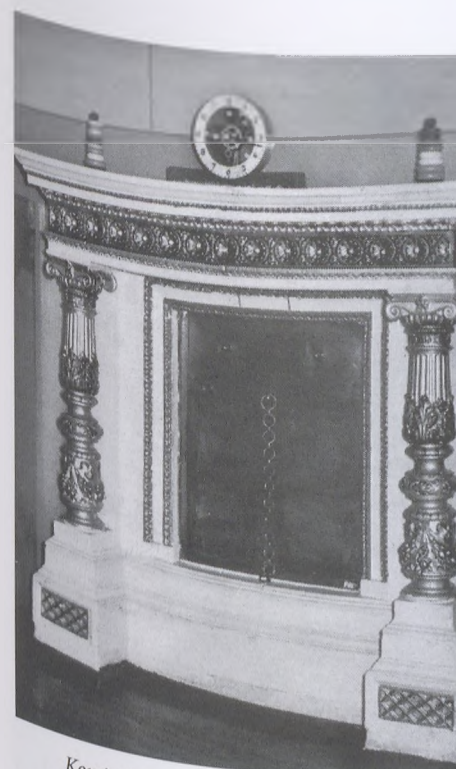
Krystyna Lenczowska



Pałac w Wadowie, ok. 1905 r.



Zofia Kulinowska, ostatnia właścicielka pałacu, lata 30. XX w.



Kominiek w salonie pałacowym, 1981 r.
Obecnie tam nie istnieje



Salon w okresie pobytu w pałacu rodziny Cieśliewiczów, ok. 1905 r.



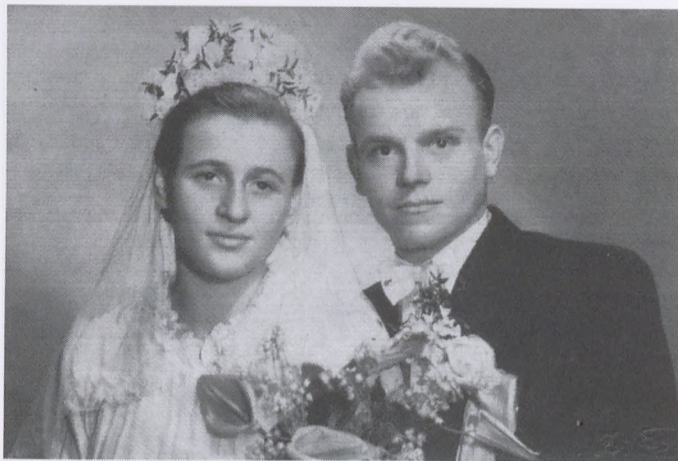
Zofia Kulinowska podczas wizyty w przedszkolu, które mieściło się wówczas w pałacu, 16 stycznia 1981 r.



Zofia Kulinowska w Wadowie, 1981 r., fot. Wojciech Plewiński, reprodukcja z Gazety Krakowskiej



W parku pałacowym podczas dożynek, Wadów, 1945 lub 1946 r. Od lewej: Zdzisław Piskorz, Tadeusz Jajko, Mieczysław Ziomek, Mieczysław Gembala, Karolina Kostek, Józef Świgoń, Henryk Walczak, Tadeusz Gembala, Jan Gębala, Karol Ziomek, Stanisław Szydło, Jan Szydło, Czesław Zachariasz, Eleonora Kłokal – nauczycielka ze szkoły w Wadowie i in.



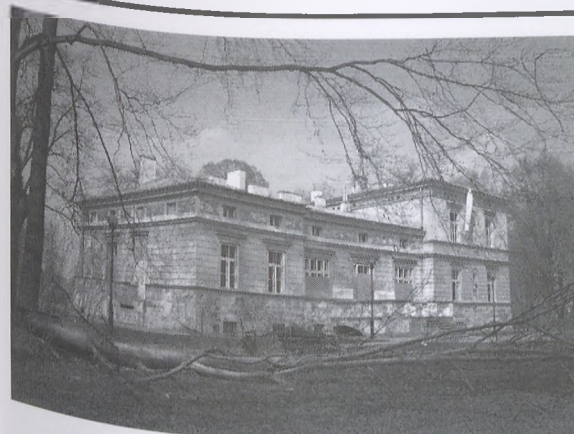
Zofia i Marian Suśniakowie z Wadowa, 1950 r.
(zdjęcie ślubne i na motocyklu)



Fryderyk i Agnieszka Rajscy z dziećmi: Tadeuszem, Zbigniewem i Lucyną, Wadów, 1956 r.



Wadów, w głębi barakowóz, w którym był urządzo-
ny sklep, lata 50. XX w.



Pałac w Wadowie, 2004 r., fot. Adam Gryczyński



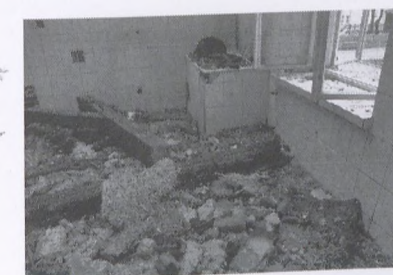
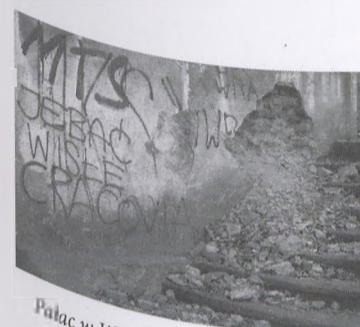
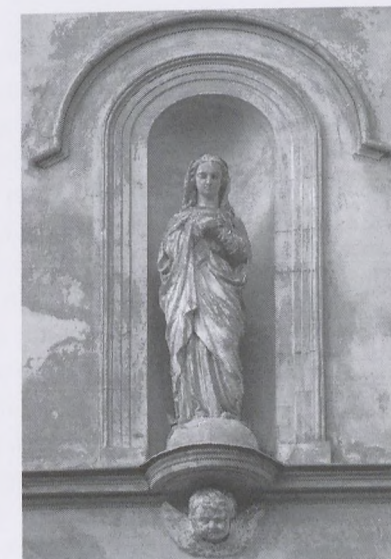
Figura Św. Stanisława Kostki,
2008 r., fot. Adam Gryczyński



Krzyż przy wjeździe do
Wadowa, 2008 r.



Pałac w Wadowie, 2004 r., fot. Adam Gryczyński



Pałac w Wadowie obecnie niszczy, uległ też dodatkowej dewastacji w wyniku podpalenia, 5 listopada 2008 r., fot. Adam Gryczyński

Wspomnienie o Józefie Cieślewiczu

Dnia 27 stycznia 1919 roku zmarł w Bieńczycach pod Krakowem ś.p. Józef Cieślewicz, prezes Towarzystwa rolniczego krakowskiego, znany i ceniony dla zalet swego charakteru tak w naszym mieście, jak i w powiecie. Zmarły rodem z Poznańskiego, pochodzący po matce z rodziny jenerała Dembińskiego, przejął dziedzictwem po swych przodkach gorącą miłość ojczyzny i gotowość do służby krajowi. Uczeń twardej szkoły pruskiej, wyniósł z niej to, co mógł najlepsze: zamiłowanie porządku, karność i sumienność, czego brak w naszym społeczeństwie zawsze boleśnie odczuwał. Przed dwudziestu paru laty, osiedlwszy się w Krakowskim, stanął od razu w szeregu naszych ziemian, biorąc żywy udział w tem wszystkim, czego wymagało dobro ogółu. Szczególnie wiele pracował w Towarzystwie rolniczym, starając się wszystkimi siłami doprowadzić u nas kulturę ziemi i hodowlę bydła do wymagań europejskich. Ziemia i jej potrzeby, to było główne zadanie jego życia, to jego gorące umiłowanie, ale nie zasłaniało mu ono bynajmniej widoku na inne objawy życia ludzkiego. Wyjątkowo doprawdy zdarza się, by człowiek tak oddany pracy na roli, miał zarazem umysł tak otwarty na wszystkie inne zagadnienia życiowe, aby o każdej dziedzinie życia ludzkiego miał tak trafny i wyrobiony sąd. Czy o polityce, czy o ekonomii społecznej lub o jakiegokolwiek innej społecznej kwestyi, czy wreszcie o literaturze naszej i obcej, umiał rozprawiać z wielką i gruntowną znajomością przedmiotu, a zarazem niezwykle barwnie i zajmująco. A jaki miał dar rozmowy, wiedzą najlepiej ci, co z nim częściej przestawali. Mówił zawsze bardzo ładnie, a czylił tak, jak mówił. Nigdy między słowem a czynem nie było u niego rozdzwiku. Był to charakter czysty jak liza. W dzisiejszych czasach, kiedy pojęcie moralności tak się bardzo obniżyło, kiedy utylitaryzm tak się bardzo rozpanoszył między wszystkimi sferami, wysuwając przykazanie o miłości bliźniego, ś.p. Józef Cieślewicz był wprost unikatem. Z pominięciem własnej korzyści pomagał tylu, od których oprócz wdzięczności nie mógł się niczego spodziewać, dla każdego był uczynny i gotów do wszelkich usług. O żadnych „dobrych interesach” nigdy nie myślał ani ich też na tej wojnie nie zrobił. Co więcej ta wojna usunęła go niemal na trzy lata od umiłowanej ziemi, od pracy, z którą się zrośł od młodości, wyrządziła mu niezmierne szkody i straty i wydarła mu kochanego syna. A przecież w najgorszych chwilach czy to nieszczęść osobistych, czy to ogólnych klęsk, nie tracił pogody ducha, ale jeszcze i drugim dodawał odwagi. Jednym słowem była to postać pełna wysokiej prawdziwej kultury, nie pozornej, zewnętrznej, ale tej, która mając swe źródło w prawdziwej dobroci serca, niezwykłej prawości charakteru i wszechstronnem wykształceniu umie wszystko dookoła siebie podnieść na wyższy szczebel i poziom. Toteż dziś myśląc z głębokim żalem o tym człowieku, którego już wśród nas nie ma, którego śmierć wydarła z grona rodziny, przyjaciół i społeczeństwa, wtedy, kiedy takich ludzi potrzeba nam więcej niż kiedykolwiek, mając żywo w pamięci to dodatnie wrażenie, jakie on na wszystkich wywierał przez dziwną harmonię swych słów i uczynków, przypominamy sobie mimo woli słowa boskiego mędrca Platona: „Zdaje mi się, że najdoskonalszą harmonię stwarza mistrz nie wtedy, gdy gra na lirze lub innym instrumencie, ale wtedy, gdy uczynki jego życia są zgodne z jego słowami”.

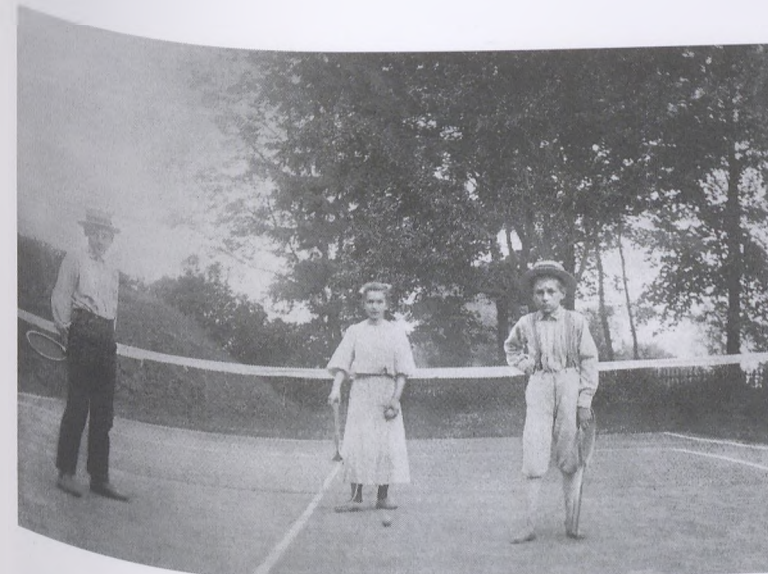
Wspomnienie pośmiertne o Józefie Cieślewiczu zostało zamieszczone w prasie krakowskiej w styczniu 1919 roku w dziale „Nekrologia”. Pisownia oryginalna.



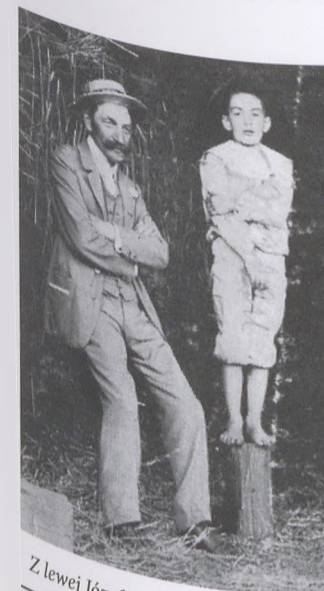
Rodzina Józefa Cieślewicza (pierwszy z prawej) przed pałacem w Wadowie, pocz. XX w.



Maria z Miklaszewskich i Józef Cieślewiczowie z dziećmi: Jadwigą i Władysławem, schyłek XIX w.



Rodzeństwo Cieślewiczów na korcie tenisowym. Od lewej: Władysław (zginął w Kатыniu w 1940 r.), Jadwiga i Józef (zginął na wojnie w 1915 r.), Wadów, ok. 1910 r.



Z lewej Józef Cieślewicz, pocz. XX w.



Józef Cieślewicz (siedzi w środku za stołem) w otoczeniu rodziny, Wadów, ok. 1910 r.

Wspomnienia z dawnego Wadowa

Przed II Wojną Światową wieś Wadów z dworem i czworakami na czele, błotnistą drogą bez żadnej komunikacji, bez szkoły, ubogie domki oświetlane lampą naftową, częstokroć opalane bądylami z ziemniaków, które zdobywało się, gdy się szło do dworu przed kopaniem rwać te bądyle. Po węgiel jeździło się końmi do kopalni na Śląsk, a konie nie każdy miał, więc ten, który nie miał, za jeden dzień roboty koniem, odrabiał sobą trzy dni. Studnie też nie wszyscy mieli, trzeba było wodę nosić od sąsiada – dla bydła, do kuchni. Nie mówiło się wówczas o kąpaniu, lecz o umyciu nóg, bo w lecie boso się chodziło. Wieś nie była duża – około 20 gospodarstw przeważnie 4 morgowych, ale za to w każdym domu było po 8 – 10 dzieci. Aby jakoś wyżywić chodzili do roboty do dworu. Dwór zmieniał ciągle swoich właścicieli. Pałac – bo tak nazwano budynek, był już bardzo zniszczony, wpływała na to zmiana właścicieli. Na budynku umieszczony jest napis „Z darów Bożych”, choć według mnie powinno być „Z potu chłopów”, bo panowie się chlubili a chłopci robili. Z pamiętnych właścicieli to: hr. Badeni, później Grabowski, Morawski... Park był piękny, a w parku usypany kopiec z którego właściciel lornetował pracujących w polu fernali. Widziałam jak fernala pan uderzył w twarz i zakrwawił, a ten pocałował go w rękę i orał dalej. Ostatnim właścicielem dworu była Zofia z domu Kulinowska, po pierwszym mężu Pobórkowa, następnie Herksmanowa. Niedaleko parku stoi figura św. Antoniego, gdzie leżą powstańcy z 1780 r. Dzieci do szkoły (1 – 3 klasa) chodziły do Ruszczy 2 km, a po ukończeniu 3 klasy do Luboczy – 4 km (aby ukończyć 7 klas). Po śniegu, po błocie w trzewikach, bo nie było butów ciepłych jak teraz.

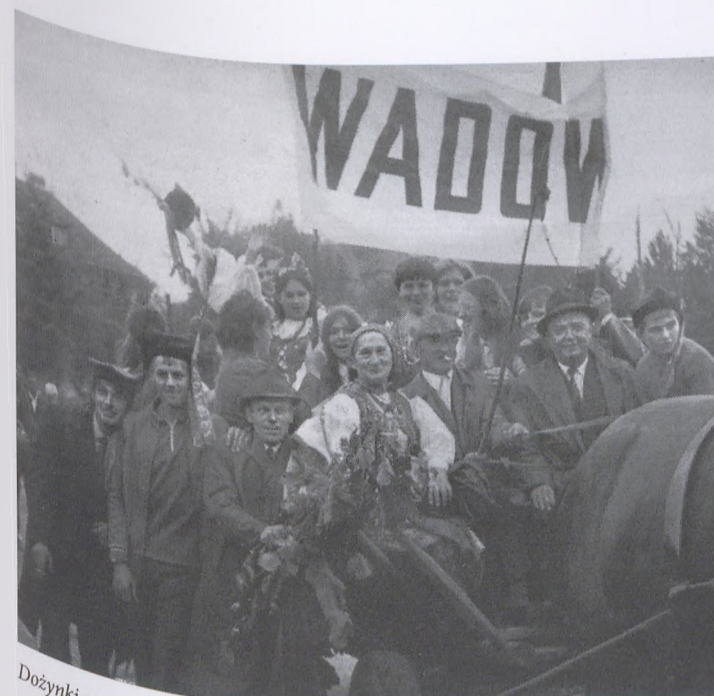
Chłopi bardzo kochali swoją ziemię. Przed I Wojną Światową dwóch chłopów prawowało się całymi latami o skrawek ziemi wielkości pokoju. W końcu poszli piechotą do cesarza Franciszka Józefa do Wiednia. Cesarza powiedział: kupię ten kawałek ziemi i na nim postawię krzyż zgody. I do dziś stoi tam ten krzyż.

W Wadowie ludzie byli krewkie, o byle co wszczynali bitki z okolicznymi wsiami. Nawet pewnej zimy zrobili najazd saniami do przyległej wsi Łuczanowice, no i oczywiście w bitce zabili człowieka. Często zastępowali jadącym z wioski Dojazdów do kościoła, właśnie kryli się za figurką i znów powstawała bitka, później sądy. Zabawy też nie było bez bitki. Ludzie byli zadłużeni, kupowali po kawałku ziemi ze dworu i zadłużali się hipotecznie. Przyszła wojna, okupacja i nigdzie nie można było nic kupić i sprzedać. Oddawało się krowy, konie i świnie na tzw. kontyngent. Gdy się chciało sprzedać trochę mleka, trzeba było iść do stacji kolejowej 5 km przez Łuczanowice pod kopiec Lutrow i do Prus do pociągu, który jeździł z Kocmyrzowa do Grzegórzek. O godz. 5 rano, czy śnieg, mróz, czy roztopy... Z Ruszczy też chodzili ludzie z bańkami na plecach, z Wadowa się przyłączali, z Łuczanowic i tak codziennie. Często w pociągach na stacjach były łapanki, ludzie porozumiewali się, pociąg zwalniał i trzeba było niejednokrotnie uciekać. Z Wadowa złapali Wojciecha Pszczołę, wykonczyli Juliana Piskorza.

Magdalena Ziomek



Magdalena Ziomek z d. Socha, 1931 r.



Dożynki w Nowej Hucie, 6 sierpnia 1970 r. Starostowie: Magdalena Ziomek i Jan Ciarach, woźnica Mietek, Marian Suśniak, Wiesław Suśniak, Jan Ślęzak i in.



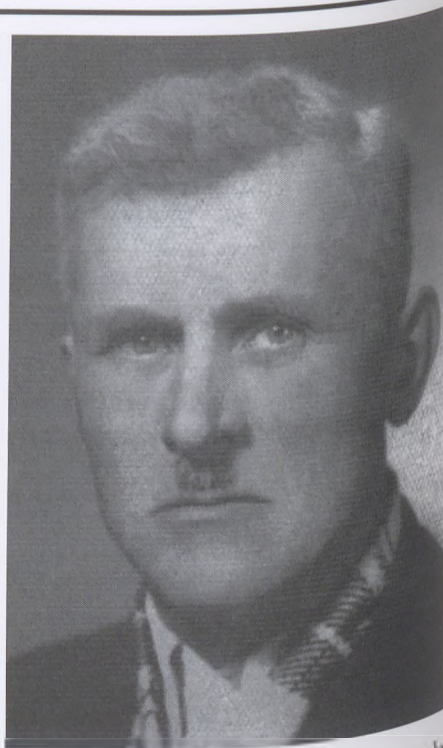
Dożynki na stadionie Wandy w Nowej Hucie, 1970 r. Marysia Suśniak, Ewa Maliszewska, Ewa Więcek, Magdalena Ziomek, Jan Ciarach, Fredzia Wiśniewska i in.

Stanisław Ziomek

Urodził się 31.12.1898 r. w Wadowie. Nosił przydomek „Staszyński”. Pochodził z rodziny chłopskiej osiadłej w Wadowie. Była to rodzina głęboko religijna, ciesząca się powszechnym szacunkiem.

Stanisław miał 4 braci i 5 sióstr. Ich ojciec Jakub prowadził własne gospodarstwo rolne, a matka – Franciszka z Piskorzów zajmowała się wychowywaniem dzieci. Stanisław wzrastał przy rodzicach, ukończył Szkołę Gminną w Ruszczy. W dorosłych latach podjął pracę w kolejnictwie węzła krakowskiego. W 1919 r. został powołany do służby w Wojsku Polskim. Służył w Krakowie, Wilnie, Rzeszowie, był ułanem i kanonierem. Uczestnik wyprawy kijowskiej w maju 1920 roku. Brał udział w ofensywie 3 Armii gen. Rydza – Śmigłego. Wsławił się przechwyceniem kozackiego kuriera wojsk sowieckich w leśnej zasadzce. Przejęte informacje pozwoliły dowództwu na podjęcie odpowiedniej strategii wojennej. Uczestniczył w odwrócie wojsk spod Kijowa w kierunku Grodna. Trasa odwrotu była ciężka, a przeżycie graniczyło niemal z cudem – na całość ewakuowanego wojska do celu dotarła zaledwie połowa. Reszta wojsk przemieszczających się kolejowymi szlakami Podola, Wołynia i Polesia zginęła od bolszewickich kul. Z relacji Stanisława wynikało, że w tak zaciętych bojach tylko Opatrzność Boża uratowała jego i kolegów. Po osiągnięciu celu nastąpiła konsolidacja wojsk, skąd w sierpniu 1920 r. nastąpiło uderzenie dwóch Armii gen. Rydza – Śmigłego w lewe skrzydło szturmujących Warszawę wojsk sowieckich generała Tuchaczewskiego. Wygrana bitwa przeszła do historii jako „Cud nad Wisłą”, pozostawiając głęboki ślad w pamięci Stanisława, który za kampanię 1920 r. otrzymał m.in. Krzyż Walecznych. Jako były legionista został osobiście nagrodzony przez marszałka Józefa Piłsudskiego posiadłością ziemską w Krasówce koło Grodna. Powiadomiona o tym matka wraz z rodziną w Wadowie skutecznie odradziła Stanisławowi gospodarowanie na Kresach. Wizja matki była nad wyraz przewidująca, gdyż prawdopodobnie z początkiem II Wojny Światowej Stanisław zostałby zmuszony kolbami i bagnietami sowieckich siepaczy do opuszczenia gospodarstwa i zsyłki na Sybir. Po spełnieniu patriotycznego obowiązku powrócił do Wadowa, podejmując ponownie pracę na kolei. W 1926 r. poślubił Annę Stanek z Branic, które należały do tej samej parafii w Ruszczy. Wkrótce przystąpił wraz z braćmi Anny – Franciszkiem i Stanisławem do budowy nowego domu w Wadowie. Jeszcze w Branicach przychodzi na świat w lutym 1928 r. syn Stanisław-junior. Kolejni czterej synowie rodzą się już w nowym domu. Stanisław-senior osiadł na gospodarstwie, które z upływem lat rozrosło się do 5 ha uprawnej ziemi. Lata hitlerowskiej okupacji w Polsce to dla Stanisława okres przymusowych prac przy wyrębie lasu w Niepołomicach, kopania okopów i oddawania Niemcom kontyngentów. Reforma rolna lat powojennych nie objęła Stanisława, gdyż w jej wyniku obdarowani zostali mniej zamożni rolnicy. Szczęśliwie udało się jednak uniknąć zamiaru skolektywizowania gospodarki rolnej. W latach budowy kombinatu hutniczego połowę jego majątku ziemskiego (2,5 ha) włączono bez należytej rekompensaty pod budowę obiektów przemysłowych. Stanisław-senior mimo to pozostał do końca swych dni człowiekiem pełnym dobroci, uczynnym, skromnym i głęboko wierzącym. Zmarł 9.03.1982 r. Spoczywa w grobie rodzinnym na cmentarzu parafialnym w Ruszczy.

Marian Ziomek



Starsze siostry Anny Ziomek ze Stanków z Wadowa. Od prawej: Julia Kubińska ze Stanków z Branic (urodzona w 1896 r., ślub z Karolem Kubińskim w 1918 r., zmarła w 1933 r.), Katarzyna Nosek ze Stanków z Pleszowa-Kujaw, ok. 1913 r.



Anna Ziomek c. Szczepana i Marii Stanek (1906-1971) i Stanisław Ziomek s. Jakuba i Franciszki z d. Piskorz (1898-1982), zdjęcie ślubne z 1926 r.



Maria Ziomek z synami, lata 30. XX w.

ŁUCZANOWICE



Osiągnięcia naukowe i kariery akademickie nie były dla nich powodem rozstania się z tradycjami światłej części warstwy ziemiańskiej.

Mycielscy

Zaczęło się w połowie XIX wieku, od Jerzego Mycielskiego, który był profesorem historii sztuki, wielkim oryginałem opisanym przez Boya w Słówkach, a spokrewnionym, przez matkę, z innym tychże bohaterem: Stanisławem Tarnowskim. W domu dwukrotnego rektora UJ na Szlaku Jerzy przebywał często i długo, nasiąkając atmosferą wszechstronnych zainteresowań i ciekawości ogarniającej całe pole humanistyki. Później miał wprowadzić do języka naukowego pojęcie historia kultury, badając wzajemne związki i zależności archeologii, etnografii, prehistorii, filologii.

Jednym z jego bratanków był Andrzej Mycielski senior, profesor prawa, po wojnie we Wrocławiu, skąd go zapamiętałam, a różne szczegóły znajomości naszych rodziców przypomnieli mi zaproszeni do rodzinnej opowieści dzieci profesora Andrzeja Mycielskiego: prof. Andrzej Mycielski junior, jego siostra prof. Elżbieta Mycielska-Dowgiałło oraz bratanek obojga, syn prof. Jerzego Mycielskiego, zmarłego w 1984 r., Maciej, z pewnością też przyszły profesor, jako że pracuje w Uniwersytecie Warszawskim.

Rozmowy o wszystkim

Andrzej przyszły ojciec trójki profesorów studiował prawo w Krakowie, a historię sztuki i sztukę samą poznawał pod kierunkiem stryja Jerzego, z którym odbył kilka zagranicznych podróży.

Wybitny humanista Jerzy miał jeszcze innych bratanków: Zygmunta – znanego kompozytora i muzykologa, Jana – malarza i doktora praw, Kazimierza – dyplomata.

Z Andrzejem łączyła go przyjaźń szczególnie serdeczna, toteż Andrzej junior uważa, że atmosfera jego rodzinnego domu była sukcesją po stryjecznym dziadku. Najkrócej określają ją moi rozmówcy złożonym przymiotnikiem: akademicko-intelektualna. – Powolne rozważanie, czasami wielogodzinne, czasami irytujące dla otoczenia, spekulacje, często nie prowadzące do niczego, ale ćwiczące młodych ludzi w wysiłku umysłowym i zaszczepiające przekonanie, że to może trwać przez długą część dnia były charakterystyczną cechą rodzinnego domu, w którym wzrastała cała trójka przyszłych profesorów.

Maciej, przedstawiciel młodego pokolenia, syn zmarłego Jerzego i Doroty z domu Morawskiej także росł w takim domu, gdzie rozważania na „tematy abstrakcyjne” były codziennością i uważa to za wielki przywilej swego dzieciństwa oraz oręż przeciwko frustracjom wieku młodzieńczego, jakie dotknęły wielu jego kolegów w epoce gierkowskiej, kiedy okazywało się boleśnie, że różne wmawiane wzory i sukcesy są złudą. – Dzieci profesorów tego nie doznały, dlatego że nauczone były innych, autentycznych miar wartości różnych rzeczy. A uczyły się tego w domu, w tych właśnie nieustannych rozmowach, do niczego, zdawałoby się, nie prowadzących. Było w nich może coś z „próżniactwa” warstwy ziemiańskiej, jakiś luksus wynikający stąd, że nie trzeba się było troszczyć o kawałek chleba, ale też w tej sferze duchowo-intelektualnej tkwiła odporność na pokusy doczesne i doraźne pożądanja. Nie rozmawiało się o pieniądzach, o formalnych awansach, o przypadkowych zaszczytach.

Za wartość wyniesioną z domu uważają zgodnie – pani Elżbieta i jej brat Andrzej – kontakt z innymi ludźmi oraz umiejętność słuchania, konieczną w każdej prawdziwej wymianie myśli. „Zaangażowane słuchanie” cechowało wszystkich członków rodziny. Najdalej od doktrynerstwa, najdalej od forsowania swoich racji prowadzono dialog w niezmiennie ważnej dla Mycielskich kwestii wiary. Andrzej Mycielski senior miał do końca życia wiele wątpliwości i pytań, które ani tał ani dydaktycznie rozstrzygał wobec dzieci. Do ostatnich dni dzielił się nimi, przy czym nigdy nie trzeba było żadnej kwestii zaczynać od pieca – podkreśla córka Elżbieta – gdyż najważniejsze pytania były w umysłach i sercach stale obecne.

Ona sama mniej w tym wszystkim uczestniczyła dzieląc z matką trudy prowadzenia domu. – Mówiliśmy zawsze z moją matką – niech panowie dyskutują, to nie będą nam przeszkadzać przy zrobieniu obiadu – dzieli się wspomnieniami pani Elżbieta Kiedy prof. Mycielskiego wyrzucono z Uniwersytetu Wrocławskiego pod zarzutem sprzyjania Mikołajczykowi (absurdalnym, gdyż z tradycji oraz przekonań był konserwatystą) i rodzina zamieszkała w Magdalence pod Warszawą, pani Elżbieta wracając kiedyś po paru dniach nieobecności zauważyła na śmietniku, w obejściu, metrowej wysokości „babę” spalonego makaronu, który pozostawieni samym sobie

panowie ugotowali w kotle od bielizny, niedokładnie umyty. Pograżeni w gorącej dyskusji (może o zasadzie nieoznaczoności Heisenberga), nie zauważyli, że makaron się pieni (resztki mydła) i pali. Na pytanie pani Elżbiety stwierdzili ze smutkiem, że makaron niestety nie był do zjedzenia.

Dzisiaj pani prof. Elżbieta dodaje, że w takim zapamiętaniu intelektualnym nigdy nie było obojętności na ludzką dolę. Sędziwy profesor orientował się w życiu rodzinnym sekretarek i woźnych, współczuł z powodu chorób ich dzieci, cieszył się postępami w nauce. Taki model domu powieliły wszystkie dzieci, co przyświadcza Maciej, określając jako coś w pół drogi między stylem ziemiańskim, bezinteresownej rozmowy salonowej a debatą uniwersytecką. Prof. Jerzy Mycielski (najstarszy z trójki rodzeństwa) – był wybitnym fizykiem, a również ekonometristą (samoukiem). W tej drugiej dziedzinie współpracował z paroma znakomitymi ekonomistami i jako ekspert ONZ przez parę miesięcy przebywał w Tajlandii. Był człowiekiem wszechstronnych zainteresowań, na przykład interesował się historią, co Maciej (jego syn) uważa za jedno ze źródeł własnego wyboru. Brał się stąd często tematy rodzinnych debat, tak autentycznie a najnaturalniej rozszerzających horyzonty. Jego stryj, również fizyk Andrzej junior, młodszy o kilka lat, przemierzył we wszystkich kierunkach lasy w Magdalence, dyskutując ze swoim ojcem prawnikiem, zamiłowanym w sztuce, o granicach komputeryzacji; a działało się to na początku ery komputerów. Powracającym wątkiem była ocena secesji. Rozprawiano o zagadnieniach lingwistycznych, właściwie trudno by znaleźć, pośród zagadnień współcześnie istotnych, takie, które nie zaprzętałyby umysłów w rodzinie Mycielskich.

Porwał nas prąd

Wszystkie owe dysputy, spory i dzielenie się pytaniami towarzyszyły wytężonej pracy naukowej i dydaktycznej Andrzeja Mycielskiego seniora, najpierw w Wilnie (przedtem było paryskie stypendium Funduszu Kultury Narodowej w r. 1934), w tajnym nauczaniu podczas wojny na UJ i we współpracy z konspiracyjną prasą, potem w dalszym ciągu profesury we Wrocławiu. Zawsze też zajmował się popularyzowaniem prawa.

Marzył, żeby córka Elżbieta poszła w jego ślady, ona jednak interesowała się geografią i, może bardziej jeszcze, geologią. Od wielu lat uprawia obie te dyscypliny, a raczej prowadzi badania na ich pograniczu – po studiach geograficznych. Kiedy wybierała studia, w dalszych kręgach ziemiańskiej rodziny uważano to za fanaberię, jednakże młodzieńczym pasjom przeszkód nie stawiano. Prof. Andrzej junior dopowiada, że w czasach, kiedy oni troje wybierali drogę akademicką, alternatywą była „danina służalczości”, warunkująca spełnianie ambicji w każdej innej dziedzinie życia społecznego. – Myśmy byli, w gruncie rzeczy, paniska. Mogli nam nie dać paszportu, ale żeby nam ktoś wyznaczał, że mamy robić pracę taką lub inną, to nie wchodziło w grę. Mowa o pracy w naukach ścisłych, bo w humanistyce dopiero następne pokolenie zaznało swobody. Maciej, przygotowujący się do habilitacji, obserwował ojca wiedząc, że jego kolejne osiągnięcia od niego samego zależą, że zewnętrzne ograniczenia nie dotyczą samego sedna pracy badawczej, stanowiąc tylko jej, czasem uciążliwe, okoliczności. Przypominałam sobie, słuchając tego, moją rozmowę z prof. Jerzym Mycielskim (którą skonfiskowała cenzura w latach 80.) o granicach kompromisów koniecznych w życiu.

Od ojca fizyka syn historyk przejął podstawową kwalifikację badacza, tj. „chwyt buldoga” – umiejętność rozgryzienia problemu do końca, a także skłonność do konstruowania modeli, która nie jest bynajmniej właściwa jedynie fizykom i matematykom. W rodzinie jest zresztą również wybitny matematyk, prof. Jan Mycielski, pracujący w Ameryce (niegdyś razem ze Stanisławem Ulamem).

Andrzej Mycielski junior uważa, że najstarszy brat Jerzy był „intelektualistą od urodzenia”, on i jego siostra są nim „z przysposobienia”: – Nas porwał prąd. W tym prądzie dobrze się umieli znaleźć i dobrze nam szło, to inna sprawa. Oboje „porwani prądem” mają duży dorobek naukowy. Pani Elżbieta pracuje na UW, wiele czasu spędzając na wyprawach badawczych, głównie do Afryki, gdzie zajmuje się procesami pustynienia, ostatnio w krajach Maghrebu. Współpracuje z archeologami w Egipcie na stanowiskach w Sakkarze w rejonie piramid w schodkowej Dżoserze i w Marea koło Alexandrii. Wraz ze swoim zespołem prowadzi badania na Islandii, a także na Wyspach Zielonego Przylądka i w Uzbekistanie. Pan Andrzej w Instytucie Fizyki PAN prowadzi badania podstawowe. Kilka prac opublikował wspólnie ze starszym bratem. Obecnie hoduje kryształ – jak mówi się w rodzinie i w tym zakresie ma sukcesy na skalę międzynarodową.

Nie jest wszakże tak, by w uczonej, dość już długiej a bardzo bogatej tradycji, dominowali przyrodnicy, jak się wspólnie pragną określać. Pani profesor szybko wylicza, od stryjecznego dziadka, historyka sztuki, poczynając: muzykolog, dwaj prawnicy, dwaj fizycy, matematyk, biolog (Roman Mycielski), geograf, historyk – prawie tyle samo humanistów. Trzeba jeszcze dodać, że brat Macieja jest architektem, ale i pisuje o architekturze, co pewnie

„skończy się przynajmniej doktoratem”. Trzeci z synów Jerzego, ekonomista, zajmuje się ekonometrią. Już jest parę lat po doktoracie i teraz tuż przed habilitacją. Najmłodsza z czwórki dzieci Jerzego – Maryjka oddała parę tygodni temu pracę doktorską z pogranicza socjologii i nauk politycznych. Klan naukowców rośnie!

Użyteczność

Prof. Andrzej junior wiele lat z rzędu jeździł do Paryża współpracując z wybitną badaczką w jego dziedzinie, która wybierając się na emeryturę powiedziała, że chce zrobić przedtem „coś pożytecznego”. I „wydoktoryzowała” młodego człowieka z warszawskiego Instytutu Fizyki PAN. Mój rozmówca zapamiętał to sobie i bierze przykład wychowując młodych w poczuciu ważności badań naukowych, karier akademickich, nieustannego treningu umysłowego, jakie kształtowały jego rodzinę od połowy XIX w. Jako pracownik Polskiej Akademii Nauk udział w dydaktyce ma ograniczony, ale wkłada w nią wiele serca. Pani Elżbieta to samo wyniosła z domu i przeżywszy dwu i pół letni czas ascezy, kiedy pisząc pracę habilitacyjną i wychowując dzieci nie była ani razu w teatrze lub kinie, zebrała duży dorobek własny, ale zalicza doń na równi wykształcenie grupy doktorów w kieleckiej WSP, którzy dzisiaj pracują w Instytucie Geografii nowo powstałego Uniwersytetu i znacznej grupy doktorów warszawskich, którzy przekazują dalej i „budują znacznie szerzej” na tych wartościach, które im zaszczepliła. Pani profesor ma szczególne okazje do tego, przebywając z wychowankami na co dzień podczas wypraw naukowych. Żyjąc pod namiotami przy islandzkim lodowcu albo na marokańskiej Saharze daje się świadectwo własnej postawy, nie zawsze zauważalne od razu, a trwale zapadające w duszę.

W ciągu ostatnich 6 lat doświadcza jednej z największych przygód w swoim życiu będąc rektorem Szkoły Wyższej Przymierza Rodzin w Warszawie. Buduje od podstaw Uczelnię, na której wykładają znakomici dydaktycy a równocześnie wspierali ludzkie.

– Nie tylko staramy się uczyć na najwyższym poziomie, ale również wychowywać prawych ludzi – mówi Pani Elżbieta.

Szerszy krąg działalności pani Elżbiety i jej męża Andrzeja to praca w grupach duszpasterskich związanych z własną Parafią, Katolickim Ośrodkiem Adopcyjnym, katolickim ruchem Spotkań Mażeńskich i Mażeńskich Drog. Przez trzydzieści lat współprowadziła (wspólnie ze swoim mężem), w ramach tych ruchów, rekolekcje dla małżeństw i narzeczonych. Między innymi rekolekcji w Kijowie. Jest to oddawanie długu zaciągniętego gdzieś tam u naszych przodków, dalszych i bliższych.

Maciej Mycielski powiada: – Cokolwiek się stanie z misją inteligencji, z jej etosem – uniwersytet będzie uczył, a uczenie jest przekazywaniem wartości. To ogromna satysfakcja, jak się ma tych dwudziestoletnich studentów i widzi, jak budzą się intelektualnie – w ciągu jednego semestru! Jest to też ogromna odpowiedzialność, czasem aż przytłaczająca, kiedy człowiek sobie uświadomi, ile mógłby zrobić, a nie zawsze potrafi czy może zrobić.

Andrzej, stryj młodego historyka dopowiada na koniec jeszcze jedną ważną cnotę konieczną ludziom oddanym nauce, a mniej efektywną, i taką, która nie bywa tematem długich rozmów. Jest nią rzetelność, bez której badań uprawiać się nie da, która jednak ogromnie dużo znaczy w całym ludzkim życiu. „Chwyt buldoga” niezbędny jest do rozwiązywania wszelkich zadań, jeśli chce się je naprawdę rozwiązać. I tę cnotę upowszechnia wychowanie uniwersyteckie, jeśli wychowawcy rzetelnie je traktują.

Losy rodziny Mycielskich, którzy ze swych podkarpackich „obszarów dominialnych” poszli na Uniwersytet Jagielloński, a potem dalej są właściwie klasycznym modelem (o modelach sporo mówiliśmy podczas spotkania) rodowodu polskiej inteligencji. Osiągnięcia naukowe i kariery akademickie nie były dla nich powodem rozstania się z tradycjami światłej części warstwy ziemiańskiej. Stanowią razem bogaty zasób „tematów nieustających rozmów do niczego nie prowadzących”, z których przecież wynikają wartościowe nastawienia do ludzi i do świata.

Magdalena Bajer

Tekst powstał na podstawie audycji „Rody uczone”, nadanej w Polskim Radiu Bis we wrześniu 1999 r., sponsorowanej przez Fundację na rzecz Nauki Polskiej.



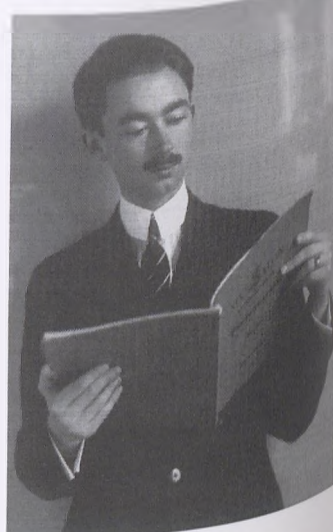
Felicia i Władysław Mycielscy.



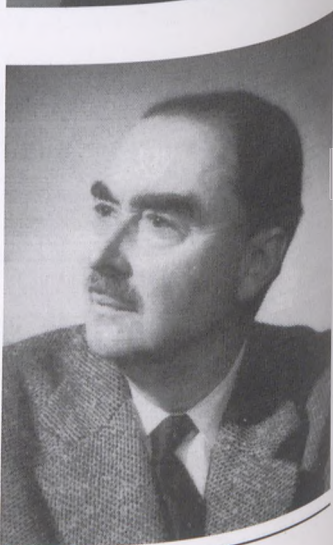
Prof. Jerzy Mycielski, historyk sztuki, protoplasta linii profesorskiej.



Andrzej Mycielski, profesor prawa na Uniwersytecie Stefana Batorego.



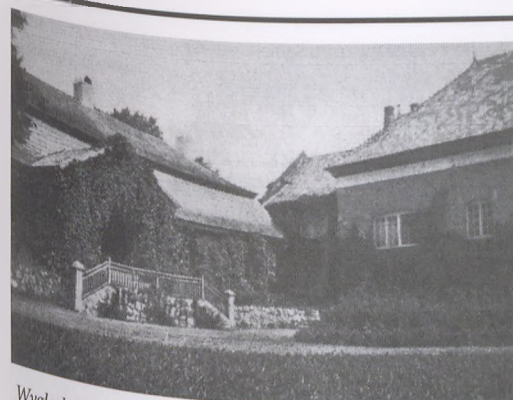
Felicia Mycielska z synem Andrzejem.



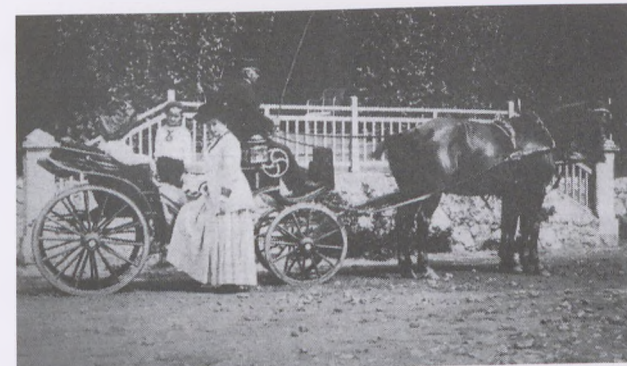
Profesor Andrzej Mycielski, Wrocław, lata 60. XX w.



Ślub Marii Mańkowskiej i Andrzeja Mycielskiego w Kazimierzu Biskupim. Po prawej stronie Pana Młodego stoją Stanisław i Wanda Mańkowscy, rodzice Panny Młodej, a po lewej stronie Władysław Mycielski, ojciec Pana Młodego.



Wygląd dworu w Łuczanowicach. Stary dwór po lewej stronie i nowy, po prawej, budowany przez Władysława Mycielskiego.



Felicia Mycielska z synem Andrzejem przed gankiem starego dworu, na koźle siedzi woźnica - Kacper Twaróg.



Elżbieta Mycielska (w rodzinie zwana Bisią), późniejsza profesor geografii Elżbieta Mycielska-Dowgiałło



Jurek i Bisia Mycielscy na wakacjach u dziadków, 1935 r.



Spotkanie w Łuczanowicach z Felicią Mycielską (w środku), z okazji bierzmowania w Ruszczy. Wśród stojących od prawej Felicji Mycielskiej - Helcia Kasprzyk, a trzeci od prawej Jurek Mycielski. Po lewej stronie Felicji Mycielskiej stoi Janka Szydłówna, a trzecia od lewej Bisia Mycielska. Najmniejszy chłopczyk na przodzie w jasnym ubranku to Władek Potocki, syn Anny z domu Mycielskiej Ignacowej Potockiej, a po prawej jego stronie (w białej bluzce i sweterku) stoi Andrzej Mycielski (brat Jurka i Bisi), lata 40.

Wspomnienia o Pawle Sendorze i jego rodzinie

Paweł Sendor – urodził się 23 sierpnia 1878 roku w podkrakowskiej wsi Przylasek Rusiecki w Galicji w rodzinie rolnika Józefa Sendora i Agaty z Szewczyków. Józef Sendor był Węgrem, który przybył do Galicji z armią austro-węgierską. Jego nazwisko pierwotnie brzmiało Sandor. Ożenił się z panną z Przylasku Rusieckiego i tam osiadł. Podobnie jak inne rodziny żołnierzy c.k. armii rodzina Józefa Sendora znajdowała się pod troskliwą opieką hr. Teodozjusza Mycielskiego. Agata z Szewczyków pragnęła, by synowie uzyskali wykształcenie i ubierali się „po pańsku”, dlatego też w ich środowisku nazywani byli „paniczami”.

W czasach kawalerskich Paweł Sendor pracował we dworze hrabiego Władysława Mycielskiego – (syn Teodozjusza) w Łucznowicach jako stangret, a potem mechanik odpowiedzialny za utrzymanie i obsługę maszyn na folwarku. Tutaj poznał swą przyszłą żonę.

Jego wybranką została Katarzyna, o siedem lat młodsza córka Ignacego Kwatra i Anny z Ropów. Jej siostra, Maria, wyszła za pana Pardalewicza – syna właścicieli majątku w Węgrzynowicach. Mezalians syna nigdy nie został zaakceptowany przez jego rodziców, dlatego po śmierci młodego Pardalewicza w czasie I wojny światowej, Maria z córeczką Heleną musiała opuścić dwór i wrócić do rodzinnej wsi.

Dom rodzinny Kwatrów znajdował się w centrum wsi naprzeciw karczmy, sąsiadując m.in. z domem Ropów. Podobnie jak inne domy we wsi chata ta była pomalowana na niebiesko i kryta strzechą. Stała bokiem do dzisiejszej ulicy Godebskiego pod pięknym starym dębem.

Tuż po ślubie Paweł i Katarzyna zamieszkali w Przylasku Rusieckim. Tam przyszły na świat ich dzieci: Józio, Mania i Jaś. Najstarszy syn zmarł w wieku niemowlęcym. Przed 1916 rokiem Paweł za solidną pracę w majątku hrabiego Mycielskiego został hojnie wynagrodzony. Otrzymał 15 mórg lasu i wraz z rodziną zamieszkał w leśniczówce poza wsią, na wzniesieniu dominującym nad leżącą w dolinie wsią. Do ich „nowej” siedziby prowadziła polna droga wijąca się z boczem pagórka wśród drzew.

W topografii wsi miejsce to jest w pewnym sensie wyjątkowe, albowiem z jednej strony własność Sendorów sąsiadowała od północy z lasem Mycielskich, a z drugiej strony, od zachodu z „kopcem Lutrów” – cmentarzem kalwińskim – będącym pamiątką po rodzinie Żeleńskich – dawnych właścicielach Łuczanowic. O ile do dziś można podziwiać unikatowy w skali kraju niedawno odrestaurowany cmentarz kalwiński z XVIII wieku, o tyle las łuczanowski istnieje już tylko w świadomości starszych mieszkańców Łuczanowic. Choć las został wycięty w 1914 z rozkazu wojskowych władz austriackich w ramach oczyszczania przedpoja twierdzy Kraków, do dziś w lokalnej gwarze można zetknąć się z określeniem „pole za lasem”. Mieszkańcy okolicznych wsi nazywali mieszkańców Łuczanowic „grzybiarzami”.

Podobnie jak rodzice i prawie wszyscy mieszkańcy wsi, rodzina Sendorów utrzymywała się z pracy we własnym gospodarstwie i z usług świadczonych na rzecz dworu. Paweł Sendor był pracowitym i przedsiębiorczym gospodarzem. Małżonkowie hodowali inwentarz żywy: konia i krowy, posiadali pasiekę i kuźnię. Na terenie systematycznie karczowanego lasu Paweł założył sad, zaś pochodzące z wyrębu lasu drewno było sprzedawane do tartaku żydowskiego handlarza drewnem z Kocmyrzowa – Mamesa.

Najbliższymi sąsiadami Sendorów były rodziny Jakuba Kwatra – brata Katarzyny, oraz Franciszka Frankiewicza (ostatni dom przed kopcem), a także rodzina Rybkowskich, później Natkańców.

Paweł będąc człowiekiem wykształconym, jak na warunki galicyjskiej wsi, przez kilkanaście lat pełnił funkcję sołtysa wsi Łuczanowice. Mógł sprawować ten urząd w latach 1916 do 1929, z tego bowiem czasu zachowały się w rodzinie prowadzone przez niego „Karty pośmiertne”. Jako sołtys zobowiązany był do systematycznego zapisywania danych osób zmarłych w Łuczanowicach. Dziś stanowią one bogate źródło wiedzy na temat stanu zdrowia tej społeczności, najczęstszych przyczyn zgonów, dostępu do opieki medycznej itp.

Spokojną egzystencję rodziny Sendorów przerwała wojna. W czerwcu 1917 roku 38-letni Paweł został zmobilizowany do służby w armii austriackiej. Zostawił w domu żonę i troje dzieci: Józia, Manię i Jasia. Z 1917 roku pochodzi zdjęcie rodziny Sendorów. On stoi w mundurze żołnierza c.k. armii, a u jego boku żona, Katarzyna z Kwatrów, w stroju krakowskim. Towarzyszą im dzieci: najstarszy Józio (1907), Mania (1910) i Jaś (1913) – wówczas najmłodszy.

Paweł służył na froncie bałkańskim ok. pół roku (od czerwca do listopada 1917 r.) w 158 Baonie Landsturm Infanterie (piechoty pospolitego ruszenia). Stacjonował w obozie w Bršadin w Słowenii.

Z tamtego okresu zachowała się korespondencja małżonków. Są to 4 kartki pocztowe (Feldpostkorrespondenzkarte): trzy napisane przez Pawła i jedna wysłana na front, do obozu wojskowego w Bršadin przez Katarzynę.

nę. Dziś, już niezwykle trudne do odczytania, są dowodem tęsknoty, przywiązania, miłości i szacunku, jakim darzyli się małżonkowie rozdeleni przez wojnę, która zburzyła ich normalne, spokojne życie rodzinne.

Kartka Katarzyny Sendor do męża Pawła Sendora (z 28.VI. 1917, ok. trzech tygodni po wyjeździe męża na front)

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Kochany mężu najsamprzód dowiaduję się o twoim miłym zdrowiu i powodzeniu. Dzięki Bogu są my zdrowi, tylko mnie niespokoi, jak tam z tobą, (co) słychać.

U nas teraz jest ładnie, tylko by się deszczu więcej zdało. Pszczoły się ciągle roją, że już nie wim, co robić. Jak odjechałeś to zaraz na trzeci dzień już roły pirszy raz. Drugi raz na drugi tydzień, a trzeci raz dziś. Ale mi się to z tym już nie chce robić. Było dobrze. Siadły na hangrysie*. Ul był gotowy i tyłkom urznął gałązkę, wsadziłam do ula i już są drugie, lecz ul, co był przy stajni – nie było w nim ani ..., dlatego nie umie przylepić, więc także urznął gałązkę wstawiłam i dziś zajrzałam, to te już (tak to) ładnie zaroiły. A te były trzecie gorzy siadły na sliwie na środku pomiędzy gałązki, więc musiałam zebrać na zesutko, bo cały sliwy nie dało się urznąć, i do tego malutkiego ula włożyłam. To nie wiem, czy zostaną tam ...

26 wysłałam ci dwa pakiety, w dużym – suchy chleb, a w małym – papierosy, paczkę tabaku, trochę cukru i (...)

„Gdyby cie moje oczka uwidziały

To by moje rączki inaczej pisały ...”

* hangrys: gwar. agrest

Paweł Sendor – kartki z frontu do żony Katarzyny

12/7 1917

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Kochana żono, najsamprzód dowiaduję się o twoim miłym zdrowiu i powodzeniu. Ja dzięki Panu Bogu jestem zdrowy, tylko mi piszesz, że byłem dumny, ale się nie masz, co dziwić, bo jageś ty była chora, to cię nic nie cieszyło. Tak też i ja. Wcale mię nic nie cieszyło, chodźem był zadowolony.

(...) ty kochana żono, co byś była mogła, to byś mi dała, alem nie miał do niczego ochoty, bo com zjat to mi było niedobrze i nie miał do niczego smaku. Tylko rosół i to mleko jeszcze mię najłepi trzymało. Zapału też nie miał. Teraz to mam do wszystkiego apetyt.

Ino o przyjaździe to ja też pytał, ale wątpię, żeby to było. Może też odjedziemy kiedy, ale się to nie ma co spodziewać, bo my są frontowi (...).

Zostaj z Bogiem najukochańsza żono.

Dnia 20/X 1917

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Maryja Matka jego.

(...) Kochana żono nasamprzód dowiaduję się o twoim miłym zdrowiu i powodzeniu.

Ja dzięki Panu Bogu jestem zdrowy i dziś od(d)ali mi dwa małe pakiety coś posłała 16 i bardzom się ucieszył, żeś mi posłała tabaku i papierosy, bo mi to(...) więcej jak 10 koron i ciastka bardzo dobre, i przyszły całe w porządku, i dziękuję ci jak najserdeczniej, bom tak wyglądał, bom nie miał co palić i tę kartkę posyłam przez jednego, co jedzie na Wiedeń, to może prędzej dojdzie, a druga będzie mniejsza. Nareszcie to która dojdzie.

Pozdrawiam cię jak najserdeczniej. Zostaj z Bogiem.

Dnia 1917 X 26

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Kochana żono najsamprzód dowiaduję się o twoim miłym zdrowiu i powodzeniu. Ja dzięki Panu Bogu jestem zdrowy, tylko ci donoszę, ażebyś mi już pakietów nie przysyłała, bo ja już długo nie będę. Tylko jeszcze się spodziewam, że mieś. nadejdzie dopiary bym się zapakował do Krakowa (do) kadry.

U nas jest czas ładny.

Zostaj z Bogiem moja najukochańsza żono. Ściskam i całuję Józia, Manię i Jasia kochanego.(...)

P.S. Paweł wrócił, więc szczęśliwie do domu w listopadzie lub na początku grudnia 1917 roku. Niezwłocznie przystąpił do wypełniania swoich kancelaryjnych obowiązków jako sołtys. W kartach pośmiertnych po około półrocznej przerwie odnajdujemy kolejny jego wpis z 11 grudnia 1917 roku. Dwa lata później Pawła i Katarzynę los boleśnie doświadczył. Po 10 dniach choroby, 9 października 1919 r., zmarł na czerwonkę ich sześciolatek synek – „kochany Jasiek”. Po powrocie z frontu w rodzinie Pawła i Katarzyny przyszło na świat jeszcze czworo dzieci: Julia (1918), Józefa (1920) i Władysław (1923).

Okres międzywojenny to czas dalszego rozkwitu gospodarstwa Sendorów. W roku 1923 powstał ich nowy dom w Łuczanowicach pod numerem 41. Drewno na budowę domu pochodziło z własnego lasu. Drewniane bale przetransportowano do tartaku Mamesa, gdzie zostały pocięte na deski. Obecnie, ów dom – typowa galicyjska chata z charakterystycznym, przylegającym od południa ozdobnym gankiem jest jednym z ostatnich w Łuczanowicach przykładów architektury drewnianej. Przy domu powstały budynki gospodarcze: stajnia i stodoła. W tym czasie Paweł Sendor, posiadający 15 mórg gruntu, należał do najzamożniejszych gospodarzy we wsi. Prace ułatwiał mu nowoczesny, jak na ówczesne czasy, sprzęt: dwie młockarnie, kierat, kopiarka oraz siewnik produkcji niemieckiej. W posiadanie siewnika Paweł wszedł w dość nietypowy sposób. Otóż wygrał go na loterii. W porównaniu do innych nagród np. garnków, był to bardzo kosztowny nabytek.

Wśród pamiątek rodzinnych po Pawle i Katarzynie dotrwał do naszych czasów dokument z dnia 28 czerwca 1937 r. wystawiony w urzędzie gminnym w Ruszcy, zawierający prośbę skierowaną do Komunalnej Kasy Oszczędności Powiatu Krakowskiego o udzielenie pożyczki wekslowej w kwocie 400 zł na pokrycie budynków dachówką zniszczoną gradobiciem oraz na obsianie i wyżywienie po żniwach. Jako poręczyciele wystąpili Jakub Kwater – brat Katarzyny i sąsiad Franciszek Frankiewicz. Tak, więc również i w Łuczanowicach pamiętna klęska nieurodzaju z roku 1937 zebrała swoje żniwo.

Gdy nastał czas okupacji dom Sendorów stał się schronieniem dla rodziny Paulusów wysiedlonych przez władze Rzeszy z Poznańskiego do Generalnej Guberni. W ich gościnnym domu mogli bezpiecznie doczekać końca wojny i powrotu w rodzinne strony.

W czasie okupacji, los boleśnie doświadczył rodzinę Sendorów. Ich córka Julia padła ofiarą łapanek w Krakowie na Grzegórkach. Postrzelona podczas próby ucieczki z pociągu jadącego do Oświęcimia, zginęła w obozie zagłady. Najstarszy syn Józef, przed wojną modelarz-odlewnik, po praktykach w zakładach Zieleniewskiego, podjął pracę w zakładach Klimka na ul. Mogińskiej w Krakowie, ożenił się z panną Zasiurówną z Prus. W czasie okupacji został wywieziony na roboty do Niemiec, a następnie do obozu w Buchenwaldzie. Przeżył obozową gehennę i powrócił do domu. Maria wyszła za mąż i zamieszkała w Łuczanowicach w dawnej leśniczówce. W domu rodzinnym pozostała Józefa, zaś najmłodszy Władysław po wojnie wybudował obok własny dom. Podobnie jak ojciec, Władysław był wieloletnim opiekunem cmentarza kalwińskiego w Łuczanowicach.

W 1943 roku zmarła Katarzyna, a w 1946 jej mąż Paweł Sendor.

Swoimi wspomnieniami o Pawle Sendorze oraz posiadanymi pamiątkami rodzinnymi podzielili się p. Julian Sendor (wnuk) i p. Maria Szopa (wnuczka).

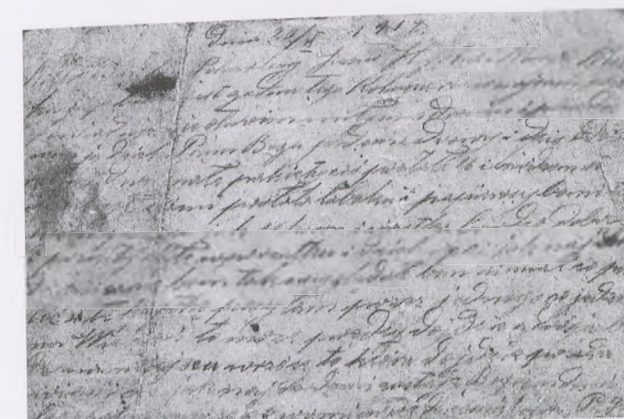
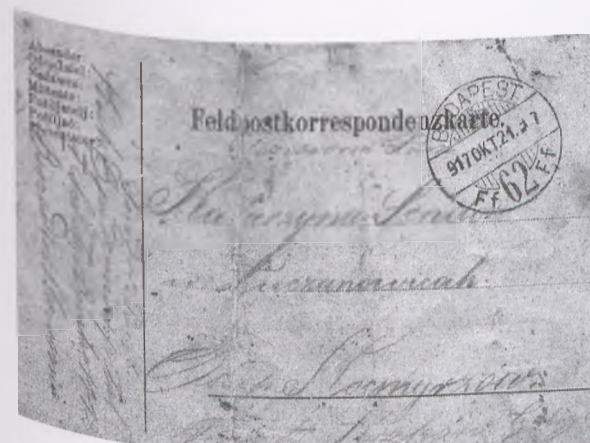
Notowała Anna Adamska



Paweł Sendor i Katarzyna z Kwater z dziećmi.

Juxta	9.
Liczba bież.	9.
Łuczanowice № 41.	
Jan Sendor	
lat 6	
Przym - kat.	
miałny	
syn Pawła i Katarzyny Sendorów	
Łuczanowice i Porywacki R.	
9/10 919.	
czerwona	
11/10 919.	
choroba 10 dni	
Łuczanowice dnia 11/10	

Karta pośmiertna z 1919 r. zmarłego na czerwonkę sześciolatek syna „kochanego Jasia”



List z 20 października 1917 r. do Katarzyny Sendor od męża.

Historie z rodzinnego albumu

Pani Janina Rażny całe swoje życie spędziła w Łuczanowicach – w domu rodzinnym położonym przy kręto wijącej się drodze prowadzącej na kopiec arian. W jej domowym archiwum znajdują się zdjęcia ilustrujące koleje losu jej samej i krewnych należących do czterech pokoleń, których znaczna część życia przypada na wiek XX.

Przedwczesna śmierć Józia

Album rodzinny otwiera najstarsze zdjęcie pochodzące z 1900 roku wykonane w zakładzie fotograficznym Szymona Balicera przy ul. Kolejowej w Krakowie. Na starej pożółklej fotografii siedzą dziadkowie pani Janiny: Michalina Rybkowska z domu Bączek, jej mąż Piotr Rybkowski, a na wiklinowym stoliku ich roczna córeczka Józia.

Rodzina Rybkowskich do 1913 roku mieszkała w Grębałowie, a potem przenieśli się do Łuczanowic, gdzie zakupili działkę od Katarzyny Zamojskiej. Oprócz Józia, Michalina i Piotr mieli jeszcze troje dzieci: Adama, Ferdynanda i Karolinę.

Piotr był pracownikiem kolei w Krakowie. Józia – najstarsza córka, małżeństwa Rybkowskich, zmarła w wieku 19 lat. Zaziębiła się w czasie podróży do Austrii podczas I wojny światowej, dokąd udała się wraz z matką po żywność, która w ramach akcji charytatywnej była rozdawana ludności z terenów objętych działaniami wojennymi. Michalina jako żona pracownika kolei korzystała z darmowych przejazdów. Panujące w zniszczonym pociągu przeciagi okazały się zgubne dla zdrowia Józia. Chorowała bardzo krótko. Wysoka, nieustępująca gorączka i szybko wyniszczająca osłabiony organizm choroba sprawiły, że najbliżsi i lekarz byli bezradni... Józia zmarła po dwóch tygodniach.

Śmierć w Posądku

Z czasem synowie, Adam i Ferdynand Rybkowscy, opuścili dom rodzinny. Obaj założyli rodziny i zamieszkali w Łuczanowicach. Adam w okresie międzywojennym odbył służbę wojskową w 12 pułku piechoty 4 kompanii w Wadowicach, co dokumentuje pamiątkowe zdjęcie z 1931 roku.

Po powrocie do cywila ożenił się z mieszkanką Łuczanowic, Katarzyną Ziębówną i zamieszkał wraz z nią w domu swego teścia, Tomasza Zięby przy łuczanowickiej karczmie. Nie było mu jednak długo cieszyć się szczęściem rodzinnym. Wkrótce wybuchła druga wojna światowa i nadszedł ponury czas okupacji. Adam Rybkowski, zginął w drodze do Proszowic zastrzelony w Posądku przez Niemców. Pozostawił wdowę i troje dzieci.

Ferdynand ożenił się z Zofią, pokojówką we dworze Mycielskich. Ich dzieci to Jerzy, Maria i Wanda.

Dworska krawcowa i bohater wojenny

Siostra Adama i Ferdynanda – Karolina Rybkowska (1903-1966) wyszła za mąż za Józefa Natkańca (1899-1956), mieszkańca Łuczanowic i została w domu rodzinnym przy dzisiejszej ul. Orłowskiego.

Portrety Karoliny ukazują elegancką młodą kobietę, ubraną zgodnie z ówczesną modą, falujące włosy zaczepione do góry i biżuteria podkreślają szyk i kobiecość. Elegancja stroju i moda to ważny rys w życiu tej kobiety. Przez długie lata była ona krawcową w łuczanowickim dworze, gdzie realizowała wiele zamówień dla pań Mycielskich, a zwłaszcza dla pani Anny Potockiej, córki Władysława i Felicji Mycielskich. Z tej też przyczyny spędzała w pałacu nieraz cały tydzień. O kunszcie jej krawiectwa świadczy fakt, że panie w uszytych przez nią kreacjach paradowały w ziemiankich salonach. Jest to warte podziwu tym bardziej, że Karolina Natkaniec nie posiadała stosownego wykształcenia w tym zawodzie. Była niezwykle utalentowanym samoukiem. Szyła nie tylko dla dworu, ale i dla kobiet z Łuczanowic i sąsiednich wsi.

Mąż Karoliny – Józef Natkaniec (1899-1956) – pochodził z rodziny mieszkającej w Łuczanowicach co najmniej od końca XIX wieku. Rodzina Natkańców była spokrewniona z rodziną Twarogów. Matki Józefa Natkańca i Franciszka Twaroga – późniejszego nauczyciela ludowego z Luboczy – były siostrami, zaś obaj ojcowie byli stangretami dworskimi. Po I wojnie światowej Natkańcowie opuścili Łuczanowice i zamieszkali w Krakowie przy ul. Czarnowiejskiej.

Szesnastoletni Józef jako ochotnik zaciągnął się do oddziałów strzeleckich Piłsudskiego, które w nocy z 5 na 6 sierpnia 1914 roku wyruszyły z Oleandrów do Królestwa Polskiego. Podczas walk w Kongresówce, mających na celu wywołać antyrosyjskie powstanie, dostał się do niewoli rosyjskiej i został wywieziony na Syberię. Po powrocie z zesłania wziął udział w wojnie polsko-bolszewickiej 1919-1920. Na zdjęciu portretowym z 1925 roku widzimy 26-cioletniego Józefa Natkańca w mundurze pracownika Poczty Polskiej – na jego piersi widnieje Krzyż Virtuti Militari przyznany mu za udział w walkach legionowych i w wojnie obronnej Polski 1921 roku. Z dumą nosił to najwyższe polskie odznaczenie wojskowe.

Do Krakowa wrócił w 1922 roku, a dwa lata później ożenił się z Karoliną Rybkowską.

Okupacyjne dzieciństwo i młodość

Urodzona w 1927 roku Janina była jedynym dzieckiem małżeństwa Natkańców – oczkiem w głowie rodziców. Zawsze starannie ubrana i uczesana, pogodna dziewczynka, często jak na ówczesne czasy stała przed obiektywem aparatu fotograficznego. Na zdjęciu z 16 sierpnia 1928 roku, siedzi na baranej skórze bobasek z białą kokardą we włoskach – roczna Jasia Natkańcówna. Następnie siedmioletnią dziewczynkę widzimy obok swej kuzynki Frani Rybkowskiej – córki wujka Adama, która siedzi trzymając maskotkę na kolanach. Dwa lata później Jasia przystępuje do Pierwszej Komunii. Upalny, sierpniowy dzień 1936 roku, Planty krakowskie – Józef z dziewięcioletnią córką Janiną zmierzają w stronę Dworca Głównego. Mają udać się do Krynicy: Jasia – na wypoczynek wakacyjny, a jej ojciec – do pracy. Józef, jako pracownik poczty, co roku w pełni sezonu turystycznego był wysyłany do Krynicy.

Rok 1939 położył kres dotychczasowemu życiu w kraju, który dopiero od 20 lat cieszył się wolnością. Wojna, a potem okupacja brutalnie przerwała normalny tryb pracy i nauki. Antypolska polityka okupanta niemieckiego mająca na celu biologiczne i moralne wyniszczenie narodu polskiego przejawiała się m.in. w zamknięciu polskich gimnazjów i uczelni wyższych, ograniczeniu nauki w szkołach podstawowych do niezbędnego minimum. Szczęśliwe i beztrudne dzieciństwo Janiny bezpowrotnie minęło. Rodzice pragnący zapewnić swojej zdolnej jedynaczce solidne wykształcenie stanęli przed trudnym wyborem odpowiedniej dla niej szkoły.

Po ukończeniu pięciu klas w szkole elementarnej w Dojazdowie, Janina przez dwa kolejne lata (1939-41) uczyła się w Krakowie na rogu ulicy Czarnowiejskiej i Konarskiego (dziś róg Lea i Misjonarskiej). Z tego okresu pochodzi zdjęcie do legitymacji szkolnej (ausweis), na którym widzimy ją jako dwunastoletnią dziewczynę z pięknymi warkoczami. Zdjęcie z pieskiem zostało zrobione na tyłach szkoły przy ul. Czarnowiejskiej w ogrodach księży misjonarzy, gdzie prowadzili oni hodowlę jarzyn i kwiatów. Czas wolny od zajęć szkolnych spędzała w domu rodzinnym w Łuczanowicach. Spotykała się ze swymi koleżankami.

Po ukończeniu szkoły podstawowej, Janina rozpoczęła naukę w prywatnej szkole w Podgórzu na ul. Smolki 9, której oficjalna nazwa brzmiała: Prywatne Kursy Handlowe prof. Józefa Zauchy. Dodatkowo uczestnicy kursów brali udział w tajnych kompletach w aptece Pod Orłem należącej do mgr Tadeusza Pankiewicza. Apteka ta była miejscem niezwykłym na mapie okupowanego Krakowa. Stała się ona od pierwszego dnia istnienia getta miejscem spotkań elit żydowskich, punktem kontaktowym Żydów ze światem zewnętrznym, dawała schronienie podczas nocnych aresztowań, tuż przed wysiedleniem getta tutaj zostawiono ostatnie wiadomości dla bliskich... Pod jej szyldem odbywało się również tajne nauczanie, gdzie uczniowie kursów ze szkoły przy ul. Smolki poznawali tajniki języka ojczystego i historii.

Ten okres w życiu Janiny wówczas trzynastoletniej uczennicy kursów w Podgórzu, gdzie z murami getta rozgrywał się dramat żydowskiej społeczności Krakowa, upamiętnia fotografia z 1943 roku. Janina Natkaniec – pierwsza z prawej w pierwszym rzędzie pozuje do zdjęcia w gronie 8 koleżanek i kolegi Feliksa przed bramą szkoły na ul. Smolki 9. Jest to prawdopodobnie dzień ukończenia kursu i rozdania świadectw – 30 czerwca 1943 roku.

Spośród dziewcząt, dwie siostry, a zarazem serdeczne przyjaciółki Janiny: Henryka i Kazia Gronner nie przeżyły okupacji. Zostały zatrzymane w łapance i zamordowane przez Niemców. Były pochodzenia żydowskiego. Wiadomo, że mieszkaly u swej krewnej na Wieczystej naprzeciw młyna.

Wśród okupacyjnych wspomnień pani Janiny jest i takie zdarzenie, które mogło się dla niej skończyć w obozie zagłady. Jeżdżąc z Łuczanowic kolejką kocmyrzkowską do szkoły w Podgórzu, wysiadła na stacji Grzegórzki, gdzie często miały miejsca łapanki. Pewnego ranka po wyjściu z pociągu Janina znalazła się w grupie, którą Niemcy otoczyli i wpędzili do szkoły przy ul. Wąskiej. Tam miało miejsce sprawdzanie „auswaisów” i siatkowanie. Ubrojeni w karabiny hitlerowcy wskazywali placem tych, dla których podróż miała się skończyć w obozie zagłady. Jeden z volksdeuchów, potężnej postury mężczyzna, wyciągnął z tłumu dziewczynę z pięknymi

Historie z rodzinnego albumu

Pani Janina Rażny całe swoje życie spędziła w Łuczanowicach – w domu rodzinnym położonym przy kręto wijącej się drodze prowadzącej na kopiec arian. W jej domowym archiwum znajdują się zdjęcia ilustrujące koleje losu jej samej i krewnych należących do czterech pokoleń, których znaczna część życia przypada na wiek XX.

Przedwczesna śmierć Józia

Album rodzinny otwiera najstarsze zdjęcie pochodzące z 1900 roku wykonane w zakładzie fotograficznym Szymona Balicera przy ul. Kolejowej w Krakowie. Na starej poźółklej fotografii siedzą dziadkowie pani Janiny: Michalina Rybkowska z domu Bączek, jej mąż Piotr Rybkowski, a na wiklinowym stoliku ich roczna córeczka Józia.

Rodzina Rybkowskich do 1913 roku mieszkała w Grębałowie, a potem przenieśli się do Łuczanowic, gdzie zakupili działkę od Katarzyny Zamojskiej. Oprócz Józii, Michalina i Piotr mieli jeszcze troje dzieci: Adama, Ferdynanda i Karolinę.

Piotr był pracownikiem kolei w Krakowie. Józia – najstarsza córka, małżeństwa Rybkowskich, zmarła w wieku 19 lat. Zaziębiła się w czasie podróży do Austrii podczas I wojny światowej, dokąd udała się wraz z matką po żywność, która w ramach akcji charytatywnej była rozdawana ludności z terenów objętych działaniami wojennymi. Michalina jako żona pracownika kolei korzystała z darmowych przejazdów. Panujące w zniszczonym pociągu przeciagi okazały się zgubne dla zdrowia Józii. Chorowała bardzo krótko. Wysoka, nieustępująca gorączka i szybko wyniszczająca osłabiony organizm choroba sprawiły, że najbliżsi i lekarz byli bezradni... Józia zmarła po dwóch tygodniach.

Śmierć w Posądku

Z czasem synowie, Adam i Ferdynand Rybkowscy, opuścili dom rodzinny. Obaj założyli rodziny i zamieszkali w Łuczanowicach. Adam w okresie międzywojennym odbył służbę wojskową w 12 pułku piechoty 4 kompanii w Wadowicach, co dokumentuje pamiątkowe zdjęcie z 1931 roku.

Po powrocie do cywila ożenił się z mieszkanką Łuczanowic, Katarzyną Ziębówną i zamieszkał wraz z nią w domu swego teścia, Tomasza Zięby przy łuczanowickiej karczynie. Nie było mu jednak dane długo cieszyć się szczęściem rodzinnym. Wkrótce wybuchła druga wojna światowa i nadszedł ponury czas okupacji. Adam Rybkowski, zginął w drodze do Proszowic zastrzelony w Posądku przez Niemców. Pozostawił wdowę i troje dzieci.

Ferdynand ożenił się z Zofią, pokojówką we dworze Mycielskich. Ich dzieci to Jerzy, Maria i Wanda.

Dworska krawcowa i bohater wojenny

Siostra Adama i Ferdynanda – Karolina Rybkowska (1903-1966) wyszła za mąż za Józefa Natkańca (1899-1956), mieszkańca Łuczanowic i została w domu rodzinnym przy dzisiejszej ul. Orłowskiego.

Portrety Karoliny ukazują elegancką młodą kobietę, ubraną zgodnie z ówczesną modą, falujące włosy zaczesane do góry i biżuteria podkreślają szyk i kobiecość. Elegancja stroju i moda to ważny rys w życiu tej kobiety. Przez długie lata była ona krawcową w łuczanowickim dworze, gdzie realizowała wiele zamówień dla pań Mycielskich, a zwłaszcza dla pani Anny Potockiej, córki Władysława i Felicji Mycielskich. Z tej też przyczyny spędzała w pałacu nieraz cały tydzień. O kunszcie jej krawiectwa świadczy fakt, że panie w uszytych przez nią kreacjach paradowały w ziemiańskich salonach. Jest to warte podziwu tym bardziej, że Karolina Natkaniec nie posiadała stosownego wykształcenia w tym zawodzie. Była niezwykle utalentowanym samoukiem. Szyła nie tylko dla dworu, ale i dla kobiet z Łuczanowic i sąsiednich wsi.

Mąż Karoliny – Józef Natkaniec (1899-1956) – pochodził z rodziny mieszkającej w Łuczanowicach co najmniej od końca XIX wieku. Rodzina Natkańców była spokrewniona z rodziną Twarogów. Matki Józefa Natkańca i Franciszka Twaroga – późniejszego nauczyciela ludowego z Luboczy – były siostrami, zaś obaj ojcowie byli przy ul. Czarnowiejskiej.

Szesnastoletni Józef jako ochotnik zaciągnął się do oddziałów strzeleckich Piłsudskiego, które w nocy z 5 na 6 sierpnia 1914 roku wyruszyły z Oleandrów do Królestwa Polskiego. Podczas walk w Kongresówce, mających na celu wywołać antyrosyjskie powstanie, dostał się do niewoli rosyjskiej i został wywieziony na Syberię. Po powrocie z zesłania wziął udział w wojnie polsko-bolszewickiej 1919-1920. Na zdjęciu portretowym z 1925 roku widzimy 26-cioletniego Józefa Natkańca w mundurze pracownika Poczty Polskiej – na jego piersi widnieje Krzyż Virtuti Militari przyznany mu za udział w walkach legionowych i w wojnie obronnej Polski 1921 roku. Z dumą nosił to najwyższe polskie odznaczenie wojskowe.

Do Krakowa wrócił w 1922 roku, a dwa lata później ożenił się z Karoliną Rybkowską.

Okupacyjne dzieciństwo i młodość

Urodzona w 1927 roku Janina była jedynym dzieckiem małżeństwa Natkańców – oczkiem w głowie rodziców. Zawsze starannie ubrana i uczesana, pogodna dziewczynka, często jak na ówczesne czasy stała przed obiektywem aparatu fotograficznego. Na zdjęciu z 16 sierpnia 1928 roku, siedzi na baraniej skórze bobasek z białą kokardą we włoskach – roczna Jasia Natkańcówna. Następnie siedmioletnią dziewczynkę widzimy obok swej kuzynki Frani Rybkowskiej – córki wujka Adama, która siedzi trzymając maskotkę na kolanach. Dwa lata później Jasia przystępuje do Pierwszej Komunii. Upalny, sierpniowy dzień 1936 roku, Planty krakowskie – Józef z dziewięcioletnią córką Janiną zmierzają w stronę Dworca Głównego. Mają udać się do Krynicy: Jasia – na wyjazd wakacyjny, a jej ojciec – do pracy. Józef, jako pracownik poczty, co roku w pełni sezonu turystycznego był wysyłany do Krynicy.

Rok 1939 położył kres dotychczasowemu życiu w kraju, który dopiero od 20 lat cieszył się wolnością. Wojna, a potem okupacja brutalnie przerwała normalny tryb pracy i nauki. Antypolska polityka okupanta niemieckiego mająca na celu biologiczne i moralne wyniszczenie narodu polskiego przejawiała się m.in. w zamknięciu polskich gimnazjów i uczelni wyższych, ograniczeniu nauki w szkołach podstawowych do niezbędnego minimum. Szczęśliwe i beztrudne dzieciństwo Janiny bezpowrotnie minęło. Rodzice pragnący zapewnić swojej zdolnej jedynaczce solidne wykształcenie stanęli przed trudnym wyborem odpowiedniej dla niej szkoły.

Po ukończeniu pięciu klas w szkole elementarnej w Dojazdowie, Janina przez dwa kolejne lata (1939-41) uczęszczała do Krakowa na rogu ulicy Czarnowiejskiej i Konarskiego (dziś róg Lea i Misjonarskiej). Z tego okresu pochodzi zdjęcie do legitymacji szkolnej (ausweis), na którym widzimy ją jako dwunastoletnią dziewczynę z pięknymi warkoczami. Zdjęcie z pieskiem zostało zrobione na tyłach szkoły przy ul. Czarnowiejskiej w ogrodzie księży misjonarzy, gdzie prowadzili oni hodowlę jarzyn i kwiatów. Czas wolny od zajęć szkolnych spędzała w domu rodzinnym w Łuczanowicach. Spotykała się ze swymi koleżankami.

Po ukończeniu szkoły podstawowej, Janina rozpoczęła naukę w prywatnej szkole w Podgórzu na ul. Smolki 9, której oficjalna nazwa brzmiała: Prywatne Kursy Handlowe prof. Józefa Zauchy. Dodatkowo uczestniczyła w tajnych kompletach w aptece Pod Orłem należącej do mgr Tadeusza Pankiewicza. Apteka ta była miejscem niezwykłym na mapie okupowanego Krakowa. Stała się ona od pierwszego dnia istnienia getta miejscem spotkań elit żydowskich, punktem kontaktowym Żydów ze światem zewnętrznym, dawała schronienie podczas nocnych aresztowań, tuż przed wysiedleniem getta tutaj zostawiono ostatnie wiadomości dla bliskich... Pod jej szyldem odbywało się również tajne nauczanie, gdzie uczniowie kursów ze szkoły przy ul. Smolki poznawali tajniki języka ojczystego i historii.

Ten okres w życiu Janiny wówczas trzynastoletniej uczennicy kursów w Podgórzu, gdzie z murami getta rozgrywał się dramat żydowskiej społeczności Krakowa, upamiętnia fotografia z 1943 roku. Janina Natkaniec – pierwsza z prawej w pierwszym rzędzie pozuje do zdjęcia w gronie 8 koleżanek i kolegi Feliksa przed bramą szkoły na ul. Smolki 9. Jest to prawdopodobnie dzień ukończenia kursu i rozdania świadectw – 30 czerwca 1943 roku.

Spośród dziewcząt, dwie siostry, a zarazem serdeczne przyjaciółki Janiny: Henryka i Kazia Gronner nie przeżyły okupacji. Zostały zatrzymane w łapanie i zamordowane przez Niemców. Były pochodzenia żydowskiego. Wiadomo, że mieszkaly u swej krewnej na Wieczystej naprzeciw młyna.

Wśród okupacyjnych wspomnień pani Janiny jest i takie zdarzenie, które mogło się dla niej skończyć w obozie zagłady. Jeżdżąc z Łuczanowic kolejką kocmyrzkowską do szkoły w Podgórzu, wysiadła na stacji Grzegórzki, gdzie często miały miejsca łapanie. Pewnego ranka po wyjściu z pociągu Janina znalazła się w grupie, którą Niemcy otoczyli i wpędzili do szkoły przy ul. Wąskiej. Tam miało miejsce sprawdzanie „ausweisów” i siatkowanie. Ubrojeni w karabiny hitlerowcy wskazywali placem tych, dla których podróż miała się skończyć w obozie zagłady. Jeden z volksdeuchów, potężnej postury mężczyzna, wyciągnął z tłumy dziewczynę z pięknymi włosami. Jeden z volksdeuchów, potężnej postury mężczyzna, wyciągnął z tłumu dziewczynę z pięknymi włosami.

nymi warkoczami. Jej uroda i młodość musiały zrobić na nim wrażenie, gdyż poprosiwszy o jej „ausweis”, pogłodził ją po warkoczach i zastawiwszy ją swym ogromnym ciałem niczym parawanem, popchnął ją w kierunku drzwi, gdzie była już ulica i normalne życie. Do dziś pani Janina pamięta ten dzień i tego mężczyznę, który uratował jej wówczas życie...

Okupacja zabrała pani Janinie – podobnie jak wielu innym ludziom, beztrudne dzieciństwo i młodość. Na zdjęciu z 1945 roku widzimy już Janinę jako żonę Franciszka Rażnego z Sulechowa. Pani Janina wyszła za mąż w wieku 17 lat. Wówczas był to dla niej jedyny sposób, by uchronić się przed wywózką na roboty do Niemiec.

18.03.2007

Opracowała Anna Adamska

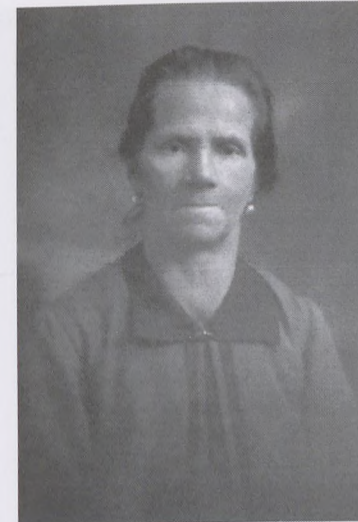
Tekst powstał w oparciu o wspomnienia pani Janiny Rażnej (ur.1927) i zdjęcia z jej domowego archiwum



Adam Rybkowski stoi jako jedenasty od lewej w trzecim rzędzie.



Michalina i Piotr Rybkowscy z córeczką Józią, Kraków, 1900 r.



Michalina Rybkowska z domu Bączek, lata 30. XX w.



Karolina z Rybkowskich Natkaniec



Józef Natkaniec w mundurze pracownika Poczty Polskiej, 1925 r.



Karolina Rybkowska z czasów narzeczeństwa z Józefem Natkańcem, 1921 r.



Roczna Jasia Natkańcówna, 1928 r.



Kuzynki, Jasia Natkańcówna i Franciszka Rybkowska, 1934 r.



Janina Natkaniec w dniu I Komunii Świętej, 1936 r.



Józef Natkaniec z córką, Planty krakowskie, 1936 r.



Janina Rażny, lata okupacji



Janina Natkaniec wraz z koleżankami: Marią Skoczkońską i Franciszką Gajoszkońską, w tle stajnie dworskie w Łuczanowicach, 1941 r.



Janina Natkaniec – pierwsza z lewej w I rzędzie – w gronie koleżanek z kursów handlowych, siostry Gronner: druga z lewej w I rzędzie i druga z lewej w II rzędzie.



Janina Rażny z domu Natkaniec, 1945 r.

Łuczanowice – tradycja i nowoczesność

*Plon, niesiemy plon
w gospodarza dom!
Aby dobrze plonowało,
Po sto korcy z kopy dało!*

Taką pieśń śpiewali żniwiarze idący z dożynkowym wieńcem do domu dziedzica – gospodarza dożynek. Tradycyjnie, gdy żniwa na wsi dobiegały końca i zboże zostało złożone w stodołach, nadchodził czas, by podziękować Bogu za plon i po ciężkiej pracy świętować. Dożynki – prastare święto sięgające swymi korzeniami do zwyczajów pogańskich – były uwieńczeniem wielkiego trudu gospodarza, od którego, zależała ludzka egzystencja. W Polsce dożynki upowszechniły się na przełomie XVI i XVII wieku, kiedy na naszych ziemiach rozwinęła się gospodarka folwarczno – dworska. Wówczas były to dożynki, czyli poczęstunek i tańce, urządzone dla żniwiarzy przez właścicieli majątków ziemskich w nagrodę za dobrze wykonaną pracę przy żniwach i zebrane plony. W okresie międzywojennym zaczęto organizować dożynki gminne, powiatowe i parafialne. Organizowały je lokalne samorządy i partie chłopskie, a przede wszystkim koła Stronnictwa Ludowego, Kółka Rolnicze i Kołła. Dożynki tamtych czasów były manifestacją odrębności chłopskiej i dumy stając się świętem całego rolniczego stanu, połączonym z wystawami rolniczymi, festynami występami ludowych zespołów artystycznych. Przed wojną gospodarzem dożynek w Łuczanowicach był hrabia Władysław Mycielski, który wydawał dla całej wsi huczne przyjęcie: suty poczęstunek i tańce.

W tym roku miejskie dożynki krakowskie odbyły się w Łuczanowicach – osiedlu wiejskim XVII Dzielnicy Wzgórza Krzesławickie, dawnej podkrakowskiej wsi, która w 1973 roku została włączona w granice dzielnicy Nowa Huta, a tym samym znalazła się w obrębie miasta Krakowa. Wówczas – na początku lat 70 – Łuczanowice posiadały wiele cech tradycyjnej wsi. Mieszkańcy trudnili się rolnictwem: siali zboże, sadzili ziemniaki, warzywa, owoce; posiadali inwentarz żywy. Ale coraz częściej rolnictwo przestawało być ich jedynym źródłem utrzymania. Większość młodych ludzi szukała zatrudnienia na terenie kombinatu metalurgicznego i dzielnicy Nowa Huta.

Niewątpliwie powstanie po sąsiedzku Huty im. Lenina – największej inwestycji planu sześcioletniego – miało olbrzymi wpływ zarówno pozytywny, jak i negatywny na życie mieszkańców okolicznych wsi pod wieloma względami. Z jednej strony poprzez budowę fabryki stali i nowego w założeniach „prawdziwie socjalistycznego miasta” zmniejszył się dystans Łuczanowic do miasta w sensie dosłownym i przenośnym. Powstały nowe miejsca pracy dla osób nieposiadających czasem nawet pełnego wykształcenia podstawowego czy zawodowego. Skutkiem tego było wykształcenie się w nowym socjalistycznym ustroju warstwy chłopo-robotniczej, która jest dziś krytycznie ocenianym anachronizmem. Powstanie huty na terenach, gdzie przeważały drobne i karłowate gospodarstwa rolne dało większej liczbie osób – szanse na lepsze życie i realizację ambicji niekoniecznie związanych z pracą na roli. Z czasem – zwłaszcza w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych doszło do zakrojonego na dużą skalę odpływu ludzi ze wsi do Nowej Huty. Zmianom w sposobie życia towarzyszyła zmiana typowo chłopskiej mentalności na bardziej nowoczesną zwłaszcza u ludzi młodych. Z drugiej strony, nie należy zapominać, że budowa kombinatu będąca realizacją założeń ideologii socjalistycznej przyniosła wiele cierpień, szkód moralnych i materialnych tym, którzy żyli tutaj i „z dziada pradziada” w pocie czoła pracowali na chleb co roku obsiewając swoje zagony. Dla nich wysiedlenie z rodzinnych gospodarstw i utrata dorobku kilku pokoleń był prawdziwą życiową tragedią. Pod tym względem Łuczanowice wyszły również obronną ręką z kolektywizacji wsi. Nigdy nie próbowano eksperymentować tutaj z kolchozem tak jak w Kościelnikach, czy PGR-em tak jak w Luboczynie. W 1945 roku w wyniku reformy rolnej ziemia należąca do majątku Andrzeja Mycielskiego – ostatniego właściciela dóbr Łuczanowice została rozparcelowana między miejscowych chłopów. Ciężkie czasy zwłaszcza dla tak zwanych „kułaków” nastały w latach 50., gdy musieli oni dostarczać zawyżone kontyngenty płodów rol-



nych lub żywcą, co miało na celu doprowadzić do upadłości ich gospodarstw. Dziś jedynym w Łuczanowicach gospodarzem utrzymującym się wyłącznie z pracy na roli jest pan Kazimierz Kwater, który wraz z żoną Martą prowadzi zmodernizowane gospodarstwo rolne odziedziczone po rodzicach. Choć tradycyjne indywidualne rolnictwo w naszym osiedlu zanika, do dziś działa w Łuczanowicach Koło Polskiego Stronnictwa Ludowego, którego przewodniczącym jest Zdzisław Senderek – radny XVII dzielnicy z naszego osiedla. Ruch ludowy w Łuczanowicach ma swoje korzenie w okresie przedwojennym, kiedy to młodzież i starsi mieszkańcy wsi byli zrzeszeni w PSL-„Piaś” i jego młodzieżowym odłamie PSL „Wici”. Do przedwojennych działaczy ludowych należeli m.in.: Stanisław Maroszek, Franciszek Adamski i Katarzyna Kwater, Józefa Sendor. Do dziś nie wiadomo, co stało się z przedwojennym sztandarem Stronnictwa, który zabierano na strajki chłopskie do Krakowa w l. 30. Reaktywowanie działalności partii chłopskiej w Łuczanowicach nastąpiło dzięki staraniom Mieczysława Rutki. W 1987 r. z jego inicjatywy powstało łuczanowickie Koło ZSL, które po dwóch latach zostało przekształcone w Koło PSL. W 1989 r. podczas Wojewódzkiego Święta Ludowego proboszcz parafii Ruszcza – Jacek Marchlik, poświęcił nowy sztandar. Pierwszym prezesem Koła został jego założyciel. Od 1958 r. działało w Łuczanowicach przy klubie Książki i Prasy „Ruch” Koło ZMW (Związku Młodzieży Wiejskiej), które między innymi organizowało lub współorganizowało dożynki lokalne na przełomie lat 60. i 70. oraz na początku lat 80. Działało też Koło Gospodyń Wiejskich.

W przyszłym roku nasza dzielnica będzie obchodzić jubileusz 60-lecia istnienia, i być może przy tej okazji nam – mieszkańcom jej peryferyjnych osiedli – warto pokusić się o dokonanie bilansu minionego okresu. W ciągu tego czasu w Łuczanowicach wiele się zmieniło pod każdym względem. Z zagubionej pośród pól wioski, niemal odciętej od świata przez brak dróg o bitej nawierzchni i bezpośredniego połączenia komunikacyjnego z Krakowem, Łuczanowice stały się dynamicznie rozwijającym się osiedlem cieszącym się zainteresowaniem inwestorów poszukujących działek pod zabudowę jednorodzinną. Wzrasta, więc liczba nowych domów, a co za tym idzie i mieszkańców. Wśród mnożących się eleganckich willi lub przytulnych domków z zadbanymi ogródkami nieliczne już starsze drewniane domostwa wyglądają dość samotnie. Po wojnie oraz w latach 70. 80. i 90. następował tutaj dość szybki postęp cywilizacyjny. Na przełomie 1946 i 1947 roku wieś została zelektryfikowana. W 1975 roku do Łuczanowic po raz pierwszy przyjechał autobus komunikacji miejskiej. Wydarzeniu temu towarzyszyło uroczyste otwarcie nowej linii z udziałem władz dzielnicowych oraz pierwszy darmowy dla mieszkańców kurs autobusem do Centrum Administracyjnego HiL. Warunkiem dla rozwoju komunikacji miejskiej na tym terenie było przygotowanie dróg. Dużym zaangażowaniem w tym przedsięwzięciu wykazali się mieszkańcy Łuczanowic na czele z ich ówczesnym sołtysiem Franciszkiem Adamskim, którzy w czynie społecznym wykonywali szereg prac poprzedzających wylanie asfaltu. Kolejnymi krokami milowymi w rozwoju Łuczanowic były gazyfikacja, telefonizacja i sieć wodociągowa – na początku lat 90. Łuczanowice były najlepiej telefoniczowane w całej Polsce. Ostatnią wielką inwestycją w osiedlu było wykonanie sieci kanalizacyjnej oddanej do użytku w 2002 r. To, że możemy i mogliśmy przez wiele lat mieszkać w Łuczanowicach korzystając od lat z wielu udogodnień należy zawdzięczać społecznikowskiemu zaangażowaniu jej przedstawicieli; sołtysów i radnych. W okresie powojennym funkcje te sprawowali kolejno: Jan Wójcik, Jan Waligóra, Antoni Luty, Franciszek Adamski, Władysław Szydło, Mieczysław Rutka, Władysław Broś i Zdzisław Senderek, który jest obecnie radnym czwartej kadencji.

Zgodnie z tradycyjnym, sięgającym czasów kościuszkowskich, hasłem „żywią i bronią” chłopci z Łuczanowic nie tylko wzorem ojców obsiewali ojczyzne zagony, ale chwytały za broń w wojennej potrzebie, a był to naród dość bitny i buńczuczny. Spośród wielu, którzy walczyli w I wojnie światowej, byli Józef Gawlik – front wschodni, potem niewola w Smoleńsku, Wojciech Adamski – front wschodni – okolice Lwowa – niewola rosyjska, dwaj bracia Garnkowie polegli pod Biłgorajem, Tomasz Zięba – front włoski, Władysław Frankiewicz – front włoski, później w „Błękitnej” Armii gen. Józefa Hallera we Francji i w wojnie bolszewickiej, Józef Natkaniec – w I Brygadzie Legionów Polskich Józefa Piłsudskiego w kampanii kieleckiej, niewola rosyjska – zesłanie na Syberię, po powrocie udział w wojnie bolszewickiej, Paweł Sendor – front bałkański, Feliks Gajoszek – „hallerczyk”. W kampanii w wrześniowej walczyli Franciszek Kwater – jeniec rosyjski, później na przymusowych robotach w Niemczech. Na froncie zginął Andrzej Wieczorek. Ofiarą łapanek w Krakowie padli: Julia Sendor – zginęła w Oświęcimiu, oraz Szczepan Szydło, a w Posądku został rozstrzelany Adam Rybkowski. Sołtys Łuczanowicki, Władysław Frankiewicz – za szkodliwą działalność na rzecz Rzeszy Niemieckiej zagrożony aresztowaniem zbiegł, ale do więzienia na Montelupich trafiła jego żona Franciszka z synem. Nękana kontyngentami i zagrożona wywózką na przymusowe roboty do Niemiec ludność Łuczanowic w większości nie uległa demoralizacji, jaka często towarzyszyła życiu pod okupacją niemiecką. Mężczyźni działali w AK-BCh współpracując z okolicznymi oddziałami partyzanckimi. Antoni Gawlik – sekretarz w gminie w Ruszczy pełnił funkcję kuriera między Okręgiem Krakowskim

a Mazowieckim – przewoził pocztę z meldunkami. Mieszkańcy udzieli schronienia kilku rodzinom – ofiarom wrogiej Polakom polityki okupanta. W rodzinie Pawła i Katarzyny Sendorów znalazła schronienie rodzina adwokata Floriana Paulusa – wysiedlona z gospodarstwa w Poznańskim, trzy rodziny przesiedleńców z Buga mieszkała w Łuczanowicach od lata 1944 do początku 1945 r.; u Antoniego i Wiktorii Luty – rodzina Drygajłów, u Stanisława Marosza – rodzina Maćkowiaków, a u Marii i Stefana Frankiewiczów – rodzina Ziębów. W Łuczanowicach bezpiecznie dotrwała do końca wojny Maria Dabińska z Gawlików, wdowa po oficerze WP zamordowanym w Charkowie – jeńcu obozu w Starobielsku. Nie sposób pominąć tutaj roli dworu Mycielskich, który podobnie jak okoliczne dwory ziemieńskie pełnił funkcję ośrodka konspiracji, tajnego nauczania i udziału schronienia. Spośród osób, które w czasie okupacji gościły we dworze należy wymienić Reginę Komorowską – działaczkę RGO (Rady Głównej Opiekuńczej), prywatnie żonę gen. „Bora” Komorowskiego, komendanta Obszaru Kraków ZWZ, a od 1943 r. dowódcę AK i Juliusza Osterwę – sławnego aktora i reżysera teatralnego.

Rodzina Mycielskich, która na ponad 50 lat związała swoje losy z Łuczanowicami (1888–1945) zmuszona opuścić dwór w 1945 r., położyła duże zasługi dla rozwoju naszych okolic. Bracia Władysław i Stanisław Mycielscy nabyli dobra łuczanowickie obejmujące oprócz Łuczanowic, Dojazdów, Kocmyrzów i Głębokę w 1888 r. od księcia włoskiego Honoriusza Gaetano, który odziedziczył je po zmarłym bezpotomnie w 1867 r. Leonie Rzewuskim – swoim wujem. W 1896 roku Władysław Mycielski (1862–1939) ożenił się i spłacił brata sumą posagową żony – Felicji z Zaklików stając się wyłącznym właścicielem majątku. Za środki uzyskane ze sprzedaży Głębokiej w 1905 roku założył „Parowę Mleczarnię Dóbr Łuczanowice” w Dojazdowie wraz z siecią związanych z nią lokali gastronomicznych w Krakowie – prototyp barów mlecznych – gdzie studenci za symboliczne 2 centy otrzymywali flaszki mleka z herbem rodowym Mycielskich (skrzydło przebite strzałą) i dwie kajzerki. Mleko pochodziło z majątku dworskiego i było skupowane po wsiach. Kolejną inwestycją hrabiego Władysława Mycielskiego dobrze służącą rozwojowi okolicy była budowa nowoczesnego młyna w Dojazdowie. W 1890 r. właściciel dóbr łuczanowickich udzielił wsparcia inicjatywie budowy szkoły ludowej w Dojazdowie, w której w przyszłości przez kilkadziesiąt lat pobierać będą naukę dzieci z Łuczanowic (do 1949 r.), Krzysztoforzyc i Dojazdowa. Przekazał na ten cel środki finansowe i grunt dworski o powierzchni 2 mórg, udzielił również pomocy finansowej przy rozbudowie szkoły w 1909 r. Posiadając stumorgowy lasek czerpał duże korzyści ze sprzedaży drzewa, jako że zapotrzebowanie na drewno z podkrakowskich okolic wzrosło w związku z budową linii kolejowej Kraków – Kocmyrzów (1898–1899) pod koniec XIX wieku i budową fortów austriackich wokół Krakowa. Otwarcie połączenia kolejowego Kraków – Kocmyrzów miało kolosalne znaczenie dla poprawy jakości życia mieszkańców wsi, z których większość utrzymywała się z handlu płodami rolnymi w Krakowie. Jako pierwszy Władysław Mycielski rozpoczął w swoich dobrach zakrojoną na szeroką skalę parcelację dóbr, której największe nasilenie przypadło na lata dwudzieste XX wieku. Przez swoje inwestycje hrabia dawał miejsca pracy. Ludność miejscowa znajdowała również zajęcie we dworze i na folwarku otrzymując godziwe wynagrodzenie, a także wykonując usługi na rzecz dworu – kowalstwo, obsługa i konserwacja maszyn rolniczych oraz transport płodów rolnych i mleka. Hrabia Władysław Mycielski był więc nie tyle ziemianinem w tradycyjnym tego słowa znaczeniu, ale przedsiębiorcą kapitalistycznym.

W 1902 r. ruszyła budowa nowego skrzydła dworu w Łuczanowicach według projektu znanego krakowskiego architekta Tadeusza Stryjeńskiego, które pod kątem prostym zostało połączone z istniejącym tutaj zabytkowym modrzewiowym dworem z XVII / XVIII wieku. Nowy dwór z cegły wchłonił również wolnostojący budynek dawnego zboru ariańskiego z 1636 r. Przy pracach budowlanych zatrudnienie znaleźli miejscowi mężczyźni i kobiety. Nowa siedziba Mycielskich robiła imponujące wrażenie na licznie przybywających tutaj gościach, którzy znajdowali ją wygodną i supernowoczesną, jako że posiadała centralne ogrzewanie i łazienkę. Przed wojną we dworze był również telefon. Wśród wielu znamienitych osobistości odwiedzających łuczanowicki dwór nim skończyła się *belle époque* byli: Zofia Skrzynecka – córka generała powstania listopadowego, elegancja austriacki oficerowie m.in. Gottfried Hohenlohe, dostojnicy cesarsko-królewscy i krajowo-galicyjscy: Wacław Zaleski – minister skarbu, Goetz-Okocimski – prezes Koła Polskiego, Stanisław Henryk Badeni – syn ówczesnego marszałka krajowego, literaci, znawcy sztuki i uczeni: Karol Hubert Rożnowski – dramaturg, Ludwik Hieronim Morstin – poeta, Stanisław Tomkowicz – miłośnik i obrońca zabytków, Tadeusz Stryjeński – architekt, Feliks Jasieński Manggha – esteta i kolekcjoner japońszczyzny, Jerzy Mycielski – kuzyn hrabiego, historyk sztuki, kolekcjoner obrazów, Kazimierz Morawski – przyszły prezes Akademii Umiejętności, właściciel sąsiedniego Wadowa, malarz: Piotr Stachiewicz, Włodzimierz Tetmajer, Wojciech Kossak i Leon Wyczółkowski. Ten ostatni zgodnie z panującą ówczesnie modą na podkrakowskie plenery malarskie odbył takowe w Łuczanowicach w 1909 r. To dowód na to, że łuczanowicka wieś i jej malownicze położenie stanowiły inspirację dla młodopolskiego artysty.

Na pewno w aurze młodopolskiej wsi bajecznie kolorowej jawią się Łuczanowice Andrzejowi Mycielskiemu, autorowi wspomnień „Chwile czasu minionego”. Andrzej Mycielski, syn Władysława, ostatni właściciel dóbr łuczanowickich, po wojnie profesor prawa konstytucyjnego na Uniwersytecie Wrocławskim i doktor *honoris causa*

tej uczelni, w Łuczanowicach spędził dzieciństwo i młodość. Ciesząc się znacznie dłużej wolnością i polskością niż sąsiednie tereny pod zaborami rosyjskim i austriackim, podkrakowskie wsie, które weszły w skład Wolnego Miasta Krakowa, ukształtowały specyficzny, regionalny folklor. Jego kwintesencją u początku XX wieku były takie wsie jak Łuczanowice, Ruszcza, Branice i Kościelniki. Wyznacznikami jego odrębności było budownictwo z malowanymi na niebiesko drewnianymi chałupami krytymi strzechą, barwny, pełen fantazji strój krakowski, specyficzne obrzędy weselne, dożynkowe i kolędowanie z olbrzymią szopką. O odmienności chłopca z Łuczanowic decydowała też jego mentalność człowieka z natury niezwykle hardego i butnego, mściwego i zawziętego, z czego wynikały często zwady i bójki z mieszkańcami sąsiednich wsi.

Dziś, kiedy jesteśmy w przededniu miejskich dożynek mających się odbyć właśnie w Łuczanowicach na pewno warto skonfrontować dwa oblicza tej miejscowości to sprzed stu lat, kiedy gościł tu Leon Wyczółkowski zafascynowany podkrakowskim folklorem i to dzisiejsze, które jest obliczem nowoczesnego, dynamicznie rozwijającego się nowohuckiego i krakowskiego zarazem osiedla. Należy też pamiętać, że dzisiejsze Łuczanowice mają wiele do zawdzięczenia przedstawicielom poprzednich pokoleń, którym na sercu leżało dobro jego mieszkańców. Cieszy, że osiedle pięknieje z dnia na dzień, choć jest jeszcze wiele do zrobienia, że rozwija się tutaj życie społeczno-kulturalne: odbywają się stałe imprezy plenerowe i sportowe, że znowu jak za dawnych czasów przyjeżdżają ciekawi ludzie, którzy są gośćmi osiedlowego klubu „Aneks” – ostatnio odbyło się spotkanie z profesorem Elżbietą Mycielską Dowgiałło – córką ostatniego właściciela dóbr łuczanowickich, które zwłaszcza starszym mieszkańcom dostarczyło wielu wzruszeń. O Łuczanowicach pojawiają się również ciekawe publikacje i wkrótce odbędzie się poświęcona im wystawa w nowohuckim oddziale Muzeum Miasta Krakowa. Nadzieje na ciekawą działalność społeczno-kulturalną należy wiązać z ostatnio powołanym do życia Stowarzyszeniem Przyjaciół Łuczanowic.

02.09.2008

Anna Adamska



Dwór w Łuczanowicach, 2006 r., fot. Adam Gryczyński



Elżbieta Mycielska-Dowgiałło, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, rektor Szkoły Wyższej Przymierza Rodzin w Warszawie



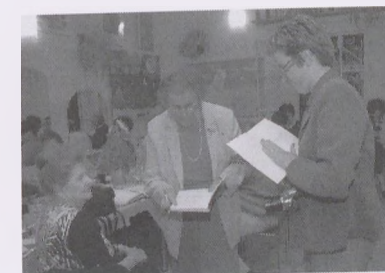
Spotkanie wspomnieniowe w klubie „Aneks” w pałacu w Łuczanowicach, 18.06.2008 r.



Profesor Elżbieta Mycielska-Dowgiałło z Adamem Gryczyńskim



Elżbieta Mycielska-Dowgiałło ze swoimi koleżankami z okresu dzieciństwa: z Janką Szydłówną-Stachurską i Agnieszką Ziębówną-Bąk



Wpisy do książki „Odpowiedzi na trudne pytania dzisiejszego świata” wydanej pod redakcją Elżbiety Mycielskiej-Dowgiałło, po prawej Anna Adamska



Uczestnicy wspomnieniowego spotkania przed głównym wejściem do pałacu w Łuczanowicach. W środku Elżbieta Mycielska-Dowgiałło, po jej prawej stronie Danuta Radosz, organizator spotkania, a po prawej jej stronie Janina Stachurska. W pierwszym rzędzie, trzecia od lewej Joanna Chłopicka, córka Andrzeja Mycielskiego (brata Elżbiety). Piąty od lewej, w drugim szeregu stoi Andrzej Dowgiałło (mąż Elżbiety)

RUSZCZA



Mieszkańcy Ruszczy w latach 1930-1940

Spis pamięciowy

Bąkowie, Biedronie, Bombiccy (Bąbiccy ?), Brosiowie, Cecugowie (u nich była poczta), Czajka, Czułowie, Dulęba, Hercowie, Herc Ignacy, Janiccy, Janicki Michał, Jaroszowie i Bednarski, Karolczykowie, Kasprzyccy, Katarzyńscy, Kijaniowie, Królowie, Kucharscy, Kulisiowie (mieszkali okresowo), Kurkowie i Beno Nowiński, Kwaterowa, Kwatrowie, Leśniakowie, Łukasikowie, Mandelbaumowie (Żydzi, syn Adam, służąca z córką), Marsowie, Michnowie, Miodkowie (wyjechali), Musiałowie, Oraczewscy, Partykowie, Piskorzowie, Piwoszowa, Rakowscy (Żydzi), Raźniowie, Roszkiewicz, Rzepeccy, Sajdak (Sajak ?), Sendorkowie, Sendurowie, Sendrakowscy, Sikora, Siwkowie, Stępniewscy, Teodor (?), Tomczykowie (sołtys), Wróblowie i Besala, Zipcer, Zygmuntowicze

Księża: Leon Katana – proboszcz, Szafraniec, Madej

Policja: Gisiowie, Ładowie, Wolaninowie, Sowowie, Wróbel, Ślusarczyk, (Szuta z Dojazdowa)

Nauczycielka: Hausnerówna

Przesiedleni: Baczyńscy, Sobkowscy (z Poznańskiego), Katarzyńscy, Rzepeccy (ze wschodu)

Gmina: Nowak, Jaskuła, Przeniosło, Baczyński, Józef Sendorek (powstaniec śląski, hallerczyk)

Orkiestra zabawowa: Gawlikowskiego z Wawrzeńczyc,

Osobowy transport samochodowy do Krakowa: Orlickiego

Kościelniki: Mycielscy-Koźmianowie, Wodziccy, Ściborowscy, Mierzwa i in.

Pleszów: Szuba

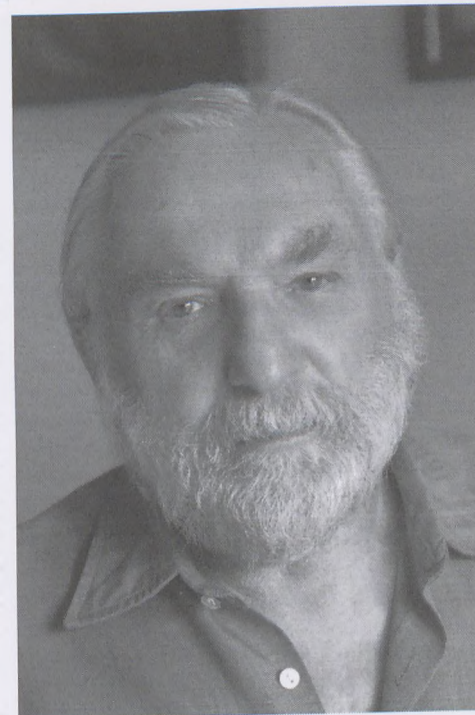
Wadów: Hoksman, Kulinowska, Poburkowa, Zięciakowie

Węgrzynowice: Bystrzowski, Jedynak i in.

Wyciąże: Bętkowscy, Cisowscy, Karolczykowie, Rossman (Żyd), Ryglowie (policjant) i in.

Zagaje: Chudziakowie, Żabowie i in.

Wykaz sporządził Konrad Siermontowski



Piotr Sendorek



Konrad Siermontowski



Marianna Siermontowska

W czasie II wojny światowej nie było szlachetniejszej osoby od pani Kieniewicz z Popielów – nie tylko w samej Ruszczy. Ponieważ przez pewien czas przebywałem w tej miejscowości w czasie okupacji, więc zachowałem ją w pamięci na zawsze. W 1939 roku jej mąż (porucznik) idzie na wojnę – zostaje sama. Ma zarozumiałego rządcę, który usiłuje przejąć władzę nad jej majątkiem. Zatrudnia na roli, jak przed wojną, tych samych ludzi ułatwiających im egzystencję i mieszkanie. Dostają nadal te same ilości „ordynarii” (przydziały) żywności, mimo iż wielu ojców rodzin poszło na wojnę i teraz u niej nie pracują. Jest to niezwykle trudne dla niej, bo Niemcy zwiększają kontyngent, który stale zabierają. Przyjmuje i utrzymuje (mieszkanie i żywność) rodziny wysiedlone z Poznańskiego. Prowadzi sama punkt opatrunkowy dla całej okolicy. Przypuszczalnie ten punkt służył także Armii Krajowej, bo w jej dworze mieszkał i pracował ogrodnik, który był dowódcą miejscowej placówki. W Ruszczy również była wówczas oddzielna placówka Batalionów Chłopskich. Przez pewien czas stacjonował we dworze oddział własnawców pod dowództwem Niemca, których okradaliśmy z granatów i amunicji. Dziś z literatury dowiaduję się, że także współpracowała z organizacją „Uprawa – Tarcza”. Jednym słowem wspaniała osoba, szkoda, że pewnie nie przeczyta już tych słów jednego wdzięcznego, który liczy sobie obecnie lat 80. Nawiązując do wcześniejszych wspomnień – nie tylko mieszkał tam Paweł Popiel, ale także jego brat, zapalony myśliwy, który tam zmarł. Przebywał tam również wśród znakomitych gości Karol Hubert Rostworowski z rodziną. Komuna zabierając dwór w doskonałym stanie, oddała go gminie w użytkowanie, a po likwidacji urzędu przejęła go miejscowa spółdzielnia. Obie te instytucje robiły wszystko dzięki swoim dewastatorskim zdolnościom, aby majątek popadł w ruinę, nie wyłączając ogrodu i pięknych gazonów. Oddzielny rozdział to gospodarka „Służby Polsce”, która tam stacjonowała przez krótki okres. Sobotnie ogniska rozpalali za pomocą miejscowej biblioteki, a także szczególnie pięknej (oprawy) francuskiej biblioteki Mycielskich z sąsiedniego dworu z miejscowości Kościelniki.

Konrad Siermontowski

Fragment „Wspomnień z uciekinierki 1939-1940”

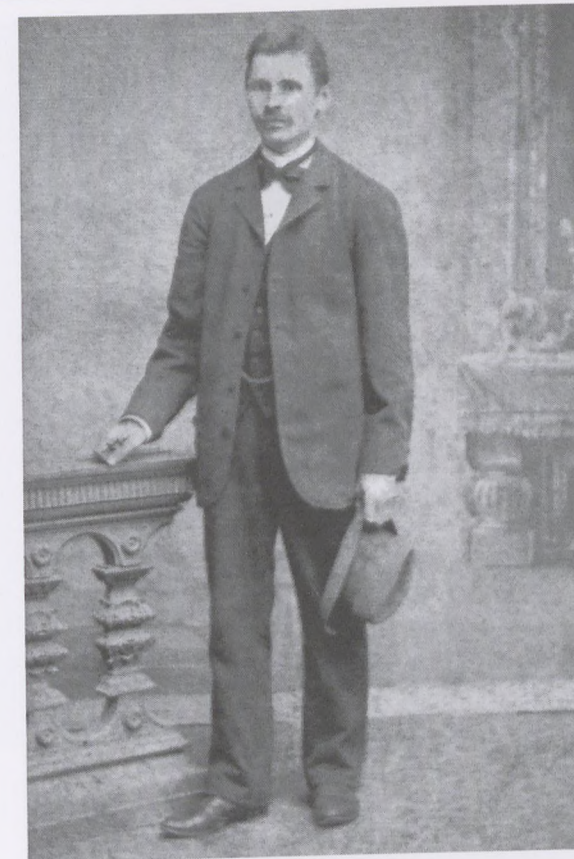
3 września 1939 r. wyruszyłem z Krakowa, prowadząc rower z małym bagażem, przez Mogiłę do Ruszczy, do moich dziadków. Wyjazd prowadził ulicą Lubicz, gdzie na jej końcu znajdował się wtedy jeden z poaustriackich fortów, który należał do wojska i mieścił się w nim 5. P.A.C. (Pułk Artylerii Ciężkiej), dzisiaj tam jest rondo. Tuż za Krakowem droga robiła przynębiające wrażenie. Była zatłoczona potokiem ludzi uchodzących z niewielkim dobytkiem na wschód. Byli to w większości uciekający ze Śląska i terenów zachodnich przed Niemcami. Jednak ogólne odczucie było takie, że jest to sytuacja chwilowa i że walczące wojsko polskie powstrzyma agresorów. Pośród uchodźców zwracała uwagę duża grupa ludzi ubranych w sutanny i podających się za kleryków uciekających przed Niemcami. Opowiadali straszne rzeczy i przynaglali do ucieczki, co powodowało podejrzenie, że byli to dywersanci mający na celu sianie paniki wśród ludności. W Ruszczy u dziadków Sendorków zastałem już część rodziny. Był już wujek Józef Sendorek, który mieszkał na Śląsku w Chorzowie. Dawniej był w Ameryce, potem wrócił z hallerczykami na Śląsk i brał udział w Powstaniu Śląskim – musiał więc teraz uciekać. Był z żoną. Był także wujek Jasiek Sendorek z żoną Tośką, miejscowy weterynarz. Wujek Antek Sendorek był nieobecny, bo miał powołanie do wojska i gdzieś walczył (znalazł się później na Węgrzech). Była jego żona Gienka, ciotka Fela Wójcikiewicz i mój młodszy brat Konrad. Byli też miejscowi przyjaciele i znajomi m.in. Tomek Bednarski oraz Adam Mandelbaum – ze starej rodziny żydowskiej, poważanej we wsi, który miał w Ruszczy piekarnię i gospodarstwo rolne.

Dziadkowie Piotr i Franciszka Sendorkowie mieszkali w dużym murowanym domu, gdzie oprócz mieszkania mieścił się wiejski sklep mojego dziadka, a także sala teatralna, w której odbywały się przedstawienia organizowane przez ówczesne organizacje wiejskie, kościelne lub straż pożarną. Dom należał pierwotnie do dworu – do rodziny Popielów. Mój dziadek był poprzednio „totumfackim” kamerdynerem hr. Jana Potockiego i jeździł z nim za granicę do Włoch i Austrii. Widocznie w uznaniu za pracę dziadka hr. Potocki przekazał mu ten dom na własność. Nawiasem mówiąc wzbudziło to niezadowolenie miejscowego proboszcza, który prawdopodobnie liczył, że dom zostanie ofiarowany kościołowi.

Aleksander Siermontowski



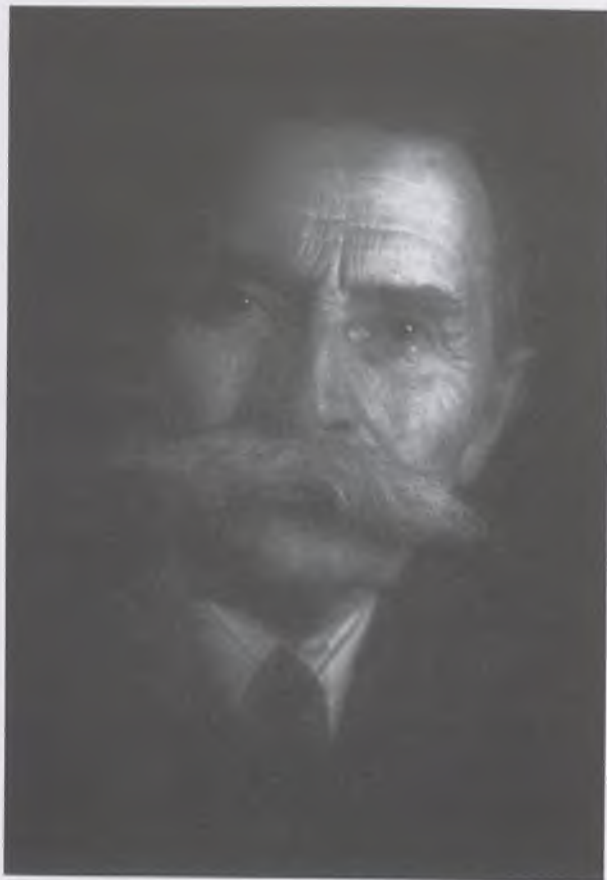
Franciszka Sendorek z domu Wilk, schyłek XIX w.



Piotr Sendorek, schyłek XIX w.



Rodzina Sendorków z Ruszczy, 1923 r., fot. Aleksander Siermontowski. Od lewej stoją: Franciszka Sendorek z d. Wilk, Maria Siermontowska z d. Sendorek, Piotr Sendorek, Fela Wójcikiewicz, p. Ciszewska (siostra Franciszki). Od lewej leżą: Józef Wójcikiewicz, Aleksander Siermontowski (jun.), Jan Sendorek, Antoni Sendorek



Piotr Sendorek z Ruszczy, lata 20. XX w.



Młodzież z Ruszczy i Branicy, lata 30. XX w.



Dom Sendorków w Ruszczy, lata 20-30. XX w.



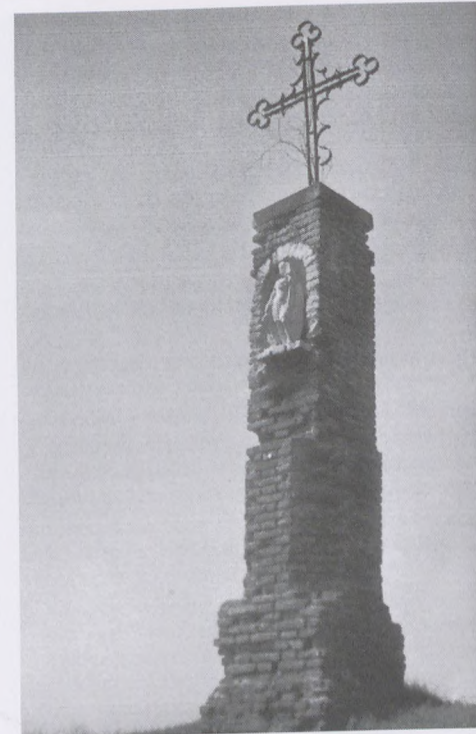
Droga w Ruszczy, lata 20. XX w.



W drodze na stację kolejową w Grębałowie, lata 20-30. XX w.



Kościół w Ruszczy, lata 20-30. XX w.



*Kapliczka św. Floriana w Ruszczy,
fot. A. Siermontowski, ok. 1923 r.*



Pałac Popielów w Ruszczy, lata 20-30. XX w.



„Strumyk”, Ruszcza, 1923 r., fot. A. Siermontowski



„O zmroku”, Ruszcza, 1923 r., fot. A. Siermontowski. Na odwrocie zdjęcia znajduje się dopisek autora: „z lewej stodoła Karolczyka”



Widok na kościół w Ruszczy, 1923 r., fot. A. Siermontowski



Staw w Ruszczy, lata 20. XX w., fot. A. Siermontowski

Wspomnienia o Józefie Kowalskim z Dojazdowa

Pisząc o ludziach budujących Nową Hutę, należało by wspomnieć o moim dziadku Józefie Kowalskim. Wśród ogromnej rzeszy budowniczych, to jeden z wielu, dla mnie to ktoś wyjątkowy, niezwykle i bliski. Bez niego zatraciłbym swoją tożsamość i nie byłbym tym, kim jestem – Polakiem, patriotą, człowiekiem sumiennym, uczciwym, przywiązany do tradycji narodowych i religijnych.

Od roku 1985 dziadek spoczywa na cmentarzu w Ruszczy. Po wielu latach, które minęły od jego śmierci, brakuje słów, aby go godnie zaprezentować, ponieważ opisując dziadka nie wiadomo gdzie zacząć i gdzie skończyć.

Tak jak chyba wszyscy ludzie zamieszkujący podkrakowskie wioski, dziadek był przesiąknięty miłością do rodzinnej ziemi i duchem patriotyzmu, opierającym się na tym stabilnym trójnogu, którym był Bóg, Honor, Ojczyzna. W czasie II Wojny Światowej należał do Armii Krajowej. W związku z tym, mojej babci często składali „wizyty” Niemcy, którzy go poszukiwali i chociaż była przez nich bita, nigdy nie zdradziła miejsca, w którym się dziadek ukrywał.

Opisanie jego życia sprawia naprawdę dużo trudu, ponieważ dziadek był człowiekiem zamkniętym w sobie i oszczędnym w słowach, chyba z tego powodu, że w powojennej Polsce lepiej było nie opowiadać o swojej Akowskiej przeszłości. W powojennej Ojczyźnie i towarzyszących jej przemianach trudno mu było się odnaleźć, więc podchodził z dystansem do rodzącej się nowej rzeczywistości. Pracował w Naftobudowie mającej swoją siedzibę przy ul. Lubicz. Dojeżdżał słynną „Kocmyrzówką”. Nie wiem, gdzie dziadek się tego nauczył, ale był świetnym fachowcem. Posiadał zawód, który był cenny dla powojennej Polski. Był zbrojarzem, cieślą i doskonałym budowlańcem. Potrafił odczytywać i realizować te skomplikowane plany tworzone przez inżynierów. Z tego chyba powodu komunistyczna władza przymknęła oko na jego AK-owską przeszłość.

Postać mojego dziadka skutecznie obala mit, że na ziemiach, które znalazły się w sferze oddziaływania powstającej Nowej Huty mieszkali ciemni, zacofani i prymitywni ludzie. Gdyby tak było, dziadkowi nie powierzono by tak odpowiedzialnego zadania, jakim było zbrojenie fundamentów pod powstające wielkie piece kombinatu metalurgicznego. Naftobudowa uczestniczyła w „wielkiej budowie”, więc dziadek, mimo wewnętrznych oporów, rozdarcia i solidaryzowania się z wysiedlonymi mieszkańcami, musiał w tym uczestniczyć. Ponieważ komuna lubiła zawłaszczać sobie czyjeś zdolności i w celach propagandowych przypisywać je sobie, dziadka za swą rzetelną pracę kilkakrotnie odznaczono odznaką „przodownika pracy socjalistycznej”. Ten przymiotnik, z odrazą i dużymi oporami wklepałem w klawiaturę komputera, ponieważ zamiast uznania, był raczej zniewagą dla dziadka przesiąkniętego patriotyzmem i wiarą przodków, która ukształtowała jego postawę życiową.

Postawę ideologiczną dziadka najlepiej oddaje fotografia, przedstawiająca go w roboczym kombinezonie stojącego przy warsztacie pracy obok jakiegoś ważnego inżyniera, w garniturze, białej koszuli i krawacie. Poza dziadka jest wręcz genialna, wyraża dezaprobatę dla entuzjazmu i ideologii, którą reprezentuje ta postać. Dziadek stanął tak jakoś bokiem do niego by pokazać, że odcina się od poglądów przełożonego, chociaż sumiennie wykonuje swoją robotę.

Po pracy na budowie dziadek pracował jeszcze na drugi etat, w przydomowym gospodarstwie. Długo zastanawiałem się skąd on brał na to siły, przecież jego praca zawodowa i praca na roli, wymagały wielkiego wysiłku fizycznego, a dziadek był raczej człowiekiem drobnej budowy. Z pomocą przyszła mi pamięć, która dopełniła obraz tego spracowanego człowieka. Dziadek rozpoczynał żniwa znakiem krzyża, taki sam krzyż kreśliła babcia rozpoczynając każdy nowy bochenek chleba. Dziadek nie udawał się na spoczynek bez wieczornego pacierza odmawianego na kolanach obok łóżka. Jego wiara nie była czymś powierzchownym, dewocyjnym, była spójna z codziennym życiem, z pracą, a Bóg nie był dla niego abstrakcją, dodawał mu sił i natchnienia do życia i ciężkiej pracy. I tak sobie myślę, ileż traci współczesny świat i człowiek eliminując Boga ze wszystkich niemal dziedzin życia.

Obok fotografii przedstawiających dziadka przy budowie kombinatu, znalazłem też jego zdjęcie w mundurze wojskowym z 1921 albo 1927 roku, (trudno odczytać datę) potwierdzające jego patriotyzm oraz pamiątkowe zdjęcie z odsłonięcia Sztandaru Sekcji Zbrojarzy w Krakowie, świadczące o jego liczącej się tam roli – zajmuje miejsce w pierwszym rzędzie. Trzyma na kolanach jedyne dziecko, które znalazło się w tym męskim gronie. Najbardziej zdumiewający i wizjonerski jest jednak napis na tym sztandarze: 1939 SOLIDARNOŚĆ ZWYCIĘŻY i zaciśnięta pięść pośrodku. To pragnienie i ta nadzieja również i mnie wypełniają, a ponieważ do całkowitego zwycięstwa szeroko pojmowanej międzyludzkiej SOLIDARNOŚCI jeszcze daleka droga, więc Tego życzę sobie, dzieciom, wnuczkowi i całej Ojczyźnie.

Tadeusz Maroszek



WYCIĄŻE



Wspomnienia Kornelii Gnat d. Rygiel, jej siostry Aleksandry Nowak i Mieczysława Nowaka z Wyciąż

Czasy najdawniejsze

Trzy km stąd była granica austriacko-rosyjska; tam taka rzeczka płynie i ona stanowiła tu wówczas granicę. Przez nią to dawniej wódkę przemycali, głównie kobiety przez rzeczkę ją przenosiły, ale nie we flaszkach tylko miały takie pęcherze ze świni, które wiązały pod spódnicą i tak przenosiły alkohol z Branic, z gorzelni.

Mówią, że za Austrii to mieli więcej wolności; chłopaki i dziewczęta ubrani „po krakowsku” jeździli na kopiec Krakusa. Do Krakowa, czy do kościoła nie bronili chodzić.

A jak pierwszy raz szła kolej do Niepołomic, to wszyscy polecili tam, do tego miasteczka i mówili, że diabeł ognisty leci. Nie wsiadali, bali się do tego wsiąść. Albo jak samolot zobaczyli pierwszy raz, to do samolotu się zlatywali z trzech wsi, jak wylądował. Mama opowiadała, że raz balon leciał i jeden chłopak się uwiesił, ale jak już był wysoko to się przestraszył i puścił.

Wieś była kryta strzechą, jak było dużo dzieci to spały na strychu, chłopaczyska wszystkie spały na strychu, bo było ciepło pod dachem. Gęsi było dużo, to się poprzykrywali pierzynami. Kiedyś się ludzie więcej schodzili, spotykali, bo nie było radia i telewizji. Były takie „pogródki”, i tam się kobiety schodziły, siedziały i sobie gadały.

W Wolicy była taka kapliczka, gdzie się dziewczyny schodziły; tam sobie siedziały i śpiewały. Jak chłopaki przychodzili z wojska, to się tam uczyli śpiewać. Ale dopiero jak jeden wrócił ranny z wojska i pytali się go, czy jakby wyzdrowiał, to by jeszcze poszedł, a on mówi: „Poszedłbym, ale do polskiego wojska, walczyć za Polskę” – to dopiero wtedy usłyszeli o Polsce.

Rodzice

Pani Aleksandra:

Ojciec pochodził z Krosna, ale był komendantem tutaj w Wyciążach, tu był przy wojsku i tu pozostał. Najpierw był żandarmem, a później komendantem. Mama urodziła się w 1893 roku, była z domu Zajacówna, pochodziła z Wolicy. Do mamy tata chodził osiem lat, bo była taką zwykłą dziewczyną ze wsi, to były inne czasy i nie wolno było im się żenić. Dopiero jak 1918 rok przyszedł, to w jednym dniu polecili i ślub wzięli. Wykorzystali okazję, ale już wcześniej tata zamawiał u księdza, bo się dobrze znali. Mówili, że w jedną niedzielę wszystkie zapowiedzi wyszły i zaraz wzięli ślub.

Pan Mieczysław:

Mój ojciec żył 89 lat, matka żyła 84, także byli długowieczni, mało kto tak długo żył, ludzie młodo umierali. U nas były dwie matki, po pierwszej były 3 córki i syn, a po drugiej 4 braci i 2 siostry. Ale jedna siostra poszła na służbę do Krakowa, tak to kiedyś było.

Dzieciństwo

Pan Mieczysław:

Dziewczyny to się tylko w klasy bawiły, na jednej nodze skakały, albo grało się w kamyki, które się podrzucało i łapało jak najwięcej naraz. Brało się także z kuchenki kółko z blachy, (tam taki otwór kwadratowy był na drut), i z tym się tak biegało. A zimą znowu było pełno lodu, tośmy jeździli na butach, na obrączkę, na krawędzi, i tak który dalej. My z kolegą we dwóch dobrze jeździliśmy, a był taki jeden, który zawsze mówił, że jest chory na piersi, bo on nie mógł tak daleko jechać jak my.

Pani Aleksandra:

A mi mamusia opowiadała, że przed wojną to się na drzewa wspinali, mówiła że nie był ani jednego drzewa we wsi, na które by nie weszła. Tam rzeka płynęła, a przy niej było dużo drzew.

Pani Kornelia:

Jak byliśmy mali, to się zawsze dzieci schodziły koło kuźni. Lalkę szmacianą nam mama zrobiła. Ja miałam jedną jedyną lalkę, trocinami była wypchana, a jej główka była z kauczuku. I ja obgryzałam nosek tej lalce, i taka

już była do końca. Jak chodziłam jeszcze do czwartej klasy to zawsze jej coś szylam, a jak pojechałam do Krosna, to tu została i się skończyło.

Szkoła

Pani Aleksandra:

Mamusia mi opowiadała, że za Austrii jak chodziła do szkoły, to o Polsce nie słyszeli nic. Był taki nauczyciel Pałysz, który uczył pierwszą i drugą klasę razem, potem trzecią i czwartą – też razem, inaczej by nie dał rady. Mamusia mówiła, że hymnu austriackiego się w szkole uczyli i śpiewali o tym cesarzu: „Boże pobłogosław cesarza i nasz kraj, jemu szczęście i zdrowie daj...”, i to zawsze w szkole śpiewali. A jak ja pamiętam, to już się pacierz mówiło po polsku i później: „Cześć Bogu polskiemu, baczność!” – ale to już było po pierwszej wojnie światowej. A jak mój ojciec był mały, to szkoły nie było wcale, tylko sobie wzięli gospodarze nauczyciela i tych chłopców uczył czytać, pisać, rachować. Ja do pierwszej klasy poszłam jak miałam 6 lat, już tu w Wyciążach. Później chodziłam do Krakowa, siostry też. W szkole nie było tak jak teraz, nauczycielka lała kijem, wszyscy musieli się uczyć i chodzić do szkoły. Przed wojną też już dzieci chodziły, ale matka mojej mamy jeszcze nie chodziła.

Pan Mieczysław:

Ja byłem w zaborze rosyjskim, tam było gorzej. Jak mi ojciec opowiadał, to tam do szkoły chodzili zimą przez 2, 3 miesiące. Ale mój ojciec pisał ładnie. Matka też mówiła, że mało chodziła do szkoły, ja nie wiem czy nie uczyli, czy nie chcieli. Jak ja chodziłem do szkoły, to był taki nauczyciel, Wacław Górecki, to był patriota, ale to już była wolna Polska. Szkołę ukończyłem w 1932 roku. U nas w Pobiedniku 4 klasy były, a piątą w Igołomi. Dzieci się nauczycieli bały i rodziców też. Pamiętam jak ksiądz kazał się takiemu jednemu przeżegnać, Antkowi Francuzikowi, i mówi – „Co Ty, muchy oganiasz?”, no i kazał mu się położyć, a miał w rękawie taką gumę, oj to się cała klasa zakurzyła, bo taki chłopak przed wojną, to jak się bawili, przeganiali, to miał pełno kurzu w tych spodniach. Był też taki nauczyciel, że jak ktoś nie umiał, to mu głowę wkładał pod wodę. No bili, bili jak ktoś nie umiał.

Pani Kornelia:

Chodziłam tutaj, w Wyciążach do pierwszej klasy, 2 km się szło, jedne buty miałam i tabliczkę i rysik tylko, a nie było gąbek tylko się szmatką albo łokciem wycierało. A później już atrament nosiliśmy i zawsze byliśmy polane tym atramentem. Tu była czteroklasówka, a jeszcze później chodziłam w Mogile, to była 6 czy 7 klasowa szkoła, z siostrą dojeżdżałyśmy autobusem. W czasie wojny byłam w Krakowie, na ulicy Warszawskiej pod „13” gdzie chodziłam do szkoły zawodowej, krawieckiej (ja miałam zawsze dryg do krawiectwa), tę szkołę prowadziły zakonnice.

Młodość

Pani Kornelia:

Wszystkie cztery siostry miałyśmy stroje krakowskie. Chodziło się w nich na jakieś większe uroczystości, na procesje. Chłopcy też je mieli, ale rzadziej. Mieli takie sukmany i pawie pióra. Szli to tu, we wsi. Miałyśmy taką ciotkę, co nam haftowała. W Sukiennicach też można było je kupić, a każda dziewczyna musiała mieć prawdziwe korale. Męskie stroje mieli z dziada pradziada, białe z czerwoną wyszywką.

Były tu festyny, w połowie wsi robili, albo w sąsiednich wsiach. Jak ktoś umiał grać na harmonii, albo na skrzypcach, to się zbierali, obstawiali miejsce takimi gałęziami, kładli deski. Były też takie zabawy, które urządzała policja, nauczyciele, była taka duża hala, to się tam bawili. Na błoniach też festyny robili, ale to już po wojnie.

Wesela

Pan Mieczysław:

A jak dawniej wesele było, to trwało przez cały tydzień. Żadnych zaproszeń nie było, kto chciał, to przychodził. W domu kucharki rano nakleiły pierogów z serem, a po południu przychodzili chłopcy bawili się, i jedli całą noc, i tak przez tydzień, tak, że było wesoło. Ciężko też było, bo jak któraś córka wyszła za mąż, to trzeba było ją spłacić, musieli pieniędzy uciulać, żeby następne znowu mogli.

Dawniej jak wesele jechało, to śpiewali na wozach, rzucali takie laleczki, osutki. A jak jechali, to się wszyscy zlatywali, bo najpierw jechała muzyka, potem z dziesięć wozów i wszyscy śpiewali. A tu koło nas jest taki zakręt, to jak szybko jechali, to się do błota wywracali.

My ślub braliśmy w 1947 roku, teraz obchodziliśmy sześćdziesięciolecie, ale na nasze wesele to już placki piekli, obiad się robiło jak należy. Teraz to wesele trwa 2 dni, potem do pana młodego jadą i robi się poprawiny, to co zostaje przecież trzeba zjeść i wódkę wypić.

A teraz to się nie widzi, ani wesela, ani pogrzebu. Kiedyś na pogrzeb szło pół wsi, niosło się krzyż i feretron, i nieboszczyka. Chrzczyny się urządzało w domu, akuszerka przychodziła z Branic do porodu, a na drugi dzień trzeba było wstać i dziecko wykapać.

Na Święta u nas w domu zawsze miałyśmy drzewko i bombki, zabawki się robiło miesiąc przed świętami, i wesoło było bo chodzili kołędniczy. Mój brat grał; za króla przebrany chodził. To dorosła młodzież była, taka kawalerka. A tam gdzie były panny, to tę młodzież zaprosiły i były tańce. Na Świętego Jana robiło się wianki, które kobiety szły do kościoła święcić. Robiliśmy je z rozmarynu, rozchodnika, macierzanki, na wale były takie ładne. Potem się te wianki przywiązywało pod dachem.

Odpust

W Ruszcy odpust jest dwa razy w roku: 12 marca, na Grzegorza, ale to jest mniejszy, a potem jest na Matki Boskiej Różańcowej, w pierwszą niedzielę października. Ten to był kiedyś duży odpust; koniki jeździły, karuzele, kramy. Przedtem robili cukierki ręcznie. Były takie poduszeczki na deka sprzedawane.

Muzycy

Pan Mieczysław:

Byli we wsiach. Nawet moi bracia byli muzykami. Jeden był taki, sam sobie harmonię zrobił, taki był zdolny – Jasiu. Zrobił też skrzypce. Cyganie się chcieli wymienić, dali mu takie prawdziwe, a tamte wzięli. Tak ładnie zrobił. Tak samo harmonię – miał do tego głowę. I nawet innym stroił. A te ich instrumenty to potem pewnie sprzedali.

Pani Aleksandra:

Raz jak tu ruscy przyjechali, popili i wódki im brakło. A mieli taką harmonię i chcieli sprzedać za dwa litry wódki. Myśleliśmy co zrobić, a tu był taki organista z Ruszcy, to pobiegli po niego, i on od nich tę harmonię kupił. Później się upominali, gdzie jest ten chłopak, ale uciekał szybko żeby go nie widzieli. Jego dziadek był organistą, a on się uczył, ale go potem do wojska wzięli.

Karczma

Pani Aleksandra:

Była tu koło nas karczma, dworska karczma, jak sąsiadka opowiadała. Ale jak my tu zamieszkaliśmy to już karczmy nie było, chyba tylko pozostały jakieś cegły, kamienie można było znaleźć. A dawniej zawsze jak jechali ludzie z kościoła, to wstępowali do karczmy. A jak popili, to się zaczynali bić. Baby tylko leciały zabrać ich do domu. I tam chyba kiedyś zabili kogoś, rozwalili to wszystko. Później jak było wyświęcenie jednego chłopaka ze wsi na księdza, to na pamiątkę postawili krzyż, tam gdzie była wcześniej karczma. Ten krzyż był kiedyś drewniany, ostatnio się ludzie we wsi złożyli, postawili żelazny, ale figura jest ta sama.

Pan Mieczysław:

Tam na Wolicy, na Cle też była karczma, prowadził ją Żyd, to była dworska karczma. Była tam taka Żydówka: Gustka. Pamiętam, tam od nas z Pobiednika chodzili. Jeden poszedł i tam go złapał jakiś chłopak. Tamten trącił w oko tego, co go zaczepił i został bez oka już do śmierci.

Dom

Ten dom był gdzieś w 1918 roku budowany, specjalnie na posterunek, była też poczta.

Na Wolicy, jak mieszkaliśmy wcześniej, to był taki jaśnie pan, jego żona Helenka, była hrabianką. Oni tu mieszkali wcześniej w naszym domu, pewnie matka im zapisała kawałek tego pola. On nie chodził do szkoły i chcieli go wziąć do wojska, ale jako zwykłego żołnierza. Ale nie wypadało, żeby taki jaśnie pan poszedł jako zwykły żołnierz, to on wtedy postawił ten posterunek, za swoje pieniądze. I później my kupiliśmy ten dom, ale

prawie do wojny ten posterunek tutaj był. Mieli tu dwa konie, a jak policjanci wjechali do wioski, to wszyscy salutowali, jak była zabawa i zaczęli się bić, to zaraz przestawali, jak policja tam weszła.

Dwór

W Górcie Kościelnickiej był dwór, gdzie mieszkali hrabiowie Wodziczcy. Mieli piękny dwór i dwa lwy u wejścia. Jeszcze po wojnie tam robiliśmy zabawę – bo nas zaprosili – to wtedy jeszcze parkiet był wszędzie, były pokoiki, a dziś nie został nawet kamień na kamieniu. Teraz to ktoś podobno kupił i odbudowuje, ale w środku nie ma nic. Ten jaśnie pan i jego żona Helenka, z domu Wodzicka, mieli też taki mały domek, ale on w karty grał, i raz przegrał tę żonę, bo już nie miał pieniędzy. Musiał dopiero sprzedać pole, żeby ją wykupić. Mieli dwoje dzieci: córkę Stenię, co umarła jak miała 18 lat, a chłopak poszedł na wojnę w 1939 roku i od razu zginął.

Żydzi

We wsi były chyba ze trzy rodziny, tak chodzili, cielętami handlowali, skórkami, pierzem. Na przykład jak ktoś umarł, to te pierzyny skupowali, czyścili to pierze. W Pobiedniku był tylko jeden Żyd i zawsze chodził do miasteczka, do Proszowic.

Gospodarstwo, praca

Pewnie, że była bieda, ale sobie nikt inaczej nie wyobrażał. Chodzili w jednych butach, ale byli przyzwyczajeni. Za to w każdym domu była krowa i mleko, sery wisiały dookoła domu, bo tego się nie sprzedawało. Świnia się zawsze uchowała.

Żyto się młóciło cepami i potem się robiło snopki na poszewkę, na strzechę. Jeżeli była dobrze strzecha zrobiona, z dobrej słomy, takiej zielonkawej, to do 30 lat mogła być, a czasem jak wpadła burza, to powybiła to wszystko do góry. A na wiosnę, to znowu zawsze robili płoty z gałązek, z wierzby. Tu było koło strumyków pełno wierzb, obcinało się je na wiosnę i robiło się płoty. Ale jak już było po żniwach, to baby darły te płoty do palenia tak, że do wiosny, to już płotu nie było.

Żniwa były ciężkie. Dawniej sierpami żęli, we dworach, wszędzie. Ze 20 dziewczuch szło i we dworze żęły. Ja jeszcze pamiętam, jak kobiety motykami kopały, odrabiały jedna u drugiej. Jak byłem mały to cofałem im te koszyczki jak kopały. A potem były już wynalazki, to wyorywali takimi płużkami i już można było nawet ręką zbierać. Potem tymi kopiarkami; jak miały ziemię i rozrzucali ziemniaki, to trzeba było je szybko zbierać. A do żniw to teraz kombajn, a kiedyś to żniwa były najgorsze, bo to trzeba było wiązać, baby odbierały i się snopy ustawiało, a najgorzej to jak deszcz przyszedł. A we dworach to się śpiewało przy żniwach, bo tu, to człowiek był zmęczony. Zawsze dziewczyny szły do dworu, do Branic, albo do Pleszowa, to tu u nas się zbierały i śpiewały. Wieczorem jak wracały to też zawsze śpiewały.

Mama opowiadała, że jak przyjechali chłopaki z wojska, to zawsze przynosili coś nowego, jakieś wynalazki, tak na przykład zaczęli brony robić w kuźni. A ja pamiętam jeszcze jak we dworach kosiło się kosami i wtedy to śpiewali dopiero. A jeszcze szwagier opowiadał, jak się chodziło zimą młócić do dworu. I trzeba było przed rozumem wywijać i tak aż do wiosny. Pamiętam jak u nas byli ruscy i młóciłyśmy, to przyszedł pułkownik, próbował i jak wrócił do domu to mówił: – „Pan pułkownik młócił”. Chleb się piekł w domu, raz na tydzień, takie duże bochny, żarna też mieliśmy.

Miasto

Ta droga koło nas była taka z kamienia, jak się udawano do Krakowa furmankami, to do miasta się jechało 3-4 godziny. Było daleko, więc tylko jak coś trzeba było sprzedać, to się tam jeździło. Przed wojną kursowały też cztery autobusy na dzień, bilet kosztował 1, 40 zł., młodzież jeździła do szkoły – kogo było stać. Koło nas był przystanek. Jeździły też furmanki z kapustą, ogórkami, z mlekiem – codziennie. Tu była spółka gospodarzy, co mieli krowy, i każdy miał swoje miejsce gdzie to mleko oddawał. Jeden gospodarz musiał jechać i zbierać te bańki, rozwozić do Krakowa i z powrotem drugi raz, już puste. Codziennie ktoś inny jechał. Było też tak, że nie było wolno jeździć z tym mlekiem, tam w Mogile odbierali, ale ludzie kombinowali, jak nie rano, to później jechali. My dawaliśmy do internatu, codziennie 20 litrów mleka.

W Niepołomicach były jarmarki, to się tam kupowało krowy, konie.

Lata II Wojny Światowej

Pani Aleksandra:

Jak się wojna zaczęła, to leciały samoloty o piątej rano. Ja wtedy z ojcem byłem w Krakowie, na ulicy Bosackiej, i tam baba jedna wrzeszczała, że jej okna wyleciały, bo miały być próbne naloty. I tak krzyczała, a potem przyszedł jakiś pan i mówił, że przecież bomba uderzyła na ulicy Warszawskiej, w te zakonnice. Przyniósł odłamek i pokazywał, że to nie jest żaden próbny odłamek, tylko z prawdziwej bomby. Potem, jak wracaliśmy z Krakowa, to ludzie szli całą drogą, a samoloty zaczęły latać, tak nisko, bo tu w Czyżynach było lotnisko. Jak jechaliśmy, to taki motor stał, i na tym motorze dwóch Niemców zabitych, bo bomba niedaleko uderzyła. Szło też wtedy wojsko, byli zakurzeni i na motorach jechali, nie było tu takiej drogi utwardzonej, więc jak szli to się kurzyło. I my tak staliśmy, tu pod krzyżem i patrzyliśmy, a oni nam chcieli dać czekoladę, ale nam już powiedzieli żeby nie brać, bo to „trucizna”, i tak mówiliśmy: – „Nie chcemy, bo tam macie truciznę”. I tak przeszli, ale gorzej było jak Rosjanie przechodzili, bo oni byli pijani. Jak się wojna zaczęła, to wszyscy uciekali na wschód. Nasz tatuś też poszedł na tę ucieczkę, wyglądało to, jakby procesja szła drogą. Jedna kobieta szła z Krakowa i miała cztery kozy. Zostawiła je u nas w domu i poszła dalej, ale nigdy się po te kozy nie zgłosiła. Tata opowiadał, że zobaczył jak bochenek chleba leży na drodze, młode chłopaki nie chciały go nieść, to tatuś zabrał i niósł w plecaku. A wieczorem przyszli głodni, żeby im może dał. A potem jak ludzie usłyszeli, że Rosjanie idą z drugiej strony, to wszyscy zawracali. To chyba ze trzy tygodnie trwało, nasz tatuś był aż w Janowie Lubelskim, a ci, co nie wrócili, to pewnie zginęli w Rosji.

Niemcy tak nieraz chodzili, patrzeć czy nie mamy krów, czy świń pochowanych, a kiedyś przyszli akurat jak świnię zabiliśmy. To prędko wzięliśmy mięso do kuchni, schowaliśmy, a oni szukali krów i tam nie weszli, bo by nas chyba powystrzelali. Wzięli nam krowę jedną, drugą, konia... Rano kiedy wstaliśmy, to zobaczyliśmy, że wóz wzięli, tylko sanki zostały.

Nieraz też szukali ludzi do roboty, to się wtedy chowaliśmy. Raz tu przyszli do sąsiada, jak młócili u niego zboże, a było do tej maszyny chyba z piętnaście osób. Jak zobaczyli Niemców, to wszyscy – buch do słomy. Ta maszyna terkocze, a przy niej dwóch ludzi, reszta schowana. I tak nas brali, most budowaliśmy na Wiśle, drzewo nosiliśmy, a czasem uciekaliśmy, bo mówili „oblawa będzie”. Czasem pod wieczór, uciekałyśmy do stodoły, a tatuś zabierał drabinę. Raz widzieli jak uciekałyśmy i zaczęli strzelać po stodole, a jedna siostra była w stajni, to wyszła i powiedziała, że to ona była. Wzięli ją do samochodu, do roboty, do tego mostu pewnie. Ale ona była taka drobna, to mamusia wyszła żeby jej dać kromkę chleba, to wówczas kazał jej ten Niemiec zejść z samochodu.

Mieliśmy wójta Nowaka, a nasz tatuś umiał mówić po niemiecku, więc jak przyjeżdżali Niemcy, to ten wójt zawsze przychodził z nimi, ugościło się ich, później szli na plebanie, tam też ich gościli i wtedy nie zabierali nawet ludzi do roboty.

Za okupacji pełno ludzi tu chodziło z solą z Wieliczki, a jak wracali to sobie wzięli ziemniaków, albo zboża, bo był wielki głód za Niemców, zwłaszcza taki jeden rok był ciężki. Ludzie chodzili za ziemniakami, za zbożem. My też ziarno tarliśmy na mąkę, na chleb. Żarna były z pieczęcią, bo nie było wolno mleć, ale jak się natarło, to się potem tę pieczęć z powrotem przykładano. A ludzie tam, nie mieli mąki na chleb, to przychodzili i sól sprzedawali, albo garnki czy jakieś szmaty. To tak jakoś w jednym roku było, nie wiem czemu, może wywieźli całą żywność na front.

U nas nawet tak źle nie było w tamtym czasie, przeżyliśmy. Gazet, radia nie było, to się tak nie słyszało. Właściwie to u nas było radio, ale je schowaliśmy, a po wojnie tatuś nie umiał go znaleźć. Potem znaleźliśmy, dałem je Wojtkowi Tomczykowi, to było takie tylko, że przy oknie wisiało i takie słuchawki się zakładało, na krzemik chyba. Znaleźliśmy je w ulu.

U nas, tak przy drodze to każdy wstąpił, było tu dużo ludzi przez wojnę.

Kiedyś Niemiec przyjechał, stanął i wołał, żeby podejść, a my się baliśmy. A on przywiózł takiego Staszka rannego i chciał żebyśmy wiedzieli. Potem go do szpitala zawieźli.

Tu byli też poznaniacy, co ich wysiedlili, była też taka dziewczynka z Bilki Szlacheckiej koło Lwowa, bo jak wpadli Ukraińcy, to poderżnęli rodziców, zamordowali. Tu przyszło dużo takich dzieci, to porozdawali po jednym we wsi. Helenka miała 9 lat i dopiero ją zapisaliśmy do szkoły tutaj, do pierwszej klasy, ona w ogóle nie znała liter, bo ruskie bukwy były inne.

Poznaniaków było chyba z osiem osób, ich tam z dużego gospodarstwa powywalali, było ich we wsi dużo. Potem byli warszawiacy – po powstaniu – to aż gęsto było w domu od ludzi. Pamiętam, była u nas taka dyrek-

torka banku, to miała taki tyłek chudy, że nie mogła siedzieć. Oni byli strasznie wygłodzeni, zawszeni, po tych piwnicach tam siedzieli. Przysyłali ich tutaj. Jedna taka garbuska przyjechała, to nam cały dom zawszyla, bo nikomu nie powiedziała. Była też taka nauczycielka i małżeństwo bezdzietne.

A ruscy jak szli od Ruszczy to Niemcy uciekali w drugą stronę. Tędy przechodzili w takich białych uniformach, bo była zima. Tatuś mówił, że uciekają na Kraków, ale tu na posterunku kierowali ich na Niepołomice. A Rosjanie jak weszli, to takie draństwo było, że jak weszli do nas – a mieliśmy pszczoły, chyba z dziesięć uli – to oni w lutym je pootwierali, bo chcieli miodu i wybrali te plastry. Na wiosnę jak były czereśnie to ich nie obierali tylko urznęli całe drzewo, bo nie mieli czasu. Tu u nas było coś takiego, że chwytały samoloty na światło, tu były dwa auta; jedno na podwórcu, drugie za stodołą. U sąsiada było ich chyba z piętnaścioro. Dziewczyn z pięć, może siedem, mieszkali tu ze 2-3 miesiące. Była tam za studnią taka wierzba, to ją obcięli, przybili deskę na której stała zawsze jedna dziewczucha i podawała jaki samolot leci. Oni jak u nas byli, to byli gościnni, chociaż u nich bieda była, ale jak dostali mąkę, albo chleb, to nimi dzielili. Był taki Żyd, nazywał się Starszyna, oni zawsze mówili: – „On nie nasz, on jest lwrek”, ale on trzymał porządek między nimi. Nigdy nic nie wzięli, tylko przyszli poprosić. Raz prosili mamusię, żeby pomogła upiec chleb, bo one nie piekły, a dostały mąkę. A jak tylko coś tam miały, to robiły sałatkę i musiały być w gościnie. Piekły taki pieróg; ciasto nadziewało się kapustą, albo mięsem – to my tu pierwszy raz taki widziałyśmy, to było ze wschodu. I jeszcze prątnik robili – takie przyjęcie, siedziało się w gościnie. Mieli jakąś tam wódkę, z Branic przywozili, ale nie pili dużo. A jak już pili to stawali i mówili, że na cześć Lenina, czy Stalina, no i szklanki musiały być. Ale nie narzekaliśmy na nich. Dopiero potem, jak ten lwrek poszedł, to przyszedł taki ruski, ładny chłop, ale on już tak porządku nie trzymał, to się rozbacirowali; jak przyszli to coś wzięli, po stodołach chodzili, szperali. Potem się spostrzegli, że my tam mamy węgiel schowany i różne rzeczy. No, ale pojechali, pożegnaliśmy się. A mówiły, że same między sobą się nie mogą porozumieć, a z nami? Jak kiedyś jedna przyszła, chciała miotłę i szmatę pożyczyć, to co się ona namówiła, co się my nasłuchałyśmy, o co chodzi, ale potem już się przyzwyczailiśmy, już się rozumiałyśmy, ja nawet miło wspominam te Rosjanki.

A potem przyjechali ruscy, ale z generałem, cały sztab jakiś do Wyciąż przybył. Sztab był na środku wsi, u nas mieszkano trzech pułkowników. Przychodzili tu, bo u nas były cztery dziewczyny, to im było weselej, ale to już byli inteligentni ludzie. Jeden ten ruski mówił: – „Tak mi się tu u was podoba” – ta kultura mu się podobała. Dom był drewniany, to mówił: – „Takiego domu nigdzie nie ma”.

Pan Mieczysław:

Jak się wojna zaczęła to my w szesnastu uciekaliśmy i zalecieliśmy aż za Lublin, do Świdnika, a tam taka kobieta mówi: – „Nie mam chłopca, może byście omlócili na chleb”. No to się wzięliśmy za cepy i młóciliśmy, ale już usłyszeliśmy, że Niemcy lecą i trzeba było iść dalej, więc zaszliśmy aż do Lubartowa. Tam słuchamy, że ruscy idą, to trzeba było zmiatać z powrotem. Kazali nam jeszcze kamienie nosić na most, dopiero potem nas puścili. Ja wróciłem z ucieczki z bratem, a na drugi dzień także drugi brat z wojny wrócił i mówi, że wyskoczył z pociągu w Podlężu. Mama jakby wyczuła, że wrócimy, napięła placków z serem.

U nas w domu znowu Węgrzy byli. Było chyba ze 40 żołnierzy, ale na Węgrów to nie narzekam wcale. Ja ciągle z końmi w polu robiłem, to mi pomagali. Jeden pojechał ze mną koniczynę zwozić, to się zgadaliśmy, chociaż trudno się było z nimi dogadać – bo węgierski to taki trudny język – ale oni mieli ze sobą Ukrainkę, to im tłumaczyła. To były dobre chłopcy. Jak przynieśli wino, to u nas było jak wesele, bo bracia umieli grać, oni znowu śpiewali. Miałem takiego kolegę Węgra, z jednych lat byliśmy, to już była „štama”. Jak miał papierosy, to zawsze mi dawał, tak żeśmy się lubili. A potem żalowałem, że nie wziąłem do nich adresu.

Po wojnie

Pani Aleksandra:

A jak hutę budowali, to nam ziemię zabrali: 5 hektarów, a za to co nam dali, to można było pół hektara kupić. A u nas zboże było takie piękne, że jak teraz tak popatrzę, to mi się płakać chce. I sadziło się tytoń, buraki. Krowy były i wszystko, ale u nas te pola zabrali. Cała ta okolica jeździła do budowy, konie wszyscy mieliśmy, ale za to płacili. Tutaj się zjechali ludzie z całej Polski, u nas też mieszkali. W Pleszowie mieli takie baraki, ale piękne były, nie tak jak tu nieraz mówią, a czasem po prostu na wsi mieszkali. A było tak, że jak tylko domy wybudowali, to zaraz dostawali mieszkania. U nas tyle ludzi mieszkalo i wszyscy jak tylko zaczynali budować, to wiedzieli, że to będzie ich. Byli tacy z nad morza, ciągnęli losy, które będzie czyje. Jedni lokatorzy, co u nas mieszkali to później dostali mieszkanie w tym miejscu, gdzie była walka o krzyż, mówili, że im kamień przez

okno wpadł. Syn szedł kiedyś z pracy i mówił, że był tłum koło pomnika Lenina, a potem ktoś podłożył jakiś granat, czy coś i mu piętę urwało. Za Gierka to tu się cała wieś wybudowała, murowane domy postawili. Tu po całych wsiach tytoń sadzili, potem się to suszyło i zawoziło do Czyżyn, do monopolu. To wszystko się właśnie za ten tytoń pobudowało. Ale prąd nam tu późno założyli, dopiero jak syn się urodził, w 1958 roku, a gaz jak brał ślub.

Pani Kornelia:

Po wojnie poszłam do pracy, była taka duża szwalnia w Rynku, pod „13”, na pierwszym piętrze. Tam pani Chociejowa kupiła maszyny, ja chodziłam do szkoły krawieckiej i poszłam do niej z ogłoszenia. Ona się mnie spytała: – „Co ty umiesz?”, ja mówię, że chodziłam do takiej a takiej szkoły, a ona na to: – „Dziecko, to ty pieluchy umiesz uszyć!”. Myślałam, że mi serce pęknie. Ona miała duży salon mody we Lwowie przed wojną, później mnie wzięła tam do siebie i miała dużo klientek sprzed wojny, ze Lwowa. Ona mną kierowała i coraz więcej szyla i więcej. A tak sobie dzisiaj myślę, faktycznie, co ja wtedy umiałam, przecież ja byłam wtedy dzieckiem.

Notowała Agata Krupnik

P.S.

Pani Aleksandra Nowak urodziła się w Wolicy w 1921 r., jej mąż urodził się w Pobiedzisku 1917 w r., a ślub wzięli w 1947 r.

Pani Kornelia Gnat jest najmłodsza z 4 siostr Ryglówien; urodziła się w 1927 roku. Wszystkie siostry kolejno to: Ola, Stenia (obecnie mieszka we Wrocławiu), Zosia (mieszka w Częstochowie) i Nela.



Rodzina Józefa i Józefy Ryglów. Od lewej stoją ich córki: Aleksandra (Nowak), Stefania (Monastyrzka), Kornelia (Gnat), Zofia (Tomczyk). Wyciąże, 1932 r., fot. Józef Karas



Rodzina Ryglów, Wyciąże, lata 40. XX w.

WOLICA



Pierze

Wolica zawsze słynęła z pierza.

Kiedy droga była kamienna, domy pod strzechą, a na Wiślisku boginki jeszcze prały w rzece pieluchy, na błoniach wokół Wolicy pasły się stada gęsi. Kończył się sezon, do wsi zjeżdżali z Bochni handlarze pierzem: każda panna musiała mieć w posagu pierzynę, każdego chłopaka wianowało się poduszką...

A potem świat się zmienił.

Najpierw zrobili prąd, później mleczarnię i przychodnię, a na końcu telefon. Droga stała się ruchliwa: kierowca wjechał Helenie Gurgul w stado, zabił siedem gęsi... No i skończył się zbyt. Na wszystko. Na mleko, pszenicę, ziemniaki. I na pierze też.

Nie darty go przez 15 lat.

Teraz drą znowu.

Teraz

Zbierają się codziennie wieczorem, zimą, kiedy ustają prace w polu. Na stół sypią gęsie i kacze pierze. Piórka łapią w garść, wyciągają po jednym i drą: najpierw z jednej, potem z drugiej strony. Twarde sypułki rzucają na podłogę.

Dwie poduchy z tego pierza właśnie płyną z Wieśkiem przez ocean do Stanów.

– Bo to jest rarytas. Kolejka się po nie ustawia – mówią panie z wolicckiego Klubu „Jedność”, oddziału Ośrodka Kultury Kraków – Nowa Huta, który przywrócił tradycję darcia pierza.

Gęś porasta pierzem cztery razy w ciągu roku. Skubie się ją trzy razy: pierwszy w czerwcu, ostatni – w październiku.

Maria Brandos: – Najpierw wrywa się gęsi piórko i patrzy czy na końcu nie ma czerwonego. Kropelki krwi. Jak nie ma – można skubać. Najładniejsze jest pierze z ostatniego skubania, ma najwięcej puchu. Puch rośnie tuż przy skórze, w większości pod brzuchem. Jest bardzo drogi. Kilogram kosztuje 300 zł.

Zimą pierze się drze. Kilo dartego pierza warta 150 zł.

– Ręcznie darte pierze nie wychodzi z pościeli, nie przebija się przez poszewki. Jest ekologiczne, bo nasze kaczkę i gęsi pasą się na trawie, nie jedzą paszy, tylko ziemniaka ze zbożem. Po paszy pióra czuć rybami – mówią panie z Wolicy.

Mówią i drą: na podusię dla wnusia Heleny Gurgul, na poduszki, co popłynęły do Stanów z synem sąsiadki, na kołdrę dla Aliny Jędras.

Z jednej kaczkę wychodzi im dziesięć deko pierza. Na poduszkę trzeba 1,5 kilo, na kołdrę – 2,5, na pierzynę – nawet cztery kilo.

Ewa Zając: – To zależy jak kto lubi wysoko spać.

Przez zimę obrobią z dziesięć kilo piór.

Pośpiwają przy tym trochę, powymieniają się przepisami (na placek z majonezem: 3 jaja, szklanka cukru, szklanka młki, 1 szklanka młki ziemniaczanej, mały słoik majonezu). I opowiadają: kto się we wsi urodził, kto się wydał. Albo, że lepiej mieć wylew do lewej półkuli mózgu, bo do prawej to serce moje stanę. Albo – ile dzieci było dzisiaj w kościele, skąd my mamy tyle dzieci?

Janina Jędras: – To jest lepsze niż telewizja. W telewizji są teraz tylko reklamy.

Historia o gąsiorze

Ojciec teściowej Janiny Jędras wybierał się do Krakowa sprzedać gąsiora.

Wstał przed świtem, wsadził gąsiora pod pachę, ale ledwie wyszedł za próg, momidła tak go zaczęły wodzić, że tylko chodził w kółko. A co przeszedł przed drzwiami, gąsior krzyczał: „Ga! Ga!”. Z pięć razy tak obszedł własną chatkę.

Wreszcie żona zawołała z łóżka: „Chodźże ty lepiej do domu. Dziś i tak nigdzie nie dojdiesz...”

Wtedy

Janina Jędras oskubała wtedy pierwszą w życiu gęś i teściowa śmiała się z niej przez tydzień: „Ale żeś strusia zrobiła...!”

Bo Janina wyrwała wszystkie piórka do gołego, nawet ogon wyskubała.

Był 1955 r., Janina Jędras uciekła z wioski, w której żyła dziewczyna, co spała od 21 lat. Wioska była w rzeszowskim, a Janina uciekła z niej przez chłopaka, który poszedł do szkoły UB i zrobił się taki skurczybyk, że nie mogła się do nikogo odezwać. Groził nawet lekarzom w szpitalu, gdzie była pielęgniarką.

Zamieszkała w Pobiedniku, u znajomego księdza. Chodziła do Wolicy, robić zastrzyki. Pacjentka miała brata, brat Janinę odprowadzał... Pobrali się i on śpiewał: „Ożeniłem się na drobnej szlachcie, przyniosłem wiano na plecach w płachcie”.

Bo wtedy każda panna musiała mieć w posagu kołdrę (Maria Brandos dostała od mamy i pierzynę, i poduszkę, w dodatku z puchem), a Janina nie miała nawet jaśka.

Wolica zawsze słynęła z pierza.

Janina Krok pamięta: zimą kobiety zbierały się po domach. Siadały nad pierzem, śpiewały, albo włączały Wolną Europę. Chłopaki tylko wróble łapali (wtedy wystarczyło wsadzić rękę w strzechę i wyjmowało się wróbla), wrzucali przez okna: wrzask, pisk, pierze fruwało pod sufitem!

Przychodzili dopiero potem, na wyskubek: obtańczyć dziewczyny, zjeść, wypić.

Więc kobiety darły, a tata Janiny Krok i Marii Koczur czytał na głos „Hrabiego Monte Christo” albo opowiadał książki. Specjalnie się przychodziło, żeby usłyszeć dalszy ciąg. Potem, kiedy same czytały, zorientowały się, że nawet połowę wydarzeń potrafił od siebie dodać.

Ale najczęściej – najczęściej mówiło się o strachach.

Wtedy strachów w Wolicy było więcej. Była kamienna droga, a przy niej stara wierzba, co nocą świeciła na zielono. Wisła nie była uregulowana i na Wiślisku robiły się malutkie jeziora, w których boginki prały pieluchy. Były momidla, co wodziły ludzi po nocy i strzygonie. W starym domu Habasa straszyc, gospodarz wrzasnął któregoś dnia: „A przestanie mi się tam tłuc w tej komorze!” i tak go do ziemi przydusiło, że żona musiała się nad nim z różańcem modlić, póki nie przyjechał biskup z egzorcyzmem.

Wtedy dusze niebierzmowane pokutowały na drogach.

Janina Jędras pamięta: Nowakowie wracali nocą ze młyna, dwa białe pieski siadły im na wóz i nie dawały się zgonić – co jeden zeskoczył, drugi wskakiwał, a konie nie chciały iść, jakby im się nagle strasznie ciężko zrobiło. Północ minęła – pieski znikły. To były właśnie te dusze.

Biegło się po tych historiach do domu i tylko drzwiami za sobą trzaskało, żeby boginka nie wpadła.

Janina Jędras: – Jak się wieczorem nie zmówiło pacierza, to mogła w nocy przez komin przyjść i udusić.

Raz nawet jej się śniło, że zapomniła się pomodlić i boginka szarpie ją za nogę. Obudziła się, ale to był tylko kot.

Historia o bułkach i drzewie

Brat Janiny Krok wracał raz nocą na rowerze z piekarni i wysypały mu się wszystkie bułki.

Zsiadł więc i zaczął je zbierać. Ale co się schylił – nie mógł złapać. Szedł tak za tymi bułkami, aż doszedł do stawu. Patrzy – a pieczywo ciągnie go do wody.

Opamiętał się i zawrócił. W domu okazało się, że wszystkie bułki są na miejscu.

Natomiast szwagier Janiny Krok wracał z imienin. Miał iść do domu – poszedł do Niepołomic do puszczy. Chodził po lesie całą noc, dopiero nad ranem trafił do wsi. Następnego dnia wrócił sprawdzić, gdzie tak błądził. Patrzy na ślady i oczom nie wierzy.

Chodził w kółko, wokół jednego drzewa.

Potem

Potem poszły do pracy.

Helena Gurgul do fabryki długopisów. Janina Krok do fabryki domów z wielkiej płyty. Władysława Spólnik

na kucharkę do kombinatu. Maria Szelaąg, która wcześniej była na służbie u państwa doktorów w Niepołomicach – na wydział chemiczny Huty im. Lenina, do oczyszczania gazu.

Wstawały przed świtem i jechały: pociągiem, rowerem (siedem kilometrów), autobusem. Po ciemku.

Helena Gurgul przyjechała kiedyś do fabryki na szóstą, brama była zamknięta. Zaczęła krzyczeć do dozorczy: „Niechże mi pan otworzy, spóźniłam się, a pan mnie jeszcze teraz nie chce wpuścić?”. Dozorca zapytał: „A wie pani, która jest godzina?”. Była trzecia rano.

Urodziły dzieci.

Maria Szelaąg: czwórkę. Bez żadnych dodatkowych urlopów, ze zwykłym trzymiesięcznym macierzyńskim.

Nie miały już czasu drzeć pierza.

Zresztą, właśnie zmieniał się świat. Zrobili prąd, wybudowali mleczarnię, szkołę, kościółek, świetlicę. Dociągnęli wodę i gaz, a na końcu telefon. Wszystko w czynie społecznym. Wyasfaltowali drogę, zrobił się ruch i Helenie Gurgul zabiło siedem gęsi ze stada. Coraz więcej ludzi zaczynało mieć na pierze alergię.

Janina Jędras: – Skończył się zbyt na gęsi. Gdyby był, ogrodziłoby się błonia.

Jędrasowie po latach kupili radio. Akurat włączyli, spiker powiedział: „Pod Rzeszowem obudziła się dziewczyna, co spała 21 lat”.

Teraz

Teraz sadi się bób.

Nic innego się nie oplaca, na nic nie ma ceny: ani na zboże, ani na ziemniaki, ani na mleko. Dlatego większość ziemi leży odłogiem, a ludzie poszli do pracy – do Krakowa, do Huty.

Sadzą jeszcze tylko trochę pszenicy dla kur i jarzyn dla siebie.

W całej Wolicy zostały dwie krowy, trzy konie, dwa kucyki i ze trzy kozy.

Alina Jędras: – Mój syn dostanie ode mnie i poduszkę, i kołdrę. Bo teraz młodzi mają ciężko. Pracy nie mogą znaleźć.

Teraz panie są na emeryturze i zimą codziennie wieczorem spotykają się w domu kultury, żeby drzeć pierze i grać w karty. Organizują sobie imieniny, opłatek, jajeczko, wyskubek i pępkówkę. Uczestniczą w przeglądach kołęd i dożynkach w Mogile. I rozmawiają: kto się we wsi urodził, kto wydał.

Janina Krok: – Nawet gazety nam nie trzeba, bo jedna przeczyta i już wszystkie wszystko wiedzą.

Teraz za nic nie spacerowałyby po wsi po nocy. Bałyby się: że napadną, okradną, zabiją.

Ewa Zajac: – Dawniej niby strachy były, ale człowiek się nie bał. Teraz strachów nie ma, ale lepiej w domu siedzieć.

Maria Szelaąg: – Autobusem o 23 to bym już teraz nie wróciła, bałabym się.

Ewa Zajac: – Teraz są inne strachy. Prawdziwe.

Na przykład droga: trzeba koniecznie napisać, że miasto musi zrobić pobocza, bo dzieci nie mogą bezpiecznie chodzić tamtędy do szkoły. Ogóle nie da się chodzić ulicą Brzeską. Nie ma też wiaty na przystanku autobusowym i kanalizacji.

A w końcu Wolica to nie jest Syberia. To jest Kraków. Nowa Huta.

Historia o piórku

Brat teściowej Janiny Jędras chodził w Wolicy do panny, co darła pierze. Aż raz dziewczyna schyliła się po piórko i puściła baka.

Więcej do niej nie poszedł.

Bo jak piórko podnieść nie da rady, to co by z niej była za żona?

Katarzyna Kobylarczyk

Artykuł ukazał się pierwotnie w „Dzienniku Polskim”

Wspomnienia Czesławy Kapeli

Zanim zbudowano Nową Hutę, Wolica była małą wioską położoną nad Wisłą. Gdy nie istniały jeszcze zakłady pracy, nasza wioska była w dużej mierze samowystarczalna. Ludzie, którzy tu żyli utrzymywali się głównie z rolnictwa. Narzędziami ich pracy były kosy, sierpy, widły, grabie, cepy i łopaty. W niektórych gospodarstwach były używane kieraty do których zaprzęgano konie lub krowy. Oprócz tych zwierząt hodowano kozy, świnie, gęsi, kaczki, indyki i kury. Ale pracowali tu także kowale, kołodzieje, bednarze, krawcowe, szewcy, rymarze i in. Specyficzną grupę zawodową w Wolicy byli jednak galernicy. Ich praca była bardzo ciężka i niebezpieczna. Ci silni mężczyźni zajmowali się wydobywaniem piasku z dna Wisły, wożeniem rozmaitych towarów np. soli oraz materiałów takich jak drewno czy węgiel. Następnie wozami i końmi wożono to wszystko na stację kolejową w Niepołomicach. Dawniej często przepływały Wisłą galary i barki ciągnięte rzeką przez statki. Przez rzekę przeprawiano się łodziami i promami. Wisła podczas powodzi wylewała podtapiając domy, niszcząc plony i zalewając łąki. Istniała więc potrzeba wykonania prac melioracyjnych, które prowadził na tym terenie Aleksander Świętek – absolwent szkoły melioracyjnej we Lwowie przybyły do Krakowa w 1928 roku, gdzie podjął pracę w Spółce Wodnej.

Zbrodnia w Wolicy

„W dniu 6.11.1939 r. przyjechało gestapo niemieckie w liczbie przeszło 100 hitlerowców uzbrojone w karabiny maszynowe do Wolicy i ustawili karabiny maszynowe na pastwisku. Wówczas wezwali mnie, Ignacego L. jako sołtysa, i poszliśmy po wsi. Zabrali z domów 9-ciu chłopów. Ustawili obok nich karabiny maszynowe w jeden rząd, strasznie ich bili i katowali przez cały dzień. Następnie na wieczór zabrali i zawieźli do Bochni. Mnie zwolnili z więzienia 5.12.1939 r., zaś tych resztę chłopów wyprowadzili pod las w Bochni i 7.12.1939 r. zastrzelili. Śmierć ponieśli straszną, bo podobno na pół żywych zakopywali”.

Fragment artykułu Krzysztofa Rosółka „Gmina Mogiła w okresie II Wojny Światowej w latach 1939-45 w relacjach świadków”, który został opracowany na podstawie ankiet przechowywanych w zbiorach Archiwum Państwowego w Krakowie opisujących politykę okupanta niemieckiego wobec ludności polskiej.



Strażacy z OSP w Wolicy, lata 50. Członkami OSP byli: Ignacy Lech (prezes), Piotr Partyka, Karol Jasiński, Szczepan Habas, Jan Dziadur, Stanisław Gaudyn, Andrzej Gaudyn, Wojciech Szeląg, Teofil Szewczyk, Tomasz Kostecki, Stanisław Nowak, Józef Maroszek i in.



Sianokosy w Wolicy, lata 30. Helena Sieja czestuje alkoholem, siedzą: jej córka Mania i Maria Karolczyk, stoją: Kazimierz Krupiński, Stanisław i Bronisław Żarnik i in.



Piaskarze z Wolicy, lata 40. XX w.



I Komunia Św. dzieci z Wolicy, Niepołomice, 1943 r.



Pogrzeb Tomasza Sieji, który osierocił 11 dzieci, Wolica, lata okupacji niemieckiej



Obowiązkowa dostawa bydła (koło domu sołtysa Józefa Sieji), Wolica, lata okupacji niemieckiej, fot. ukrytą na wozie kamerą Aleksander Bętkowski



Przeprawa przez Wisłę z Wolicy do Niepołomic, przewoźnikiem był Mateusz Ptak, lata okupacji niemieckiej

KOŚCIELNIKI



Kościelniki – krótki rys historyczny wsi

Zapis historyczny, w którym występuje nazwa Kościelniki, pochodzi z roku 1369. Wówczas to, właścicielem wsi był Mikołaj Strasz z rodu Odrowążów. Nazwę wsi przypisuje się nieślubnej córce Kazimierza Wielkiego, która przez Sakrament Chrztu Świętego, zostaje przyjęta na łono Kościoła i otrzymuje stosowne do tego faktu nazwisko Kościelnicka. Król zaś obdarza córkę wianem i ziemią przyległą do Wisły, po przeciwległej stronie Niepołomic. Od nazwiska właścicielki wieś otrzymuje nazwę Kościelniki. Kazimierz Wielki wybudował tutaj niewielki zameczek, a to co z niego pozostało, znajduje się w miejscu dawnej kuchni pałacowej. Koligacje hrabiów Wodzickich z Kościelnik z wieloma rodami dawnej Polski nadały wsi znaczenia i splendoru. W roku 1787 król Stanisław August Poniatowski przebywał w gościnie u Wodzickich, inne źródła podają, że bawiła również caryca Katarzyna. Stąd wywodził się generał Józef Wodzicki, który zginął w 1794 roku na polu walki, przyjaciel i towarzysz broni Tadeusza Kościuszki.



Jak głosi legenda, pierwszą drogę zbudowali tu ze ściętych pni drzew miejscowi chłopci na przyjazd królowej Bony. Jak tam później wyglądały sprawy drogi nikt nie wspomina, aż do czasów zaborów austriackich, kiedy to pełnomocnik na Galicję, cesarza Franciszka Józefa, bliski krewny dziedzica Kościelnik – Andrzej Potocki zadbał o drogi w tych okolicach. Nasza wieś wcześniej nazywała się Stanisławice, a nazwa Kościelniki dotyczyła tylko samego dworu, co zatarto się po parcelacji w 1945 r. A więc nie Kościelniki, a Stanisławice we wcześniejszym okresie tzw. „darcia pastwisk” stanowią już w miarę zwarłą, o skryzalizowanych poglądach chłopską społeczność, którą cechuje odwaga przy zachowaniu dyplomacji. Przykładem tego jest bezkrwawa walka chłopów z dworem o pastwisko, które uratowali z pożytkiem dla wsi. Sprytnie zredagowana petycja przez zaprzyjaźnionego policjanta (Austriaka z pochodzenia), przekazana przez delegację chłopów ze Stanisławic cesarzowi Franciszkowi Józefowi, w skład której wchodził gospodarz ubrani w stroje krakowskie: wójt wsi Walenty Tkaczyk (mój pradziadek), Tereszczuk i Wilk, przyniosła zwycięstwo chłopów w sporze z dworem o pastwisko, który musiał ustąpić. Niestety zdarzały się w tym środowisku także jednostki nie uświadamiające sobie własnych interesów, skutkiem czego dwór – w okresie uwłaszczenia – w zamian za poczęstunek, podstępem wydarł chłopom duże obszary łąk: Świnna i Hruścisko. Także okowita sprawiła, że nie zdołano dla wsi zdobyć od dworu placu pod budowę szkoły na Topolowie. Szkołę wybudowano wielkim społecznym wysiłkiem dopiero w roku 1886. Chociaż dwór w końcu parcelę darował, zbudowanie szkoły było wielkim obciążeniem dla chłopów. Ta jednak powstała w ciągu zaledwie 2 lat, na swoje czasy należała do najnowocześniejszych w powiecie, a w okresie międzywojennym korzystały z jej murów – ze względu na jej wysoki poziom nauczania – także dzieci z powiatu miechowskiego (obecnie proszowickiego). Surowiec na wypalenie cegły na budowę szkoły brany był z tej części pastwiska, które ok. 1955 r. sprzedane zostało na sfinansowanie budowy Domu Ludowego. W okresie międzywojennym nauczyciele chcieli stworzyć dobre warunki nauczania dla dzieci. Do Kościelnik przybył nauczyciel z wyższym wykształceniem, litewski rewolucjonista Józef Okulczyk, człowiek, który głosił hasła Lenina, bo z nim współpracował, zaś jego żona, niemal od dziecka wychowanka Waryńskiego w kołach konspiracyjnych pracowała z Nadeżdą Krupską, towarzyszką życia Lenina. Ich kwalifikacje zawodowe, walory osobiste i społeczne musiały się odbić. Wieś wnet zaczyna wrzeć życiem społecznym: powstaje Kasa Stefczyka, spółdzielcza mleczarnia, której przetwory np. masło, stanowią luksus na rynku wiedeńskim, powstaje też Kółko Rolnicze, modernizuje się Straż Pożarna. W szkole podnosi się poziom nauki, a zdolna młodzież bez trudności zdaje do szkół średnich w Krakowie. Okulczyk uczy młodzież i starszych na bardzo wysokim poziomie, zwłaszcza matematyki i gospodarstwa, i mówi uczniom – przekazując im swoje marzenia – o tym, że przyjdą inne czasy, i że do nich trzeba być przygotowanym. Efektem tego wieś dysponuje w krótkim czasie grupą ludzi o wykształceniu zdobytym w Krakowie, skonsolidowaną z wartościową, postępową młodzieżą ze wsi. Pierwsza wojna światowa zastała wieś „rozgorączkowaną”, rozbijając poważny jej dorobek. Dwór opuszcza wieś, przenosząc się na Morawy. Ludność przed działaniami wojennymi chroni się do piwnic kazimierzowskiego zamczyska, ale element złodziejski dewastuje pałac kradnąc meble i sprzęty. Dwór po powrocie szuka zrabowanego mienia, odbywają się procesy sądowe, są ogłoszone wyroki, następuje uwięzienie winnych. Mimo ciężkich, powojennych warunków gospodarczych wieś organizuje prace kulturalno

– oświatowe: kursy młodzieży „wiciowej” (należącej do Związku Młodzieży Wiejskiej „Wici” – dop. red.), i odczyty organizowane przez Kółko Rolnicze. „Wiciowcy” pozytywnie oddziałują na wieś; zanikają bójkę, zmniejsza się plaga kradzieży. Młodzież zrzeszona w „Wiciach”, a starsi w Stronnictwie Ludowym biorą czynny udział w życiu politycznym, m.in. w strajkach i manifestacjach chłopskich. Mieszkańcy zajmowali się wtedy niemal wyłącznie rolnictwem, w rozdrobnionych gospodarstwach istniało okropne przeludnienie, uwzględniając, że ówczesnego areału należało do dworu. Ze wsi zaledwie kilkunastu mężczyzn dorywczo pracowało w Krakowie przy pracach budowlanych, dochodząc tam pieszo, rzadziej jeżdżąc rowerem (ok. 20 km w jedną stronę), sporo osób zajmowało się szewstwem, biorąc prace chałupnicze od zleceniodawców z Krakowa. Rolnictwo było tradycyjne, a uprawa warzyw na większą skalę nie była praktykowana. Jednak przed wojną, poważny wpływ na jej rozpowszechnienie mieli warzywnicy pochodzenia bułgarskiego, którzy osiedlili się w sąsiedniej wsi Igołomii. Oni to rozpowszechnili uprawę cebuli, rabarbaru, kapusty, kalafiorów, a przede wszystkim pomidorów. Uprawiano – jak dawniej – ziemniaki i buraki. Pierwszym rolnikiem, który zaczął nastawiać się w Kościelnikach na warzywnictwo przemysłowe był Wawrzyniec Łoboda. We wsi było trzech kowali: kwalifikowany Stanisław Świgoń oraz Piotr Pieczonka w Górcie i Józef Gabuś w Kościelnikach – kowale samouki ale artyści. Kobiety i dziewczęta jeśli nie miały zatrudnienia we własnym gospodarstwie, pracowały na folwarku na tzw. sezon czyli umowę na całe lato – za wynagrodzenie w płodach i w gotówce lub na dniówkę, płatną w gotówce. Pracę do której wzywał dzwonek polowy zaczynało się od wschodu słońca, a kończyło o zachodzie. Schodząc wieczorem z pola po kilkanaście osób, kobiety zawsze śpiewały, a ludzie we wsi mówili wtenczas, że „idą z pańskiego”.

Druga wojna światowa zaskoczyła wieś, ale jej mieszkańcy wykazali odpowiednią postawę społeczną i patriotyczną, co znalazło np. swe odbicie w okresie okupacji w masowym przyjęciu przez tutejszą ludność kilkuset warszawiaków (po Powstaniu Warszawskim i zburzeniu stolicy), na mieszkanie i utrzymanie. Umożliwiono także przechowanie kilku rodzin żydowskich we wsi, tak rodzimych jak obcych, o których właściwie wiedzieli wszyscy mieszkańcy wsi, i mimo gróźb okupanta nikt nie zdradził tajemnicy. W pałacu zorganizowano szpital na kilkadziesiąt miejsc dla warszawiaków ze stałym lekarzem, pod szyldem Rady Głównej Opiekuńczej (RGO), w którego powstanie duży wysiłek włożyła m.in. moja siostra Helena Mierzwina, zaś w kaplicy pałacowej odprawiano Msze Święte. W pałacu przebywał w tym czasie znany aktor warszawski – Zelwero-wicz, a u Ob. Fel. Struzika ojciec Jana Kiepury. Ostatni właściciel – hrabia Henryk Wodzicki zmarł 14 stycznia 1945 roku, unikając okrutnego losu swojej żony i szwagierki, które zostały przepędzone z pałacu, bez środków do życia. Po wyzwoleniu parcelacja dworu podniosła ekonomicznie wieś, a dawno rozbudzona świadomość chłopska miała teraz szerokie pole do popisu. Odradzają się organizacje gospodarcze i polityczne, powstaje spółdzielnia produkcyjna, a z inicjatywy jej członków dokonano w 1953 roku elektryfikacji wsi. Stopa życiowa podnosi się, lecz wzmagają się także potrzeby. Szkoła nie jest w stanie dać schronienia różnym organizacjom, a wykupiona w okresie międzywojennym chałupa, gdzie zlokalizowano wówczas siedzibę kasy i Kółka Rolniczego jest obecnie symbolem zacoferania i przedmiotem kpin. Daje o sobie znać potrzeba zbudowania Domu Ludowego. Wieś przyjmuje projekt sprzedaży nieużytków z przeznaczeniem uzyskanych funduszy na jego budowę w miejscu, gdzie już sto lat wcześniej stała wiejska szopa, która pełniła funkcję świetlicy, a w razie epidemii – szpitala, lub kłęski głodu – kuchni publicznej. W 1957 roku powołano komitety d/s sprzedaży pastwiska i budowy Domu Ludowego. Ich praca, choć początkowo solidarna była jednak żmudna, i z czasem nastroczała wiele problemów. Grono osób działających operatywnie ograniczyło się do prezydium z jej przewodniczącym Piotrem Łobodą, któremu starałem się jak mogłem pomóc, swoimi radami dużo pomógł także Antoni Dulemba. Prace rozpoczęto symbolicznie 1 maja 1957 roku, a otwarcie Domu Ludowego odbyło 2 sierpnia 1959 roku. Osiągnięte efekty skłoniły mieszkańców do podejmowania dalszych społecznych inicjatyw, co zaowocowało budową lokalnych dróg, które były w fatalnym stanie. Rozpoczęto budowę drogi Wyciąże – Czulice, przy wielkim wsparciu i ofiarności całej wsi, gdyż nie było chyba domu, który by w tym dziele nie dopomógł. A prac tych było dużo: np. wyładowanie na szlaku kolejowym w błyskawicznym tempie po kilka wagonów kamienia dziennie (w sumie ok. 4 tys. ton na budowę), wybudowanie własnymi siłami drogi na odcinku Dom Ludowy – Topolówka (w strasznych warunkach atmosferycznych jesienią 1958 roku). O skali trudności niech świadczy fakt, że pomiędzy kolejnymi transportami trzeba było czasami wyładować w ciągu 30 minut aż 6 wagonów kamienia. Kolejna inicjatywa dotyczyła budowy szkoły, która była niewystarczająca do potrzeb stale powiększającej się wsi. Mieszkańcy Kościelnik zobowiązali się do wsparcia jej budowy gotówką i w robociźnie. Zwieziono kołmi z Zielonek (ok. 30 km) ponad 40 tys. cegieł, sprowadzono piece kaflowe, wapno, piasek i budowa...stanęła, gdyż projekt wystawienia szkoły wycofano z planu, odkładając jej budowę na dalsze lata.

Roman Ściborowski



Pałac w Kościelnikach, lata 50-60. XX w.



Hr. Teresa Wodzicka z Kościelnik, pocz. XX w.



Hr. Helena Wodzicka-Pryk, pocz. XX w.



Dzieci ze Szkoły Powszechnej w Kościelnikach, ok. 1933 r.



Mężczyźni z Kościelnik na pielgrzymce w Częstochowie, 1940 r.



Kurs gotowania, Kościelniki, 18 lutego 1938 r.



Dożynki w Kościelnikach, lata 30. XX w.



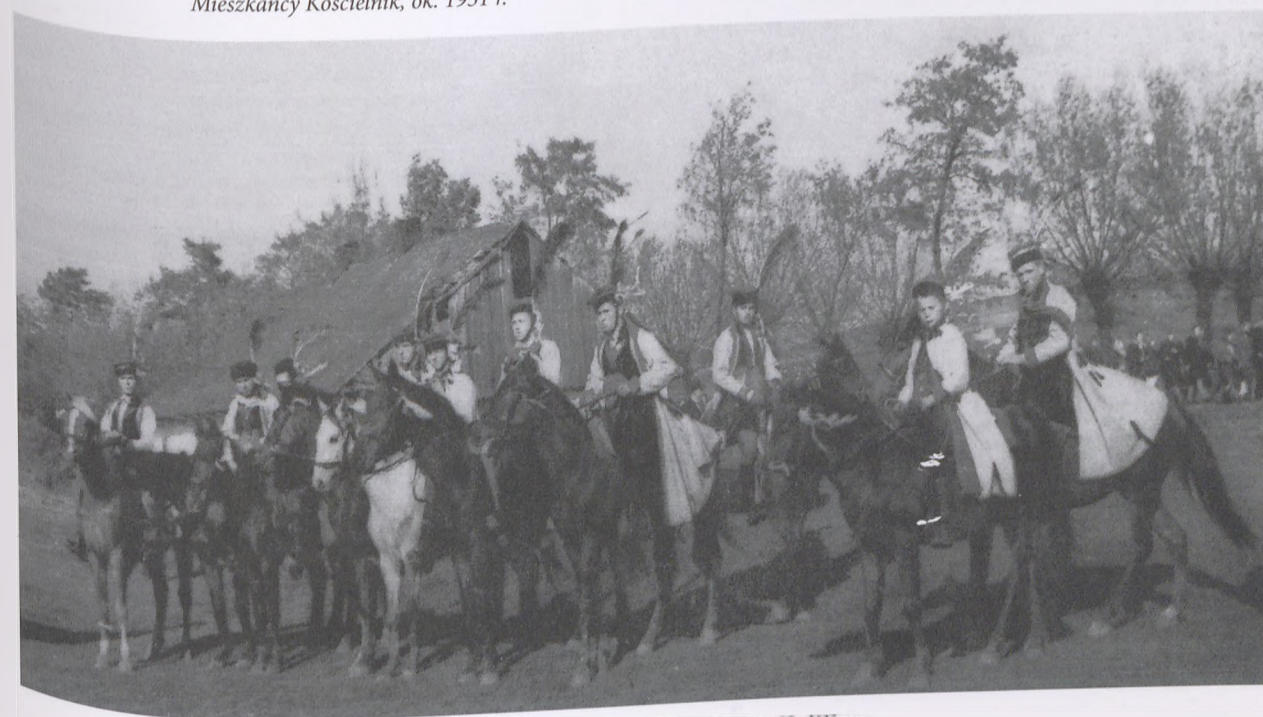
Wesele Anieli z d. Ruśniak i Bolesława Bętkowskiego, 1935 r.



Mieszkańcy Kościelnik, ok. 1931 r.



Rodzina Ruśniaków, 1929 r.



Bandiera krakusów z Kościelnik, lata 60. XX w.



Pogrzeb w Kościelnikach, lata 50. XX w.



Dom Ludowy w Kościelnikach, 1959 r.



Pogrzeb Stanisława Cygana, Kościelniki, 1959 r.



Budowa drogi w Kościelnikach, lata 60. XX w.



Wizyta duszpasterska abp Karola Wojtyły w Kościelnikach, lata 60. XX w.



Poświęcenie sztandaru koła Polskiego Stronnictwa Ludowego w Kościelnikach, z lewej podtrzymuje sztandar Mikołaj Łoboda, z prawej Andrzej Struzik, 1945 r.

„Bogu na chwałę, ludziom na pożytek”

Ochotnicze Straże Pożarne mają piękną i chlubną tradycję. Początki zorganizowanego ratownictwa ogniowego na naszych ziemiach datują się już od czasów średniowiecza. Częste pożary były prawdziwą klęską dla ówczesnych miast i wsi, charakteryzujących się gęstą i drewnianą zabudową, a dachy domów pokryte były słomą. Sprzyjało to powstawaniu pożarów. Usiłowano im przeciwdziałać poprzez wprowadzenie przepisów przeciwpożarowych i „porządków ogniowych”, które zobowiązywały do ratownictwa cechy rzemieślnicze i gildie kupieckie. Z biegiem stuleci władze miejskie przywiązywały coraz więcej uwagi do wyposażenia w sprzęt przeciwpożarowy i prewencji. W 1860 r. w Galicji powstało Krakowskie Towarzystwo Ubezpieczeń od Ognia, zwane potocznie od swego patrona Św. Floriana „Floriana”, by skutecznie chronić przed niszczącymi ich zabudowania pożarami.

Straż Pożarna w Kościelnikach w 1960 r. stanowi dobrze zorganizowaną jednostkę dysponującą motopompą z 400 mb. węża, konnym wozem strażackim, posiadającą kompletne umundurowanie i kompletny drobny sprzęt. Liczy 24 czynnych członków i 7 wspierających. Posiada dostosowaną do potrzeb Straży remizę co wszystko razem składa się na dorobek osiemdziesięciu lat jej działalności. Rocznicą skłania jednak do sięgnięcia pamięcią wstecz, jak wyglądała sprawa jej powstania w 1880 r. za życia naszych pradziadków, kto był jej założycielem, jakie piastował stanowisko społeczne etc. Tego niestety w materiałach nie znajdujemy, a wspomnienia najstarszych mieszkańców już zatarły czas. Powstanie Straży w Kościelnikach łączymy z datą 1880 r. bo wtedy wieś zakupiła ręczną pompę strażacką, węgierskiej produkcji. Być może na decyzję nabycia kolejnego sprzętu strażackiego zdecydowano się po jednym z największych pożarów w Kościelnikach, w czasie którego spłonęło aż dziewięć domostw w samym rynku, a luna oświeślała drogę maszerującym powstańcom z 1863 r. Szereg takich pożarów likwidowanych przy sąsiedzkiej pomocy utrudniał brak wody ponieważ korzystano wyłącznie z wody źródlanej na Pasterniku, czerpanych żurawiem z 3 studzien – gdyż tyle ich było zaledwie w tamtym czasie w Kościelnikach. Takie studnie we wsi /rynku/ jak: studnia-pompa u Warka Tkaczyka i pana Niedzieli nie tylko służyły jako miejsca czerpania wody do użytku domowego ale stanowiły równocześnie zbiorniki dla ratowania przed pożarem. Skulone obok siebie, kryte strzechą chałupy raz po raz niszczył „czerwony kur”. Decydujący zwrot w historii Straży w Kościelnikach nastąpił w 1923 r. za prezesury Andrzeja Tereszczaka i naczelnika Franciszka Durasa. Wspierani opieką proboszcza parafii ks. Świątki oraz dotacjami hr. Henryka Potockiego i dziedzica Górki Kościelnickiej członkowie Straży pierwszy raz przywdękają mundury, pompa zaś przymocowana na przenośnym pokładzie otrzymuje podwozie i koła, a przeróbki tej dokonuje kowal wiejski Piotr Pieczonka. W latach 1928-9 umundurowana straż, dysponująca pompą na kołach wychodzi do akcji poza Kościelniki mając zaledwie 15 mb. węża. W tym czasie prezes Jan Adamczyk i naczelnik Mikołaj Łoboda deklaruje wpisanie Straży z Kościelnik do Związku Straży. Dotychczasowa „remiza” czyli szopa kryta słomą dostawiona we wsi do budynku mieszkalnego Stacha Krupy nie zaspokaja wymogów chwili jak i ambicji strażaków, powstaje więc projekt zbudowania odpowiedniej remizy. Strażacy pobierają na wekslową gwarancję od Żyda Mamesa z Niepołomic materiał na budowę t.j. drewno na kwotę 300 złotych. Jednak organizacja wtedy była jeszcze mało prężna, czyny mierzone na zamiary więc próba zbudowania remizy skończyła się niepowodzeniem, a nabyty materiał sprzedano w drodze przetargu. W tym okresie poza częstymi wyjazdami obronnymi do pożarów (głównie do Pleszowa) miały miejsce także momenty humorystyczne. Oto w czasie akcji gaszenia palącego się majątku Tropiszów dnia 31 grudnia 1937 r. interweniował pijany granatowy policjant jako że był uczestnikiem prywatki – Sywestra urządzanego właśnie w tym majątku. Jego interwencja ograniczała się do wydawania dezorganizujących akcję rozkazów. Zdenerwowani tym strażacy otrzęźwili go puszczając mu prosto w twarz strumień zimnej wody. Epizod ten zakończył się jednak rozprawą sądową w której sprawcy kąpieli: naczelnik Straży Wojciech Krupa i znany dużego poczucia humoru strażak Andrzej Struzik zostali zasądzeni na dwa tygodnie aresztu. Wykonanie wyroku przerwała kampania wrześniowa w 1939 r. Do udanych akcji należała obrona mienia majątku Pobiednik za co jego właścicielka p. Lisicka rewanżowała się strażakom przy zbiórce na loterię. Swoją historię ma również okres okupacji. Niemcy poprzez rozmaite dyżury i stójki nocne mieli zamiar przeciwdziałać członkom Ruchu Oporu zakazując swobodnego poruszania się nocą w terenie, czego niektórzy ze strażaków (ci zakonspirowani) nigdy zresztą nie przestrzegali. Jesienią 1945 r. w Kościelnikach odbyła się uroczystość ufundowania sztandaru Polskiego Stronnictwa Ludowego. Uzyskany z tej imprezy dochód w kwocie 19 tys. zł. komitet fundacji sztandaru przeznaczył jako kapitał początkowy na zakup motopompy. Resztę uzupełniła dotacja z Gminnej Rady Narodowej w Ruszycz i Spółdzielni „Samopomoc Chłopska”. O dotację starał się głównie Roman Struzik, który wówczas był członkiem rady nadzorczej w GS

Ruszcza. W rezultacie OSP w Kościelnikach nabyła motopompę za kwotę 45 tys., ale znów dała znać o sobie potrzeba posiadania odpowiedniego wozu pod sprzęt strażacki, którego wciąż przybywało. Z pomocą przyszła Gminna Rada Narodowa z Ruszycz w imieniu której wójt Stanisław Swigoń przekazał strażakom z Kościelnik żelazny wóz dostosowany do przewozu sprzętu po bardzo złych drogach. W związku z ciągle uzupełnianym sprzętem i nowym taborem pojawiła się potrzeba zbudowania remizy. Powstała koncepcja, aby po parcelacji z rozbieranych podworskich stajni, można było otrzymać wtórny lecz nadający się na budowę materiał na remizę. Niestety i tym razem zabrakło strażakom wystarczającej prężności i projekt budowy wkrótce upadł. W 1959 r. w dowód uznania za działalność w walce z żywiołem OSP w Kościelnikach otrzymała z Komendy Powiatowej OSP w Krakowie nowy „ogumiony” wóz dostosowany do transportu sprzętu i jego obsługi. W tym czasie rozwiązany został także problem pomieszczenia na sprzęt strażacki, bowiem komitet budowy Domu Ludowego w składzie: Piotr Łoboda (przewodniczący), Józef Łoboda (sekretarz) i Henryk Lasek (skarbnik) pomyślał również o remizie w jego budynku. Remiza oddana została strażakom podczas jego otwarcia dnia 2 sierpnia 1959 roku. Są to pomieszczenia gdzie znalazło się miejsce na spotkania, wóz i sprzęt, a podczas ich budowy przewidziano kanał umożliwiający konserwację i naprawy samochodu. Mając ofiarnych strażaków i dojrzejąc organizacyjnie OSP w Kościelnikach swoimi osiągnięciami w akcjach dowodzi swojej wartości, a udział w gaszeniu pożaru w Ruszycz u ob. Bombickiego stawia ją na pierwszym miejscu w okolicy. W ślad za ważnymi dowodami uznania jak wóz i wężę do motopompy, nasza Straż otrzymała w 1959 r. z Komendy Wojewódzkiej OSP zespołowy dyplom uznania oraz indywidualny dla naczelnika Wojciecha Krupy. Nie były to pierwsze wyróżnienia czy oznaczenia, bo podobne dostała już nasza OSP w 1934 r. za udział w walce z powodzią i usuwaniem jej skutków. Warto jeszcze wymienić otrzymaną w 1937 r. nagrodę z Towarzystwa „Floriana” za uratowanie mienia gospodarstwa Żyda Mariana Trauba w Kościelnikach. Tak przedstawia się (w dużym uproszczeniu) historia OSP w Kościelnikach, którą spisałem korzystając z informacji uzyskanych od Wojciecha Krupy, Romana Struzika i wielu innych.

Kościelniki, 4 września 1960 r.

Roman Ściborowski



Strażacy z Kościelnik, lata 30. XX w.

Helena Ściborowska-Mierzwina

Z wielką radością przyjąłem propozycję zamieszczenia w tej książce tekstów mojej Matki Heleny Ściborowskiej-Mierzwiny – „zapisów” czyli materiałów wspomnieniowych o podkrakowskiej wsi Kościelniki, w której się urodziła, o ludziach i tradycji chłopskiej w której się wychowała. Przekazując Czytelnikom fragment tych „zapisów”, oprócz standardowego, politycznego Jej biogramu, występującego w różnych publikacjach dotyczących historii ruchu ludowego, chciałbym także przedstawić nie opisywane i szerzej nieznanne fragmenty Jej życia pełnego poświęcenia dla rodziny i wyznawanych ludowych idei. Chciałbym pokrótce opowiedzieć, dlaczego w czasie surowej zimy, dnia 6 stycznia 1977 r., na parafialny cmentarz w Górcie Kościelnickiej przybyły setki osób: najbliższej rodziny, znajomych, przyjaciół z całej Polski, aby po wielu pogrzebowych mowach, po odśpiewaniu przez wszystkich zgromadzonych, Hymnu wiciowego: „Do niebieskich powań, od gród czarnej ziemi...”, z ogromnym smutkiem w asyście 15-tu historycznych, ludowych sztandarów, „na wieczny odpoczynek” odprowadzić Zmarłą Helenę ze Ściborowskich-Mierzwiny. Chciałbym pokrótce opowiedzieć, za co przez całe swoje życie była powszechnie lubiana i szanowana.

Już w swej młodości, poprzez publikowanie programowych artykułów w różnych, trafiających pod „strzechy chłopskich domów” czasopismach, poprzez organizowanie i prowadzenie licznych kursów i seminariów w wielu miejscowościach Małopolski – Helena Ściborowska dała się poznać w kręgach ludowców, wśród sympatyków ruchu ludowego jak również w chłopskich zagrodach, jako ofiarna orędowniczka i realizatorka krzewienia szeroko pojętej oświaty i kultury w środowisku wiejskim. O obszernym zakresie zainteresowań i „przestrzeni” Jej publicystycznego oddziaływania świadczą przypadkowo wybrane tytuły pisanych przez nią w „Piaście” w latach 30-tych XX wieku, licznych artykułów: „O dobre stancje dla chłopskich dzieci”, „O porządnym myciu”, „Com spostrzegła na jarmarku”, „Na święto Ludowe”, „Święcone w Kole Ludowym”, „Legenda o powstaniu pisanki”, „Trudniejsze warunki rozwoju umysłowego kobiet”, „Kursy wychowania dzieci”, „Do czynu!”.

Zamieszczane przez Helenę Ściborowską artykuły prasowe, mają w większości charakter poradników skierowanych szczególnie do wiejskich gospodyń, do młodych dziewcząt, ale także do ogółu wiejskiej młodzieży. Pośród wystąpień programowych w imieniu politycznych organizacji ludowych, których Helena Ściborowska była wówczas ważnym reprezentantem, znajdują się również spisane przez nią chłopskie legendy jakie zasłyszala w dzieciństwie od swych rodziców i innych osób starszych – mieszkańców Kościelnik. Aby choć w części zobrazować społeczno-polityczną postawę tej młodej, wówczas dwudziesto-paroletniej chłopskiej działaczki, przytaczam niewielki fragment Jej artykułu p/t. „Do czynu!”, zamieszczonego w „Piaście” w 1936 r.

„...Wiele godzin debatowano nad tem jakich środków użyć, aby rozruszać gnuśną kobietę wiejską, w jaki sposób tchnąć w nią zapal organizacyjny, ale zawsze dotąd sprawa utykała.

Aliści nagle, bez nawoływań, wprost żywiołowo kobiety wiejskie olbrzymimi masami poczynają się garnąć w organizację Stronnictwa Ludowego. Widzimy je całymi tysiącami na » Święcie Ludowym « w maju, widzimy je na rozmaitych miejscowych uroczystościach, widzimy na olbrzymiej chłopskiej manifestacji w Nowosielskach, na uroczystościach rocznicy » Chłopskiego Czynu «. W zdumienie wprawia ludzi ich wielka liczebność. Wszędzie biorą masowy udział. W wielu miejscowościach po raz pierwszy tego roku wystąpiły jako mówczynie i to do olbrzymich tłumów.

Jak to? – ta przez wszystkich za ciemną i gnuśną uważana kobieta wiejska razem z chłopem do walki staje i o prawa dla wsi się upomina i niegorzej od chłopów to czyni? – a kiedyż ona dojrzała do tego?

Tak! – owiane duchem miłości dla wsi, bo ona naszych najbliższych jest gniazdem, stajemy o lepszą przyszłość walczyć!...”

Po wyjściu w lutym 1936 r., za męża, za Stanisława Mierzwę i po urodzeniu latem 1937 r. pierwszego syna – Jacka, Helena Ściborowska, występująca już pod nowym nazwiskiem Mierzwa, nie zmniejsza swojego zaangażowania i tempa społeczno-politycznej pracy w środowisku wiejskim, w środowisku ludowym. Również z ogromnym poświęceniem wspiera działalność męża, pełniąc różnorodne, odpowiedzialne funkcje w organizacjach Ruchu



ludowego nie rezygnując z osobistej aktywnej, polityczno-społecznej działalności. W pierwszych dniach września 1939 r. rodzi się drugi syn Mierzwów – Wincenty, a jednocześnie następują lata okrutnej niemieckiej okupacji.

Od pierwszych dni wojny Mierzwowie włączają się w nurt pracy podziemnego ruchu oporu. Ratując rodzinę przed najśrońszymi konsekwencjami ze strony okupanta, Helena Ściborowska-Mierzwina opuszcza mieszkanie w Krakowie i przenosi się wraz z dziećmi na wieś do Kościelnik, do domu swoich rodziców. W 1943 roku w Kościelnikach rodzi córkę – Jadwigę. Mąż Stanisław Mierzwa – członek władz naczelnych konspiracyjnego Ruchu Ludowego, szczerze, wielokrotnie unika aresztowania, podczas licznych „służbowych wędrowek”, po okupowanym kraju.

Stanisław Mierzwa uczestniczy w Powstaniu Warszawskim. Niedługo po jego upadku, po przekroczeniu Wisły przez wojska sowieckie zostaje aresztowany, w marcu 1945 r. wraz z Leopoldem Okulickim, dowódcą Armii Krajowej oraz innymi przywódcami Polskiego Państwa Podziemnego. Wywieziony do Moskwy, tam jest przez najwyższy rosyjski sąd wojskowy sądzony, w słynnym na cały świat procesie 16-tu polskich patriotów. Po bezasadnym wyroku na Polaków – reprezentantów sojuszniczego państwa, w walce z hitlerowskim okupantem, Stanisław Mierzwa zostaje na cztery miesiące osadzony w dobrze znanym przeciwnikom władzy rosyjskich komunistów, niezwykle złą sławą się cieszącym więzieniu w Moskwie, na Łubiance.

Helena Ściborowska-Mierzwina w poszukiwaniu pracy zarobkowej opuszcza Kościelniki. Dla utrzymania rodziny przenosi się wraz z dziećmi do wsi Mogiła. Dzięki serdeczności przyjaciół ludowców: Jana Gajocha i Antoniego Baranika znajduje mieszkanie i pracę w Urzędzie Gminy Mogiła. Bardzo ciekawe są opisy tamtego, około rocznego okresu zamieszkania i pracy w Mogile – zawarte w Jej „zapisach”.

Korzystając znów z pomocy krajana z Kościelnik, adwokata Piotra Struzika, wynajmuje w jego kamienicy, na Osiedlu Oficerskim przy ul. Zaleskiego 6 w Krakowie dwupokojowe mieszkanie i tam z dziećmi się przeprowadza.

Wkrótce wraca z Moskwy, oczekiwany Stanisław Mierzwa, ale nie długo cieszy się on wolnością. Mierzwowie znów razem na powojennych zgłoszczach, z niezwykle zaangażowaniem włączają się do odbudowy ludowych: politycznych, gospodarczych i społecznych organizacji, działających na rzecz wsi i w środowisku wiejskim. Stanisław Mierzwa obejmuje wysokie funkcje zarówno w zarządzie wojewódzkim jak i zarządzie krajowym PSL, zaś jego żona organizuje w Małopolsce Sekcję Kobiet i następnie jej przewodniczy. Mierzwowie, ściśle współpracują z Wincentym Witosem, a także organizują opiekę lekarską, podupadającemu na zdrowiu Prezesowi PSL. Helena Mierzwina kontynuuje czynności biurowo – sekretarskie dla Wincentego Witosy, rozpoczęte na jego prośbę jeszcze wiosną 1945 r., a podczas pobytu Prezesa Witosy w szpitalu Bonifratrów w Krakowie wykonuje w ostatnich tygodniach jego życia, funkcję dodatkowej jego pielęgniarki. 17.IX.1946 r. Stanisław Mierzwa zostaje podstępnie aresztowany przez funkcjonariuszy UB. W więzieniach: Św. Michała, Montellupich, oraz przy Placu Inwalidów poddawany jest fizycznym i psychicznym szykanom, podczas bez mała rocznego śledztwa, prowadzonego pod nadzorem sławnego z bezwzględności, a nawet okrucieństwa, pułkownika Józefa Różańskiego. W styczniu 1947 roku Helena Ściborowska-Mierzwina rodzi trzeciego syna – Wojciecha i w tymże roku mąż Jej zostaje skazany (przez Rejonowy Sąd Wojskowy, w pierwszym tak wielkim w Krakowie, pokazowym procesie politycznym WiN-PSL – tzw. „procesie krakowskim” z udziałem 17-tu oskarżanych – polskich patriotów) na 10 lat więzienia oraz dodatkowe 5 lat pozbawienia praw obywatelskich i całkowity przepeadek mienia.

Sama z czwórką małoletnich dzieci, bez środków finansowych, bez możliwości wykonywania pracy zarobkowej odpowiadającej Jej kwalifikacjom ze względu na nadaną Jej przez sprawujących władzę etykietę: „żony wroga Ludu” i wrogię władzy elementu – „czarnej reakcji”.

Przygniecioną ciężarem odpowiedzialności wyżywienia i wychowania czwórki małych dzieci, a także obowiązkiem pomocy duchowej jak i materialnej więzionemu mężowi, nie załamuje się swoją beznadziejną sytuacją. Nie wyrzeka się idei, które przez całe swoje życie wyznawała i realizowała – idei budowy Polski sprawiedliwej, niezależnej, demokratycznej i ludowej – nie odstępuje od swych życiowych zasad. Nie ulega kuszącym propozycjom szefów UB wpłynięcia na stanowisko więzionego męża w celu rezygnacji z jego oporu przyznania się do błędnej politycznej postawy, i do podjęcia współpracy z nową władzą.

Helena Ściborowska-Mierzwina wsparta postawą męża, odrzuca takie propozycje. Z największym poświęceniem podejmuje przeróżne, czasem bardzo ciężkie, fizyczne prace, aby zapewnić dzieciom kawałek chleba, czasem posmarowany margaryną. Na użyczonych Jej w Krakowie, w okolicy zamieszkania nieużytkach wraz z dziećmi uprawia warzywa, hoduje drób, króliki. W pomieszczeniach zaplecza „Fortu Lubicz” (obecnie Rondo Mogiłskie) przez parę lat, przetrzymuje za zgodą administratora krowę, otrzymaną z Kościelnik. Hoduje też parę kóz, a czasem i tucznika, zbierając dla nich po okolicznych kamienicach, spożywcze odpadki. Zabezpiecza w ten niezwykły dla osób „miastowych” sposób, byt swojej rodziny. Praca ta nie jest dla niej poniżającą ani zbyt uciążliwą – jak wspomina w „zapisach” – gdyż spełniając się jako troskliwa matka, opiekunka i żywicielka gromadki swoich nieletnich dzieci, realizuje jedną z wielu swoich życiowych pasji – pasję pracy rolnika – wytwórcy.

Przez kilka powojennych lat wykorzystując pomoc dzieci, w rejonie „Fortu Lubicz”, przy końcowym przystanku linii tramwajowej nr 5, w dzierżawionym, małym kiosku prowadzi sprzedaż słodczy. Wśród niezliczonych zajęć zarobkowych jakie moja Matka podejmowała dla utrzymania rodziny wymienię tylko niektóre, dobrze zapamiętane: uciążliwe i bardzo pracochłonne, zszywanie pasów cienkiego płótna (którego wielkie i dość ciężkie dla nas, dzieci, „bele” pomagaliśmy przynosić Matce z okolic ul. Batorego, w Krakowie), dla podklejania nim potem wielkich map szkolnych, które to mapy ściennie, na zamówienie Spółdzielni Pomocy Szkolnych, Matka w naszym mieszkaniu wykonywała. Pamiętam, że za zszywanie jednego bieżącego metra tego płótna, Matka otrzymywała 5 groszy, ale pracą tą nieraz zmęczona lub gdy nasilały się Jej chorobowe dolegliwości, zachęcała nas do pomocy i zarabiania własnych pieniędzy na szkolne wydatki, odstępując nam po dwa grosze ze swego wynagrodzenia, za każdy zszyty przez nas metr płótna.

Dla jakiejś spółdzielni kaletniczej urządziła Matka w naszym, dwupokojowym mieszkaniu, wytwórnię damskich toreb, z modnej wówczas „dermy”. Współpracując z panią, zatrudnioną w tej spółdzielni i wykorzystując pomocniczą pracę dzieci przy montażu elementów toreb, przez kilka lat z pracy tej utrzymuje rodzinę. Pamiętam również, wykonywane z przerwami na inne zarobkowe zajęcia Matki, roznoszenie butelkowanego mleka po kamienicach i mieszkaniach. Przeważnie na terenie Osiedla Oficerskiego w Krakowie, w czym Jej jako dzieci bardzo rzetelnie pomagaliśmy.

Na nieznanym mi zasadach, wykonując również inne zajęcia zarobkowe, ponad rok pracowała Matka jako intendenta w Ośrodku Wychowawczym prowadzonym przez Siostry Zakonne, w odległych, krakowskich Łagiewnikach.

Stosunkowo dobre dochody w naszej rodzinie pojawiły się w połowie lat 50-tych. Wykorzystując swoje wrodzone i na co dzień przez nią wykorzystywane politechniczne uzdolnienia (może po swych przodkach: ojcu kowalu i niezwykle utalentowanym kowalu Jej dziadku), przy współpracy z naukowcem z krakowskiej AGH zaprojektowała, a ekspert zbudował z użyciem ówczesnych lamp radiowych aparat, na którym za pomocą specjalnych elektrod można było roztapiając materiał i naprawiać modne wówczas – przeciwdeszczowe płaszcze ortalionowe.

Był to krótki okres nieco lepszego naszego bytu. Matka, w tym okresie była chyba jedyną w Krakowie, wykonawczynią takich prac zleczanych Jej przez różne punkty naprawcze. Pamiętam, że rozpoczynając w 1953 roku studia bez uczelnianego stypendium, które nie było mi przyznane, ze względu na „aspołeczną postawę” więzionego we Wronkach Ojca, mogłem za otrzymane od Matki pieniądze kupić wszystkie wymagane podczas studiów skrypty, podręczniki i inne pomoce do nauki. Jednak pamiętam, że nawet w tym czasie, zbyt dużym dla mojej Matki obciążeniem było wykupienie szkolnej, miesięcznej karty tramwajowej, która kosztowała około 10 złotych. Chodziłem więc, z Osiedla Oficerskiego, gdzie mieszkaliśmy, pieszo na zajęcia szkolne: zarówno do Szkoły Podstawowej, gdy miała swoje sale lekcyjne przy ul. Św. Krzyża jak i do Liceum im. Jana Sobieskiego, a także w pierwszych latach studiów na Krakowskiej Politechnice.

Wiosną 1953 roku umiera generalissimus Józef Stalin, z którego wyroku mój Ojciec był porwany i uwięziony w Moskwie. Wskutek licznych pisemnych próśb i interwencji Matki w drugiej połowie tegoż roku schorowany Ojciec uzyskuje półroczny urlop – przerwę w odbywaniu zasądzonej kary, na konieczne leczenie. Korzystając z porad przyjaciół lekarzy i domowych sposobów Matka starała się poprawić zdrowie Ojca. Na skorbut, który w więzieniach zniszczył mu uzębienie, nie było już lekarstwa, natomiast nabyte tam choroby: serca, wątroby, wrzody żołądka Matka leczyła dietą i ziołami, do których miała wielkie zaufanie gdyż Sama je jeszcze przed wojną, w pisanym dla gospodyń wiejskich zaleceniach i poradach propagowała, i sama powszechnie stosowała. Pamiętam, że od wczesnego dzieciństwa, Matka przykazywała nam, dzieciom, w odpowiednim okresie roku zbierać: kwiaty lipy, miętę, rumianek, czarny bez z których wywary, zamiast herbaty, piliśmy potem przez cały rok.

Matka miała zdobytą poprzez studia, ale chyba i własne dociekania, wielką na owe czasy wiedzę, o sposobie jakby to dzisiaj powiedzieć: wegetariańskiego odżywiania, skuteczności leczniczej ziół, wartości odżywczej owoców, warzyw jak i innych produktów. Sama potrafiła bardzo dobrze zdiagnozować chorobę, szczególnie u dzieci. Lecząc naszą „czwórkę” swoimi, domowymi metodami oszczędzała w wydatkach na lekarstwa i lekarza. Na nasze najczęstsze choroby – przebieżenia zalecała picie wywaru z lipy i innych ziół, wypocenia, a w cięższych przypadkach stawiała nam gorące szklane bańki, co błyskawicznie przeganiało chorobę. Na częste u dzieci bóle brzucha zalecała naturalne środki przeczyszczające, ale także lewatywę i hegar.

W dzieciństwie na Jej zalecenie piliśmy wszyscy mleko od hodowanej kozy. Mleko, które jak pamiętam nie bardzo mi wówczas smakowało Matka uważała za bardzo dla nas dzieci, zdrowe. Była gorącą zwolenniczką jedzenia przede wszystkim dużej ilości warzyw i owoców. Ta „wegetariańsko-jarska” dieta całej naszej rodziny była efektem zarówno, tego co Matka wyprodukowała na swych „przydomowych” gospodarkach, jak również wynikała z zaopatrzenia jakie przez wiele lat więziennej nieobecności Ojca starali się w możliwy dla nich spo-

sób, przekazać nam starzy, nasi dziadkowie – rodzice Matki – prowadzący w Kościelnikach do ostatnich dni swego pracowitego i pełnego trosk życia, niewielkie – chłopskie gospodarstwo.

Pośród otrzymywanych ze wsi produktów były przede wszystkim ziemniaki, którymi żywił się przez prawie cały rok. Regularnie raz w tygodniu otrzymywaliśmy z Kościelnik, a gdy podrośliśmy nieco, to przynosił nam mleko – od babcinej krowy. Mleko to, było podstawą naszego żywienia. Czasem od babci otrzymywaliśmy kilka jaj. Latem były też dla nas ogórki, które babcia wyhodowała, młoda kalarepka, marchew, a w jesieni smaczne karpiele. Bywając na wsi, mogliśmy nazbierać sobie do woli, z dziadkowego sadu: śliw i jabłek, a w czasie corocznie spędzanych w Kościelnikach, szkolnych wakacji – bardzo dobrych czereśni (które nigdzie indziej, jak na nie kropionych chemikaliami drzewach dziadka, tak nam nie smakowały). Najlepszym jednak, zawsze bardzo oczekiwanym przez nas w Krakowie, darem z Kościelnik, był okrągły bochen chleba, pieczony czasami przez babcię w specjalnym, chlebowym piecu.

Ta żywnościowa pomoc kościelnickich dziadków, w dużej mierze pozwoliła nam, w miarę zdrowo przetrwać długie i ciężkie lata oczekiwania na powrót Ojca z więzienia, na nadejście lepszych czasów dla naszej rodziny. Dla tego z wielką wdzięcznością ich wspominam, z wdzięcznością i sympatią wspominam moje dzieciństwo spędzone w Kościelnikach wśród chłopów, członków rodziny mojej Matki, jak i ich sąsiadów z pobliskich zagrod.

Pośród nich spędziłem moje „rozumne” już dzieciństwo. W czasie hitlerowskiej okupacji, rodzice moi wraz z nami dziećmi, znaleźli bezpieczne schronienie w Kościelnikach. Tam w starej, wiejskiej szkole ukończyłem trzy lata początkowej nauki, tam poznałem pierwszych szkolnych kolegów – przyjaciół.

Zachowuję dobrą pamięć tych chwil oraz wdzięczność dla kościelnickich, że nawet od momentu:

– aresztowania mojego Ojca przez UB w 1946 roku, a potem szeroko w prasie opisywanego procesu i okrutnego sądowego wyroku za jego: działalność polityczną, za walkę o Polskę wolną, demokratyczną i ludową,

– przypisania mu hańbiącego określenia: „wrogi ludu” i to zarówno przez oskarżycieli w sali sądowej jak i powszechnie, przez usłużnych nowemu reżimowi dziennikarzy – sprawozdawców,

– niesłusznego oskarżenia i obelg rzucanych na Ojca w radiu, którego relacje z sali sądowej i komentarze, jako dziesięcioletni chłopak (przez detektor, prymitywny odbiornik radiowy składający się z kryształka ołowiu, u Adamczyków, sąsiadów mojego dziadka, przebywając w Kościelnikach) osobiście odsłuchiwałem, – nie usłyszałem od nich nigdy poniżającego słowa „to syn wroga ludu”, a wręcz odczuwałem, w ich stosunku do mnie, nie wypowiedziane słowami współczucie, przyjaźń i sympatię, która pozwalała zapominać o dramacie naszej rodziny, o nurtującym mnie czasami, w moich chłopięcych myślach problemie, istnienia w naszej rodzinie „wroga ludu”.

Natomiast niedawno, bardzo przynębiła mnie zaskakująca wiadomość, jaką przeczytałem w książce autorstwa Bolesława Derenia: „Krakowscy Konfederaci – ludowa opozycja w Krakowie w latach 1945-1974”, wydanej w 2003 r., że z zachowanych dokumentów UB, jakie autor książki zbadał wynika, iż w czasie więzienia mojego Ojca, Matka była wzywana do UB i przesłuchiwana w sprawie źródła utrzymania rodziny. Zapoznając się po raz pierwszy z tą nieznaną mi wcześniej wiadomością, uzmysłowiłem sobie jak bardzo przez władzę, była poniżana takim przesłuchiowaniem moja Matka, jak musiała ciężko, takie zeznania przeżywać. Żądający wyjaśnień funkcjonariusze UB z pewnością nie mogli zrozumieć, jak samotna, obarczona czwórką nieletnich dzieci niewiasta, nie posiadająca odmawianego Jej przecież stałego, zarobkowego zatrudnienia, potrafi utrzymać mieszkanie, wyżywić siebie i dzieci, i jeszcze posyłać je wszystkie do szkół.

Gdy powracający po latach więziennego odosobnienia mąż znajduje pracę i odciąża ją stopniowo od obowiązków utrzymania rodziny – Helena Mierzwińska, wraca do społecznej działalności i coraz bardziej się w niej zagłębia, choć już nie na taką skalę i nie z taką ogromną energią, jak to czyniła w swojej młodości.

W podkrakowskich wsiach uczy kobiety różnych praktycznych umiejętności przydatnych w domu i w wiejskim gospodarstwie, a szczególnie przekazuje umiejętność: kroju, szycia, dziewiarstwa, a także artystycznego szydełkowania. Realizuje także swoje wielkie, życiowe powołanie. Na niewielkiej działce w Kościelnikach, pola podarowanego Jej przez rodziców, uprawia dla domowych potrzeb: warzywa, hoduje kwiaty i drobny żywy inwentarz mieszkając tam latem w małej altance.

Chłodną, jesienną oraz zimową porę roku i wolne w niej chwile od swych rolno-hodowlanych zajęć wykorzystuje na uczestnictwo w terenowych kursach i szkoleniach, na których jest instruktorem – wykładowcą oraz na zbieranie wiadomości o historii Jej rodzinnych Kościelnik, a także historii wsi okolicznych. W czytelni Biblioteki Jagiellońskiej, przegląda i sporządza obszerne, w różnych językach (łacińskim, niemieckim) wypisy z udostępnianych Jej tam, starych ksiąg i rękopisów.

W wielu kajetach, ale też na luźnych, podręcznych kartkach, wykonuje przy różnych okazjach, osobiste „zapi-

ski", w których w interesujący i lekki sposób przedstawia widziane kiedyś oczyma młodej wiejskiej dziewczyny lokalne, historyczne wydarzenia. Opisuje pradawne wiejskie zwyczaje i powszednie gospodarskie obrządk. Spisuje zasłyszane od starszych opowiadania oraz pradawne chłopskie legendy.

Skrzętnie zbiera informacje o życiu i działalności Wincentego Witos. Spisuje relacje o nim od naocznych świadków jego życia i pracy – bliskich sąsiadów w rodzinnej wsi Wincentego Witos, w Wierzchosławicach. Píše też swoje wspomnienia o współpracy z Witosem, które prof. Jan Borkowski zamieszcza wraz opracowaniami innych jeszcze autorów wspomnień w książce p/t. „O Wincentym Witoście rozmowy i wspomnienia”, wydanej przez Ludową Spółdzielnię Wydawniczą w 1982 r.

O ostatnim okresie życia Heleny Ściborowskiej-Mierzwiny tak napisał 9 stycznia 1977 r., Jej mąż:

„...Wiele lat zbierała dzieje swojej wsi – w domu stale bywali młodzi historycy, szukający materiałów do historii ruchu ludowego. Nigdy nie odmawiała takiej współpracy, a wielu ich było.

Od lat cierpiała na kamienie żółciowe, leczyc się nie miała nigdy czasu – 30 kwietnia 1976 r. z konieczności wybrała się do szpitala, ale zbyt późno, dokonano operacji woreczka, jednak trzustka była już zajęta. Zgon nastąpił 2 stycznia 1977 r. A chciała żyć, nigdy nie myślała o śmierci. Na parę dni przed zgonem prosiła lekarza, by tyle mógł zrobić – przedłużyć życie, aby mogła napisać resztę wspomnień. Los beztroski nie wysłuchał jej prośby. Kilka tygodni cierpiała bardzo, nie narzekając znów na to, dopiero ostatnie trzy dni, były dla niej wyjątkowo ciężkie. Ale i wtedy nie poskarżyła się nawet bliskim – nie żałowała sposobu życia i pracy. Tak musiało być, inaczej by nie potrafiła. Usnęła spokojnie o godz. 22.50. – Brakło czasu na radość życia...”

Poniżej przedstawiam encyklopedyczny życiorys mojej Matki Heleny Ściborowskiej – Mierzwiny, znajdujący się w „Słowniku Biograficznym Działaczy Ruchu Ludowego”, wydanym przez LSW w Warszawie w 1989 r.:

Helena Mierzwa z d. Ściborowska, inżynier rolnik; ur. 16.XI.1910 w Kościelnikach, powiat Kraków, w rodzinie chłopskiej, zm. 2.II.1977 w Krakowie. Po uzyskaniu matury w gimnazjum w Krakowie, studiowała na Wydziale Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego, po roku przeszła na Wydział Rolny UJ, który ukończyła. W czasie studiów działaczka Polskiej Akademickiej Młodzieży Ludowej. Od 9.XI.1930 do 29.X.1931 członek Zarządu w sekcji propagandy i prasy, od 29.X.1931 do 10.XI.1932 – wiceprezes PAML. Jednocześnie od 6.VII.1930 członek Zarządu Głównego Związku Młodzieży Wiejskiej RP w Krakowie, a następnie od 29.V.1931 członek ZG ZMW RP; 1931 – 34 sekretarz Rady Nadzorczej ZMW RP, a od 1934 członek Rady Nadzorczej. Prowadziła w tymże związku dział koleżanek i dział gospodarczy, pisząc na te tematy w organie związku „Zniczu”. Od 1932 członkini Stronnictwa Ludowego w Krakowie, a od 1936 przewodnicząca Sekcji Kobiet przy zarządzie Okręgowym SL na Małopolską i Śląsk. Przez wiele lat była członkiem Komitetu Redakcyjnego „Znicza”. Autorka artykułów w „Zniczu”, „Wiciach”, „Zielonym Sztandarze”, „Gazecie Grudziądzkiej” oraz w organie Polskiej Partii Socjalistycznej „Głos Kobiet”. W okresie okupacji hitlerowskiej 1940 – 1941 inicjatorka utworzenia Ludowego Związku Kobiet w województwie krakowskim. Nawiązała współpracę z Wydziałem Lustracyjnym Związku Spółdzielni Spożywców „Społem” z siedzibą w Krakowie i jego działaczką Wandą Bogdanowicz; wspólnie opracowały zasady współpracy „Społem” z SL „Roch”. Współpracowała z kierownictwem okręgu krakowskiego LZK i pisywała do miesięcznika „Wiadomości Kobiety”, podpisując artykuły kryptonimem „Śc”. Po wyzwoleniu 1945 – 47 przewodnicząca Sekcji Kobiet, Wojewódzkiego Zarządu Polskiego Stronnictwa Ludowego w Krakowie. W 1947 była na liście wyborczej do Sejmu Ustawodawczego z ramienia PSL. 1946 – 56 odsunęła się od pracy społeczno – politycznej; pracowała fizycznie, aby utrzymać rodzinę. Po 1956 powróciła do pracy społecznej; organizatorka kursów gospodarczych dla kobiet przy kółkach rolniczych w powiecie krakowskim, członek Towarzystwa Przyjaciół Muzeum Wincentego Witos w Wierzchosławicach.

W jednym z brulionów mojej Matki zatytułowanym „Kościelniki – zanikająca wieś pod Nową Hutą” znalazłem ręcznie przez nią piórem, a także ołówkiem zanotowane wspomnienia o najbliższym w okresie Jej dzieciństwa otoczeniu: rodzinie oraz środowisku podkrakowskiej wsi w jakim się urodziła i w swojej młodości żyła. Sądzę, że opisy i informacje zawarte w tych wspomnieniach są ważne nie tylko dla nas, synów Heleny Ściborowskiej-Mierzwiny i naszej najbliższej rodziny, ale mogą zainteresować także inne osoby. Z przepiszanego przeze mnie zbioru, „zapisków” Matki, wybrałem poniżej zamieszczone, w moim przekonaniu dobrze reprezentujące planowany przez nią zbiór różnorodnych opracowań. Całość przygotowanego przeze mnie materiału, do niniejszej edycji „Czasu zatrzymanego” kończy wykorzystany z zasobów „Archiwum Stanisława Mierzwiny” przy Muzeum Wincentego Witos w Wierzchosławicach odpis notatki zamieszczonej w tygodniku „Piast” Nr 9, z dnia 1 marca 1936 r. p/t. „Wesele w Kościelnikach” wraz z komentarzem Stanisława Mierzwiny do treści w/w notatki, oraz moimi dodatkowymi uwagami, które tam umieściłem.

Jacek Mierzwa



Helena Ściborowska (z koszykiem) na szkolnym przedstawieniu w klasie maturalnej. Liceum Żeńskie w Krakowie, 1929 r.



Kurs kroju i szycia w Kłaju. Helena Ściborowska-Mierzwina (w kapeluszu) siedzi w I rzędzie, obok niej Maria Tkaczyk z dzieckiem i in. 1938 r.



Helena Ściborowska wraz z kolegą Frankiem segreguje nasioną jako nagrody dla czytelników „Znicza”. Bursa przy ul. Radziwiłłowskiej 23 w Krakowie, ok. 1934 r.



Występ koła ludowego w Kościelnikach. Helena Ściborowska pierwsza z lewej, ok. 1934 r.



Helena Ściborowska podczas pobytu w Zakopanem na kuracji leczniczej w okresie jej studiów, ok. 1934 r.



Pogrzeb Heleny Ściborowskiej-Mierzwiny na cmentarzu parafialnym w Górze Kościelnickiej, 6 stycznia 1977 r.

Z cyklu „Pochodzenie”

„Wspominki o dziadkach”

Byłam najstarszą z czworga żyjących rodzeństwa i, jak mówiła mi matka, umiłowaną córką mego ojca. Urodziłam się 16 XI 1910, a ochrzczono mnie 18 XI 1910. Rodzice moi, co się w tych czasach rzadko zdarzało, pobrali się z wzajemnego upodobania. Ojciec pochodził z większego gospodarstwa. Nie była to stara kmiecia ojcowa, ale dorobek życiowy dziadków Ściborów.

Ten dziadek Ścibór pochodził z Przylasku Wyciążskiego i był sierotą. Od najmłodszych lat chował się przy dworze, gdzie matka jego była wyrobnicą, ale odumarała go dość wcześnie.

Naprzód więc jako mały chłopiec był gęsiarczykiem, a potem, kiedy podrośł, świniopasem. Pewnego czasu do dworu w Kościelnikach zjechali niemieccy kaflarze, aby zamiast starych i niepraktycznych kominków postawić piece kaflowe. Rządca wyznaczył dziadka do pomocy. Był to nie lada awans, ale na tym się jego kariera życiowa nie skończyła. Dziadek odznaczał się ogromną ciekawością życiową, mogę powiedzieć, że prawie do ostatniego dnia swego życia. Ciągłe intrygowały go nowo spotykane przedmioty: co to jest, do czego to służy i jak jest to zrobione? Zwłaszcza interesował go sposób uformowania danego przedmiotu. Pomagał zatem dziadek majstrom kaflarskim i sam już podobno dobrze się z robotą obznajomił.

Były żniwa i akurat popsuta się dworska młocarnia pod nieobecność kowala. To ten, to tamten z pomocników kowalskich do maszyny zagłąda, dłubie, ale młocarnia ani rusz, jak stała tak i dalej stoi głucha.

Ekonom zawołał dziadka, bo wszyscy wiedzieli, że od dawna wykazywał do maszyn dużo ciekawości i dziadek będąc wtedy ledwo podrostkiem maszynę uruchomił. Od tego dnia ekonom przydzielił go do kuźni. Majster Niemiec, polubił ciekawskiego chłopaczynę i dość dobrze wyuczył kowalki zdradzając mu, bez cienia zazdrości, najtajniejsze arkana tej sztuki.

Odrobiwszy we dworze Kościelnickim lata za naukę, podjął się później dziadek kowalki samodzielnie, przy dworze w Węgrzynowicach. Mając kawałek dobrego chleba w ręce, zaczął oglądać się za ożenkiem. Wybrał sobie Świdzielównę. Mówił mi, że szczególnie spodobała mu się, przez swój ładny głos i śpiewanie. Ale do pięknego głosu córki musiał jeszcze mój pradziadek Świdziel dodać, nim młodzi poszli do ołtarza, siedem morgów gruntu.

Na dokupionej Wilkówce i na majątku żony z wypalonej w piecu połowym cegły, zbudował dziadek na pagórku prawie równym dworskiemu, obszerny, sześcioboczowy dom, któremu później jeszcze domurował duże podcienia. Poza pałacem, zabudowaniami dworskimi i karczmami był to pierwszy dom chłopski z cegły murywany, z taką ilością izb mieszkalnych i z okiennicami u okien. Przy domu znajdowała się duża kuźnia, dziadek budował ją parę lat.

Z dworu znajdującego się na sąsiednim pagórku, zazdrośnym okiem popatrywano na ten chłopski „pałac”. Siedem morgów pola w jednym łanie i budynki po starej leśniczówce na Cle dawał hrabia dziadkowi na zamianę, ale dziadek mój na to nie przystał, wysoko sobie ceniąc trud w budowę włożony.

Hrabiowie w czasie większego najazdu gości, wynajmowali dość często od dziadków pokoje dla służby przyjezdnej.

Od zaprzyjaźnionego i kumoterskiego węzłami powiązanego organisty rusieckiego dziadek nauczył się pszczerstwa. Pasięka dziadka sięgała 60 pni. Naprzód były to ule z wydrążonych pni drzewnych, ale potem dziadek sam majstrował ulubionym „pracowitym stworzonkom” wymyślne i wygodne pomieszczenia, za co odpłacał mu się stokrotnie.

W owych czasach pod uprawę stosunkowo mało było zajęte ogólne areale pól. Szerokie miedze, mnóstwo polnych dróg, brzegów, uskoków, wielkie płaszczyzny łąk i wikliny były podłożem, na którym rosły miododajne, dziś już w ogóle niespotykane, rośliny. Toteż w dosłownym tego słowa znaczeniu miód się z uli wylewał. Dziadek w beczkach furami dostarczał go do krakowskich miodosytni i bogatym Żydom na Kazimierzu. Z worku w blaszanej formie lał świece albo odstawiał go do jakiejś firmy w Krakowie. Tak na co dzień, to jednak dziadkowie nie szafowali wcale miodem.

Kiedy ojciec mój był na Wojnie, a matka dowiedziawszy się, że u dziadków jest miodobranie, posyłała mnie z flaszką. Babcia bardzo oszczędnie nalewała mi, żeby najmniejszej kropelki nie uронić, sto razy przykazując mi, aby zaś po drodze flaszki nie rozbić, „bo ile się te pocziwe stworzonka muszą napracować aż jedną kropelkę miodu uzbierają”.

Kiedy się dziadkowi zbyt koło nóg pełętałam, oblizując chciwie ociekający miód z naczyń, niby to nie chcąc, ale właściwie naumyślnie, zamykał mnie w „spiżarni” – sanktuarium miodowym, gdzie stały beczki i beki z miodem i olbrzymie w stosunku do mojego dziecięcego wzrostu skorupiane garnki ze złocistym płynem w rozmaitym zagęszczeniu. W beczkach miód stał już zestalony, zcukrzony. Na półkach i półeczkach leżały dziwne narzędzia pszczelarskie. Złakniona, jak każde dziecko słodczy, nie wiedziałam z którego naczynia mam jeść te dobroci, dopóki z przesytu nie następowały omierzość, a nawet bóle w brzuchu. Tłukłam się wtedy i błagałam „dziadziusiu a wypuśćże mnie”.

Po takim „dołożeniu” sobie na miód nie mogłam już w ogóle patrzeć i dziadek przez resztę dni miodobrania miał ode mnie spokój. Dziwne, że pszczoły mnie nie cięły i ja się ich zupełnie nie bałam i dlatego mnie tylko z rodzeństwa matka po miód do dziadków posyłała, bo tamci się pszczoł bali.

Dziadkowie mieli też, jak na owe czasy, dość bogaty sad, a w nim trzy duże z doskonałymi owocami czereśnie ze szczepów dworskich oraz cały rząd od południa przed oknami, pięknych piwonii.

Wychowany za młodu w biedzie i poniewierce, dziadek prowadził z rodziną życie bardzo oszczędne, a choć podobno pięćdziesiąt razy w życiu starostował, a ponad kopę miał chrześniaków, tak się jakoś urządzał, że nie tylko nigdy własnego grosza nie uронił, ale jeszcze przy takich okazjach zawierając dobre transakcje kowalskie doskonale zarobił. Za zaoszczędzone pieniądze raz wraz dokupywał jakiś skrawek pola, aż doszedł do 17 morgów.

Z pomocą wspomnianego rusieckiego organisty dziadek nauczył się czytać drukowane litery. Jako mającego i majątek i znaczenie, wysunięto go na wójta, ale szczupłej postaci i niskiego wzrostu dobrze zbudowanym autochtonom kościelnickim sięgał niewiele wyżej ponad pas. Skąd brał siły do ciężkiej kowalskiej roboty – trudno to powiedzieć!

Na wójtów wybierano wtedy nie tyle według rozumu, co potężnego wzrostu. W czasie wyborów, jakiś wyśmiewniś nawdziawszy sobie kapelusza na zgięte kolano zawołał: „Chłopy, co wy takiego chcecie mieć za wójta?” Była to aluzja do niskiego wzrostu mojego dziadka. W gromadzie buchnął śmiech, a mój dziadek skonfundowany uciekł chylkiem do domu i już nigdy w życiu, na forum gromady się nie wysuwał.

Niechęć, a nawet pogarda dla spraw gminnych, jako tych, przy których nawet najwstrzemięźliwsi się rozpijali i majątki tracili, przeszła na synów dziadka. Ojciec mój też machał pogardliwie ręką, „że szkoda czasu i atłasów”.

Dziadkowie Ścibory mieli aż pięciu synów. Najstarszy Wojciech i najmłodszy ojciec mój Stanisław, otrzymali naukę rzemiosła kowalskiego. Ojciec mój, mało się jednak nim trudnił. Stryj Ignac został kolejarzem w Krakowie. Jan, tyknawszy trzy lub cztery klasy gimnazjalne, za zachętą rusieckiego organisty, ze względu na koszt, dalszych szkół nie ukończył i na stałe został w wojsku. Zginął młodo, w jakiejś bitce między żołnierzami w Tarnowie. Antek najmniej udany, ze względu na zezowatość i krótkowzroczność, został przy ojcach.

O ile oboje dziadkowie byli małego wzrostu – to synowie ich byli na schwał chłopami i niezwykle urodziwi, oprócz Antka. Nie moją ocenę, bo mogła by być stronnicza podając, ale Okulczykowej, żony kościelnickiego nauczyciela oraz głosy pań dworskich.

Ojciec mój, według ich zdania, należał do najurodziwszych chłopców w Kościelnikach. Wyżej jak średniego wzrostu, prosty jak świeca, o niezwykle lekkim jak na wiejskiego chłopaka chodzie, o twarzy bardzo regularnej, przepięknej wprost dziewczęcej cerze, bardzo ładnym czole, małych przylegających uszach – jak stanął w kościele, podobno urodą odbijał od rówieśników o wielkich głowach, sterczących włosach i odstających uszach.

„Wszystkie Ścibory oprócz Antka, to piękne chłopcy”, bardzo często słyszałam takie pochwalne zdania o moich stryjach i o ojcu. Wadę mieli jednak jedną, że nie gardzili kieliszkiem. Dziadek też „za kołnierza nie wylewał”, ale pijatyki do nieprzytomności nie lubił, zaraz się gdzieś ulatniał.

Mówiono o nim, że o dwóch kieliszkach nawet dziesięć dni gotów się bawić. Na weselach i chrzcinach bywał podobno stałym aranżerem zabaw. Był dowcipny, wesoły, ale nikt go nie widział przepitym!

Dziadkowi Ściborowi, chociaż dzieciństwo miał bardzo ciężkie, później powodziło się bardzo dobrze. Niektórzy posądzali go o czary. Podobno jakiś sąsiad dziadka za dwóch swoich bytności w kuźni, zobaczył akurat koło miecha rozsypane jakieś monety. Zdziwiony zapytał dziadka dlaczego tam na ziemi, pieniądze leżą? Dziadek dowcipniś, niby ogromnie zdziwiony zawołał „O psiakość – to już narosły? No, nie nastarczę ich zbierać!” A, że wtedy poziom mądrości u ludzi przeważnie był niski, chłop przerażony wybiegł z kuźni i naopowiadał, że sam widział... jak u Ścibora w kuźni, koło miecha rosły zupełnie jak pieczarki, pieniężne monety. A Ścibór tylko kowalkę udaje, a w gruncie rzeczy to ino pieniądze spod miecha do skorupianych garnków ładuje i w ziemi zakopuje przed chciwymi i złodziejami”.

Inni posądzali dziadka, że po powstaniu styczniowym pieniądze gdzieś w lasach odnalazł. Ale pytany przeze mnie dziadek tym plotkom zaprzeczał. Po prostu pracowitością, zaradnością, oszczędnym życiem i właściwym podejściem do ludzi, dorobił się dość znacznego majątku, ale zakopane w ziemi garnki ze złotem – to była już legenda!

Na pozór tylko te dochody z usług kowalskich dziadka wydawały się duże. Kiedy pytałam o to ojca mówił mi, że choć mnóstwo ludzi do dziadka z robotą przychodziło, były to jednak roboty drobne i pracochłonne. Często polegały one na zrobieniu albo naprawieniu n/p. kłódki, a ile to czasu zabierało!

Narzędzia wtedy były prymitywne, ręczne, żadnych „wiertarek”, „obrabiarek”, a robota musiała być dokładna!

Ludzie nie płacili, bo nie było zarobków, nie było fabryk, a z kiepsko uprawionego zagona i prymitywnej gospodarki każdy był rad, gdy choć podatki potrafił opłacić. Pieniądz do zdobycia był bardzo ciężki!

Dziadkowie przez kumoterstwo byli związani z ludźmi z dwóch parafii, a kumoterstwo wtedy równało się prawie z bliskim pokrewieństwem. Jakże zatem od kumotrów można żądać było niskiej nawet zapłaty?

Dość często zatem nawet uciążliwe i pracochłonne roboty wykonywało się za „Bóg zapłać – Kumoterku”, albo „jo wom ta co kiedy, kumotrze nie bójcie się”. Nie było żadnej sankcji na ściąganie długów, do sąsiadów z takimi sprawami ludzie bali się chodzić. Chyba jedynie do księdza?

Żeby nie płacić, ludzie często przyniesioną robotę usiłovali narzędziami dziadka sami wykonać, a dziadek albo lękając się o los swoich narzędzi w niewprawnych rękach, albo nie mogąc patrzeć, jak się ktoś nad robotą „pastwił”, brał mu z ręki i sam ją za „Bóg zapłać” wykonywał.

Matka mówiła mi, jak podrosłam, że dziadka też niszczyli chłopaki – synowie. Choć wszystko u dziadków na dziesięć spustów było pozamykane, a babcia pęk kluczy nosiła przy sobie w „salopce”, ale wszyscy synowie na kowalce się znali i jak to przed kowalami, zamknięcia pewnego nie było i dużo dziadkowi bogactwa szło po kryjomu do karczemu, na wódkę!

Nie zatkaną nigdy dziurą były też życiowe potrzeby najstarszego syna Wojciecha. Dobry fachowiec kowal, ale nigdzie przy robocie nie mógł się długo utrzymać. Był bardzo wysoki, nieco pochylony, mocny brunet – był uosobieniem smutku i niezadowolenia! Był „socjalistą” i cały ówczesny świat wydawał mu się jedną wielką krzywdą, a co gorsze, że się z myślami wcale nie tał, ale głośno je wypowiadał. Miał chorowitą, z biednej rodziny pochodzącą żonę, która umarła dość wcześnie na gruźlicę, osierocając trójkę dzieci. Druga jego żona także zaradna wcale nie była. Potem sam popadł w gruźlicę, żył w wiecznych pretensjach do świata i do rodziców, podbierał ich sam jak mógł, a i bracia widząc jego biedę, bo się bracia bardzo kochali, obstawali za sobą i z pół i łak dziadkowych furi mu zwozili i z domu co się dało. Ale u Wojciecha, przy chorobach i braku życiowej zaradności wszystko tonęło jak w przepaści. Do dziadków miał wieczne pretensje, głównie o grunt, bo dziadek, aczkolwiek dużą miał gospodarkę, każdemu synowi na drogę życia, dawał tylko po dwie morgi pola, resztę obiecując po swej śmierci. Dziwne to było, ale tak robiła większość ludzi!

Uważało się, że nie rodzice dla dzieci, ale dzieci są dla wygody rodziców na starość. Była w tym jakaś, podświadoma może zemsta? Ja się mordowałem, dziadowałem, dorabiałem się własnymi rękami, rób to moje dziecko i ty! Może był w tym i lęk przed niewdzięcznością dzieci. Faktycznie, jeśli rozdał ktoś wcześniej gospodarkę, przeważnie na starość siedł z torbami po żebrach, straszne rzeczy opowiadając o swej doli. Było i tak naprawdę, ale w wielu przypadkach kryło się w tym i szalbierstwo!

Żebractwo przynosiło niezłe dochody i w produktach i w czystym groszu. Ludzie, oglądając się na kościelne przykazania: nagich przyodzierać, głodnych nakarmić – żebrzących od drzwi bez zaopatrzenia bali się odpędzać, tym bardziej, że chodziły legendy, iż nawet królowie i cesarze przywdziewali żebracze szaty, aby się o sercach poddanych przekonać! I Chrystus robił to dość często! Były nawet obrazki z Chrystusem w stroju żebraczym. Wykorzystując naiwność ludzką beczelniejsze typy staruszków puszczały się na żebractwo zmyślając istne dramaty, żeby tylko „wyrodnym dzieciom” gospodarki przysporzyć. W okolicy dużo było takich przykładów.

Wracając jednak do moich dziadków Ściborów, woleli oni na wszelki wypadek gospodarki przed śmiercią się nie pozbywać, zupełnie nie dbając o to, że ich dzieci i wnuki bardzo nieraz biedują. Jeden stryj Jantek, który siedział przy dziadkach, miał się lepiej od braci, ale o gospodarkę nie dbał często powtarzając „a ja to wiem, ile w tym jest mojego i które”. Dopiero w czasie choroby babci dziadkowie podzielili gospodarstwo.

Chcę jeszcze raz podkreślić, że dziadek Ścibór miał politechniczne uzdolnienia. Począwszy od noża, ogromnych nożyc krawieckich, które chyba jedyne we wsi były, bo ciągle je ludzie pożyczali, wszystkie narzędzia gospodarskie i rolnicze oraz sprzęty domowe były dziadka roboty. Oprócz warsztatu kowalskiego miał kompletny i dość precyzyjny warsztat stolarski swojej roboty, w którym oprócz sprzętów domowych i gospodarskich wy-

rabiał bardzo pomysłowe ule dla swej pasieki i dla innych. Kompletny warsztat szewsko – siodlarski, w którym znowu wszystkie narzędzia były ręką dziadka robione. Zajmował się też dziadek i kuśnierskimi pracami, zwłaszcza kiedy dorośli już synowie w kuźni go zastąpili. Dom dziadka był to jak gdyby dzisiejszym językiem mówiąc, istny pawilon wszech-usługowy, w którym bądź to dziadek sam przyjmował do wykonania roboty, a jeszcze częściej pożyczal narzędzi i ludzie sobie sami, rozmaite naprawy wykonywali u dziadka, na miejscu. Toteż ile razy tam zaszłam z naszego odludzia na Topolówce pełno u dziadków było chłopstwa, ten coś zeszywa, ten buta poklepuje, ten w desce świdrem dziury wierci, ten uprząż szyje, a w kuźni nie mogłam się nasłuchać, jak pięknie i jakoś wesoło dzwoniło żelazo pod młotami w rękach stryja.

I dziś kiedy spotkam jakąś kuźnię przystaję i lubię posłuchać głosu kutego żelaza, ale wydaje mi się, że nie dzwoni ono nigdy tak jasno, czysto i wesoło jak żelazo w kuźni dziadka Ścibora!

Dziadek wszystkie swe narzędzia bardzo szanował, każde z nich miało swoje stałe miejsce. Szczególnym szacunkiem darzył dziadek nawet najmniejsze kawałki żelaza.

Z dawnych pobojozwojów znosił kawałki szabel i inny złom, a nawet przywłókł do swojej kuźni resztki armaty, którą na Cle Powstańcom Styczniowym kula rozsadziła.

Dziadek zupełnie nie orientował się w sprawach politycznych. W Powstaniu Styczniowym bili się „Poloki” i „Moskole”. On za nakazem ekonoma parę dni ukrywał się za pamułami dworskich zabudowań przed „branką” do Powstania.

Wedle jego wiedzy Powstanie zrobili Panowie, żeby miejską biedotę wyniszczyć, bo dość głodna była i mogła się na Panów rzucić.

Większej wolności nad to co miał, nie pragnął! Wolno mu było posługiwać się językiem, w którym go matka pacierz nauczyła, ile chciał mógł się modlić, mógł jeździć nawet do Wiednia i dalej jeździć tylko miał za co, mógł się bogacić do nieokreślonych granic, mógł dzieci kształcić jeździć go stać na to było, a rządzić – ośmieszili go kiedy się do rządu gminą wystawiał! Nigdy tego nie żałował, przeciwnie uważał to za korzystne urządzenie losu, bo a nuż by się nie oparł pijaństwu, które wtedy wszystkie urzędowe osoby motało. Może majątek byłby stracił i na starość gorszym był dziadem, jak w latach dzieciństwa!

Od tego wszelkiego rządu był cesarz Franciszek Józef, którego aż trzy kolorowe podobizny wisiały między świętymi obrazami u dziadka, co prawda nie w izbie, ale w przestronnej kuchni, gdzie ludzie swoi i obcy najczęściej przebywali. Jeden obraz – cesarz Franciszek Józef sam, w wojskowym mundurze, drugi z najbliższą rodziną w bardzo jaskrawych kolorach, trzeci z rodziną i dworem. Na tych obrazach namalowane tłuszciki i przepięknie odziane panie i dziewczynki zatrzymywały oczy moje i innych gości dziadka.

Polska już powstała, a dziadek nie pozwolił nikomu ze ścian ściągnąć tych bohomazów. Dopiero mój ojciec, powróciwszy z Wojny w 1920 roku, jakoś je ze ścian postrzącał i do pieca wrzucił, ale dziadek je jednak od ognia ochronił i nadwęglone znalazły się za łóżkiem dziadka po jego śmierci.

Ojciec mój bardzo kochał i szanował swoich rodziców, ale zbyt wiele cech po nich nie odziedziczył, jedynie chyba po dziadku pogodność umysłu, zawsze życzliwy stosunek do ludzi i pobłażliwość na wszystkie uszczypliwości ze strony ludzkiej oraz dokładność w robocie!

Helena Ściborowska-Mierzwińska

Z cyklu „Legendy chłopskie”

„Legenda o źródłach na Pasterniku”

Niegdyś ludzie na wsiach, studni kopać nie umieli i jeżeli chodzi o wodę, to przeważnie korzystali z rzek przepływających obok wsi lub z jezior, czy też z naturalnych źródeł bijących samorodnie z ziemi, w rozmaitych miejscach. Dlatego też, ludzką ręką kopane studnie kościelnicie nie przekroczyły do dziś – lat stu pięćdziesięciu. Na ogół o wodę w całej okolicy było trudno, to też była w wielkim poszanowaniu i oszczędnie jej w gospodarstwie używano.

Dla dawniej zwanych Stanisławic – dzisiaj określanych Kościelnikami, naturalne źródła istniały na tzw. „Pasterniku”. Było to kiedyś pastwisko, dla Zabłocia i dla Wsi. Podobnie jak „Chruścisko”, z którym łączył się „Pasternik”. „Chruścisko” jednak, w pewnym okresie, panujący wtedy we wsi wójt i radni za gorzałkę przekupieni, dworowi je oddali.

O powstaniu dzisiejszych źródeł na „Pasterniku”, taka istnieje legenda:

We wsi, koło drogi, która prowadziła na Pasternik, dawno, dawno temu miał pobudowania i mieszkał w nich, w średnich latach będący, pewien gospodarz z żoną i trojgiem dzieci – dwoma małoletnimi chłopcami i dziewczynką, mającą może ze trzy latka. Ta żona jego, była słabowita, chorowała na piersiową chorobę, czyli na „suchoty”. Tak i na tę chorobę umarła, pozostawiając te trzy, nieletnie sieroty. Wdowiec ów musiał się żenić powtórnie, bo ani kto ugotować, ani go nie miał kto opierać wraz z dziećmi.

Narajono mu jedną kobietę. Może zła ona nie była, bo swoją kobiecą robotę znała i gospodarstwa pilnowała, ale dla sierot, to już takiego serca – jak rodzona matka – nie miała.

Ta nowa gospodyni, lubowała się w chowie gęsi i miewała ich każdego roku, wielkie stadło, a że sierotce Jagnisi, bo tak na imię miała ta mała dziewczynka, mijał już czwarty roczek, to akurat dorastała na gęsiareczkę.

Tak pasła ona te gęsi właśnie na Pasterniku, niedaleko od ich chałupy, ale wówczas tam źródeł jeszcze nie było, a gęsi przecież lubią wodę, więc uciekały malej i nieporadnej dziewczynce, z Pasternika aż do dalekiej fosi, a jak im od tej strony zastąpiła, to do domu leciały, i na podwórku pelentały się domownikom pod nogami, robiąc przy tym wielki harmider. Mała Jagnisia, jak mogła to się starała, ale nie mogła sobie, z tym dużym stadłem przekornych gęsi, poradzić.

Pewnego razu bardzo zeżliły macochę, te pętające się pod nogami na podwórku gęsi. Urwała z wierzby długą i dosyć grubą chabinę, obtarła ją z liści i dalejże tą chabiną bić, raz po gęsiach, raz po bosych nogach Jagnisi, żeby miała „na pamiętne” i z Pasternika do domu, gęsi nie puszczała!

Uciekały, przed rozzłoszczoną gospodynią gęsi, z rozcapierzonymi skrzydłami i głośnym gęgotem pędem biegnęły na Pasternik, a za nimi, ile miała sił, biegła co chwilę jednak, na posiniaczonych nóżkach przykucając, nieporadna, mała gęsiareczka Jagnisia, a z niezastłuszonego cierpienia, łzy ciurkiem płynęły jej z oczu.

I stała się rzecz dziwna, niezwykła!... gdzie na trawnik Pasternika padła bolesna łza sierotki Jagnisi, w tym miejscu otwierało się błękitne źródło, kształtem zagłębienia ziemi w tym miejscu, podobne do wielkiej, ludzkiej łzy.

Tak, od tej pory, nie tylko gęsi, ale i ludzie mieli blisko swoich domów, pod dostatkiem czystej i smacznej wody!

W zimie, kiedy śnieżna okrywa przysypie trawnik Pasternika, szczególnie wyraźnie widać to mrowie wodnych źródełek i kształt ich gruszkowato wydłużony. Istotnie przypomina to do dzisiaj, olbrzymie łzy i stąd pewnie, ta legenda.

„Wspaniały Biały Koń”

Bardzo dawno temu, Stanisławice, część dzisiejszych Kościelnik należała do dworu Rusieckiego. W tym właśnie czasie właścicielami Ruszczy byli bardzo bogaci i ze znamienitymi rodami skoligaceni państwo. Mieli oni córkę jedynaczkę przepięknej urody, a była już w tych latach, że rodzice szukali dla niej męża godnego jej piękności, bogactwa i społecznego położenia.

Na Rusiecki dwór zjeżdżali się nieomal z całego kraju, z bardzo odległych stron urodziwi i bogaci konkurenci. Ale panna się uparła i żadnego z kawalerów za męża, wybrać nie chciała. A uparta ona była, że hej!

Pewnego razu z matką i ojcem objeżdżała swoje rozległe włości, bo oboje rodzice widząc jej niezłomny upór obawiali się, że chyba za ich żywota za mąż nie pójdzie i na wypadek własnej śmierci, chcieli ją obeznać z włodarzeniem, tym ich, a po ich śmierci, ogromnym jej majątkiem.

W tamtych odległych czasach, więcej było lasów niż uprawnych pól, a w szczególności bezkresne bory ciągnęły się wzdłuż Wisły i od nich powstały te do dzisiaj używane nazwy: Przyłasek Rusiecki, Przyłasek Wyciążski, Las koło Wolicy itp.

Państwo Rusieccy objeżdżali nie tylko wsie zamieszkałe i pola uprawne, ale i swoje ogromne lasy. W czasie tego wspólnego objazdu, Rusiecka panna zobaczyła pięknego młodzieńca, syna leśniczego czy gajowego i z miejsca się w nim od pierwszego spojrzenia zakochała, oczywiście z równie wielką chłopca wzajemnością.

Chłopak był niezwykle urodziwy ale niskiego pochodzenia, dlatego wielkim wstydem napawała bogatych rodziców Rusieckiej panny, świadomość miłości ich córki, do młodzieńca z tak niskich sfer.

Panna Rusiecka była jednak niezwykle uparta i samowolna, nie uznająca żadnych zakazów w swoim postępowaniu, a rodzice, ją jedynaczkę kochali nad własne życie.

Zakochani w sobie bez granic, młodzi pragnęli się z sobą widywać jak najczęściej, ale droga od Wolicy, bo tam gdzieś właśnie była ta leśniczówka skąd ukochany panny Rusieckiej był rodem, była bardzo daleka. Szczególnie dłużyła się gdy pieszo się ją odbywało, dlatego też aby skrócić czas jej pokonywania, Rusiecka panna podarowała kochankowi swego własnego wierzchowca. Wspaniałego, siwo-białego konia, podkutego na zadnich kopytach szczerolotymi podkowami, z pod których gdy pędził, istne gwiazdy złote dookoła się rozsypywały.

Na tym to pięknym i rączym koniu z długą falistą grzywą, z fantazyjnie uniesionym powłóczystym ogonem, przyjeżdżał na umówione miejsca schadzek ów młodzian, bo do pałacu, rodzice panny wpuścić go nie chcieli.

Chłopiec był piękny, już z urodzenia, ale na tym wspaniałym koniu wydawał się jeszcze piękniejszy!

Drogi bitych, gościńców wtedy nie było. Jeździło się drogami polnymi, lub szerokimi „granicami” oddzielającymi wsie i ich grunty jedne od drugich. Zimą porą roku jeździło się, zwłaszcza końmi, na wprost przez pola, bo w tym czasie jazdą taką, uprawom szkody wielkiej się nie robi.

W tamtych, odległych czasach, długi pas pól leżących między dzisiejszym komunikacyjnym traktem: Kra-ków, a poprzez Cło do Sandomierza czyli bliżej określając tereny między drogą „Celajską” a Kościelnikami, to były ogromne bagna i moczary, które dopiero melioracje, spowodowane przez posła Franciszka Wójcika z Wyciąż, odwodniły i bardzo urodzajnym gruntem uczyniły.

Największe mokradła rozciągały się pomiędzy kościelnickim Błoniem, a Ruszczą. Także w wodach tych mokrądlu i chłopcy i dwór Rusiecki konie pławili, co jeszcze dobrze pamiętał mój Ojciec. Również bagienne były tzw. „Przymiarki”.

Rodzice panny Rusieckiej, aby jak najwięcej zyskać gruntów uprawnych, a przez to ukochanej córce jeszcze większego bogactwa przysporzyć, kazali swoim poddanym na tych właśnie niskich polach, licznie pokopać rowy głębokie i szerokie aby cała woda z pól, do nich spływała.

Do jednego z takich bardzo głębokich i szerokich rowów (jedni powiadają, że było to na „Przymiarkach”, a inni zaś, że na polach za kościelnickim Błoniem), wpadł wraz z koniem, ukochany panny Rusieckiej gdy jechał na nocną, umówioną z nią schadzke i razem z tym pięknym siwo-białym koniem, w nim utonął!

Niektórzy, podejrzliwie przypuszczali, że głównie po to właśnie na polecenie Rusieckiego pana, wykopane zostały te zdradzieckie rowy przyłożone z wierzchu, dla niepoznaki gałęziami, aby ów młodzieniec, ani jego koń ich nie zauważył.

Po tej tragicznej śmierci, ukochanemu swemu Rusiecka panna sprawiła wspaniały pogrzeb i na Rusieckim cmentarzu go pochowała, ale i pochówek ulubionego jej konia także był niezwykle!

Na miejsce jego pochówku wyznaczyła duży plac, na południe od Błonia kościelnickiego, a może był to nawet kawałek tegoż Błonia. Kazała ten cały plac – prawie okrągły, obsadzić wokół drzewami, i ażeby zwłokom ulubionego konia nie przykrzyło się po śmierci, nakazała poddanym, by po wsze czasy, wszystkie padłe konie były zakopywane, na tym właśnie cmentarzysku!

Jest to faktem, że innej gadziny oprócz koni, dawniej tu nie chowano. Później, kiedy nakaz Rusieckiej panny zatarł się w ludzkiej pamięci, grzebano tu zwłoki wszelkiej gadziny, nawet zdechłe świnię!

Panna Rusiecka, bo ponoć do końca życia za mąż już nie wyszła, w każdą rocznicę tragicznej śmierci narzeczzonego urządzała bardzo uroczyste msze, przy mogile zmarłego, ale też w te dni rocznicowe, wieczorem wraz ze swymi służebnicami odprawiała, na mogile ulubionego konia, jakieś dziwne obrzędy – jakieś dziwne

nabożeństwa. Już nie wiadomo czy właśnie ona, czy ludzie to obserwujący nazwali te obrzędy „mszannami” – skrócony wyraz od dwóch słów: msza + panna (po wyrzuceniu dwóch zgłosek p-a pozostaje „mszanna”) i od tego określenia, całe to cmentarzysko otrzymało swoją nazwę „Mszanna”, a później z latami, zmieniło się na „Mysanna”.

Poniektórzy, nazwę „Mysanna” wyprowadzają od faktu, że całe zwierzęce cmentarzysko, porośnięte było niezbyt wysoką, wąziutką, ale dość sztywną trawą, z której polne myszy ogromnie lubią ścieleć swoje gniazda – bo doskonale ona sprężynuje i małe myszki leżąc na niej, nie odgniatają sobie swoich delikatnych ciałek na zimnej i twardej ziemi.

Być może, od tej właśnie specyficznej trawy, od gniazd mysich, których tam było zawsze bez liku, to właśnie cmentarzysko nazwano „Mysanną”.

Owego pięknego siwo-białego konia, panna Rusiecka kazała zakopać wraz ze szczerozłotymi podkowami. Żałowali biedni ludzie tego cennego kruszcu, ale rozkaz dziedziczki został dokładnie wykonany. Panowało bowiem wówczas powszechne przekonanie, że skoro ze zwłokami ludzkimi czy zwierzęcymi idzie coś drogiego, cennego do ziemi, to nie należy żywym, tego daru, Matce Ziemi odbierać!

Opowiadanie o nieszczęsnym wypadku narzeczonego Rusieckiej panny szło z pokolenia na pokolenie, jako też szła opowieść o zakopanych zwłokach siwo-białego konia wraz z jego szczerozłotymi podkowami, ale kolejne pokolenia, coraz bardziej zapominały o starych prawach i dawnych nakazach.

Mówią, że kiedyś znalazł się w Stanisławicach pewien chłop nazwisko jego nie utrwaliło się do czasów współczesnych – tak jak opowieść o jego nierozważnym czynie. Po długim i żmudnym poszukiwaniu, wymiarkował wreszcie gdzie może się znajdować mogiła siwo – białego konia, bo po długich latach ziemia się na niej zapadła i dość wysoki wzgórek zrównał się z okolicą.

W widną, księżycową noc, ów chłop-nieszczęśnik zabrał się do rozkopywania mogiły siwo-białego konia aby wyciągnąć w ziemi zakopane szczerozłote podkowy.

Aliści gdy zdjął trawiastą darni i tylko dotknął łopatą odsłoniętej pod nią czarnej ziemi usłyszał ponad sobą głośnie, końskie chrapanie. Chłop podniósł głowę i do góry spojrzał, bo tuż nad nim stał olbrzymi, siwo-biały koń z długą falistą grzywą i fantazyjnie uniesionym powłóczystym ogonem!

Przerażony tym, porzucił łopatę i co sił począł z miejsca tego uciekać, ale nieopodał, upadł zemdłony na kościelnickim Błoniu i tak leżał do białego rana, aż wreszcie pasterze go dostrzegli i zwołali okolicznych ludzi do jego cucenia.

Miejscowi wspominają, że od tego właśnie czasu, w jasne księżycowe noce w Mysannie ukazywał się ludziom wspaniały siwo-biały koń z długą falistą grzywą i fantazyjnie uniesionym powłóczystym ogonem. Widywano go albo stojącego z nisko opuszczoną głową na końcu Mysanny pod opadającymi konarami wierzb, osik czy topól, które gęstym wieńcem okalały Mysannę – jak też cwałującego po okolicznych, rozległych polach, jakby poszukiwał swego utraconego pana!

Ludzie widywali tam też często, tajemnicze ogniki, które z pól na środek Mysanny się schodziły, gdzie ponoć była mogiła tego siwo-białego konia. Może wtedy to przybywały biedne dusze głównych aktorów tej wielkiej tragedii jak i tragedii tej świadków, aby tutaj ową pradawną „Msze-Pannę” odprawiać?

W każdym bądź razie, my, mali jeszcze wówczas pastuszkowie, pospieszaliśmy się ze spędzaniem z kościelnickiego Błonia: krów, koni, gęsi aby jeszcze przed wieczorem, powierzona naszej pieczy gadzinę koło Mysanny przepędzić i uniknąć widoku, tego budzącego w nas lęk nawet w czasie samego słuchania opowiadania – niesamowitego, siwo-białego konia.

Pomimo, że na Mysannie rosła bardzo piękna, bujna trawa, krów ani gęsi tam nie wyganialiśmy, aby nie obrazić śpiącego ducha siwo – białego konia.

W dzisiejszych czasach, bardzo wysoki i szeroki wał kolejowy przeciął Mysannę na dwoje. Gwizd lokomotyw i głośny stukot nieomal bezustannie mknących, to w jedną to w drugą stronę po tym wale, długich towarowych pociągów, chyba wypłoszył wszystkie niezwykle strachy z Mysanny, ale czy na pewno wypłoszył?

Kiedy stanie się na zakolu dzisiejszej, asfaltowej drogi, plecami do Wyciąż i spojrzysz wieczorem w stronę kolejowego wału koło Mysanny, to widzi się w świetle latarni elektrycznej, że wyraźnie przed wiaduktem stoi wielki siwo – biały koń z rozwianą długą grzywą, z długim ogonem i podniesioną głową, wypatrując jakby kogoś – mającego właśnie nadejść od strony pól Rusieckich!

W każdym bądź razie myślę, że muszą powstać tego przerażającego konia, i to nawet jeszcze dzisiaj widywać,

bywalcy kawiarni, stojącej na rozstaju dróg: wyciążskiej i kościelnickiej – bo czemóżby, po wypiciu tylko kilku piw zakrapianych wódką – leżeli potem nieprzytomni, do białego rana, przy ścieżkach i w przykopach, jak ten chłop – nieszczęśnik, co porwał się niegdyś nierozważnie, do rozkopywania pobliskiej mogiły siwo – białego konia!

„Legenda o strachach koło pleszowskiego cmentarza się pokazujących”

Niemal, na wprost cmentarza pleszowskiego stała już od dawna murowana figurka. Pewnego razu, w dzień wigilijny, po południu wracaliśmy z ojcem furmanką, z Krakowa. Wjechaliśmy do Pleszowa, kiedy zaczęło szaleć. Ojciec zaciął konie i powiedział – musimy za dnia koło pleszowskiego cmentarza przejechać, bo tam podobno, w wieczór wigilijny straszy!

Ojciec, tak pół na pół wierzył w strachy. Aczkolwiek był na wojnie światowej i mówił, że chodził po pobożnych wioskach zasłanych trupami żołnierzy i żadnego ducha nie widział, to jednak jeśli przechodził koło tych miejsc, o których jako dziecko słyszał, że na nich straszy, mówił, że „gęsiej skórki w ten czas, na ciebie dostaje... skoro ludzie widywali...”, mówił to nieraz do mojej matki, która będąc bardziej czytana, absolutnie w żadne strachy, nie wierzyła!

Dojechaliśmy wreszcie pod cmentarz pleszowski. Widzisz tę figurkę? – spytał mnie Ojciec i pokazał batem na budowlę, na wprost cmentarza za gościńcem, na polach stojącą, podobną kształtem do średnio-wysokiego komina, tyle, że krzyżyk miała na szczycie daszku i figurkę jakiegoś świętego w zagłębieniu. Opowiem ci jej historię!

Te pola, za figurką, kiedyś miały należeć do jednego właściciela, który je podzielił, między dwóch swoich synów, ci znów dali je swoim potomkom. Po wielu latach, doszło do tego, że krewieństwo, między tymi dwoma sąsiadami całkiem wywietrzało i byli to dla siebie obcy ludzie, z tym, że jeden z nich miał małe gospodarstwo, a drugi był bogaty. Ale, jak to zwykle bywa, że bogatemu wszystkiego za mało, tak i ten stał zaorywał miedzę biednemu sąsiadowi i stał się przepychał na jego stronę. Zaczęło się od kłótni, doszło do bijatyk i długie lata, trwających procesów.

Zjechała wreszcie komisja sądowa i w swojej obecności, kazała wkopać ciężkie kamienie, w granicy, ale i te kamienie odważył się przesunąć niedobry, bogaty sąsiad! Wreszcie pewnego czasu, jeden po drugim, obaj sąsiedzi pomarli i co się dalej dzieje?

Od tamtego czasu, w każdy wigilijny wieczór, kiedy pierwsza gwiazdka na niebie zabłyśnie i ludzie do wigilijnej zsiadają wieczery, kiedy cieszą się i łamią opłatkiem, z cmentarza pleszowskiego, ze swego grobu wychodzi ów bogaty gospodarz. Wystrojony w piękny kaftan, a na nim sukmanę białą, przebiega gdzieś tędy gościńcem i na swoim polu tą białą sukmanę zdejmuję, a potem znów powrotem, na gościńcem biegnie. W zdjętą sukmanę ładuje kamienie, niesie je na granicę swojego zagonka, sypie i znów galopem, wraca po następne, ale nie wie, że kiedy się odwróci, kilku diabłów te wszystkie kamienie, które wysypał wcześniej na miedzę – na gościńcem mu z powrotem odrzucają. On ugrzany, upocony nosi w tej sukmanie kamienie, bo chce po swojemu granicę usypać, a diabły mu stale, psują jego ciężką robotę i ciągle nie ma na miedzę dostatecznej ilości kamieni, aby wałek graniczny wyznaczyć. Chytry jednak chłop, zdejmuję i kaftan i kabat, i w samej tylko koszuli, straszliwie ugrzany biega po kamienie, ale sprytnym diabłem, nie jest w stanie w tej robocie dorównać!

I tak rok w rok, w każdy wigilijny wieczór od swojej śmierci, pracuje ten nieszczęśnik, aż do pierwszego drgnienia serca dzwonu, z dzwonnicy pleszowskiego kościoła – zwołującego ludzi na Pasterkę!

Kiedy ta cmentarna zjawa, usłyszy tylko pierwszy dźwięk dzwonu, zbiera swoje odzienie i galopem ucieka na cmentarz, bo do jego trzeciego drgnienia, ma się ubrać ten nieboszczyk, jak był pochowany, wleźć z powrotem do grobu i w nim się położyć!

Rodzina pokutnika, rozmaitych rzeczy próbowała, żeby go od tej pokuty uwolnić. Grób ponownie ksiądz święconą wodą kropił i na msze za niego, rodzina, a i ludzie dawali, ale nie pomagało, aż ktoś doradził, aby kapliczkę postawić i zagrozić nią wejścia na tą sporną miedzę, i diabłom, i pokutującemu!

Podobno od tego czasu, wreszcie się tutaj uspokoiło. Ale czy na pewno? Postawił ojciec, retoryczne pytanie i na wszelki wypadek zaciął konie, aby się jak najbardziej oddalić, od zaczarowanego miejsca.

Z cyklu „Legendy pałacowe”

„Czarna karoca”

Starzy mieszkańcy Kościelnik powiadają iż słyszeli, że wśród właścicieli kościelnickiego pałacu panowało powszechne przekonanie, że za każdym razem gdy ktoś w pałacu ma umrzeć – pod bramę jego z ogromnym turkotem i w wielkim pędzie – zajeżdża czarna karoca – w czarne zaprzężona rumaki. Objechawszy wokół w galopie, wielki gazon, przed wejściem do pałacu, znika potem gdzieś w oddali dworskiego podworca.

Razu pewnego, żonie kamerdynera przytrafiły się niesamowite komplikacje przy połogu. Chcąc ratować życie nieszczęsnej kobiety, stara hrabina posłała do pobliskich Niepołomic, czy też do Krakowa, po lekarza.

W stosunkowo krótki czas po tym, dało się słyszeć ogromny turkot od „Murowanego Mostu”, a słyszący go lokaj zameldował hrabinie, że prawdopodobnie wezwany lekarz właśnie, nadjeżdża.

Hrabina chciała sama poprosić przybyłego lekarza o jak najwydatniejszą pomoc dla straszliwie cierpiącej położnicy i wraz z lokajem zeszła do bramy wyjściowej, prowadzącej z sieni pałacu na dziedziniec. Gdy wyszli na zewnątrz, oboje zobaczyli, w galopie zajeżdżającą pod pałac, czarną karocę, w czarne, spienione konie zaprzężoną. Kareta objechała w szalonym pędzie pałac i zniknęła gdzieś w głębi dworskiego podworca.

Do przerażonego tym zjawiskiem lokaja, opanowując, również swój ogromny strach, hrabina powiedziała: „Wiadoma to sprawa. To jest ta karoca, która od dawien dawna się tutaj ukazuje, gdy ktoś w pałacu umiera”.

Jakoż gdy do pałacu powrócili, okazało się, że przed momentem zakończyła swoje życie, owa cierpiąca żona kamerdynera. Lekarz, wzywany przez hrabinę, przyjechał niedługo ale potwierdził tylko jej zgon.

Z cyklu „Kościelniki – zanikająca wieś pod Nową Hutą”

„Święte figury na wsi”

Pośrodku starego skupiska zagród Stanisławic, od dawien dawna wznosi się święta figura. Pierwej na postumencie murowanym z cegły w kształcie słupa, stała kapliczka podparta filarkami, a pod jej daszkiem znajdowała się pasyjka Jezusa Frasobliwego. Jednak bezlitosny zab czasu zniszczył tę pradawną budowlę, to też Gromada, za wójta Łobody Andrzeja postanowiła wybudować nową. Na „Gromadzie” uchwalono, że będzie to Figura Matki Boskiej Niepokalanie poczętej.

Delegowani w tej sprawie, kościelnicy gospodarze, uzgodnili i zamówili u kamieniarza przy ul. Rakowiekiej w Krakowie, stosowną, dużą figurę Matki Boskiej. Kowal Gabut Franciszek, mający nieopodal, po drugiej stronie miejsca budowy figury kuźnię, po umiarkowanej cenie, wykuł żelazne ogrodzenie, a Duras Franciszek – miejscowy – „wielobranżowy rzemieślnik” jakby go można nazwać współczesnym językiem, wykonał przy nowej figurze robotę murarską.

Do dzisiaj całość wygląda dość gustownie, ale moim zdaniem, do pewnego stopnia zbyt monumentalnie, jak na wiejskie warunki.

Fundatorem tej świętej figury, jak powiedziałam, była Gromada, a wykonawcą głównym uchwały gromadzkiej i odpowiedzialnym z samego urzędu jak i z własnej wielkiej ochoty, był wójt ówczesny, Łoboda Andrzej.

Kiedy wójtostwo przechodziło w nowe ręce wójta Stępaka z powodu tej budowy figury wyniknął we wsi spór wielki. Okazało się, że do wyliczenia się z funduszy zgromadzonych na budowę brakuje odchodzącemu z urzędu, wójtowi Łobodzie, sporo kwitów.

Zaistniały najrozmaitsze posądzania, ale ambitny nad wyraz Łoboda, pokrył kosztą fundacyjne z własnej kieszeni. Potem jakoś wszystkie kwity się znalazły. Gromada upierała się, aby Łobodzie poniesione niesłusznie kosztą zwrócić, lecz on uniesiony chłopskim honorem, na to kategorycznie się nie zgodził.

Wszystkie te wypadki podobno opisał szczegółowo budowniczy świętej figury, Duras Franciszek – bo między wieloma swoimi umiejętnościami i wykonywanymi zawodami – pisywać lubił. Ten swój raport o bulwersującej Kościelniki przez długi czas sprawie, włożył do szklanej flaszki i pod którymś rogiem figury замуrował – ku pamięci wiecznej – potomnych!

Pod tą świętą figurą, w ciepłe wieczory majowych niedziel, prawie cała wieś się zbiera. Najwięcej jest dziew-

cząt, też dużo – starszych kobiet no i młodzież męska, są i małe dzieci dopóki ich starsi nie przepędzą, aby już szły spać, do swych domów. Ludzie gromadnie schodzą się tutaj żeby śpiewać pieśni do Matki Boskiej, zwane „Majówką”.

Zapada zmrok, wieś i okolica cała pachnie bzem, opodal na szkarpach rosnącym, pachnie także innymi mionymi woniami kwiatów z w przydomowych ogródków. Jednocześnie wokół pobliskich zagród, wlece się nisko opar, ze swojskim zapachem przeżuwanej w stajniach przez zwierzęta majowej trawy oraz woń bydłęcego nawozu.

Na wysokich kasztanach, ocieniających świętą figurę, bieleją niczym świece w niezliczonych lichtarzach, piękne stożkowe kwiaty. Wokół żelaznego ogrodzenia figury tłoczy się wieniec dziewcząt. Blask palących się świec, które trzymają w swych dłoniach, podkreśla ich młodzieńczą urodę. Otwierają stare, grube śpiewniki i z całej mocy młodych płuc, pod ogromnym baldachimem wysokich kasztanów płynie pieśń: „Po górach dolinach rozlega się dzwon”.

Za dziewczętami stoją starsze kobiety, one już nie potrzebują śpiewników, bo na pamięć znają wszystkie pobożne pieśni i też, choć już głosem nie tak dźwięcznym, jak tylko mogą najgłośniejszą chwałą Świętą Panienkę!

Dalej, jakby w odwodzie stoi młodzież męska. Wielu nie z własnej pobożności tu przyszło, a raczej by napatrzeć się, jakże pięknym w blasku świec – rozśpiewanym buziom kościelnickich dziewcząt. Napatrzeć się, a może którąś wybrać?

W powietrzu raz po raz migają złote okruszynki – to świętojańskie robaczki przelatują nad głowami zgromadzonych. Z pod jakiejś strzechy wyfrunął oslepiony światłem lelek – byle się do włosów się nie wczepił! Ale śpiew nie ustaje, głowy się tylko przed nadlatującym, wystraszonym zwierzęciem, odchylają. Z pewnej oddali słychać krótkie, zdziwione ćwierkanie usypiającego wróbelka. W przerwach między pieśniami usłyszeć też można „pójdźkanie” sowy, mieszkającej w dziupli pobliskiego, starego drzewa. W otwartych na oścież stajniach ponurkuje syte bydło, przeżuwając zjedzoną strawę, a wieś cała śpiewa i śpiewa – bo również pod innymi świętymi figurami Matki Bożej: koło Rudek, w Górcie, na Zagrodach, a i na Cle równocześnie odbywają się „Majówki”.

Mieszają się melodie pieśni i o wiekowe lipy w kościelnickim, dworskim parku echo je odbija oraz wplata do nich dźwięczny śpiew słowików, i płynie ponad wsią wraz z wieczornymi mgłami ten przepiękny, radosny hymn wiosny.

Jednak, czas już kończyć to gromadne, radosne spotkanie, znak ku temu daje starsza, nabożna, a posłuch mająca niewiasta. Rozchodzą się zgromadzeni do domów. Młodzież odchodzi oczywiście parami i długo w noc majową po drogach i ścieżkach, słyszeć ich śmiech przyciszony i ich szepty – nic dziwnego, bo przecież to jest – ich wiosna!

„Obchody Święta Bożego Narodzenia w Kościelnikach”

Nastrój świąteczny do chat kościelnickich wprowadzały cięte w dzień św. Łucji (13 grudnia) gałązki wiśni lub śliw, które włożone do garnka z wodą i trzymane w ciepłym miejscu, ludziom bogobojnego serca, zakwitnąć miały pięknie w Boże Narodzenie.

W tym także czasie zjawiali się we wsi z opłatkami: organista z grabarzem, który to był równocześnie i kościelnym – bo parafia Górki Kościelnickiej była zbyt mała i uboga, aby więcej funkcjonariuszy kościelnych utrzymać.

Dawniej sam organista, własnoręcznie piekł opłatki. Dla ludzi były opłatki białe, a dla bydła w białym opłatku zapieczona była gałązka ruty. Dla koni był znów opłatek cały zielony. Były też i opłatki w innych kolorach.

Zależnie od tego jak wielka była rodzina oraz od tego, jakiej rekompensaty za opłatki spodziewał się organista, pozostawiali organista z grabarzem większą lub mniejszą paczkę takich opłatków.

Rekompensaty były bądź to pieniężne, i to raczej od bogatszych, a najczęściej była to oselka masła, serek, jajek kilka, krupy itp. Dary te odpowiednio do koszyków i worków segregował grabarz i w umówionym jakimś stosunku, dzielili się nimi obaj z organistą.

Niewiasty im bliżej Świąt tym więcej miały roboty. Bielenie izb, generalne porządki domowe, pranie i w dzień poprzedzający „Wilję”, albo w „Wilję” z rana – pieczenie.

Zaś do obowiązków mężczyzn należało przygotowanie paszy dla bydła, opału do kuchni, a także opału do pieca chlebowego.

O ile dziewczęta przy swoich matkach zajęte były ciężką pracą, to chłopcy z ojcami zawsze dużo wcześniej,

już się z „męską” robotą uporali.

Wieczór i noc poprzedzająca „Wilję”, były dla męskiej młodzieży jakby to z dzisiejsza nazwać „nocą zieloną”. Gromady chłopaków, z zasady każda w swoim przysiółku dokonywały sąsiadom, co jedna, to wymyślniejsze psoty, o które jednak się nikt nie obrażał, bo taki przecież był respektowany przez wszystkich „stary zwyczaj”.

Powszechną, „starym zwyczajem” uświęconą psotą było smarowanie wapnem, albo popiołem zmieszonym z wodą i sadzami szyb okiennych, pięknie przez dziewczęta i gospodynie już na święta wymytych. Bazgranie na drzwiach chałup albo na wrotach stodół rozmaitych ludzkich podobizn. Ale na tym nie koniec; bo oto Wojciechowi ciężki kopieniasty wóz ktoś na kalenicy domu postawił. Tam znów na stodołę stoją sanie, tam którejś gospodyni komin szkłem zatkali – kobieta zapala w piecu pod pieczenie, a tu zamiast do komina, to dym na izbę bije. Zagląda gospodyni do komina, jasno, niebo przez otwór widać, a dym furt na izbę wali. Dłuższy czas zeszedł nim się wyrządzonego figla domyśliła.

W innym końcu wsi gospodarze wszystkie narzędzia rolne na wrotach od stodoły mają pozawieszane. Rwetu i śmiechu co nie miara, będzie jutro na pewno!

Staremu Walentemu, co ma starszawe dziewczuchy już w domu, co roku chłopaki despety urządzają. Ale tego roku się w wozówce na nich „zasadził” i przyłapał zbytników. Ano prowadzi ich do izby niby jako winnych do aresztu, posyła po sąsiadów, że będą wspólnie sąd nad nimi robić. Odbywa się też taki „sąd” nad psotnikami i wszystkich winnych na powieszenie skazuje – oczywiście na niby. Ale oto wpadają do izby kamraci tych młodych i przyniesioną z sobą gorzałką od „sądu” ich wykupują. Dziewczęta rade z młodych gości w domu, zakąskę z placka na oleju szykują i prawie cały przysiółek przy tym się bawi.

Zabazgrane okna, drzwi i wrota umyjają rano w wigilię dziewczęta, ale poustawiane na kalenicach wozy, sanie i inne ciężkie przedmioty zdjąć stamtąd nie taka prosta sprawa – „postawi” Maciej, Jan, Jacenty – to pomocników cała zgraja się zbiegnie i w mig uprzątną wczorajsze psoty, ale ile się przy tym cała wieś naśmiej! A śmiech to przecież zdrowie!

A oto i „Wilja” – ta „Wilja” miała jakąś swoją tajemniczą postać. Już dużo wcześniej skądś przychodziła – ze świata – do chałup i pod suszącym się na piecu chlebowym: cebrykiem, maślnicą lub też w dziecnie spokojnie czekała, aż czas na nią przyjdzie. Matki dzieci nią straszyły, jak im się w te ostatnie zapracowane dni, pod nogami pełętały (pamiętam, że na wsi o szczupłej kobiecie mówiono „chuda jak „Wilja”).

Dawniej po wsiach dużo było Cyganów, którzy z muzyką – w „Wilję” – „ogrywali chaty”, za co należało im coś „wyrzucić”. Później również miejscowa młodzież przebierała się za Cyganów i z figlami po chałupach chodzili.

Szczęście człowieka w przyszłym roku zależało od tego czy się rano przez okno zobaczyło mężczyznę i jeśli to był ktoś młody, do tego przystojny to szczęście temu pewniejsze. Ale bieda każdemu kto w pierwszym na świat spojrzeniu, w dniu wigilijnym, napotkał lub zobaczył kobietę. Okropne nieszczęście mu się znaczyło na rok cały! Także, gdy do chaty w Wigilię jako pierwsza z zewnątrz osoba weszła kobieta, to też była zapowiedź nieszczęścia.

W Wigilię surowo przestrzegano postu. Rannym pożywieniem była herbata, śledź z octem i cebulą oraz placek – po wyjęciu z pieca polany olejem i przesmażoną w nim cebulą. Po takim śniadaniu czekało się z jedzeniem, aż do wieczery.

W Wigilię należało ze wszystkim się bardzo pilnować, bo jakim człowiek był w „Wilję”, takim był przez rok następny cały.

Przed wieczorem, kiedy matka sposobiła wieczerę, ojciec z dziećmi szedł do sadu. W tych czasach, sady wyłącznie prawie ze śliw były założone, tu i ówdzie tylko spotkać można było gruszę lub jabłoń i to najczęściej dzikie, nieszczepne.

Ojciec niósł powrósł, któregoś z dzieci, najczęściej syn siekierę, a jedno było za „odpowiadacza”. Ten co niósł siekierę uderzał jej obuchem o pień drzewa i pytał: „Będziesz rodzilo – czy nie będziesz rodzilo? Bo jak nie, to cię wytnę tą siekierą!”

Jeśli widać było, że drzewo jest zdrowe, „odpowiadacz” mówił za drzewo: „Będę rodziła! Będę!” i wtedy ojciec lub ktoś, kto niósł ze sobą powrósł, obwiązywał pień drzewa poniżej gałęzi takim powrósłem. Jeśli drzewo było kiepskie, z pousychanymi gałęziami, to wtedy, na powtarzane za każdym razem to samo pytanie, „odpowiadacz” mówił: „Nie, nie będę rodziła!”. Takie drzewo nie obwiązywano już słomą lecz nacinano siekierą na znak, że przeznaczone jest do wycięcia.

Po ukończeniu wiązania drzew w sadzie, ojciec, lub najstarszy z synów przynosił do izby ze stodoły snopek

żytniej słomy (kowiórkiem zwany) prostej i snopek mierzwy.

Ze słomy prostej robiło się „kopy”, gwiazdę i podobny do niej krzyż. Przy zabijaniu „kop” za tragarze chodziło o to, aby jednym ruchem reki zostawić w szparze między powalą a tragarzem jak najwięcej żdźbeł słomy, bowiem każde żdźbło tak zatknięte, wyobrażało kopę snopów żyta w przeszłorocznych żniwach. Tych „kop” zabijało się przeważnie sześć, czasem więcej – nawet dwanaście!

Krzyż i gwiazdę, a w niektórych domach samą tylko gwiazdę, przybijano do tragarza, wprost nad stołem wigilijnym.

Resztę słomy prostej, która od robienia gwiazdy i zabijania „kop” pozostała, ustawiano w kącie izby, najbliższym stołu wigilijnego. Później słomę tą podścielano gęsiom w gniazdach, gdy wysiadywały, aby wysiadywane przez nie jaja, dobrze się „mąciły”.

Ociepkę słomy mierzwy rozrzucono dokładnie, na pięknie wcześniej umytą podłogę. Tak zaścielona miała przypominać barłóg Stajenki Betlejemskiej i uprzątno ją dopiero rankiem w św. Szczepana.

(Krzyż, gwiazda i „kopy” były w izbie do Nowego Roku. W tym to dniu, jak najwcześniej z rana, sam gospodarz albo najstarszy z synów, wynosił je w pole obsiane żytem. Szedł z nimi pieszo, gdy pole było blisko – wioził je na koniu, gdy pole było daleko. Należało to jednak zrobić bardzo wcześnie rano i to tak, aby nikogo po drodze nie spotkać, ponieważ spotkany przechodzień mógł odebrać przewidywane szczęście urodzaju i przerzucić go na swoje własne pole.

Przy wynoszeniu „kop” z domu wymawiano słowa: „Idźcie kopy w pole, bo pustki w stodołę”. Na młodym życie „kopy” rozkładano w kształcie krzyża, cztery stanowiły ramię dłuższe, dwie pozostałe ramię krótsze. Gwiazdę kładło się na przecięciu ramion krzyża.

W tym czasie kiedy gospodarz, lub jego syn byli z „kopami” w polu, niewiasty (dziewczęta) musiały pięknie, co do jednej słomki, chałupę wysprzątać i pozamiatać, inaczej znaczył się gospodarstwu w nowym roku bałagan!

Kiedy powracający od rozkładania „kop” mężczyzna zastał dom nie uprzątnięty, „miał prawo” miotłą „wytluc” zaopuszczając w sprzątaniu niewiasty).

Kiedy już wszystkie „kopy” były zabite nad tragarz i mierzwa na podłodze rozrzucona, ojciec ze stodoły przynosił wiązkę najpiękniejszego siana i rozścielał ją na wigilijnym stole z dwóch stron obwiązując go powrósłami, aby siano nie zsunęło się z niego.

Następnie stół przykrywano lnianym obrusem. Na środku stawiano gipsowe lub papierowe figurki Pana Jezusa w żłobku, a wokół niego rozkładano opłatki.

Teraz wypadało tylko czekać, aż się na niebie pojawi pierwsza gwiazdka!

Przeważnie do dzieci należało wypatrywanie tego momentu. Na okrzyk dzieci, że na niebie weszła już pierwsza gwiazdka – zasiadała cała rodzina przy wysuniętym na środek izby stole, tak aby się wszyscy mogli koło niego pomieścić.

Najpierw łamano się opłatkiem, a potem na jedną wspólną, kamienną misę nakładała gospodyni kapustę z grochem. Jadło się drewnianymi kopystkami, a dopiero na parę lat przed I Wojną Światową w użycie weszły metalowe łyżki oraz metalowe, polewane miski.

Po zjedzeniu pierwszego z dań, ktoś z domowników starszych szedł razem z dziećmi w pole wołać wilka do kapusty. Rozrzucając resztki niedojedzonej kapusty z grochem wołało się na wszystkie strony świata: „Wilku!, Wilku!, chodź do kapusty, a jak nie przyjdiesz teraz na mięsopusty to nie przychodź nigdy, ani na Święty Miody (Magdaleny)”.

Dawniej bowiem, kiedy koło Kościelnik było dużo lasów i Puszcza Niepołomska była ogromna, w zimie przez zamarznąłą Wisłę, całe watahy wilków przychodziły z tej Puszczy do wsi okolicznych i ich mieszkańcom „dobrze” się dawały we znaki.

Następnymi wigilijnymi potrawami były: krupy z żurem, dalej paluszki z makiem, a kiedy maku nie było, albo u biedniejszych – paluszki z kaszą jaglaną, dalej kasza jaglana z suszonymi śliwkami.

Te ostatnie, dwie potrawy największy przysmak ówczesnych wiejskich dzieci stanowiły. O tym przysmaku marzyło się rok cały! Wszystko maszczone było jedynie olejem, a do popijania potraw używało się „wodę z suszek” – kompot.

Wszyscy jedli w milczeniu, pomodliwszy się wcześniej. Czasem tylko któregoś z dzieci zachlipało zakatarzonym nosem. Uwag dziś jednak nikt nie robił, każdy opanowywał swoje brzydkie nałogi z jedzeniem związane, każdy starał się zachować przy wigilijnej wieczerzy jak najbardziej poprawnie i godnie.

Po wieczery gospodyni zgarnawszy wszystkie resztki jedzenia kładła na nich przełamaną na dwoje kromkę chleba, a między kromkami opłatek z rutą i szła z tym poczęstunkiem do bydła. Gospodarz z połową opłatka zielonego szedł zaś do koni, aby się nim, z nimi połamać, gdyż w bydłach w wigilijny wieczór, ujawnia się i ożywa dusza. O północy nawet ludzką mową bydła rozmawiają, ale człowiek musi mieć bardzo czystą, nawet bez jednego grzechu duszę aby mógł ludzką mowę zwierząt w wigilijną noc zrozumieć.

Pies, wierny stróż domostwa, też o wiele obfitsze jedzenie w ten wieczór otrzymywał.

Po wieczery wychodzą młodzi przed chatę i czynią sobie wróżby.

A więc obejmują obydwojema rękami jak największy odcinek balasek ogrodzenia lub płotu z kołkami i je liczą, jak liczba ich parzysta – małżeństwo pewne w tym roku ich czeka.

Obwiązywano też w nocy kołek słomianym powrosem i rano się sprawdzało – jak prosty, to przyszedł małżonek będzie ładny i zdrowy, jak kołek krzywy, to dla młodych była zła wróżba.

Po wieczery matka lub któraś z córek, z kolorowych opłatków robiła kulę – Świątkiem zwaną, a także i kolebeczkę najczęściej z białego już opłatka. Świątek, a także kolebeczkę zawieszało się u tego tragarza, do którego była już wcześniej „gwiazda” przybita. Świątek wyobrażał świat, którym zawładnie Jezus nowonarodzony, a w kolebeczce będą małego Jezuska, kołysały aniołki.

Świątek i kolebeczka wisały pod powalą bardzo długo. Zakurzone i przez muchy ubrudzone zdejmowano przy jakimś, generalnym sprzątnięciu izby.

Po zakończonej wigilijnej wieczery, syci już wszyscy domownicy, za rozpoczynającym – najstarszym z danej rodziny, śpiewają gromadnie jak najmocniejszymi głosami, ze zdrowych i młodych gardeł – kolędy.

Pierzyną śniegu otulone w śniegowych baranicach, z pod których wypłózą się kosmyki sopli – kościelniczek chaty migoczą wówczas radośnie rozświetlonymi blaskiem naftowych lamp, okienkami i prawie pęcznią od tego donośnego, radosnego śpiewu. Z ciemno granatowego nieba mrugają do nich porozumiewawczo, roziskrzane gwiazdki. Jak ich jest dużo w noc wigilijną – cieszą się gospodynie, bo nadchodzący Rok będzie „jajny” – kury będą się dobrze niosły. Gdy gwiazdy przez muśliny mgieł do okien chat zaglądają, to jest zapowiedź, że rok będzie „dojny” – krowy z pewnością dadzą dużo mleka.

Aliści już najwyższy czas zbierać się na pasterkę, kto młody i kto ślizgawicy się nie boi! Tupania, nawoływania, chichoty z wywracających się na ślizgawicy słyhać na wszystkich drogach i ścieżkach, a modrzewiowy kościółek w Górze wnet zapełni się Ludem bożym.

Wychodzi ksiądz z zakrystii, a organy na górze melodię podają: „Wśród nocnej ciszy” i bucha pieśń z taką siłą, że aż szybki w wysokich kościelnych oknach brzęczą. Jest to, nie tylko wyraz pobożności, ale i siły, zdrowia, a i dosyć zgromadzonych.

Po przyjściu z pasterki, domownicy pożywają się potrawami, które w większej ilości na Święta zostały przygotowane. Przez cały pierwszy dzień Świąt nie gotuje się, a spożywa potrawy wcześniej przygotowane. Tylko teraz maścić je już można masłem lub „spyrką” – post minął!

W każdy post, a więc i w Wigilię maściło się w Kościelnikach tylko olejem, nabiału też nikt w dni postu nie spożywał.

Po chałupach, w każdej komorze wisały już wcześniej, na Święta przygotowane, wianki kielbasy, boczek, smakowite kiszki – wszystko to z uchowanego i przed Świętami zabitego wieprzaka.

Zamiast razowego, jęczmiennego lub żytniego chleba dni powszednich, jedzą domownicy w Święta, chleb „świątły”, upieczony z mąki pszennej oraz kołaczki – placki na łopacie robione i polewane przed wsadzeniem do pieca „chlebowego” serem rozrobionym z jajkiem, pieprzem i cynamonem, a u bogatych i z cukrem.

Nie zawsze to jasne pieczywo pochodziło z własnej pszenicy, ponieważ tego zboża, przeszło sto lat temu, ludzie nie umieli w Kościelnikach uprawiać. Na mokrych, nie zmeliorowanych polach nie udawała się pszenica, tylko co zamożniejsi, mający lepsze pola ją zbierali i odliczali w miarkach, a nie w cetnarach jak to dziś się czyni.

Mąkę na świąteczny wypiek, kupowało się w „składzie” w Krakowie, na Podgórzu.

Drugi dzień Świąt nie nosił już w sobie dostojnej powagi wielkiego Święta jak dzień pierwszy. Wolno było już trochę sprzątać, gotować, odwiedzać się wzajemnie po domach.

Cały dzień pierwszy wypełniała modlitwa, uczestnictwo w nabożeństwach kościelnych, kolędowanie no i konsumpcja pożywienia wcześniej, przed Świętami i to zarówno dla ludzi jak i dla domowej gadziny, przygotowanego.

W św. Szczepana uprzątało się izbę z mierzwy rozścielonej na podłodze. Słomę tą wrzucano bydłu do żłobów – „do przebrania”, a dopiero potem podrzucano się ją na ściółkę.

Jedzenie w domach, w tym dniu jest obfite. Dojada się resztki wigilijnych potraw, gotuje się mięso, zjada kiszki i kielbasy, ale przeważnie wszystkim najbardziej smakują pieczone z jasnej mąki kołaczki!

W kościele na pamiątkę kamienowania św. Szczepana, ksiądz święci owies. Do płóciennych woreczków biorą więc starsi garść owsa na święcenie. Młodzież, skrycie przed oczyma ojców, pakuje go ile się da, do wszystkich kieszeni, na tzw. „bicie owsem” w kościele, a przede wszystkim przed kościołem. Do owsa młodzi dodają bobiku, bobu, grochu, aby uderzenia były mocniejsze.

Po poświęceniu owsa przez księdza, rzuca każdy w niego garść owsa na pamiątkę kamienowania św. Szczepana. Potem następuje ogólne obrzucanie, „walenie się” owsem, bobem, grochem.

W kościele, dookoła kościoła, w dzwonnicy i furt za nią, leży gruba warstwa owsa. Pozmiata ją kościelny dla kur i będą miały tego pożywienia na czas dłuższy, a i myszy kościelne oraz wrony co gnieźdzą się wokół na wysokich drzewach, a także i okoliczne wróble mają uciechy z tego zwyczaju, co niemiara.

W drugi dzień Świąt wyrusza też młodzież z Szopką na wieś. W pierwszym dniu Świąt kolędnicy idą jedynie na Plebanię – obkolędować księdza.

Helena Ściborowska-Mierzwińska

Z Archiwum Mecenasa Stanisława Mierzwę

Pozostałe po śmierci Ojca w dużej ilości: książki, pisma, dokumenty – my synowie przekazaliśmy zgodnie z Jego wolą, do Muzeum Wincentego Witosa w Wierchosławicach.

Ze względu na ich objętość i fakt, że Stanisław Mierzwa przez kilkadziesiąt lat osobiście je gromadził, przyjęło się i jest stosowane określenie, iż jest to „Archiwum Mecenasa Stanisława Mierzwę”.

Poza wymienionymi materiałami, znajdującymi się w Wierchosławicach, jest pewna nieduża ich ilość, jeszcze rozproszonych.

Ojciec pisząc swoje publiczne wystąpienia jak: „Listy do Przyjaciela”, listy do Prymasa Polski Kard. Stefana Wyszyńskiego czy teksty wywiadów do czasopism, nam synom, kopie tych wystąpień często przekazywał.

Dodatkowo „materiały” przez nas posiadane, powiększają „zapiski” naszej Matki, które ze względu na ich formę (większość to rękopisy) oraz tematykę spraw i wydarzeń opisywanych (historia rodziny Ściborowskich, historia rodzinnej wsi – Kościelnik) pozostały w naszej dyspozycji.

W oparciu o te „materiały” i dodatkowe, na bieżąco z różnych źródeł pozyskiwane (publikacje naukowe, artykuły prasowe i inne wydawnictwa zawierające informacje o naszych rodzicach: Stanisławie Mierzwie i Helenie Ściborowskiej-Mierzwinie), dla zaspokojenia zainteresowania własnego, członków naszej Rodziny, a także zainteresowania Przyjaciół oraz znajomych naszych Rodziców, w miarę swoich umiejętności i w formie broszur pod ogólnym tytułem „Z Archiwum Mecenasa Stanisława Mierzwę”, własnym sposobem publikuję.

Poniżej przytaczam wybrany właśnie z tego Archiwum dokument – opis dotyczący ślubu i wesela moich rodziców, które odbyły się w Kościelnikach, rodzinnej wsi Matki. Przytaczany dokument opracował mój Ojciec. On dokonał odpisu informacji zamieszczonej na ten temat „Piastie”. On też sporządził komentarz do treści notatki z „Piasta”, a także szerzej przedstawił uczestników opisywanej uroczystości. Niestety nie znalazłem wymienianego w relacji Stanisława Mierzwę załącznika – listu Wincentego Witosa, z życzeniami dla młodej pary.

Jacek Mierzwa

Wesele w Kościelnikach

W ubiegłą sobotę odbył się w Kościelnikach ślub panny Ściborowskiej z p. Mar. Mierzwą, sekretarzem wojewódzkiego zarządu Stronnictwa Ludowego.

Wesele odbyło się po wiejsku z zachowaniem wszystkich obrzędów zwyczajowych, utrzymywanych w Krakowie. Byli więc i krakusy na koniach, i orkiestra witała przybywających gości, były i wyprowadziny, i błogosławieństwo rodziców młodej panny i matki młodego pana, były na końcu i czepowiny.

Starostą był prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego p. Vetulani, starościna sąsiadka państwa Ściborowskich, p. Świdoniowa. Druhnami były koleżanki p. Ściborowskiej, drużbami koledzy p. Mierzwy, akademicy z Krakowa. Między gośćmi znajdowali się profesor p. Kot z Krakowa, p. konsul Marchwicki z Piasków, mecenas Grodziski, ks. proboszcz z Kościelnik, hrabina Wodzicka z Kościelnik z synem.

Młodej parze składa redakcja naszego pisma życzenia wszelkiej pomyślności na nowej drodze życia.

„Piast” – nr 9, z dnia 1 marca 1936 r.



Komentarz do informacji zawartych w notatce:

Powyższą notatkę w „Piastie” pomieścił uczestnik tej uroczystości, kolega i družba, oryginał życiowy, długoletni polonista UJ, z oryginalnym stylem pisania. A że nie porozumiał się z nami, popełnił drobne nieścisłości, które chciałbym sprostować wzgl. uzupełnić jego relację.

Rzeczywiście wesele „odbyło się po wiejsku”, w dniu 22 lutego 1936 r. Podając moje nazwisko, jako pana młodego, opatrzył go tytułem – „p. Mar.” Otóż wyżej wspomniałem, że miał jako polonista swój oryginalny styl pisania. Robił dziwne skróty, bo np. podpisując się pod artykułem, używał określenia „sta. Mat” – czyli Stanisław Matysik. Tu z tytułu magistra zrobił skrót własny „mar”...

Podał mylne nazwisko starościny, bo zwała się Śwignoniowa, a nie Świdoniowa i była rodzoną ciotką żony, a jej mąż, Mikołaj Świgoń był starostą, oboje rolnicy, mieszkający obok teściów. Jakże to, „wesele po wiejsku” a starosta z miasta? Prawda jest taka, iż prof. Vetulani, nasz przyjaciel i całego środowiska akademików ludowców w Krakowie, rozochocony atmosferą wiejską, sam się ogłosił „drugim starostą” uroczystości. Zawsze wesoly, żywy, dobrze pełnił tę funkcję, ożywiając towarzystwo weselne.

Wspominając w notatce o kolegach drużbach na tym weselu, autor reportażu nie podał, iż byli to: Józef Marcinkowski z żoną Marią – pierwszy z krakowskiego środowiska PAML-u ożenił się w 1932 r., Józef Dąbrowski, Jan Witaszek, Jan Kwiecień, no i sam piszący, Stanisław Matysik. To nieliczni z wielkiej gromady przyjaciół, których chcieliśmy zaprosić, ale dwie ciasne izby teściów nie mogłyby więcej ich pomieścić.

Następnie sprostowanie, iż samo wesele odbyło się w rodzinnej wsi żony, w Kościelnikach, natomiast ślub odbył się w kościele parafialnym w Górcie – i w uroczystości brał udział ks. proboszcz – ks. Wójcik – z Górki, a nie z Kościelnik, jak podał autor. Tak samo, wzięła udział w uroczystości córka hrabiny Wodzickiej z Kościelnik, po mężu już Prekowa, a nie sama stara wtedy matka. Prekowie mieli mały folwark w Wyciążach, w sąsiedniej Kościelnik wiosce.

Użył też autor określenia, że były i „czepowiny”, jako obrząd wiejski, choć prawidłowo używa się słowa „oczepiny”, gwarowo „cepiny”. Skąd wziął takie określenie, czy to jego pomysł, czy z jego stron taka gwara – jasielskie?

Jeszcze drobne uzupełnienie do określenia „po wiejsku”. Tradycją z dawnych lat musiały być i wozy chłopskie dla gości weselnych, by z Kościelnik przejechać do kościoła w Górcie, ponad dwa kilometry. Były też i sanie dla miastowych, bo to była zima i do tego bardzo ostra, śniegi kopne, przejść by się piechotą nie dało.

Dlaczego wesele „po wiejsku”, a na nim nagle „hrabina” Prekowa. Ano, bo teściowa za młodych lat, jako dziewczyna z biednej rodziny chłopskiej, została pokojówką we dworze. Średniego wzrostu, przystojna i ruchliwa szybko usługami zjednała sobie sympatię starej p. Wodzickiej, a także – prawie swej rówieśnicy, córki hrabiny. Nic też dziwnego, iż po kilku latach takiej służby we dworze, wyrobiła się ponad przeciętność wiejską, zdobyła zaufanie dworskiej rodziny i taką życzliwość córki starej Wodzickiej, że kiedy pokojówka „Francia” wyszła za mąż i urodziła pierwsze dziecko, na matkę chrzestną zgłosiła się sama p. Wodzicka. Chociaż oboje z żoną mieliśmy „demokratyczne” nie tylko poglądy, ale kieszenie, jakże było nie zaprosić na wesele chrzestnej matki panny młodej. Teściowa by nam nigdy tego nie darowała. Zachowała na całe życie wielki sentyment do całej rodziny Wodzickich za dobre traktowanie jej tam – we dworze – biednej dziewczyny wiejskiej i wdzięczność dla starej pani, która też przez lata pamiętała o dobrej „Frani” i dawała w różny sposób temu wyraz. Choćby np. przez sprzedaż Frani na kredyt kawałka pola, gdy inni nabywcy musieli płacić gotówką od ręki. Tak samo i teść był za takim zaproszeniem, bo sam za młodu, też z małej gospodarki chłopskiej wiele pomocy dostać nie mógł, a wyuczywszy się na kowala, pracował w tym charakterze w kuźni dworskiej. Nigdy na tę pracę nie narzekał, traktowany tam był dobrze.

I taki dziwny zbieg okoliczności, że ci dwoje, chłopskie dzieci, z biedy posługiwali we dworze, by zarobić na chleb, a dorobiwszy się ciężką pracą tego chleba na tyle, żeby wyszkolić córkę w mieście, teraz zapraszają na ślub tej córki przedstawicielkę dworskiej, hrabiowskiej rodziny, w charakterze „chrzestnej matki” ich córki. Powolna ewolucja wyrównywania się tych dwóch światów, dworu i wsi, panów i chłopów. Stara Wodzicka, nie dając sobie rady z gospodarką, sprzedawała systematycznie chłopom dworskie pola, kurczył się dwór, rosły chłopskie gospodarki na tyle, że zmniejszał się głód ziemi wsi zabiedzonej, na obrzeżach dobrych ziem dworskich osiadłej. Tak było w czasie wojny światowej i po wyzwoleniu Polski. Za marki chłopcy wykupili całe dworskie obszary, skorzystali z tego też teściowie. Mogli z nabytej dworskiej ziemi nakarmić zaproszonych gości, nawet tych gości dworskich.

Jeszcze wyjaśnienie, dlaczego tylu i takich gości z miasta zaprosiliśmy na nasze wesele. Mieliśmy już wtedy oboje, po latach pracy politycznej, wielu bliskich przyjaciół z PAML-u, „Wici” i Stronnictwa Ludowego, których

należałoby na taką uroczystość zaprosić. Bo jak jednych prosić, innych nie, gotowa obraza. Ale teściowie, zaskoczeni jakby nagłym pomysłem córki, że chcemy pobrać się w karnawale, w okresie zimy, nie przygotowani na taki wydatek i obawiając się, że dom ciasny i zaniedbany, godzą się tylko na skromne, weselne przyjęcie. Zobaczywszy ułożoną przez nas listę miastowych gości, stanowczo się takiej ilości zapraszanych sprzeciwili. Wytargowaliśmy jednak zgodę na o wiele skromniejszą listę tych, których zaprosić musimy. Nie wypadłoby ich pominąć...

Stąd na naszym weselu prof. Kot, przyjaciel wszystkich młodych w krakowskim środowisku, syn chłopski i głośny uczony, a nas oboje darzący wielką życzliwością. Nie śmieliśmy prosić jego żony, p. Idy Kotowej, że niby ona z miasta, może by raziło ją wiejskie otoczenie?

Potem wielokrotnie wymawiała nam z żalem, że nie wiedziała, jak jej to opisał mąż, tak wspaniałego widowiska, wiejskiego wesela, a tak by chciała tam być z nami. Tłumaczyliśmy się nieśmiałością wobec niej, że itd. Prof. Vetulani, to mój profesor z Wydziału Prawa UJ, to kurator PAML-u z ramienia senatu Uniwersytetu Jagiellońskiego, to serdeczny przyjaciel młodych i znów wyjątkowo nam bliski. Wojciech Marchwicki, starszy działacz ludowy, prezes Koła Ludowej Inteligencji w Krakowie, przyjaciel Witosa, powinien być zaproszony na ślub mój, długoletniego sekretarza tego Koła. Nie mogłem pominąć też adwokata Stanisława Grodzickiego, ludowca o połamanej dawniej linii politycznej, ale teraz był moim patronem, jako aplikanta adwokackiego. Jak było go pominąć? Resztę starszych, pod naciskiem teściów, z żalem musieliśmy z tej listy skreślić. Tak nam bliskich, jak choćby redaktor „Piasta” – Bielenin, literat Jan Wiktor, b. poseł Szczepański, b. poseł Franciszek Wójcik, mieszkający obok w Wyciążach i wielu, wielu innych. Przecież teściowie musieli prosić też swoje rodziny na wsi – jak pomieścić tylu gości w ciasnym i starym domu wiejskim?

Wytargowaliśmy też skromną listę kolegów akademików-wiciarzy, że są konieczni, choćby jako reprezentacja całej gromady bliskich nam przyjaciół. Stąd Józef Marcinkowski, jeden ze starszych członków i działaczy krakowskiego PAML-u, współzałożyciel i kierownik krakowskiego związku wiciowego, taką samą rolę pełnił Józef Dąbrowski, teraz już po doktoracie z chemii, asystent naukowy u prof. Marchlewskiego, stąd Jan Witaszek, mój kolega szkolny od pierwszej klasy gimnazjalnej w Tarnowie, zawsze pewny i wierny w pracy dla chłopskiej sprawy, Jan Kwiecień, też kolega szkolny nas obu, z Witaszkiem, o dobrym sercu i jasnej duszy, jeszcze jeden syn chłopski w naszej gromadzie. No i w końcu listy obroniliśmy autora notatki, Stanisława Matysika, oryginala i trochę dziwaka w naszym środowisku krakowskim, ale zawsze pełnego humoru, ofiarnego w pracy, o sile i budowie niedźwiedzia, a duszy niewinnego dziecka. Wysoko w organizacjach naszych nie zaszedł, ale zawsze i wszędzie był z dobrymi chęciami pracy. Miałby żal, gdybyśmy go nie zaprosili.

Ileż innych trzeba było z tej listy skreślić. Wobec ilu z nich, już po weselu, przy spotkaniach, trzeba było oczy spuszcząć, wyczuwało się bowiem jakieś zakłopotanie i to obopólne, że coś się zmieniło, jakby się zachmurzyło w jasnej dotąd przyjacielskiej atmosferze. Bo wieść poszła, że pominęliśmy tylu bliskich, wybierając tak małą ilość, dlaczego? Jakże było wyjaśnić wszystkim, że to warunki materialne teściów ograniczyły nasze plany, że sami jeszcze prawie byliśmy akademikami, bez grosza, jakże mogliśmy urządzić przyjęcie dla całej krakowskiej gromady przyjaciół? Z czasem codzienna praca, nowe wydarzenia, wygładziły te towarzyskie zadrażnienia w środowisku. W „Piśmie”. Bo nikt, w okresie dwudziestolecia niepodległej Polski, nie porwał się, z tak licznej przecież gromady młodych ludowców, na taką imprezę, by swe pochodzenie i związanie ze wsią potwierdzać nie tylko dorywczą pracą dla wsi, ale i przywiązaniem do tradycji, ale i do wiejskiej, chłopskiej kultury, do której przecież należał obrząd zaślubin, weselne przyjęcia.

No i trzeba wspomnieć, że pozostał nam tak cenny dla nas, młodych, nadesłany już po weselu, z dalekich Czech, list z życzeniami od Prezesa Witosa. Nigdy bym się nie ośmielił zapraszać Witosa na nasze wesele, gdyby był w kraju, zbyt duża dzieliła nas wtedy odległość, młodych na politycznym dorobku, a przywódcą nie tylko Stronnictwa Ludowego, ale warstwy chłopskiej w Polsce. Byliśmy jednak na tyle mu już znani z pracy i współpracy na wspólnym chłopskim zagonie, iż ośmieliłem się wysłać mu zawiadomienie o naszym postanowieniu pobrania się z równoczesnym przekonaniem, że liczymy na jego szybki powrót do kraju i że nadal będziemy obydwójce pracować z wiarą, że ten jego powrót przybliżymy wraz z całą chłopską gromadą.

W odpowiedzi otrzymaliśmy podziękowanie w liście.

Stanisław Mierzwa

Stanisław Mierzwa (1905-1985)

Adwokat, działacz niezależnego, patriotycznego nurtu Ruchu Ludowego. Urodził się 27 I 1905 w rodzinie chłopskiej, we wsi Biskupice Radłowskie (gmina Radłów) powiat brzeski. Wyższe studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego ukończył w 1934 uzyskując stopień magistra. Od 1929 bardzo aktywny działacz Polskiej Akademickiej Młodzieży Ludowej w Krakowie. W latach 1932-1934 wiceprezes Ogólnopolskiego Zarządu PAML. Wiele sił i energii poświęcił pracy społeczno politycznej w Związku Młodzieży Wiejskiej „Wici”, w którym to Związku w latach 1930-1935 pełnił wiele odpowiedzialnych – kierowniczych funkcji. Współpracował ze Stanisławem Miłkowskim przy opracowaniu programu agrarystycznego jako swoistej koncepcji programu działania dla społeczności wiejskiej. Szerząc patriotyczne idee agraryzmu, Stanisław Mierzwa był autorem wielu artykułów w prasie ludowej. W latach 1932-1935 współpracownik czasopism: „Znicza” i „Młodej Myśli Ludowej”. Od 1932 rozpoczął pracę polityczną w Stronnictwie Ludowym. Przez szereg lat pełnił w tym Stronnictwie wiele ważnych, kierowniczych funkcji. Od VI 1935 do III 1939 był sekretarzem Zarządu Okręgowego Stronnictwa Ludowego w Krakowie i rzeczywistym kierownikiem małopolskiej organizacji Stronnictwa Ludowego. Od V 1933 do IX 1939 członek Rady Naczelnej SL, od VIII 1935 do IX 1939 członek Naczelnego Komitetu Wykonawczego Stronnictwa Ludowego. Bliski współpracownik Wincentego Witosa, Macieja Rataja i Stanisława Mikołajczyka. W 1939 współorganizator, a od I 1940 członek konspiracyjnego Krakowskiego Komitetu Międzypartyjnego. W okresie XII 1939-III 1945 członek Okręgowego Kierownictwa Ruchu Ludowego na Małopolskę i Śląsk, równocześnie w latach 1942-1945 w Centralnym Kierownictwie Ruchu Ludowego. W latach 1944-1945 w Radzie Jedności Narodowej. W dniu 28 III 1945 podstępnie aresztowany przez NKWD w Pruszkowie pod Warszawą. W słynnym procesie szesnastu Przywódców Polskiego Państwa Podziemnego z gen. Leopoldem Okulickim na czele, Stanisław Mierzwa skazany został na 4 miesiące więzienia i do 30 VII 1945 był więziony na Łubiance. Po powrocie do Polski w sierpniu 1945, jako członek Prezydium Naczelnego Komitetu Wykonawczego PSL, włączył się niezwykle aktywnie w tworzenie struktur Stronnictwa. Od I 1946 w Radzie Naczelnej PSL, od VI 1946 drugi sekretarz generalny PSL. 17 IX 1946 aresztowany przez funkcjonariuszy UB i wyrokiem Wojskowego Sądu Rejonowego Krakowie z dnia 10 IX 1947 skazany na 10 lat więzienia. Karę odbywał m.in. w więzieniach: przy ul. Montellupich w Krakowie, we Wronkach, i w więzieniu mokotowskim w Warszawie. Zwolniony 08 VIII 1953 (zrehabilitowany wyrokiem Sądu Najwyższego z 28 VIII 1989). W 1956 ponownie wpisany na listę adwokatów. Dzięki Stanisławowi Mierzwie powstało, w zagrodzie Wincentego Witosa, Muzeum Przywódcy Chłopów Polskich a w 1973 Towarzystwo Przyjaciół Muzeum Wincentego Witosa, szerzące patriotyczne idee Ruchu Ludowego. Doradca NSZZ „Solidarność”. Postać zasłużona w dziejach Polski. Wielki Patriota. Zmarł 10 X 1985. Po manifestacyjnym pogrzebie pochowany w Wierchosławicach 19 X 1985, u boku Wincentego Witosa.



W środku delegacji z wieńcem stoi Stanisław Mierzwa, obok niego w krakowskich strojach chłopi z Pleszowa. Pogrzeb Jana Wiktora, pisarza i działacza ludowego. Szczawnica, luty 1967 r.

KOCMYRZÓW -LUBORZYCA





Nasi przodkowie – ich zwyczaje i obyczaje

Opracowanie Romana Domańskiego

Z opowiadań Józefa Kułagi – mieszkańca Woli Luborzyckiej ur. 1868 r. Sylwestra Tlustowskiego – lat 95, mieszkańca Goszczy i innych.

Lud tutejszy przywiązany jest do swej ziemi, wciąż marzy jakby powiększyć swoje zagony. Pracowity, oszczędny, trzeźwy, gościnny, lubi się pokazać. Jest nabożny, przestrzega postów, zachowuje zwyczaje i obyczaje. Pielgrzymuje corocznie do Częstochowy i Kalwarii, Mogiły. Nie żałuje grosza na potrzeby kościoła, tam też umacnia swoją moralność.

Poważny, stateczny, cierpliwy, zdolny, lubi się wyrażać jasno, lubi muzykę przy pracy i zabawie, lubi przyspiewki, kocha swój kraj i zawsze go broni przed wrogiem.

Wioski położone są blisko siebie; przy drogach, błoniach rośnie wiele wierzb. Chatynki strzechą kryte z małymi okienkami, a w nich kwitnące

czerwone krakowiaki. Dawniej obok chatki koniecznie musiał być ogródek, a w nim malwy, nagietki i zagonek na kapustę.

Przyjąć należy, że światopogląd, a zwłaszcza świadomość polityczno-społeczna tego ludu zaczęła się kształtować już w początkach XVI stulecia, tj. w dobie wprowadzenia przez Uniwersytet Jagielloński szkolnictwa parafialnego w Luborzycy. Szkolnictwo to, prowadzone i nadzorowane oraz opłacane ze środków Uczelni, kształciło wielu synów chłopskich, z których duża część pozostała na ojcowiznie, a inni zajmowali poważniejsze stanowiska w ówczesnym życiu społeczno-kulturalnym. Z biegiem czasu świadomość społeczna pogłębiła się, a w dobie powstania narodowych stała się czynnikiem mobilizującym chłopów do walki o wyzwolenie narodowe i społeczne.

Pamiętam chłopów bazarzy, gadułów, nowatorów. Marzyli oni o bogatej wsi, o zbudowaniu na miejscowych potokach elektrowni wiejskich, chcieli mieć drogi bite, myśleli jakby lepiej orać, siał i zbierać. Ciągnęła ich chęć do nauki, z zainteresowaniem patrzyli na świat. Po sto razy chcieli słuchać opowiadań żołnierzy, którzy odbywali służbę wojskową w Rosji, czy też na Kaukazie, albo brali udział w wojnie rosyjsko-japońskiej. Po pierwszej wojnie na wsi rozwinęło się bardzo czytelnictwo.

Rodzina

Małżeństwa kojarzyły się przeważnie z woli rodziców. Oni też decydowali o sprawach posagowych. Ślub kościelny wiązał nierozdzielnie młodych. Rozwody nie istniały. Kobieta płodna była otaczana szacunkiem. Przeważały rodziny wielodzietne, w których oprócz rodziców i wielu dzieci żyli pod jednym dachem dziadkowie i babcie. Miłość rodziców do dzieci i dzieci do rodziców była więzią łączącą rodzinę. Więź ta łączyła również krewnych i powinowatych i była powodem do dumy z przynależności do tej rodziny.

Ojciec był głową rodziny, on też troszczył się o środki, stąd też jego pozycja w rodzinie była większa niż matki. Życie intymne młodych par nie miało swobodnego ani samowolnego charakteru. Obowiązywał umiar i kultura współżycia w rodzinie. Stosunek do przodków był nacechowany szacunkiem, a pamięć o zmarłych była wiecznie ożywiana.

Urodziny

Dzieci rodziły się przeważnie w domach. Odbierały je „babki” tj. przyuczone kobiety wiejskie. Urodzone dzieci kępowano powijakami wzdłuż całego ciała tj. rączki, nóżki i korpus. Obawiano się „uchynięcia” – złamania albo zwichnięcia. Powijaki zdejmowano do kąpieli, którą robiono dwa razy w tygodniu. Kąpano dzieci w niekach, (drewniana wanienka). Chrzest odbywał się zazwyczaj na drugi dzień lub trzeci najdalej. Obawiano się, aby dziecko nie umarło bez chrztu. Z kościoła wracano do karczmy, gdzie hucznie oblewano narodziny. Matka wstawiała zaraz po położeniu. W dniu chrztu szła do kościoła na „wywód”, który odbywał się bardzo uroczystie. Dzieci rodziło się po kilkoro od 8-12, umierało co drugie. Przyczyną tak dużej śmiertelności był brak opieki lekarskiej i higieny. Dzieci żywiono pokarmem naturalnym matki do dwóch lat, albo i dłużej. Żywnienie naturalne uzupełniano ziemniakami i żurem, kaszą i mlekiem. Chore dzieci leczono odczynianiem, smarowaniem wódką, naftą, stawianiem baniek itd. Z usług lekarza nie korzystano. We wsiach nie było lekarzy, a o szpitalach

w Krakowie mało wiadano. Odstraszały ludzi także trudności przy przejściu granicznym w Kocmyrzowie. Stan ten zmienił się na korzyść dopiero po zniesieniu granicy rosyjsko-austriackiej w Kocmyrzowie. Znikają wtedy „babki”, „znachorzy”, zaczyna się wędrówka do szpitali w Krakowie. Obserwuje się zanikanie rodzin wielodzietnych, wkracza moda na jedno dziecko, dwoje, albo nawet bezdzietność.

Żywnienie

Starsi żywili się przeważnie ziemniakami, których zjadano około 1 kg. na głowę, jedzono je z żurem. Żur kiszono w garnkach glinianych, dodając wody, chleba, czosnku i mąki tartej na żarnach z owsa. W miejsce zabieranego żuru, dolewano wciąż wodę.

Spożywano wiele bobu (bobru), kaszy obrabianej. Jedzono najczęściej placki z mąki tartej na żarnach, (które znajdowały się prawie w każdym domu) pieczone na rozpalonych ceglach polepy, a później na blachach. W okresie żniw jedzono ser suchy gromadzony specjalnie na żniwa.

W święta jedzono więcej i lepiej. Przednówek był zawsze ciężki, suszono perz, tarto go na żarnach, pieczono placki. Na wiosnę dzieci wyruszały na pola i zbierały przemarznięte ziemniaki tzw. „bobaki”, które zarabiano z mąką na placki. Kawa i herbata były przysmakami na święta.

Jeszcze dziś widzę staruszkę, 80-letniego Kuliga – włosy siwe, opuszczone na kark, ubrany w „kiklę” – zgrzebną koszulę rozpiętą na piersiach, boso, – na polu mróz siwy, a on po omłocie cepami w stodole, siadał na progu sieni i zjadał suchy placek i popijał zimną wodą.

Po uwłaszczeniu (1864 rok) gotowano już na dynarkach tj. podstawach żelaznych dwóch prętów połączonych ze sobą, zakończonych czterema nóżkami. Dynarki ustawiano na polepie, na której był komin zasuwany „tablaturą”. Ognisko było rozpalone na polepie, w środek ognia stawiało się dynarek, odsuwano tablaturę i dym uchodził do komina.

W chatach kurnych gotowano na ogniskach palonych przeważnie w kątach izby. Dym uchodził pod strzechę, a stamtąd dymnikiem na pole. Na parę lat przed uwłaszczeniem, kiedy już zaczęto budować powały, dym uchodził drzwiami do połowy zaplecionymi słomą, a stamtąd dymnikiem na pole.

Zanikanie chat kurnych, polep i tablatur, a pojawienie się pieców z blachami przypada na lata 1864-1900, kiedy już zaczęto budować domy z kominami.

Jedzono łyżkami drewnianymi, cała rodzina z miski ustawionej na niskiej ławce. Naczynia zmywano w cebrzykach. Stan taki trwał do lat 30-tych tego stulecia (XX w.).

Z czasem zmienia się jakość i sposób żywienia. Podstawowym produktem żywienia staje się chleb, jeszcze długo pieczony w piecach chlebowych (6-7 bochenków na tydzień). Ziemniaki spożywano wciąż w dużej ilości, potem mąka, mleko, cukier, tłuszcz. W miejsce miski wchodzi w użycie talerze. Dzisiejsza kuchnia wiejska, nie różni się już wiele od miejskiej, tak w asortymentach produktów żywnościowych, w sposobie ich przyrządzania, jak i spożycia.

Warunki mieszkaniowe

Pradziadowie mieszkali w jamach mieszkalnych kopanych w ziemi, których liczne ślady odkryto na polach „Zachmielnicy” w Goszycach. Z jam mieszkalnych przechodzono do budowy chat, budowanych w kształcie prostokąta wspartego na 5-ciu słupach, z tym, że cztery stanowiły naroża, zaś piąty w środku podtrzymywał dach. W czasach późniejszych budowano domy z drewna, składanego na „węgiel”, jednak też lepione gliną i kryte słomą. Były to domki niskie, o małych okienkach, bez podłóg, na klepisku z gliny. Budynki inwentarskie były rzadkością. Krowy, konie, świnie trzymano w szerokich sieniach, a w zimie przy dużych mrozach wprowadzono je do domów. Rozwój budownictwa następuje w latach 40-tych XX w. Od tego czasu postęp w budownictwie uwidacznia się zarówno w architekturze, jak i w doborze materiałów budowlanych, w funkcjonalności.

Umeblowanie

Umeblowanie wsi, prymitywne, z biegiem lat zmienia swój wygląd na coraz lepszy, wygodniejszy i ładniejszy. Jeszcze 40 lat temu można było spotkać zwykłe zbijane prycze. Były jednak domy, które już od dawna były umeblowane w łóżka sosnowe, malowane, kupione na jarmarkach. Tak prycze, jak i łóżka były wyścielane słomą, nakrywane zgrzebną płachtą. Na pierzynie wypchanej gęsim pierzem, nakrywanej różnokolorowymi prześcieradłami, kapami układano stos ozdobnych poduszek, jaśków – małych poduszek. Robiono to dla parady, nie

sypiano na tych poduszkach. Najczęściej stanowiły one wiano panny młodej.

Nad łózkami stojącymi pod ścianami jedno przy drugim, wisiało obok siebie wiele obrazów świętych, w środku których na wybranym miejscu wisiał obraz – wiano młodej.

Obok łóżek stał malowany na zielono i czerwono zydeł, który służył z jednej strony jako zastawa, by poduszki nie leciały i nikt nie siadał na łóżku, a równocześnie była to ława do siadania. Pod oknami, zastawionymi krakowiakami stał stolik, najczęściej wiano młodej. W kącie izby stała skrzynia krakowska, również pomalowana na zielono z kwiatami czerwonymi, przechowywała w niej gospodyni swoją odzież. Na ścianach wieszano ubrania męskie. Robiono to na wbitych gwoździach, albo też na patyku umieszczonym do stragaża na dwu zwieszających kijach. Na środku izby stała kolebka – kołyska, na dwu biegunach, zbita z desek, służyła do kołysania dziecka. Umeblowanie kuchni było podobne jak izby drugiej, – tak nazywano pokój. Stały tam ławeczki do siedzenia, półszafek, w którym składano „statki” – garnki do gotowania i na mleko. W kącie półszafka stał żurowiec – garnek, w którym kiszono żur. W kuchni był też piec do pieczenia chleba, wystawała tu nalepa, na której stawiano dynarek do gotowania jedzenia. Izby miały klepiska z gliny, powały z wystającymi stragażami, na których w święto Matki Boskiej Gromniczej wypalano czarne krzyże.

W okresie zimy siekano buraki w izbie, rżnięto sieczkę w ręcznej skrzynce. Woda stała w dużym cebrzyku w kącie izby, albo sieni. Drewniane cebrzyki służyły do mycia, prania, płukania itd. Izby podmiatano brzozyowymi miotłami, robionymi we własnym zakresie. Izby bielono gliną i to przeważnie na święta wielkanocne. Po roku czternastym XX w. zaczęto używać wapna. Od tego czasu, stale zmienia się umeblowanie wsi. Znikają dawne półszafki, zydeł, kołyski, cebrzyki. Mieszkania stają się wygodne i nowoczesne.

Światło

Przodkowie nasi świecili smolnymi sosnowymi szczapami, które umieszczali na dynarku, albo innym niepalnym naczyniu. Krawcy, szewcy i inni rzemieślnicy świecili lojkowymi świeczkami. Przed I-szą wojną światową zaczęto używać nafty. Naftę wlewano do „kaganka” tj. małego naczynia i tam wkładano knot robiony ze sznurka lub materiału wełnianego. Z uwagi na kopeć – kaganek dymił – stawiano go na nalepie pod okapem komina, gdzie uchodził kopeć. Lamy naftowe weszły w użycie około lat 30-tych XX wieku. W okresie okupacji hitlerowskiej nowością były „karbidówki”. Nie przyjęły się na wsi, ze względu na rażące światło. Od roku 1946 zabłysło w okolicy światło elektryczne.

Ubiory

Nasze prababce kochały się w strojach. Każda miała „krakowską skrzynię”, a w niej pełno halek, bluzek, spodnic, chustek i przeróżnych chusteczek. Uczesane były „na ścieżkę”, (włosy ucięte przy czepinach nie były już zapuszczane). Na głowie czepiec, albo chusteczka kwiciasta. Na niedzielę była chusteczka biała wiązana na „gęś”.

Panny czesały się również na bok, splatały warkocze, oplatając je wokół głowy. W niedzielę przystrajały się kwiatami, wplatając je we włosy. Na szyję ubierały prawdziwe czerwone krakowskie korale, krakowskie różnokolorowe paciorki. Koszule do stanu były z białego płótna, od stanu w dół doszywane ze zgrzebnego płótna, na szyi zapięte na krakowską spinę, albo u biedniejszych na guziczek. W święta na koszulę ubierano haleczki z białego płótna, bogato fałdowane, związane w stanie na dwa troki.

Noszono wcięte bluzeczki zwane „kaftanikami”, długie szerokie i bogato fałdowane spodnice. U spodnicy zwisał na rzemykach „opasek”, albo „trzosek”, klucz od skrzyni i kozik.

Trzosek służył do chowania pieniędzy. Bywało i to często, że pieniądze chowano do „wacka”, tj. woreczka u góry ściągniętego sznurkiem, albo też zwijano w chusteczkę i chowano do „zanadrza”. Latem zarzucano na ramiona zdobne, krakowskie różnokolorowe chustki krakowskie, zimą grube chusty koronkowe. Na nogi ubierano buty podkute podkówkami, marszczone w gardle (środek cholewy). Bogatsze chłopki nosiły trzewiki. Obuwie ubierano jedynie do kościoła i na jarmark z tym, że zakładano je dopiero przed kościołem, czy też miało steczką. W zimie ubierano onucki i kładziono do butów „wiechetki” ze słomy. Buty czyszczono czernidłem, szwaksem, albo tłuszczem. Buty kupowano na jarmarkach, podarte latali wiejscy szewcy „łatacze”.

Dzieci, chłopców i dziewczęta ubierano w drugie koszule i sukienki zwane suby. Mężczyźni nosili długie włosy na kark spadające, uczesane na bok, natarte naftą, albo tłuszczem. Na głowie magierka, czapka z wełny, latem kapelusz słomkowy, a po powstaniu „krakuska”. Koszule z płótna zgrzebnego, w czasach późniejszych wyrabiane we wsi, zwane „kiklami”. Kołnierzyk związany tasiemką, albo u bogatszych zapięty na spinę krakowską.

całowali po rękach i mówili: kazali Was Mama i Tata prosić, abyście przyszli na wesele. Młodzi otrzymywali przy tym datki pieniężne, a przed weselem rodzicom zanoszono mleko, ser, jaja, masło itd.

W przeddzień ślubu, odbywała się u młodej „pustocha” albo dobranoc. Pod wieczór tego dnia przychodziła młodzież, wiała z choiny koronę, przystrajała ją gęsto kwiatami z bibuły i przybijała na drzewach wejściowych. Na ten czas przychodziła też muzyka, skrzypce, klarnet, basy, bęben i długo w noc przygrywała młodym do tańca. Zabawą tą, żegnano stan paniński młodej.

Nazajutrz goście schodzili się do młodego. Tam byli witani przez muzykę krakowiakiem, a przez gospodarza wódką i zapraszani do domu. Częstowano gości chlebem nakrojonym na przetaku, serem, kawą, wódką itd.

Po poczęstunku, który zazwyczaj trwał krótko, młody klękał przed obrazami, rodzice błogosławili, muzyka grała „Serdeczna Matko”. – Goście, młody i drużba wyprawieni „krakowiakiem” ruszali do młodej, goście na wózkach krakowskich, młody i drużba po krakowsku w sukmanie na koniach.

Po przyjeździe do młodej, nie wchodziło do domu, aż młoda nie zaprosiła młodego, a rodzice młodej gości młodego. Po zaproszeniu młody i drużbowie, drużba starszy i młodszy, wjeżdżali na koniach do domu i tam na koniach tańczyli przed muzyką, śpiewając piosenki na nutę krakowiaka, jak np.

Wędruje, wędruje gwiazdeczka po niebie
I ja tak wędrowałam Kasieniu do Ciebie.

A moja Kasieniu porachujno sobie,
Ile ja narobiłam ścieżynek do Ciebie.

Dwadzieścia i cztery, wszystkie były krzywe
I tylko jedna prosta bo cię na niej dostałam.

Dobra gorzałeczka, dobra przepalana,
Jeszcze mi jest lepsza Kasienia kochana.

Śpiewałbym ci ja, śpiewałbym pioseneczki,
Żeby mi się dali napić gorzałeczki.

Młoda zaczęła się ubierać dopiero po przyjeździe młodego (obawa, a nużby nie przyjechał). Przy jej ubieraniu pomagały družki, i mężatki śpiewające przy tym:

Pożegnaj mamusię prawą rączką na krzyż,
Bo ona odchodzi i żegna się z tobą.

Pożegnaj tatusiu i pokrop wodą,
Bo ona odchodzi i żegna się z tobą.

Pożegnaj się Kasiu, pożegnaj z nami,
Bo żeś już ostatni raz pomiędzy nami

Bo już się wpisujesz do grona mężatek,
A opuszczasz sobie ten dziewiczy kwiatek.

Młoda klęka, rodzice błogosławia, smutna chwila, młoda płacze, płaczą jej rodzice, młoda całuje ich po rękach, żegna się z bliskimi, wsiada na wózek krakowski, wokół młody z drużbami na koniach, muzyka krakowiakiem wyprowadza, ruszają do kościoła.

Po drodze pełno śpiewu. Może się zdarzyć, że w tej wsi, albo w sąsiedniej zastawia młodzi chłopcy „szlaban”, trzeba okupić wódką, robi to starszy drużba. Po ślubie, przed kościołem składanie życzeń i obsypywanie młodej „osutkami”. Były to gałki małe ciasta, mocno przyprawione pieprzem, miały one symbolizować chleb, którego oby młodzi mieli jak najwięcej. Zwyczaj ten przetrwał długo.

Ze ślubu jechano do karczmy i tam bawiono się do przedwieczora.

Stamtąd wracano do domu młodej, gdzie dalej się bawiono. U młodej podawano obiad. Jadło kilka osób z jednej miski. Chleb pokrojony w kromki leżał na przetaku, podawano kapustę z grochem, mięso pokrojone w drobne kostki, przepijano gęsto wódką, w cebrzyku, skąd ją popijano jak wodę. Po obiedzie zaczynały się tańce i przyśpiewki przed muzyką.

Śpiewali drużbowie:

Wesele, wesele, a ludzi niewiele,
Sama rodzineczka, sami przyjaciele.

Jużem się ożenił, jużem się przeżegnał,
Jużem wszystkie panny od siebie odegnał.

Ty moja Kasieńko policz dziury w dachu,
Ile będziesz miała po weselu strachu.

Chodziłem do panny dwa lata i zimę,
Nic jej nie szkodziło, jadła słoninę.

Kare konie, kare nie dadzą się łapać,
Będziesz ty dziewczyno na chłopczyka płakać.

Nie smuć się Kasieniu bo ja się nie smucę,
Wokoło świat objadę, do Ciebie się wrócę.

Jak naszej Kasieńce wianek odbierali,
Świece zapalali, Venicreator grali.

Leci sobie ptaszek, niesie trawę w dziobie,
Cóż komu do tego, że ja panny lubię.

Kare konie, kare, uzdeczki jedwabne,
Wszystkie panny i mężatki do siebie podobne.

Poznać ci to poznać chłopaka wolana,
Ma czarny kapelusz i białą sukmanę.

Wyciągnęła rączkę, ksiądz jej wdział obrączkę,
Zalała się łzami, przed jego oczami.

Druhenki, druhenki, w kółeczku, w kółeczku,
Póki nasza Kasia w rucianym wianeczku.

Starsza drużba:

Uciekaj, uciekaj, bo klepią, bo klepią,
Powiedziały baby, że Ciebie zaszczepią
Ja bym ci radziła, żebyś się gdzie skryła,
To byś jeszcze dłużej w wianeczku chodziła.

Mężatki śpiewają:

Hejże drużny świńską drogą,
gdzieście podziały pannę młodą.

Drużny odśpiewują:

Jak my świńską, wy baranią,
będziecie chodzili za nią.

Drużbowie starają się zabrać młodą, przekonują mężatki wódką, starają się ukryć młodą, chowają się družki, drużbowie szukają, a mężatki śpiewają:

Nie damy, nie damy Kasieńki milutkiej,
Póki nam nie dacie wódki czerwieniutkiej.

Drużbowie dają wódkę, sprowadzają odszukane družki, a mężatki nadal śpiewają:

Gdzie ten starszy drużba młodzieniec,
Niech nam robi do komory gościniec.

Starszy drużba ściele słomą drogę do komory, robiąc to z humorem i śpiewa przy tym:

Wokoło świat objadę, wokoło wszystkie strony,
Do Ciebie się wrócę jako do swej żony.

A moja dziewczyno już po twojej sprawie,
Utopiłaś wianek w luborzyckim stawie.

Utopiła wianek, dostać go nikt nie może,
Dwa serca złączone, klucz rzucony w morze.

Śpiewają drużki:

*W moim ogródeczku kwitnie róża polna,
Szliby chłopcy do mnie ale im nie wolno.*

*W moim ogródeczku kwitnie pietruszczka,
Wara chłopcy wara od mego łóżeczka.*

Około północy zaczynały się czepiny. Młoda tańczyła z drużkami. Drużki śpiewały przed muzyką, a młoda rzucała w górę chusteczkę, drużbowie łapali, drużki śpiewały:

*Zieleni się trawka w cieniu na cmentarzu,
Wzięła Kasia już ślub przy wielkim ołtarzu.*

*Gdzie ta starsza drużna, druhenka,
Niech nam robi do komory ścieżynkę.*

Starsza drużka podmiata słomę na ścieżynkę, po długich targach wprowadza młody młoda do komory ową ścieżynką i tam w obecności gości weselnych następują targi: młoda broni się przed obcięciem włosów, drużbowie biorą miarę jak wysoko podciąć włosy, mężatki wołają wódki, pełno krzyku, zabawy, aż wreszcie z trudem młody sadza młoda na stołku, nożycami obcina jej włosy po szyję i nadziewa jej czepiec.

Kobiety śpiewają:

*A nasza Kasieniu przejrzyj się w makówce
Jak ci się zmienił wianuszek na główce.*

Zabawa pełna wesołości, krzyku i beztroskiej radości trwa długo w noc.

Na początku dziewiętnastego wieku, swatów zastępują starostowie, małżeństwa zaczynają się kojarzyć z woli młodych, młodzi jadą razem na ślub, młoda bierze ślub w welonie, śpiewy ze ślubu i na ślub zanikają, zanikają również czepiny.

Polska pieśń jednoczyła nas i umacniała w czasach germanizacji i rusyfikacji. Ona głęboko zapadła w serca naszego społeczeństwa w czasach zaborów, pierwszej wojny światowej w szeregach legionów, w czasie II wojny światowej w ruchu oporu.

Nie brak było i dziś również jeszcze istnieje zwyczaj na weselnych uroczystościach piosenek i przyśpiewek zmyślanych i przez ludowych twórców i granych przez kapele, a sławiących kulturę regionu etnograficznego.

Pieśń polska odgrywa więc ważną rolę w kształtowaniu osobowości człowieka, jest wielkim dobrem kulturalnym ludzkości.

Zajęcia wsi

Życie na wsi od wieków było trudne. Orze się już plugiem o żelaznej odkładnicy, broni bronią o żelaznych bronniakach, w uprawie pojawia się już koń. Zaczyna być w użyciu kosa, zamiast dotychczasowego sierpa. Dawniejszy sposób gniecenia zboża wołami, czy krowami zastępują cepy. Buduje się małe stodoły z boiskami, na których odbywają się omloty. Sieczka, zamiast nacinania siekierką, jest cięta w małej skrzynce za pomocą jednoramienną kosi. Żarna, a w nich tarcie, mielenie zboża na chleb, będą tu długo jeszcze niezastąpione, zwłaszcza w okresie okupacji hitlerowskiej wróciły do dawnej przydatności. Palenie węglem wchodzi w modę od roku 1900. Pojawiają się u bogatszych studnie z żurawiem. Wieś zaopatruje się w wodę, wożąc ją w beczułkach. Zajęcie wsi i zmiana sprzętu domowego zmienia się po roku czternastym.

Ostatnia wojna rodzi nowe podłoże ekonomiczne dla wsi. Pojawiają się możliwości lepszego zarobku poza wsią. Młodzież nie wiązana kulturą rolną, ani dobrobytem wsi ucieka masowo za zarobkiem do miasta. Wieś zaczyna wchodzić w nowy etap przemian społecznych. Następuje stały ubytek rąk do pracy na wsi. Działania ekonomiczne zmuszają wieś do stosowania nowych metod w uprawie i hodowli.

Uprawia się tu masowo oprócz czterech zbóż, tytoń, truskawkę, jarzyny, nasiona traw, buraków, rzepaku itd. Sąsiedztwo Nowej Huty, będzie wymagało przestawienia się z gospodarki zbożowej na jarzynowo-owocową. Stan ten zrodzi nowe formy zajęcia tutejszej wsi.

Karczmy i chłopi

Życie dawnej wsi było związane ściśle z karczmą. Tam urządzano zabawy, chrzciny, wesela, stypy pogrzebowe. Do karczmy wstępowało przy lada okazji. Tam się kłócono, bito, wańciono, godzono, tam myślano, dumano, tam robaka żalu zalewano, albo radość witano. Żyd karczmarz dawał wódkę za pieniądze, borgował, pożyczal, kupował, sprzedawał, pośredniczył we wszystkich transakcjach, wyjednywał łaskę dworu, wstawiał się o przebaczenie, radził, waśnił, kłócił, godził, a zawsze w trosce o interes, dla interesu. Ukryta chytrość, przebiegłość, a nade wszystko maskowana pokora i uległość zasłaniała w oczach chłopów prawdziwe zamiary karczmarza. On też karbował tylko drewno i doliczał, każdy dług chłopski, a ekonom potraçał z zarobków chłopskich.

Chłopi pili, wierzyli w Żyda i ekonoma. Pito też w karczmach dworskich, pito w karczmach kościelnych. Chłopów, którzy pili w karczmach dworskich gromiła plebania, ci, którzy pili w kościelnych, mieli kłopoty z ekonomem.

Według informacji Długosza, w roku 1480 było na terenie 12 wsi aż 20 karczm, w tym 4 biskupie, 6 klasztor-nych, 7 kościelnych i 3 dworskie. Wszystkie były w arendzie Żydów. W roku 1827 było już tylko 11, w tym 4 klasztorne, 3 kościelne i 4 dworskie. Pozostawały również w dzierżawie Żydów. W okresie powłaszczeniowym, poprzez granicę rosyjsko-austriacką na odcinku Zielona – Kocmyrzów, przeważnie nocami przenoszono – mó-wiło się: szwarcowano – wiele wódki. Zawodowi szwarcownicy nosili wódkę, spirytus z Galicji w świńskich pęcherzach, myląc czujność żandarmów rosyjskich. Każda przeniesiona ilość wódki miała nabywców. Po roku czternastym staje się bardzo modne „pędzenie bimbru” z żyta, albo ziemniaków. Na krótko przed drugą wojną światową zanikają bimbrownie. Okres okupacyjny to nowa era bimbrowni. Stąd też specjalne oddziały ruchu oporu musiały pilnie penetrować i likwidować potajemne gorzelnie, zwłaszcza, że i okupant prowadził specjalną akcję rozpijania społeczeństwa. W takich to sytuacjach najczęściej powstawały wsypy, donosy i zdrady.

Żniwowe dożynki

Po żniwach polnych nasi praojcowie dostrzegali potrzebę „żniw duchowych” i wyrażali je w postaci „doży-nek”. Uwite wieńce z kłosów zbóż oraz wiązanki z kwiatów i ziół nieśli przed ołtarze, by Bogu Najwyższemu złożyć największe dzięki za dobre plony.

Uroczystości te obchodzili w święto Wniebowzięcia Matki Bożej. Kwiaty i zioła były niejako przedłużeniem majenia Grobu Matki Bożej, której grób po Jej Wniebowzięciu tonął w kwiatach.

Poświęcone wieńce z kłosów zboża składano dziedzicowi w oprawie muzyki i przyśpiewek. Uroczystości kończyły się poczęstunkiem i tańcami.

Idzie chmura idzie, stanęła za lasem,

Wychodźże jaśnie panie bo idziemy z wiankiem.

Wychodźże pokojówko, rozciągnij dywany,

Bo my tu niesiemy wianek poświęcany.

Goniłeś nas, panie, po polu po polu,

Wynieśże nam teraz gorzałki z pokoju.

Goniłeś nas panie od końca do końca,

Nawet nam nie dałeś podłogi do tańca.

Czerwona czapeczka pawie piórka za nią,

Kochaj mnie dziewczyno, będziesz sobie panią.

Oj nie chcę ja, nie chcę dziś być wielką panią,

Ja pracuję na wsi, wieś mi jest kochaną.

Płynie woda płynie, po kamieniach brzęczy,

Powiedz mi dziewczyno ile masz tysięcy.

Tymi się nie pytaj, ile będę miała,

Tylko ty się pytaj, czy cię będę chciała.

Musiałoby nie być na przykopie chrustu,

Bym sobie nie wybrał dziewczyny do gustu.

Musiałoby nie być na niebie miesiąca,

Bym sobie nie wybrała chłopaka z tysiąca.

Święto plonów – „Żniwowe dożynki”, jakże głęboko zapadły w serca naszych praojców i ojców. Żegnając się Krzyżem Świętym, klękali na ziemię i całowali jej łono, a po tym pługiem krajali ją w czarne skiby, broną równali zasiewając złote ziarnka z płachty jak kiedyś Boryna szeptali słowa modlitwy: Boże daj, by każde ziarnko z Twojej szczodroblewości X razy podwoiło się na nowy zaczyn chleba.

A kiedy już złote kłosy chyliły się ciężarem ziarenek ku ziemi, modlitwą, sierpem i pieśnią chyląc się ku kłosom zbierali je sierpem w garści, potem w snopy i co piękniejsze w wieńce żniwne, ubierali kwiatami polnymi i niesli na wzgórek do prastarej Świątyni. Korząc się korną modlitwą u stóp Jezusa Ukrzyżowanego i Matuchny Śnieżnej i Różańcowej dziękowali za hojne dary szeptając: Boże ty dałeś nam urodzaj złoty, weź nasze serca przepelnione uwielbieniem Twojej łaski, błogosław by nasza polska ziemia zawsze Tobie oddana i błogosławiona była i te doliny i wzgórki, z błękitem nieba nad nami, kiedy ją złote słońce ogrzewa, rano i w południe, kiedy dzwonią na Anioł Pański i w zmierzchu kończący dzień. To praojców błagania, a dziś mówiąc słowami homilii ks. biskupa Józefa Zawitkowskiego nie widać, by ktoś przed zasiewem klękał, ziemię całował, ani sierpem i pieśnią żniwował. Dziś „bizony” zgrzytem napełniają pola, koszą, młócą, ziarnka do worów sypią, a pseudo żniwiarze, ważą, zapominając, że cud rozmnożenia chleba z Bożej łaski mają.

Roman Domański



Rodzina Adamczyków, Luborzyca, 1935 r.



Katarzyna i Józef Wójcikowie z Luborzycy, ok. 1915 r.



Władysława i Bolesław Bartoszek z córką, 1934 r.



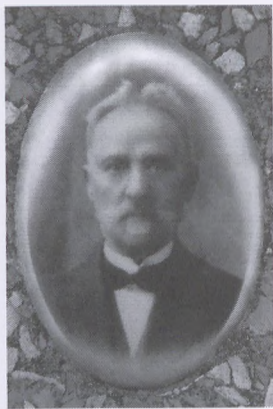
Maria Duk z synem Wawrzyńcem, synową Katarzyną i wnukiem Stasiem, 1936 r.



Franciszek i Zofia Sendkowie z córką Basią, 1945 r.



Ks. Antoni Wojciechowski
(1855-1931). Kanonik kielecki,
proboszcz parafii Luborzyca



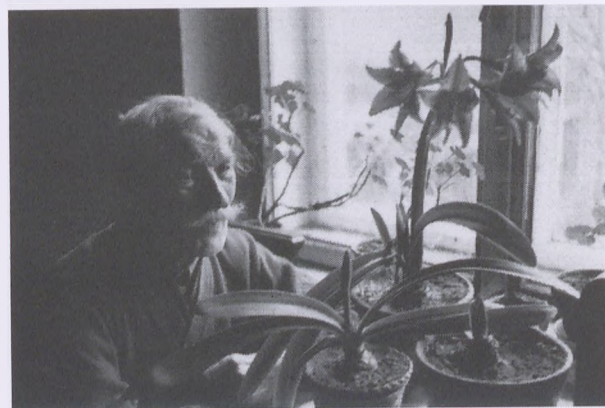
Jan Indelak (1852-1931),
organista



Stanisław Pawłowski,
grabarz, lata 40. XX w.



Ks. Wincenty Piątkiewicz
(1874-1965), proboszcz parafii
Luborzyca w latach 1937-1958



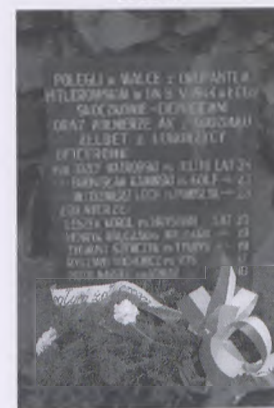
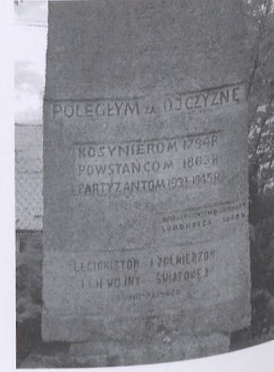
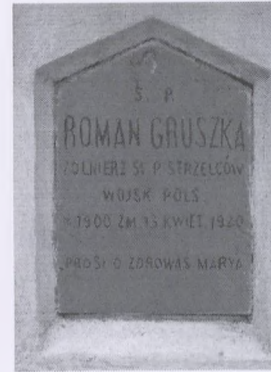
Walenty Łabędź (1873-1958)



Pogrzeb w Luborzycy, lata 50. XX w.



Józef Wójcik z Luborzycy,
1933 r.



Tablice nagrobne na cmentarzu w Luborzycy, 2008 r., fot. Adam Gryczyński



Dzieci z nauczycielką ze szkoły w Luborzycy, 1945 r.



Ludwikówna, 1949 r.



Przed chałupą Machników,
lata 40. XX w.



Jan i Helena Pawłowsky z dziećmi:
Emilką i Jasiem



Walenty Łabędź i dwie dziewczynki,
ok. 1957 r., fot. Zdzisław Łabędź



Pan Rażny z żoną, żniwa w Luborzycy,
1955 r.



Dzieci ze szkoły w Luborzycy, 1945 r.



Uroczystości religijne w Luborzycy, lata 50, fot. Zdzisław Łabędź



Prace polowe i dom w Luborzycy, lata 50., fot. Zdzisław Łabędź



Dożynki i parada banderii krakusów z Kocmyrzowa i Luborzycy, które zorganizował Roman Domański. Pierwszy z lewej na koniu jedzie pan Nogiec z Kocmyrzowa, Kraków, lata 60. XX w.



Biskup Karol Wojtyła podczas bierzmowania młodzieży w Luborzycy, 1963 r., fot. Zdzisław Łabędź



Śmierć alianckich lotników

Po północy z dnia 17 na 18 sierpnia 1944 r., zbudzeni warkotem samolotu i seriami z broni maszynowej, zobaczyliśmy nad polami przysiółka Rosji ognistą smugę płonącego samolotu i usłyszeliśmy jego potężny wybuch.

Bezpośrednio po eksplozji i upadku palącego się samolotu – żołnierze BCh wymontowali i zabrali dwa pokładowe karabiny maszynowe z taśmami amunicji z oderwanego i odrzuconego skrzydła samolotu, przy którym również zostały odrzucone zwłoki lotnika. Wymontowania karabinów dokonali żołnierze plutonu „Ząbczynskiego”: Antoni Koster ps. „Klin” i Stanisław Koster ps. „Zając”.

Rano przyjechali Niemcy, porobili zdjęcia dopalających szczątków maszyny i polecili zwęglone zwłoki zapakować na sąsiednim polu.

Tego samego dnia miejscowa ludność przewiozła szczątki bohaterskich lotników na cmentarz luborzycki i chrześcijańskim pogrzebem umieścili je we wspólnej mogile. Do tej smutnej uroczystości dołączył pod koniec oddział partyzancki „Sikory” Romana Kułagi, który salwą honorową uczcił pamięć bohaterów. W zestrzelonym samolocie zginęli:

kapitan pilot L.C. Allen – lat 27 z SAAF,
lieutn. pilot A.J. Muaro – lat 20 z SAAF,
lieutn. obserw. W. Klekow – lat 27 z SAAF,
lieutn. obserw. EBM. Imprey – lat 25 z SAAF,
WOI-WOP D. B. Brandsma – lat 24 z SAAF,
WOI-WOP D. J. Palmer – lat 23 z SAAF,
W/O-A/G E. Brandshaw – lat 24 z RAAF,
SGT A/G LR. W. Nickerson – lat 22 z RAAF.

W tym tragicznym dniu z drugiego samolotu strąconego nad Krakowem wyskoczył na spadochronie lotnik Allan Hemet. Zniesiony aż nad pola Kocmyrzowskie został doprowadzony do Stefana Kozubskiego, który zaprowadził go do dworku goszyckiego. Po rozmowie w języku angielskim z członkiem rodziny Kernów, Jerzym Turowiczem, byłym naczelnym redaktorem Tygodnika Powszechnego, lotnik Allan Hemet zostaje otoczony opieką, udzielono mu pomocy lekarskiej zranionej dłoni i biodra, w którym tkwił odłamek. Tam też znalazł chwilowe schronienie.

Z uwagi na to, że Niemcy wiedzieli, że jeden z lotników się uratował i poszukiwali miejsca jego schronienia, należało natychmiast przenieść go z Goszyc w bardziej bezpieczne miejsce. Stąd też przeniesiono go do Zielenic do domu Janików, gdzie przebywał Komendant Inspektoratu „Chata” ppor./pułk. mgr Walenty Adamczyk. Po kilku dniach pobytu w Zielenicach, kiedy stan zdrowia poprawił się, przeniesiono rannego na kolejną kryjówkę do majątku Wielowiejskich w Świącicach koło Słaboszowa.

Po zdekonspirowaniu kryjówki, przeniesiono Hemeta na nowe „locum” do pani Stefanii Krzyżanowskiej w Cudzynowicach koło Kazimierzy Wielkiej. W styczniu 1945 roku został Hemet przejęty przez oddziały Armii Czerwonej i przekazany alianckiej misji wojskowej. Tragiczną śmierć bohaterskich lotników, niosących pomoc walczącej Stolicy, upamiętnia obelisk wzniesiony przez członków Koła Kombatantów Luborzyca w 40 rocznicę Powstania Warszawskiego.

W obelisku tym wmurowano oryginalne śmigło „Liberatora” i Krzyż z Ukrzyżowanym Chrystusem.

W cokole obelisku na granitowej płycie wyryto nazwiska poległych lotników, którzy zginęli w lotach bojowych nad Polską. Do upamiętnienia miejsca i tragicznej śmierci lotników przyczynił się szczególnie członek Koła Kombatantów, Wacław Maj ps. „Grudzień”, który zaprojektował i zrealizował ten pomnik.

Szcątki spalonych lotników nad Luborzycą 17/18 sierpnia 1944 r. zostały w roku 1945 ekshumowane i przeniesione na cmentarz Rakowicki w Krakowie.

Roman Domański

Zamieszczone tu rozdziały: „Nasi przodkowie – ich zwyczaje i obyczaje” oraz „Śmierć alianckich lotników” ukazały się pierwotnie w książce Romana Domańskiego „Zarys Dziejów Ziemi Luborzyckiej”, wydanej staraniem Gminnego Ośrodka Kultury Kocmyrzów – Luborzyca w 2002 r. (Wydanie II poprawione).



Pomnik Lotników Brytyjskiej Wspólnoty Narodów, którzy po rzuceniu pomocy walczącej stolicy zginęli nad Luborzycą 17-18 sierpnia 1944 r.

Ostatnie pożegnanie

Dnia 4 listopada 2000 roku pożegnaliśmy działacza i krzewiciela tradycji i kultury ziemi luborzyckiej – Romana Domańskiego. Nabożeństwo żałobne koncelebrowali księża tutejszej parafii oraz księża – przyjaciele zmarłego. Homilię wygłosił ks. Domański, po czym nastąpiło odprowadzenie zmarłego na miejsce wiecznego spoczynku w Alei Partyzanckiej na cmentarzu w Luborzycy.

W uroczystościach żałobnych uczestniczyli: przedstawiciele władz samorządowych, kombatancki, przyjaciele i koledzy, którzy wraz z nim tworzyli historię ziemi luborzyckiej oraz mieszkańcy.

Nad grobem zmarłego w krótkich mowach pożegnalnych cześć i hołd, człowiekowi, który już od najmłodszych lat brał czynny udział najpierw w wyzwoleniu Polski spod jarzma okupanta, a następnie wzbogacał tradycję i historię regionu, z którego pochodził m.in. Roman Walczak i Włodzimierz Okrajek.

Roman Domański (ps. Don) był żołnierzem Batalionów Chłopskich obwodu miechowskiego VI Okręgu BCH na Małopolskę i Śląsk, w 1943 r. objął przewodnictwo „Trójkę” – organizacji, której głównym celem było zabezpieczenie ładu, porządku i mienia publicznego, był także członkiem redakcji czasopisma „Chłopi Walczą” ukazującego się od 1944 roku.

Weteran walki o wolność i niepodległość Polski wymieniany przez Franciszka Kozę (ps. Karp) wśród 16 najbardziej ofiarnych i odważnych żołnierzy walczących na tych terenach.

Nagrodzony przez Radę Państwa i Prezydenta RP m.in. Krzyżem Orderu Odrodzenia Polski, Złotym Krzyżem Zasługi z Mieczami, Krzyżem Walecznych, Krzyżem Batalionów Chłopskich.

Po wojnie czynny działacz i honorowy prezes Związku Kombatanów RP i Byłych Więźniów Politycznych, Koła Gminnego w Kocmyrzowie – Luborzycy, wieloletni przewodniczący Komisji Historii i Tradycji Kombatanckich.

W 1994 roku Gminny Ośrodek Kultury wydał książkę autorstwa Pana Romana Domańskiego p.t. „Zarys dziejów ziemi luborzyckiej”.

Rozważania dotyczące osoby Romana Domańskiego pragniemy zakończyć wierszem autorstwa Józefa Kalemby, w którym wyrażony jest hołd dla jego pracy i działalności na rzecz gminy Kocmyrzów – Luborzyca.

mgr Beata Walczak

(...)

*Zachwycaly Cię nasze stroje krakowskie,
Ludowe zespoły, kaplica, orkiestra dęta,
Nasza rodzima kultura – folklor,
Ukazany w gminne i parafialne święta.*

*Podtrzymujemy tę tradycję nadal
Przy naszej kocmyrzowskiej gminie,
A dziś w ludowych strojach,
Stoimy przy Twej mogile...*

*I... łzy się cisną do oczu
Choć strój tak kolorowy
W hołdzie przed Twą mogiłą
Nisko chylimy głowy...*

*Chociaż odchodzisz od nas Romanie
Pamięć o Tobie zostanie wszędzie
Żegnamy Cię wszyscy: krakowiaci i krakowianki
Niech Ci ziemia lekką będzie!*

Luborzyca, 4 listopada 2000 r.

Józefa Kalemby

*Wspomnienie o Romanie Domańskim ukazało się pierwotnie
w „Gazecie Lokalnej”, Listopad-Grudzień 2000*

„Kosynierzy” z Luborzycy

Pierwsza wojna światowa przerwała działalność „Kapeli luborzyckiej”, ale okres międzywojenny znów przynosi jej ożywienie, a to w dużej mierze zasługa ówczesnego kapelmistrza i dyrygenta Błażeja Biernackiego z Wilkowa, który zapewnił orkiestrze fachową pomoc i zadbał o ciekawy repertuar. Wówczas – śmiało to można stwierdzić – orkiestra luborzycka była jedną z najlepszych wśród ościennych powiatów krakowskiego i miechowskiego. Do tamtych osiągnięć przyczynił się też Franciszek Kozłowski z Luborzycy.

Po przerwie okupacyjnej, kiedy to instrumenty trzeba było pochować na strychach, znów wznowiona zostaje działalność orkiestry. W jej ożywieniu duże zasługi miał, wspomniany już Franciszek Kozłowski. Warto również wymienić innych, którzy w trudnych powojennych czasach nie zapominali o muzyce. Byli wśród nich m. in.: Jan Żywot, Wawrzyniec Bartoszek przez długie lata pełniący funkcję dyrygenta orkiestry, Jakub Natkaniec, Jan Łyko, Wawrzyniec Marzec, Andrzej Dej, Andrzej Paletko czy Franciszek Bubak.

Pośród wielu, którzy ze względu na podeszły wiek opuścili szeregi muzyków to: Franciszek Doniec, Antoni Maniecki, Mieczysław Kaczmarczyk, Józef Dej, Jan Augustynek, Jan Boruchowski, Wawrzyniec Białko, Józef Kozik, Piotr Kaczmarczak i Władysław Nosalski.

Dzisiaj w luborzyckiej Orkiestrze gra często ojciec i syn bo tradycja tutaj nie ginie. Prezesem jest Antoni Walczak, a grają m. in.: Tadeusz i Bogusław Dońcowie, Jan Kułaga, Stanisław Augustynek, Piotr Kaczmarczyk, Jan Doniec, Stanisław Wcisło, Zenon Łach, Mieczysław Kozik, Marian Droźniak, Julian Kaczmarczyk, Witold Staszkievicz, Jan Nowak, Stanisław Blitek, Eugeniusz Nowak, Zbigniew Trontnowiecki, Stanisław Kasza, Bogusław Garmulewicz, Kazimierz Morański, Leszek Wcisło, Jan Bubak, Roman Gurbiel, Stefan Czekaj i Stanisław Wójcik. Kapelmistrzem jest Czesław Chećko. Ma Orkiestra dęta „Kosynierzy” w Luborzycy dużo szczęścia bo od lat zyskała sobie swego wiernego kronikarza, który „dogrzebał się” do jej początków i opisuje jej obecne sukcesy. Jest nim pan Roman Domański.

W 1957 roku w Luborzycy było wielkie święto muzyczne. Hucznie obchodzono bowiem 70-lecie powstania „Kosynierów”. Wtedy to koncertowało na tym jubileuszu 10 orkiestr i od tego właśnie rozpoczął się też Festiwal Orkiestr Dętych w naszym województwie, którego tradycja kontynuowana jest do dzisiaj. „Kosynierzy” grali podczas uroczystego ujawnienia się żołnierzy Batalionów Chłopskich w Miechowie, gdzie odbyła się równocześnie uroczystość wręczenia sztandaru Pułkowi Piechoty im. Bartosza Głowackiego. Dwukrotnie koncertowała luborzycka orkiestra w czasie wystawiania żywej „Panoramy Racławickiej” w Luborzycy i Proszowicach, a dochód z tej imprezy przeznaczono na elektryfikację trzech okolicznych wsi. Miała też swój udział w odprowadzeniu zwłok Wincentego Witosa do Wierchosławic. Co roku też „Kosynierzy” grają podczas uroczystości 1-Majowych w Krakowie.

Żadne ważniejsze osiągnięcie we wsi, czy to oddanie nowej szkoły im. 600-lecia Uniwersytetu Jagiellońskiego, czy zakończenie budowy drogi z Luborzycy do Racławic, nazwanej przez chłopów

„Szlakiem Kościuszkowskim”, nie może odbyć się bez udziału orkiestry dętej, bo muzyka, którą niosą „Kosynierzy” pomaga radośniej żyć.

Adam Ziemianin

Artykuł ukazał się pierwotnie w „Gazecie Lokalnej”, Listopad-Grudzień 2000



Orkiestra „Kosynierzy”,
Luborzyca, lata 60. XX w.



„Kosynierzy” w Częstochowie,
lata 60. XX w.



„Kosynierzy” wraz z rodzinami
na pielgrzymce w Częstochowie,
lata 60. XX w.

Czasy dzieciństwa, czasy młodości...

Z kocmyrzowskich wspomnień
Anny z Czajków Adamskiej

Dom rodzinny – losy rodzeństwa Anny

Anna Adamska większą część swego dorosłego życia spędziła w Łuczanowicach, od 63 lat mieszka w domu rodzinnym swego męża Franciszka Adamskiego, ale jej najwcześniejsze wspomnienia z dzieciństwa i młodości związane są z jej rodzinną wsią Kocmyrzów. Była najmłodszym dzieckiem Jana Czajki i Katarzyny z Gawlików.

Anna miała jedenaścioro rodzeństwa. Dwoje z nich, Antoni i Jakub – to przyrodni bracia, którzy pochodzili z pierwszego małżeństwa ojca. Po śmierci pierwszej żony ojciec Anny ożenił się z Katarzyną Gawlikówną z Ruszczy. Z tego związku urodziło się dziewięć dzieci: Franciszek, Kazimierz, Maria, Józef, Feliks, Stanisław, Antoni, Władysław i Anna. Anna nigdy nie poznała swego najstarszego przyrodniego brata Antoniego, który poległ w czasie I wojny światowej. Jakub był piekarzem w Krakowie. Jeszcze przed wojną drogi rodzeństwa Anny się rozeszły. Matka posyłała synów do terminu, by wyuczyli się jakiegoś rzemiosła. Franciszek terminował u szewca, a Kazimierz u stolarza. Obaj założyli rodziny i zamieszkali w Krakowie. Kazimierz po wojnie udał się na Ziemię Zachodnią, gdzie objął ponemieckie gospodarstwo niedaleko Gorzowa Wielkopolskiego. Ożenił się z Rosjanką. Józef przed wojną w stopniu kaprała zawodowo służył w wojsku polskim na Ukrainie, gdzie poznał swą żonę Annę. Po zajęciu Lwowa przez wojska sowieckie jako Polak i były żołnierz przedwojennego WP stał się wrogiem politycznym. Za te dwa przewinienia groziła mu śmierć ze strony Ukraińców. Kilkakrotnie uchodził z życiem z różnych opresji. Ostatecznie jego żona jako obywatelka rosyjska – rodowita lwowiczka przewiozła go przez granicę polsko-rosyjską w furze obornika. Sporządzono specjalną skrzynię a'la trumna, w której go ułożono i przysypano obornikiem. Po przedostaniu się do Polski osiedli w Krakowie. Maria – nie założyła własnej rodziny. Była służącą u żydowskiej rodziny w Krakowie. Zapragnęła wyjechać z nimi w podróż do Szwajcarii. Marzenie jej się spełniło, lecz po powrocie do Krakowa musiała ciężko pracować, by spłacić koszty podróży opłaconej przez swoich chlebodawców, którzy pozostali w Szwajcarii. Później pracowała jako dozorkini w jednej z krakowskich kamienic niedaleko ul. Mogiłskiej. Władysław zmarł jako sześciolatek na suchoty. Antoni lata okupacji spędził na robotach w Austrii pracując w młynie, gdzie nabawił się pylicy płuc. Po wojnie założył rodzinę i zamieszkał najpierw w Krakowie, a potem w Wolbromiu. Stanisław pracował jako „wozak”. Wraz z czterema innymi mężczyznami własnym zaprzęgiem wozili mleko, które o godzinie 11 w nocy przychodziło kolejką wąskotorową z Chrobrza do Kocmyrzowa. Tutaj przeładowywano je i transportowano w 40-litrowych baniach do Krakowa. Każdy z nich brał około 20 takich bań na swój wóz. W Krakowie rozwożono je do sklepów żydowskich. Po śmierci ojca Stanisław objął gospodarstwo rodzinne w Kocmyrzowie.

Dzieciństwo nie „sielskie, anielskie”...

Najmłodsza spośród rodzeństwa Anna przyszła na świat w 1922 roku. Jej wspomnienia z dzieciństwa i młodości zabarwione są nutą goryczy i niechęci do ówczesnego systemu społeczno-politycznego. Rodzice gospodarowali na 3 morgach gruntu, mieli krowę, gęsi i musieli wyżywić liczne potomstwo.

Konieczność pomocy w gospodarstwie rodziców, a potem pracy zarobkowej sprawiła, że przedwojenna edukacja Anny ograniczyła się do trzech klas szkoły ludowej w Kocmyrzowie. Czwartej klasy nie ukończyła, gdyż musiała pomagać w gospodarstwie rodziców: pasła gęsi i krowę na błoni, które znajdowało się na dawnym obszarze dworskim. Jako ósmio-, dziesięcioletnia dziewczynka zarabiała też od czasu do czasu pomagając żydowskiej handlarce Rózi, która przyjeżdżała „kocmyrzówką” z Krakowa i w okolicznych wsiach skupowała towar: kury, gęsi i nabiał. Obchodziła, więc z nią gospodarstwa chłopskie w Kocmyrzowie i Krzysztoforzycach, a potem dźwigała nabyty przez handlarke towar na stację kolejową. Dziewczynka zarabiała w ten sposób 10 groszy, za co mogła sobie kupić dwie bułki.



Wcześniej, bo jako 12-letnia dziewczyna musiała podjąć pracę we dworze. Pracowała w majątku dworskim Stefana Grzymka w pobliskiej wsi Głęboka, głównie przy zbiorze owoców lub plewieniu jarzyn. Kobiety i dziewczęta pracowały pod czujnym okiem „połowego”. Ten, gdy zwalniały tempo zmęczone ciężką pracą, przydeptywał im zapaski, które darły się, kiedy kobieta próbowała ruszyć do przodu. „Przodownice” za wydajną pracę dostawały pół worka żyta. W Głębokiej istniał duży folwark, dwór i obszerny ogród rozciągający się na obszarze około 7 hektarów. Dzieci zatrudniano do pracy w ogrodzie przy plewieniu oraz zbiorze owoców i warzyw. Tutaj po raz pierwszy pracujące w ogrodzie i warzywniku dzieci mogły poznać smak porzeczek i agrestu, nieznanych w gospodarstwach chłopskich. Potem już jako starsza dziewczyna pracowała przy młockarni na folwarku w majątku krzyżtoforzyckim.

Fakt posyłania dzieci do pracy wynikał z panującej na wsi biedy. Dzieci chodziły bosy, nawet wczesną wiosną, czy późną jesienią – buty były luksusem, na który stać było nielicznych. Klimat był wówczas bardziej surowy. Zwłaszcza zimy były niezwykle śnieżne i srogi. Mróz ścisnął tak siarczysty, że drzewa pękały, a gwoździe z płotów „wyskakiwały”. Przed żniwami, na przednówku jedzono tzw. „zielony chleb” – był to chleb pieczony z mąki mielonej na żarnach, która pochodziła z zielonych kłosów żyta. Taką zieloną papkę wlewano na brytfanny i pieczono w piecu chlebowym.

Dawno temu w Kocmyrzowie

We wspomnieniach Anny Adamskiej jej rodzinna miejscowość to tętniące życiem centrum lokalnej gospodarki, gdzie obok biednych gospodarstw rolnych rozwijał się handel pozostający głównie w rękach żydowskich przedsiębiorców. Koncentrował się on wokół kolei łączącej Kraków i Kocmyrzów popularnie zwanej „kocmyrzówką” i kolejki wąskotorowej z Kocmyrzowa prowadzącej w kierunku Proszowic i Kazimierza Wielkiej.

Twórcą i budowniczym linii kolejowej z Krakowa do Kocmyrzowa był Jakub Judkiewicz, znany w ówczesnym Krakowie przedsiębiorca, prezes Hali Zbożowej, radca miejski, który założył „Spółkę Akcyjną budowy kolei Kraków – Kocmyrzów”. Linia połączyła najbardziej uprzemysłowiony rejon Krakowa – Grzegórzki i Dąbie z północnymi, rolniczymi obszarami nadgranicznymi. Kolej „kocmyrzowska” miała odnogę prowadzącą do Mogiły, z której mogli korzystać pielgrzymi udający się do klasztoru. Uroczyste otwarcie połączenia kolejowego między Krakowem i Kocmyrzowem miało miejsce 11 grudnia 1899 roku. Kocmyrzowska linia kolejowa wykorzystywana była do przewozów pasażerskich i towarowych.

W Kocmyrzowie w okresie zaborów przebiegała granica austriacko-rosyjska, w związku z czym kwitł tutaj handel przygraniczny legalny i nielegalny. W związku ze stale narastającym obrotem towarowym z Królestwem Polskim w 1900 roku otwarto w Kocmyrzowie Agencję Komercyjną, którą kierował Ignacy Sperling. Dokonywała ona odpraw celnych i załatwiała sprawy związane ze spedycją. Na stacji kocmyrzowskiej dokonywano przeładunku towarów: płodów rolnych, zboża, mleka, owoców, żywcą, materiałów budowlanych i wyrobów przemysłowych.

Oprócz oficjalnego, legalnego handlu zmonopolizowanego przez Żydów, istniał również handel nielegalny. Otóż ludność z okolicznych wiosek, nieraz odległych od Kocmyrzowa, przekraczała granicę zaborów na tzw. „Krykopy” za błońmi i szmuglowała towary do Królestwa Polskiego. Prowadziła, więc handel z tzw. „Kopiniokami”. Nazwa ta w miejscowej gwarze oznaczała ludność zaboru rosyjskiego, posługującą się rublem, równym 100 kopiejkom, jako jednostką monetarną. Chociaż granica między zaborami rosyjskim i austriackim dawno przestała istnieć, nazwa ta nadal funkcjonuje.

W okresie międzywojennym w Kocmyrzowie okoliczna ludność mogła zaopatrzyć swe gospodarstwa w podstawowe artykuły i załatwić wiele swoich spraw. Obok stacji kolejowej mieściła się tutaj apteka prowadzona przez Walczaka, poczta, gabinet lekarski doktora Bogusława Hermana, który w latach trzydziestych rozpoczął tutaj praktykę lekarską. Ponadto znajdowało się tutaj wiele sklepów i składów handlowych: sklep rolno-spożywczy Stanka, sklep tytoniowy Julii Abrahamowicz (nie na „Baranie”, ale we wsi), skład węgla Franciszka Sendka, skład pasz Libenskinda. Z kolei Żyd Klafald był właścicielem ubojni. Skupował on po wsiach krowy i cielęta. Natomiast potentatem w handlu byłem w tych okolicach Piotr Tochowicz, który posiadał własną masarnię. Karczma ze sklepikiem oraz miejscami noclegowymi – austeria, powstała w 1921 roku i należała do Haubenstocka, który na początku XX wieku dzierżał propinację od hr. Władysława Mycielskiego – właściciela dóbr Łuczanowice. Znajdowała się przy drodze w pobliżu stacji kolejowej. Do dziś w dawnej karczmie żydowskiej mieści się restauracja „Gościnną”. Niedaleko, przy przejeździe kolejowym, znajdował się tartak i skład drewna prowadzony przez Morisa Mamesa. Dawał on chłopom drewno na budowę domu „na wypłat”, czyli na kredyt, który był zabezpieczony na hipotecę. W ten sposób tuż przed wojną, w 1938 roku, nabył materiał na budowę domu brat Anny Czajki, Stanisław. Budowniczymi domu byli cieśle z Łuczanowic: Wojciech Adamski, jego syn Franciszek – później mąż Anny, oraz ich krewny Andrzej Zięba. Mames był już wówczas człowiekiem starym. Wiadomo też, że przejął on dwudziestomorgowe gospodarstwo chłopskie w Łuczycach od chłopca, któremu nie udało się spłacić materiału budowlanego na dom wziętego „na wypłat”.

Tak więc w dużej mierze działalność handlowo-usługowa w Kocmyrzowie przed wojną zdominowana była przez przedsiębiorców pochodzenia żydowskiego. Wkrótce wybuchła wojna, która przyniosła większości Żydów zagładę, a wraz z nimi bezpowrotnie przeminął świat małych miasteczek i ich niepowtarzalny klimat. Niedawno potomkowie Morisa Mamesa odwiedzili istniejący do dziś drewniany dom zwany „Mamesówką” wyrażając zadowolenie z faktu, że nadal stoi.

Lata młodości

W okresie przedwojennym reforma rolna polegająca na parcelacji majątków i przyznawaniu ziemi ludności chłopskiej była połowiczna i nie zlikwidowała istniejącego nadal na wsi „głodu ziemi”. Najubożsi – robotnicy rolni i właściciele małych gospodarstw rolnych, żyli w warunkach dramatycznych, gdyż uzyskiwane przez nich dochody nie wystarczały na pokrycie podstawowych potrzeb życiowych. Konflikty na wsi zaostrzały się zwłaszcza w okresie kryzysu gospodarczego w latach trzydziestych. Młodzież chłopska zrzeszona w organizacjach ruchu ludowego, głównie w Związku Młodzieży Wiejskiej „Wici”, prowadziła działalność kulturalną podtrzymując tradycje polskiej wsi, ale potrafiła też wyrazić swoje niezadowolenie z panujących stosunków uczestnicząc w demonstracjach, jakie odbywały się w Krakowie. Na wiece młodzież z Kocmyrzowa i okolic wyruszała gromadnie, po drodze dołączali ludzie z okolicznych wiosek: Prus, Łuczanowic, Krzesławic, Bieńczy i Czyżyn, tworząc pokaźnych rozmiarów pochód. Wśród nich była Anna Czajkówna i Franciszek Adamski z Łuczanowic. W śpiewanym wówczas „hymnie” zapowiadano nadejście czasu zemsty i wyzwolenia:

*„Biada wam sanacji pacholki.
Wnet się skończą więzienia i pałki.
Idzie wyzwolenia czas.”*

W czasie jednej z manifestacji, w której uczestniczyła Anna Czajkówna, doszło do starcia z granatową policją, która wdarła się na koniach w tłum i rozpędziła pałkami demonstrantów, domagających się sprawiedliwości społecznej, poprawy doli chłopca i „socjalizmu”, w który, jak przyznaje, ona i inni święcie wierzyli.

Na krótko przed wybuchem II wojny światowej, niespełna osiemnastoletnia Anna pracowała przez pół roku w zakładach cukierniczych „Helwetia” niedaleko ul. Wielickiej w Krakowie. Dojeżdżała do pracy „kocmyrzówką” w towarzystwie kobiet z okolicznych wsi, które wiozły na sprzedaż nabiał, chleb wiejski i warzywa. Zrezygnowała jednak z tej pracy, by pomóc matce i bratu – wówczas jeszcze nieżonatemu – w prowadzeniu gospodarstwa.

W czasie okupacji tereny podkrakowskich wsi nie przestały być zapleczem rolniczym Krakowa. Okoliczni chłopcy, choć sami obciążeni przymusowymi dostawami dla okupanta w ramach kontyngentu, nadal wozili produkty rolne do Krakowa. Wówczas był to proceder nielegalny, więc niejednokrotnie ryzykowali życiem. Pomagali w ten sposób przetrwać mieszkańcom miasta, gdyż okupant wprowadził reglamentację żywności. Anna Czajkówna wyprawiała się do krakowskiego getta, gdzie odwiedzała Reginę Kurtzenberg i jej rodzinę. Ich znajomość rozpoczęła się ok. 1940 roku, gdy wielu krakowskich Żydów zostało zmuszonych zarządzeniem władz niemieckich do opuszczenia swych dotychczasowych domów i osiedlenia się w innych miejscowościach Generalnego Gubernatorstwa. Sześcioosobowa rodzina Kurtzenbergów: małżeństwo z trójką dzieci (dwie córki, jedna z nich to dorosła córka Regina i mały chłopiec – Feliks) oraz babcia wraz z całym dobytkiem znalazło schronienie w domu rodzinnym Anny Czajkówny, gdzie wynajęto im jedną izbę. Babcia, która nigdy nie rozstawała się ze swoim płaszczem, gdzie – jak się później okazało – miała zaszyte pieniądze, popełniła samobójstwo, wieszając się na klamce w domu Czajków. Pozostali członkowie tej rodziny zostali w 1941 roku zabrani przez Niemców do getta krakowskiego. Głodujących, odciętych od świata, stłoczonych na bardzo małej powierzchni (było tam tak ciasno, że trudno było się przecisnąć między meblami) w każdej chwili zagrożonych wywózką do obozu, odwiedzała Anna Czajkówna przynosząc im żywność. Podczas jednej z takich wizyt w getcie, natknęła się na „Japankę”. Cudem uszła z życiem, ewakuując się przez otwór w murze. Była to jej ostatnia wyprawa do getta. Do dziś pamięta jednak Reginę – młodą, piękną i mądrą dziewczynę...

Pod koniec wojny w lipcu 1944 roku Anna wyszła za mąż za Franciszka Adamskiego. Jednak dopiero w rok po ślubie zamieszkali razem, ale to już temat na inną opowieść...

Anna Adamska

P.S. W części poświęconej działalności gospodarczej ludności żydowskiej i polskiej w Kocmyrzowie, skorzystałam również z informacji zawartych w książce pana Jerzego Stanisława Kozika „Obrazy z Naszej historii. Gmina Kocmyrzów – Luborzyca” oraz uwag pani Marii Szopy.

Dzieje kolei kocmyrzowskiej 1899-2006: przekroczone stulecie istnienia i niespełniony wiek eksploatacji linii

W grudniu 1899 r. plakaty w mieście, na dworcach kolejowych oraz ogłoszenia w prasie przyciągnęły uwagę ówczesnych krakowian: zapowiadały otwarcie nowej drogi żelaznej – tym razem do pogranicznego Kocmyrzowa. Oto treść takiego obwieszczenia, które zachowało się i przechowywane jest w Archiwum Głównym Akt Dawnych w Warszawie:

Otwarcie Kolei Lokalnej Kraków – Kocmyrzów ze stacjami względnie przystankami osobowymi i ładowniami: Kraków (istniejąca stacja c.k. kolei państwowej i północnej), Grzegórzki (stacja), Dąbie-Piaski (stacja), Czyżyny (stacja), Bieńczyce (stacja), Grębałów (przystanek osob. i ładownia), Prusy (przystanek osob.) i Kocmyrzów (stacja końcowa) zostanie 11 grudnia 1899 r. oddaną do publicznego użytku (...)

W dalszej części ogłoszenia (wydrukowanego w języku polskim i niemieckim) zamieszczono pierwszy dla „kocmyrzówki” rozkład jazdy pociągów. W rozkładzie ogólnym była to wówczas tablica oznaczona numerem 144. Trzy pary pociągów o numerach 6211 do 6216 (numery parzyste to pociągi powrotne) odchodziły z Krakowa kolejno o godzinie 8 rano, 1.50 w południe, i o 7 wieczorem. Wracały z Kocmyrzowa o 7.32 rano, 1.10 w południe i o 5.10 po południu. Podróż z Krakowa do Kocmyrzowa trwała 1 godzinę i 34 minuty, powrót zaś, z uwagą na jazdę po spadku, 8 minut krócej.

Pół roku po uruchomieniu kolei do Kocmyrzowa otwarto odcinek mogiński – najpierw dla ruchu towarowego (16 czerwca 1900) i nieco później dla pasażerskiego. A więc stało się – grodowi Kraka, trwającego wciąż pod zaborem austriackim, lecz po wydarzeniach z lat 1866-1867 cieszącego się sporą autonomią, przybyła kolejna droga żelazna. Tym razem lokalna, biegnąca na północny wschód – ku pograniczu „rosyjskiemu”, będącemu punktem stycznym z dawną „kongresówką”, a rejon Baran – Kocmyrzów to właśnie owo pogranicze, z postępkami granicznymi i komorą celną. A jakie były początki?

Kiedy powstawała linia Kraków – Kocmyrzów, sieć dróg żelaznych na terenie Galicji była już w zasadzie ukształtowana. Od 1847 r. istniała kolej Kraków – Mysłowice (zabór pruski), w 1848 oddano do użytku słynną Drogę Żelazną Warszawsko-Wiedeńską (Warszawa – Granica – Szczakowa). Do roku 1871 stalowy szlak połączył Kraków ze wschodnią granicą monarchii austro-węgierskiej w Podwoleńskich. W 1884 r. dochodzą od cinki od strony Suche i Oświęcimia – tym razem do stacji Podgórze (pierwotna nazwa stacji Płaszów). Wcześniej, bo w latach 1857 i 1858 powstały krótkie odcinki do Wieliczki i Niepołomic. Krótki epizod z istnieniem tzw. linii cyrkumwallacyjnej, powstałej u schyłku XIX wieku (biegnącej do Bonarki dzisiejszymi alejami Trzech Wieszczy), następnie rozebranej przed wybuchem I wojny światowej – zastąpionej dopiero w 1943 drugą koleją obwodową kończył podstawową fazę kształtowania krakowskiego węzła kolejowego.

Pomysłodawcą i głównym inwestorem kolei kocmyrzowskiej był znany w Krakowie przemysłowiec żydowskiego pochodzenia – Jakub Judkiewicz (1858-1925). O szczegółach tego przedsięwzięcia dowiedzieć się możemy z „Dziennika Ustaw Państwa dla Królestw i Krajów w Radzie Państwa Reprezentowanych”. Dokument koncesyjny nosi datę 31 lipca 1898 r. Mówi on o wybudowaniu kolei żelaznej parowej z Krakowa do Kocmyrzowa wraz z odgałęzieniem z Czyżyn do Mogiły, przy współużytkowaniu fragmentu trasy do Lwowa, licząc od stacji c.k. wyłącznie uprzywilejowanej Kolei Północnej Cesarza Ferdynanda (Kraków Główny), do odgałęzienia przed mostem na Wiśle w posterunku Wesoła, a więc po fragmencie szlaku rzeszowskiego, ówczesnej CLB (Carl Ludwig Bahn). Kolej kocmyrzowska stykała się przeto z kilkoma prywatnymi i nieźle prosperującymi towarzystwami kolejowymi a przewozy – także pasażerskie nie były wówczas deficytowe!

Trwanie koncesji ustanowiono na lat 90, czyli umowa wygasłaby 31.07.1988 r. Linia kocmyrzowska była gotowa w ciągu 16 miesięcy i dwóch tygodni. Prócz okazałych budynków w Grzegórkach i Kocmyrzowie, mniejszych obiektów na Dąbiu, w Czyżynach, Bieńczykach, Mogile oraz przystankach w Grębałowie i Prusach, w Kocmyrzowie oddano do eksploatacji małą parowozownię, warsztaty, pomieszczenia mieszkalne i magazynowe, wieżę ciśnienia itd. Zastrzeżenia organów kontrolnych wzbudził pierwotny projekt usytuowania stacji wodnej w Bieńczykach (ze względu na możliwość ułożenia dodatkowego toru miejsce jej wybudowania nakazano przesunąć o około 11 m). Podobne korekty odnosiły się do dróg dojazdowych do stacji oraz rowów odwadniających w przypadku Kocmyrzowa. Wcześniej jeszcze skorygowano także zjazd z linii głównej lwowskiej do Grzegórek, gdyż pierwotny projekt groził zalaniem stacji w razie wylewu Wisły.

Przedsięwzięcie, jak się okazało, pochłonęło sumę większą niż zakładano – różnica ta została pokryta kredy-

tem bankowym. Całość inwestycji, łącznie z wykupem gruntów, taborem, urządzeniami stacji przeładowniczej na Wiśle i boczniami (23 km) szacowano bowiem na 1.015.000 zł. austr. Kapitał akcyjny przedsiębiorstwa według danych z lat 1898-1910 r. wynosił 2.340 tys. Koron. Na sumę tę składały się kolejno: 3000 tzw. akcji priorytetowych po 400 koron pierwszej emisji, 1000 akcji po 400 koron emisji drugiej plus po tej samej cenie 1850 akcji przedsiębiorstwa. Całość przedsięwzięcia gwarantowało państwo a kluczową instytucją w dziele powstawania galicyjskich dróg żelaznych był tzw. Wydział Krajowy. Rozrachunek kolei kocmyrzowskiej ilustruje m.in. „Eisenbahn und Verkehrs Jahrbuch” z początku wieku XX.

Rutynowa kontrola policyjno-techniczna, mająca na celu dopuszczenie kolei do ruchu odbyła się w przededniu otwarcia „kocmyrzówki”, 9 grudnia 1899 r. Kolej wizytowali wówczas wyżsi urzędnicy c.k., tacy jak Jacob Ritter von Mikuli, nadkomisarz Stanisław Warzeszkiewicz, przedstawiciel dyrekcji krakowskiej Władysław Lubicz-Jaworowski. Lustracji dokonano w obecności przedstawicieli spółki Kolei Lokalnej Kraków – Kocmyrzów: Jakuba Judkiewicza, kierownika budowy Augusta von Medveya i Stanisława Kułakowskiego, głównego inżyniera i komisarza Państwowego Nadzoru Budowlanego dla Zachodniogalicyjskich Kolei Lokalnych.

Obszar powstałej linii obejmował uprzemysłowaną część miasta Krakowa ze stałą tendencją do wzrostu liczby zakładów oraz ciągnące do szlaku obszary sąsiednie (m.in. Batowice, Rakowice); w sumie było to 36 miejscowości z liczbą 17.450 mieszkańców. Na obszarze tym były liczne zakłady przemysłowe: np. młyny w Bieńczykach i Krzesławicach z rocznym przemiałem mąki po 1200 wagonów każdy, 2 młyny wodne i parowe w Mogile (razem 500 wagonów rocznie). Gorzelnie w Branicach, Kościelnikach i Pleszowie wraz z rafinerią, fabryką mączki kostnej i nawozów sztucznych na Dąbiu (około 1000 wagonów w skali roku), 5 cegielni ze znacznym zapotrzebowaniem na węgiel, w Grzegórkach rzeźnia miejska, gazownia (także zapotrzebowanie na dowóz węgla), fabryka parkietów i stolarnia firmy Stryjeński i Sp., c.k. Uprzywilejowana Fabryka Maszyn „Zieleniewski” (przeniesiona do Grzegórek w 1907 r.), Fabryka Gwoździ braci Bauminger, Fabryka Maszyn i Narzędzi Rolniczych Peterseima i wiele, wiele innych. Ich znaczny rozwój przypadł na lata poprzedzające wybuch wielkiej wojny. Na krótko przed wybuchem I wojny powstawały projekty nowych bocznic: do budującej się fabryki łupków azbestowych w Czyżynach i magazynów wojskowych na lotnisku rakowickim. Nadto według ewidencji paszportowej na komorze celnej w Baranie frekwencja w obie strony granicy wynosiła ponad 40 tys. podróży rocznie. Zwłaszcza pograniczny teren Królestwa ciążył ku Krakowowi. Motywacja do wybudowania kolei kocmyrzowskiej była przeto bezsporna.

Przed wybuchem wielkiej wojny 1914-1918 rozpoczął się proces wykupu kolei galicyjskich przez państwo, co jednak ominęło „kocmyrzówkę”. W tym czasie bilet do Kocmyrzowa w III klasie pociągu kosztował 0,70, w II klasie 1,10, a w I 1,80 Korony. Wolny przejazd miały dzieci do lat 4, w wieku od 4 do 10 lat płać po połowę biletu. Według obowiązującej taryfy za każde 10 kg „pakunku” klient płać 0,08 Korony. W 1913 r. na Krowodrzy powstał Dworzec Towarowy, który w obsłudze linii kocmyrzowskiej miał odegrać niebagatelną rolę. Ale Europa zmierzała już ku przepaści...

Austro-Węgry, które były w konflikcie zbrojnym z Rosją od 6 sierpnia 1914 r. jesienią poniosły porażkę. Załatała pośpiesznie lukę od południowego wschodu – Rosjanie doszli aż pod Wieliczkę. Wcześniej odbyła się wielka bitwa w rejonie Skały, Słomnik i Kocmyrzowa. Artyleria austriacka podczas kanonady zniszczyła doszczętnie zabudowania wsi Grębałów. Kolej kocmyrzowską przywożono do Krakowa setki jeńców i rannych żołnierzy. Do współdziałania z warowniami Pszorna, Dłubnia, Krzesławice i Grębałów stał w pogotowiu pociąg pancerny.

Kolej kocmyrzowska jak widać miała w tym czasie istotne znaczenie militarne, ale swoistą schedą (pomimo spustoszeń wojennych) po obecności wojsk austriackich na terenie Królestwa były wąskotorowe kolejki polowe budowane przez armię dla jej własnych celów. I właśnie II Rzeczpospolita w roku 1918 otrzymała taką – nie powiązaną ze sobą sieć kolejek polowych. Jedną z nich była kolej wąskotorowa Kocmyrzów – Posąda, którą zbudowano około 1917 roku. Tak więc Kocmyrzów stał się stacją styczną obu prześwitów torów, a po scaleniu czterech kompleksów wąskotorowych na przełomie lat 1926/27 – kolejki miechowskiej, jędrzejowskiej, pińczowskiej i kocmyrzowskiej w jednolitą sieć kolei kocmyrzowska normalnotorowa zyskała na znaczeniu.

Zresztą kadra kolejowa po upadku monarchii habsburskiej na tym terenie była niemal gotowa. Już w czasach austriackich (Almanach Cesarsko – Królewskich Austriackich Kolei Państwowych podaje nawet odległość Kocmyrzów-Wiedeń – 433 km!) obsługa kolei Kraków – Kocmyrzów była polska. Wszędzie uderzają rodzime nazwiska. A ci, którzy przybyli z ramienia zaborcy albo ich potomkowie, zajmując eksponowane stanowiska często stawiali się oddanymi sprawie patriotami...

Okres międzywojenny to normalna eksploatacja kolei, bez większych i znaczących wydarzeń. Najważniejsze z nich to wprowadzenie w 1928 r. na kocmyrzowski szlak trakcji spalinowej. Był to 1 benzynowy (od 1935 r.

z silnikiem dieslowskim) wagon motorowy kursujący na trasie wraz z wagonem doczepnym, który zresztą w czasie eksploatacji raz uległ wypadkowi i na okres remontu był wyłączony z ruchu. Ale i wówczas na linii dominowała trakcja parowa. Drugi z godnych odnotowania faktów to rozpoczęcie w 1935 r. procesu upaństwowienia linii Kraków – Kocmyrzów oraz projekty przedłużenia szlaku do Pińczowa, Buska i Kielc. Stało się to nieaktualne po wybudowaniu w 1934 r. brakujących odcinków: Kraków – Tunel i Radom – Warszawa na linii świętokrzyskiej. Kolej kocmyrzowska przeto do końca swoich dni pozostała tylko koleją lokalną, choć niektóre z tych projektów jeszcze później rozważano.

Oczywiście w okresie międzywojnia wzrósł przewóz osób i towarów. W sąsiedztwie grzegórzeckiej stacji rozwijały się zakłady przemysłowe; na samej stacji lub licznych bocznicach Grzegórzek i Dąbia przeładowywano żywiec, produkty żywnościowe, artykuły przemysłowe (także z przystani żeglujowej na Wiśle), kotły i konstrukcje żelazne, a nawet tramwaje. Przy ulicy Wojewódzkiej pracował pełną parą młyn na Wieczystej a wojskowe poaustriackie lotnisko w Rakowicach rozszerzono o tereny Czyżyn, oddając do użytku nowoczesny cywilny port lotniczy z własną bocznicą kolejową. Również „kocmyrzówka” wąskotorowa zwiększyła w tym czasie obroty – na odcinku Kazimierza Wielka – Kocmyrzów oprócz pasażerów przewożono mąkę, cukier, owoce, okopowiznę i inne płody rolne, materiały budowlane, żywiec i wiele innych. Ożywienie gospodarcze, zwłaszcza po wielkim kryzysie dotyczyło oczywiście całej sieci jędrzejowskiej wąskotorówki, która wypełniała dotkliwą lukę komunikacyjną na całym obszarze Powiśla i Ponidzia.

Wojna 1939-1945 nie ominęła linii, aczkolwiek jej znaczenie strategiczne w owym okresie nie było duże. Wojna to przede wszystkim słynny epizod z niepodległą partyzancką „republiką pińczowską”, która chociaż obejmowała tereny sieci wąskotorowej – czyli obszary usytuowane na północ od Kocmyrzowa, miała wpływ na wydarzenia i działalność ruchu oporu w rejonie krakowskim. Szlak kocmyrzowski stał się w tym czasie nie-
mym świadkiem masowych egzekucji Polaków, zwłaszcza w rejonie krzesławickiego fortu. W styczniu 1945 r. – ponieważ sowiecka ofensywa Koniewa poszła manewrem oskrzydającym od północnego wschodu. Niemcy w popłochu wysadzili w powietrze m.in. zabudowania stacyjne w Czyżynach, Grzegórkach, most na Białusze w okolicy stacji Dąbie i główny most kolejowy na Wiśle na linii przemyskiej.

Chociaż z usunięciem zniszczeń i odbudową uporano się dość szybko, niektóre obiekty z krajobrazu linii znikły bezpowrotnie. Do nich należał budynek grzegórzeckiej stacji, zaś w miejsce solidnego murowanego budynku dworca w Czyżynach stanął prowizoryczny drewniany barak, który przetrwał do końca lat 60. XX w. Na szlak nie wrócił już wspomniany wagon spalinowy z doczepą.

Tymczasem w roku 1949 zapadła decyzja o budowie Nowej Huty, czyli kombinatu metalurgicznego i nowego miasta. Promienisty układ miejskiej zabudowy zaprojektowano w oparciu o „kocmyrzówkę”. Lewy bok tego trójkąta stanowiła droga i kolej w kierunku Kocmyrzowa i Proszowic, podstawę – drogowy trakt sandomierski i kolej do Mogiły. Do roku 1955 ukończono także budowę wielkiej linii obwodowej Mydlniki – Nowa Huta – Podłęże, która przecięła linię do Kocmyrzowa między Bieńczykami a Grębałowem. Nowa Huta i kombinat im. Lenina – wielka budowa „socjalizmu”, choć powstała w mrocznych czasach stalinowskich, a czynniki jej powstania były przede wszystkim polityczne, miała też pozytywne strony. Rozładowywała przeludnienie wsi podkrakowskich, dając ludności zatrudnienie a w perspektywie ką do zamieszkania. Po przemianach roku 1989 i exodusie „Solidarności” centrum Nowej Huty ma już zupełnie inny wymiar – w oczach krakowian zyskało miano obywatelstwa, stało się szanowanym zabytkiem, a stosunek starego Krakowa do nowej dzielnicy dawno nie jest już ambiwalentny czy kontrowersyjny.

Tym niemniej powstanie Nowej Huty przyniosło całkowitą zagładę zasłużonej kocmyrzowskiej drodze żelaznej, której miasto i kombinat w dużej mierze zawdzięczały powstanie (pociągi z junakami!). Czy musiało tak być, zwłaszcza w dobie tendencji do dążenia do zrównoważonego rozwoju transportu, a nie promowania tylko samochodów – to pytanie do wuodarzy miasta. W każdym razie i tak wobec likwidacji 23% linii kolejowych w kraju, czyli blisko 1/5 sieci – ta likwidacja do tylko kropelka w morzu. A likwidacja ta odbyła się etapami. W latach 1953 i 1954 wstrzymano najpierw ruch osobowy, potem towarowy do Mogiły. Do roku 1956 zlikwidowano torowisko na odcinku Monopol Tytoniowy – Mogiła, rozbierając dwutorową stację wraz z małym budynkiem. Przejściowo uruchomiono przystanek „Osiedle” z bocznicą w rejon budów i pociągi Kraków – Bieńczyce – Nowa Huta Południowa, z posterunku odgałęźnego „Bo” za bieńczycką stacją. Od 1952 r., kiedy to oddano do użytku pierwszą linię tramwajową do Nowej Huty, kocmyrzowska ciuchcia na odcinku Dąbie – Czyżyny malowniczo ścigała się z tramwajem. Ulicę Wojewódzką przebudowano wówczas na dwupasmówkę, niwelując „wygięcie” drogi i torowiska po wyburzeniu zabytkowego fortu Pszorna, a trakt kołowy zmienił nazwę na Al. Planu 6-letniego (dziś Jana Pawła II). Jednak kolej stanowiła jeszcze całość. Skończyło się to definitywnie

28 września 1963 r. Wtedy to rano odjechał ostatni skład do Kocmyrzowa przez Bieńczyce. Dalsze pociągi osobowe miały się już tu nigdy nie pojawić ku rozpaczy mniej zorientowanych podróżnych. W tym czasie Przedsiębiorstwo Robót Kolejowych nr 9 przełączało już tory na te biegnące z Nowej Huty, wcześniej powstałym wiaduktem nad ul. Karola Darwina, obok cmentarza grębałowskiego. Odcięto więc raz na zawsze kilkukilometrowy odcinek bieńczycki, który rozebrano adaptując jedynie pokolejowe wiadukty dla potrzeb przyszłego tramwaju. Bieńczyce urzędowo skreślono z wykazu odległości taryfowych w grudniu 1963 r., wykreślając ją ze spisu stacji PKP. W połowie października przestał istnieć także port lotniczy w Czyżynach.

„Kocmyrzówka” została podzielona na dwa odcinki: Kraków – Grzegórzki – Czyżyny – Łęg, gdzie jeździły jeszcze jakiś czas towarowe do Zakładów Prefabrykacji (poprzednio także do wojskowych składów amunicji) i Elektrociepłowni oraz odcinek Nowa Huta – Kocmyrzów, gdzie ruch osobowy utrzymano do 1970 roku, towarowy zaś do 1993 r. (ostatni pociąg przeszedł tamtędy w 1994 r. dla miłośników kolei). Na odcinku czyżyńskim pociągi towarowe jeździły tylko do 1971 r., gdyż budowa stacji Olsza na tzw. małej linii obwodowej oraz nowe podłączenia bocznic z tej linii: do Zakładów Zbożowo – Młynarskich w Wieczystej oraz Łęgu pozostały odcinek czyżyński bezużytecznym. Został on wobec tego rozebrany, wraz ze stylowymi, pięknymi semaforami ramiennymi. Stacje Dąbie i Grzegórzki (tę ostatnią odcięto od odgałęzienia w Wesołej, czyli od głównego szlaku przemyskiego) pełniły jeszcze jakiś czas rolę ładowni, jako „Zespół Bocznic Kraków Dąbie”. Obsługiwane były przez zburzoną dziś nastawnię „Nadwiśle” na linii towarowej z Olszy. Dziś pozostał tam jedynie budynek dworca Kraków – Dąbie, zamieniony na obiekt mieszkalny, zaś odcięte tory grzegórzeckiej stacji zdemontowano niedługo przed wybudowaniem „Galerii Kazimierz”.

Odcinek wąskotorowej „kocmyrzówki” w ruchu osobowym trwał do roku 1971 (jakis czas kursowały jeszcze osobówki z Proszowic), w ruchu towarowym także do roku 1993. Ostatni pociąg w stylu „retro” dla miłośników kolei przejechał tamtędy w 1994 r., szlak zaś uległ rozbiórce dwa lata później.

Tak więc pozbyto się „uciążliwego”, bo „blokującego rozwój miasta i komunikacji” środka transportu, nawet nie kusząc się o jego modernizację, czy stworzenie alternatywnego planu, np. szybkiego tramwaju, swoistego S-bahn w tamtym kierunku. Dawniej kocmyrzowska ciuchcia co prawda przemierzała 18-kilometrowy szlak w 1 godzinę, ale bez korków. W Polsce w starciu z koleją niemal zawsze wygrywa nieekologiczny transport samochodowy, choć słowo „ekologia” wszyscy mają na ustach.

I na koniec parę uwag o trakcji i wagonach. Na kolei kocmyrzowskiej, od początku powstania – kiedy była ona jeszcze własnością prywatną pracowały dwa niewielkie tendraki austriackie 0-3-0 serii 97 o numerach 170 i 171. Była to, według już oznaczeń międzywojennych seria TKh12. Poza tym zakupiono dla kolei kocmyrzowskiej 4 wagony osobowe, 2 bagażowe, 10 krytych towarowych i 12 węglarek. Później, do chwili przejścia kolei przez państwo stan ten ulegał zmianom. W 1928 r. przybył dwuosioowy wagon motorowy Ganz, serii SBCi wraz z doczepą. Kolej kocmyrzowska na sieci PKP była jedną z pierwszych, na której zastosowano trakcję spalinową. Wobec małej mocy i pojemności tego pojazdu, główne pociągi osobowe, złożone zwykle z dwuosioowych wagonów austriackich obsługiwały aż do końca lat czterdziestych XX w. parowozy Th24 (wcześniej też TKp11), wyparte następnie przez pruskie maszyny TKp1 i Tp1. Wybór serii nie był przypadkowy z uwagi na trudny profil linii, podjazdy i łuki na odcinku Bieńczyce – Kocmyrzów. Poza tym nieodzowna była obsługa trakcyjna wszystkich zakładowych bocznic, także do młynów, łuszczarni itp. Stosowano tu też trakcję spalinową po wojnie. Były to węgierskie lokomotywy spalinowe serii SM40, prowadzące w lecie także składy osobowe do Kocmyrzowa. Z Nowej Huty jeździły ponadto motowozy SM15 i SM42, obsługujące torów zakładów przemysłowych zapewniały głównie SM30, a także parowozy Tr12 i Tr203. Wyjątkiem były ciężkie składy towarowe z prefabrykatami betonowymi prowadzone przez parowozy niemieckie serii Ty2 z lokomotywni piaszowskiej. Naoczni świadkowie wspominają, że jak ciężki parowóz dojeżdżał powoli sapiąc do Wieczystej, ostatni wagon mijał dopiero rejon Czyżyn, blokując następnie na rogatkach ruch uliczny i tramwajowy, ku wściekłości i wśród złorzeczeń kierowców. Niestety nie obyło się bez wypadków. W 1965 jeden z takich pociągów (ale z lokomotywą spalinową) na ulicy Mogiłskiej, u wylotu stacji Dąbie starł się z tramwajem. Szczęśliwie obyło się bez ofiar śmiertelnych.

Poza tym sporadycznie na „kocmyrzówce” można było zauważyć i inne serie lokomotyw. W filmie Andrzeja Munka, „Kierunek – Nowa Huta” przejeżdża nawet parowóz Ok1 do Mogiły. Próbnie testowano także inne serie pojazdów. Natomiast na wspólnej stacji wąskotorowo – normalnotorowej w Kocmyrzowie spotykały się przed wojną głównie małe parowozy Tx26 z Th24, po wojnie – już po przekuciu wąskich torów z 600 mm na 750 mm maszyny Px48 i Px49 z parowozami Tp1 i spalinowozami SM40. Z czasem pojawiły się pociągi wąskotorowe do przewozu wagonów normalnotorowych na specjalnych transporterach, prowadzone przez rumuńskie lokomotywy spalinowe serii Lxd2. Dotyczyło to tylko ruchu towarowego. „Kocmyrzówka” wąskotorowa była równie

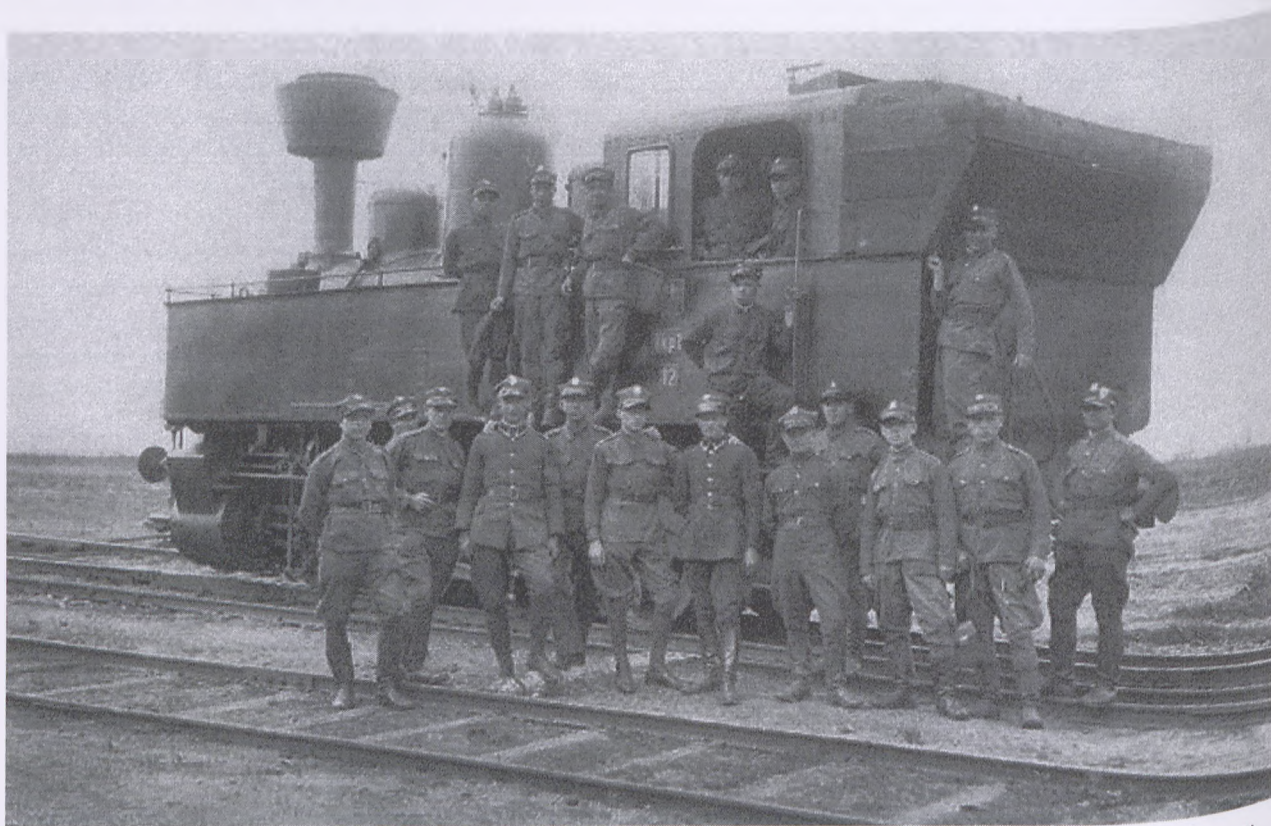
malownicza. Kocmyrzów wąski dysponował nawet małą parowozownią z obrotnicą, po zniszczeniach wojennych zamienioną na „trójkąt”. Absolutne kuriozum stanowiły pracujące na sieci jędrzejowskiej parowozy zwane „Gigantami”. Były to tzw. Kitson-Meyery serii Tyy1, nawet w tamtych czasach zupełnie unikat. Niestety nie przetrwał żaden z nich. Chociaż wyjeżdżając z Krakowa Głównego pociągiem po 14-tej, z przesiadką w Kocmyrzowie na ciuchcie wąskotorową, było się np. w Kazimierzy Wielkiej dopiero około 18-tej, podróż długa, jak za morze dostarczała niecodziennych wrażeń.

Anegdot, dowcipów i wydarzeń wokół zasłużonej kolejki – weteranki (np. w trakcie widowisk sportowych na stadionie „Wanda”) było dużo i nie starczyłoby miejsca na ich przypomnienie. Na kolei kocmyrzowskiej pracowało wielu nowohucian, wcześniej zaś członków lokalnych społeczności Mogiły, Czyżyn, Krzesławic, Bieńczy i innych podkrakowskich wsi, na których Nowa Huta powstała. Ostatni odcinek, nieczynnego już kocmyrzowskiego szlaku wraz z wiaduktem w Luboczy rozebrano na początku 2006 r. Zamknęło się kolejne koło czasu, związane z dziejami krakowskiego węzła kolejowego, ale przede wszystkim jeszcze jedna niezwykła karta z dziejów Nowej Huty i jej okolic.

Roman Garbacik

Literatura:

1. Dziennik Taryf i Zarządzeń Komunikacyjnych 1950-1974
2. Dziennik Ustaw Państwa dla Królestw i Krajów w Radzie Państwa Reprezentowanych 1898 r.
3. Garbacik R.: Historia kolei Kraków-Kocmyrzów. Kraków 1997 r.
4. Służbowe i rejonowe rozkłady jazdy pociągów 1899-1993
5. Wąskim torem do Jędrzejowa. KMK, Kraków 1993
6. Wdowiszewski W. Sprawozdanie o potrzebie poparcia budowy kolei lokalnej Kraków-Kocmyrzów. Kraków 1898 r.
7. Żak J. Podzwonne dla jędrzejowskiej wąskotorówki. Przyczynek do dziejów Jędrzejowskiej Kolei Dojazdowej. Staszów 2003



Austriacki parowóz serii TKp11-12, pracujący przed wojną na kolei kocmyrzowskiej w barwach PKP. Fotografia z maja 1930 r. z linii Kraków-Kocmyrzów. Fot. ze zbiorów Piotra Skuchy



Stacja Czyżyny ok. 1938 r. Na zdjęciu słynny wagon spalinowy serii SBCi nr 90029 firmy Ganz, eksploatowany wraz z doczepą na kolei kocmyrzowskiej od 1928 r. Wagony te w czasie okupacji Niemcy wywieźli i już nie wróciły. W związku z natarciem wojsk sowieckich w 1945 r. zburzono ten murowany budynek, a po wojnie postawiono zwykły drewniany barak, który przetrwał do lat 70. XX w. Drugi po prawej stoi Piotr Przeźmiński, właścicielem zdjęcia jest jego wnuk, Andrzej Skibiński



Lokomotywa SM40 na przystanku Grębałów, lata 60. XX w., fot. Robert Kosieradzki



Rejon Hali Targowej około roku 1959. Parowóz serii Ty2 z pociągiem towarowym, prawdopodobnie relacji Łęg – Czyżyny – Grzegórzki – Kraków Towarowy. Dziecko obserwujące pociąg i zwrócone twarzą do lokomotywy to autor reportażu. Fot. Leon Czarnecki



Bocznica do „Bazy Materiałowej Bieńczyce” z semaforem ramieniem, wychodząca ze środka północnej części stacji czyżyńskiej. Wczesna wiosna 1971 r. Fot. Jan Nikliński



Kocmyrzówka zimą, pociąg osobowy prowadzi parowóz serii Tp1, lata 1958-1962, fot. Robert Kosieradzki



Stacja Czyżyny na wiosnę 1971 r. – widok w kierunku Wieczystej. Widoczne, częściowo rozebrane drewniane zabudowania stacyjne (bez baraku dworcowego), a w oddali stoi semafor wjazdowy. Fot. Jan Nikliński



Lokomotywa serii SM40 z pociągiem osobowym do Kocmyrzowa (prawdopodobnie ostatnie lato kursów przez Bieńczyce w 1963 r.). W oddali we mgle widoczne kominy kombinatu. Fot. Ze zbiorów Wiesława Sygulskiego



Ten sam pociąg co obok (skład złożony z wagonów austriackich z początku XX w.). Rejon pomiędzy stacją Bieńczyce a Grębałowem. Fot. Ze zbiorów Wiesława Sygulskiego



Stacja Czyżyny na wiosnę 1971 – niedługo przed rozpoczęciem rozbiórki. Odgańlenie na lewo do Bieńczy już nie istnieje (jest jeszcze bocznica do bazy materiałowej). Pociągi – tylko towarowe – w tym czasie jeździły tylko do Łęgu, skręcając w prawo obok Monopolu Tytoniowego szlakiem bocznym zamykanym tarczą manewrową. Fot. Jan Nikliński



Parowóz Tp1-93 kolei kocmyrzowskiej, lata 50. XX w.



Fragment parowozu serii Th24 tzw. Kolei Wschodniej, lata okupacji niemieckiej



Parowóz Px49-1800 na kocmyrzówce wąskotorowej, lata 50. XX w.



Jesienne wykopki ziemniaków, kocmyrzówka wąskotorowa, początek lat 50. XX w.

PRUSY





Rozmowa z Marią Szopą

Adam Gryczyński: Pani Mario, 8 września 2007 r. odbył się w Luborzycy – Baranówce benefis z okazji Pani 50-lecia działalności kulturalnej. Była to wzruszająca uroczystość, która pokazała jak wielu ma Pani oddanych przyjaciół i znajomych. W życzeniach i wystąpieniach podkreślano Pani zasługi w dziedzinie pracy społecznej oraz osiągnięcia w twórczości poetyckiej, ale przede wszystkim ofiarność i wielkie serce dla ochrony lokalnej tradycji ludowej. Dla wielu jest Pani osobą znaną, cenioną i szanowaną, to wszystko można tam było usłyszeć i zobaczyć. Wiedziałem, że jest Pani znakomitą animatorką kultury, więc nie byłem zasko-

czony miłą atmosferą, jaką tam zastałem, ale przyznam, że szczególnie zafascynowały mnie ludowe przyspiewki w Pani wykonaniu, a także opowieści z dawnych lat; o družbach, hucznych weselach, dożynkach, świętach...

Maria Szopa: Dużo z tych wspomnień i znajomość śpiewu wyniosłam z rodzinnego domu, zaś w uroczystościach dożynkowych brałam udział w latach 50. ubiegłego wieku jako kilkunastoletnia dziewczyna. Zapamiętałam wiele z naszych ludowych tradycji. Potem jednak już młodzież jakoś tak nie garnęła się do tego. Nie było żadnych „odgórnych” zakazów, a przynajmniej ja się z tym nie spotkałam. Był przecież Uniwersytet Ludowy w Szczechach gdzie byłam z panią Weroniką, była tam jeszcze pani Solarzowa. Do dziś mam jeszcze jej książeczkę z jej różnymi przyspiewkami i pieśniami. Mam nawet jeszcze starsze: wydany śpiewnik Pana Lahnera – dziś nie do zdobycia.

A.G.: Zaczniemy jednak od Pani dzieciństwa, Co Pani zapamiętała z tamtego okresu? Czy przypomina sobie jakieś przedwojenne historie?

M.Sz.: Przedwojenne znam tylko z opowiadania.

A.G.: A co Pani szczególnie utkwiło w pamięci?

M.Sz.: To, że u mnie był rozśpiewany dom. Babcia, mama i wszystkie ciotki śpiewały. A poza tym to był dom otwarty, znajdował się w Prusach – to był dom rodzinny Zasiurów. Po wyjściu za mąż mama nazywała się Sendor, ojciec mój – Józef pochodził z tych Sendorów z Luczanowic, którzy są opisani w książce „Czas zatrzymany”. Julia Sendor – rodzona siostra mojego ojca zginęła w Oświęcimiu. Gdy miałam 9 miesięcy wybuchła wojna, ojca zabrano do bauera na roboty do Niemiec, bo jego synowie poszli na wojnę i nie miał kto pracować. Mój ojciec znalazł się tam razem z innymi. W 1943 roku, umarła babcia (matka ojca), a kiedy moja mama napisała do taty, to on chciał przyjechać na pogrzeb. Gospodarz w Niemczech nie chciał jednak puścić ojca, bo jego syn poszedł na wojnę i bał się, że mój ojciec nie wróci z powrotem. Wówczas ojciec wraz z drugim, co tam jeszcze pracował – po prostu od tego gospodarza uciekli. Szli dwa tygodnie, ale tylko nocami, w dzień chowali się w grobowcach, w stodołach i właściwie nie bardzo wiedzieli gdzie się znajdują. Po dwóch tygodniach wędrówki okazało się, że byli pod Poznaniem, a uciekali spod Erfurtu. Gdy tak byli ukryci, miejscowy gospodarz wszedł do stodoły, popatrzył tylko i nic nie powiedział, zabrał się i wyszedł. Ojciec zwrócił się do kolegi mówiąc aby uciekali, bo nie spodobał mu się ten gospodarz. Na to kolega: – „Coś ty! Już dwa tygodnie idziemy i nikt nam nic złego nie zrobił”, a za pół godziny na miejscu zjawili się gestapo, i od razu zabrali ich do obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie, gdzie było krematorium i kamieniołom w którym mój ojciec – Józef Sendor ciężko pracował. Obóz wyzwolili Amerykanie, ale ojciec wrócił do domu dopiero w lipcu 1945 r., bo wcześniej pojechał z kolegami prosto z obozu do Francji. Napisał stamtąd do mamy, aby się spakowała i przyjechała wraz ze mną. Ale moja babcia (matka mamy) miała 3 córki i tylko mnie jedną wnuczkę, i tak powiedziała do mojej mamy: „Jak chcesz to jedź sama, ale dziecko twoje nie pojedzie”. O decyzji babci ojca powiadomiono listownie na co nie odpowiedział, ale za to przyjechał 18 lipca do domu w Prusach. W rodzinie zapanowało szczęście. Ojca wcześniej nie pamiętałam, znałam go tylko ze zdjęć. Miałam wówczas 7 lat. Ojciec wojnę jakoś przeżył, ale zdrowia już nie odzyskał i 30 lat temu zmarł.

A.G.: Powróćmy jeszcze do poprzedniego kwestii: czy mogłaby Pani sobie przypomnieć co opowiadano o ludziach żyjących tutaj przed wojną i w czasie okupacji, w ogóle o waszej wsi?

M.Sz.: Jestem w trakcie pisania historii mojej wsi. Byłam bardzo dobrym słuchaczem. Dziadek mój ze strony mamy – Jan Zasiura, wówczas już starszy człowiek z niewładną ręką (był inwalidą wojennym z I wojny światowej) sporo opowiadał. Przychodzili do nas czasem wieczorami wujkowie, sąsiedzi i rozmawiali, a ja słuchałam z otwartą buzią. Przychodziło w czasie okupacji wiele osób, bo dziadek jako inwalida wojenny miał pozwolenie na prowadzenie sklepiku – „trafiki”. Sprzedawał w domu papierosy, zapalki, bibułki, maszynki do robienia papierosów... A babcia – Kazimiera Zasiura była po szkole krawieckiej, którą ukończyła w Krakowie. Zasiurówna z domu wyszła za dziadka Zasiurę, ale nie byli ze sobą spokrewnieni. Według aktu notarialnego z 1892 r. moi pradziadkowie: Kazimierz i Marianna Zasiura kupili od dworu posiadłość w Prusach, gdzie do dziś mieszkamy wraz z kuzynem. Zabudowania dworskie wcześniej spaliły się i hrabia John pochodzący z Austrii już ich potem nie odbudował w tym miejscu. Dwór wybudował przy szosie prosiwskiej koło kościoła, gdzie stoi do dziś. Jego plenipotentem był Kazimierz Brzeski. Dziadek pochodził z Nowej Wsi Szlacheckiej, tam jak Czernichów, Liszki... Ale tutaj siostra prababci była w Węgrzyczkach, i to ona powiedziała moim pradziadkom, że istnieje możliwość kupna ziemi w Prusach. A oni sprzedali tamtą ziemię co mieli i przyjechali do Prus, ale dlaczego? – tego się nie dowiedziałam. Prababcia miała dziesięcioro dzieci, a pradziadek umarł jak najmłodsze miało zaledwie trzy lata. To był mój chrzestny – Henryk Zasiura, który był w Prusach sołtysem, jego zdjęcie jest w książce „Czas zatrzymany” na fotografii z 1942 r. z wójtem Janem Ciepielą. Jak dziadek umarł, babcia była zmuszona sprzedać pięć morgów.

Co do tradycji ludowej, to pamiętam, że w czasie wojny nie można było organizować dożynek, ale chodziło się „po krakowsku” w Boże Ciało i inne święta. Powiem szczerze, iż większych represji z tego powodu nie było. Ale u nas w domu mieszkał jakiś tam Oberlejtant (tak go nazywali), i gdy byłam mała i miałam szkarlatynę to często płakałam, to on mnie kazał wówczas zastrzelić albo uspokoić, bo to mu przeszkadzało. Wtedy babcia mnie wyniosła z domu do wujka.

Przy głównej szosie koło starej stacji kolejowej w Prusach były reflektory – tak je nazywali. Ponieważ w Czyżynach było lotnisko, to w związku z tym przebywała tu grupa około czterdziestu Niemców do obsługi tych reflektorów. Pamiętam, że potrzebowali kucharki, a sołtys miał to załatwić. Ale oni potrzebowali kogoś z „papierami”, żeby potrafił fachowo gotować. Sołtys zgłosił moją mamę i powiedział, że ona ma odpowiednie „papiery”. Razem mamą pracowała w kuchni Franciszka Sajka z Prus.

Babcia miała trzy córki i wszystkie je wykształciła. Była taka prywatna szkoła w Krakowie na ulicy Mikołajskiej u pani Bulandowej. Ona miała tam restaurację i mama u niej pracowała wraz ze swoją najmłodszą siostrą. Natomiast średnia z siostr – Hania (już nie żyje) była nauczycielką w Krakowie i skończyła prywatną szkołę Preizendanca. Ona mieszkała w Krakowie na stacji, bo takie były wymogi, natomiast pozostałe siostry dojeżdżały do Krakowa popularną koleją „kocmyrówką”. Aby ciocię Hanię wykształcić, babcia i pozostali członkowie rodziny bardzo na to musieli pracować.

A.G.: Wspominała Pani wcześniej o dożynkach, skoro nie można ich było robić w czasie wojny, to kiedy ta tradycja na powrót odżyła?

M.Sz.: U nas w Prusach po wojnie pierwsze dożynki odbyły się w 1949 r. Następne dożynki prowadziła moja mama. Pisała wiersze, bardzo lubiła śpiewać, zdobywała nawet jakieś nagrody. Z kulturą nie byliśmy na baki, absolutnie nie. Przyśpiewki poznałam właśnie dzięki mamie i babci. Spotykaliśmy się w takim malutkim domku. On stoi do dzisiaj obok figurki naprzeciw mojemu domu, ale już nic się w nim nie dzieje. Wybudował go przed wojną mój wujek Henryk Zasiura, który był sołtysem. W czasie wojny mieszkała tam rodzina Gryglewskich wysiedlonych z Warszawy, a potem zrobiono tam sklep. Zresztą u nas w domu też było zawsze pełno ludzi. Tradycja dożynek przetrwała u nas do 1967 roku. Później zaczęła przygasać, bo bardzo ciężko było zebrać młodzież, już się tak nie garnęli do tego. Wcześniej tańców uczyła ich moja mama, a potem ja. Tańczyliśmy krawiarską, kujawiarską, i trojak był – ja to widzę wszystko. Mieliśmy harmonistów: wujka Henryka Zasiurę i Stanisława Ziębca. Sporadycznie ktoś grał jeszcze na skrzypcach. W rodzinie Zasiury to już tak zostało, bo wnuk też gra, a dwóch prawnuków kształci się w Szkole Muzycznej w Nowej Hucie. Jeden z nich jest nawet organistą u nas w kościele, a drugiego niedawno przyjęli do seminarium.

A.G.: Czy pamięta Pani jak zaczęto budować Nową Hutę?

M.Sz.: Tak, oczywiście. Chodziliśmy tam pieszo na odpusty w Mogile, robiło się nawet zdjęcia przy strumyku na mostku nieopodal klasztoru oo.Cystersów. Droga prowadziła przez Grębałów w kierunku Bieńczy, ale nie dochodziło się do wsi, tylko skręcało niedaleko mleczarni; w lewo przez tory na Krzesławice, koło dworku Jana Matejki i dalej już do kościoła. Trzeba było iść ponad dwie godziny w jedną stronę. Widać było jak powstają

pierwsze domy, ale nasz stosunek do budowniczych na pewno nie był wrogi, ponieważ z naszych okolic bardzo dużo ludzi miało pracę przy budowie kombinatu, dużo ludzi. Mój mąż także przyjechał tu do pracy spod Miechowa i tu poznaliśmy się. Najpierw pracował w brygadzie Służba Polsce, a spał w namiotach na błoniach mogińskich, potem pracował w cegielni w Zesławicach. Ludzie stąd mieli do pracy dość blisko, bo ciuchcia była, a potem jeździły jeszcze autobusy. U nas w Prusach dużo ludzi z tych przyjezdnych już pozostało; pochodzili spod Rzeszowa, niektórzy nawet z Mazur. Zostali, zostali...na przykład pan Konieczny, pan Działosz. U nas się ożenili i żyją do dzisiaj. Wcześniej gdzieś tam w hotelach w Nowej Hucie mieszkali i tam pracowali, a ponieważ u nas na błoniach w Prusach często były różne zabawy, więc przychodzili. Tu prawie co tydzień była zabawa, wtedy grał sprawdzony zespół pana Józefa Sokoła z Batowic.

A.G.: Czy może Pani jeszcze opowiedzieć o jakimś zdarzeniu, o których głośno było w okolicy?

M.Sz.: Gdy schodzili się dziadki, wujki to o różnych rzeczach opowiadali. O różnych... Nawet tak nierealnych jak psy z łańcuchami co straszyły ludzi, o jakichś gdzieś tam ognikach... Zaraz po wojnie, to ja zapamiętałam takie zdarzenie, które potem mój wujek Zasiura mi tłumaczył. U nas w Prusach nieopodal wielkiego stawu i rzeczki Baranówki (dopływu Dłubni), był młyn hrabiów Johnów – Austriaków z pochodzenia. Do dziś te pola nazywają się „Zamłynię”. Tam właśnie pojawiał się ognik, który wiązano z tym, że w stawie faktycznie utopił się niegdyś stangret hrabiego wraz z końmi. Wówczas już młyna nie było, bo wszystko się wcześniej spaliło. Moja babcia opowiadała, że hrabia miał w brzegu (nie rzeczonym lecz ziemnym) złożyć piasku, gdzie po zakupie tej ziemi mój wujek i dziadek kopali piasek potrzebny do budowy drogi do Prosiw. We wsi Dłubnia mieszkała pani Bochenkowa, której mąż zginął w 1918 roku podczas działań wojennych. Cały majątek był zapisany na ich córkę, która miała wtedy 3 lata. Znalazł się ktoś, kto chciał się ożenić z wdową po Bochenku, ale na przeszkodzie stała dziewczynka dziedzicząca majątek po ojcu. Bochenkowa była jeszcze młoda, więc chciała wyjść za mąż. Moja babcia ją dobrze знаła, bo jako krawcowa często dla niej coś szyła, a poza tym ta wdowa chodziła z córką do swojej siostry do Sulechowa. Postanowiła, że wyjdzie za mąż, a z tym dzieckiem „coś” zrobi... Pewnego dnia poszła jak zwykle do siostry z dzieckiem, ale wróciła sama. Ludzie spytali gdzie córkę zostawiła, a ta odpowiedziała, że u siostry. Gdy po dwóch tygodniach dziecka nadal nie było, ludzie we wsi zaczęli się tym interesować, i dali w końcu znać na policję, która wkrótce się we wsi pojawiła. W toku śledztwa okazało się, że Bochenkowa była ze swoją córką u siostry, ale że wracając od niej zabrała dziecko z powrotem. Bochenkową zaraz zamknęli w areszcie, gdzie przyznała się, że dziecko zasypała w piasku, tym naszym piasku. Gdy odbyła się wizja lokalna w czasie której dziecko odkopano (świadkiem tego zdarzenia była moja babcia), okazało się, że Bochenkowa zasypała własną córkę dokładnie w tym miejscu, gdzie robotnicy wybierali piasek na drogę. To było w 1919 roku, na miejscu był prokurator, a morderczyni powiedziała, że dziecko żałośnie wołało: „Mamusiu, mamusiu – nie zasypuj mnie!” Tam była polanka, a dziś rosną drzewa. Ileż to w dzieciństwie tamtędy przechodziłam, to przypominałam sobie, że w tym piasku dziecko było zasypane.

Znałam też osobiście niedawno zmarłą Hanię Grymek, córkę „Pięknej Zośki” – Zofii Paluchowej z domu Frontczak, która pochodziła z Prawdy koło Raciborowic, a zginęła śmiercią tragiczną w Krzesławicach. Piękna była tak samo jak jej mama. Babcia opowiadała mi jeszcze, że jak wyłowili z Dłubni poćwiartowane zwłoki „Pięknej Zośki”, to jej mąż Paluch musiał je nieść do domu. Palucha też pamiętam. Po wojnie – już po odsiadce w więzieniu – mieszkał w Rynku Podgórskim, i nieraz nawet zebrał na ulicy. Zbierał też flaszki i szmaty. Przebywała tam dość często i wiedziałam kto to był. Jego córka Zosia w tym czasie już zmarła, a została Hania, która wyszła za mąż za Grymka. Grymek był z Krzesławic.

Z innych prawdziwych historii pamiętam z dzieciństwa, z czasów okupacji jak naszego sąsiada strasznie Niemcy ścigali. Bo on się nazywał Rozenblatt, więc myśleli, że jest Żydem. Po sprawdzeniu dokumentów okazało się, że to był z pochodzenia Austriak, którego dziadowie przyjechali do tutejszych Prus z Austrii razem z hrabią Johnem. Gdy udowodnił, że nie jest Żydem, Niemcy dali mu potem spokój, ale zaraz jak się wojna skończyła zmienił sobie nazwisko na Różycki.

A.G.: Ale przed wojną mieszkali tu zapewne Żydzi, słyszała Pani o nich?

M.Sz.: W Prusach była karczma, a w niej Żyd Lewkowicz, ale to wiem z opowiadania, bo jego nie pamiętam. Miał służącą z którą pewien gospodarz z Prus ożenił się, a ona się przechrzciła. Ale w czasie wojny ocaleli, bo nikt, nigdy, nigdzie o nich nie powiedział, choć była taka pani, która miała takie zakusy, i właśnie przyszła do tego sołtysa naszego, wujka Zasiury i mówi: „Henryk, co by się tak stało, co by się tak stało jakbym tak poszła i powiedziała, że tu mieszkają Żydzi?” Oni mieli dziesięcioro dzieci, i te dzieci miały już swoje dzieci – wymordowałiby ludzi pełno. A mój wujek – stary był już człowiek – na kolanach ją prosił: „Nie rób tego, nic ci z tego nie przyjdzie.” Ocaleli, bo wujek poszedł do jej matki, no i ta matka jakoś jej przemówiła, że nie poszła, ale miała takie zakusy, miała...

A.G.: Pamięta Pani jak przyszedł potem Rosjanie?

M.Sz.: U nas pamiętam Rosjan tylko przez jeden dzień. Dokładnie przez jeden dzień i... pojechali dalej. To były działania wojenne 19 stycznia 1945 roku. Rosjanie szli od Proszowic, a my jak to dzieci wyglądaliśmy, no ale strzelali, bo tu Niemcy jeszcze byli, i ten reflektor był, no i potem rannych było troje ludzi, i dom się spalił, bo tam jakiś pocisk spadł. A Rosjanie przejechali przez wieś czołgiem. No, ale chodzili także po domach i szukali „germańca”. Zegarki wówczas ginęły. Mojemu dziadkowi zginął przedwojenny zegarek, który wisiał na łańcuszku na szafie. Dokładnie to pamiętam, ale zostawili słomiane buty, takie plecione ze słomy. Koza u nas była, to jak ją jeden zobaczył to powiedział: „Wot czort rochatyj”. I pojechali sobie dalej i więcej już ich nie widzieliśmy.

A.G.: A jak wasze życie potoczyło się później?

M.Sz.: Zaraz po wojnie chodziliśmy do zastępczej szkoły, tam gdzie jest dziś dom opieki. Przed wojną mieściła się tam Fundacja Sapielhy, prowadziła działalność dla sierot, dla młodzieży. W czasie wojny było tam bardzo dużo sierot. Prowadzili to księża Salezjanie. Dyrektorem był ksiądz Dionizy Beda, a zarządcą całego 200 hektarowego majątku był ksiądz Józef Rymer. Pamiętam jak na koniu jeździł... Ja chodziłam tam do szkoły przez dwa lata. W 1947 roku przystąpiłam tu jeszcze do I Komunii Świętej, a w 1948 roku już chodziłam do Szkoły Podstawowej Nr. 8 na ul. Topolowej w Krakowie. Mieszkaliśmy na ul. Kieleckiej (gdzie byłam na stałe zameldowana) u swojej chrzestnej, siostry mojej mamy. A tak w ogóle to urodziłam się w Krakowie, lecz mieszkaliśmy „trochę tu, trochę tam”. Z takich jeszcze ważniejszych wydarzeń w mojej rodzinnej wsi to zapamiętałam budowę nowej drogi do Prus przed 40 laty i to, że w 1952 r. wieś została zelektryfikowana przez co odmieniło się oblicze mojej wsi, gdzie zawitało „nowe”. Praca w kombinacie czekała na ludzi, którzy ją podejmowali. Młodzież miała duży dostęp do szkół i uczelni. Budowano nowe domy, zaczęła się zmieniać sytuacja materialna chłopów, wielu z nich zostało robotnikami. Ich gospodarstwa rolne były małe.

A.G.: Czy chciałaby Pani na zakończenie naszej rozmowy może coś dopowiedzieć?

M.Sz.: Wracając jeszcze do czasów okupacji, to na roboty do Niemiec wywieziono kilka osób; Anna Polak i Maria Sojka zginęły w Oświęcimiu. Anna Chytra przeżyła Ravensbruck, Józef Sendor mój ojciec przeżył Buchenwald.

Pamiętam ostatni rok okupacji i okres tuż po niej, kiedy gościem u mojego wujka Henryka Zasiury był Karol Wojtyła (przebywał wówczas na plebanii w Raciborowicach u księdza Józefa Jamroza, który pomagał mu w kształceniu się), a mojego kuzyna Kazimierza uczył jazdy na rowerze. Po latach była wielka radość, że właśnie ten człowiek został papieżem!

Zaraz po wojnie chłopcy zorganizowali grupę kołędniczą. Przebierańcy z Herodem odwiedzali z wielkim powodzeniem wszystkie okoliczne wsie. Najfajniejsze były przygotowania: klejenie czapek, pasów, wykonywanie strojów i układanie tekstów dla poszczególnych postaci, zapamiętałam szczególnie watek patriotyczny z ułanem. Dziś pozostał tylko żal, że młodzież bardzo niechętnie ubiera się w stroje ludowe, że nie ma z prawdziwego zdarzenia kołędników i wesel z przyśpiewkami.

Jednak b. udaną próbę zorganizowania dożynek podjął Gminny Ośrodek Kultury w Kocmyrzowie – Luborzyca z jego dyrektorem Panem Pawłem Dysem, a także Ksiądz Proboszcz Bogusław Zając z parafii w Prusach. GOK poprzez organizowanie Konkursu Potraw Regionalnych chce zachować ludowe, tradycyjne potrawy, jakie przygotowywano niegdyś z różnych okazji: świąt, wesel, chrzcin, dożynek. Jest to inicjatywa godna pochwały i naśladowania. Osobiście brałam udział w Konkursach o „Krakowską wstążkę”, które dotyczyły piosenki ludowej, za przyśpiewki weselne zajęłam pierwsze miejsce. Zorganizowałam zespół śpiewaczy posiadający w swoim repertuarze piosenki ludowe i ballady, których dziś poza nami już nikt nie śpiewa... Chciałabym jeszcze dużo zrobić dla ocalenia kultury mojej wsi, i w ogóle dla kultury. Marzeniem moim jest zobaczyć wieś roztańczoną i rozśpiewaną, ujrzeć jeszcze młodzież, która te tradycje zachowuje.

Chciałabym także wydać drukiem „Historię mojej wsi”, pisać wiersze i śpiewać – póki Bóg da zdrowie, a na zakończenie, przeczytam swój ulubiony, własny wiersz:

„Moja chata”

*Stary krzak bzu w rogu mojej chaty
co roku jeszcze rozjaśnia się kwieciami,
przy budzie czarny piesek kudłaty,
i to jest najpiękniejsze w świecie
w tym świecie, co w pamięci ma rok czternasty,
kiedy wybuchła światowa wojna,
na paru słupach ciosanych graniastych
wyrosła moja chałupa spokojna.
W niej moi dziadkowie przez lata mieszkali,
potem rodzice w chacie ze mną razem,
tę naszą chałupę wszyscy kochali,
kuchnię z Najświętszej Panią obrazem.
Przeżyła świetność, choć nie była strojna,
przewinęło się przez nią wiele ludzi,
nie zniszczyła jej nawet druga wojna,
to, że jeszcze stoi, we mnie radość budzi.
Choć już pochylona, lecz daje schronienie
mnie i rodzinie nawet przyjacielom,
daje mi także wielkie natchnienie,
choć nie jest jedyną radością wokoło.
Lecz żal mi będzie, jak jej już nie stanie,
jak pozostaną już tylko kamienie,
lecz w mojej pamięci niebieska zostanie
jak niebieskie niebo z rannym przebudzeniem.*

Rozmowę z Marią Szopą przeprowadził Adam Gryczyński
w dn. 20 września 2007 r. w Kocmyrzowie-Luborzyca.

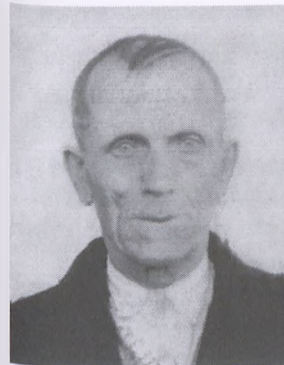




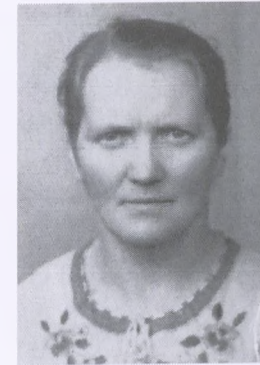
Katarzyna i Tomasz Zasiura z Prus, ok. 1910 r.



Józef Sendor z Prus, Węgrzce, koszary, ok. 1928 r.



Jan Zasiura, 1940 r.



Aniela Sendor, 1940 r.



Henryk Zasiura z siostrzenicą Marysią Sendorówną (Szopą), Prusy, 1941 r.



Anna Zasiura z siostrzenicą Marysią Sendorówną (Szopą), Prusy, 1943 r.



Kazimiera i Jan Zasiura przed domem, Prusy, 1940 r.



Aniela Sendor z Prus z córką Marysią na odpuszcie w Mogile w 1941 r. Zdjęcie zrobione specjalnie dla męża i ojca Józefa Sendor, wywiezionego na roboty przymusowe do Niemiec.



Józef Sendor z Prus, Niemcy, Weimar, 1942 r.



Maria Sendorówna (Szopa) w stroju krakowskim, lata 50. XX w.



Maria Sendorówna (Szopa) w dniu I Komunii Świętej, Prusy, 1947 r.



Aniela Sendor wśród członków zespołu ludowego na dożynkach (stoi 3 od lewej), ok. 1960 r.

Posłowie

„Pamiętajcie o ogrodach
Przecież stamtąd przyszliście”

Jonasz Kofta

Zamieszczone tu wspomnienia zostały zebrane w 2007 roku przez studentki Instytutu Etnologii i Antropologii Kulturowej UJ w ramach realizowanych od 2006 roku badań, poświęconego problematyce pamięci historycznej i tożsamości lokalnej mieszkańców Nowej Huty. Nieocenioną w odszukaniu rozmówców okazała się pomoc Adama Gryczyńskiego, będącego *spiritus movens* całego przedsięwzięcia. Rozmowy z mieszkańcami Bieńczy, Mogiły, Grębałowa, Czyżyn i Krzesławic, a więc tych miejscowości, które zaczęły błyskawicznie zniknąć jako samodzielne jednostki administracyjne z mapy okolic Krakowa po 1949 roku, przeprowadzono w oparciu o technikę wywiadu pogłębionego opartego na przygotowanym wcześniej zestawie wątków tematycznych. O wyborze tej metody zdecydowała przede wszystkim specyfika przedmiotu badań – autobiograficzne wspomnienia – materia niezwykle delikatna, intymna i skomplikowana, gdzie rola badacza sprowadza się do bycia przede wszystkim dyskretnym i uważnym słuchaczem, ingerującym w przebieg narracji w możliwie minimalnym stopniu. Tematyka tym bardziej trudna, że dotyczy najczęściej rodzin skrzywdzonych przez historię, ludzi, których domy, ogrody, pola i sady musiały bezpowrotnie zniknąć, gdyż nie pasowały do politycznej wizji i urbanistycznego projektu nowego miasta.

A zatem czym będzie dla publikowanych tu wspomnień tytułowy „czas zatrzymany”? Zatrzymany to nie tylko czas, który minął, definitywnie dobiegł swego kresu, jak mogłoby się początkowo wydawać. Zatrzymany oznacza również czas utrwalaony w ludzkiej pamięci, czas, do którego można wrócić, gdy oglądamy poźółtkę fotografie i wsłuchujemy się we wspomnienia świadków tamtych dni. Czas powrotu to także czas mitu, rozumianego jako święta opowieść, która nadaje ludzkiej egzystencji sens i porządek, zwłaszcza wtedy, gdy jej bohater zostaje nagle wrzucony w rzeczywistość chaosu i przypadkowości. W takiej perspektywie opowieści o podkrajowskich wsiach, wchłoniętych przez Nową Hutę nie będą jedynie faktograficznym zbiorem wiadomości, choć i tu ich wartość jest dzisiaj nie do przecenienia, ale przede wszystkim zachowanym w ludzkiej pamięci obrazem, który wraz z opowieścią znowu ożywa, by dać świadectwo istnienia innego, dla jego mieszkańców szczególnie ważnego świata, związanego z ich dzieciństwem – świata, zbudowanego na wzór rajskiego ogrodu. Zwróćmy uwagę, jak często w zamieszczonych tu wspomnieniach pojawiają się motywy kwitnących łąk, dojrzających owoców i ogrodów. Sady są wszędzie pełne dorodnych gruszek i wiśni, ziemia rodzi piękne zboże i wspaniałe warzywa, kwitną kaczynce i maślanki, woda w rzece jest kryształowo czysta. Dawny świat ma także swoje niezapomniane dźwięki – śpiew słowika za oknem, rechotanie żab, dalekie odgłosy majówek, melodie muzykujących kapeli. Idylliczny widok współgra z jakże często przywoływanym tu czasem święta – rodzinnymi wyprawami w niedzielę nad Dłubię, puszczaniem wianków na stawach w noc świętojańską, czy beztroskimi zabawami na śniegu. W podobny sposób przedstawiany jest także rodzinny dom – „miły, wesoły”, kojarzony ze „wspaniałym” smakiem pieczonego przez matkę chleba, pachnący sianem, w którym „ubierało się bożonarodzeniową choinkę czekoladkami, jabłuszkami...”.

Idealny czas początku to także czas harmonii i powszechnej zgody, prawdziwej, społecznej jedności. Również i ten motyw wciąż przewija się we wspomnieniach, zwłaszcza przy okazji uwag na temat dzisiejszego rozpadu więzi między ludzkich i typowej dla miasta anonimowości. Zacytujmy ponownie słowa Grażyny Piotrowicz z Grębałowa, które chyba najlepiej oddają tęsknotę za utraconą wspólnotą: „Dawniej człowiek był opłakiwany, szanowany nawet po śmierci. Dzisiaj śmierć jak gdyby spowszedniała. Jak ktoś umarł, dawało się znać do innych. Pierwszą rzeczą, którą robili, to przychodzili na różaniec, modlili się. Trzy dni musiał ten zmarły pozostać w domu. Opłakiwali, ubolewali strasznie! I to nie tylko do dnia pogrzebu, ale i po pogrzebie rozmawiało się o tym, a jakim był człowiekiem, a co w życiu zrobił, czy dobrego, czy złego. Było to zupełnie inaczej, a teraz? Wezmą, odwieżą, spotykają się na cmentarzu, zakopią do ziemi – i nie ma człowieka.”

W kontekście wspomnień o rodzinnej miejscowości nie może zatem dziwić wrogi stosunek do pomysłu budowy nowej dzielnicy i kombinatu metalurgicznego, który dla zdecydowanej większości rozmówców kojarzy się z poczuciem ogromnej krzywdy i niesprawiedliwości. Przywoływane we wspomnieniach przykłady arogancji władzy, bezlitośnie pozbawiającej mieszkańców ich pól i domów, karzącej ścinać niedojrzałą pszenicę są ranami, mimo upływu czasu, wciąż niezabliźnionymi. Mieszkańcy bez trudu wymieniają ślady osobistych

tragedii, ukryte w nowohuckim krajobrazie, jak chociażby stojący w Mogile przy ulicy pień orzecha włoskiego – jedyną pozostałość po rozległym niegdyś przydomowym ogrodzie. Płaczący ojciec, matka, która klęczy i nadaremnie błaga, by nie kopać na polu, gdzie właśnie dojrzewa zboże to traumatyczne obrazy nagle przerwanego beztroskiego dzieciństwa, czas „baraków i błota”, „nowej ery”, jak określiła to Barbara Salwińska-Ciećkiewicz. Najbardziej przejmujący obraz tamtych dni odnajdziemy we wspomnieniach z Bieńczy: „Pośród tych, co pierwszych z Bieńczy wysiedlali, to był taki jeden robotnik, który pracował w stolarni czy gdzieś, no to tam się odbywały dantejskie sceny, bo to był pierwszy, którego wysiedlili. (...). Ten człowiek co ten domek budował, którego pierwszego wysiedlili, to on był wtedy w pracy, a jego żona coś tam w polu robiła, bo to była pora wiosenna. To ona obrazki święte powystawiała do tych okien, dzieci za tymi obrazkami modliły się, a ona dostała szału i z siekierą gonila w koło domu, że jak któryś przyjdzie to mu łeb utnie. Nie ma się co dziwić, to byli biedni ludzie, przepadł dorobek ich całego życia.”

W obliczu tak wielu opisanych tu przez świadków tragedii i surowej oceny wystawionej przez nich twórcom Nowej Huty niezmiernie ciekawym wydaje się stosunek do samych osadników. Wśród wypowiedzi osób pozostałych na terenie dzielnicy na próżno szukać by wrogości czy lekceważenia. Okazuje się, że barierę obcości przełamuje tradycyjne, wyniesione z rodzinnych domów przywiązanie do wiary, wspólne dla obu grup, które obala jeden z pokutujących do dzisiaj motywów czarnej legendy nowohuckiej, mówiącej o silnej demoralizacji napływającej tu ludności. A oto jak jedna z mieszkanki Mogiły wspomina nowych mieszkańców: „(...) ludzie przyszli ze wsi, bogobojni byli, pracowici, nie zepsuci. Mama miała nawet parę znajomych, co jak były święta, to przychodziły, i sobie jakieś ciasta upiekły. Szanowali się ludzie.” Co więcej, walka o krzyż szybko staje się ich walką wspólną.

Jak widzieliśmy, oprócz wspomnień o charakterze biograficznym przy wyborze tematów starano się także poruszyć kilka wątków, związanych z kulturowych bogactwem miejscowości, być może ostatnich już dzisiaj świadectw wspólnotowego życia wsi, ożywionych kontaktów sąsiedzkich, wyrastających ponad przeciętność niezwyklej współmieszkańców, czy wreszcie panujących w nich obyczajów i wierzeń. Szczególnie cenne są opisy procesji, obrzędów dorocznych, weselnych i zabaw z Grębałowa oraz Krzesławic, uwagi o zwyczajach kołędniczych w Mogile, a także wiele innych drobnych wiadomości o charakterze ludoznawczym. Ze wspomnień powstaje także niezwyklej pejzaż pamięci, pełen nieistniejących już dzisiaj szczegółów – wąwozów, łąk, stawów, ścieżek, czasem nawet pojedynczych drzew. Wszystko to tworzy razem fascynujący krajobraz, który stopniowo wyłania się spod asfaltowo-betonowej powłoki dzisiejszego miasta, by otworzyć przed czytelnikami zupełnie nowy, nieznany dotychczas horyzont.

Dr Monika Golonka-Czajkowska



Mogiła 1949 r., fot. Stanisław Senisson

Podziękowania

W okresie od stycznia 2006 r. do lipca 2008 r. w związku z projektem „Czas zatrzymany” dostałem około tysiąca listów i e-maili, a podczas wystawy plenerowej „Nowa Huta – najmłodsza siostra Krakowa” – kilkadziesiąt wpisów do książki pamiątkowej. Stanowiły one ważną formę kontaktów, gdyż zawarte w nich uwagi, opinie i komentarze stanowiły dla mnie cenne wskazówki w poszukiwaniach i dotarciu do nieznanych szerzej materiałów źródłowych, bez których publikacja ta byłaby z pewnością o wiele uboższa. Praca nad tym przedsięwzięciem była dla mnie lekcją życia, a zdobytą w niej wiedzę i doświadczenie uważam za bezcenne. Z nieukrywanym wzruszeniem wyznam, że listy te dodawały mi „skrzydeł”, a w chwilach trudniejszych i momentach wątpliwości były dla mnie wsparciem. Dzięki nim nawiązałem nowe znajomości, które zaowocowały zamieszczonymi tu opracowaniami, wspomnieniami i zdjęciami, a w wielu przypadkach udało się ocalić pamięć o ludziach, ich losach, dziełach, wydarzeniach i miejscach. Mam nadzieję, że pozostawione przez nich świadectwo nie tylko uzupełni naszą wiedzę o minionej epoce i tutejszym regionie, ale także pogłębi refleksję na temat naszej Ojczyzny, a być może każdemu pozwoli odnaleźć część samego siebie.

Pragnę zatem gorąco podziękować wszystkim, którzy przyczynili się do realizacji tego projektu i powstania niniejszej książki, a w szczególności:

Prezydentowi Krakowa Prof. Jackowi Majchrowskiemu, Prof. Elżbiecie Mycielskiej-Dowgiałło, Prof. Halinie Florkowskiej-Franciś, Prof. Teresie Sawickiej, Prof. Marii Bała, Prof. Michałowi Rożkowi, Prof. Józefowi Pocięszce, Prof. Jerzemu Zderkowskiemu, Dr med. Barbarze Salwińskiej-Ciećkiewicz, Dr med. Janowi Ciećkiewiczowi, Dr med. Jackowi Feretowi, Dr. Wojciechowi A. Wierzewskiemu, Dr Remigiuszowi Kasprzyckiemu, Dr Michałowi Niezabitowskiemu, Dr Janowi Franczykowi, Dr Jackowi Górskiemu, Ojcu Opatowi OO. Cystersów w Mogile Dr Piotrowi Chojnackiemu, Ojcu Cyprianowi Świerszczyńskiemu, Ojcu Korneliuszowi Jackiewiczowi, Ojcu Wincentemu Zakrzewskiemu, Bratu Krzysztofowi, Ks. Stanisławowi Wajdziakowi, Ks. Janowi Hycowi, Ks. Stanisławowi Dolasińskiemu, Ks. Adamowi Trzasce, Ks. Stanisławowi Migasowi, Jerzemu Fedorowiczowi, Jerzemu Połomskiemu, Jerzemu Woźniakiewiczowi, Stanisławowi Ziębie, Sławomirowi Górze, Stanisławowi Madejowi, Aleksandrowi Zdziebko, Stanisławowi Dziedzicowi, Henrykowi Bątkiewiczowi, red. Magdalenie Bajer, red. Andrzejowi Koziołowi, red. Katarzynie Kobylarczyk, red. Renacie Radłowskiej-Kozik, red. Ryszardowi Kozikowi, red. Janowi Pieszczachowiczowi, red. Andrzejowi Ruchałowskiemu, red. Sławomirowi Pietrzykowi, red. Krystynie Lenczowskiej, red. Marii Herzog-Majewskiej, red. Annie Kaszewskiej, red. Krzysztofowi Wołodźko, red. Tomaszowi Zięji, red. Stefanowi Kasprzyckiemu, red. Monice Frenkiel, red. Matyldzie Stanowskiej, red. Aleksandrze Hudymie, red. Beacie Kowalik, red. Annie Szmuc, red. Marcie Sinior, red. Marcinowi Baniakowi, red. Monice Łąckiej, Adamowi Ziemianninowi, Jerzemu Ridanowi, Władysławowi Klimczakowi, Adamowi Bujakowi, Januszowi Lirskiemu, Janowi Zychowi, Władysławowi Rospondkowi, Grażynie Janawie, Ewie Zajączkowskiej, Elżbiecie Nowak, Pawłowi Dysowi, Januszowi Paluchowi, Franciszkowi Dziadoniowi, Jackowi Salwińskiemu, Janowi Salwińskiemu, Leszkowi Sybilli, Maciejowi Mieźanowi, Marii Lempart, Irenie Senisson, Krystynie Suberlak, Marii Szopie, Franciszkowi Nowakowi, Barbarze i Stanisławowi Misiakom, Antoniemu Cyganikowi, Waldemarowi Cyganikowi, Krzysztofowi Rosółkowi, rodzinie Leo Bacha (Leona Silberbacha) w USA i Australii, Marii Kozuli, Aleksandrze Erbert, Henrykowi Bugajskiemu, Zofii Malinie, Dorocie Prążyńskiej, Jolancie Gębickiej, Renacie Kamodzie, Jolancie Koper, Antoniemu Łapajerskiemu, Halinie Rosołek, Antoniemu Rosółkowi, Teresie i Stefanowi Tejkowskiemu, Zofii Kopras, Hannie Romańskiej-Tusiewicz, Jadwidze Skibie, Magdalenie Golonek, Stefanowi Żelichowskiemu, Tadeuszowi Traczowi, Zofii Stelmachowskiej, Piotrowi Stelmachowskiemu, Markowi Stalmachowskiemu, Elżbiecie i Marianowi Dzikowskiemu oraz ich dzieciom: Marcie i Jankowi, Piotrowi Krasnowolskiemu, Henrykowi Kazimierskiemu, Bronisławowi Dżule, Annie i Wojciechowi Wójcikowi, Andrzejowi Kotyzie, Mateuszowi Wyździe, Andrzejowi Ptakowi, Marii Andrzejowi i Piotrowi Cichocińskiemu, Zofii Rączce, Marii i Ewie Nowak, Władysławie Salwińskiej, Zofii Rojek, Andrzejowi Świerczewskiemu, Józefowi Hajto, Wiesławowi Celińskiemu, Romie Krzemień, Jolancie Wcisło, Wiesławowi Pyczkowi, Józefowi, Dorocie i Jerzemu Turbasom, Ewie Osuchowicz, rodzinie Krawczyków, rodzinie Ciepeliów, Elżbiecie i Władysławowi Ćmikiewiczom, Henrykowi Krawczykowi, Zofii Żurek, Bronisławowi Biernacikowi, Stabławie i Małgorzacie Hyli, Janinie Pilch, Elżbiecie Stefańskiej, Władysławowi Bochenkowi, Zofii Zyburze, Danucie Damian, Marii Kurek, Czesławie Cabaj, Marii Suder, Mieczysławowi Marcowi, Alicji i Wincentemu Cieśliewiczom, Marii Jarząbek, rodzinie Czernków, rodzinie Kawulów, rodzinie Mólów, rodzinie Nawarów, rodzinie Stefańskich, rodzinie Nowaków, rodzinie Malinowskich, rodzinie Brosiów, rodzinie Rybkowskich, rodzinie Natkańców, rodzinie Bańdurów, rodzinie Kucharczyków, rodzinie Kołodziejczyków, rodzinie Kaszników, rodzinie Franciszka Marszałka, Jerzemu Zatońskiemu, Annie Majewskiej, Zofii Sołtys,

Krzysztofowi Tynorowi, Tadeuszowi Moskale, dzieciom śp. Stanisława Gajocha: Tadeuszowi, Bolesławowi, Halinie i Joannie, Elżbiecie Waktor, Łucji Gajoch, Marii Kornas, Joannie Kasznik, Annie Gajoch-Adamczyk, Renacie Adamczyk, rodzinie śp. Michała Cygana, Annie Twaróg, Stanisławowi Twarogowi, Kazimierzowi, Tadeuszowi Góralikowi, Stanisławowi Cyganowi, Katarzynie Kofin, Zofii i Józefowi Grymkom, Barbarze Barbackiej, Władysławie Sewerynek, Barbarze Ciesielskiej, Marii Bajolek, Marii Salwińskiej, Hannie i Józefowi Pocięchom, Henrykowi Woźniakowi, Antoniemu Pituchowi, Janinie Matusik, Marii Płatek, Krystynie Rażny, Annie i Stanisławowi Kubarek, Grażynie Piotrowicz, Irenie i Zbigniewowi Ciepeliom, Kazimierzowi Malcowi, Zofii i Kazimierzowi Niemierka, Eugenii Zięciak, Barbarze Łach, Annie Kozłowskiej, rodzinie Partyłów, Stanisławowi Walczakowi, Teresie Stochel, Katarzynie Majzerowicz, Stanisławie Słowik, Alicji Grzesiak, Janinie Kurzeji, Stanisławowi Królowi, Pani Synowskiej, Panu Walczakowi, Zbigniewowi Rajskiemu, Zofii Suśniak, Marianowi Ziomkowi, Annie Adamskiej, Marii Senderek, Marii Frankiewicz, Wiesławowi Gawlikowi, Marianowi Wójcikowi, Julianowi Kubali, Józefie Stankiewicz, Zofii Gerhardt, Annie Maciąg, Eugeniuszowi Bartoszkowi, Jadwidze Broszkiewicz, Aleksandrze Kaczmarczyk, Helenie Słabońskiej, Janinie Rażnej, Julianowi Sendorowi, Konradowi i Aleksandrowi Siermontowskiemu, Tadeuszowi Maroszkowi, Kornelii Gnat, Aleksandrze i Mieczysławowi Nowakom, Aleksandrze Bętkowskiej, Czesławie Kapeli, Wojciechowi Ruśniakowi, Marii i Józefowi Łobodzie, Jackowi Mierzwie, Beacie Walczak, Antoninie Ludwig, Józefie Kalembie, Grażynie Dubiel, Romanowi Garbacikowi, Marii Kościelniak, Marii Kosieradzkiej, Weronice Kosieradzkiej, Irenie Borowiec, Lidii Żak, Tomaszowi Turajowi, Monice Kozub, Marii Czyż, Krzysztofowi Stefańskiemu, Marcinowi Cichońskiemu, Marcinowi Szycowi, Justynie Krzywickiej, Łukaszu Pawlikowskiemu, Markowi Wilkowi, Katarzynie Dominik, Andrzejowi Skibińskiemu, Hannie i Andrzejowi Rogom, Wacławowi Stańczykowskiemu, Miłoszowi Koziołowi, Andrzejowi i Dawidowi Sośnickim, Jadwidze Jurczyk-Motył i Bogdanowi Motyłow, Tomaszowi Bartosikowi, Grażynie Zawiszy i in.

Bardzo dziękuję za owocną współpracę Dr Monice Golonce-Czajkowskiej z Instytutu Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Jagiellońskiego, a studentkom tegoż Instytutu: Katarzynie Maniak, Magdalenie Maciejewskiej, Agacie Kamińskiej, Agnieszce Krupnik, Annie Bartys i Justynie Żurek za pomoc w gromadzeniu wywiadów terenowych.

Dziękuję serdecznie Dyrektorowi Nowohuckiego Centrum Kultury Ferdynandowi Nawratilowi oraz moim koleżankom i kolegom z pracy: Kazimierze Maćkowskiej, Annie Bubuli, Grzegorzowi Boniowskiemu, Jurkowi Kujawskiemu „Szpinakowi”, Jolancie Samek oraz Maciejowi Siudmakowi.

Dziękuję także mojej rodzinie: żonie Oli, córce Ewelinie, synowi Kamilowi oraz rodzicom.

22 lipca 2008 r.

Adam Gryczyński
gryczynski@gmail.com

SPIS TREŚCI

PLESZÓW	3
Pamiętnik czyli Liber memorabilium parafii Pleszów	5
Kościół w Pleszowie	34
Punkt katechetyczny w Grębałowie	35
Mała historia Pleszowa – opracowanie Michała Cygana	39
Nowe Pamiętniki Chłopów (list konkursowy)	52
Pleszów – opracowanie Jana Gajocha	58
O Janie Gajochu z Pleszowa-Osiedla	72
Lata wojny 1939-1945 na terenie gminy Mogiła	76
Kronika Pleszowa z czasów okupacji	83
W Pleszowie – opracowanie Jana Twaroga	96
Genowefa Twarogowa z domu Wojnarowska	116
Wspomnienia Katarzyny Gajoch-Witaszek	117
Wspomnienia rodzinne Anny Gajoch Adamczyk	120
Moja rodzina w Pleszowie	121
Ziemia zrabowana	123
Pamięci Władysława Gajocha	128
KRZESŁAWICE	131
Obraz Krzesławic w dawnych pamiętnikach	133
Dramat Pięknej Zośki	136
Zofia Paluch z Franczaków	137
Ludobójstwo w forcie w Krzesławicach	138
Wspomnienia Stanisława Cygana	145
Wspomnienia Katarzyny Kofin	148
Wspomnienia anonimowe z Krzesławic	151
Wspomnienia Zofii i Józefa Grymków	154
GRĘBAŁÓW	163
Rodzina Woźniaków	165
Jakub Bęben	167
Wspomnienia Janiny Matusiak	169
Wspomnienia Stanisława Kubarka	172
Wspomnienia Franciszka Nowaka	174
Wspomnienia Grażyny Piotrowicz	180
LUBOCZA	191
Rodzina Partyłów	193
Franciszek Twaróg – nauczyciel z Luboczy	197
Wspomnienia Marii Zderkowskiej z domu Twaróg	206
WADÓW	219
Widziane z Wadowa	221
Wspomnienie o Józefie Cieślewiczu	230
Wspomnienia z dawnego Wadowa	232
Stanisław Ziomek	234

ŁUCZANOWICE	237
Mycielscy	239
Wspomnienia o Pawle Sendorze i jego rodzinie	244
Historie z rodzinnego albumu	248
Łuczanowice – tradycje i nowoczesność	253
RUSZCZA	259
Mieszkańcy Ruszczy	261
Fragment „Wspomnień z uciekinierki”	262
Wspomnienia o Józefie Kowalskim z Dojazdowa	268
WYCIĄŻE	271
Wspomnienia Kornelii Gnat	273
WOLICA	281
Pierze	283
Wspomnienia Czesławy Kapeli	286
Zbrodnia w Wolicy	286
KOŚCIELNIKI	289
Krótki rys historyczny wsi	291
„Bogu na chwałę, ludziom na pożytek”	298
Helena Ściborowska-Mierzwina	300
Z cyklu „Pochodzenie”	306
Z cyklu „Legendsy chłopskie”	310
Z cyklu „Legendsy pałacowe”	314
Z Archiwum Mecenas Stanisława Mierzwiny	319
KOCMYRZÓW-LUBORZYCA	325
Nasi przodkowie – ich zwyczaje i obyczaje	327
Śmierć alianckich lotników	342
Ostatnie pożegnanie	344
Kosynierzy z Luborzyca	345
Czasy dzieciństwa, czasy młodości	347
Dzieje kolei kocmyrzowskiej	350
PRUSY	361
Rozmowa z Marią Szopą	363
Posłowie	370
Podziękowania	372

Redakcja:

Adam Gryczyński

Współpraca:

Anna Bubula,
Grzegorz Boniowski,

Opracowanie komputerowe zdjęć:

Adam Gryczyński

Projekt katalogu:

Grzegorz Boniowski,
Adam Gryczyński

Skład i przygotowanie do druku:

Grzegorz Boniowski

Druk:

PremiumPartner
ul. Kraszewskiego 27
30-108 Kraków
www.premiumpartner.pl

Wydawca:

Nowohuckie Centrum Kultury ©
Al. Jana Pawła II 232
31-913 Kraków
0 12 644 02 66
www.nck.krakow.pl

Wydanie I; grudzień 2008

Nakład 1000 egz.

ISBN 978-83-88832-58-1

Zamieszczone zdjęcia pochodzą głównie z archiwów rodzinnych mieszkańców terenów, na których zbudowano Nową Hutę i kombinat metalurgiczny.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także skanowanie lub kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Na okładce „Piękna Zośka” (Zofia z Franczaków Paluchowa), mal. Piotr Stachiewicz.

W książce „Czas zatrzymany 2” znalazły się teksty i fotografie w większości opublikowane po raz pierwszy. Są one plonem trzech lat gromadzenia zdjęć, opisów, opracowań, wywiadów terenowych i wspomnień, jakie napłynęły w odpowiedzi na apel skierowany w styczniu 2006 r. do dawnych i obecnych mieszkańców Nowej Huty. Potomkowie rodzin pochodzących z Mogiły, Bieńczy, Czyżyn, Pleszowa, Krzesławic, Grębałowa, Luboczy, Wadowa, Łuczanowic, Ruszczy i Kościelnik, podejmując solidarną inicjatywę wskrzeszenia własnej godności, dumy i barw lokalnej przeszłości, zademonstrowali ofiarność w rekonstruowaniu wizerunku świata swoich przodków. Dzięki temu, ukazując indywidualne losy wpisane w dzieje narodu, poznajemy głębszy wymiar życia, widzimy znacznie więcej a syntezując dawne wydarzenia wpływamy na zachowanie pamięci i własnej tożsamości. W sytuacji wynikającej z integracji europejskiej, stojąc wobec nowych szans, a zarazem wyzwań – warto czerpać z dobrych, sprawdzonych wzorców i wartości, ale i z uwagą spoglądać w nadchodzącą przyszłość.



Niech zatem doświadczenia pokoleń i wyciągnięte wnioski będą dla nas – cieszących się życiem – lekcją rozważań i zadumy. Zapytajmy kim byli nasi przodkowie, jak żyli, w jakim duchu wychowali potomstwo. Poodychajmy nieco innym światem, w którym mimo siermiężnych warunków wszystko miało jednak pewien swój ład i porządek. Niech stare pamiątki „przeniosą naszą duszę utęsknioną do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych”... Są w nich bowiem treści radosne, wzniosłe i piękne, ale też bolesne chwile zapisane na pożółkłych kartkach papieru i wyblakłych zdjęciach. Można je także odkryć w naszych sercach, duszy i umyśle. Razem wzięte potrafią mocno przemówić.

Nowa Huta, listopad 2008 r.

Adam Gryczyński